

# ANNA J. SZEPIELAK

Ależ to piękna opowieść! Weź tę książkę, zapomnij o codzienności i zatrać się w fascynujących dziejach rodziny Zarzewskich. Polecam!  
Beata Tyszkiewicz

DZIEDZICTWO  
RODU

PRZEKROCZYĆ  
RZEKĘ

FILM

ANNA J. SZEPIELAK



DZIEDZICTWO  
RODU

PRZEKROCZYĆ  
RZEKĘ



FILIA

## ROZDZIAŁ I

*Rok 1864, Galicja Zachodnia*

Przemoknięty woźnica z trudem zatrzymał rozhukane konie na dziedzińcu. Niechętnie zaryły kopytami w marznącym błocie, ale stanęły. Ich rozgrzane od długiego biegu oddechy parowały w mroźnym, wilgotnym powietrzu nocy.

– Tfu! Diabły nie konie – mruknął gniewnie.

Nie ruszając się z kozła, spojrzał wyczekująco na pogrążony w mroku pałac. Pasażer krytego powozu nie czekał jednak, aż ktoś ze służby wyjdzie, by mu otworzyć. Nacisnął klamkę. W tym samym momencie niespodziewany podmuch wiatru uderzył w powóz z taką siłą, że szarpnięte drzwiczki same odskoczyły z hałasem. Woźnica skulił się i osłonił twarz mokrym kapturem, a podróżny zaklął głośno. Nie zważając na pogodę, zeskoczył ze stopni prosto w kałużę śniegowej brei.

– Niech Józef dopilnuje stajennego, żeby zajął się końmi. Jeno porządnie! – rzucił do stangreta ostrym tonem. – Żebym nie musiał jutro obić tego wałkonia. A to dla Józefa – dodał.

W świetle księżycy błysnęła złota moneta.

– Dziękuję, jaśnie panie! – Zaskoczony woźnica chciał zejść z kozła, by ucałować pańską dłoń, ale niecierpliwy gest dziedzica powstrzymał go.

– Za milczenie. Rozumie Józef?

– Jaśnie pan wie, że we mnie jak w mogiłę...

Mężczyzna nie słuchał dłużej. Sięgnął w głąb powozu, wyciągnął stamtąd niewielki tłumoczek, który częściowo osłonił od wiatru swoim płaszczem, wbiegł między kolumny portyku i załomotał w drzwi, aż zadźwięczała kołatka. Zaskoczony stangret obejrzał się za nim. Wydało mu się, że usłyszał jakieś dziwne popiskiwanie, jakby kocie miauczenie, ale w tej samej chwili drzwi pałacu się otworzyły.

– To jaśnie pan już wrócił? – bąknął zaspany odźwierny.

Mężczyzna odepchnął go bez słowa. Zostawiając za sobą ślady błota na ozdobnej posadzce, wielkimi krokami wbiegł po schodach na piętro. Im bliżej był pokojów żony, tym większe ogarniało go zdenerwowanie. Gdy wreszcie dotarł zdyszany do pogrążonego w półmroku buduaru, zatrzymał się w progu. Z niepokojem spojrzał na wąsatego doktora, którego hałas otwieranych drzwi wyrwał z drzemki.

– Co z Adelą?

– Wszystko w porządku. O ile mogę się tak wyrazić w tej sytuacji. – Doktor bez pośpiechu podniósł się z otomany. – Teraz śpi po lekarstwie, które jej podałem. Była wyczerpana tym...

– Moment! – przerwał mu obcesowo i odwrócił się na pięcie.

Na odgłos szybko oddalających się w korytarzu kroków doktor zareagował jedynie wzruszeniem ramion. Kilka tygodni spędzonych w tym pałacu wystarczyło, by nonszalanckie zachowanie Zarzewskiego przestało go dziwić.

Po krótkiej chwili gdzieś w głębi pogrążonego w ciszy i mroku pałacu rozległo się trzaśnięcie drzwiami.

– A zatem co z moją żoną? – spytał powtórnie Zarzewski, wszedłszy do pokoju już bez wierzchniego okrycia.

Doktor odruchowo spojrzał na zamknięte drzwi sypialni, amfiladowo połączonej z buduanem.

– Trudno powiedzieć. Jestem lekarzem od dwudziestu lat i wiele już widziałem, ale wciąż zdumiewa mnie reakcja pacjentki na...

– Nie interesują mnie pańskie zdumienia. Liczą się fakty. Gdybym nie wierzył w to, że jesteś pan lepszy od poprzedniego konowała naślanaego przez mojego teścia, pana również by tu nie było. Pytam o samopoczucie mojej żony.

Łysiejący, wąsaty lekarz spojrzał z niechęcią na odzianego w czerń mężczyznę. Zarzewski stał tyłem do niego i ogrzewał dłonie przy ogniu trzaskającym w kominku, ostentacyjnie lekceważąc

swojego rozmówcę.

– Fizycznie stan pani Adeli znacznie się poprawił, jedynie nad ranem dostała lekkiej gorączki. Zdenerwowała się pana zniknięciem, to zapewne dlatego.

– Uspokoiście ją?

– Staraliśmy się. Hrabianka była jednak zdezorientowana, popłakiwała, wciąż wzywała pana i dziecko. Chciała iść do dziecięcego pokoju, ale na szczęście po tym wszystkim nie miała siły. Musiałem jednak podać miksturę nasenną, by zatrzymać ją w łóżku. Żadne tłumaczenia nie były w stanie ukoić jej nerwów.

– Mam nadzieję, że zachowaliście milczenie.

– Tak jak pan sobie życzył, czekałem z wyjaśnieniami na pana powrót. Obawiam się jedynie, że informacja o śmierci kolejnego dziecka może dramatycznie pogorszyć stan chorej. To nie jest dobry pomysł. Skoro już raz...

– Zmieniłem zdanie. – Zarzewski swoim zwyczajem przerwał mu, nie chcąc wysłuchiwać po raz kolejny wszystkich argumentów. – Nie ma potrzeby, by cokolwiek Adeli wyjaśniać.

– Nie rozumiem. Coś przecież będziemy musieli jej powiedzieć.

– Pana zadaniem jest leczyć moją żonę, resztę proszę zostawić mnie.

– Właśnie o leczeniu rozmawiamy – odparł doktor urażonym tonem. – Sytuacja jest trudna i niecodzienna. Uważam jednak, że prawda może być dla pani Adeli mniej bolesna niż kłamstwo.

– Mniej bolesna? Chciałby doktor powiedzieć mojej żonie, że jest dziwadłem? Rzadkim przypadkiem medycznym?

– Ależ skąd! Po prostu stan nerwów pani...

– Tak, znam te wasze lekarskie wymówki! Od lat wszyscy powtarzacie to samo: trzeba nad nią czuwać, bo raz będzie lepiej, raz gorzej. Więc skup się pan, do cholery, na tym, żeby wreszcie było lepiej! Chcę w końcu zobaczyć jej uśmiech.

– Robię, co w mojej mocy.

– Doprawdy? A ja odnoszę wrażenie, że za dużo czasu trwonisz pan po okolicznych dworach i brudnych chłopskich zagrodach. Nie po to sprowadzałem lekarza aż z Wiednia, żeby inni korzyścili.

– Pozwoli pan, że sam zdecyduję, jak mam prowadzić swoją praktykę – stwierdził doktor z godnością. – Obowiązków wobec pani Adeli nie zaniedbuję. Jeśli jednak moje usługi pana nie satysfakcjonują, to...

– To co? – przerwał mu opryskliwym tonem. – Wyjedziesz pan, doktorze? Nie sądzę. Radzę pamiętać, komu zawdzięcza pan spłatę wszystkich długów i ocalenie przed więzieniem. Jeśli ktoś chce być filantropem, musi najpierw odziedziczyć porządny spadek, a dopiero później pracować za darmo. Pańska żona zapewne nie jest świadoma, ilu miałeś wierzycieli, czyż nie? Więc dopóki nie spłacisz mi pan weksli, radzę się wstrzymać z pakowaniem kufrów – ironizował.

W tym momencie z korytarza dobiegło ich echo stłumionego płaczu niemowlęcia. Brwi doktora uniosły się do góry.

– Co to?

Dziedzie wzruszył ramionami.

– Zapewne dziecko jest głodne. Polecilem mamce, żeby je nakarmiła, zanim przyniesie je tutaj.

Z obojętną miną stanął przed lustrem i zaczął przyglądać surduta oraz potargane przez wiatr włosy, których głęboki czarny kolor nadawał jego ptasiej twarzy jeszcze ostrzejszego wyrazu.

Zaskoczony doktor przez chwilę patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Jakie dziecko?

– Jak to: jakie? Moje, nasze. Skoro Adela czuje się lepiej, najwyższy czas pokazać jej nasze dziecko.

– Pokazać jej...? – Zdumionemu lekarzowi aż zabrakło słów.

Zarzewski roześmiał się, widząc jego minę.

– Ależ spokojnie, doktorze! Wbrew temu, co mówią o moim rodzie, nie spiskujemy z siłami nieczystymi. Wręcz przeciwnie. Jako zrozpaczony mąż z pokorą zapaliłem w kościele i świeczkę,

i ogarek za szczęśliwy poród mojej żony – kpił. – Jak widać, grzesznik też bywa czasem wysłuchany.

– Wysłuchany? Czy pan się dobrze czuje?

– Oczywiście – stwierdził chłodno, patrząc mu prosto w oczy. – Obawialiśmy się komplikacji, ale na szczęście pomyliłeś się, doktorze. Adela sobie poradziła, a dziecko jest silniejsze, niż się nam wydawało. To w końcu krew z mojej krwi, z rodu Zarzewskich. My się nigdy nie poddajemy, walczymy do końca.

Oslupiały lekarz milczał.

– Cóż się doktor tak patrzy?

– Po prostu nie pojmuję, o czym pan mówi.

– I nie musisz pan. Masz tylko zachować tajemnicę zawodową. Chodzi przecież o pańską pacjentkę. *Primum non nocere*, czyż nie?

– Naturalnie, ale...

– Zatem nie ma czego roztrząsać.

– Jak to: nie ma czego? – spytał zdenerwowany lekarz. – Nie wiem, co pan zrobił, i nie chcę wiedzieć. Obowiązuje mnie jednak uczciwość względem moich pacjentów. Cokolwiek pan wymyślił, nie zamierzam w taki sposób oszukiwać pani...

– Natejko! – warknął Zarzewski i niespodziewanie złapał go za poły marynarki. – Posłuchaj mnie uważnie! Od kiedy zmarła moja droga matka, jedynym celem mojego życia są spokój i szczęście Adeli. Dla niej jestem zdolny do wszystkiego. Do wszystkiego! – powtórzył groźnie z lekkim syczeniem, a w jego oczach zamigotało szaleństwo. – Rozumiesz?

– Tak – stęknął lekarz, brutalnie przyparty do ściany przez znacznie szczuplejszego od siebie, a jednak nieludzko silnego mężczyznę.

– Zapamiętaj więc, że wszystko, co się tu wydarzyło, ma pozostać między nami. Okoliczne ziemiaństwo lubi wtykać nos w nie swoje sprawy, a ja nie życzę sobie nawet jednej małej ploteczki. Gdyby jednak ktoś życzliwy doniósł mojemu teściowi o problemach Adeli, bardzo by mnie to rozgniewało. Bardzo. Czy to jasne?

– Nie musi pan tak...

– Nie muszę, ale mogę. Pamiętaj o tym. Dla dobra twojej żony i syna.

– Słucham?! – Oburzony doktor nadaremnie próbował się wydostać z jego uścisku.

– Wierz mi, że jeśli zechcę, potrafię zamienić cudze życie w piekło. Z nikim nie będę się patyczkował i znajdę was nawet na krańcu świata. – Długi nos mężczyzny niemal dotykał policzka doktora. – Na twoje szczęście Adela już dawno nie miała do żadnego medyka takiego zaufania, jak do ciebie, Natejko. Jak do pana, doktorze. – Uścisk rozluźnił się, a ton głosu złagodniał. – Tak długo, jak się to nie zmieni, będziesz pan najlepiej opłacanym lekarzem w tej prowincji. Pańska rodzina także na tym skorzysta, zapewniam. Wymagam jedynie absolutnej dyskrecji i lojalności – wolno cedził wyrazy. – Nic nie może zasmucać mojej żony ani naruszać jej spokoju. Masz pan dbać o nią jak o swoją boginię. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

– Tak.

– Wspaniale.

Mężczyzna uspokoił się w jednej chwili. Odsunął się o krok i z krzywym uśmiechem poklepał bladego lekarza po ramieniu.

– A zatem ustalone – powiedział takim tonem, jakby nic między nimi nie zaszło. – Zakładam, że wygodnie się wam mieszka w domu po rządcy?

– Owszem – odparł niemrawo doktor, poprawiając ubranie.

– Dobrze. I tak stał pusty, bo musiałem się pozbyć tego obiboka. Teraz sam prowadzę swoje interesy, nie potrzeba mi tu darmozjadów. Czy pańskiej żonie spodobały się nowe meble i powóz?

– Słucham? A... powóz. Tak, spodobał się.

– Jeśli będziecie czegoś jeszcze potrzebowali, niech doktorowa jak zwykle zgłasza to ochmistrzyni. Ale do głównego budynku niech więcej nie przychodzi. Ją i pańskiego syna obowiązują te same zasady, co większość służby.

– Pamiętamy o tym – burknął lekarz. – Wy tłumaczyłem Klementynie, że widok obcych ludzi źle wpływa na stan nerwów pani Zarzewskiej.

– Liczę na to, że wkrótce wyleczysz pan Adelę z tych lęków i obie panie będą mogły się poznać. Moja małżonka mimo arystokratycznego pochodzenia nie jest uprzedzona do niższych stanów. – Zaśmiał się rubasznie. – Wierzę w pana, Natejko.

– Dziękuję. – To słowo z trudem przeszło doktorowi przez gardło, bo kilka ostatnich minut uświadomiło mu, że prawdopodobnie popełnił największy błąd swojego życia, przyjmując posadę w tym dziwnym, na wpół opustoszałym pałacu.

– A teraz doprowadź się pan do porządku. Czas zajrzeć do Adeli. Aha, czy Marcelina dopilnowała, by nikt ze służby nie wałęsał się po piętze?

– Nie wiem. – Kompletnie oszołomiony lekarz z trudem zbierał myśli. – Od dwóch dni właściwie stąd nie wychodzę, ale nikogo nie słyszałem na korytarzu.

– Dobrze. Zejdź pan na dół po dziecko, ja idę do żony.

Nie zdążył jednak nacisnąć klamki, gdy zza drzwi sypialni rozległ się kobiecy krzyk.

– Puść mnie! Muszę iść do mojego synka! Co z nim zrobiliście?! Chcę go zobaczyć!

Zarzewski błyskawicznie znalazł się w środku. Wątła, jasnowłosa kobieta szamotała się niezdarnie ze służącą, która chciała ją zatrzymać w łóżku. Na jego widok znieruchomiała.

– Henryku! Jesteś! – Spojrzała na niego z mieszaniną ulgi i wyrzutu. – Oni nie chcą mi pokazać naszego synka. Marcelina ciągle mówi, że on śpi – poskarżyła się nieco dziecinnie. – Okłamują mnie, zwodzą! Dlaczego zostawiłeś mnie samą? Gdzie byłeś?

– Jestem, najdroższa – odparł zdumiewająco ciepłym, łagodnym głosem.

Przysiadł na brzegu łóża i delikatnie ujął jej dłoń naznaczoną starymi bliznami, które ukrywały się pod rękawem luźnej batystowej koszuli.

– Uprzedzałem cię, że jadę do miasta po lekarstwa dla ciebie. Wróciłem tak szybko, jak tylko się dało.

– Tak? Nie pamiętam – szepnęła rozżalona. – Potrzebne mi znów lekarstwa?

Mężczyzna czułym gestem odgarnął jej z czoła jasny kosmyk włosów, odsłaniając długą nieładną szramę, która szpeciła policzek kobiety i ściągała w dół koniuszek prawej powieki, co czyniło spojrzenie szarych oczu wyraźnie niesymetrycznym.

– Tak, najdroższa. Jesteś słaba, ale Marcelina przyniesie ci zaraz pysznego bulionu. Zażyjesz swoje proszki, wzmocnisz się i poczujesz lepiej.

– Nie chcę jeść! Chcę zobaczyć naszego synka. Dlaczego nikt mi go nie przynosi? Co przede mną ukrywacie?

– Adelo, spokojnie.

– Henryku, ja proszę! – Spojrzała błagalnie na męża. – Muszę znać prawdę! Czy on także umarł, jak nasz Oleś?

– Ależ skąd! Przyrzekłem ci, że tym razem wszystko będzie dobrze, i dotrzymałem słowa. O! Jest doktor. – Odwrócił się i przez otwarte drzwi skinął na mężczyznę czekającego w progu. – Nikt cię nie okłamywał. Byłaś słaba, utrudzona. Zabroniłem cię przemęczać, dlatego dzieckiem zajmowała się mamka. Sama ją przecież wybrałaś, więc można jej zaufać. Spójrz, jest zdrowe i silne.

Wziął z rąk doktora niemowlę i ostrożnie włożył je w ramiona żony.

– Och! – szepnęła z zachwytem. – Jakiż on piękny! Ale dlaczego płakał? Słyszałam jego płacz.

– To nic złego. Po prostu była głodna.

– Kto?

– Nasza córka, Adelo. Urodziłaś mi prześliczną dziewczynkę i jestem ci za to ogromnie wdzięczny. Zawsze marzyłem o córce.

– Córka? – Uśmiech momentalnie znikł z bladej twarzy dziewczynki.

Spojrzała zdumiona najpierw na męża, potem na doktora, który zachował kamienną minę, a wreszcie na ukrytą w ciemnym kącie postawną, barczystą i brzydką służącą w nieokreślonym wieku.

– Jak to, Marcelinko? A mój synek? – szepnęła do niej z lękiem.

Kobieta odchrząknęła niepewnie. Nim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, ostrzegawcze, lodowate spojrzenie Zarzewskiego uderzyło ją jak biczem. Spuściła wzrok i bez słowa cofnęła się na powrót do kąta.

– Tym razem urodziłaś mi córkę. – Ciepły, uspokajający głos mężczyzny przemawiającego do żony jak do chorego dziecka nie zmienił się nawet o jeden ton. – Nasz Oleś zmarł dwa lata temu, ale teraz urodziłaś zdrową dziewczynkę. Nie pamiętasz?

– Naprawdę? – Z niedowierzaniem przyjrzała się niemowlęciu, które wierciło się w jej ramionach coraz bardziej. – Pamiętam, oczywiście, że pamiętam – stwierdziła z wahaniem, marszcząc czoło. – Mój biedny synek. Miałby teraz siostrzyczkę.

Odśloniła pieluszki, jakby nie dowierzała słowom męża.

– Dziewczynka – szepnęła zawiedziona, ale uśmiechnęła się z przymusem. – Czy jesteś zadowolony, Henryku?

– Oczywiście, najdroższa. Wysłałem już list do hrabiego z wieścią, że szczęśliwie został dziadkiem.

– Zawiadomiłeś mojego papę? Niepotrzebnie.

– Nie mów tak. Hrabia na pewno będzie zachwycony śliczną wnuczką. Urządzimy huczne chrzciny.

– Skoro tak mówisz...

Małeńkie różowe usta niemowlęcia wykrzywiły się nagle i w sypialni rozległ się wrzask. Matka drgnęła przestraszona. Gwałtownym ruchem odłożyła krzyczące dziecko na koldrę, z dala od siebie.

– Henryku!

– Wszystko jest w porządku. Marcelino, zanieś jaśnie panienkę na dół do mamki. I poślij po resztę służby. Życie w pałacu może wrócić do normy.

Służka w milczeniu wykonała polecenie. Jasnowłosa dziedziczka przez chwilę nasłuchiwała oddalającego się wrzasku niemowlęcia.

– Dziewczynka – szepnęła powtórnie, rozczarowanym tonem.

– Jeśli pozwolisz, nazwiemy naszą córkę po mojej prababce, Juliannie. Bardzo mi na tym zależy.

– Naturalnie. Tylko że...

– Co takiego, kochana?

– Tak marzyłam, by nadać naszemu synkowi imię po moim papie, Eryku – szepnęła rozkojarzona. – Córka. Trudno.

## ROZDZIAŁ II

*Czerwiec 1888 roku, Królestwo Polskie*

Choć bardzo się starała, nie udało się jej zapanować nad swędzeniem w małym nosku. Kichnęła prosto w pudełko, a wtedy pudrowa mgielka uniosła się w powietrze. Opadając wolno na toaletkę, jasny pył obsypywał wszystkie kobiece drobiazgi: szpilki do włosów, szczotki, grzebyki, flakony, pilniczki, kolorowe słoiki z tajemniczymi mazidłami, a nawet taflę lustra, które nagle straciło swą wyrazistość.

– Ojej! – szepnęła przestraszona.

Zrobiła coś okropnego! Nie tylko weszła bez pozwolenia do apartamentu *maman*, lecz także dotykała jej rzeczy i zmarnowała ulubiony puder! Jeśli ktoś się o tym dowie...

Odstawiwszy szybko puderniczkę na miejsce, naciągnęła rękaw szlafroka i potarła nim zaproszone oczy, które zaczęły łzawić.

Nagle serce podskoczyło jej do gardła: w głębi korytarza rozległ się odgłos ciężkich, pospiesznych kroków.

Co teraz będzie?! Jeżeli ją tu przyłapią, czeka ją kara, jakiej sobie nawet wyobrazić nie potrafi! Trzeba się gdzieś schować!

Na wpół oślepiąca, rozejrzała się za kryjówką. W pierwszej chwili rzuciła się w kierunku stojącego w kącie parawanu, ale instynkt natychmiast podpowiedział jej, że to zły pomysł. Gdy stukot butów na korytarzu stawał się coraz głośniejszy, w panice wcisnęła się pod szerokie łóżko, z którego zwisała ozdobiona frędzlami narzuta. Rozplaszczając się na zakurczonym parkiecie z różnokolorowego drewna, odruchowo zacisnęła usta i przykryła je dłońmi, by nie wyrwał się jej żaden dźwięk, nawet przez przypadek.

Może ten ktoś pójdzie dalej? Może to tylko jedna z pokojówek znów wymknęła się z pałacu na spotkanie z narzeczonym? Och, gdyby tylko mieć prawdziwą pelerynę niewidkę, o której opowiadała niania Busia!

Skrzypnęły drzwi, miękki dywan stłumił kroki. Tuż przy krawędzi łóżka mignęły ubrudzone błotem trzewiki i brzeg szarej sukni. Jakaś kobieta weszła do niewielkiej garderoby umiejscowionej obok sypialni.

To nie *maman*! Ona stąpa leciutko i pachnie fiołkami, a ten ktoś przyniósł ze sobą zapach stajni. Kto to? Czego szuka?

Tych kilka okropnych chwil spędzonych pod łóżkiem wydało się jej wiecznością. Czekając, aż tajemnicza kobieta wyjdzie, zeszytywniała ze strachu i zimna. Przez cały czas modliła się gorąco w duchu, by jej nie zauważono. Chciała jak najszybciej uciec z tego pokoju, do którego kilka minut wcześniej zakradła się z niewysłowionym uczuciem szczęścia.

Skrzypienie szaf w pomieszczeniu obok nie trwało długo. Poczowała ulgę, że za chwilę będzie mogła się wymknąć, jednak radość była przedwczesna. Gdy brzeg szarej sukni znów przesunął się po dywanie, tym razem w kierunku drzwi wyjściowych, coś upadło na podłogę.

Drgnęła i z trudem zdławiła pełne strachu pisknięcie. W tej samej chwili jedno z polan w kominku obsunęło się z hałasem, maskując szelest. Niebezpieczeństwo jednak nie minęło. Obok łóżka, niemal tuż przy jej głowie, leżał elegancki trzewik z ciemnej skóry – ten sam, który widziała niedawno, gdy *maman*, wsiadając na konia, przypadkowo zbyt wysoko uniosła spódnicę szewiotowej amazonki.

I co teraz?! Jeśli ten ktoś się schyli, by go podnieść, na pewno ją zobaczy! Co robić? Co...?!

Koścista dłoń o zgrubiałych poźółkłych paznokciach, która niespodziewanie pojawiła się przed jej oczyma, przeraziła ją, jakby należała do strzygi lub wampira. Wstrzymała oddech. Mogła tylko patrzeć, jak długie chude palce chwytają trzewik znajomym gestem. Tak samo łapały ją czasem za ramię lub ucho, gdy niani nie było w pobliżu: mocno, boleśnie i zawsze karcąco.



To Marcelina!

Przez chwilę w pokoju słycać było jedynie trzask ognia w kominku i dziwne posapywanie służącej. Nagle materac na łóżku niebezpiecznie ugiął się pod jakimś ciężarem, przygniatając ją do podłogi. Nim zrozumiała, co się dzieje, zaskoczył ją głuchy, rozpaczliwy skowyt.

– To niemożliwe! Dlaczego?! – jęczała garderobiana przytłumionym głosem, jakby ukryła twarz w poduszce. – Jak mogła?!... Nie! To nie ona, to ja. Moja wina! Nie chciałam. Wybacz mi, aniele! Co ja teraz pocznę?!

Zawodzenie ucichło raptem jak ucięte nożem. Łóżko skrzyknęło, gdy kobieta zerwała się na równe nogi.

– Nie! On ma rację. Trzeba działać! Była niewinna, święta! Przysięgam, że nikt się nigdy nie dowie. Nikt! Choćbym się miała smażyć w piekle przez całą wieczność! Jeszcze tylko to.

Brzeg sukni zaszeleścił po dywanie, zatrzymując się obok kominka zaledwie na sekundę. Ogień zasyczał i przygasł, gdy coś wpadło do paleniska. Światłocienie rzucane przez migotliwy płomień zniknęły na chwilę, pograżając opustoszałą sypialnię niemal w mroku. Nastąpiła cisza.

Poszła! Ta okropna Marcelina naprawdę sobie poszła! Niczego nie zauważyła! Hurra! Można się cichutko wymknąć i wrócić do Busi!

Wygramoliła się spod łóżka i odetchnęła głęboko. Wciąż drżała w środku, nie wierząc we własne szczęście. Ciemność dodawała jej odwagi. Przez chwilę nasłuchiwała, czy z korytarza nie dobiega jakiś dźwięk, po czym trochę niepewnie, na palcach, zaczęła się skradać do wyjścia.

Gdy przemykała obok kominka, płomień strzelił nagle w górę. Podskoczyła przestraszona i odruchowo spojrziała w ogień. Jej wzrok padł na skrawek płonącego materiału, który unosił się przez chwilę w gorącym powietrzu, tuż nad płomieniami. Jak zahipnotyzowana patrzyła na jego dziwny taniec, aż do momentu, gdy szerniał i łagodnie opadł na blachę obok żelaznej kraty przysłaniającej palenisko. Wtedy to zobaczyła.

W szarym popiele przy samym brzegu leżał nadpalony koronkowy rękaw ozdobiony różową wstążką, a dalej, na ledwie żarzącym się grubym polanie, spoczywała resztką muślinowej tkaniny.

Wiedziała, co to jest. Ta kupka przypalonego materiału była fragmentem ulubionego peniuaru *maman*. Koronka nie była jednak ani biała, jak zwykle, ani szara od brudnego popiołu.

Zamrugła oczyma. Nagle poczuła, że za gardło chwyta ją niewidzialna dłoń, która odbiera oddech i nie pozwala krzyczeć. Jedyne, co mogła zrobić, to patrzeć, jak leniwie rozpalający się płomień ślizga się po delikatnym materiale, wolno pochłaniając wielką purpurową plamę krwi. Ostry zapach uderzył ją w nozdrza.

– Busiu! Na pomoc! – wrzasnęła i zaczęła biec.

– Ratunku! – Zerwała się z poduszki mokra od potu, z trudem łapiąc oddech.

– Och, panno Julio! Proszę się obudzić!

Tuż obok usłyszała płaczliwy dziewczęcy głos.

– Niech pani tak nie krzyczy, ktoś może usłyszeć. – Zmartwiła się druga dziewczynka.

Obie stały boso przy jej łóżku w koszulach nocnych i szarpały ją za rękę.

– Natałka? Wicia? Co się stało? – spytała zdezorientowana, starając się uspokoić szalone bicie serca.

– Usłyszałyśmy przez ścianę, że pani krzyczy, i przybiegłyśmy.

– Zanim ktoś znowu usłyszy.

– Bo lepiej, żeby mamcia nie wiedziała, że pani ciągle płacze przez sen – paplały na zmianę.

– Czy to znowu koszmar, panno Julio?

– Och, jaka pani biedna!

– Spokojnie, dziewczynki. To nic takiego – przerwała im zmartwionym tonem. – Jesteście kochane, ale nie powinnyście tu przychodzić w środku...

Nie zdążyła dokończyć, ponieważ w progu stanęła kobieta z lichtarzem w dłoni.

– Panienki? A cóż wy robicie o tej porze w sypialni panny Julii? – Tęga niewiasta zdziwiła się

niemiło na ich widok, unosząc nieznacznie świecę, by lepiej przyjrzeć się dziwnej scenie.

– Proszę mamy, my tylko...

– Coś takiego! To nie do pomyślenia – przerwała im surowo. – I pani im na to pozwala?

– Ja...

– Proszę mamci, my tu same przyszłyśmy! Chciałyśmy pomóc.

– Natalia, Wiktoria, proszę w tej chwili wracać do swojej sypialni.

– Ależ, proszę mamy!

– Dość. Ani słowa więcej, bo obudzicie ojca albo brata i dopiero będzie skandal. – Głosem nieznośnym sprzeciwu przerwała dyskusję. – Dziewczeta biegające po domu w samych koszulkach i z rozpuszczonymi włosami? Nie do pomyślenia.

Gdy zmartwione córki posłusznie opuściły niewielki pokój, matrona odwróciła się do Julii. Młoda kobieta zdążyła już w tym czasie osłonić się szlafrokiem i poprawić ciemne włosy, które wysunęły się jej spod nocnego czepka.

– Panno Julio, zupełnie nie pojmuję, co tu się ostatnio dzieje. Z przykrością muszę stwierdzić, że jestem zbulwersowana. Staralam się ignorować pewne niestosowne wydarzenia, ale wszystko ma swoje granice. Cóż to za krzyki w środku nocy? To jest przyzwoity dom.

– Przepraszam, ja...

– Może trzeba do pani wezwać doktora? – przerwała jej.

– Dziękuję za troskę, ale to był tylko zły sen.

– Tylko? Doprawdy to oryginalny pogląd. Dobrze wychowane osoby nie miewają koszmarów.

– Nie wydaje mi się, żeby to mogło zależeć od czyjejś woli – wyrwało się dziewczynie, urażonej tonem rozmówczyni.

– Naturalnie, że zależy. Człowiek o czystym sumieniu nie ma powodu, by dręczyły go złe sny. Chyba że jest chory.

Dziewczyna spuściła wzrok i postanowiła przerwać niemiłą wymianę zdań, tym bardziej że z emocji wciąż jeszcze uginały się pod nią nogi.

– Przykro mi z powodu tego zamieszania. Proszę się jednak nie gniewać na dziewczynki, one chciały mi tylko pomóc. Są bardzo wrażliwe.

– Oczywiście, że moje córki są wrażliwe. Tym bardziej uważam za niedopuszczalne narażanie ich na podobne wstrząsy. Pani jako nauczycielka powinna o tym wiedzieć najlepiej.

– Jeszcze raz przepraszam. To się już więcej nie powtórzy, obiecuję.

– W to nie wątpię. Cóż, nie pora teraz na takie rozmowy. Proszę zamknąć sypialnię na klucz i położyć się spać. Mam nadzieję, że tym razem obejdzie się bez niespodzianek.

– Oczywiście.

– Jeszcze jedno...

– Tak?

– Po śniadaniu proszę przyjść do gabinetu mojego męża. Omówimy kilka ważnych spraw.

– A lekcje?

– Jutro nie będzie pani miała lekcji. Mąż wybiera się rano na wieś do kuzyna, więc zabierze dziewczynki ze sobą na kilka dni. Dobrze im zrobi trochę rozrywki po takich emocjach. Pani tym razem nie pojedzie. – Uprzedziła pytanie guwernantki.

– Jak sobie pani życzy – odparła cicho.

Gdy została sama, przekręciła klucz w zamku i podeszła do okna, by odetchnąć świeżym powietrzem. Miała niejasne przeczucie, że jutrzejsza rozmowa nie będzie miłą, jednak nie to ją najbardziej niepokoiło w tej chwili. Bała się. Choć ten fakt niezmiernie ją irytował, znów bała się zasnąć.

„Co się ze mną dzieje? – pomyślała zła na siebie. – Od tylu lat był spokój. Myślałam, że mam to już za sobą, a teraz znowu się zaczęło?”

Mimo że chłód nocy dokuczliwie ją przenikał, nie miała ochoty wracać do łóżka.

„To niedorzeczne! – zżymała się w duchu. – Gdybym choć zapamiętała dokładnie ten sen! Te obrazy są takie...”. – Przeszedł ją dreszcz.

Pod wpływem impulsu otworzyła pulpit sekretarzyka, sięgnęła po czysty papier i szybkimi ruchami naszkicowała kominek o wyraźnych klasycystycznych cechach. Jej dłoń ściskająca ołówek zdawała się ślizgać po kartce bez udziału woli. Gdy skończyła i spojrzała na rysunek, a zwłaszcza na absurdalnie wysokie płomienie buchające z paleniska, poczuła, że brak jej tchu.

Szybko schowała szkic do teczki, w której znajdowały się już dwa podobne rysunki, i zatrzasnęła pulpit. Dopiero w tym momencie zaczęła się uspokajać, jakby przeniesienie onirycznej wizji na papier uwolniło ją od dojmującego uczucia niepokoju.

„To tylko sny. Jestem po prostu zmęczona – tłumaczyła sobie w myślach, kładąc się na powrót do łóżka. – Niedługo wyjedziemy z dziewczynkami na wakacje, a wtedy odpocznę i wszystko wróci do normalności”.

Choć zwykle bez narzekania stawiała czoła przeciwnościom, wciąż miała nadzieję, że ten dziwny problem sam się rozwiąże. Nawet przed sobą nie chciała przyznać, że sny, które tak szybko ulatywały po przebudzeniu z jej pamięci, prowadziły ją do miejsca, o którym z wielu powodów wołała nie myśleć – do jej rodzinnego domu.

\* \* \*

– Przykro mi, panno Julio, ale to już postanowione. Dziewczynki zabawią jakiś czas na wsi u mojego kuzyna, a później wyjeżdżamy na całe lato do Ostendy. Jesienią nie zamierzam już brać nauczycieli do domu, to przeżytek. Panienki pójdą na pensję, jak wszystkie dobrze urodzone dziewczęta w ich wieku. Sama pani rozumie, że nasza umowa w tej sytuacji ulega rozwiązaniu.

– Oczywiście, ale dlaczego tak nagle? – spytała niemile zaskoczona.

– Nie nagle. Decyzję podjęłam już dawno.

– Czemu zatem nie zostałam o tym powiadomiona wcześniej?

– Oryginalne pytanie. Chyba zapomina pani o swojej pozycji w tym domu. Sprawy przyszłości córek konsultuję jedynie z moim mężem. Cóż pani do tego?

Dziewczyna zagryzła wargę. Jeszcze przed wejściem do gabinetu postanowiła, że cokolwiek się zdarzy, zachowa zimną krew.

Już kilka dni temu zauważyła wyraźną zmianę w zachowaniu pani domu, dlatego po ostatnim nocnym incydencie nabrała podejrzeń, że poranna rozmowa będzie trudna. Obiecała sobie, że nie pozwoli się sprowokować oziębłym tonem pracodawczyni, jednak nie spodziewała się aż tak złych nowin. Polecenie opuszczenia wychowanek z dnia na dzień spadło na nią jak grom z jasnego nieba.

W kontekście tej informacji stało się także jasne, dlaczego Skrzeczyńska zaplanowała rozmowę na dzień nieobecności dziewcząt. Uniknięcie płaczących protestów i scen pożegnania było najwyraźniej jednym z jej celów. Choć Julię ogarnął żal na myśl o zostawieniu uczennic, którymi zajmowała się od dwóch lat, nie chciała ich zasmucać. W głębi ducha rozumiała, że dla nich tak właśnie będzie lepiej. Nie zmniejszało to jednak jej poczucia krzywdy.

Gdy tak stała na środku gabinetu, wyprostowana jak struna, ponieważ nie poproszono jej nawet, by usiadła, poczuła się upokorzona i potraktowana niesprawiedliwie. Z trudem zapanowała nad drżeniem głosu.

– Źle mnie pani zrozumiała. Jestem po prostu zaskoczona – stwierdziła z pozornym spokojem. – Gdybym wiedziała o tym wcześniej, nieco inaczej pokierowałabym edukacją dziewcząt w ostatnich miesiącach. Szkolna dyscyplina wymaga odmiennych nawyków, a Natałka i Wicia to żywe, chłonne umysły, które szybko się nużą. Trzeba je wdrożyć do takiej nauki.

– Tym proszę się już nie kłopotać. Rozmawiałam z przełożoną pensji, nie będzie żadnych problemów. Moje panienki są zdolne, łatwo nadrobią to, czego pani nie zdołała dopilnować.

– Został jeszcze prawie miesiąc do wakacji. – Julia włożyła sporo wysiłku, by nie pokazać po sobie, jak mocno ta uwaga ją zabolowała. – Mogłabym przygotować dziewczęta do nowych obowiązków. Będą czuły się pewniej wśród koleżanek na pensji.

– Nie ma takiej potrzeby. Czerwiec tego roku jest zbyt piękny, by siedzieć w mieście.

Zdziwiona dziewczyna mimowolnie spojrzała za okno, gdzie wiatr pędził właśnie po niebie deszczowe chmury.

– Zdecydowałam, że wyjazd dobrze zrobi moim córkom. Nadto, czyż właśnie nie pani wciąż mówiła o potrzebie ruchu na świeżym powietrzu? Te spacerki, ślizgawki, to przecież pani pomysły. W końcu i ja uznałam takie podejście za słuszne.

– Mogłabym jednak pojechać z nimi na wieś i tam na miejscu dokończyć...

– Nie. – Kobieta przerwała jej obcesowo. – Już postanowiłam i zdania nie zmienię. Co się zaś tyczy pani sytuacji, sądzę, że nie ma powodów do narzekania. Mój mąż jest bardzo hojny. Postanowił, że wypłacimy pani wynagrodzenie aż do końca wakacji. Będzie pani mogła bez przeszkód pojechać gdzieś wypocząć. Sądzę, że jest to pani bardzo potrzebne.

Ponieważ dziewczyna milczała z nieodgadnionym wyrazem twarzy i wzrokiem wbitym w podłogę, pracodawczyni złagodziała ton.

– Panno Julio, proszę nie brać tego do siebie. Uważam, że pani również należy się odpoczynek od miasta. A jesienią na pewno znajdzie pani nową posadę.

– Jestem wdzięczna za troskę, jednak chciałabym mieć szansę pożegnać się z dziewczynkami.

– Może pani napisać do nich list. Na pewno go przekażę.

– List? To nie to samo, co rozmowa.

– Nie przedłużajmy tego. Przykro mi, ale muszę panią prosić, by jeszcze dziś opuściła pani mój dom. Służba już się zajęła pakowaniem kufrów.

W tym momencie Julia nie wytrzymała.

– Chciałabym jednak zrozumieć prawdziwe powody tego nagłego wydalenia.

– Och, zaraz tam wydalenia! Proszę nie dramatyzować. Dziewczęta po prostu wyrosły. Cóż w tym niezwykłego, że rezygnujemy z usług guwernantki?

– Czy zrobiłam coś, co państwa uraziło?

– Doprawdy, nie widzę potrzeby, by to dłużej roztrząsać.

– Proszę wybaczyć, ale w taki sposób zwykło się oddalać pannę służącą, a nie nauczycielkę swoich dzieci – rzuciła rozgorączkowaną.

Kobieta za biurkiem aż się nadęła.

– Najwyraźniej jest pani przewrażliwiona, co tylko potwierdza słuszność mojej decyzji. Skoro jednak pani nalega, proszę bardzo, będę szczerą. Muszę chronić córki.

– Chronić? – Zdumiała się. – Przed kim?

– Przed panią.

– Przede mną?

– W mojej ocenie stan pani nerwów wymaga jakiejś dłuższej kuracji lub chociażby wypoczynku. Ja naprawdę dobrze pani życzę, ale nie mogę narażać moich dzieci.

– Jak to: narażać?

– Czyż to nie oczywiste? Zasłabła pani na oczach moich dziewczynek, co samo w sobie jest niedopuszczalne. Następnie zaczęły się te krzyki po nocach. To okropne! Do tego brak u pani apetytu. Nie wiem, co doprowadziło panią do takiego stanu, ale nie sposób dłużej ignorować faktów. Jest pani blada i tak chuda, że wszystkie suknie źle na pani leżą. Cokolwiek panią dręczy, nie może się to odbijać na spokoju moich dziewcząt ani na dobrej opinii mojej rodziny. Ludzie zaczną mówić, że w naszym domu dzieje się coś niewłaściwego. Na to nie mogę pozwolić. Powinna pani stanowczo pójść do lekarza.

– Ależ mnie nic nie dolega – rzuciła Julia bez przekonania, ogłuszona argumentami.

– Czyżby? Odnoszę zupełnie inne wrażenie. Guwernantka musi być zdrowa, opanowana i zawsze uśmiechnięta, by nie zasmucać otoczenia. Nie życzę sobie, by moje panienki nie sypiały po nocach i zamartwiały się o panią. Wydaje mi się, że ta profesja okazała się zbyt trudna dla osoby z pani pochodzeniem. Zresztą najlepiej byłoby po prostu wyjść za mąż. Założę się, że wszystkie pani kłopoty natychmiast by się skończyły. Kobieta nie może iść przez życie bez oparcia. Ta dzisiejsza moda na samodzielność jest naprawdę śmieszna.

– Śmieszna?

– Naturalnie. I mówię to z życzliwością. Doceniam przecież wszystkie pani zalety, jednakże obecna sytuacja nie może dłużej trwać. Już nawet służba się zastanawia, czy jest pani chora, czy co gorsza... hmm... powiedzmy: nieszczęśliwa.

– Nie rozumiem.

– Podobno czytuje pani romanse, wzdycha po kątach, a to niedopuszczalne, panno Julio. – Skrzeczyńska ani na moment nie przerwała tyrady. – Proszę nie zaprzeczać, to bez znaczenia. Nie mogę pozwolić, by wzięto mój dom na języki. Zresztą jako matka muszę mieć pewność, że opieka, jaką zapewniam moim córkom, jest doskonała. Tymczasem już nawet mój mążonek był łaskaw zaniepokoić się pani zachowaniem.

Julia westchnęła ciężko. Zwykle nie poddawała się tak szybko, ale nagle poczuła się całkowicie wyczerpana. Straciła wszelką chęć do dalszej walki.

– Ma pani rację, pójdę dopilnować pakowania – stwierdziła cicho.

– O! Dobrze. – Podekscytowana własną przemową kobieta najwyraźniej nie spodziewała się tak szybkiej kapitulacji. – Cieszę się, że właściwie zrozumiała pani moje intencje. Każę przygotować powóz. Proszę. – Podsunęła plik banknotów na brzeg biurka.

– Wyjadę najszybciej, jak to będzie możliwe – odparła Julia ponuro, po czym ze ściśniętym sercem opuściła gabinet.

\* \* \*

Mimo że zbliżało się już południe, służąca najwyraźniej nie zdążyła jeszcze posprzątać sypialni dziewczynek. Na widok typowego porannego nieładu, jaki panował w pokoju, Julia uśmiechnęła się nieco smutno. Z dywanu odruchowo podniosła kilka porzuconych barwnych wstążek do włosów, na łóżku Wiktorii poprawiła kapę, zamknęła pozostawiony na klęczniku modlitewnik i wyprostowała wiszącą na ścianie przekrzywioną akwarelkę, którą Natalka namalowała ostatniej zimy. Gdy z kąta pod oknem zaskrzeczała do niej papużka, młoda kobieta westchnęła.

– Niestety, Salomonie. Od dziś nie będziesz nam towarzyszył przy wieczornym czytaniu polskich książek – szepnęła, dotykając prętów wysokiej klatki. – Nie sędzę, by ktokolwiek w tym domu zadbał o takie lektury dla dziewczynek. Ale postaraj się je troszkę rozweselić, kiedy wrócą, dobrze? Będą potrzebowały czyjś wsparcia.

Obejrzała się za siebie na zamknięte drzwi i przykucnęła obok dużego, ozdobnego domku dla lalek. Na szerokiej podstawie tej zabawkowej konstrukcji przycisnęła niewidoczną dźwigienkę i wysunęła ukrytą szufladkę. Ostrożnie manewrując, wyjęła stamtąd podniszczone wydanie poezji Adama Mickiewicza, a następnie zeszyt w skórzanej oprawie. Z czułością pogładziła okładkę pamiętnika Wiktorii. Nie otwierając go, wsunęła między kartki kopertę z listem. Chciała mieć pewność, że pismo nie zostanie „dla dobra dziewcząt” ocenzone przez ich matkę, dlatego uznała, że to najlepszy sposób na szczerze pożegnanie się z podopiecznymi.

Szybko zamaskowała ślady skrytki i opuściła sypialnię wychowanek, ukrywając za plecami książkę Mickiewicza. W swoim pokoju z szacunkiem włożyła ją na dno skórzanej torby, po którą chwilę później przysła służąca.

– Kufry są już w powozie, proszę pani. Jeszcze tylko ta torba.

– Dziękuję, Stefcu. Zaraz zejść.

– Proszę pani...

– Słucham.

– Nam wszystkim tak okropnie żal, że pani wyjeżdża.

– Dziękuję za dobre słowo, ale to zupełnie naturalne. Dziewczęta idą na pensję, a ja wracam do

domu, do ciotki.

– Prosiłam kucharkę, żeby nie wygadywała głupot na prawo i lewo, ale mnie nie słuchała. A pani taka dobra. Jeszcze raz dziękuję, że nie zdradziła mnie pani z tamtą powieścią. Wyrzuciliby mnie na bruk, gdyby odkryli, że to moja książka. I co ja bym wtedy zrobiła?

Julia uspokajającym gestem położyła dłoń na jej ramieniu.

– Nie martw się, Stefciu. Przecież sama cię prosiłam, żebyś ćwiczyła czytanie. W przyszłości rób to po prostu dyskretniej, bo napytasz sobie biedy. I poproś tego swojego studenta, by uważniej dobierał tytuły lektur dla ciebie.

– Dobrze, proszę pani. – Służąca oblała się rumieńcem.

– Masz listę polskich książek, którą ci dałam?

– Tak.

– Dobrze. A gdybyś potrzebowała nowej posady, przyjdź do mojej ciotki. Wiesz gdzie? U nas zawsze znajdziesz pomoc. Idź już.

Służąca pociągnęła nosem, dygnęła, złapała torbę i już jej nie było. Julia wyszła tuż za nią. Przed wielkim lustrem w przedpokoju włożyła kapelusz, sięgnęła po rękawiczki i ze zdziwieniem pomyślała, że jest już gotowa, by opuścić ten dom, który od dwóch lat traktowała jak swoje miejsce na ziemi. Na widok lokaja, czekającego usłużnie przy drzwiach, poczuła się jednak nieswojo. Nie miała ochoty odchodzić po kryjomu, jakby zrobiła coś złego. Przybrawszy buntowniczą minę, pomaszzerowała najpierw do kuchni, gdzie pożegnała się ze służbą – niewylewnie, ale szczerze – a później skierowała się do salonu.

„Skoro mnie wyrzucasz, pokażę ci, jak się odchodzi z godnością” – pomyślała.

Nim jednak zapukała, przystanęła zdziwiona. Przez uchylone drzwi dobiegły ją kobiece głosy, które najwyraźniej mówiły właśnie o niej.

– Obawiam się trochę, Olimpio, czy nie wywołam jakichś niestosownych plotek tym nagłym oddaleniem panny Julii. Uznałam, że dla dobra moich dzieci nie powinnam z tym zwlekać, ale nie chciałabym nikomu zaszkodzić.

– Bardzo dobrze zrobiłaś, moja droga. Nikt, kto zna twojego męża, nie będzie się w tym doszukiwał niczego zdrożnego.

– A cóż ma do tego mój mąż?

– Hmm... Sama dobrze wiesz, jak niestworzone historie wymyślają nasze znajome, kiedy się nudzą. Każdy wie, że twój mąż to porządny człowiek, jednak...

– Nie przerywaj. Mów.

– Mało to razy bywało, że nauczycielki romansowały z pracodawcami pod bokiem ich żon?

– Olimpio, to ohydne. Panna Julia pochodzi z bardzo dobrego domu i jestem przekonana, że nawet by jej do głowy nie przyszło tak niestosowne zachowanie.

– Och, moja droga, nie irytuj się. Przecież ja niczego nie zarzucam tej pannie. Choć, mówiąc między nami, zastanawialiśmy się ostatnio z panią Czernowską, jak sobie tak długo dawałaś z tym radę.

– Z czym?

– Z poprawnym ułożeniem waszych relacji. Sama pomyśl: niby zwykła guwernantka, a jednak z hrabiowskiej krwi. Niby bez majątku i tytułu, a jednak z dostępem do naszej sfery. To raczej niekomfortowa sytuacja. Powiedz szczerze, nie miałaś z nią żadnych trudności? Nie wynosiła się, nie zaniedbywała dziewczynek?

– Wręcz przeciwnie. Doskonale rozumiała swoją pozycję. Zresztą zarówno ja, jak i mój małżonek traktowaliśmy ją odpowiednio, więc nie miała na co narzekać. Jesteśmy ludźmi nowoczesnymi i stare konwenanse uważamy za przeżytek.

– O, naturalnie.

– Nie pojmuję twojej ironii, Olimpio.

– Ależ ja jestem po prostu szczerą! Przyznam, że gdybym miała córkę, zapewne rozważyłabym kandydaturę tej panny. To znaczy zrobiłabym to, zanim moja kuzynka napisała mi o jej rodzinie. W dzisiejszych czasach przecież tak trudno o prawdziwie wykształconą nauczycielkę.

– Właśnie. Pamiętasz gubernera od państwa Bzowskich?

– Tego, który tylko udawał, że zna francuski i przez rok uczył chłopców jakiegoś wymyślonego języka? Pamiętam. To dopiero była historia! No cóż, nie doszłoby do tego, gdyby pani Bzowska bardziej interesowała się edukacją swoich dzieci niż nowymi sukniami i kapeluszami.

– Albo gdyby lepiej знаła francuski.

Przez chwilę z salonu dobiegał złośliwy chichot obu pań. Julia pomyślała, że nie powinna tak stać za drzwiami, lecz nie umiała zdecydować, czy w tej sytuacji ma się cicho wycofać, czy raczej wejść do środka. Żadne z tych rozwiązań nie wydało się jej odpowiednie. Głos Skrzeczyńskiej szybko jednak odciągnął jej uwagę od niezręcznego położenia, w jakim się znalazła.

– Pojmujesz zatem, Olimpio, że panna Julia, zwłaszcza po poprzedniej nauczycielce, wydawała mi się idealną opiekunką dla moich dziewczątek. Zabiegałam o nią prawie miesiąc, bo była już po rozmowach z Rozwitowską.

– Naprawdę?

– Tak. Musiałam obiecać znacznie lepsze warunki finansowe, co po tym okropnym pożarze miasta nie było bez znaczenia. Jednak dopiero gdy poznała moje panienki, zgodziła się zrezygnować z tamtego miejsca.

– Rozwitowska zapewne nie była zadowolona.

– Oczywiście, że nie. – W głosie gospodyni zabrzmiała satysfakcja. – Stracić taką guwernantkę? Panna Julia skończyła przecież świetną pensję, zna biegle trzy języki, maluje i gra na fortepianie. Nie musiałam zatrudniać nikogo dodatkowego ani do śpiewu, ani do rysunków.

– To była prawdziwa oszczędność. Szkoda, że musisz się jej pozbyć.

– Trudno, liczy się przede wszystkim dobro moich dzieci.

– Naturalnie. Twój mąż chyba się na ciebie nie pogniewał za tę sytuację?

– Dlaczegoż miałby się gniewać? – spytała gospodyni urażonym tonem. – Skąd miałam wiedzieć, kim naprawdę byli Zarzewscy? Wszak Galicja jest tak daleko.

– Sama widzisz, jak trzeba być uważną w dzisiejszych czasach. Z drugiej strony, przesadziłaś nieco z tymi zaletami panny Julii. W końcu to wychowanica tej pisarki, skandalistki i rozwódki.

– Nie wyolbrzymiaj, Olimpio. Prywatne życie tej pani nie zmienia faktu, że jej podopieczne są najlepszymi w mieście guwernantkami. Od lat wszyscy je rozchwytyją.

– Owszem, jednak sama widzisz, że zarówno ciotka, jak i jej wychowanica mają swoją przeszłość. A krew nie woda, jak to się mówi. W gruncie rzeczy szkoda mi tej biednej panny. W końcu to nie jej wina, że ma skazę.

– Właśnie. Żałuję, że wcześniej o tym nie słyszałam.

– Nikt nie słyszał. Sprawa sięga przecież wielu lat wstecz. Na szczęście dla ciebie, moja droga, prawda wyszła na jaw w odpowiednim momencie. Moja kuzynka wyraźnie mi to napisała: panna Zarzewska to córka obłąkanej hrabianki oraz tyrana i rozpustnika, który wziął za żonę olbrzymi posag, a później uwięził biedaczkę w pałacowej wieży. To niezbyt dobra rekomendacja, nieprawdaż?

Julii aż zapało dech z oburzenia. Nie była w stanie się poruszyć, więc tylko zacisnęła lodowate dłonie na rękawiczkach.

– Wybacz, Olimpio, ale twoja kuzynka z pewnością przejaskrawiła temat. Młode wdowy mają zbyt wiele wolnego czasu, dlatego wymyślają różne niestworzone historie.

– Nie sądzę. Obłąd hrabianki to fakt. Trzymali dla niej w pałacu lekarza. Nadto, cóż w tym dziwnego? Sama dobrze wiesz, że w naszej sferze nie tak trudno o dziedziczną chorobę. Nasi przodkowie zbyt małą wagę przywiązywali do świeżej krwi w rodzinie.

– Olimpio!

– Chyba się nie gorszysz, moja droga? A co do Zarzewskiego, miał podobno jakąś magnetyczną siłę i zmuszał ludzi do posłuchu samym spojrzeniem. Posądzano go nawet o konszachty z siłami nieczystymi. Te wszystkie wypadki w pałacu muszą mieć jakieś drugie dno.

– To śmieszne.

– Naprawdę! Odbywały się tam na przykład seanse spirytystyczne. Wyobraź sobie, jakie

dzieciństwo miała ta biedna panna. Ojciec despota, szalona matka zamknięta w wieży, duchy w pałacu i cały korowód przodków, których wszyscy wspominają z niechęcią. Nawet służba bała się dla nich pracować.

– Skąd wiesz?

– Podobno w pałacu mieszkało zaledwie kilka osób, a reszta wolała oficyny pod murami parku. Wcale mnie to nie dziwi. Co więcej, gdy Zarzewski uciekł za granicę, nikt nie chciał kupić pałacu od nowego właściciela. Po tych wszystkich tragediach, które się tam wydarzyły, ludzie nawet boją się przechodzić w pobliżu. To jakaś klątwa.

– Co za nedorzeczości. Żyjemy w światłych czasach, dziś nikt nie wierzy w takie androny.

– Androny? A podejrzana śmierć tej nieszczęsnej hrabianki? Opowiadałam ci przecież.

– Nie ona jedna zginęła, spadając z narowistego konia.

– Owszem. Pomyśl jednak, czy przyzwoite kobiety jeżdżą samotnie konno w nocy?

– Oczywiście, że nie. Ale...

– Może ta biedaczka próbowała po prostu uciec ze swojego więzienia, a on ją ścigał? Podobno tylko dzięki niej miał pieniądze, więc musiał ją zatrzymać przy sobie choćby siłą.

– Olimpio, aż nie przystoi powtarzać takich pogłosek. To okropne!

– Okropne, ale prawdziwe. Prowadzono nawet jakieś dochodzenie.

– Skoro nic nie wykazało, to znaczy, że to po prostu wymysły.

– Moja kuzynka nigdy by...

– Wybacz, ale ona mieszka na głębokiej, ciemnej prowincji monarchii habsburskiej, a my w Królestwie Polskim. To jednak znaczna różnica. Oni tam wciąż żyją jak w średniowieczu. Co więcej, tamto nieszczęście wydarzyło się niemal dwadzieścia lat temu. Twoja kuzynka była wtedy dzieckiem. Cóż może pamiętać?

– Skoro mi nie wierzysz, dlaczego posłuchałaś mojej rady i pozbyłaś się guwernantki? Powiem ci. Boisz się, że ta biedna dziewczyna mogła odziedziczyć po przodkach złe skłonności.

– Bynajmniej. Zdecydowałam po prostu, że kierunek edukacji prowadzonej przez pannę Julię nie jest odpowiedni dla moich pańienek.

– A konkretnie co masz na myśli?

– Chociażby te wyprawy do sierocińca czy ukradkowe noszenie jedzenia dla żebraków pod kościół. Zabroniłam tego, gdy tylko córki mi o tym opowiedziały, ale szkoda została już wyrządzona.

– Nie powiesz mi chyba, że to nie był dziwaczny pomysł.

– Ekscentryczny, przyznaję. Ale wytłumaczyła mi, że chciała w ten sposób zaszczerpić w moich dziewczynkach chrześcijańskie miłosierdzie.

– Też coś! Dobrze urodzone pańienki nie muszą osobiście podcierać nosów jakimś znajdom, żeby być dobrymi chrześcijankami. Od zajmowania się nędzarzami są odpowiednie instytucje.

– Właśnie. Moje dziewczątka są zbyt wrażliwe na takie widoki. Sama zatem widzisz, że miałam ważne powody, by zrezygnować z usług panny Julii. Informacje od twojej kuzynki jedynie przeważały szalę.

– Skoro tak twierdzisz...

– Dla dobra moich pańienek muszę cię prosić, Olimpio, żebyś nie rozpowiadała nikomu o tym wszystkim. Ostatecznie nie wiemy, ile jest prawdy w tych wieściach. Zresztą panna Julia przez dwa lata mieszkała w moim domu. Nie życzę sobie zostać wciągniętą w jakiegokolwiek skandale.

– Och, naturalnie, moja droga! Będę milczeć ze względu na twoje dziewczątka. Chyba że ktoś inny zatrudni u siebie tę pannę. Wtedy sama rozumiesz, że sumienie nie pozwoli mi...

Julia miała już dość. Mocniej niż wypadało zapukała w nieodmknięte drzwi i, nie czekając na zaproszenie, weszła wreszcie do środka.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam w tym uroczym spotkaniu towarzyskim – powiedziała, z trudem hamując gniewny ton. – Ale nim wyjdę, chciałam prosić, by pożegnała pani ode mnie Natalkę i Wicię, skoro zabroniono mi to uczynić osobiście. Pani córki są wspaniałymi, wrażliwymi istotami, dlatego cieszę się, że mogłam je uczyć. Mam tylko nadzieję, że nikt nie zniweczy moich wysiłków,



zamieniając je w przyszłości w puste lalki, dla których najważniejszym zajęciem dnia będzie obrzucanie bliźnich oszczerstwami. Zwłaszcza gdy ci nie mogą się nawet bronić, jak na przykład moi zmarli rodzice.

– Panno Julio, cóż to za ton?!

– Życzę paniom miłego popołudnia przy kolejnej porcji ohydnych plotek. Żegnam.

Po jej wyjściu obie damy spojrzały na siebie zdumionym wzrokiem.

– Ależ impertynencka! Podśluchiwała nas!

– Nie wiem, co powiedzieć. Przepraszam cię, Olimpio.

– Moja droga, to najlepszy dowód, że pozbyłaś się tej dziewczyny w ostatniej chwili. Aż strach pomyśleć, że mogła mieć nadal wpływ na wychowanie twoich dziewcząt. A ty jej tak broniłaś!

– Nigdy nie zachowywała się w podobny sposób.

– Nie martw się, nikt się nie dowie o tej scenie. Przyznasz jednak, że to nieźrównoważona osoba.

– Już sama nie wiem.

– Choć powinno mi być jej żal, będę musiała zrobić to, co mi nakazuje sumienie. Ta panna nie znajdzie już zatrudnienia ani w naszym mieście, ani u żadnej znanej mi rodziny. To mogę ci solennie obiecać.

## ROZDZIAŁ III

Dom pogrążał się w wieczornym wyciszeniu. Zza okien coraz rzadziej dobiegał stukot przejeżdżających ulicą dorożek, a jazgotliwie kłócące się na pobliskim drzewie ptaki ucichły, podobnie jak radosny śmiech dzieci z sąsiedniej posesji, które wezwał na kolację głos matki.

Julia kończyła właśnie pomagać Włodziewej w kuchni. Niska, szczupła staruszka od lat dbała o ich kobiece gospodarstwo, ale z wiekiem coraz gorzej radziła sobie z wieloma obowiązkami. Zmywanie naczyń przy kłopotach z reumatyzmem rąk nie było czynnością prostą, dlatego zwykle wyręczała ją w tym któraś z przygarniętych do domu dziewcząt. Teraz, gdy niemal wszystkie podopieczne opuściły dom ciotki Barbary, Julia bez chwili wahania przejęła ich obowiązki.

Po niespodziewanym powrocie do domu odkryła ze zdumieniem, że Włodziewej przybyło pracy. Barbara odprawiła stałą pokojówkę, a w zamian zatrudniła do pomocy na kilka godzin dziennie młodziutką córkę piekarza. Dziewczynka poczytywała sobie za zaszczyt pracę u znanej pisarki, nie była jednak przyuczona do nowych zajęć. Wciąż trzeba było po niej poprawiać, na co Włodziowa bezustannie utyskiwała. Julia krępowała się zapytać ciotkę o powód tych zmian, za to służąca bez ogródek wszystko jej wytłumaczyła.

– A cóż w tym panienko dziwnego? Piniędzy na służbę nie ma i tyle – stwierdziła, uważnie przyglądając się z krzesła, czy Julia dobrze wyciera naczynia. – Wstyd to, żeby w szlacheckim domu nawet pokojówki brakowało, ale co robić. Dostawcom trza najpierw zapłacić i temu Kubie, co do cięższych robót przychodzi, i ogrodnikowi, i praczce. To skąd na to brać? A piekarnia prawie darmo jest, niby na naukach u mnie. Prawda, że chętna i bardzo robotna, ale na pracy w pańskim domu wcale się nie zna.

– Chwileczkę, jak to: nie ma pieniędzy?

– Ano nie ma. Przecie panienka wie, że w tamtej połodze prawie cały nasz dobytek poszedł z dymem. Teraz nawet sprzedać albo zastawić nie bardzo jest co, kiedy na rachunki brakuje.

– Co też Włodziowa mówi? Jak to: zastawić czy sprzedać? Przecież ja wysyłałam prawie całe honorarium, a Zosia też coś na korepetycjach zarabia. Poza tym ciocia ma dochody z majątku po rodzicach i pieniądze z książek.

– Panienko, mówię, jak jest. Najlepiej wiem, ile mi pani Barbara tygodniowo daje. I nie ze skąpstwa to, ino z biedy.

Julia zastygła z mokrym talerzem w ręku. Patrzyła na staruszkę z takim zdumieniem w piwnych oczach, że kobieta poczuła się w obowiązku rozwinać temat.

– Niech panienka lepiej uważa, co robi. Woda kapie na posadzkę – mruknęła niezadowolona. – Ja w cudze kieszenie nie zaglądam, ale swoje wiem. Ten mecenas, co sprawy majątkowe naszej pani prowadzi, jest wiecznie zmartwiony. Kiedyś nawet o jakichś wierzycielach gadali. Podśluchałam.

– O wierzycielach?

– Ano, na to nam przyszło. O, dawniej pani Barbara była prawdziwą dziedziczką! Od lat u niej służę, to wiem. U rodziców wyrosła w puchach, a potem w majątku męża, nim go na Sybir wysłali, też żyła jak królowa. A teraz? Wstyd mówić. Pan mecenas pomógł uratować, co się dało, ale każdy grosz kiedyś się skończy. Szczególnie jak się tyle gąb miało na utrzymaniu przez lata.

– Jakich znowu gąb?

– Panienka to dzisiaj jakaś niepojętna. O pannach respektowych pani Barbary mówię. Choć one szlachcianki, to wszystkie przyszły do nas biedne jak myszy kościelne. Panienka nie wiedziała?

– Nie.

– Tak było. Nasza pani dbała o nie, uczyła, karmiła, a często i posag niewielki dała, kiedy za męża szły. Prawie matką im była, a one teraz co? Czy któraś z nich o nas pamięta?

– Włodziowo! – Dziewczyna się obruszyła. – Oczywiście, że wszystkie pamiętają.

– A jakże. Na święta podarki przyślą, listy długie napiszą, nie mówię przecie, że nie.

– Właśnie.

– Ale co nam z listów? Pani Barbara się cieszy, że one szczęśliwe, ino czy od tego brzuch będzie pełniejszy? Ja o zwykłym dniu mówię. Przecie czasem brakuje nawet na naftę i na lekarstwa dla pani.

– Co takiego?

– Tak, tak. A kiedy już piniądz jakiś przyjdzie, to pani Barbara zawsze najpierw o biednych pomyśli, nie o sobie. Tu dołoży, tam wesprze i potem znowu kiesa jest pusta. Na dodatek w jakieś spółki powchodziła z takim jednym, co księgarnię chciał zakładać. Coś mi się zdaje, że te kłopoty to przez niego.

– Jaką księgarnię? Polską? Tutaj? Z kim?

– A mnie skąd wiedzieć? Polską czy nie, co za różnica? Zostały po nim ino długi i kłopoty. Urzędowe.

– Boże! Dlaczego ja nic o tym nie wiem?

– To już nie moja rzecz. Ja o dom mam baczenie. Póki panienka na służbie była i podsylała nam, co mogła, to nie martwiłam się o jutro – gderała stara kobieta, coraz bardziej zła na siebie za to, co mówi.

– Ale teraz naprawdę nie wiem, co będzie.

Niewinne marudzenie starej kobiety kłuło serce Julii jak sztyletem. Coraz bardziej zmartwiona wróciła do wycierania naczyń.

Choć domownikom pokazywała się z pogodną twarzą, kilka ostatnich dni spędziła głównie na rozpamiętywaniu tego, co spotkało ją u Skrzeczyńskiej. Z jakimś dziwnym uporem rozdrapywała rany, jakby chciała się ukarać za to, że zamiast bronić swojej rodziny przed oszczerstwami, po prostu uciekła z tamtego domu – oburzona, rozżalona, ale także przestraszona tym, co usłyszała.

Nagle runął uporządkowany świat, o który walczyła tak długo. Wystarczyło kilka okrutnych zdań, by zniszczyć cały jej życiowy spokój.

Rozsądek podpowiadał, by zignorować głupie plotki rozsiewane przez jakąś „kuzynkę z Galicji”, jednak dziwny lęk oraz wyrzuty sumienia nie dawały jej spokoju.

Przez ostatnich kilka lat każdego wieczora kładła się spać w skromnym pokoju, obok sypialni swoich wychowanek, ze świadomością, że wie, kim jest i jak będzie wyglądała reszta jej życia. Dzięki pomocy ciotki Barbary i własnej ciężkiej pracy zdobyła pozycję dobrej nauczycielki i była dumna z tego, co osiągnęła. Nagle okazało się, że jej wysiłki nie zasługują na żaden szacunek, bo widmo niejasnej przeszłości uczyniło z niej kogoś wysoce podejrzanego i niepożądanego w towarzystwie: córkę chorej psychicznie kobiety oraz domowego tyrana i dręczyciela.

To, co usłyszała, stojąc pod drzwiami salonu, było jak uderzenie w twarz. Obce osoby rozmawiały o jej rodzinie, wygadując takie bzdury, że aż zakręciło się jej w głowie. W pierwszym odruchu chciała wejść do środka i przerwać ten potok kłamstw, nim jednak zrobiła krok, zdjął ją strach – dziwny lęk chwytający za gardło, który wtlaczał z powrotem każde słowo. Ponieważ nie miała czasu na analizę swoich emocji, roztrzęsiona rzuciła z trudem kilka zdań i czym prędzej uciekła.

Zanim wsiadła do powozu, przez chwilę stała oszołomiona na chodniku przed kamienicą, pozwalając, by wiatr szarpał jej suknię. Czuła się bezradna, dokładnie jak wtedy, gdy podczas pożaru miasta spłonął dawny dom jej ciotki – jedyne miejsce, w którym ją naprawdę kochano i które wiązało się z miłymi wspomnieniami.

Gdy stangret ruszył, by zawieźć ją z bagażami na drugi koniec miasta, po raz pierwszy od lat rozplakała się. Uświadomiła sobie, że w jej sercu rodzą się uczucia, których sobie nie życzyła: z jednej strony oburzenie, uraza i chęć odplacenia plotkarkom pięknym za nadobne, z drugiej jakiś dziwny niepokój, który przyspieszał bicie serca i dławił w gardle.

„Boże! Jak można mówić takie niedorzeczności o kimś, kogo się nie zna? – żaliła się w duchu, szukając pospiesznie chusteczki. – Tak po prostu zniszczyć czyjaś opinię kilkoma zdaniem?! Okrutnik? Wariatka? Jakie to podłe! Podłe! Jak one śmiały tak mówić o moich rodzicach?! To same kłamstwa! Każde ich słowo!... Na pewno same kłamstwa”.

Dopiero w domu ciotki zrozumiała, że dławiły ją nie tylko oburzenie i żal, lecz także poczucie

winy. Choć bardzo chciała, coś powstrzymało ją przed stanowczą obroną rodziców, których prawie nie pamiętała. Sam fakt, że ktoś mówił o nich jak o osobach z krwi i kości, budził jej zdziwienie. Dla niej matka i ojciec przypominali postaci z kart historii – mieli swoje imiona i twarze na fotografiach, ale byli nierealni, jakby pozbawieni fizyczności. Nie potrafiła sobie przypomnieć ich dotyku, zapachu czy choćby tembru głosu, ale nigdy wcześniej jej to nie przeszkadzało.

Dopiero po śmierci ojca Julia spytała ciotkę o rodziców. Miała wtedy sześć lat. Na wieść o pogrzebie, który na życzenie ojca odbył się na miejscu – w dalekim Egipcie – nie uroniła nawet jednej łzy. Nikogo to wtedy nie zdziwiło. Włodziowa wyznała jej kiedyś przez przypadek, że: „, Panienska jak już ozdrowiała z gorączki, okazała się dziwnym dzieckiem, jak z innego świata. Ani się nie śmiała, ani nie płakała, robiła wszystko, co jej kazano, bez słowa. Tylko na odgłos dzwonka u drzwi zawsze się panienska trzęsa jak osika, aż ktoś nie przytulił i nie uspokoił panienki”. Gdy Julia z pewną obojętnością oglądała przesłane przez urzędnika osobiste rzeczy ojca, spytała nagle, czy rodzice oddali ją ciotce, bo jej nie kochali. Zaskoczona Barbara stanowczo wtedy zaprzeczyła:

– Dziecko, co ty opowiadasz? Twój ojciec bardzo się o ciebie troszczył. I kochał cię.

– Więc dlaczego, proszę cioci, zostawił mnie tutaj? Nie pisał, nie odwiedzał mnie.

– To nie tak, Juleńko. On musiał pilnie wyjechać za granicę. Nie mógł cię zabrać ze sobą.

– Bo się rozchorowałam?

– Nie tylko. Ale o tym porozmawiamy, gdy dorośniesz, dobrze?

– A dlaczego nie mogę mieszkać w pałacu z *maman*?

– Jak to...? O czym ty mówisz, dziecko?

– Byłam przecież zawsze grzeczna i nie przeszkadzałam. Czy *maman* też mnie nie chce?

– Ależ Juleczko... przecież... Kochanie, twoja matka miała wypadek ponad rok temu. Spadła z konia i zmarła jeszcze przed twoim wyjazdem z pałacu. Nie pamiętasz?

Dziewczynka, indagowana przez ciotkę, a później przez wezwanego lekarza, zacięła się w sobie. Do tej pory sądziła, że dziwne odrętwienie i pustka w głowie, które odczuwała od czasu przebudzenia się z gorączki w domu nieznannej krewnej, były czymś normalnym. Dopiero z reakcji dorosłych wywnioskowała, że brak wspomnień dotyczących ostatnich tygodni życia w pałacu to coś złego. Gdy jednak na prośbę lekarza i ciotki próbowała przebić się przez tę mgłę w pamięci, ogarnął ją tak paniczny lęk, że rozmowa skończyła się nagłym atakiem dreszczy, gorączką i wymiotami.

Od tamtego dnia Barbara już nigdy nie zadawała jej niewygodnych pytań, a Julia w końcu polubiła swoje nowe życie pod opieką dalekiej krewnej, która przyjęła ją do siebie jako pięcioletnią dziewczynkę. Była wdzięczna ciotce, że nie zmuszała jej do żadnych wyznań. Szybko zrozumiała, że za drzwiami, które jej pamięć zamknęła na klucz, czaił się tylko niezrozumiały, obezwładniający strach. Dopiero gdy ostatecznie zrezygnowała z dobijania się do uwieczonych tam wspomnień, poczuła się wreszcie spokojna, bezpieczna i znów zaczęła się uśmiechać.

Z brakiem przeszłości szybko nauczyła się dawać sobie radę. Szczególnie w rozmowach z koleżankami na pensji była niezmiernie kreatywna. Dzięki bogatej wyobraźni potrafiła wymyślić swoje dzieciństwo na nowo, co pozwoliło jej z podniesioną głową stanąć do rywalizacji z dziewczynkami, które wciąż się chwaliły rodzinnym szczęściem, kpiąc z jej sieroctwa.

Julia potrafiła wykorzystać każdą zasłyszaną przez przypadek od ciotki lub Włodziowej informację czy strzępki własnych wspomnień, ubarwiając je i zmieniając do tego stopnia, że z czasem sama straciła rachubę, co było fikcją, a co rzeczywistością. Nie krępowała się przy tym, konfabulując do woli, byleby przyciągnąć uwagę koleżanek i dostrzec zazdrość w ich oczach. W ten sposób jej pałac stał się niemal warownym zamkiem, matka – piękną księżną, ojciec – dobrotliwym władcą rozległych ziem, a ona sama żyła otoczona wielką miłością rodziców i troską wiernej służby, wśród wszelkich wygod, w cudownej krainie mlekiem i miodem płynącej.

Dopiero gdy wraz z inną dziewczynką zaczęły na wyścigi przechwalać się szalonymi przygodami, które rzekomo przeżyły, śledząc podejrzane postaci czy nieuchwytnie duchy oraz własnoręcznie przyczyniając się do ukarania krwiożerczych złoczyńców, zainteresowała pilną jej nauczycielką i barwne opowieści skończyły się raz na zawsze. Poinformowana o wszystkim przełożona

pensji wezwała Barbarę na rozmowę, po czym obie stanowczo, acz spokojnie, wymogły na Julii obietnicę, że nigdy więcej nie będzie już nikogo straszyla podobnymi historyjkami. Chcąc zadowolić opiekunki, dziewczynka nie tylko dotrzymała słowa, ale w swej dziecięcej rozwadze uznała, że skoro dobrze wychowanej panience nie wolno kłamać ani zmyślać, to lepiej będzie po prostu milczeć na temat swojego dzieciństwa.

Jedyny jasny i wyraźny punkt dziurawych wspomnień stanowiła twarz nieodżałowanej niani Balbiny – troskliwej, cieplej i kochającej. Jednak ten obraz Julia zazdrośnie wolała zatrzymać wyłącznie dla siebie.

Incydent ze Skrzeczyńską uświadomił jej jednak, że przed laty popełniła błąd, godząc się na swoją ułomność. Gdyby w odpowiednim momencie szczerze porozmawiała z ciotką, zamiast unikać tematu rodziców jak ognia, mogłaby śmiało przeciwstawić się oszczerstwom. Będąc kobietą, nie mogła wyzwąć nikogo na pojedynek w obronie dobrego imienia Zarzewskich. Jedyną bronią, jaką mogłaby walczyć, była wiedza o tym, co naprawdę wydarzyło się w pałacu, zanim opuściła go wraz z ojcem. Niestety, sama pozbawiła się dostępu do tej wiedzy.

Z tych powodów zgnębiona Julia uznała, że wyłącznie z jej winy pamięć rodziców i dobre imię ciotki w ohydny sposób obrzucono błotem. Utrata pracy, której oddawała się całym sercem, zraniła jej dumę, lecz najgorszy okazał się powód tego zwolnienia. Nie miała zatem śmiałości wyznać ciotce prawdy.

Barbara z radością powitała ją w domu i wydawało się, że bez zastrzeżeń uwierzyła w historyjkę o dawno zaplanowanym odejściu Julii z posady. Mimo to dziewczyna od wielu dni miotała się między chęcią szczerzej rozmowy z ciotką a koniecznością zatajenia przed nią prawdziwej przyczyny swoich trosk. Nie wyobrażała sobie, jak miałyby spytać Barbarę, czy w salonie Skrzeczyńskiej padło choć jedno słowo prawdy o jej rodzicach. Najchętniej zapomniałaby o tym fatalnym zajściu, lecz obrzydliwe ziarno plotki, zasiane w jej umyśle, zaczęło powoli kiełkować.

Wszelkie rozterki pokrywała jednak wymuszonym uśmiechem, nie chcąc dodatkowo martwić Barbary, do której bardzo się przywiązała.

Nie była naiwna. Zdawała sobie sprawę, że o jej wydaleniu będą wkrótce plotkować we wszystkich „dobrych domach” w okolicy, dlatego martwiła się coraz bardziej. Obawiała się eskalacji kłamstw na temat swojej rodziny i czuła, że poważnie zawiodła ciotkę, sprowadzając na nią nieprzyjemności. Jednak dopiero po wysłuchaniu relacji Włodziowej zrozumiała, jak wielowymiarowy był to zawód.

„Biedna ciocia! Ma tyle problemów, a nie zdradziła się przede mną nawet słowem. Tymczasem ja tylko przysparzam jej zmartwień i kosztów – pomyślała rozgoryczona, odkładając na stosik ostatni wytarty do sucha talerz. – Co mam teraz zrobić?”

– Zośka wyjedzie, ale czy to dobrze? – mówiła dalej staruszka zupełnie nieświadoma emocjonalnej burzy, która szalała w duszy Julii. – Ona przy naszej pani była pomocna, listy załatwiała, sprawy różne. Przydawała się. Pani Barbara lubiła mieć ją przy sobie, więc po co ten wyjazd? Z posady Zoścyniej u jaśnie państwa Gwidowskich nic nam w kiesie nie przybędzie.

Julia westchnęła.

– Włodziowo, tak nie można. Dla Zosi to bardzo ważne. Jest taka dumna, że dostanie pod opiekę swoją pierwszą wychowanąkę.

– A czy ja coś mówię? Przecie to dobra dziewczyna, ino młódka. Jej w głowie jeszcze wiosenne kwiatki rosną. To, co zarobi, zaraz pewnie wyda na nową sukienkę albo trzewiki. Nam nic nie przyśle. Zresztą może i dobrze? – zmitygowała się, widząc zachmurzoną minę dziewczyny. – W końcu czas jej zacząć normalne życie. Niech się ta bidota trochę lepiej ubierze i na posag sobie coś odłoży. Może ją tam kto weźmie i będzie szczęśliwa? Przecie u niej w rodzinie jeszcze trzy siostry młodsze, to też by się przydało, żeby im pomogła.

– Teraz Włodziowa słusznie mówi.

– A bo już ze zmartwienia nie wiem, co gadam! Dla nas lepiej by było, jakby to panienka tę

posadę dostała, nie Zośka, ale trudno. Nawet mnie zdziwiło, że ją właśnie wybrali dla swojej córki, a nie Julcię.

Młoda kobieta nic nie odrzekła. Wytarła ręce w ściereczkę i zamyślona usiadła z drugiej strony drewnianego stołu.

– No, niech się Julcia nie gniewa, że ja tak prosto z mostu – burknęła Włodziowa. – Panienska jeszcze młoda, ale komu mam o tym rzec, jak nie panience? Przecie pani Barbarze poza Julcią ino bratanek się ostał, ale on z matką do Anglików wyjechał. Nic nam z niego. No, bywa u nas jeszcze daleki kuzyn pani, któren ma tu córeczkę na pensji, ale...

– Słucham? – Ocknęła się z zamyślenia. – Nie, bardzo dobrze Włodziowa zrobiła. Na przyszłość proszę mi wszystko mówić, co się tyczy cioci. Nie miałam pojęcia, że sytuacja jest taka trudna. Czy jest coś jeszcze, czego mi ciocia nie powiedziała?

– Noo...

– Niech Włodziowa niczego nie ukrywa.

– Skoro tak, to już powiem. Doktor mówił, że ten kaszel pani Barbary wcale mu się nie podoba. Kazał lepiej jeść, odpoczywać i wysypiać się. I mówił, że miasto jej nie służy. Że na jaką kurację do wód powinna pojechać, odpocząć.

– Skąd Włodziowa wie?

– Wszystko podsłuchałam. Pani ino się śmiała, że jej nie w głowie wakacje, bo pracować musi. Wydawca już kilka razy się o tę nową książkę dowiadywał, a ona pisze całymi nocami i przez to taka zmęczona jest, sama panienska widziała. Koniecznie trza by coś zrobić.

Julia pokiwała głową.

Wreszcie dowiedziała się, o co chodzi, bo sama już wcześniej wyczuła, że nie wszystko w tym domu toczy się dawnym torem.

Uśmiechnęła się uspokajająco do starej kobiety.

– Niech się Włodziowa nie kłopotuje. Skoro już jestem, wszystkim się zajmę – odparła, energicznie podnosząc się z krzesła i zdejmując fartuch. – Jeszcze nie wiem co, ale coś wymyślę.

– Ale pani Barbara nie będzie zadowolona, że tak język rozpuściłam o jej sprawach.

– Spokojnie, ciocia o niczym się nie dowie.

– A nie gniewa się panienska na mnie, co? – Służąca mimo swego wieku zerwała się jak podłotek i złapała ją za rękę. – Wiem, że Julcia sama potrzebuje odpoczynku, ale ktoś musi pomóc naszej pani.

– Przecież mnie nic nie jest. Najważniejsze to zdobyć pieniądze dla cioci, żeby mogła pojechać na wypoczynek. Pomyślę nad tym. Dobranoc Włodziowej.

– Dobranoc panience, dobranoc. Ha, więc nic ci nie jest, dziecino, co? – mruknęła z przekąsem, gdy dziewczyna wyszła z kuchni. – Kto nie ma trosk, ten śpi spokojnie. Nie krzyczy w kółko po nocach. Ech! Zupełnie jak przed laty. Co teraz będzie?

\* \* \*

Mimo że wytarty chodnik częściowo tłumiał kroki, podłoga na korytarzu nieprzyjemnie skrzypiała pod stopami Julii. Budynek był już stary i miał swoje wiekowe ułomności: nieszczęsne okna, urywające się klamki, wypaczone podłogi, brudne sufity, a także plagę kołatków zjadających go niepostrzeżenie, acz systematycznie.

Dopiero tego wieczora dostrzegła, że mieszkanie ciotki stanowczo wymaga odnowienia. Wiązałoby się to jednak ze sporymi kosztami, więc domyśliła się, z jakiego powodu właściciele tej posesji woleli, by ich dom dzień po dniu popadał w ruinę.

„Kiedy tylko zarobię więcej pieniędzy, namówię ciocię na zmianę mieszkania – postanowiła. – Zasluguje na coś lepszego, tu nie jest jej wygodnie”.

Przypomniała sobie niewesołe okoliczności, w jakich ciotka wynajęła to lokum dwa lata temu.

Gdy wielki pożar miasta zniszczył ich dom, Barbara nie miała wielkiego wyboru. Zamieszkała z wychowankami w pierwszym dostępnym miejscu, jakie udało się jej znaleźć. Mimo upływającego czasu nie wspominała jednak o wyprowadzce, choć stara parterowa willa z niewielkim ogródkiem i dość zniszczonymi meblami miała być jedynie chwilowym schronieniem. Wyglądało na to, że zaczęła się zadamawiać w tym niezbyt fortunnym miejscu – tuż obok ruchliwej ulicy, której hałasy często aż do późna przeszkadzały jej w tworzeniu.

Szczęśliwym trafem Julia dostała wtedy dobrą ofertę pracy i przeniosła się na ocalałe z pożaru peryferie miasta do państwa Skrzeczyńskich. Cieszyło ją, że dzięki godnemu honorarium mogła regularnie wspierać nadszarpnięty nieszczęściem budżet ciotki, nie przykładając jednak zbyt wielkiej wagi do wysokości swoich zarobków. Nie oczekiwała od losu niczego ponad to, by żyć spokojnie, pożytecznie i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. W odróżnieniu od pozostałych wychowanic ciotki Barbary – które trafiały z prowincji pod gościnne skrzydła pisarki, marząc głównie o dobrym zamążpójściu – ona czuła się spełniona w roli guwernantki. Dzięki pracy miała zapewniony wikt, dach nad głową, ciekawe zajęcie, odpowiednią pozycję społeczną i poczucie niezależności. To jej w zupełności wystarczało. Nie snuła dalekosiężnych planów i nie odkładała żadnych sum na przyszłość, bo po prostu o niej nie myślała, podobnie jak o swojej przeszłości. Żyła z dnia na dzień, ciesząc się każdą chwilą, którą mogła poświęcić swoim uczennicom.

Pieniądze jako takie nigdy nie miały dla niej większego znaczenia. Wychowano ją skromnie i w poczuciu, że o finanse nie należy się zbytnio troszczyć ani tym bardziej o nich rozmawiać. W jej sferze uchodziło to za oznakę złego gustu. Być może dlatego, gdy udało się jej czasem wyrwać od obowiązków i odwiedzić ciotkę, zupełnie nie zwracała uwagi na to, jak się naprawdę mają sprawy w tym domu. Dopiero Włodziowa uświadomiła jej smutną prawdę.

W pierwszej chwili poczuła zawód, że Barbara ukrywała przed nią swoje kłopoty. Chwilę później pomyślała, że ona także ma sekrety, choć te w obliczu opowieści Włodziowej wyraźnie straciły na znaczeniu. Konieczność rozwiązania problemów ciotki wysunęła się zdecydowanie na pierwsze miejsce.

Barbara była nie tylko opiekunką Julii, lecz także najbliższą na świecie osobą. Z otwartymi ramionami przyjęła do siebie osieroconą dziewczynkę, choć była zaledwie daleką krewną. Czułością i troską pisarka zdobyła powoli serce tego dziecka, które z czasem przywiązało się do niej jak do rodzonej ciotki.

Teraz – jako dwudziestoczterolatka – Julia zrozumiała, że ma na głowie więcej trosk, niż się jej zdawało. Starła się zignorować obawę, że to dopiero początek kłopotów, jednak nieprzyjemne zdarzenia ostatnich dni wytrąciły ją z równowagi.

Była skołowana i zła, bo nie umiała sobie poradzić z własnymi emocjami. Gdyby mogła działać, walczyć z czymś konkretnym, nie szczędziłaby wysiłku. Jednakże stawianie czoła tak nierealnym przeciwnikom, jak koszmary, złe przeczucia czy plotki, irytowało ją i męczyło. Nie wiedziała, jak ma się pozbyć ciężącego jej coraz bardziej niepokoju oraz narastającej ilości pytań o przeszłość, które od kilku dni same cisnęły się jej na usta.

Gdy rozmowa z Włodziową otworzyła jej oczy na kolejny problem, w pierwszej chwili poczuła przypływ energii. Znalazła wreszcie konkretny cel: musi wziąć się w garść i jak najszybciej znaleźć nową posadę, by zarobić dla Barbary pieniądze. Zdrowie i dobre samopoczucie ciotki stały się priorytetem, zajmując miejsce absurdalnych rozterek dotyczących własnego dzieciństwa.

Wyszła z kuchni dziarskim krokiem, by w swoim pokoju obmyślić konkretny plan działania. Przemierzając ciemny korytarz, z każdą chwilą coraz bardziej jednak zwalniała, nie tylko z powodu skrzypiącej nieprzyjemnie podłogi.

„Znaleźć posadę... Łatwo powiedzieć. Po tym, jak się zachowałam, Skrzeczyńska i baronowa mi nie odpuszczą. Trudno będzie w tych warunkach zdobyć zaufanie nowych uczennic i ich rodziców – westchnęła w duchu. – A jak ochronię ciocię przed obmową? Powinnam ją uprzedzić, ostrzec, że znów wezmą nas na języki. Będzie jej przykro, gdy się dowie od obcych. Gdybym tylko mogła z podniesionym

czołem bronić honoru mojej rodziny! Ale nie mogę. Musiałabym najpierw poznać prawdę. Mam zapytać ciocię? – Przystanęła zaszępiła. – A niech to!”

Ogarnęła ją pokusa, by wejść do gabinetu Barbary i tak po prostu o wszystkim jej opowiedzieć. Przez krótką chwilę stała pod drzwiami z uniesioną do pukania dłonią, w końcu jednak się wycofała. Nie dlatego, że wieczorne godziny pracy były dla jej ciotki świętością, której nikt nie naruszał. Zrobiła to, bo się przestraszyła.

„A jeśli są powody, żeby milczeć w tej sprawie? Dlaczego nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło w pałacu? – przemknęło jej przez głowę. – Jeżeli w opowieści baronowej było choć ziarno prawdy... Nie, nie! To wszystko kłamstwa! Nie będę wplątywać cioci w tę ohydą intrygę. Ona ma dość własnych zmartwień – zdecydowała. – Im później się dowie, tym lepiej dla jej zdrowia. Sama poradzę sobie z tym ambarasem. Tylko co ja mogę zrobić?”

Mimo że odsuwała tę myśl od siebie, doskonale wiedziała, że istnieją zaledwie dwa sposoby wyjaśnienia dręczących ją wątpliwości: albo zapyta o przeszłość jedną osobę, która może coś wiedzieć, czyli ciotkę, albo poprosi o pomoc lekarza i zmierzy się wreszcie z tą dziwną blokadą, która spowijała jej pamięć mrokiem. Nie czuła się gotowa podążyć żadną z tych ścieżek.

By się uspokoić, skupiła się znów na podstawowym zadaniu.

„Najważniejsza sprawa, to znaleźć nową posadę. Przecież nie wszyscy słuchają głupiego gadania. Wiem! Odwiedzę jutro przełożoną mojej dawnej pensji. Może znajdzie dla mnie miejsce chociażby damy klasowej? – rozważała, oddalając się na palcach spod gabinetu. – Szkoda tylko, że Zosia musi wyjechać właśnie teraz. Ona jedna wie, jak ciocię rozweselić. O właśnie, Zosia!”

Przypomniała sobie, że obiecała zajrzeć do młodszej koleżanki. Zapukała cicho do drzwi jej pokoiku.

– Nie przeszkadzam?

– Julcia, wejdz, wejdz! Zobacz, co tu się dzieje. Zupełnie nie daję sobie rady. – Na jej widok dziewczyna o poczciwej rumianej twarzy usiadła zniechęcona obok otwartego kufra. – Możesz mi pomóc?

W rękach trzymała jakiś fatalaszek, a cały jej skromny pokoik zasłany był drobiazgami przygotowanymi do zapakowania. Julia z uśmiechem zakrzętała się wśród tego bałaganu, uradowana, że może czymś zająć ręce i przez chwilę nie myśleć o swoich sprawach. Gdy obwiązywała sznurkiem kilka książek wybranych przez Zosię, usłyszała ciężkie westchnienie.

– Ja się do tego nie nadaję. Chyba zrezygnuję.

– Z wyjazdu?

– Tak. Zupełnie nie mam ochoty brać tego miejsca u państwa Gwidowskich.

– Dlaczego? To świetna propozycja.

– Ty powinnaś z nimi jechać. Cóż ja? Nie mam żadnego doświadczenia, nawet nie chodziłam na pensję. Umieję tylko to, czego nauczyła mnie pani Basia.

– Daj spokój. Ciocia dała ci lepsze wykształcenie niż niejedna pensja. Czyżbyś w to wątpiła?

– Skąd! Tylko że jeśli muszę dokądś wyjechać, to najbardziej na świecie chciałabym wrócić do mojej rodziny – tłumaczyła dziewczyna ze spuszczoną głową. – Boję się podróży w nieznaną. Ech! Jestem beznadziejna.

Julia przysiadła się do niej i objęła ją ramieniem.

– Nie mów tak. Rozumiem, że tęsknisz za bliskimi, ale pomyśl, że dzięki temu będziesz mogła ich wspierać.

– Tylko dlatego jeszcze nie panikuję. Ale przerażają mnie nowe obowiązki.

– Nie martw się, że wszystkim sobie poradzisz. U państwa Gwidowskich będzie ci bardzo dobrze. Mają piękny dom, służbę i wielki ogród, a na wakacje pojedziecie gdzieś na wieś. Ciocia specjalnie zasięgała o nich opinii u pana mecenas, żeby nie spotkało cię tam nic przykrego.

– Ale to miejsce należy się tobie.

Po twarzy Julii przebiegł cień, który jednak szybko zniknął.

– Nie bądź głuptasem – odparła ciepło. – Zdecydowali się na ciebie i wcale mnie to nie dziwi.



– Nie?

– Oczywiście. Ich córeczka jest jeszcze bardzo mała i potrzebuje raczej bony i towarzyski zabaw niż nauczycielki. Ja wolę pracować ze starszymi dziewczętami, za to ty będziesz świetna w tej roli. Zobaczysz!

Miała własne przemyślenia na temat powodów, dla których nie jej, lecz Zosi zaproponowano tę posadę. Chciała jednak, by dziewczyna uwierzyła, że to z uwagi na jej własne zalety państwo Gwidowscy w ostatniej chwili przed wyjazdem na wakacje zdecydowali się zatrudnić właśnie Zosię, a nie starszą i doświadczoną guwernantkę, choć trafiała im się taka okazja.

– Naprawdę się nie gniewasz?

– Na ciebie? Za co, dzieciaku? Przestań sobie zawracać głowę bzdurami. Cieszę się, że spędzę trochę czasu z ciocią, stęskniłam się za nią.

Zosia poweselała i szybko dokończyła pakowanie.

– Jestem gotowa. Ale ciągle się boję. – Zaśmiała się nerwowo. – Masz dla mnie jakieś rady?

– Owszem, po prostu bądź sobą. Wszyscy cię tam pokochają.

– Pytam poważnie.

Julia przyglądała się przez chwilę chudziutkiej dziewczynie, którą pięć lat temu rodzice wysłali na edukację „do jaśnie pani Barbary” słynącej w okolicy z tego, że z dobrego serca i za darmo przygarniała do siebie zubożałe szlacheckie panny, nie mające szans na zdobycie innego wykształcenia.

W odruchu siostrzanej czułości wzięła ją za rękę.

– A zatem ja ci poważnie odpowiem. Jestem przekonana, że doskonale poradzisz sobie z pierwszą wychowanką, a ona cię bardzo polubi. Tylko widzisz, są dwie sprawy... – Zawahała się.

– Tak?

– Jeśli ci się uda, postaraj się nie oddawać temu dziecku całego serca. Spróbuj pamiętać, że ona jest jednak cudzą siostrą, córką, wnuczką. – Zmarszczyła czoło, usiłując dobrać odpowiednie słowa.

– Nie rozumiem.

– Widzisz, Zosiu, jeśli nie chcesz kiedyś cierpieć po rozstaniu, nie powinnaś zapominać, że spełnisz tam jedynie rolę nauczycielki. Przepraszam, że to mówię, ale nawet jeśli będą cię traktowali poufale, nie przywiązuj się do nich za bardzo. Kiedyś... Kiedyś poproszą cię, żebyś odeszła, a wtedy zostanie ci w sercu pustka po tym dziecku, którego już więcej nie zobaczysz.

Umilkła. Przez chwilę obie siedziały w bezruchu, zadumane.

– Bardzo za nimi tęsknisz? Za swoimi uczennicami.

– Nie rozmawiajmy o tym. Aha, jeszcze jedno. Tylko się nie obraż.

– Mów, Julciu.

– Nigdy, ale to przenigdy nie dopuść do tego, by o tobie plotkowano. Jesteś szczerą, uczciwą osobą, ale nie każdy to właściwie oceni. Między ludźmi czasem rodzą się nieporozumienia, a dobra reputacja to w zasadzie wszystko, co mamy w życiu.

Zosia uniosła brwi ze zdziwienia, jednak nie skomentowała tej pełnej goryczy uwagi. Z pomocą Julii porządnie zamknęła podniszczony kufer i postawiła na nim pudło z książkami.

– Julciu?

– Tak?

– Chciałam cię jeszcze o coś zapytać, tylko się nie gniewaj.

– Słucham.

– Dlaczego nie chcesz przyjąć posagu od swojego pruskiego wuja? Mogłabyś wyjść za mąż i mieć własny dom, zamiast służyć u obcych. Gdyby mnie nadarzała się taka okazja!

Julia spojrzała na nią ostro, ale szybko nad sobą zapanowała.

– Niestety, nie wszyscy krewni są tak dobrzy jak w twojej rodzinie. Pan hrabia to egoista i łajdak. Przez niego straciliśmy z ojcem dom. Wolę do śmierci pracować u innych, niż cokolwiek mu zawdzięczać. Pójdę już do siebie, Zosiu. Dobrej nocy.

– Ojej! Przepraszam! – Zmieszana dziewczyna zastąpiła jej drogę. – Zawsze coś muszę palnąć, ale wierz mi, nie chciałam sprawić ci przykrości. Jeśli nie lubisz swojego wuja, mnie nic do tego. Po

prostu Włodziowa wspominała kiedyś, że mogłabyś być wielką panią, gdybyś tylko zechciała. A ja chyba jestem egoistyczna i próżna, bo pomyślałam dzisiaj, że ci zazdroszczę. Chciałabym mieć posag i nazwisko, bo może wtedy ktoś by mnie pokochał i nie musiałabym iść na służbę do obcych ludzi. Mogłabym wreszcie pomóc moim drogim rodzicom i siostram – trzepała bez zastanowienia. – I nie musielibyśmy żyć w rozdzielaniu.

Julii przyszło do głowy, że to raczej ona jest egoistką, nie Zosia. Gdyby tylko potrafiła się ukorzyć przed pruskim wujem, ciotka Barbara mogłaby dożyć starości w dostatku i bez żadnych trosk. Jednak na samą myśl o poddaniu się woli hrabiego, który w jej mniemaniu przyczynił się do rozdzielania jej z ojcem, w sercu czuła chłód.

– Jesteś bardzo dobrą osobą, Zosiu. Ale jeśli sądzisz, że majątek czy małżeństwo zapewniają szczęście, to się mylisz. Ja w to nie wierzę. W jednym masz rację: gdybym miała rodzeństwo, tak jak ty, zrobiłabym dla nich wszystko. Tylko dzieci są zdolne do szczerych uczuć.

– Nie wierzysz, że można znaleźć w życiu szczęście? Dlaczego?

– Czy ja wiem? Los bywa przewrotny. Spójrz choćby na moją ciocię. Była bogata, rodzice wybrali jej świetną partię i co z tego ma? Przeżyła rozczarowanie, skandal, rozwód. A pani Włodziowa? Tak młodo została wdową. Nawet pan mecenas, choć jest mężczyzną i sam mógł wybrać żonę, nie wygląda na szczęśliwego. A do tego jeszcze moje pracodawczynie... – Skrzywiła się na wspomnienie trzech arystokratek, u których mieszkała w ostatnich latach. – Ich małżeństwa to tylko układy oparte na intercyzach. Na zewnątrz uśmiechy, zachwyty, a w domu pustka wypełniona zaledwie oschłą uprzejmością. Jak można w takich warunkach wychować szczęśliwe dzieci? Sam majątek, nazwisko czy pozycja społeczna to zdecydowanie za mało. Dopóki ludzie nie będą mogli kierować się przede wszystkim uczuciami, dopóty szczęście rodzinne będzie czymś tak wyjątkowym jak tęcza na niebie. A może to po prostu mit? Może szczęście nie istnieje?

Nagle współczucie rysujące się na twarzy milczącej Zosi spieszyło ją.

– Czemu mi się tak przyglądasz? – spytała.

– Wybacz, jestem taka niedelikatna. Zapomniałam, że jesteś sierotą i niewiele zaznałaś rodzinnego ciepła. Nawet trudno mi sobie wyobrazić, ile smutnych chwil musiałaś przeżyć, a ja tu narzekam na rozdzielanie z bliskimi.

– Nie, to ja przepraszam, że nabijam ci głowę truizmami. Pójdę już. Musisz wypocząć przed podróżą.

– Dziękuję ci za pomoc.

– Dobranoc, Zosiu. Śpij spokojnie.

\* \* \*

Gdy Julia znalazła się we własnym pokoju, poczuła się nieco przytłoczona. Dokonała tego dnia kilku nieprzyjemnych odkryć, które tylko spotęgowały jej niepokój i rozdrażnienie z powodu trudnej sytuacji, w jakiej się znalazła.

Wieczorna cisza, zamiast podziałać na nią uspokajająco, wzmożyła natłok myśli. Zmęczona całym dniem najchętniej położyłaby się spać, ale po rozmowie z Zosią obawiała się, że znów przyśni jej się dom.

„Szczęściarz!” – westchnęła zazdrośnie na widok kota beztrósco drzemiącego na jej poduszce. Zarzuciwszy na ramiona wełnianą chustę, usiadła w fotelu przy otwartym oknie.

„Wszystko przez te nieszczęsne koszmary! Gdyby nie one, Skrzeczyńska nie dałaby wiary głupim pomówieniom i nic złego by się nie wydarzyło” – wyrzucała sobie w duchu, wbrew rozsądkowi czując się odpowiedzialna za nocne krzyki.

Przykra dolegliwość początkowo tylko ją męczyła, później irytowała, na koniec jednak okazała

się przyczyną poważnych kłopotów. Plotkarski list z prowincji zjawiał się w najmniej odpowiednim momencie, przypieczętowując jej los.

„Gdybym mogła sobie coś więcej przypomnieć! – rozmyślała, patrząc w rozgwieżdżone niebo. – Zosia ma tyle pięknych wspomnień z domu. A ja? Poza biedną, kochaną Busią tak niewiele obrazów zostało mi z dzieciństwa. Niech pomyślę... Pamiętam rzekę i wielki park, w którym się bawiłam. Pamiętam swój pokój, służbę... Ale nie umiem sobie przypomnieć, co się wydarzyło przed moją chorobą. Widzę tylko ciemność. Dlaczego? Nie byłam aż tak mała, żeby wszystko zapomnieć. Och, papo. Jak mogłeś mnie tak zostawić bez słowa wyjaśnienia?”

Wewnętrzny przymus skłonił ją do otwarcia teczki ze szkicami, którą schowała wcześniej w szufladzie biurka. Choć czuła, że z nerwów pocą się jej dłonie, zmusiła się do przejrzenia kilku pośpiesznie wykonanych rysunków.

„Jeszcze ten przeklęty kominek! – pomyślała gniewnie. – Dlaczego wciąż mi się śni?!”

## ROZDZIAŁ IV

Gdy Julia otworzyła oczy, zobaczyła tuż przed sobą wróbla siedzącego na parapecie. Ciekawski ptaszek przyglądał się jej przez chwilę, po czym ćwierknął i odleciał na pobliskie drzewo skąpane w porannym słońcu.

– Auć! – jęknęła, próbując unieść głowę. – Co ja tu robię?

Chwyliła się za niemiłosiernie ścierpięty kark, który zdrętwiał od niewygodnej pozycji na oparciu fotela.

– Ech, Włóczykiju, do czego to doszło? – rzuciła rozbawiona do czarnego kota, który właśnie przeciągał się leniwie na jej łóżku. – Ty śpisz w piernatach, a ja na fotelu? Dobrze, że ciocia tego nie widzi.

Nalała zimnej wody do miednicy i szybko doprowadziła się do porządku. Wymiętą sukienkę zmieniła na nową, a rozsypany kok splotła w zwykły dziewczęcy warkocz przewiązany wstążką. Dopiero gdy była gotowa do wyjścia, uświadomiła sobie, że tym razem spała spokojnie. Uśmiechnęła się z przekąsem.

„Proszę, proszę. Trochę niewygodny i od razu człowiek zdrowieje. Włodziowa miała rację, luksus niepotrzebnie miesza w głowie. Może powinnam sypiać na czymś twardym, jak prości ludzie? – pomyślała wesoło w drodze do kuchni. – Albo po prostu wziąć się do ciężkiej pracy. Zmęczenie wybiłoby mi z głowy głupie myśli. Jaki cudny dzień! Może niepotrzebnie się martwiłam? Wszystko się jakoś ułoży”.

Poranek był jeszcze bardzo wczesny, domownicy wciąż błogo drzemały w swoich pokojach. Zakrzętnęła się w pustej kuchni najciszej, jak umiała. Ponieważ wszystkie kobiety w tym domu nieodmiennie zaczynały dzień od szklanki słodkiej, mocnej herbaty, zajęła się nastawieniem samowaru, choć nie miała w tym wielkiej wprawy. Gdy do swojego królestwa wkroczyła Włodziowa, w samowarze bulgotała już woda.

– A cóż mi panienska w garach miesza, co?

– Nigdy bym się nie ośmieliła – przywitała ją Julia pogodnie. – Słońce mnie zbudziło, więc przyszedłam pomóc. I przyniosłam pieniądze, proszę, to wszystko, co mam. Tylko niech Włodziowa nie mówi cioci, dobrze?

– O! Bóg zapłać panience. Na jakiś czas wystarczy. Rzeźnik i mleczarz już od miesiąca wypatrują swoich rubli. – Staruszka skwapliwie wsunęła banknoty do kieszeni fartucha. – A teraz niech panienska w jadalni poczeka na śniadanie i do roboty mi się nie pcha. Nie dla białych rączek taka praca.

– Ależ Włodziowo!

– Rzekłam. Gdzie piekarnia? Bułeczki przyniosła?

– Elżuni jeszcze nie ma.

– Znowu się spóźnia. Zaraz powie, że ojcu pomagała, a dwóch srok za ogon łapać się nie da.

– Ja chętnie pomogę, kochana Włodziowo.

– Oho! Widzę, że humor dzisiaj u panienski lepszy. To dobrze. Ale niech mi się tu nie kręci. No już.

Widząc stanowczą minę gospodyni, dziewczyna przestała protestować. Do jadalni jednak nie dotarła, ponieważ zamknięte drzwi od gabinetu ciotki nagle podsunęły jej pewną myśl.

„Już wiem! Napiszę listy do moich dawnych koleżanek z pensji. Mam przecież kilka adresów. Może one znają jakąś rodzinę, która potrzebuje nauczycielki? To nawet lepiej, jeśli wyjadę. Gdy zejdem ludziom z oczu, wszystko się uspokoi”.

Chciała wyjąć z szuflady biurka papier listowy i koperty, gdy nagle jej wzrok padł na biblioteczkę. Przystanęła. Przez kilka sekund wpatrywała się w najwyższą półkę, na której bez zbytej dbałości o porządek upchnięto różne papiery i opasłe tomy dokumentów. Przeniknął ją dreszcz. Bez zastanowienia stanęła na podnóżku i zdjęła oprawiony w skórę gruby album, cały pokryty kurzem. Przetarłszy go brzegiem fartucha zarzuconego na domową suknię, usiadła na szezlongu. Zanim odważyła

się przewrócić pierwszą kartę, przez chwilę wsłuchiwała się w przyspieszone bicie swojego serca.

Tak dawno nie widziała tych fotografii, że już prawie zapomniała twarze swoich bliskich. Przez głowę przemknęła jej myśl, że powinna mieć z tego powodu wyrzuty sumienia, jednak nie dlatego była w tej chwili zdenerwowana. Czuła się tak, jakby miała ukradkiem zajrzeć przez okno do pokoju, który od lat pozostaje zamknięty na cztery spusty i do którego nie powinna się zbliżać dla własnego dobra. Wbrew temu odczuciu wzięła głęboki oddech i otworzyła album.

Z pierwszych stron patrzyła na nią młodziutka ciotka Barbara. Dwie czarno-białe fotografie przedstawiały pisarkę we wdzięcznych pozach, lecz z poważną miną: jedna – w balowej krynolinie z tiulu i tafty w towarzystwie rodziców oraz starszego brata; druga – w bogatym ślubnym stroju obok brodatego mężczyzny.

Wiedziała, kim był ten wysoki, nieco posepny człowiek. To mąż ciotki, którego nigdy nie poznała – właściciel sporego majątku ziemskiego, odebranego mu przez władze carskie po dramatycznych wydarzeniach pamiętnego roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego.

Z ciekawością przyjrzała się tej parze stojącej przed rozłożystym białym dworem otoczonym drzewami. Z miny panny młodej trudno było wyczytać jakkolwiek radość z wkroczenia na nową drogę życia.

Nie dziwiło jej to. Ciotce wymknęło się kiedyś wyznanie, że nikt nie zmuszał jej do małżeństwa, a na dodatek, zachęcona przez rodziców, sama dokonała wyboru odpowiedniego kandydata. Nie zaznała jednak szczęścia, a małżeństwo szybko się skończyło rozstaniem i olbrzymim skandalem. Barbara nie tylko odmówiła wyjazdu na Syberię ze skazanym mężem, lecz na dodatek zdecydowała się z nim rozwieść.

Gdy nastoletnia Julia, zaciekawiona miłosnymi perypetiami ciotki, zaczęła dopytywać o powody decyzji – tak dramatycznej dla reputacji młodej mężatki i początkującej pisarki – Barbara rzekła jedynie, że kobieta jest w stanie wyjść za mąż wbrew własnym uczuciom, ale nie może pozostać obojętna wobec nikczemności małżonka. Włodziowa także nie chciała nic wyjaśnić, tylko mruczała czasem pod nosem: gdyby nie był takim łajdakiem, to kto wie, jak by się to ułożyło.

„Biedna ciocia” – pomyślała Julia współczująco.

Z czułością pogładziła palcem drobną kobiecą postać w białej sukni, po czym przewróciła kartkę albumu.

Tym razem z fotografii patrzyły na nią zaciekawione oczy berbecia posadzonego na jakimś stoliku okrytym futrem. Zagryzła wargę. Właśnie to zdjęcie spodziewała się odnaleźć.

Dziecko, ubrane w białą szatkę i koronkową czapkę z falbanką, miało zapewne około dwóch lat. W rączkach ścisnęło zabawkę i z otwartą buzią wpatrywało się w niewidocznego fotografa. Po lewej stronie stolika, w centralnym miejscu kadru, siedziała wykwitnie ubrana kobieta o drobnej figurze ściśniętej gorsetem. Bujne jasne włosy ufrizowane w loki opadały jej na policzki, zasłaniając drobną bladą twarz. Na jej podołku spoczywał złożony wachlarz. Kobieta wydawała się nieobecna duchem, zamyślona. Patrzyła gdzieś w dal, przed siebie, nie zwracając uwagi ani na dziecko, ani na mężczyznę stojącego tuż za jej krzesłem. Natomiast wysoki, raczej szczupły, ciemnowłosy pan, władczo opierając jedną rękę na drobnym ramieniu żony, z dumą spoglądał wprost w aparat, który tak zaciekawiał siedzące obok nich dziecko. Była to dość typowa fotografia z czasów, gdy całe rodziny ustawiano w podobnych pozach na tle bliżej nieokreślonych wewnątrz ówczesnych dworów i pałaców – na pierwszy rzut oka nic niezwykłego.

Julia wpatrywała się w zdjęcie z rosnącym zalem. Poranny dobry nastrój prysł. Gdy do oczu napłynęły jej łzy, roztarła je pełnym irytacji gestem.

– A więc jednak miałam dobre odczucia – mruknęła gniewnie. – To ciocia się myliła. Niewiele dla was znaczyłam. Byłam tylko elementem ładnego tła. Śliczna rodzina na pokaz, zaledwie tyle.

Dziecko usadowione na podwyższeniu, nieco z tyłu, rzeczywiście wydawało się psuć kompozycję kadru, którego pierwszy plan zajmowała para eleganckich dorosłych: zamyślona dama z brylantową kolia na smukłej białej szyi oraz mężczyzna, którego postawa i mina wyraźnie mówiły: „Spójrzcie, to moja piękna żona”.

Żaden gest ani spojrzenie czy choćby postawa ciała nie zdradzały, że ta dwójka w ogóle zauważa obecność dziecka, wyraźnie odsuniętego na bok, tak by nogi stolika, na którym je posadzono, nie zawadzały o materiał wspaniałej sukni fantazyjnie udrapowanej u stóp kobiety.

„ To dla dziadka Eryka zrobiliście tę fotografię, prawda? Żeby sypnął pruskim złotem dla szczęśliwej rodziny. Nawet jeśli umieliście kochać, to kochaliście wyłącznie siebie nawzajem. Ja niewiele dla was znaczyłam – myślała rozgoryczona. – Tyle lat się obwiniałam, że zniknęliście z mojej pamięci, ale to wy zapomnieliście o mnie pierwsi. Miałam zabawki, ubrania, służbę, ale wciąż byłam na uboczu. Jak rekwizyt postawiony na stoliku. Dlaczego? Bo nie urodziłam się chłopcem? Częściej odwiedzałaś grób mojego braciszka niż pokój swojej córki. Gdybyś wiedziała, jak na ciebie czekałam każdego dnia!... Czy właśnie tam jechałaś w noc wypadku, *maman*? Znów na cmentarz do Olesia?”

\* \* \*

Barbara upiła łyk herbaty, syknęła i wytarła usta w serwetkę.

– Za gorąca? – spytała Włodziowa, która kładła jej właśnie na talerzyk świeżą bułkę posmarowaną masłem.

– Ależ skąd – skłamała, wsuwając za ucho pasmo kasztanowych włosów poprządkanych już nitkami siwizny. – Jak zwykle pyszna. Dziękuję, Włodziowo. Podałaś już naszym dziewczętom w jadalni?

– E, nie. Zośka jeszcze śpi, bidulka. Pewnie z nerwów nie mogła zasnąć całą noc. A Julcia gdzieś się pląta. Wstała bladym świtem, może wcale nie spała. Mówię pani, że coś niedobrego wyprawia się z tą dziewczyną. Za mąż by ją wydać, czy co?

Barbara się zamyśliła. Sama zauważyła, że Julia wróciła do domu nieswoja, dziwnie blada, wychudzona. Zapytana o powód złego nastroju dziewczyna sprytnie zmieniła temat. Początkowo Barbara miała nadzieję, że to chwilowy problem, mijal jednak kolejny tydzień, a sytuacja się nie poprawiała.

Przypomniało się jej, że wiele lat temu już miała z nią podobny kłopot: gdy owdowiały krewniak Henryk Zarzewski odwiedził ją niespodziewanie przed wyjazdem za granicę i powierzył jej w opiekę chorą, gorączkującą córeczkę.

Sprowadziła wtedy do Julki najlepszego miejscowego lekarza, który dość szybko poradził sobie z ciężką infekcją i z gorączką. Nie umiał jednak nic zaradzić na osłabienie dziecka. Dziewczynka odzyskała przytomność, lecz z dnia na dzień nikła w oczach. Nie chciała jeść, nie miała siły wstać z łóżka i całe dnie spędzała, patrząc w okno. Wobec braku konkretnych przyczyn mądry doktor zasugerował na ostatek, że dziecko zapadło prawdopodobnie na „ chorobę duszy”. Stwierdził, że osierocona Julka widocznie bardzo przeżyła opuszczenie jej przez najbliższych i potrzebuje czasu oraz troski, aby wrócić do zdrowia. Jako remedium zalecał czułą domową opiekę i dużo spokoju, by ukoić nadwyrężone nerwy dziecka.

Miał rację. Po trzech miesiącach dziewczynka powoli odzyskała apetyt i wydobrzała na tyle, by zacząć edukację. Barbara uznała, że towarzystwo innych dzieci może przywrócić osowiałej Julce radość życia, lecz rozsądnie nie odesłała jej zbyt daleko. Wybrała najlepszą z okolicznych pensji, tak by każdą niedzielę dziewczynka mogła spędzać w domu ciotki, w otoczeniu nowej, przybranej rodziny.

Gdy wszystko zdawało się zmierzać już ku lepszemu, niespodziewanie nadeszła wiadomość o śmierci Henryka, który w swoich wojażach dotarł aż do Egiptu. Dopiero wtedy, po przeszło roku sprawowania opieki nad małą krewniaczką, Barbara zorientowała się, że Julka ma poważne luki w pamięci.

Doktor, którego natychmiast wezwała, przepytał je obie i stwierdził, że dziecko cierpi na

częściową amnezję, lecz nie umiał wyjaśnić powodów. Gdy starała się go podpytywać, bezradnie rozłożył ręce. Tłumaczył, że w zasadzie zacieranie się niektórych wspomnień z wczesnego dzieciństwa jest zjawiskiem zupełnie normalnym, jednak przypadek Julki nie do końca mieścił się w tej regule, zwłaszcza że stan fizyczny dziewczynki gwałtownie pogorszył się po badaniu.

Naciskany przez zdenerwowaną Barbarę lekarz wyznał niechętnie, że przyczyna może tkwić w dramatycznych wydarzeniach sprzed roku. „Utrata matki, niańki, domu, a teraz ojca w tak krótkim czasie to naprawdę zbyt wiele dla dziecka w jej wieku. Ale to minie. Trzeba o nią dbać, to wszystko” – uspokajał. I nawet jeśli domyślał się czegoś więcej, nie podzielił się z nikim swoją hipotezą. Zalecił jedynie, by nie naciskać dziewczynki i cierpliwie poczekać, aż wspomnienia same odżyją.

Otoczona troską wszystkich domowniczek Julka dość szybko wróciła do równowagi, lecz Barbara nie zapomniała jej rozpaczliwych krzyków, które jeszcze przez wiele nocy stawiały na nogi cały dom. Zachodziła w głowę, co mogło tak bardzo przestraszyć dziecko, że wciąż, po wielu miesiącach, wywoływało koszmary. Zgodnie z zaleceniem doktora nie pytała o nic, choć nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Przed wyjazdem Henryk zaledwie kilkoma oschłymi zdaniami skwitował swoje życiowe dramaty: nagła śmierć nieodżałowanej Adeli, długi, utrata majątku na rzecz szwagra i konieczność ucieczki za granicę – to właściwie wszystko, czego się wtedy dowiedziała.

Gdy zdumiewająco czule, jak na niego, żegnał się z majaczącą w gorączce córką, zrozumiała, że Henryk nie zamierza wracać. Nim opuścił jej dom, wymógł na niej przysięgę, że aż do pełnoletności będzie strzegła tego dziecka i nie pozwoli, by pruscy krewni jego zmarłej żony przejęli nad Julią opiekę.

„Najlepiej, by nikt nie wiedział, że ona jest u ciebie. Rozmawiałem z twoim bratem, będzie was wspierał i chronił. Wychowaj ją tak, by nasza wspólna przodkini Julianna była z niej dumna. Pamiętaj, ona jest krwią z naszej krwi” – powiedział na odchodnym. Złożywszy w depozyt u mecenasa sporą sumę pieniędzy, a także oficjalne dokumenty, według których w obliczu prawa męskim opiekunem dziecka na wypadek jego śmierci miał zostać brat Barbary, zniknął, by już nigdy nie pojawić się w życiu córki.

Dziwne zachowanie Julii w ostatnich dniach przypomniało Barbarze tamte trudne czasy.

„Jest wrażliwa, ale nie sądzę, by rozstanie z uczennicami aż tak rozstroiło jej nerwy – rozważała, puszczając mimo uszu narzekania starej służącej. – Zjawiała się w domu tak nagle. Czyżby wydarzyło się coś więcej?”

– ... a Kuba też zasnął i ani drow nie narąbał, ani wody nie przyniósł na czas. Co ja z nimi mam, to mówię pani Barbarze, skaranie boskie!

– Czy Włodziowa zaparzyła wczoraj Julii ziółek, jak kazałam? – trochę niecierpliwie przerwała zrzęczenie wiernej służącej.

– Pewnie. Zaraz po kolacji kazałam jej wypić, chociaż się krzywiła. Dzisiaj też naparzę. Ale czy to co da? Na mój rozum panienka ma jakieś duże zmartwienie. To znaczy... – Staruszka nagle mocno poczerwieniała. – Niech się pani Barbara nie przejmuje, pewnie jej niedługo przejdzie. Jak to u młodych, długo smutek nie gości. To ja polecę naszykować dziewczynkom śniadanie.

Zabrała tacę i drepcząc, wyszła czym prędzej z sypialni. Barbara w milczeniu piła herbatę. Miała przed sobą niełatwy dzień: należało odwieźć zdenerwowaną Zosię na dworzec, wysłać telegram do wydawcy o kolejnym opóźnieniu w pisaniu powieści, a na koniec porozmawiać z mecenasem o zadłużonej hipotece parceli, na której stał kiedyś jej spalony dom. Nie chciała sprzedawać tej ziemi, dopóki nie znajdzie się polski kupiec, a jednocześnie nie miała z czego spłacać długów.

Wieczorem natomiast planowała dokończyć list do Emila, który redagowała już od kilku dni, marnując kolejne kartki. Jego niezwykła propozycja tak ją zaskoczyła, że mimo upływającego czasu wciąż nie wiedziała, jak mu delikatnie odmówić. A powinna odmówić – tak podpowiadał jej rozsądek. Nie bacząc na bardzo odległe pokrewieństwo, Emil od czasu pożaru okazywał jej więcej troski i przyjaźni, niż mógłby to zrobić ktokolwiek z bliskiej rodziny. Czowała, że dlatego zasługiwał przynajmniej na jej wdzięczność, skoro nie mogła się zdobyć na szczerość. Jednocześnie wciąż nie miała na tyle siły, by podjąć ostateczną decyzję. Propozycja przyjazdu do niego na lato nie ułatwiała jej zadania.

Ponieważ żadnej z tych spraw nie mogła odłożyć do jutra, rozmowa z Julią musiałaby poczekać na stosowniejszą porę. Ta myśl nie spodobała się jej.

Zarzuciła na siebie peniuar i wyszła na poszukiwania podopiecznej. Ku swojemu zdziwieniu znalazła ją we własnym gabinecie.

– Juleczko, szukam cię po całym domu.

Przestraszona dziewczyna aż poderwała się z szezlonga, upuszczając album, który głucho stuknął o posadzkę.

– O! Ciocia. – Uśmiechnęła się krzywo, a Barbara mogłaby przysiąc, że w kącikach jej oczu dostrzegła błysk wilgoci. – Przepraszam, nie chciałam szperać w cioci rzeczach. Zaraz to uporządkuję.

Rzuciła się na kolana, by pozbierać rozsypane fotografie, które wypadły spomiędzy kartek.

– Nie przejmuj się, dziecko. To stary album, pewnie go myszy nadgryzły. Co tu właściwie robisz?

– Potrzebowałam papieru listowego. Ale nie dotykałam niczego na biurku – zastrzegła.

– To dobrze.

Pierwszą zasadą, której Barbara uczyła wszystkie swoje podopieczne oraz nowe służące było: pod żadnym pozorem nie dotykać, nie porządkować i nie przekładać jej rękopisów! Tylko ona wiedziała, że w tym chaosie na biurku panował doskonale przemyślany porządek poszczególnych scen i rozdziałów. Nawet jeśli każda inna osoba nazwałaby to po prostu górą porozrzucanych kartek, naruszenie tej misternej papierowej struktury mogło się stać dla Barbary prawdziwą katastrofą. Między innymi z tego powodu w gabinecie nigdy nie otwierano okien. Najmniejszy przeciąg mógłby dokonać spustoszenia na biurku. Nie wpuszczano tu również kota, którego Barbara zgodziła się w zeszłym roku przysiąść na prośbę Julii, przejętej losem okaleczonego przez dorożkę zwierzęcia.

– Zebrało cię na wspomnienia o poranku?

– Z nudów, ciociu. Czekałam na śniadanie i tak jakoś... Przyzwyczaiałam się do porannych obowiązków przy dziewczynkach i teraz nie mam co ze sobą zrobić. Włodziowa najczęściej wyrzuca mnie z kuchni, gdy chcę pomagać.

– Słusznie, to nie twoje zadanie.

– Przecież mnie znasz, ciociu. Nie mogę tak bezużytecznie spędzać czasu.

– Owszem – westchnęła rozbawiona Barbara. – Pracowitość przejąłś chyba ode mnie. Nie musisz jednak brać na siebie zbyt wiele. Będę ci wdzięczna, jeśli czasem pomożesz mi w przepisywaniu rękopisów lub załatwieniu korespondencji, tak jak robiła to Zosia. Niczego więcej nie oczekuję. Masz wakacje.

– Wolałabym jak najszybciej znaleźć nowe zajęcie.

– Po co się spieszyć? Odpocznij. Gdy tylko znajdę trochę czasu, pomożesz mi przy zbieraniu datków dla ubogich. Albo odwiedzimy znajomych. Wiesz co? To będzie świetny pretekst, żeby zamówić sobie nowe suknie.

– Rozumiem. Mam zostać panną na wydaniu – stwierdziła Julia z przekąsem. – To nieciekawa rola. A nowe fatalaszki nie są mi potrzebne.

Po twarzy Barbary przebiegł zadumany uśmiech.

– Niepotrzebne? Ja w twoim wieku myślałam wyłącznie o balach, sukniach i kapeluszach.

– Ciocia? O balach? Nie wierzę.

– Owszem. Wszystkie na pensji marzyłyśmy tylko o tym, by dostać swoje pierwsze dorosłe suknie balowe i tańczyć do białego rana z przystojnymi młodzieńcami. Dobrze było też przy okazji złamać kilka serc, bo to znacząco podnosiło wartość panny na rynku matrymonialnym. – Zaśmiała się.

– Byłyśmy głupiutkie jak kozy.

– Chyba ciocia przesadza.

– Ależ skąd! Każda z nas chciała dostać bogatą wyprawę, przystojnego męża i wyrwać się spod rodzicielskiej opieki. Dopiero Oleńka otworzyła mi oczy na świat. Prawdziwa idealistka... Dla niej najważniejsze były uczucia, nic innego się nie liczyło.

– Kim jest Oleńka?

– Raczej kim była. Mówię o siostrze twojego ojca.



– Ach, ciotka Aleksandra! Ta, która poszła do klasztoru?  
– Tak. Nie wspominałam, że się przyjaźniłyśmy?  
– Nie.  
– Przez rok mieszkaliśmy razem na pensji. Ja właśnie kończyłam edukację, później wyszłam za mąż. Ona tam jeszcze została. Chyba nigdy jej nie poznałaś, prawda?  
Julia tylko pokręciła głową.  
– Chodź, usiądź przy mnie i podaj mi album. Gdzieś tu była jej fotografia... O! Skąd to się tu wzięło?  
Barbara trzymała w dłoni nieduży szkic przedstawiający trójkę dzieci na tle drzew.  
– Co to?  
– Ten rysunek zrobiła nasza prababka Felicja. Naszkicowała swoje dzieci – odparła Barbara z uśmiechem. – Na tej podstawie sporządzono później śliczną miniaturę portretową, ale nie wiem, co się z nią stało. Dawno temu widziałam ją w pałacu mojej babki Doroty. Spójrz, to właśnie ona jako dziecko.  
– Kto?  
– Moja babka Dorota, z domu Zarzewska. Śliczna dziewczynka, prawda? Szkoda, że nie odziedziczyłam po niej urody.  
– Moim zdaniem nie ma ciotcia na co narzekać. To mnie się trafił długi nos Zarzewskich. – Julia uśmiechnęła się nieznacznie. – Ciotcia jest piękna.  
– Oj, dziecko, dziecko. Miły komplement, ale ja nigdy nie miałam złudzeń. Moim atutem były głównie pochodzenie i majątek, niestety. Popatrz, a tu obok Doroty stoi twój dziadek Julian. Zmarł wiele lat przed twoim narodzeniem. Kiedy pozował matce do tego szkicu, miał pewnie ze sześć lat.  
– Mój dziadek?  
Zaintrygowana Julia przyjrzała się bliżej trójce dzieci ustawionej na rysunku według wzrostu.  
– Tak. Moja babka Dorota i twój dziadek Julian byli przecież rodzeństwem, dlatego twój ojciec i moja matka byli kuzynostwem w pierwszej linii.  
– Rzeczywiście. – Julia patrzyła na szkic z lekką konsternacją. – Tak młody dziadek jest nieco zaskakujący.  
– Wygląda słodko i niewinnie, prawda? Nie był jednak aż tak łagodny, jak się zdaje. Mężczyźni w rodzie Zarzewskich to zwykle silne osobowości. Szkoda, że spotkał go tak smutny los.  
– Jaki?  
– Zginął podczas rabacji chłopskiej. Wtedy spłonął też dwór po waszej stronie rzeki. To dlatego twój ojciec wybudował nową siedzibę na wzgórzu. Pamiętam jeszcze stare ruiny obok lasu. Teraz pewnie już całkiem zarosły.  
– Ruiny?  
– Pogorzelnisko po dawnym dworze Zarzewskich. Byłam w waszych stronach z matką kilka razy w życiu, więc je widziałam. Juleńko? Dobrze się czujesz? Zbladłaś.  
– Wydaje się cioci.  
Barbary nie zwiódło to zaprzeczenie. Julia nie patrzyła jej w oczy, była wyraźnie zmieszana, oddychała zbyt szybko.  
– Dziecko, tobie coś jest.  
– Nie, naprawdę. – Dziewczyna starała się przybrać swobodny ton, choć na wspomnienie ruin dworu poczuła nagle dziwny lęk. – A ten trzeci chłopiec to kto?  
– Kazimierz. Był przyrodnim bratem Doroty i Juliana. Rodzinna plotka głosi, że matka kochała go najbardziej. Pewnie dlatego, że był najmłodszy z rodzeństwa.  
– Przyrodni brat? Jak to?  
– Po kądzieli. Poczekaj, zapomniałam, że nie znasz tej historii. Pamiętasz po kim nosisz imię?  
– Zdaje się, że po jakiejś praprababce Juliannie, tak?  
– Owszem. Julianna miała jedną córkę, Felicję. Dziewczyna najpierw została żoną Zarzewskiego i obdarzyła go dwójką dzieci. – Palec Barbary wskazał dziewczynkę i starszego chłopca. – My obie wywodzimy się właśnie z tej linii, od pierwszego męża Felicji. Po śmierci Zarzewskiego Felicja wyszła

za Laskowica. Podobno z wielkiej miłości. A to był właśnie ich syn, Kazimierz Laskowic.

– Ładne dziecko.

Julia szybko pogubiła się w koneksjach, ale nie chciała dać tego po sobie poznać.

Niespodziewana opowieść o zamierzczłych czasach nie tylko ją zaskoczyła, lecz wydała się darem niebios. Ciotka rzadko wspominała rodzinną historię. Julia słuchała z cichą nadzieją, że opowieść dobrnie do czasów, które najbardziej ją w tej chwili interesowały: do jej dzieciństwa. Nie chciała spłoszyć Barbary natrętnymi pytaniami, by historia nie urwała się zbyt wcześnie, dlatego z wypiekami na twarzy niecierpliwie czekała na ciąg dalszy.

– Owszem, ładne. Potomkowie Laskowica są bardziej urodziwi niż linia Zarzewskich.

– Żyjają?

– Kto?

– Ród Laskowiców. Wydawało mi się, że poza cioci bratankiem nie mamy innych krewnych. Przynajmniej takich, o których chciałoby się pamiętać – dodała Julia, myśląc o swoim pruskim wuju Hermanie.

– Owszem żyją i mają się zupełnie nieźle. Co prawda ich także nie ominęły tragedie, zwłaszcza uczuciowe, ale...

– Uczuciowe?

– O proszę, mimo wszystko jest w tobie odrobina ciekawości młodej panny. A już się bałam, że masz po prostu starą duszę.

– Och, ciociu!

– Nie krępuj się, rozumiem twoją ciekawość. Może kiedyś ją zaspokoję – stwierdziła Barbara enigmatycznie. – O ile kuzyn Emil nie będzie protestował, bo to dotyczy naszych wspólnych przodków.

– Kuzyn Emil?

– Emil Laskowic, syn Kazimierza. – Stuknęła palcem w rysunek, wskazując młodszego chłopca.

– Dla ułatwienia nazywam go kuzynem, choć nasze pokrewieństwo jest bardzo odległe.

– Czy ciocia utrzymuje z nim kontakty?

– Owszem, ostatnio nawet częste.

Ponieważ oczy Barbary zabłyśły, gdy zaczęła mówić o dalekim krewniaku, Julia poczuła się zaintrygowana.

– Dlaczego nigdy go nie poznałam? – spytała, zapominając, że nie chciała przerywać opowieści.

– Mieszka aż w Galicji. Ale umieścił tu na pensji swoją córeczkę, Aurelię, i od tego czasu regularnie odwiedza nasze miasto. Zbyt rzadko jednak bywałaś w domu w ostatnich latach, dlatego się nie spotkaliście.

– Na pensji w naszym mieście? To okropne!

– Co takiego?

– Dlaczego wywiózł córkę tak daleko od domu? Biedne dziecko! Przecież w Galicji jest sporo dobrych szkół dla dziewcząt i nie mają takich problemów z władzami jak my.

Nagłe oburzenie dziewczyny nieprzyjemnie zaskoczyło Barbarę.

– Dziecko, co ty mówisz? Nie nam oceniać cudze konieczności życiowe.

– Przepraszam. Po prostu się zdziwiłam.

– Ach tak? – Ton Barbary brzmiał wyraźnie karcąco. – Musisz bardziej nad sobą panować.

Ostatnio cię nie poznaję.

– Naprawdę przepraszam. Ma ciocia rację, to nie jest moja sprawa.

– Właśnie. Skoro jednak pozwalasz sobie osądzać cudze postępowanie, to wiedz, że kuzyn Emil dużo podróżuje. Przez długi czas Aurelką zajmowała się jego matka, ale zmarło się staruszcze dwa lata temu, niemal w tym samym czasie, kiedy nam spłonął dom. Nie wspominałam ci o tym, ale zaproponował wtedy, żebym się do niego przeprowadziła i zajęła edukacją Aurelki. Mimo że miał własne zmartwienia, bardzo się przejął naszym nieszczęściem.

– Naprawdę? Dlaczego mu ciocia odmówiła?

– Musiałam. – Zmieszała się. – Trzeba było pomagać pogorzelncom, zbierać datki na odbudowę

miasta. Dlatego zaproponowałam, by przysłał Aurelkę do nas na pensję. Tutaj mogę nad nią czuwać. Odwiedzam ją i po cichu uzupełniam jej polską edukację, jeśli o to się lękasz. Sądziś, że źle mu poradziłam?

Zawstydzona Julia, pomna, że w jej przypadku Barbara również podjęła się przed laty takiej bezinteresownej opieki, pokręciła głową.

– Nie wiedziałam, przepraszam. Myślałam po prostu o tęsknocie tego dziecka za domem, oddaleniu od ojca – stwierdziła ze skruchą, a równocześnie pomyślała: – „Ciekawe, o czym jeszcze nie mówiła mi w ostatnich latach”.

Barbara przyglądała się jej z ukosa.

„ Mój Boże! Czyżby wciąż nie przebaczyła ojcu, że ją zostawił u mnie po śmierci Adeli? – Zmartwiła się. – Minęło tyle lat! Biedactwo. Gdyby znała Henryka trochę lepiej, może nie tęskniłaby za nim, nie żałowałaby go tak bardzo. Ale pewne sprawy lepiej pogrzebać raz na zawsze”.

– A matka Aurelii? Co się z nią stało? – Ciche pytanie wyrwało Barbarę z rozmyślań.

– Z tego, co mi wiadomo, zmarła na tyfus. Nigdy jej nie poznałam.

Niespodziewanie z albumu wysunęła się jedna z fotografii i upadła na podłogę. Julia odruchowo ją podniosła.

– A to kto? Ciotka Aleksandra? – Ucieszyła się, że może wrócić do tematu Zarzewskich.

Barbara spojrzała na niewyraźną podobiznę młodziutkiej zakonnicy w habicie nowicjuszki.

– Tak, właśnie tę fotografię chciałam ci pokazać. Bardzo żałowałam, gdy Oleńka wybrała klasztor.

– Ile miała lat? Siedemnaście?

– Osiemnaście. Była delikatna, a życie za kratą jest surowe, trudne. Pewnie dlatego odeszła tak młodo.

– Czy mój ojciec nie próbował jej powstrzymać? Dlaczego nie zatroszczył się o własną siostrę? Barbara bez słowa schowała zdjęcie do albumu i odłożyła go na półkę.

– Wystarczy już tych wspomnień na dzisiaj – stwierdziła stanowczo.

– Ależ ciociu! To takie ciekawe. Proszę opowiedzieć coś jeszcze o tamtych czasach.

– Nie dziś. Jestem zajęta, a chciałam z tobą porozmawiać o czymś ważnym.

– Słucham – westchnęła rozczarowana.

– Martwię się o ciebie. Od kiedy wróciłaś do domu, dziwnie się zachowujesz. Czy jest coś, o czym mi nie mówisz?

W tym momencie z głębi domu rozległo się nawoływanie służącej.

– Śniadanie na stole! Wszystko stygnie. Czy panienki myślą, że ja nie mam nic innego do roboty?

Pani Barbara też nie dojadła swojego. A człowiek sobie żyły wypruwa, żeby było świeże i ciepłe. Śniadanie, powiadam! Julcia, Zosia! Gdzie są wszyscy?

– Z Włodziową lepiej nie zadzierać – stwierdziła Julia z ulgą, chwyciwszy się okazji, by uniknąć krępującego tematu.

– Bardzo nie w porę, ale trudno. Dobrze, wrócimy jeszcze do tej rozmowy.

„ Lepiej nie – pomyślała. – Z drugiej strony, jeśli będę unikać cioci, kto mi opowie o przeszłości...? – zadumała się. – Wiem!”

\* \* \*

Julia pożegnała się z Zosią w domu. Serdecznie uściskała zdenerwowaną dziewczynę, życzyła jej szczęścia i zapewniła, że będzie do niej często pisała, by Zosia nie czuła się samotna wśród obcych ludzi. Gdy tylko dorożka zniknęła za zakrętem, zajrzała do kuchni.

– Czy mogę pomóc przy obiedzie? – spytała z nadzieją.

– A jeszcze czego! Wystarczy, że po tej piekarni muszę wszystko poprawiać. Posłałam ją na targ i przepadła jak zwykle.

– Czyżby aż tak brakowało mi doświadczenia? – spytała z uśmiechem, bo szczerze lubiła zrządzenie Włodziowej.

Doskonale wiedziała, że pod przykrywką marudzenia kryła się prawdziwa troska starej służącej o wszystkich domowników. Przebywanie w jej towarzystwie zwykle rozpraszało smutne myśli, dlatego Julia podświadomie garnęła się do pomocy. Tym razem miała jednak konkretny cel.

– Brakuje czy nie brakuje, panience nie wypada ciągle przesiadywać w kuchni.

– Ale chciałabym się na coś przydać.

– Lepszego zajęcia niech sobie panienka poszuka. Książkę jaką uczoną niech poczyta albo bieliznę nareperuje, bo jutro praczka przychodzi. Znowu przez trzy dni będzie urwanie głowy.

– Dla praczki już wszystko przygotowałam. Ciocia wyszła, dom jest pusty, a ja muszę się czymś zająć. Proszę.

Staruszka westchnęła.

– No kiedy panienka tak się naprasza, to niech siada. Groch trzeba przebrać, bo moje oczy już nie od tego. Przynajmniej tych białych rączek nie poniszczą sobie za bardzo.

– A co tam ręce.

– Niech Julcia ramionami nie wzrusza. Niby taka uczona, a na ludziach zna się jak pies na powożeniu.

– Co takiego?

– Śmieję się, śmieję. Młodemu ze śmiechem bardziej do twarzy niż z płaczem. Ale kiedy panienka o sobie nie myśli, to ja muszę. Nikt porządny nie zatrudni potem nauczycielki z rękami jak u pomywaczki. A i przed kawalerami też wstyd by był. O! Co mi tu panienka głową kręci? – zaprotestowała, widząc jej minę. – Narzeczonego już najwyższy czas znaleźć dla Julci. Skończyłyby się kłopoty, jakby kto porządny wziął nas w opiekę.

– Niech Włodziowa da spokój.

– A czemu? Zwykła to rzecz. Panienka kształcona, mądra, ładna, z pochodzeniem. Całe życie chce w służbie spędzić?

– Włodziowo, proszę.

– No już dobrze, dobrze. Mogę siedzieć cicho. Tylko czy od tego coś się nam poprawi? Ludziom języków się nie utnie, będzie coraz trudniej.

– Jakich języków?

Staruszka mruknęła coś pod nosem.

– Włodziowo?

– A nic ważnego, bajanie takie. – Służąca wzruszyła ramionami, gorliwie mieszając coś w garnku. – Co to ja pleciuch jestem?

Ta reakcja zaniepokoiła Julię, ale pomyślała, że lepiej będzie zmienić temat, by rozdrażniona Włodziowa znów nie wyrzuciła jej z kuchni.

– Wspaniale pachnie ta pieczeń – ostrożnie zagaiła po chwili ciszy. – Nigdy nie spytałam, gdzie się Włodziowa tak nauczyła gotować?

– A gdzie by zaś? We dworze u pani Barbary.

– Proszę coś opowiedzieć o tamtych czasach. To takie ciekawe.

– A o czym tu gadać? Wdową już byłam, kiedy mi gospodarkę za długi męża zlicytowali. Młoda dziedziczka wróciła wtedy z podróży poślubnej. Mogła jak inne damy siedzieć przy fortepianie albo w ogrodzie i nic nie robić, ale wolała do ludzi pójść, biedą się zająć. Zlitowała się nad nieszczęściem i do kuchni mnie przyjęła, a tam się nauczyłam gotować po pańsku. Ot, cała historia.

– A jak się cioci żyło w tamtym dworze?

– Lekko nie miała, bo do gospodarstwa jej nie przyuczono, ino do salonów. – Zgodnie z przewidywaniami Julii pociągnięta za język staruszka rozgadała się w najlepsze. – Ale sama do wszystkiego doszła. Nie miała wyjścia. Dziedzic był utracjusz, ino karty i polowania mu były w głowie.

Kiedy pani Barbara zobaczyła, że wszystko się sypie, wzięła sprawy w swoje ręce. Ochmistrzynię dobrą zatrudniła, rządzącą też. A potem nami się zajęła, służbą znaczy się. Czytać i pisać nas uczyła, ubogim nosiła jedzenie, nawet dobrodziej proboszcz ją chwalił. Prosty lud ją kochał, ale szlachta to już nie.

– Dlaczego?

– Najprzód dlatego, że psuła chłopów swoją dobrocią, tak gadali. A potem, że za mężem na Sybir nie pojechała, kiedy to nieszczęście we dworze się stało. Mówili, że to zdrada i nawet własna matka nie chciała jej do siebie przyjąć. A ciekawe, po co pani Barbara miałyby na tę tułaczkę jechać? Szczęścia z dziedzicem nie użyła ani kochania żadnego. Dla pozorów miała sobie życie marnować? Głupota! Na szczęście brat się trochę naszą panią zajął, bo ciężko by było.

Mimo że opowieść nie dotyczyła jej rodziców, Julia słuchała jak zaczarowana, zapomniawszy całkiem o grochu.

– Ino ten rozwód był niepotrzebny, najwięcej szkody narobił naszej pani. Ale uparła się i już, nie wiadomo czemu. Prawdziwy dopust Boży! Złość mnie trzęsie nawet dziś, jak sobie przypomnę, że przez to wszystko panią Barbarę nazywali kobietą bez sumienia i bez serca.

– Jak to?

– Ludzie są jak wilcy. Gadali, że przez naszą panią dziedzica zesłano, ale to nieprawda! Sam na wszystkich nieszczęście sprowadził.

– Proszę tak nie mówić. Przecież wspierał powstańców, cierpiał dla ojczyzny.

– A juści, wspierał i cierpiał! – zakpiła staruszka. – Kiedy się dowiedział, że pani Barbara razem z młodą krewną znalazła rannych w lesie, to ino portkami trząsł ze strachu. Awanturę zrobił na cały dom, że on nie chce z tym mieć nic wspólnego.

– Niemożliwe!

– Tak było. W wielkim sekrecie do tych biedaków chodziły, opatrywały, jedzenie im nosiły. Wiem, bo sama szykowałam tobołki. I nic by się nie stało, jakby dziedzic na całe gardło wszystkiego nie wypaplał.

– Jak to?

– Zwyczajnie, pech. Ze dwa dni się powstańcy u nas ukrywali, a potem ruszyli dalej. Ino jeden młody szlachcic niedomagał w gorączce, to został dłużej. Któregoś wieczora dziedzic naszą panią podpatrzył, że jedzenie wynosi, i straszną awanturę jej zrobił. Popity akurat był, zwady szukał. A że nie lubił, jak pani biedakom pomagała, wściekł się. Najwięcej o strzelbę, którą pani z jego szafki wyjęła, bo nie wiedział, po co jej była. Pani nie miała wyjścia. Musiała mu prawdę rzec, a wtedy jeszcze bardziej zaczął krzyczyć, że jej rozumu brak i że jako mąż jej zakazuje. Wstyd powiedzieć, ale siłą zaciągnął naszą panią do kredensowego, bo tam okien nie było, i na klucz ją zamknął w ciemnościach na calutką noc. Przez pół dworu po podłodze ją włókł jak psa. Nikczemnik!

– O Boże... – szepnęła poruszona Julia.

– Tak było, panienko.

– A służba?

– Serce się ścisnęło, ale kto by się ośmielił dziedzicowi sprzeciwić? Mażeńskie to sprawy – stwierdziła Włodziowa cicho. – Zresztą pani sama zakazała. Przybiegliśmy na pomoc, ale krzyczała, żeby wracać do czeladnej. A jak kamerdyner usiłował pana uspokoić, to tak w pysk dostał, że aż się krwią zalał. Kobiety płakały, lokaje klęli pod nosem na czym świat stoi, ale co było robić? Ech...

– To niestychane! Biedna ciocia. Teraz rozumiem, skąd ten rozwód. Co było dalej?

– Dziedzic w końcu zasnął w kancelaryi z kolejną butelką, ale te jego wcześniejsze wrzaski to nawet na folwarku słyszeli. Pewnie ktoś wygadał. Pan z sąsiadami źle żył, chłopów poniewierał, na służbę wrzeszczał, to i nie dziwota, że ktoś z zemsty doniósł carskim, że się u nas powstańców ukrywa. Mówię panience, sądny dzień nastał, kiedy do nas zjechali!

– A powstaniec? Umknął?

– Gdzieżby. Złapali biedaka niedaleko dworu na dziedzicowym koniu i z jego strzelbą u boku. I obu w kajdanach powlekli do więzienia. Tak to dziedzica pokarało za krzywdy naszej pani.

– Okropne. Ciocia mi nigdy tego nie opowiadała.

Włodziowa odwróciła się gwałtownie od garnków.

– No i proszę! Znowu mnie panienka za język pociągnęła. To nie są sprawy dla młodych!

– Włodziowo kochana, właśnie dla młodych są.

– Jasne... Odwagi do wielkich czynów wam nie brakuje, ino rozumu za mało. A potem płacz jest i zgrzytanie zębami. Ile ja się wtedy łez panience Aleksandrze nawycierałam! Najpierw płakała pode drzwiami kredensowego, gdzie nasza pani była zamknięta. A potem na przemian wyła w poduszkę i odprawiała modły, jak już pana do aresztu zabrali. Mówiła, że to wszystko przez nią. Aż w końcu jaśnie pan Zarzewski zjechał i siostrę do domu zabrał. A jaki był wściekły na panią Barbarę!

Julię aż przeszedł dreszcz.

– Chwileczkę, czegoś nie rozumiem. Ciotka Aleksandra? Mój ojciec? – Zdumiała się. – A cóż oni mieli z tym wspólnego?

– Jak to? Nie powiedziałam?

– Nie.

– Bo to właśnie panienka Aleksandra pomagała naszej pani przy rannych.

– Ona? Skąd się tam wzięła?

– Zjechała do nas na kilka tygodni dla wypoczynku, bo pani Barbara była z nią w przyjaźni. I tak się wszystko zaplątało, że niewinną dziewczynę mogli w polityczne sprawy wciągnąć. Strach!

– A mój papa od kogo się dowiedział?

– Nie wiadomo. Ale nie dałoby się tego ukryć. Cała okolica aż huczała.

– A dlaczego papa pogniewał się na ciotkę?

– E tam, stare dzieje – burknęła niezadowolona staruszka.

– Włodziowo, nie jestem już dzieckiem, chciałabym wiedzieć.

– Co racja, to racja, ale wstyd to przed córką mówić.

– Proszę.

– No dobrze, opowiem, bo to niesprawiedliwe, że wszystko potem na naszą panią spadło. Myśmy się w pierwszych dniach do życzliwych sąsiadów przeniosły, bo dwór dziedzica od razu carscy zajęli i rewizję zrobili. Tam nas odnalazł pan Zarzewski, znaczy się ojciec panienki. Nieszczęściem krewnej wcale się nie przejął. Zwymyślał okrutnie naszą panią, że złamała życie jego siostrze i że on się przed teściem hrabią tłumaczyć będzie musiał z takiego skandalu. Ani godzina nie minęła, jak z siostrą odjechał. A potem nie odzywał się przez kilka lat. Aż mi dziw było, kiedy się później u nas zjawił i poprosił, by panienkę przyjąć do nas na wychowanie. A jaka pani Barbara była zdziwiona!

Przejęta dziewczyna nie chciała dać po sobie poznać, że chłonie każde słowo jak gąbka wodę.

– Biedna ciotka. A czy Włodziowa... widziała kiedyś moją matkę? – spytała cicho.

– Jaśnie panią Zarzewską? A gdzież by. Już raz mówiłam, że nosa nie wyściubiła ze swojego pałacu. Delikatna i chorowita ponoć była, a śliczna jak aniołek. Tak nam opowiadała pokojówka panienki Aleksandry, kiedy u nas była. Mówiła też, że jaśnie pan Zarzewski kochał ją jak szaleniec, a ona jego. Ponoć w ogień by za nią skoczył. Nawet o własną siostrę mało co dbał, bo ino o żonę się martwił, żeby jej spokoju co nie zakłócało. Ale to już panienka pewnie sama wie.

– Tak. Wiem.

Gorycz w głosie Julii zastanowiła staruszkę. Przyjrzała się uważnie rumieńcom dziewczyny.

– Coś widzę, że z tym grochem panience nie idzie. Niech już lepiej wraca do siebie, gorąco tu od pieca, jeszcze mi zasłabnie. Może by na powietrze trochę wyszła?

– Nic mi nie jest, ale pójdę już. Dziękuję – odparła Julia.

„Och, papo. Nie pomogłeś cioci Basi, gniewałeś się na siostrę. A cóż one zawiniły? – pomyślała.

– Że spełniły swój obowiązek? Włodziowa ma rację, myślałeś tylko o *maman* i świętym spokoju. Ale czy to była miłość, czy obsesja? Czy w ogóle potrafiłeś kochać?”

\* \* \*

Uchylone drzwi gabinetu ciotki od razu wzbudziły podejrzenia Julii.

– Co ty tu robisz, Włóczykiju?

Na środku biurka w plamie słońca drzemał kot. Nawet nie zaszczycił jej spojrzeniem, tylko poruszył końcówką ogona w geście zniecierpliwienia.

– Złaż natychmiast! Czy wiesz, jakie będziemy mieli przez ciebie kłopoty? – Chwyciła go w ramiona, choć parsknął niezadowolony. – Uciekaj. Nie ma cię tu – szepnęła karcąco, wypuszczając zwierzę na korytarz.

Zaniepokojona wróciła, by przyrzeć się papierom, na których przed chwilą się wylegiwał.

– Tylko tego brakowało! – mruknęła, ostrożnie zdejmując z nich kocią sierść. – Ciocia urwie mi głowę.

Nie pamiętała, która z nich wyszła ostatnia z gabinetu po porannej rozmowie, ale miała nieprzyjemne wrażenie, że to ona odpowiada za niedomknięte drzwi. Obawiała się, jak Barbara zareaguje, gdy odkryje kocie przestępstwo.

Na szczęście wyglądało na to, że rękopis nie uległ zniszczeniu. Kot w dość kulturalny sposób rozłożył się na stercie kartek, zapominając najwyraźniej, jak bardzo lubi sprawdzać ostrość pazurów na wszystkim, co papierowe. Julia nie miała wszakże pewności, czy nieład panujący na biurku jest dziełem cioci, czy raczej Włóczykija.

„ Chwała Bogu, że tu zajrzałam! Nie wiadomo, co by zrobił po skończonej drzemce – myślała zafrasowana, przypominając sobie podarty na strzępy sztambuch Zosi. – Trudno, lepiej niczego nie ruszać. Może ciocia nie zauważy?”

Gdy pochyliła się nad blatem, by sprawdzić, czy na pewno usunęła wszystkie dowody zbrodni w postaci ciemnych kłaczków, spostrzegła nagle, że pod biurkiem leży pojedyncza zmięta kartka. Podniosła ją, odruchowo rozprostowała i zaczęła czytać.

*Drogi Kuzynie Emilu!*

*Nie wiem, czy mój list zastanie Cię w domu, jednak nie chciałam już dłużej zwlekać. Z przykrością muszę Cię zawiadomić, że na razie nie będę mogła przyjechać do Was na lato, choć bardzo bym chciała. Wiem, że czujesz się rozczarowany i psuje to Twoje plany, lecz nie mogę postąpić inaczej. Zatrzymują mnie w mieście ważne interesy. Na pewno to rozumiesz.*

„ List ciotki!” – spłoszyła się, rozpoznając charakter pisma.

Instynktownie chciała odłożyć papier, lecz zawahała się, czy zostawić go na biurku, czy raczej na podłodze, gdzie leżał. Nim zdążyła się nad tym zastanowić, jej wzrok bezwstydnie pobiegł po kolejnych liniijkach niczym krnąbrne dziecko, które wie, że nie powinno uciekać przed goniącą go opiekunką, a jednak to robi.

*Natomiast w drugiej kwestii mam lepsze wieści. Zapewne pamiętasz, ile miałam wątpliwości, czy wypada mi uczynić zadość Twojej ostatniej prośbie. Przemyślałam wszystko i zgadzam się pomóc. Choć tyle mogę zrobić w podzięce za Twoją dobroć i troskę.*

*Mimo że nadal krępuje mnie ta sytuacja, rozumiem, jak wielkie ma dla Ciebie znaczenie, dlatego postanowiłam nie zwlekać i zajęłam się tym zgodnie z Twoim życzeniem. Powiem więcej, doszłam do przekonania, że można zrobić coś jeszcze, ale trzeba nam o tym porozmawiać w cztery oczy, gdyż okoliczności są nader delikatne, sam przyznasz. Sądzę jednak, że może się to przysłużyć naszym rodom. Zwłaszcza Julia i Aurelka powinny docenić kiedyś nasze starania, dlatego liczę, że w niedługim czasie sprawisz mi tę przyjemność i zechcesz mnie znów odwiedzić.*

„ Co takiego? – zdziwiła się w duchu. – Dlaczego ciotka pisze o mnie?”

*Zależy mi na Twojej wizycie także dlatego, że powinniśmy ostatecznie porozmawiać o Twojej niezwyklej propozycji. Nie jest to temat na list, dlatego będę niecierpliwie czekać na Twój przyjazd.*

*Co do Aurelki, uważam, że podjęłaś słuszną decyzję. Rozmawiałam w Twoim imieniu z przełożoną pensji, jak prosiłaś, i zgodnie doszliśmy do wniosku, że tak będzie lepiej dla dziecka. Zapewne ona także pisała do Ciebie w tej sprawie. Zrozumiała nasze wątpliwości, bo dobro Twojej córki jest przecież najważniejsze. Odniosłam nawet wrażenie, że Twoją decyzję przyjęła z ulgą. To mądra kobieta, nie kieruje się na szczęście chęcią zysku, lecz dobrem uczennic.*

*Przykro mi, że tak niefortunnie zbiegło się to w czasie z wyjazdem Zosi. Postaram się coś wymyślić, by nie zostawić Cię bez pomocy...*

Tu list urywał się mocno podkreślonym zdaniem.

„ Nic z tego nie rozumiem. O nie! – Ocknęła się nagle. – Co ja robię? Czytam prywatną korespondencję? To okropne!”

W popłochu odłożyła papier tam, gdzie go znalazła, i wymknęła się z pokoju. Na korytarzu niemal zderzyła się z młodziutką służącą.

– O dobry Jezu! Najmocniej przepraszam, proszę pani!

– Nic się nie stało, Elżuniu. Jestem dzisiaj taka rozkojarzona, że cię nie zauważyłam – rzuciła zaczerwieniona Julia. – Dokąd tak biegniesz?

– Ja właśnie... – Nastolatka spuściła głowę, gniotąc w dłoniach falbankę fartucha.

– Co się stało?

– Ja właśnie do pani z kłopotem – szepnęła dziewczyna, oglądając się za siebie. – Nie wiem, co począć.

– Znów coś przypaliłaś?

– Nie, tylko tak mi się jakoś zmitrężył czas na straganach, że zapomniałam listy dzisiejsze nadać na pocztę. I co ja teraz zrobię? Tyle pracy w domu, nijak mi się znowu wyrwać do miasta. A tatko skórę mi zerzną, jeśli stracę to miejsce.

– Ach, taki kłopot. Spokojnie, Elżuniu. Gdzie są te listy?

– O, tu... – Wyjęła z kieszeni fartucha kilka kopert zaadresowanych zgrabnym pismem Barbary.

– Nie martw się, zajmę się tym. Powiesz Włodziowej, że idę na spacer, i nikt się nie dowie.

– Pani by poszła? – Służąca się ucieszyła, ale jej radość szybko zgasła. – Tak bez towarzystwa?

Co ludzie pomyślą?

Julia uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Mam już swoje lata i nie potrzebuję przyzwoitki, żeby wyjść na ulicę.

– Ale i bez tego o nas gadają.

– Znowu? Co mówią?

– Że... no że...

– Nie wstydź się, powiedz.

– Nic takiego. Wydziwiają, że tak nagle wyrzucili panią z posady i że coś się musiało stać niedobrego.

Po minie młodziutkiej służącej widać było, że nic więcej na ten temat nie powie, by nie sprawiać Julii przykrości.

– Rozumiem. Nie przejmuj się, to moja rzecz. Powiedz Włodziowej, że za chwilę wychodzę. I wróć do mnie, pomożesz mi zasznurować gorset do wyjściowej sukni.

Gdy służąca się oddaliła, Julia popadła w zadumę.

„ Miałam rację, baronowa i Skrzeczyńska nie próżnowały. Skoro już nawet okoliczne przekupki szepczą o mnie na straganach, nie jest dobrze. – Pokręciła głową niezadowolona. – Muszę koniecznie napisać te listy w sprawie posady. Oby to pomogło, bo inaczej nie wiem, co będzie”.



## ROZDZIAŁ V

Gorące czerwcowe popołudnie niespodziewanie wyludniło ulice miasta. Ukryta pod koronkową parasolką Julia nie narzekała jednak na upał. Spacer wśród powodzi słonecznego blasku wyraźnie ją uspokajał i cieszył. Ponieważ nie była zmuszona zabawić nikogo sztywną, elegancką konwersacją, co szalenie ją nudziło przez tych kilka lat pracy w domach arystokracji, znalazła niezwykłą przyjemność w samotnej przechadzce i w swobodnym oddawaniu się rozmyśleniom.

Przypomniało się jej ostatnie lato, które spędziła z uczennicami w wiejskiej rezydencji Skrzeczyńskich i nagle zatęskniła nie tylko za dziewczynkami, lecz także za zielenią drzew, połaciami łąk oraz za swobodą, której nie dawało miasto. Choć większość życia spędziła właśnie tutaj, zawsze czuła się nieswojo w miejskiej przestrzeni.

Ostatnio coraz wyraźniej uświadamiała sobie, jak bardzo męczy ją życie wśród pozornej elegancji i sztucznej grzeczności, gdzie niemal każdy gest czy uśmiech jest wystudiowany, a temat rozmowy błahy, lecz za to nie przekracza społecznie wytyczonych barier.

Nikogo nie obchodziło, że bogate fasady budynków często skrywają zaszczurzone podwórza pełne śmieci, wykwintne stroje dam maskują obłudne charaktery, a wypielęgnowane przez ogrodników miejskie parki kończą się w miejscach, gdzie „przyzwoici ludzie” zawracają podczas spacerów, bo w ciemnych zaułkach można stracić nie tylko pieniądze, lecz także dobre imię lub życie. Drugie oblicze grodu – dzielnice biedy, sierocińce, żebracy, przestępcy – kryło się wstydliwie przed wzrokiem uprzywilejowanej warstwy mieszkańców. Z okien powozów czy wysokich kamienic nie należało dostrzegać tej brzydoty miasta, a osobom takim jak Barbara, które starały się aktywnie działać w różnych stowarzyszeniach pomocowych, przyklejano łatkę dziwaków. Julia z roku na rok czuła się z tym coraz gorzej.

Po cichu ubolewała, że jako nauczycielka i panna musiała podwójnie dbać o społeczną poprawność swojego wizerunku. Chciałaby pomagać, jak Barbara, a nie mogła.

Ciotka od początku była dla niej niedoścignionym wzorem do naśladowania, dlatego Julia w sposób zupełnie naturalny przejęła jej system wartości już w dzieciństwie. Nie miała jednak talentu opiekunki, zatem nie mogła walczyć piórem czy zarabiać pisaniem. Całą energię życiową poświęciła na zdobycie kwalifikacji do jedyne go stosownego zawodu, który był dostępny dla kobiet w jej sytuacji – guwernantki. Zachęcana przez ciotkę uznała to za swoje życiowe powołanie i drugi najważniejszy powód, dla którego nigdy nie planowała wyjeżdżać z tego męczącego miasta. Pierwszym stała się chęć pozostania blisko Barbary i sprawienia, by ciotka była z niej dumna.

Gdy nagle w ciągu ostatnich dwóch tygodni okazało się, że z zupełnie absurdałnego powodu jej życiowe plany legły w gruzach, kompletnie się pogubiła. Ślepa ręka losu nieoczekiwanie wymierzyła jej policzek, a ona nie rozumiała, dlaczego ją to spotkało, i nie wiedziała, jak zareagować. Najprościej byłoby z godnością przemilczeć sprawę, lecz nie mogła się uwolnić od dziwnych emocji, których nie rozumiała. Coraz wyraźniej docierało do niej, że męczy ją tajemnica związana z wydarzeniami sprzed lat. Jednak nieudolne próby zdobycia od Barbary i Włodziewej informacji o rodzinnej przeszłości spleły w zasadzie na niczym, a innych pomysłów chwilowo nie miała.

„Żebym mogła sobie coś więcej przypomnieć! Kuzynka baronowej nie miała prawa obrażać moich rodziców. *Maman* często niedomagała, nawet ja to pamiętam, ale nie chorowała na umyśle. Na pewno! – rozważała. – A papa? Hmm... Wiem, że był oschły i surowy. Źle się zachował wobec cioci w tej sprawie z powstańcami, to nie ulega wątpliwości. Ale okrutnik? Jak ktokolwiek mógł pomyśleć, że uwięził *maman* w pałacu? To obrzydliwe pomówienia! – Zdenerwowała się. – Tylko jak mam to udowodnić? Dlaczego prawie nic nie pamiętam?”

Poczuła nagle zawrót głowy. Zatrzymała się przy krawężniku i tylko dlatego nie wpadła pod kopyta koni ciągnących dorożkę po bruku.

– Proszę uważać. Dokąd pani tak spieszy samotnie? – spytał nieco zbyt swobodnym tonem młody mężczyzna przechodzący właśnie obok niej. – Może pomóc? Odprowadzić gdzieś?

Poczerwieniała. Nie zaszczywiwszy go nawet spojrzeniem, szybko przebiegła na drugą stronę ulicy, by zniknąć w budynku poczty przed ciekawskimi spojrzeniami nielicznych przechodniów.

Jednak szepty ekspedytorek pocztowych również sprawiły jej przykrość.

Choć zdawała sobie sprawę, że ostatnio jest przewrażliwiona na tym punkcie i prawdopodobnie wyolbrzymia problem, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wszyscy rozmawiają wyłącznie o niej.

Jako krewna znanej pisarki nie mogła w okolicy liczyć na całkowitą anonimowość, tym bardziej teraz, gdy od dwóch tygodni w wielu salonach szkalowano dobre imię jej rodziny. Najbardziej obawiała się jednak tego, że wieści dotrą w końcu do zapracowanej Barbary i przysporzą jej zmartwień. Choć wiedziała, że zachowuje się dziecinnie, wciąż nie miała odwagi wyznać ciotce prawdy, jakby zamknięcie oczu na problem mogło spowodować jego magiczne zniknięcie.

Powrotny spacer do domu stracił cały urok.

Zapominając o tym, że dama powinna się przemieszczać po ulicy z godnością, gnała przed siebie, jakby ją goniło stado bezpańskich psów. Zatrzymała się dopiero przy schodach małego kościółka. Nie weszła jednak do środka.

„Boże, proszę cię, pomóż mi to wszystko jakoś wyjaśnić, naprawić. Nie tylko dla mnie, ale dla cioci. Ona taka dobra, tyle przeszła. Nie chcę, żeby przeze mnie cierpiała” – poprosiła w duchu, patrząc na krzyż górujący nad kościelną wieżą.

Wysupłała z torebki kilka drobnych monet i podeszła do zgarbionego ślepeca, który siedział na schodach ukryty przed słońcem w cieniu kościelnej fasady.

– Wielkie Bóg zapłać wielmożnej pani – odezwał się żebrak ochryłym głosem, gdy tylko monety stuknęły głucho o drewniane dno jego miski. – Niech Pan Jezus i Matka Boska dadzą szczęście i powodzenie za dobre serce.

„Jakie tam dobre! Raczej pełne złości” – westchnęła w myślach.

Nie odeszła jednak. W odruchu współczucia spytała:

– A nie jesteście spragnieni, dziadku? Skwar olbrzymi, a wy tu tak siedzicie pod rozgrzanym murem. Tu niedaleko jest studnia. Może was zaprowadzić?

Zdumiony biedak uniósł na nią puste spojrzenie.

– Nie trzeba, wielmożna pani. Mnie tu jedna miła siostrzyczka z zakonu pić daje i jeść co wieczór. Krzywdy nie mam. Ale żeby taka śliczna pani chciała z żebrakiem po ulicy iść, to dziw nad dziwy.

Uśmiechnęła się pogodnie.

– A skąd wiecie, że śliczna pani, a nie służka?

– Nietrudno zgadnąć. Służąca czterech monet żebrakowi do miski nie wrzuci, bo skąd je weźmie? I taką ładną perfumą pachnieć też nie będzie ani szeleścić suknią. A że głos młody, łagodny i serce hojne, to pewnie i urody pan Bóg nie poskąpił.

– Ciekawy wywód.

– Pan Bóg odebrał mi oczy, ale rozum na szczęście zostawił nietknięty. – Żebrak uśmiechnął się przekornie, ukazując zupełnie zdrowe, choć żółte zęby. – Świadectwo oczu czasem myli, wielmożna pani. Nie bez przyczyny zwierzęta lepsze powonienie i słuch mają, by się bronić przed człowiekiem. A ślepiec i tak widzi to, czego nie widzą jego oczy. Ot, na przykład jedwab na sukni przedniego gatunku jest, lekki, a mocny, pewnie w prążki albo małe kwiaty.

– W kwiaty – odparła zaskoczona. – Skąd wiecie, że jedwab?

– Nie z oczu, wielmożna pani, bo te zatraciły się w pożodze. Ale szelest każdej materii poznać jeszcze potrafię. Całe życie krawcem byłem. Tysiące tkanin przez moje palce się przesunęło, to i na słuch poznam.

Zdumiona Julia przyjrzała się uważniej brodatemu ślepcowi, który nagle stał się w jej oczach konkretnym skrzywdzonym przez los człowiekiem.

– Byliście krawcem?

– Tak jest, wielmożna pani. Szyć już ostatnio nie szyłem, bom za stary, ale czeladnika miałem, pracownię, dom. Wszystko z dymem poszło, cały dorobek.

– A rodzina?

– Wdowcem jestem. Chwalić Boga, syn się uratował, bo do wojska go wzięli kilka miesięcy wcześniej. Pomstowałem wtedy na los, że okrutny, a tu na dobre się obróciło. Jakby syn w domu został, może ogień wysłałby go na tamten świat. A tak, choć sam jestem, cieszę się, że on gdzieś tam żyje. Kiedyś wróci. Nie trzeba nad miarę troskać się nawet w nieszczęściu. Czasem i to ku lepszemu prowadzi.

Poruszonej Julii aż zabrakło słów, więc nic nie rzekła.

– Ale coś mi się zdaje, że wielmożnej pani też nielekkko na duszy.

– Mnie? – Speszyla się.

– Skoro była pani łaskawa zatrzymać się dla ślepeca spod kościoła, znaczy że ciężar jakiś gniecie młode serce. Jeśli modlitwa żebraka może tu coś pomóc, będę o wielmożnej pani pamiętał.

– Bóg zapłać. A gdybyście czegoś potrzebowali, strawy, leków, to przychodźcie śmiało do domu pisarki. Tu niedaleko. Wiecie gdzie?

– A pewnie, kto by nie wiedział. Wielmożna pani stamtąd?

– Tak. Nie obawiajcie się, u nas nie spotka was żadna przykrość. Zostańcie z Bogiem, dobry człowieku.

Zadumana nad tym, co właśnie usłyszała, powoli zeszła po schodkach, ale na trotuarze zatrzymał ją jeszcze głos ślepeca.

– Wielmożna pani!

Obejrzała się. Żebrak świdrował ją pustym spojrzeniem, jakby rzeczywiście był w stanie przedrzeć się przez zasłonę ciemności.

– Niech się pani strzeże ognia. I wody. Z serca radzę.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Dziękuję – odparła.

Idąc w kierunku domu, pomyślała, że musi koniecznie poprosić ciotkę, by pozwoliła do tego biedaka przysłać co rano Elżunię ze świeżym pieczywem.

„Trzeba przed zimą zająć się nim jakoś – stwierdziła w duchu, bo poruszył ją los starca rozdzielonego z jedynym dzieckiem. – Z wojska mu syna raczej nie wypuszczą, ale może ciocia ma jakieś znajomości? Na pewno dałoby się coś dla nich zrobić. Gdybym tylko miała własne pieniądze!”

Z przykrością uświadomiła sobie, jak niewiele może uczynić dobrego na świecie. Z tym większą siłą ogarnął ją podziw dla filantropijnych poczynań ciotki, której w przeszłości zdarzało się, nawet z narażeniem życia, ukrywać we własnym domu żydowskie rodziny w czasie pogromów.

„A ja zamiast ją wspierać... O! Mamy gości?” – zdziwiła się na widok dorożki stojącej obok parkanu.

Pchnąwszy lekko furtkę, weszła do ogródka. Na ławce pod lipą zauważyła dziewczynkę w pensjonarskim mundurku i słomianym kapeluszu, ale sama nie została dostrzeżona. Całą uwagę dziecka absorbował gruby kot, który z lubością poddawał się głaskaniu małych dłoni. Julia przystanąła, uśmiechając się ciepło na ten widok.

– Lepiej uważaj na Włóczykija. Jego pazurki potrafią mocno podrapać – odezwała się pogodnym tonem.

Chuda dziewczynka, wyglądająca na około jedenaście lat, poderwała się z ławki.

– Ojej! Dzień dobry, panno Julio. – Dygnęła, skromnie spuszczaając oczy. – Nie zauważyłam pani.

– Skąd wiesz, jak mam na imię?

– Pani Basia pokazywała mi kiedyś fotografie w albumie. Czasem tu przychodzę w niedzielę na obiad.

– Ach tak – mruknięła domyślnie. – Jesteś Aurelia?

Dziewczynka skinęła głową.

– Przepraszam, że bawiłam się z pani kotem bez pozwolenia, ale on jest taki kochany, a ja bardzo lubię zwierzęta.

– Przecież się nie gniewam. Zresztą Włóczykij to wolny kot, może się łąsić do kogo zechce. Tylko że akurat dzisiaj ten łobuz nie zasłużył na takie pieszczoty – stwierdziła z przekąsem, patrząc

wprost w żółte oczy zwierzęcia. – Powinien się raczej ukryć gdzieś przed moją cicią.

Kot prychnął, jakby zrozumiał sens jej słów. Z godnością zeskoczył na trawnik, po czym zniknął im sprzed oczu, niespiesznie zanurzając się w zielen krzewów.

– Dlaczego? – spytała zaciekawiona Aurelka.

– Trochę dziś nabroił w gabinecie i nie wiem, co z tego wyniknie. Ale najwyraźniej bardzo cię lubi – wyjaśniła Julia łagodnym tonem, zastanawiając się jednocześnie, czy zdoła ośmielić dziewczynkę na tyle, by ta zechciała na nią spojrzeć. – A ty, Aurelko, skąd się tu wzięłaś?

– Papa chciał porozmawiać z panią Basią i pozwolił mi zostać w ogrodzie.

– A co twój papa robi w naszym mieście?

– Jechał z Warszawy i wstąpił po mnie na pensję. Jutro wyjeżdżamy do domu.

– Już na wakacje?

– Tak. – Szczupłą twarzyczkę rozjaśnił uśmiech. – Papcio uprosił panią przełożoną, żeby mogła wyjechać wcześniej.

– Stęskniłaś się za domem?

– Ogromnie! Nie mogę się doczekać, kiedy znowu wszystkich zobaczę. I moje psy, i konie, i kanarka, którego podarował mi papcio.

– Nie zabrałaś go ze sobą?

– Pani przełożona nie pozwala nam trzymać zwierząt. Kiedy wyjeżdżałam do szkoły, poprosiłam Marysię, pokojówkę, żeby o niego dbała. I pana Karola. On się zna na zwierzętach – tłumaczyła coraz bardziej ośmielona. – Bardzo się cieszę, że już wracam. U nas ciągle słychać szum drzew i głosy zwierząt, od rana do nocy. A tu jest inaczej. Tylko stukot dorożek i gwar. I tylu obcych ludzi wokoło. Papcio mówi, że to dobrze, bo jest cywilizacja, są teatry i brukowane ulice. Ale ja wolę wieś.

Julia pomyślała, że doskonale ją rozumie.

– Ja również nie przepadam za miastem. Masz rację, zbyt tu hałaśliwie – potwierdziła z uśmiechem. – A jak ci się mieszkało na pensji? Polubiłaś swoje koleżanki i nauczycieli?

– Tak – odparła dziewczynka, ale bez przekonania. – Pani przełożona bardzo o nas dba. Uczymy się tylu ciekawych rzeczy.

– Coś cię jednak gnębi.

– Nie – zaprzeczyła szybko. – Papa wybrał mi najlepszą szkołę. Tylko... Wolalabym być w domu. Czy to znaczy, że jestem głupia?

– Dziecko, co ty opowiadasz!

– Tak powiedziały wczoraj moje koleżanki. Śmiały się, że wolę jechać na wieś, niż zostać tutaj. Mówiły, że tu są odczyty, koncerty, przedstawienia, a na wsi tylko nuda.

– Nie przejmuj się. – Julii w jednej chwili przypomniały się własne doświadczenia ze szkoły i natychmiast zrobiło się jej żal tej chudziutkiej dziewczynki. – Nie miały racji. To zupełnie normalne, że tęsknisz za swoimi stronami. Jestem pewna, że one też chciałyby już mieć wakacje.

– Ale papcio wysłał mnie na pensję dla mojego dobra. Wszyscy mi to powtarzają, kiedy jestem smutna.

– Twój papa naprawdę chciał dobrze. Edukacja to wielki dar, bo nie każdy może się uczyć, zwłaszcza kobiety. Kiedyś to docenisz. Nie musisz jednak mieć wyrzutów sumienia, gdy tęsknisz. Cokolwiek mówią twoje koleżanki, najważniejsze, że masz własny dom, gdzie wszyscy na ciebie czekają. Nieistotne, jak daleko on jest.

– Naprawdę pani tak myśli?

– Oczywiście. Wiesz co? Powiem ci coś w sekrecie.

Zaciekawiona dziewczynka uniosła głowę, a serce Julii aż podskoczyło z uciechy na widok wpatrzonych w nią szarych oczu.

– Ogromnie ci zazdroszczę tego wyjazdu. Gdybym tylko mogła, zostawiłabym wszystko i uciekła z tobą na wieś. Choćby dziś.

– A pani uczennice? Czy one by się nie zmartwiły?

– Moje uczennice?

– Pani Basia opowiadała, że jest pani na posadzie w bardzo dobrym domu. Czy pani nie lubi swojej pracy?

– Oczywiście, że lubię. Tylko tak się złożyło, że nie mam w tej chwili żadnych obowiązków. Nie pracuję tam już.

– Och, panno Julio! Naprawdę?

– Naprawdę.

– I lubi pani wieść?

– Już mówiłam, że tak – odparła wolno, bo zupełnie nie rozumiała reakcji dziecka.

– To cudownie!

– Cudownie? Dlaczego?

– Papo! – Zamiast odpowiedzieć, Aurelka zerwała się z ławki i pobiegła ścieżką do domu.

Zdezorientowana Julia ruszyła w ślad za nią. Przy wejściu zatrzymała ją jednak zdenerwowana Włodziowa.

– A gdzież to dziecko tak leci? O! Jak to dobrze, że panienka już jest! Czy pani Barbara nie mówiła, kiedy wróci? Zamieszanie takie było rano z Zośką, że nie wyrozumiałam dokładnie poleceń – biadała półgłosem. – Gość niespodziewany nas odwiedził. Wpuściłam na pokoje, bo myślałam, że pani Barbara wróci na obiad. A on już ze trzy pacierze sam czeka. Herbatę podałam w salonie, ale skoro Zośka wyjechała, nie ma komu bawić gościa. Już nie wiem, co robić! Taki wstyd!

– Ciocia nie wróciła jeszcze z dworca?

– Ano nie. Coś tam o panu mecenasie wspominała, ale nie pamiętam, co.

– A ten gość to pan Laskowic, daleki krewny cioci, nieprawdaż?

– No pewnie. Przecie obcego bym do domu nie wpuściła. Ale pani Barbara zła będzie, że ten pan czekał na darmo. Coś mi się zdaje, że jakieś delikatne sprawy pani z nim miała, finansowe. To ważna persona.

– Skoro pan Laskowic nie był z ciocią umówiony, to nic złego się nie stało. Chwileczkę, jakie sprawy finansowe? – Dopiero w tym momencie dotarł do Julii sens wypowiedzi.

– A czy ja wiem? Tak mi się coś zdaje, że ten pan jakieś pieniądze naszej pani pożyczał jeszcze zimą – mruknęła niechętnie służąca. – Bo zaraz potem spłaty długów poszły. Może po zwrot przyjechał? Jeszcze gotów pomyśleć, że specjalnie go zwodzimy, żeby długu nie oddać, i obrazi się. O mój Boże!

– Spokojnie, zajmę się tym. A Włodziowa niech każe Elżuni do obiadu nakryć w jadalni na cztery osoby. Może ciotka zdąży nadejść, a jeśli nie, to przynajmniej ugościmy krewniaka najlepiej, jak się da.

– O, panienko złota! Nareszcie wiem, co robić. Ale czy to wypada tak panience samej gościa podejmować?

– Wypada, wypada. Niech Włodziowa już idzie.

– Przygotuję, co ino mamy najlepszego! Już lecę!

Gdy Julia została sama, zdjęła kapelusz i rękawiczki, poprawiła włosy przed lustrem i ruszyła do salonu, dziwnie przejęta. W progu zatrzymała ją jednak dość osobliwa scena: raczej niski, korpulentny mężczyzna stał zafrasowany obok stolika z samowarem, a u jego stóp Aurelka niezdarnie zbierała resztki rozbitej filiżanki.

– Papiu, przepraszam – chlipała. – Nie chciałam. Och, panno Julio! To moja wina! Biegłam i potrałam papę.

Julia szybko zorientowała się w sytuacji. Rozbawiona pomyślała, że najwyraźniej jest to dzień ratowania młodych dziewcząt z opresji.

– Nic się nie stało, Aurelko. Zostaw to, proszę, bo się skaleczysz. Służąca zaraz posprząta. Elżuniu! – rzuciła w stronę korytarza.

– Właśnie, córciu, ty już lepiej niczego nie dotykaj – przytaknął mężczyzna głębokim, łagodnym głosem. – Proszę mi wybaczyć ten niefortunny początek znajomości i pozwolić, że się przedstawię. Emil Laskowic. Sądzę, że mam zaszczyt poznać pannę Julię?

Szpakowaty mężczyzna zmrużył oczy i ukłonił się nieco sztywno z powodu wystającego brzuszka, ukrytego pod elegancko skrojonym jasnym ubraniem. Przyjrzała mu się z dyskretną

ciekawością, szukając rodzinnego podobieństwa. Owalna twarz, krótkie wąsy, eleganckie bokobrody, jasne włosy... – pan Emil nie przypominał jej ani ojca, ani tym bardziej ciotki Barbary.

– Owszem, Julia Zarzevska, bardzo mi miło gościć pana w domu mojej cioci. Proszę wybaczyć jej nieobecność, ale nie spodziewaliśmy się dziś pana wizyty.

– Przyznaję, to moja wina. Nie uprzedziłem o swoim przyjeździe, bo miałem tu być dopiero za tydzień. Cieszę się jednak, że mamy okazję poznać się wreszcie po tylu latach. Kuzynka Basia wiele mi o pani mówiła.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy – zażartowała, nieco skrepowana sytuacją.

– Naturalnie, zawsze panią wychwalała. Już dawno obudziła tym moją ciekawość. Och!

– Proszę uważać! – wyrwało się jej, gdy mężczyzna, cofając się, zawadził o fotel, stracił równowagę i opadł z impetem na siedzenie.

– Przepraszam – sapnął, usiłując się podnieść. – Mam słaby wzrok, a właśnie przed chwilą upadły mi binokle. – Z uroczą bezradnością rozglądał się wokół siebie. – Niestety bez nich wszystko jest zupełnie niewyraźne. Aurelko, pomóż mi, dziecko...

Nie skończył jeszcze mówić, gdy w salonie rozległ się nagle cichy trzask. Dorośli spojrzeli równocześnie w kierunku czerwieniącej się dziewczynki.

– Och, papo! Nie chciałam!

Pod stopą dziecka, obutą w zgrabny trzewik, leżały skrzywione okulary z pękniętym szkłem. Mężczyzna westchnął i z trudem powstrzymał uśmiech.

– To moje binokle, prawda? Oj, córciu, kiedy ty z tego wyrośniesz?

Julii wystarczyło jedno spojrzenie na drżące usta Aurelii. Bez namysłu przejęła kontrolę nad sytuacją.

– Należę świeżej herbaty. Aurelko, nie płacz, takie rzeczy się zdarzają. Elzuniu, gdzie ty się podziewasz?

– Płaczesz, dziecko? – spytał Emil. – Dajże spokój. Przecież w hotelu mam jeszcze drugą parę. Widzi pani, to już nie pierwszy raz. – Mężczyzna nie tracił dobrego humoru. – Przyzwyczaiłem się, że przy mojej córce ciągle są jakieś straty. Ale to nieważne. Nie zamieniłbym tej mojej kochanej niezdarki na żadną inną – stwierdził z wielkim uśmiechem, czym zupełnie rozbroił Julię.

Ostrożnie podała mu nową filiżankę, a dziewczynce podsunęła spodek z konfiturą. W tym momencie weszła służąca i przez krótką chwilę Julia zajęta była usuwaniem rozbitej porcelany. Gdy salon wrócił do normy, kobieta pogładziła dziewczynkę po jasnych włosach.

– Nie martw się. Młode panienki szybko wyrastają z takiej niezgrabności. Moim uczennicom też się zdarzały podobne sytuacje.

– Słyszysz, córciu? Panna Julia ma w tej kwestii doświadczenie.

– Oczywiście. Nie dalej jak kilka tygodni temu moje podopieczne zupełnie niechcący rozsypały po całym pokoju kosztowny puder ich matki...

Urwała, bo wbrew jej woli głos nagle odmówił jej posłuszeństwa.

Przed oczyma mignął jej obraz dwóch dziewczynek ze śmiechem biegnących za uciekającą papużką, która przypadkiem wleciała do sypialni Skrzeczyńskiej. Nagle usłyszała w głowie swój własny stanowczy głos: „Panienki, uważajcie na lustro! Tak nie wolno!” i w tym samym momencie poczuła, że chmura pachnącego pyłu tamuje jej oddech.

W ostatniej chwili złapała się za oparcie krzesła, na którym siedziała nieszczęśliwa Aurelka.

– Przełożona na pensji także starała się być wyrozumiała, ale jej poglądy wychowawcze są bardziej surowe niż pani – stwierdził Emil, z powodu braku binokli nie dostrzegając nagłej błości Julii. – A moja córka jest bardzo wrażliwa, po matce. O, proszę wybaczyć. Przez to zamieszanie nie wyjaśniłem, w jakiej sprawie ośmielałem się tak bez uprzedzenia nachodzić panie.

Julia nie słuchała jego wywodów. Powoli uspokoiła oddech, ale na wszelki wypadek wołała usiąść. Szeleszcząc suknią, przesunęła się ku sofie.

„Boże! Co to było? Ja chyba rzeczywiście nie jestem zdrowa” – pomyślała zaniepokojona, ciesząc się jednocześnie, że tym razem obyło się bez omdlenia.

– Jako nasz krewny nie musi pan mieć szczególnego powodu, by nas odwiedzić – zaproponowała grzecznie, starając się nadać swojemu głosowi normalne brzmienie. – Może zechciałby pan zostać z Aurelką na obiedzie? Ciocia zapewne niedługo wróci.

– Dziękuję, nie będę pań kłopotać. I tak się zasiedziałem. Moja szanowna kuzynka zapewne opowiadała, że prowadzi rozległe interesy. Mam niewiele czasu.

– Owszem. Słyszałam, że jest pan bardzo zajęтым człowiekiem.

– Korzystając z faktu, że wracam przez Warszawę, postanowiłem wstąpić po Aurelię, by nie podróżowała do domu ze służbą. Liczyłem jednak na pomoc kuzynki w pewnej kwestii. Nie wie pani, czy Basia wybiera się do nas na lato?

Zawstydzona Julia przypomniała sobie brudnopis listu, który rano przeczytała.

– Przykro mi, ale ciocia nie wspominała o żadnym wyjeździe – odparła wymijająco. – Jest ostatnio bardzo zapracowana. Nie sądzę, żeby udało się jej znaleźć czas.

– Niedobrze – zmartwił się. – To komplikuje nieco sytuację.

– Coś złego się stało?

– Złego? Ależ nie, po prostu musiałem zmienić decyzje dotyczące edukacji mojej córki. Liczyłem na to, że kuzynka Basia wesprze mnie przez jakiś czas, choćby w okresie wakacji, skoro panna Zofia nie mogła przyjąć mojej propozycji. Znalezienie odpowiedniej guwernantki trochę potrwa, a ja niestety często wyjeżdżam. Nie lubię zostawiać córki wyłącznie pod opieką służby.

– Szuka pan guwernantki? – Julia błyskawicznie odzyskała wigor.

Dziewczynka, która do tej pory siedziała zgarbiona na krześle, skubiąc falbanki przy sukience, także się ożywiła.

– Och, papo, bo ja właśnie dlatego przybiegłam!

– Aurelio, od kiedy to dobrze wychowane panienki wtrącają się do rozmowy dorosłych? – skarcił ją łagodnie. – Widzi pani? To moja wina, że brak jej oglądy. Zbyt długo chowała się pod opieką mojej matki i bony. Sądziłem, że na pensji szybko uzupełni braki, ale to chyba nie był dobry pomysł. Kuzynka Basia także uważa, że dla Aurelii najlepsza będzie porządna edukacja domowa. Nie miałem jednak pojęcia, że znalezienie gruntownie wykształconej nauczycielki, która zechciałaby wyjechać do nas na prowincję, jest tak trudne – mówił wolno, a Julia aż drżała z niecierpliwości, bo nie wypadało jej przerywać. – Byłem niepokojony, gdy otrzymałem telegram z informacją, że panna Zofia jest już zaangażowana. Liczyłem na to, że przyjmie moją propozycję. Doprawdy nie wiem, co zrobię z tym ambarasem.

– Proszę nie sądzić, że się narzucam – wtrąciła się wreszcie, starając się hamować swoją ekscytację. – Tak się składa, że ja jestem wolna i bardzo chętnie zajmę się Aurelką.

– Pani? Jak to?

– Moje wychowanki po wakacjach rozpoczną naukę u siostr prezentek, dlatego odeszłam z posady i właśnie szukam dla siebie nowego miejsca.

Niespodziewana oferta tak zaskoczyła mężczyznę, że aż zastygł z filiżanką w dłoni.

– Och, papciu, ja proszę!

– Poczekaj, dziecko. To wspaniała propozycja, ale nie wiem, co powiedzieć. Galicyjski majątek ziemski to nie miasto w Królestwie, panno Julio. Nie znajdzie tam pani zbyt wielu rozrywek, żyjemy prosto i skromnie.

– Właśnie o tym marzyłam. Poza tym od razu polubiłam Aurelkę i będę zachwycona, jeśli zdecyduje się pan powierzyć mi jej wychowanie.

Mężczyzna uśmiechnął się niedowierzająco.

– Trudno mi doprawdy uwierzyć w takie szczęście. Kuzynka nic mi nie pisała.

– Zapewne dlatego, że wróciłam do domu niecałe dwa tygodnie temu.

– Naprawdę przyjąłaby pani tę posadę?

– Z przyjemnością. O ile moje kwalifikacje panu odpowiadają.

– O tym nawet nie musimy rozmawiać, ale trzeba omówić warunki i przygotować pani wyjazd. Sam nie wiem... – Wydawał się być nieco zdezorientowany.

– Proszę się tym nie kłopotać. Przyjmę każde warunki, a do wyjazdu będę gotowa nawet za kilka godzin. – Uradowana myślała już tylko o tym, że rozwiązanie kilku problemów spada jej jak z nieba. – Oczywiście, jeśli Aurelka również się zgadza.

Dziewczynka aż klasnęła w dłonie.

– Panno Julio! Jeśli tylko nie będę musiała wracać na pensję, obiecuję się pilnie uczyć!

Mężczyzna uśmiechnął się, słysząc radość w głosie córki.

– Przyznaję, że mnie pani zaskoczyła. Rzadko która kobieta jest zdolna do podejmowania tak szybkich decyzji. Kuzynka Basia nie na darmo chwaliła pani obowiązkowość i dobre serce. Nie jestem tylko pewien, jak ona zareaguje na ten nagły wyjazd. Jest do pani bardzo przywiązana.

– Zapewniam, że ciocia także się ucieszy. Nie jadę przecież do obcych ludzi.

– Trafny argument. Chciałbym jednak postąpić uczciwie, dlatego mam inną propozycję.

– Jaką?

– Zapraszam panią do nas w gościnę na całe lato jako krewną. Skoro Basia nie może teraz przyjechać, na pewno zgodzi się ze mną, że to najlepsze wyjście z sytuacji. Przyjrzy się pani naszemu życiu z bliska, a jesienią sama pani zdecyduje, czy chce zostać u nas na dłużej. Zgoda?

Julia odetchnęła. Przez moment bała się, że zbyt otwarcie wystąpiła ze swoją propozycją.

– Oczywiście, że się zgadzam.

– W takim razie ustalone.

– Och, papciu! Dziękuję!

– Chodź, Aurelko. Nie będziemy już dłużej zajmować pani czasu. Proszę się zacząć pakować, wyruszamy jutro po śniadaniu. Czy to pani odpowiada?

– Na pewno będę gotowa.

Odprowadzając gości, uszczęśliwiona Julia niemal unosiła się nad ziemią.

– Moja kochana Włodziwo, koniec naszych kłopotów! – oznajmiła radośnie, gdy tylko dorożka odjechała.

– Jak to?

– Później wszystko Włodziowej opowiem, ale na razie cicho sza. Proszę nic nie mówić ciotce o wizycie kuzyna, dobrze? Sama jej przekażę wieści.

– Dlaczego?

– Chcę jej zrobić niespodziankę. A te wszystkie pyszności poda nam Włodziowa na kolację, bo będziemy dziś świętować.

– Świętować? Co?

– Zobaczysz Włodziowa. Boże, jaka jestem szczęśliwa! Ciocia się bardzo ucieszy z mojej nowiny.

\* \* \*

– Absolutnie wykluczone! – oznajmiła niezadowolona Barbara, odsuwając od siebie talerz z resztkami kolacji. – Nigdzie nie pojedziesz. Zaraz napiszę wiadomość do Emila. W którym hotelu się zatrzymał?

– Ależ, ciotko!

– Nie powinnaś była przyjmować go beze mnie. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, co narobiłaś. Tyle mu zawdzięczamy, a ja teraz muszę po raz kolejny mu odmówić. Rzeczywiście, cudowna niespodzianka! – stwierdziła sarkastycznie, wstając od stołu.

– Nic nie rozumiem. – Zdumiona tą reakcją Julia dogoniła Barbarę w gabinecie. – Ciociu! Przecież to wspaniała propozycja. Aurelka jest taka sympatyczna, a na dodatek będę u krewnych. Czy mogłabym znaleźć lepsze miejsce?

– Chcę, żebyś została przy mnie – odparła stanowczo Barbara, wyjmując z szuflady biurka elegancki papier listowy. – Zwłaszcza teraz, gdy Zosia wyjechała.



– Przecież ma ciocia Włodziewą i Elżunię. Ja i tak bym tu długo nie została. Rola panny na wydaniu zupełnie mi nie odpowiada.

– Już mi to mówiłaś.

Niewzruszona Barbara otworzyła kałamarz, ostrożnie umoczyła stalówkę pióra w atramencie, po czym zamaszystym ruchem zapisała nagłówek.

– Proszę, ciociu, zostaw ten list. Przyznaję, że to nagła decyzja, ale takie posady nie trafiają się codziennie. Musiałam się zgodzić.

– Nie potrzebujesz żadnych posad! Tu jest twój dom. Pozwoliłam ci pracować, żebyś zdobyła trochę życiowego doświadczenia, ale osoba z twoim pochodzeniem...

– Och! – Dziewczyna przerwała jej z irytacją. – Przynajmniej ciocia mogłaby dać spokój z tym pochodzeniem.

– Co takiego?

– Jest ciocia skoliigacona ze znakomitymi rodami i co z tego? Całe życie patrzyłam, jak ciocia sama walczy o lepszy świat dla wszystkich, jak ciężko pracuje. Wychowałam się w tej atmosferze, to mnie ukształtowało. Któż lepiej niż ciocia rozumie, że chcę być użyteczną? Zupełnie nie pojmuję, skąd te protesty.

– Przecież jesteś użyteczna, tutaj, przy mnie.

– Tutaj? Cudownie jest znów mieszkać w domu, ale nie przywykłam do takiej beczynności. – Starannie dobierała słowa, by przypadkiem nie wymknęła się jej uwaga o konieczności zarabiania pieniędzy. – Propozycja pana Laskowica spadła mi jak z nieba.

– Powinnaś była zapytać mnie o zdanie. – Barbara znów sięgnęła do kałamarza, by pod maską stanowczości ukryć targające nią uczucia.

– Wiem, ale wszystko jakoś tak samo się potoczyło. Nie miałam czasu pomyśleć.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? Kiedy przepełniają cię emocje, zwykle działasz bez zastanowienia, dopiero później jesteś zaskoczona konsekwencjami.

– Ciociu...

– Nie wzdychaj! Kto to widział, żeby młoda panna samodzielnie szukała sobie posady jak jakaś służąca? Albo żeby rozmawiała o interesach z mężczyzną. To nie do pomyślenia.

– Przepraszam. – Julia starała się udobruchać ją uległym tonem. – Gdyby chodziło o obcego człowieka, nigdy w życiu bym się nie ośmieliła, ale to przecież nasz krewny.

Barbara przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby się zastanawiała, lecz w końcu pokręciła głową.

– Nie. Powtarzam: nie pojedziesz. Znajdę dla nich inną nauczycielkę.

– Niech mi ciocia wybaczy, ale nie pojmuję tego uporu. Czy propozycja pana Emila jest dla mnie nieodpowiednia? Czy ma ciocia coś do zarzucenia swojemu kuzynowi?

– Nic takiego nie powiedziałam. To dobry, uczciwy człowiek. Najlepszy, jakiego znam.

– A zatem chodzi o mnie. Czyżbym z jakiegoś powodu nie była dość dobra dla Aurelii? – Nastroszyła się, dumnie unosząc podbródek.

– Cóż to za dziwne pytanie? Nie wyobrażam sobie lepszej guwernantki dla tego dziecka.

– Więc dlaczego mi ciocia zabrania? – Straciła nad sobą panowanie. – Czy to z obawy, że niejasna przeszłość mojej rodziny skompromituje pana Laskowica?

Barbara spojrzała na wychowanicę ze zdumieniem.

– Julciu, co ty pleciesz? Jaka prze... Jak mogło ci coś takiego przyjść do głowy?

Dziewczyna wyraźnie się zmieszała.

– Po prostu szukam przyczyny.

Westchnąwszy ciężko, Barbara odłożyła pióro na podstawkę. Cienie szarej godziny zaczęły powoli wkradać się do pokoju, zamazując nie tylko kontury sprzętów. Także wyraz twarzy wciąż pięknej, lecz mocno dojrzałej kobiety, stawał się w zapadającym półmroku z każdą minutą coraz bardziej nieodgadniony.

– Dziecko, ja się po prostu martwię – odparła cicho, zmęczonym głosem.

– O co? O kogo?

– Tyle lat byłeś przy mnie, zawsze gdzieś w pobliżu. A teraz chcesz wyjechać aż na galicyjską peryferię. Beze mnie? To bardzo daleko.

– Przecież będę pisała, nawet codziennie – powiedziała Julia miękko. – A poza tym Galicja to nie koniec świata. Ten wyjazd naprawdę dobrze mi zrobi. Zresztą, może ciocia zmieni zdanie i zdecyduje się do nas dołączyć?

– Zmienię zdanie?

– Pan Emil wspominał o zaproszeniu na lato do swojego dworu – wybrnęła szybko.

– Mówił o mnie?

– Oczywiście, bardzo przyjaźnie.

– Przyjaźnie...

W głosie kobiety zabrzmiało coś na kształt rozczarowania, co zaskoczyło Julię.

– Pojedzie ciocia z nami?

– Bardzo bym chciała, ale na razie nie mogę opuścić Królestwa. – Zachmurzyła się. – Sprawy finansowe – dorzuciła szybko, widząc pytające spojrzenie podopiecznej. – Mecenasa potrzebuje mnie tutaj, na miejscu.

– To wielka szkoda. Ja jednak muszę pojechać. I pojedę. Złożyłam panu Laskowicowi obietnicę, nie mogę się teraz wycofać. Co by sobie o nas pomyślał? Rozumie mnie ciocia, prawda?

– Tak, dziecko, rozumiem. Jednak boję się o ciebie.

– Dlaczego?

– To nie takie proste. Przede wszystkim ostatnio źle wyglądasz. Twierdzisz, że nic ci nie dolega, ale odnoszę wrażenie, że czegoś mi o sobie nie mówisz.

– Ależ skąd. – Speszyla się.

– Doprawdy?

– Trochę źle sypiam, to wszystko.

– Przecież mam oczy. Prawie nie jesz, zamyślasz się i ciągle mówisz o wyjeździe z miasta. Może zakochałaś się w kimś nieodpowiednim? – To pytanie z wyraźnym trudem przeszło Barbarze przez gardło. – Czy dlatego chcesz stąd uciec tak daleko?

– Ja? – Zaśmiała się rozbawiona. – Cóż za imaginacja! Przecież w ogóle nie mam romansowej natury. Po prostu potrzebuję swobody, przestrzeni. A tu w mieście? Tysiące złośliwych oczu, które oceniają człowieka na każdym kroku.

– Nie przesadzaj.

– Cioci nie męczą całe to okoliczne towarzystwo? Mam dość obłudy tych niedzielnych chrześcijanek, które przy każdym deserze elegancko konsumują swoich bliźnich aż do ostatniej kosteczki. Sowiecie opróżniają ich przy tym solą.

– Ciekawe porównanie. Niestety, wychowałaś się w domu skandalistki i to zawsze będzie ciążyć na twojej opinii. Przykro mi.

– Tym razem nie chodziło o ciocię.

– Nie? A o kogo?

Julia szybko się zreflektowała.

– O nikogo. O mnie. Chcę po prostu zobaczyć trochę świata. Czy to takie dziwne?

– W twoim wieku? Bynajmniej. Cóż, skoro twierdzisz, że nic złego się za tym nie kryje, ufam ci.

– Dziękuję, ciociu. Naprawdę nic mi nie jest. Martwiłam się brakiem zajęcia, opuszczeniem moich uczennic. To wszystko. Na wsi u pana Emila szybko odzyskam dobry humor.

– Tego właśnie nie jestem pewna – mruknęła Barbara.

– Dlaczego?

– Och, dziecko. Czy wiesz, gdzie leży jego posiadłość?

– Nie. A to ma jakieś znaczenie?

– Być może. Dla ciebie.

Julia poczuła, że ma już dość tej dziwnej zabawy w kotka i myszkę.

– Nie pojmuję. O co tak naprawdę cioci chodzi?

– Dwór Emila stoi wśród wzgórz nad rzeką. Minęło wiele lat od czasu, gdy ostatnio widziałam to miejsce. – W głosie kobiety zabrzmiała melancholia. – Byłam jeszcze panną, tuż po zaręczynach. Przyjechałam z rodzicami w odwiedziny do pani Leonii Laskowicowej, matki Emila. Dwadzieścia sześć lat temu. Tak dawno, a wydaje się, jakby to było wczoraj – szepnęła.

W tym momencie do pokoju wsunęła się Elżunia, poprzedzana przez krąg ciepłego światła bijącego od ozdobnej lampy naftowej. Bez słowa postawiła ją na stoliku pod oknem, uregulowała wysokość knota i wyszła równie cicho, jak się pojawiła.

Dwie kobiety siedzące przy biurku mogły wreszcie spojrzeć na siebie. Julia dostrzegła zafrasowaną zmarszczkę na czole ciotki, Barbara – niecierpliwość we wzroku dziewczyny.

– Myślę, że wiele się w tamtej okolicy zmieniło, ale nie wszystko. Nawet jeśli las po drugiej stronie rzeki zamienił się w gęsty bór, zapewne i tak z okien dworu będzie można dostrzec wzgórze i pałac.

– Jaki pałac?

– Twój, Juleńko.

– Słucham?

– Niestety, posiadłość Emila leży w twoich rodzinnych stronach. Masz niewiele czasu, by się zastanowić, czy jesteś gotowa wrócić tam i codziennie znosić ten widok. Widok domu, który musiałoś porzucić.

## ROZDZIAŁ VI

Barbara nie zmrzyła oka przez całą noc. Niespokojna o decyzję Julii zamknęła się w gabinecie i usiłowała pracować, ale nie zdołała napisać nic sensownego. Rozmyślała.

Pokochała tę dziewczynę jak własną córkę i chciała ją chronić przed każdym złem czy przykrością, która mogła ją spotkać. Rozsądek podpowiadał, że aktualna sytuacja znacząco się różniła od tej sprzed lat: Julia nie była już przerażonym, chorym dzieckiem, lecz dorosłą kobietą. Mimo najszczerzych chęci Barbara nie mogła przez całe życie nad nią czuwać. Serce jednak miała pełne obaw i złych przeczuć.

Niespodziewany upór dziewczyny bardzo ją zaskoczył. Gdyby Julia chciała wyjechać w jakiegokolwiek inne miejsce, nie miałyby nic przeciwko temu. Jednak ostatecznie jej zachowanie było niepokojące, a w tej sytuacji wyjazd w rodzinne strony wydał się Barbarze złym pomysłem.

Gdyby przynajmniej mogła pojechać z Julią i wszystkiego dopilnować! Mimo że bardzo tego pragnęła, w tym momencie nie mogła opuścić miasta. Nikt poza mecenasem nie wiedział, że władze za bardzo się nią ostatnio interesowały z powodu tej nieszczęsnej księgarni. Na dodatek wspólnik, któremu powierzyła całe oszczędności, zniknął jak kamfora, zostawiając jej na głowie śledztwo oraz długi.

Starła się chronić Julię przed informacjami o własnych kłopotach, dlatego powierzenie jej opiece Emila byłoby idealnym rozwiązaniem, gdyby nie obawa, że obecność panny Zarzewskiej wzbudzi niezdrową sensację wśród okolicznych mieszkańców.

Z własnego doświadczenia wiedziała, jak bolesne mogą być ludzkie słowa, uwagi i komentarze, gdy już ruszy lawina gadulstwa. Dodatkowo przestraszyła się na myśl, czego Julia może się dowiedzieć o swojej rodzinie, skoro nawet krewnym tak trudno było oddzielić fakty od zasłyszanych opowieści.

„Jej obecność na pewno obudzi w ludziach dawne zmory – dumąla zmartwiona. – Gdybym tylko mogła wyperswadować jej ten wyjazd! Ale z drugiej strony, nie mam prawa. Aż dziw bierze, że do tej pory nie wyraziła życzenia, by odwiedzić groby swoich bliskich. Może powinnam ją ostrzec? – zastanawiała się, popijając ziółka od doktora, by złagodzić męczący kaszel. – Ale jak to zrobić, nie obrażając pamięci zmarłych? Zwłaszcza Henryka. Mam zniszczyć wyobrażenia córki o ojcu? Nie mogę. Nikt nie chciałby się dowiedzieć, że jego rodzic był nieczułym despotą, który dla spokoju żony i pieniędzy teścia zniszczył cudze życie. Biedna Oleńka! Cóż miała zrobić, skoro brat dał jej wybór: wyjść za starca albo zamknąć się w klasztornych murach... Boże, nigdy nie pozbędę się tego ciężaru z serca! Gdybym rozsądniej postąpiła z moim mężem, być może wszystko potoczyłoby się inaczej – wyrzucała sobie w duchu. – Najgorzej jednak, że Oleńka to nie jedyna ofiara Henryka. Była przecież jeszcze ta druga kobieta... O ile rzeczywiście była. Dlaczego nie przeczytałam tamtego listu do końca? Miałabym przynajmniej pewność, że Henryk... Nie, Julia stanowczo nie powinna tam jechać!”

Gdy pierwszy brząsk świtu rozjaśnił ciemność za oknem, Barbara nie wytrzymała. Stąpając jak najciszej, zbliżyła się do sypialni Julii i nastawiła ucha. Niespodziewanie drzwi się uchyliły.

– Dzień dobry, ciociu, wejdz proszę.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

– Przy tak skrzypiącej podłodze trudno coś ukryć w tym domu. Zasługuje ciocia na lepsze miejsce do życia.

– Dobrze, że mamy choć takie.

– Może niedługo znajdą się pieniądze na wygodniejsze lokum. Tu jest wilgotno, pewnie stąd ten cioci kaszel. Trzeba z tym coś koniecznie zrobić.

– Dziecko, daj spokój. – Mile ujęta jej troską, rozejrzała się po pokoju.

Od razu się zorientowała, że dziewczyna już podjęła decyzję. Obok szafy stał spakowany kufer, na stoliku pudło z kapeluszami i skórzana torba, a na łóżku leżała podróżna suknia. Poczula ukłucie niepokoju w sercu, ale pomyślała, że nie ma sensu dłużej odwozić jej od wyjazdu. Bez słowa pomogła Julii przy sznurowaniu gorsetu.

– Nic ciocia nie powie? – Dziewczyna pierwsza nie wytrzymała.

– Nie. Skoro już zdecydowałaś, jedź. Nie mogę cię zatrzymywać.

– Proszę, niech się ciocia nie martwi. Naprawdę wszystko przemyślałam i uważam, że to najlepsze wyjście w naszej sytuacji.

– Jakiej sytuacji?

– Chciałam powiedzieć: najlepsze rozwiązanie dla wszystkich. – Julia szybko się poprawiła. – Ja będę mieć pracę, Aurelka dobrą opiekę, a pan Emil pozbędzie się zmartwienia. Zresztą, złożyłam obietnicę i nie mogę się wycofać. Nie chcę.

– Wiem, dziecko – westchnęła ciężko.

Obie czuły się skrępowane, bo każda z nich ukrywała coś przed drugą. Zamyślona Barbara sięgnęła po szczotkę i pomogła dziewczynie upiąć ciemne włosy, tak by w podróży dobrze trzymały się pod kapeluszem. Julia z pewnym smutkiem poddała się delikatnym dłoniom ciotki.

„Strofowałam Zosię, że nie chciała wyjeżdżać, a teraz sama się boję. Ale muszę to zrobić! Los sam podsuwa mi okazję. Dowiem się na miejscu, ile prawdy jest w tych ohydnych plotkach! Gdyby biedna ciocia wiedziała, po co naprawdę tam jadę, nigdy w życiu by mnie nie puściła” – przyszło jej do głowy.

– Jestem gotowa. Pójdę pomóc Włodziewej przy śniadaniu.

– Poczekaj... – Barbara nagle spanikowała.

Pomyślała, że jeśli wyjdą z pokoju, nie nadarzy się już okazja, by uprzedzić Julię o pewnych sprawach. Przestraszyła się, że pozostawi ją bezbronną wobec ludzkich języków.

– Chciałam ci jeszcze o czymś powiedzieć. Usiądź tu koło mnie.

– Teraz?

– To ważne.

– Słucham, ciociu.

– Nie muszę przed tobą ukrywać, że wiele w życiu przeszłam i dokonałam niełatwych wyborów. Myślę, że Włodziewa przez te lata niejedno ci o mnie opowiedziała. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Ale może to i dobrze. Lepiej uczyć się na cudzych błędach niż na własnych.

– Do czego ciocia zmierza?

– Jesteś dorosłą kobietą, lecz wciąż niedoświadczoną. – Westchnęła. – Ja już przywykłam do tego, że cokolwiek w życiu robimy, inni wciąż nas oceniają, nie zawsze sprawiedliwie. Widzę jednak, że ciebie męczy ludzka uwaga. Dlatego chcę, żebyś pamiętała o jednym: cokolwiek usłyszysz na temat Zarzewskich, najważniejsze jest to, że ty nie zrobiłaś niczego złego. Kto przed Bogiem ma czyste sumienie, nie musi się wstydić.

– Nie rozumiem.

– Obawiam się, że tam, na miejscu, nie znajdziesz spokoju, którego szukasz. Ludzie wszędzie mają podobne przywary.

– Ach, o to chodzi. Obiecuję, że dla dobra Aurelki postaram się nie dawać powodów do plotek.

– To nie wystarczy. Ludzie szybko odkryją, kim jesteś. Minęło wiele lat, ale nie możesz się ludzi, że miejscowi zapomnieli o twoim rodzie. Musisz być przygotowana na to, że za twoimi plecami będą wygadywali różne rzeczy. Dziwię się, że kuzyn Emil nie wziął tego pod uwagę.

– Widocznie się tym nie przejmuje. Cóż mogą mi zrobić? Poszeptać trochę i szybko im przejdzie.

– Julia próbowała nadać głosowi lekceważący ton, ale Barbara wyczuła jej zdenerwowanie. – Może nawet będą mi współczuć? Nieszczęsna porzucona sierotka odarta z dziedzictwa przez pruskiego wuja... Powinnam tym zrobić odpowiednie wrażenie na okolicznym towarzystwie.

– Nie żartuj w taki sposób. Pamiętaj, że gdy Emil znów wyjedzie w interesach, będziesz zdana tylko na siebie.

– Czy ciocia odrobinę nie przesadza? Czego miałabym się obawiać w pięknym polskim dworze?

– Oczywiście, że nie musisz się niczego obawiać, Juleczko, ale... Nie pojdziesz moich obiekcji, dopóki nie opowiem ci pewnej historii.

– Historii? Mam niewiele czasu.

– To ważne, posłuchaj, proszę – upierała się, a jej zafrasowana mina skłoniła Julię do

zamilknięcia. – Żyli kiedyś dwaj przyrodni bracia. Byli do siebie bardzo przywiązani i zgodnie gospodarowali w rodzinnym majątku, wspólnie opiekując się matką. Mieli też starszą siostrę, która wyszła za mąż i zamieszkała z dala od nich. Braciom układało się dobrze, ale do czasu. Pewnego dnia... – Zawahała się. – Pokłócili się o coś na śmierć i życie. Ponieważ cały majątek na mocy testamentu babki należał do starszego z braci, postanowił on wygnać młodszego z dworu w przysłowiowej jednej koszuli. Oburzona tym postępkami matka odeszła w ślad za młodszym synem. Zamieszkali niedaleko, w małym folwarku, który młodszy syn odziedziczył po swoim ojcu. Wybudował tam skromny dom i wkrótce wprowadził do niego ukochaną żonę. Było im na początku ciężko, ale życie jakoś się toczyło. Natomiast starszy z braci zaciął się w swoim gniewie. Wkrótce i on także się ożenił, z bogatą szlachcianką, która urodziła mu dwoje dzieci, syna i córkę. Nie znalazł jednak szczęścia i myślę, że jego żona także była nieszczęśliwa, dlatego wiele goryczy przelała na swojego synka.

– Co to za opowieść?

– Widzisz, Julciu, ten młodszy wygnany z majątku brat nazywał się Kazimierz Laskowicz. Był ojcem Emila. Starszy z przyrodnych braci to twój dziadek, Julian Zarzewski. Widziałaś ich na rysunku, który ci pokazywałam. Pamiętasz?

– Pamiętam – odparła zaskoczona Julia. – Więc to jest prawdziwa historia?

– Tak. Julian nigdy nie pojednał się z Kazimierzem ani nie przebaczył matce, że wybrała drugiego syna i odeszła. Sam również nie umiał poprosić o wybaczenie. Był zbyt dumny i uparty. To nasze rodowe cechy, niestety. Nawet interwencja ich siostry nie pomogła. Okolica była świadkiem wielu przykrości, które bracia wyrządzili sobie przez lata. Dopiero śmierć ich połączyła, bo obaj zginęli w pożarze starego dworu.

– To bardzo smutne. Dlaczego właśnie teraz ciocia mi o tym opowiada?

– Nie chcę, by ktoś zaskoczył cię tą historią i sprawił ci przykrość. Ten spór między braćmi zaważył nie tylko na losach naszych rodzin, lecz również okolicznych mieszkańców. Niestety, Julian nigdy nie był tam dobrze wspomniany, a to przecież twój dziadek.

– Rozumiem, ale to stare dzieje.

– Ludzie tak szybko nie zapominają. Poza tym niechęć do Zarzewskich objęła też innych członków rodziny.

– Jak to?

– Widzisz, żona nie miała chyba przy Julianie łatwego życia, więc zgorzkniała i stała się niemiłą osobą. Przykrą dla wszystkich.

– Moja babka Ksawera?

– Tak. Nienawidziła Laskowiczów i miejsca, w którym przyszło jej żyć. Pewnie dlatego po rabacji uciekła z dziećmi do Prus. Po śmierci męża nie miała już powodu, by zostawać. Sądzę, że wychowała twojego ojca twardą ręką, dlatego on także nie miał łatwego charakteru. Nie udało mu się naprawić opinii Zarzewskich. Sądzę, że nawet nie próbował.

Julia słuchała w milczeniu, pozornie zachowując spokój. Niespodziewane wyznanie ciotki, do której miała bezgraniczne zaufanie, zdawało się częściowo potwierdzać to, co feralnego popołudnia podsłuchała u Skrzeczyńskiej – jej ojciec nie cieszył się dobrą reputacją. Kąśliwe komentarze obu pań nie były zatem całkowicie bezpodstawne. Ta myśl bardzo ją zabolowała.

Choć sama nosiła w sercu wielki żal do ojca, nigdy nie sądziła, że inni ludzie również mogą mieć mu coś do zarzucenia. Opowieść Włodziewic o wielkiej kłótni, do której doszło przed laty pomiędzy Henrykiem Zarzewskim a Barbarą, była pierwszym niemiłym odkryciem. Teraz okazywało się, że to może być dopiero początek.

Mimo że jeszcze kilka dni temu nie myślała o niczym innym, jak tylko o tym, by dowiedzieć się prawdy o rodzicach i zamknąć usta oszczercom, w tym momencie opadły ją poważne wątpliwości. Taktowna i dobra Barbara nie czyniłaby takich przykrych aluzji, gdyby nie miała ku temu podstaw.

– Opowiadam ci o tym, żebyś zrozumiała, dlaczego twój wyjazd mnie niepokoi – mówiła ciotka z wyraźną przykrością. – Chcę cię ochronić.

– Przed czym?

– Przed ludzkimi językami. Jeśli ty, wnuczka Juliana i Ksawery Zarzewskich, zostaniesz nauczycielką wnuczki Kazimierza i Leonii Laskowiców, miejscowi przypomną sobie o was wiele przykrych historii. O ile znam ludzką naturę, szybko znajdą się tacy, którzy z upodobaniem wypomną ci grzechy przodków. Musisz być na to gotowa.

„ Czulaam, że to będzie trudne – westchnęła Julia w duchu. – Ale nie cofnę się. Już za późno”.

W tym momencie do drzwi zapukała Włodziowa i zabrała obie kobiety do jadalni. Zrzędcząc po swoim, podsuwała Julii najlepsze kaski, lecz dziewczyna niewiele zdołała zjeść.

– I po co człowiek tak się stara? – marudziła słuźka. – Dogodzić chciałam panience przed wyjazdem, a tu ani jedna, ani druga nie tknęła śniadania. Tyle dobra się marnuje.

– Dziękuję, Włodziowo, ale naprawdę nie mogę nic przelknąć. – Julia starała się uśmiechem złagodzić dziwny nastrój panujący przy stole. – Możesz być pewna, że będę tęsknić za twoją wspianiałą kuchnią.

– E tam! – Staruszka pociągnęła nosem. – Panienka ino tak mówi.

– Nie kłamie. Skoro jednak mówimy o marnowaniu jedzenia: czy Włodziowa pamiętała o tym nieszczęśniku pod kościołem, tak jak prosiłam?

– No pewnie. Posłałam do niego piekarnię z samego rana. Ja tego ślepcę znam, panienko. Dobry to człowiek, choć dziwny. Niech się panienka nie martwi, o wszystko tu zadbam. O panią Barbarę też. Proszę, pigułki od doktora, niech pani Barbara połknie. Oho! Chyba słyzałam powóz!

Julia aż się wyprostowała na krześle. Spojrzały na siebie z ciotką.

„ O nie! – Zdenerwowała się Barbara w duchu. – Jeszcze nie! Powinnaam jej opowiedzieć o Henryku i Oleńce, zanim usłyszy plotki o tym, jak brat skrzywdził siostrę. Ale z drugiej strony, nie mam pewności, czy ktoś poza mną o tym wszystkim wie. Co robić?”

„ To już! – pomyślała w tym samym momencie Julia. – Boże, co ja najlepszego narobiłam?!”

\* \* \*

– Tak, to powóz jaśnie pana Laskowica – poinformowała Włodziowa, wyglądając przez okno. – Przyjechali po panienkę.

– Już? – wyrwało się ciotce, jakby ten przyjazd nie był od wczoraj zapowiedziany. – Niech Włodziowa otworzy gościom drzwi i zajmie się wszystkim.

Julia podniosła się ze swojego miejsca.

– To ja pójdę dopilnować ludzi, żeby dobrze umieścili bagaże.

– Poczekaj, dziecko.

– Tak?

– Chciałam jeszcze... powinnaam...

W tym momencie do pokoju wbiegła w podskokach Aurelka wystrojona w nową letnią sukienkę i zgrabny kapelusik – elegancki wizytowy strój, który zupełnie nie nadawał się do podróży.

– Dzień dobry, pani Basiu! Dzień dobry, panno Julio! – Ledwo zdążyła dygnąć w progu i natychmiast zaczęła się obracać wzdłuż stołu jak baletnica, a wszystkie koronki i falbanki wirowały razem z nią. – Proszę spojrzeć, jaką śliczną sukienkę przywiózł mi papcio z Warszawy! Jest dłuższa, bo urosłam. Jestem już prawie panną. Papcio pozwolił mi ją włożyć, żeby się mogła pochwalić. Ach, jak się cieszę, że już jedziemy do domu, panno Julio!

Kobiety patrzyły w milczeniu na płaśające po jadalni dziecko, jak na osobliwego kolorowego motyla, który przez przypadek wpadł niespodziewanie do pokoju. Dopiero głos Elżuni dobiegający z korytarza wyrwał je z zapatrzenia:

– Proszę tędy, jaśnie panie.

– Aurelko, gdzie ty się podziałaś? – W progu jadalni pojawił się elegancki Emil. – O, jest moja droga kuzynka. Jakże się cieszę, Basiu, że wreszcie cię widzę... – Ruszył w kierunku Barbary, która stała bliżej wejścia, lecz raptem zamarł w pół gestu powitania.

Jego krzaczaste brwi powędrowały w górę, wysoko ponad szkiełka binokli, przez które ze

zdumieniem patrzył na Julię. W jednej chwili zbladł, zachwiał się i chwycił za serce.

– Wszelki duch!

Barbara błyskawicznie znalazła się przy nim i podparła go ramieniem.

– Emilu! Co ci jest?! Julka, krzesło!

– Papciu!

– O Boże! – wyszeptał, szarpiąc za kołnierzyk koszuli, jakby nagle zbrakło mu tchu.

– Papciu kochany, co ci jest?

– Elżuniu, otwórz szerzej okno i zabierz stąd dziecko! – zarządziła Barbara. – Julio, przynieś zimnej wody, kompres i moje sole trzeźwiące, a żywo!

Dziewczyna błyskawicznie spełniła polecenie. Gdy wróciła do jadalni, zastała ciotkę siedzącą obok krewnego. Pochylona w jego stronę delikatnie chłodziła go swoim wachlarzem.

– ... Aurelka zbiła wczoraj moje binokle, a wiesz, jak źle bez nich widzę – tłumaczył jej coś cicho. – Wybacz, Basiu, jeśli cię wystraszyłem.

– Nie masz za co przeproszać, ale chyba trochę wyolbrzymiasz. Ja nigdy nie zwróciłam na to uwagi.

– Skoro tak twierdzisz.

– Czujesz się już lepiej?

– Owszem, dziękuję. Jesteś taka dobra.

– O, Julcia. Na szczęście krople nie będą potrzebne. – Zmieszana Barbara na widok wychowanki dyskretnie odsunęła się od mężczyzny i złożyła wachlarz na podółku.

– Tak, już wszystko w porządku.

– Proszę się jednak napić, woda pana orzeźwi.

Zaintrygowana ich minami Julia podała mu szklanę.

„O czym tak szeptali? Co tu się dzieje?” – zastanawiała się w duchu, unikając wzroku mężczyzny, który wodził za nią dziwnym spojrzeniem.

– Dziękuję za troskę. Mój krawiec ostatnio chyba się pomylił, bo kołnierzyki nieco mnie cisną i stąd zapewne ten zawrót głowy – tłumaczył łagodnym tonem, jakby chciał je dodatkowo uspokoić.

– Może zechcesz chwilę odpocząć w gościnnym pokoju, drogi kuzynie? – Barbara przybrała oficjalny ton.

– Nie, dziękuję. Powinniśmy ruszać jak najprędzej. Trzeba tylko pomóc Aurelce przebrać się w podróżną sukienkę.

– Oczywiście, pokojówka zaraz się tym zajmie. Zaczekaj tu, proszę. Kołnierzyk kołnierzykiem, ale jestem pewna, że źle się odżywasz w podróży. Nie wypuszczę cię bez porządnego posiłku.

– To naprawdę zbędne.

– Zaraz wydam dyspozycję w kuchni – stwierdziła Barbara głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Julio, chodź ze mną.

Gdy tylko znalazły się na korytarzu, dziewczyna nie wytrzymała:

– Ciociu, co tam się stało?

– Przecież słyszałaś. To przez ciasny kołnierzyk.

– A dlaczego pan Emil tak dziwnie na mnie patrzył?

– Jesteś śliczną młodą kobietą, więc patrzył.

– Niech ciocia nie żartuje. Wyglądał tak, jakby się mnie przestraszył.

– Ciebie? Daj spokój. Po prostu zawstydził się nagłej niedyspozycji w towarzystwie dam. Cóż w tym dziwnego? Lepiej zajmij się Aurelką. – Podminowana Barbara ucięła dyskusję. – Trzeba się pospieszyć. Aha, i nie wspominaj już proszę o tej sytuacji. Mężczyźni nie lubią, gdy się rozpamiętuje ich słabości. Sprawiałabyś mu przykrość.

– Dobrze, ciociu – odparła, choć wyjaśnienia ciotki jej nie przekonały.

Czuła, że coś się kryje za tą dziwną sceną w jadalni, ale póki co musiała powściągnąć swoją ciekawość.



## ROZDZIAŁ VII

*Czerwiec 1888 roku, Galicja Zachodnia*

*Droga Ciociu!*

*Piszę już z Królestwa Galicji i Lodomerii. Właśnie kończymy postój w przydrożnym zajeździe i ruszamy dalej. Tak, jak Ciocia przewidywała, podróż jest długa i męcząca, ale cieszę się każdą chwilą.*

*Nigdy nie jechałam koleją, może sobie zatem Ciocia wyobrazić, jak wielką czerpałam z tego doświadczenia przyjemność. Gdy w Warszawie wkroczyliśmy na Dworzec Wiedeński, nawet Aurelka zdawała się mniej zaciekawiona i podekscytowana niż ja. W tym wielkim gmachu pełnym ludzi i hałasu to raczej ona czuwała nade mną, a nie odwrotnie. Naturalnie pan Emil wszystkiego dopilnował i zadbał o nasze wygody w poczekalni, lecz koniec końców to Aurelka sprawiła, że nie przegapiliśmy ostatniego dzwonnka na pociąg.*

*Wczoraj dotarliśmy do granicy, w miejscu zwanym Maczków. Dalej moglibyśmy pojechać drugą koleją na Kraków, lecz okazało się, że czekały już na nas konie rozstawnie pana Emila. I tak z nowoczesności powróciliśmy w przeszłość. Jednak powóz jest przestronny i wygodny, a wierzchowce znakomite, więc narzekać nie mam powodu, choć zdziwiło mnie, że wyruszyliśmy w dalszą podróż od razu, przed świtem, zamiast szukać noclegu. Pan Emil wyjaśnił mi jednak, że taka była konieczność. Stangret jest podobno bardzo doświadczony, a na koźle siedział także kamerdyner, byłam zatem spokojna, że dwie pary oczu wypatrzą każde niebezpieczeństwo, zwłaszcza że dzięki pełni księżyca mieliśmy dobrą widoczność.*

*Wiem, że martwi się Ciocia zdrowiem pana Emila, dlatego spieszę uspokoić, że wszystko jest w najlepszym porządku. Tamten zawrót głowy rzeczywiście musiał pochodzić od zbyt ciasnego kołnierzyka. Zgodnie z Cioci zaleceniem staram się dyskretnie dbać o wypoczynek pana Emila, na ile to możliwe w podróży. Cały czas zajmuję Aurelkę różnymi zajęciami, by nie męczyła ojca swoim szczebiotem. Im bliżej bowiem celu, tym bardziej dziewczynka się ożywia, choć zapewne trudno będzie to sobie Cioci wyobrazić po tym ekstatycznym tańcu, który zaprezentowała nam w jadalni. Wszędzie jej pełno. Widać wyraźnie, że jest po prostu szczęśliwa. Dziś opowiadała mi o stadninie ojca. Nie mówiła mi Ciocia, że te konie są cenione we wszystkich trzech zaborach.*

Julia uniosła głowę znad kartki papieru listowego. Przez okno zajazdu, w którym odpoczywali, spojrzała na Emila. Z niezadowoloną miną tłumaczył coś chłopakowi pojącemu wierzchowce. Z powodu zaokrąglonej sylwetki mężczyzna mógł z daleka sprawiać wrażenie spokojnego poczciwiny, a jednak każdy, kto spojrzał mu w twarz lub usłyszał jego głos, od razu wiedział, jak stanowczy, konkretny i pewny siebie był to człowiek. Tylko przy Aurelce i Barbarze jego głos wyraźnie mięknął, a ostatnio także przy niej, co odkryła, gdy ruszyli w drogę.

Już na początku podróży zauważyła, że w jego zachowaniu coś się wyraźnie zmieniło. Podczas ich pierwszego spotkania mężczyzna był otwarty, zaciekawiony i nieskrępowany w rozmowie z nowo poznaną krewną. W pociągu zaś głównie milczał, chowając twarz za gazetą. Kilka razy złapała jego ukradkowe spojrzenia, z których trudno było jednak cokolwiek wyczytać. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że ta dziwna scena w jadalni, gdy pan Emil niemal zasłabł, miała z tym coś wspólnego.

„Ciekawe, o czym szeptali – zastanawiała się. – Może to jakieś sekret pana Emila?”

Życie z Barbarą pod jednym dachem nauczyło ją, że w kwestii cudzych tajemnic ciotka zachowywała pełną dyskrecję. Była przeciwieństwem wszystkich plotkarek bezkrytycznie mielących językiem na lewo i prawo, z nudów lub zazdrości.

„Nie powinnam zawracać sobie tym głowy. Mam dość własnych zagadek do wyjaśnienia” – pomyślała, niepokojąc się w głębi ducha tym, co poczuje, gdy znów postawi stopę na rodzinnej ziemi, z której ojciec wywiózł ją niemal dziewiętnaście lat temu.

Nastroje podróżników poprawiły się, gdy przesiedli się do powozu czekającego przy granicy. Senna Aurelka zamilkła, a Emil wyraźnie poczuł się u siebie i zmienił ton na serdeczny. Troskliwie zadbał, by mogły się wygodnie usadowić i zdrzemnąć, a sam usiadł w rogu obok okna. Julia objęła ramieniem zmęczoną dziewczynkę i znów pogрузyła się w rozmyślaniach.

Ostatnie wydarzenia uświadomiły jej, że dłużej nie może żyć bez prawdziwych wspomnień. Znów, jak w dzieciństwie, poczuła się zagubiona, niepewna siebie, a chwilami nawet bezbronna. Początkowo starała się ignorować to odczucie, ale wracało ze zdwojoną siłą po każdym kolejnym koszmarze. Niemożność zweryfikowania faktów i oddzielenia ich od wymyślonych w dzieciństwie historyjek wzbudzała w niej irytację. Dręczyło ją przeświadczenie, że zaniedbała coś ważnego, co dotyczyło jej rodziny, ale nie umiała sprecyzować, co to było.

Dlatego właśnie, mimo protestów ciotki, zdecydowała się przyjąć propozycję Emila. Uznała, że los sam podsuwa jej rozwiązanie palącego problemu, nie mogła więc go odrzucić tylko dlatego, że myśl o powrocie w rodzinne strony budziła niezrozumiały lęk. Postanowiła, że nie będzie dłużej uciekać: albo pokona mgłę spowijającą jej pamięć, albo od ludzi dowie się prawdy o wydarzeniach, które zniszczyły jej dzieciństwo.

„Może wystarczy, że zobaczę mój dom? Może wtedy wszystko mi się przypomni?” – pomyślała jeszcze z nadzieją, zanim zapadła w drzemkę.

Gdy ranem obudził ją szczebiot Aurelki, zbliżali się właśnie do zajazdu.

– Już niedaleko, panno Julciu! – Podekscytowana dziewczynka przykleiła nos do szyby.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdził Emil. – Proszę o chwilę cierpliwości. Niedługo zatrzymamy się na postój. Mają tam dla nas przygotowane pokoje i służbę. Będziecie mogły z Aurelką odpocząć, posilić się.

– Och, papciu, jaka jestem głodna! Aż mi burczy w brzuchu.

– Aurelko, takich rzeczy nie mówi się przy mężczyznach – szepnęła jej do ucha rozbawiona Julia.

– Nawet przy papie.

– Przepraszam, już nie będę. – Dziewczynka się speszyła.

– Nareszcie nie muszę się martwić o twoje wychowanie. Widzę, że jesteś w dobrych rękach, dziecko.

Chcąc oszczędzić dziewczynce zażenowania, Julia zmieniła temat i spytała o konie, które tak szybko i sprawnie wiozły ich przez całą noc. Tylko to, poza nudnym omawianiem pogody, przyszło jej do głowy. Niespodziewanie okazało się, że sprawiła Emilowi olbrzymią przyjemność.

– Owszem – przyznał z dumą. – Miałem sporo szczęścia. Udało mi się doprowadzić do świetności stadninę założoną przez mojego ojca, Kazimierza. Odziedziczyłem po nim kilka wspaniałych wierzchowców, ale powodzenie hodowli zawdzięczam głównie mojej nieodżałowanej matce.

– Jak to?

– Wiele lat temu rozkradziono większość naszych koni podczas... – Spojrzał na córkę, zapatrzoną w widok za oknem pojazdu, i chrząknął znacząco. – W tysiąc osiemset czterdziestym szóstym roku. Rozumie pani?

– Naturalnie.

– Wyłącznie dzięki matce i kilku wiernym służącym udało się ocalić wtedy najcenniejsze zwierzęta.

– Pamięta pan tamte czasy?

– Niezbyt wyraźnie. Miałem zaledwie sześć lat. Wielu niewinnych ucierpiało... – Zamilkł.

Julia także milczała, nie tylko ze względu na obecność dziecka. Ciotka wyjaśniła jej kiedyś, że było wiele powodów, dla których szlachta galicyjska zachowywała milczenie na temat okrutnej rzezi, jakiej dopuściło się chłopstwo podjudzone przez władze austriackie. Choć minęło wiele dekad, ludzie wciąż żyli wśród grobów swoich bliskich, ruin spalonych dworów czy plebanii. Każdy próbował jednak znaleźć drogę powrotu do normalności. Jedni woleli po prostu zapomnieć, inni szukali winy w sobie. Goście, licznie odwiedzający przed laty salon Barbary, nieraz przywoływali to zdarzenie jako argument w dyskusji o błędach popełnianych w przeszłości przez szlachtę. Wykrzykując wspaniałe hasła nowych

idei, przekonywali, że należy zapomnieć zło wyrządzone przez nieoświecony lud, od wieków gnębiony pańszczyzną, i wziąć się z zapałem do pracy, by ci prości ludzie zyskali wreszcie tożsamość i poczuli się częścią narodu polskiego. Jedynie to mogło, według nich, zapobiec kolejnym narodowym tragediom.

Gdy Julia spojrzała na zmarszczkę rysującą się na czole Emila, uświadomiła sobie, że jest on jedną z tych osób, od których młodzi ideowcy w dalekich miastach oczekiwali bezwarunkowego przebaczenia dla prostego ludu. I zrozumiała, jakie to musi być trudne.

„Życie jest dziwne – pomyślała. – Ja chcę odzyskać wspomnienia, by znów żyć spokojnie, a inni woleliby zapomnieć z tego samego powodu. Czy prawdziwe wybaczenie jest możliwe bez pamiętania? Czy można uczynić świat i życie lepszym bez świadomego pogodzenia się z przeszłością?”

Przypomniała sobie słowa Barbary o pożarze starego dworu. Choć czuła, że powinna zmienić przykry temat, coś ją nagle podkusiło.

– Przepraszam, że przywołuję niemiłe wspomnienia, ale chciałam o coś zapytać. Podobno podczas tamtych wydarzeń pański ojciec razem z moim dziadkiem Julianem zginęli w pożarze starego dworu. Jak do tego doszło?

– Po co zasmucać serce taką opowieścią?

Ciepły ton mężczyzny zaskoczył ją do tego stopnia, że odezwała się bez namysłu, byle coś powiedzieć:

– Proszę. Chcę poznać losy przodków.

– Hmm... Jak mówiłem, byłem wtedy dzieckiem, ale sporo wiem od matki – odparł cicho. – Mężczyźni starali się obronić swoje domy, bliskich. Mojego ojca w porę ostrzegli wierni służący, którzy zostali, by ocalić dwór. Mogę tylko przypuszczać, że ojciec postanowił zaalarmować brata, czyli pani dziadka. Co jednak zaszło po drugiej stronie rzeki? Dlaczego nie uciekli? Tego nigdy się nie dowiemy. My z matką schroniliśmy się w kościelnej krypcie razem z innymi dziećmi i kobietami. Ksiądz proboszcz stał w drzwiach kościoła z monstrancją w dłoniach i odmawiał na głos różaniec, a przed kościołem ze strzelbami czuwali młodzi Czetwińscy z sąsiedniego majątku. Nie wiem, co się działo na górze, ale na dole skupialiśmy się głównie na modlitwie i uspokajaniu płaczących. Pani babka, Ksawera Zarzevska, też się tam ukryła z dziećmi.

– Ona także? – Zdumiała się, dopiero teraz uświadamiając sobie fakt, że jej bliscy również musieli gdzieś przetrwać rabację.

– Tak – mruknął. – Henryk był ode mnie znacznie starszy, ale kuzynka Aleksandra była taka malutka. Ktoś podobno widział, że Ksawerę z dziećmi przywiózł do kościoła mój ojciec, ale najwyraźniej wrócił potem do starego dworu po brata. Nie wiem, dlaczego nie przyjechali wszyscy razem, dlaczego się rozdzielili...

„Więc ród Zarzevskich zawdzięcza ocalenie Kazimierzowi Laskowicowi – pomyślała zaskoczona. – Jak los się dziwnie plecie”.

– Och! Panno Julio! Proszę spojrzeć, to góry! – przerwała im nagle dziewczynka.

Kobieta przysunęła się do dziecka i spojrzała we wskazanym kierunku. Po prawej stronie powozu rzeczywiście zamajaczyły odległe wzgórza. Przyzwyczajona do płaskich terenów, po których wzrok mógł niemal swobodnie biec aż po linię horyzontu, poczuła nagle osobliwą ekscytację.

– Góry – szepnęła.

– Już niedługo będziemy w domu!

– Jeszcze nie dzisiaj, córciu. Śniadanie zjemy w zajeździe, a na nocleg zatrzymamy się u moich znajomych. Drogi będą coraz trudniejsze, a poza tym mam interesy do załatwienia – wyjaśnił, patrząc na Julię jednym z tych nieodgadnionych spojrzeń.

Gdy z pióra atrament skapnął wprost na papier listowy, zapatrzona w okno zajazdu Julia ocknęła się z zamyślenia.

– A niech to! – syknęła.

Rzuciła się do wycierania plamy, lecz mimo tych zabiegów elegancki list do ciotki nabrał niechlujnego wyglądu. Nagle do pokoju wpadła zapłakana Aurelka.

– Co się stało?

– Ja naprawdę nie chciałam! Pomagałam poić konie i oblałam się wodą – chlipnęła, pokazując wielką mokrą plamę na sukience. – Papa się gniewa.

– Cóż, dobrze wychowane panienki nie poją zwierząt. Niestety... – westchnęła pobłaźliwie Julia.

– Nie płacz, wyjdziemy na słońce i za chwilę obeschniesz. Ale pamiętaj, że papa ma rację: konie to szlachetne zwierzęta, lecz bywają niebezpieczne, trzeba uważać.

Zaabsorbowana dzieckiem szybkim ruchem podpisała poplamiony list i włożyła go do koperty.

– Chodź, przed odjazdem nadamy jeszcze list do cioci Basi, żeby się o nas nie martwiła.

– Napisała pani, że do domu już niedaleko?

– Tak. – Uśmiechnęła się, gdy dziewczynka złapała ją za rękę na schodach.

– Już naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy dojedziemy!

– Ja też. Chyba... – mruknęła bardziej do siebie niż do Aurelki.

\* \* \*

Obudził ją hałas. Potarła zaspane oczy i rozejrzała się po zimnej sypialni. Księżycowy blask wpadał do środka mimo gęstych firanek i szarą smugą osiadał na porozrzucanych zabawkach. Konik na biegunach, pyzate lalki w koronkowych sukniach, ołowiane żołnierzyki i nawet jej ulubiona tancerka na pozytywce leżały nieruchomo na dywanie, dokładnie tam, gdzie je zostawiła wieczorem. Nie zwiodło jej to. Podparła się na łokciu i spoglądała na nie dłuższą chwilę.

– Nie udawajcie, przyłapałam was – szepnęła zadowolona z siebie. – Ale dzisiaj żadnego harcowania, bo obudzicie Busię. Idźcie spać albo nie dam wam jutro podwieczorku.

Od dawna знаła tajemnicę swoich zabawek. Niania wszystko jej wyjawiała. Powiedziała, że zabawki tak naprawdę są żywe, ale ruszają się tylko wtedy, gdy dzieci nie patrzą. Trzeba się jednak z nimi obchodzić delikatnie i nie rzucać ich na podłogę, bo będą cierpiały, tak jak dziecko, które nabije sobie guza.

Busia mówiła, że szczególnie noc jest ulubioną porą zabawek. Wtedy urządzają sobie bale i tańczą aż do świtu, dlatego później są bardzo zmęczone i nie pamiętają, gdzie ostatnio leżały. Żeby uniknąć dekonspiracji, kładą się wtedy do snu w swoich kuferkach lub na komodzie, udając, że ktoś je uprzętnął z dywanu.

Gdy czasami rankiem okazywało się, że zamiast na dywanie, zabawki poukładały się do snu w wielkim kufrze, Busia zaklinała się, że nie ma z tym nic wspólnego. „Niczego nie dotykałam. Zresztą, o cóż panienka robi tyle hałasu? Inne dzieci się cieszą, że nie muszą same porządkować swoich zabawek” – mawiała niania. „Masz nie ruszać moich rzeczy!” – odpowiadała wtedy naburmuszona, udając, że nie wierzy w te opowieści, choć w głębi serca ufała każdemu słowu ukochanej opiekunki.

Porządek, który od czasu do czasu sam się robił w jej pokoju, złościł ją jednak. Wolała, gdy przedmioty leżały swobodnie rozrzucone, tak jak je zostawiła wieczorem. Pokój wydawał się wtedy przytulniejszy i pełen życia, a ona nie czuła się taka samotna. Lubiła po przebudzeniu wyobrażać sobie, że zabawki poprzewracał mięciutki puszysty kot, który harcował w nocy po pokoju, a teraz śpi gdzieś pod jej łóżkiem zwinięty w kłębuszek – jej własny kochany kotek, biało-czarny, taki, jakiego w leśnej kryjówce ukrywał Lolek.

Jednak w odróżnieniu od niej, *maman* lubiła ład, i nawet krnąbrne zabawki to wyczuwały. Zawsze przed wizytą jaśnie pani w dzieciennym pokoju – a nie zdarzało się to często – nie wiadomo kiedy wskakiwały do kufra lub ustawiały się w równy rząd pod oknem. Reszty dopełniała niania, układając w szafach porozrzucane wstążki, buciki czy pończochy.

W takie szczególne dni, ciągnąc za sobą delikatny fiołkowy zapach, *maman* przychodziła do jej pokoju, całowała ją w czoło, chwaliła ład i czystość, a później szybko wychodziła. Gdyby wiedziała, jak

ten niespodziewany porządek złościł wtedy jej córeczkę! Była pewna, że gdyby *maman* zastała codzienny bałagan, nie wyszłaby tak szybko. Musiałaby przeprowadzić z nią długą pouczającą rozmowę, a może nawet wspomnieć o tym zaniedbaniu papie. Ileż upojnych kwadransów można by spędzić z rodzicami, słuchając ich reprimendy i przeprasząc za złe zachowanie! Jedyne, czego się obawiała, to że przy okazji kara mogłaby osiągnąć także jej ukochaną Busię, a tego nie chciałaby za żadne skarby świata.

Wsparta na łokciu przyglądała się teraz swoim zabawkom. Gdyby nie były takie szybkie, może zdołałaby na własne oczy zobaczyć, jak tańczą. Ta okropna Marcelina nie mogłaby już wtedy jej obrażać, mówiąc, że jest głupią gęsią, tak samo jak jej niania. Och, gdyby tylko mogła się poskarżyć papie! Lepiej było jednak nie zadzierać z kłótliwą służącą, której nawet mężczyźni schodzili z drogi.

Nagle gdzieś w głębi pałacu rozległy się szybkie kroki. Podniosła się i zaczęła nasłuchiwać. Ktoś zbiegł szybko po schodach. Wyskoczyła na palcach z łóżeczka i podbiegła do okna.

Zupełnie zapomniała, że miała nie zasypiać! Chciała przecież zobaczyć *maman* raz jeszcze w tej pięknej sukni, gdy razem z ojcem wrócą z balu!

Na dziedzińcu było pusto. Spojrzała w górę. Księżyc i gwiazdy wciąż świeciły na ciemnym niebie, nie wiedziała jednak, która może być godzina.

Może jeszcze ich nie ma? Koniecznie trzeba to sprawdzić!

Nie pierwszy raz miała zamiar podkraść się pod sypialnię *maman*. Nasłuchując w pobliżu drzwi, wyobrażała sobie, że jest w środku i patrzy, jak garderobiana rozbiera *maman* do snu, nalewa jej wody do umywalni, srebrną szczotką rozczesuje długie jasne włosy, a później przynosi do łóżka gorącą czekoladę i długo czyta książkę. Lubiała tę zabawę. Wystarczyło tylko uważać, by nie przyjść zbyt wcześnie, bo można było się natknąć na Marcelinę lub na ojca, który co wieczór przychodził powiedzieć żonie dobranoc, po czym zwykle szybko wracał do swojej sypialni mieszczącej się w głębi korytarza. Tylko raz zdarzyło się jej zasnąć w ciemności, gdy była jeszcze całkiem małą dziewczynką. Rano Marcelina znalazła ją skuloną na podłodze, z głową opartą o framugę. Przed całkowitym oderwaniem ucha, za które tarosiła ją w kącie, w ostatniej chwili uratowała ją niania, z niepokojem szukająca zagubionej podopiecznej. Obie służące skoczyły sobie wtedy do oczu i od tamtej pory szczerze się nienawidziły. Mimo tego incydentu nigdy nie przyznała się niani, dlaczego znalazła się rankiem w korytarzu pod pokojami *maman*. To była jej tajemnica.

Obejrzała się. Chrapanie Busi rozlegało się zza parawanu głośno i wyraźnie, więc szybko odszukała w ciemności grubą, miękką szlafrok i na bosaka podeszła do drzwi.

Doskonale wiedziała, że niania urządziła wieczorem w kuchni specjalną kolację dla stangreta Józefa i dlatego położyła się spać dość późno. Długo kręciła się i wierciła na swoim posłaniu w rogu pokoju, ale zwykle gdy już zasnęła, żaden hałas nie mógł jej zbudzić. Nie było zatem lepszego momentu na kolejną nocną eskapadę.

Ostrożnie nacisnęła skrzypiącą klamkę. Wystarczyło nie domknąć za sobą drzwi, by później móc szybko wślizgnąć się do środka. Nic więcej nie było potrzebne.

Lolek nie wierzył, że ona widzi w ciemności jak kot, ale to była prawda. Mrok wewnętrznego korytarza zupełnie jej nie przeszkadzał, za to zbliżające się światło świecy lub lampy mogła dostrzec już z daleka i ukryć się, nim ktokolwiek ją zauważył. Potrafiła się poruszać prawie bezszelestnie, choć w niemal pustym pałacu nie trzeba było zachowywać zbyt wiele ostrożności. Większość służby mieszkała w osobnym budynku obok stajni i zabudowań gospodarczych. Jedyne ochmistrzyni, dwie pokojówki oraz kamerdyner ojca nocowali w izbach na pałacowym poddaszu, a odźwierny drzemał w służbówce, z której miał widok na frontowy podjazd. Bardzo rzadko się zdarzało, by ktokolwiek z nich przeszkodził jej w nocnym spacerze. Wystrzegać należało się jedynie Marceliny, która sypiała w pokoiku obok buduaru, by na dźwięk srebrnego dzwonka natychmiast stawić się na usługi swojej pani.

Tym razem również bez przeszkód przebiegła długi korytarz ozdobiony portretami przodków i kosztownymi rzeźbami na postumentach. Nie bała się ich. Wiedziała, że w odróżnieniu od zabawek są martwe. Lękała się za to duchów, które *maman* w towarzystwie dziwnej pani przywoływała kilka razy do pałacu podczas spotkania w wieżycy, o czym z oburzeniem opowiadała jej niania. Po każdym takim

seansie Busia z całym ceremoniałem chlapała po wszystkich kątach dziecięcego pokoju święconą wodą otrzymaną od dobrodzieja, a później kazała jej długo odmawiać paciorek, co miało ustrzec je obie od złych mocy.

W tej chwili jednak nawet duch nie powstrzymałby jej przed sprawdzeniem, czy *maman* wróciła z przyjęcia. Chciała tylko przyłożyć ucho do drzwi i posłuchać, czy dobiegną stamtąd zwyczajne hałasy: trzask płomieni w kominku, który jako jedyny w całym pałacu rozpalano nawet latem, stukot ciężkich trzewików Marceliny lub jej monotony głos, którym czytała jakąś nudną francuską książkę.

Gdyby w środku było cicho, a na to liczyła, wiedziała, co zrobi: zbiegnie na dół, zaszyje się gdzieś w ciemnym kąciku w holu – na przykład pod schodami lub za tym wielkim zegarem – i poczeka na powrót rodziców. Piękna bordowa suknia i śliczny błyszczący naszyjnik z brylantów na białej szyi *maman* były warte tego, by zobaczyć to jeszcze raz, choćby z ukrycia.

Szybko wbiegła po schodach, ponieważ było to jedyne miejsce, gdzie nie mogłaby się nigdzie ukryć w razie potrzeby. Na piętrze zatrzymała się jednak zdziwiona i odruchowo schowała się za jedną z rzeźb stojących pod ścianą.

Niedobrze, najwyraźniej się spóźniła! Drzwi prowadzące do buduaru były otwarte na całą szerokość, a smuga światła wypływała przez nie wprost na ciemny korytarz.

Bojąc się poruszyć, czekała przez dłuższą chwilę i nasłuchiwała. Z otwartego pokoju nie dobiegał jednak żaden dźwięk: ani płacz, ani jęki czy narzekania, ani tupot stóp czy odgłos rzucanych ze złością przedmiotów. Cały pałac pogrążony był w absolutnej ciszy, jeśli nie liczyć tykania zegara w holu oraz wzmagającego się szumu wiatru za oknami.

Zmartwiła się nietypową sytuacją. Gdyby *maman* znów się rozchorowała, panowałby chaos, a po schodach tam i z powrotem biegałyby pokojówki, donosząc różne specyfiki i medykamenty. Co się zatem stało?

W pierwszej chwili pomyślała, że najlepiej byłoby wrócić do siebie. Jeśli ktoś ją przyłapie, Busia znów będzie miała nieprzyjemności. Ponieważ jednak nic się nie działo, dziecięca ciekawość zwyciężyła. Skuliła się, chcąc uczynić się jeszcze mniejszą, niż była, i z bijącym serduszkiem ostrożnie podkrađła się do otwartych drzwi.

Zerknęła. W środku nie dostrzegła nikogo. Jej wzrok natychmiast przyciągnęła leżąca na otomanie suknia: cudownie drapowana, mieniąca się w świetle naftówki kreacja w kolorze dojrzałych malin, którą ojciec specjalnie sprowadził aż z Paryża.

A więc przegapiła ich powrót!

Rozczarowanie szybko ustąpiło miejsca zachwytowi. Patrzyła na wspaniałą suknię i czuła, że z emocji zasycha jej w gardle. Tak bardzo chciała dotknąć materiału zmiętego od wielu tańców! Na pewno wciąż jeszcze pachniał perfumami.

Trzymając się framugi, nachyliła się głębiej i rozejrzała po pustym wnętrzu. Skoro *maman* tu nie było, zapewne poszła z Marceliną do wieżyczki. Zwykle nie wracała stamtąd do rana, więc jeśli ona będzie dostatecznie szybka...

Przestąpiwszy z nogi na nogę, jak ktoś, kto szykuje się do wielkiego skoku, wsunęła się do środka. Nie rozumiała, dlaczego to robi, lecz nie mogła się powstrzymać. Uśmiechając się mimowolnie, przesunęła koniuszkami palców po lśniącym jedwabiu.

Jakże był delikatny! Musiał się pięknie prezentować, gdy *maman* tańczyła z ojcem. Tak bardzo chciałby już być dorosłą panną! Papa kupiłby jej w Paryżu równie piękną suknię, a wtedy mogłaby razem z rodzicami jeździć na przyjęcia. I wirować jak baletnica na pozytywce.

W sąsiadującej z buduarem sypialni coś raptem trzasnęło. Przestraszona zerwała się do ucieczki niczym spłoszony ptak i schowała się w ciemności korytarza. Ponieważ hałas się nie powtórzył, wbrew rozsądkowi wróciła do środka, jakby przyciągało ją tam magiczne zaklęcie.

Dopiero teraz zauważyła, że wewnętrzne, amfiladowe drzwi łączące oba pomieszczenia także były uchylone. Ostrożnie podeszła bliżej. Drugi pokój oświetlał jedynie migotliwy ogień płonący w kominku, ale przez szparę zauważyła, że zarówno łóżko *maman*, jak i fotel Marceliny – na którym garderobiana siadywała podczas wieczornej, głośniejszej lektury książek – były puste. Hałas dobiegał

z kominka, gdzie płonące drwa rozpadały się na rozżarzony popiół, wymiatany później każdego ranka przez pokojówkę.

Z nagłej radości aż wstrzymała oddech. Nigdy wcześniej nie spotkała jej tak cudowna niespodzianka: otwarta i pusta sypialnia *maman*!

Jak zaczarowana wkroczyła do wnętrza. Tak rzadko pozwalano jej tu przychodzić, że nawet nie pamiętała ostatniego razu. A przecież znajdowało się w tym pokoju tyle fascynujących przedmiotów: ozdobione drapowanymi firankami łóżce, komoda z porcelanowymi bibelotami, inkrustowany stolik do ręcznych robótek, oszklona biblioteczka z francuskimi powieściami oraz toaletka. Własna toaletka! Marzenie każdej dziewczynki wyobrażającej sobie swoją przyszłość jako dorosłej panny.

Z szacunkiem zbliżyła się, by choć popatrzeć na te wszystkie cuda, których codziennie dotykały białe dłonie *maman*. W srebrnej tafli lustra ustawionego na toalecie mignęło odbicie jej własnej twarzy otoczonej rozczochranymi od snu, kręconymi, ciemnymi włosami. Niestety była jeszcze zbyt mała, by jak dorosła kobieta przejrzeć się w zwierciadle, zaś wdrapanie się na wyścielany taboret, na którym codziennie siadywała *maman*, wydawało się jej niewybaczalnym przestępstwem. W zasięgu jej rąk znalazło się jednak kilka flakoników z jakimiś specyfikami, srebrna szczotka, rozsypane po marmurowym blacie szpilki do włosów, a także ozdobne pudrko, którego dotknęła z prawdziwym nabożeństwem.

Wiedziała, co w nim jest – drobny jak mgła proszek nadający ślicznej twarzy *maman* porcelanową barwę. Choć jej serduszko mocno biło z emocji, a w głowie krążyła myśl: „Nie wolno! Nie dotykaj!”, palce same podniosły wieczko. Otoczył ją aromat fiołków.

Od jednej z pokojówek dowiedziała się kiedyś, że te wonne pudrka przywoził dwa razy w roku aptekarz z pewnego miasteczka. Specjalnie dla jaśni pani Zarzewskiej wytwarzał puder, który słodko pachniał kwiatami parmeńskiej księżnej Marii Luizy.

Pociągnięta za język Busia zdradziła, że papa hojnie płacił nie tylko za niezliczone pudełeczka kosmetyku o sekretnej recepturze, lecz także za to, by żadnej innej damie aptekarz nie sprzedawał tego produktu.

Wyobrażając sobie, że kiedyś i dla niej papa sprowadzi takie cuda, westchnęła zachwycona. W tym samym momencie poczuła, że coś zaleciało jej do nosa. Kichnęła prosto w pudrko, a dźwięk odbił się echem w nocnej ciszy.

Zamarła. Kosztowny puder osiadał właśnie na wszystkim wokół, a pudełeczko było niemal puste.

O Boże! Co teraz będzie?! *Maman* wpadnie w rozpacz i znów się rozchoruje! Trzeba natychmiast uciekać!

W tym momencie z korytarza dobiegły ją szybkie kroki, a na ramieniu poczuła czyjś uścisk.

– Ja nie chciałam! – krzyknęła i otworzyła oczy.

Ktoś szarpał ją za ramię.

– Panno Julciu, to ja, Aurelka!

– Aurelka? Gdzie my...? Ach, tak, pamiętam, pokój gościnnie.

W jednej chwili przypomniała sobie, że zostali zaproszeni na nocleg do dworku przyjaciół Emila, lecz z braku stosownego miejsca umieszczono ją w sypialni razem z dziewczynką. Sięgnąwszy na nocny stolik, drżącą ręką zapaliła świecę.

– Przepraszam, Aurelko.

– Myślałam, że panią coś boli, bo jęczała pani przez sen.

– Wszystko dobrze. Już nie będę cię straszyć – obiecała bez przekonania.

– I dobrze się pani czuje?

– Oczywiście. To naprawdę nic wielkiego. Nie powiesz nikomu?

– Jeśli papa nie zapyta, nie powiem. Ja też miewam czasem dziwne sny.

– Naprawdę? – spytała wciąż zdenerwowana nieprzyjemnym przebudzeniem.

– Tak. Pojawia się w nich babcia Leonia i jest wtedy bardzo smutna. Mówi coś do mnie, ale ja nie wiem, co.

– Nie boisz się takich snów?

– Nic a nic. Ksiądz proboszcz mi wyjaśnił, że to prośba o modlitwę. Babcia mnie bardzo kochała. Opiekowała się mną, bo mamusia umarła, gdy byłam jeszcze całkiem mała.

– Wiem. – Poprawiła dziecku poduszkę. – Połóż się. Na pewno cię nie przestraszyłam?

– Nie.

– Spróbuj zasnąć.

– Panno Julciu?

– Tak?

– Nikomu o tym nie mówiłam, ale smutno mi czasem, że zapominam, jak mama wyglądała. W domu mam jej portret, ale na pensji... Czy pani myśli, że mama się o to gniewa?

– Ależ skąd! Najważniejsze, że masz ją w serduszku. – Poglądziła włosy dziewczynki. – Ja także nie pamiętam mojej *maman* – wyznała niespodziewanie. – Zawsze tak kazała o sobie mówić, po francusku – dodała melancholijnym tonem.

– Czy ona też umarła?

– Już dawno. Miałam wtedy pięć lat.

– Zachorowała?

– Nie. Koń rzucił ją do rzeki i utonąła. Dlatego mówiłam ci wczoraj, że powinnaś być ostrożniejsza. Konie to piękne zwierzęta, ale bywają niebezpieczne, gdy się spłoszą.

– Mój papcio też kiedyś złamał nogę, gdy stajenny znarowił jednego konia. Wyleczył go nasz pan doktor. Żałowałam papcia, bo go bolało, ale... Wtedy nigdzie nie wyjeżdżał i cały czas mógł być ze mną. A jaka była pani mama?

– Jaka? Podobno bardzo wykwintna, delikatna. Jako hrabianka otrzymała staranne wykształcenie. Pamiętam, że miała długie złote włosy, które służąca układała jej w loki opadające na policzki. Wspaniale grywała na fortepianie, gdy akurat miała dobry nastrój, i bardzo lubiła gorącą czekoladę z dodatkiem wanilii.

Przed oczyma pojawił się jej nagle obraz smukłej kobiety w białym peniuarze, która, półleżąc na szezlongu, unosi do ust filiżankę. Choć wizja zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, Julii aż zadrżało serce.

„Pamiętam buduar! – przemknęło jej przez głowę. – Przy oknie stał szezlong, za nim wazon z kwiatami na postumencie, etażerka, biurczko z przyborami do pisania. Pamiętam to! Gdy przychodziłam powiedzieć jej dzień dobry, zawsze piła czekoladę, bo tak zalecił doktor”.

Niespodziewane wspomnienie ucieszyło ją, bo wydało się wręcz namacalnie realne i – o dziwo – przywołało wyłącznie miłe uczucia.

„Tak! Niania przyprawiała mnie rankiem na kilka chwil, gdy *maman* czuła się dobrze, a potem słyśmy przywitać się z papą do gabinetu. Tylko... – Zmarszczyła czoło. – Dlaczego wydaje mi się, że peniuar nie był biały? Czerwony? Niemożliwe. Żadna porządna kobieta by takiego nie nosiła. Może jednak to nie są prawdziwe wspomnienia?”

Z rozmyślań wyrwał ją senny głos dziecka.

– Moja mamusia też była ładna i dobra. Tylko smuciła się, że papy ciągle nie było w domu. Tak mówiła babcia.

– Twój ojciec jest zajęтым człowiekiem, ale bardzo cię kocha. Nigdy o tym nie zapominaj.

– Szkoda, że nie mam rodzeństwa. Moglibyśmy się razem bawić i nie byłabym sama.

W sąsiednich dworach nie ma pańienek, jest tylko Wacio.

– Kim jest Wacio?

– To syn państwa Czetwińskich. Jest bardzo miły, ale chciałabym mieć przyjaciółkę.

– A na folwarku nie mieszkają żadne dziewczynki w twoim wieku?

– Nie wiem. Babcia zabraniała mi się spoufalać z dziećmi naszej służby. Czy pani, panno Julciu, ma rodzeństwo?

– Miałam starszego braciszka, ale odszedł do nieba jeszcze przed moim urodzeniem. Zachorował na coś, gdy miał roczek – uprzedziła kolejne pytanie dziecka. – Za to u cioci Basi miałam dużo



koleżanek. Przyjeżdżały do nas pobierać nauki, z niektórymi się zaprzyjaźniłam. Były dla mnie prawie jak siostry.

– Chciałabym mieć siostrę! Mogłabym z nią o wszystkim rozmawiać.

– A na pensji nie znalazłaś sobie przyjaciółki?

– Nie.

– Dlaczego?

– Dziewczeta śmiały się ze mnie, bo ciągle coś wylewałam albo tłukłam. No i wie pani... Te mokre prześcieradła... – Dziecko się zmieszało. – A kiedy przez przypadek oblałam Krysię inkaustem, żadna nie chciała już ze mną odrabiać lekcji.

Julii aż ścisnęło się serce na widok miny dziewczynki. Objęła dziecko ramieniem.

– Wiesz co, Aurelko? Mam pomysł. Jeśli chcesz, możesz ze mną rozmawiać o swoich sekretach. Ja też marzyłam zawsze o rodzeństwie, a ponieważ jesteśmy krewniaczkami, możemy się zaprzyjaźnić. Obiecuję, że nigdy się nie pogniewam, gdy coś na mnie wylejesz – dodała z uśmiechem.

– Naprawdę?

– Tak. Kiedy będziemy same, możesz nawet mówić do mnie po imieniu. Chcesz?

Dziewczynka aż usiadła z wrażenia i spojrzała na nią zdumiona.

– Ale to nie wypada.

– Skoro cię o to proszę, znaczy, że wypada. Dobrze?

– Och, panno Julio, dziękuję!

Egzaltowane reakcje dziewczynki bawiły młodą kobietę.

– Julio – poprawiła ją z uśmiechem. – A teraz spróbuj zasnąć. Dobrze?

– Tak, Julciu. – Uradowana Aurelka wtuliła się w nią i przymknęła oczy.

Miękki materac oraz ciepło bijące od dziewczynki zaczęły ją powoli usypiać, więc, nie zmieniając pozycji ciała, z odległości dmuchnęła w kierunku świeczki stojącej przy łóżku. Płomień zamigotał i zgasł, pograżając pokój w ciemnościach.

– Julciu?

– Ciii. Śpij już.

– A kim jest Busia?

– Kto?

– Wołałaś jej imię przez sen.

– Naprawdę? Hmm... To była moja ukochana niania. Miała na imię Balbina, ale mówiłam na nią Busia.

– Aha. Ja nie kochałam swojej niani. Nie chciała się ze mną bawić, bo była stara i bolały ją kolana. I kazała mi pić tran i kłęczeć na grochu, gdy coś zepsułam. I wtedy mnie też bolały kolana – szeptało dziecko pomiędzy kolejnymi ziewnięciami.

– To przykre – odparła Julia współczująco, zastanawiając się jednocześnie, jak często biedna Aurelka musiała kłęczeć na grochu. – Moja niania zawsze ratowała mnie z opresji.

– A gdzie ona teraz jest?

– Śpij już.

– Dobrze.

Po krótkiej chwili równy oddech Aurelki upewnił Julię, że dziewczynka zapadła w sen. Choć było jej trochę niewygodnie, nie poruszyła się.

„Ja też czasami zasypiałam w ramionach Busi. Pamiętam, że przychodziłam do niej za parawan i zawsze się dziwiłam, że jej łóżko jest wygodniejsze od mojego – pomyślała, ziewając. – Biedna niania. Mówili, że spadła ze schodów... Rzeczywiście mieliśmy takie długie schody wiodące na piętro. – Poczula nagle suchość w gardle, lecz nie mogła sięgnąć po wodę, która stała na stoliku. – Na górze były pokoje rodziców i gościnne. Mój był na parterze”. – Z trudem usiłowała zebrać myśli przyćmione przez ogarniającą ją senność.

Nagle ciężar przymykających się powiek zniknął w okamgnieniu. Julię owionął tak intensywny zapach waniliowych ciastek, że aż zadrżała, jakby ktoś musnął ją nagle po twarzy wyperfumowanym

szalem z tkaniny zwiewnej jak mgła.

Rozszerzonymi oczyma patrzyła przed siebie, w ciemność pokoju, bo nie wiedzieć czemu ogarnął ją raptem potworny lęk. Choć serce biło jej jak oszalałe, zeszywniała ze strachu i nie mogła wykonać żadnego ruchu. Dopiero po dłuższej chwili oddech zaczął się uspokajać.

„ Co to było?! – Przeżona reakcją swojego ciała usiłowała skupić myśli na umykającym wspomnieniu, które jak błyskawica rozświetliło na moment jej umysł, po czym natychmiast zgasło. – Busia! Moja Busia zawsze pachniała ciasteczkami!”

\* \* \*

Wzburzona Julia niecierpliwie odczekała dłuższą chwilę, by nabrać pewności, że Aurelka mocno zasnęła. Gdy wreszcie mogła wyplątać się z objęć dziecka, sięgnęła po szklankę z wodą i duszkiem wypila całą zawartość. Nie uspokoiło jej to. Starając się zebrać rozbiegane myśli, zaczęła na bosaka krążyć po pokoju od okna do okna.

„ To było tak realne! Jakby Busia przemknęła tuż obok. – Denerwowała się. – Ale skoro nie spałam, co to było? Przywidzenie?

Boże drogi! Co się ze mną dzieje? Te słabości, palpacje, koszmary... Jak mam się opiekować Aurelką w takim stanie? – Przystanęła i z bólem serca spojrzała na śpiącą dziewczynkę oświetloną delikatnym blaskiem księżyca. – Gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział, straciłabym nie tylko tę posadę, ale każdą inną. Guwernantka chorująca na nerwy? Niedopuszczalne! Nie, nie, spokojnie. Jestem zdrowa, jestem zdrowa... A jednak... – Podejrzanie coraz śmielej wdzierало się do jej umysłu. – Jeśli to rzeczywiście objawy choroby?”

Ta myśl tak ją zmroziła, że poczuła słabość w nogach. Przysiadła na fotelu i objęła się ramionami, bo mimo ciepłej nocy poczuła, że przenika ją chłód.

„ Gdybym wiedziała, co właściwie dolegało *maman*! Ciocia mówiła, że nerwy, melancholia, ale czy ona zna prawdę? Przecież po tamtej kłótni nie utrzymywała z moimi rodzicami żadnych kontaktów. W pałacu rzeczywiście często bywał lekarz, ale to jeszcze nic nie znaczy... – Usilnie starała się przywołać strzępy wspomnień. – Papa zabraniał mi wchodzić na piętro i hałasować, sądziłam jednak, że *maman* po prostu nie chce mnie widzieć... Boże! Muszę przestać o tym myśleć!” – Potrząsnęła głową.

Im bardziej jednak starała się lekceważyć swoje odczucia, tym większy ogarniał ją niepokój.

„ A jeśli oszukuję samą siebie? To wszystko nie dzieje się bez przyczyny. – Gryzła się. – Może lepiej zostawić przeszłość w spokoju, nie pytać, nie szukać? Im więcej o tym myślę, tym jest ze mną gorzej. Chyba powinnam się skupić na obowiązkach. Inaczej pan Emil też się zorientuje, że coś jest ze mną nie tak. I co wtedy?”

Wbrew temu, co poradziła Zosi przed jej wyjazdem, Julia zdumiewająco szybko poczuła więź z Aurelką. Dostrzegąła w niej pewne podobieństwo do samej siebie: obie wcześniej straciły matki, nie miały rodzeństwa, tęskniły za domem, nie lubiły miasta, w którym przyszło im żyć. Na szczęście Aurelka miała jeszcze ojca, który z każdym dniem robił na Julii coraz większe wrażenie, dlatego zaczęło jej zależeć, by go nie rozczarować.

Wiedziała, że z różnych względów utrzymanie się na nowej posadzie powinno być jej priorytetem, jednak dręczące ją wątpliwości, zaszczerpione przez Skrzeczyńską, wciąż osłabiały w niej ducha.

„ Trudno będzie nie myśleć o tych sprawach, gdy zamieszkam tak blisko swojego domu. W dzień mogę nad tym jakoś panować, ale nocą... – Martwiła się. – Co ja najlepszego zrobiłam? Jeśli nie wezmę się w garść, wszystkim sprawię zawód”.

Przez chwilę siedziała bez ruchu, przygarbiona, jakby dźwigała na plecach wielki ciężar. Raptem od strony łóżka dobiegł ją szelest i ciche mruczenie – to Aurelka poruszyła się w pościeli i uśmiechnęła

szeroko przez sen. Jej drobna twarzyczka, wybielona księżycowym światłem, wyglądała tak spokojnie, jakby należała do istoty całkowicie szczęśliwej. Ten widok był tak wzruszający, że Julia poczuła nagle, jak wstępują w nią nowe siły. Ostrożnie przykryła kołdrą chude nóżki dziewczynki i pogładziła ją po włosach.

„Zasługujesz na dobrą opiekunkę i przyjaciółkę. Taką, która nie będzie się borykała z własnymi lękami. Dlatego się nie poddam – postanowiła. – Dla Aurelki, dla cioci. Dla siebie samej. Ciocia miała rację: jakkolwiek byłaby prawda o Zarzewskich, ja nie zrobiłam nic złego. Niedługo zobaczę swój dom, a wtedy tak czy inaczej, dowiem się prawdy”.

Zapaliła świecę, z którą usiadła przy niewielkim biurku, i najciszej, jak się dało, zajrzała do szuflady. Z pliku czystych kartek, które tam znalazła, wyjęła tylko jedną, na której wolno, z namysłem zanotowała:

*1. Rozpytać, co okoliczni ludzie mówią o moich rodzicach. Jak ich zapamiętali? Jakim byli małżeństwem? Jak żyliśmy?*

*2. Dowiedzieć się, na co chorowała maman. Jak ją leczono? Czy to jest dziedziczne? Czy stary doktor wciąż mieszka w tamtej okolicy?*

*3. Odnaleźć dawną służbę. Ustalić, co wiedzą o wypadku maman.*

*4. Odwiedzić cmentarz. Porozmawiać ze starym proboszczem (czy jeszcze żyje?).*

*5. Obejrzeć dom, sprawdzić, czy można wejść do środka bez wiedzy wuja Hermana. (!)*

Przy ostatnim punkcie postawiła wykrzyknik mocniej, niż wypadało. Nieopatrznie stuknąwszy piórem w stolik, zerknęła na Aurelkę, ale na szczęście dziewczynka nadal spała.

„Napisać łatwo, gorzej wykonać – pomyślała, lecz nie czuła zniechęcenia, raczej gotowość do walki. – To nic. Zacznę od tego, co najłatwiejsze. Obejrzę okolicę, dom i zorientuję się w sytuacji. A potem się zobaczy”.

Gdzieś w głębi duszy obawiała się, że jej pomysł może sprowadzić na nią kłopoty, ale była zdeterminowana. Odezwał się w niej słynny upór Zarzewskich, o którym Włodziowa mawiała czasem, że to „prawdziwy dopust Boży”.

Po chwili wahania dopisała jeszcze jeden punkt:

*6. Przypomnieć sobie, dlaczego boję się własnego domu.*

Dłoń mimowolnie jej zadrżała.

„Wciąż śni mi się ta dziwna noc. Musi być jakiś powód – pomyślała, marszcząc brwi. – Pusta sypialnia, kominek, ogień... Nie rozumiem tego. Czy to wspomnienie, czy tylko jedna z wymyślonych przeze mnie historyjek?”

Nagle zaskrzypiało łóżko – Aurelka energicznie przewróciła się na drugi bok i znów się odkryła.

„Trzeszczące łóżko! – Julię nagle olśniło. – Schowałam się pod nim. Pamiętam chłód bijący od posadzki i taki nieprzyjemny zapach. Pamiętam to! Ale... Dlaczego miałabym się ukrywać nocą pod łóżkiem *maman*?!”

## ROZDZIAŁ VIII

Julia z pewnym zdziwieniem przywitała poranek. Gdy około ósmej rano do pokoju weszła służąca z pachnącą kawą i biszkoptami na tacy, zastała kobietę i dziecko jeszcze śpiące. Dziesiątki myśli, pytań i wątpliwości, które męczyły Julię przez pół nocy, tak ją w końcu znużyły, że chociaż się tego nie spodziewała, zasnęła zaraz po przyłożeniu głowy do poduszki.

– Już dzień? – spytała zaskoczona, przecierając oczy.

– Jaśnie państwo proszą na śniadanie, bo wielmożny pan Laskowic chce wcześniej wyjechać. – Usłyszała w odpowiedzi.

– Julciu! Dzisiaj będziemy w domu! – Aurelka aż podskoczyła na łóżku z radości.

– Musimy się pospieszyć, żeby twój ojciec nie czekał.

Gdy były gotowe do wyjścia, Julia wróciła się jeszcze od progu i szybko zabrała z biurka pozostawione tam notatki.

W świetle dnia zadania, które sobie wyznaczyła, wydały się jej jeszcze trudniejsze do zrealizowania, lecz po raz pierwszy od wielu dni czuła się pewniej. Wyćwiczona przez lata obowiązkowość była w tym wypadku jak koło ratunkowe – skoro wiadomo było, co należy robić, wystarczyło się tego trzymać.

Ogarnęła ją dziwna, nerwowa ekscytacja. Podobnie, jak Aurelka, nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie dojadą na miejsce. Ani wesoła paplanina dziewczynki, ani wspólne śniadanie z życzliwymi gospodarzami dworu, ani tym bardziej dalsza podróż, w którą wyruszyli około południa, nie zagłuszyły niecierpliwości, która ją ogarnęła. Ulokowana w trzęsącym się na wybojach powozie i pozbawiona możliwości zajęcia rąk jakąś pracą, znów pograżyła się w rozmyślaniach.

„Ciekawe, czy pałac wygląda tak, jak przed laty?” – zastanawiała się.

Przed oczyma pojawił się jej widok klasycystycznego budynku otynkowanego na biało, z portykiem o czterech kolumnach i schodami od frontu oraz półokrągłym tarasem od tyłu.

Ileż to razy wybiegała przez ten taras z salonu wprost do parku, między stare, rozłożyste dęby, pachnące lipy, wiązy i kasztanowce! Główne aleje prowadziły ku dziedzińcowi na froncie, za to z tyłu park zmieniał się niepostrzeżenie w las i opadał aż ku rzece, do której można było zbiec kilkoma różnymi ścieżkami.

„Muszę zobaczyć dom choć z daleka. Jeszcze dziś! – planowała w myślach. – I trzeba się dowiedzieć, kto tam teraz mieszka. Wuj Herman nie zdołał sprzedać pałacu, ale może komuś go wynajął. Ech! – Skrzywiła się. – Wszystko przez niego! Dlaczego tak się na nas uwziął? Niech mu Pan Bóg wybaczy tę chciwość, bo nie wiem, czy ja zdołam mu kiedykolwiek wybaczyć” – zżymała się gniewnie w duchu, przypominając sobie jedną z niewielu rodzinnych historii, którą poznała.

Niedługo po dwudziestych pierwszych urodzinach dostała od hrabiego list z zaproszeniem do Prus. Ucieszyła się ogromnie, bo przez całe dzieciństwo zastanawiała się, dlaczego rodzina matki zupełnie się nią nie interesowała. Wtedy ciotka z wyraźną niechęcią wyznała jej prawdę.

– Wybacz, Juleńko, że mówię o tym dopiero teraz, ale nie sądziłam, że twój wuj jeszcze kiedykolwiek będzie nas niepokoił.

– Niepokoił? To znaczy, że już kiedyś chciał się ze mną zobaczyć?

– Owszem. Kiedy wreszcie odkrył, że twój ojciec umieścił cię u mnie.

– Dlaczego ciocia mi o tym nie powiedziała?

– Nie irytuj się. Miałas wtedy czternaście lat, a on za wszelką cenę chciał cię stąd zabrać. Po co miałam cię denerwować? Henryk wyraźnie prosił, żeby unikać wszelkich kontaktów z hrabią.

– Mój ojciec o to prosił? Dlaczego?

– Bał się, że on zechce przejąć nad tobą opiekę. I, jak widać, miał rację. Na szczęście Henryk był przewidujący, dlatego twoim prawnym opiekunem ustanowił mojego brata. Tylko tak mógł cię zabezpieczyć i zostawić u mnie.

– Rozumiem, ale to nie wyjaśnia niechęci do wuja Hermana.

– Przykro mi, że to mówię, lecz hrabia nie jest dobrym człowiekiem. Dla niego liczą się wyłącznie pieniądze i władza nad ludźmi. Lubi, gdy się przed nim korzą, zabiegają o łaskę, są zależni. Wiem to na pewno, poznałam go i zapewniam, że nie było to miłe spotkanie. Nade wszystko jednak nie ma w nim już nic z Polaka. Nawet tytułować się może grafem, a nie hrabią.

– Ach tak – mruknęła nieprzyjemnie zaskoczona. – Po cóż więc ten człowiek chce mnie widzieć?

– Nie wiem, ale będę cię odwoziła od wyjazdu. Nie chcę, żeby cię skrzywdził. To egoista, człowiek pozbawiony skrupułów.

– Surowo go ciocia ocenia.

– Gdybym mogła oszczędzić ci szczegółów, wierz mi, zachowałabym tę historię dla siebie. Jednak nim zdecydujesz, co odpisać na ten list, musisz poznać całą prawdę o wuju.

– A jaka jest prawda?

– Zawiała. Ta historia sięga korzeniami wiele lat wstecz. Część opowiedziała mi matka, resztę usłyszałam od brata. Gdy w czterdziestym szóstym roku zginął twój dziadek, Julian Zarzewski, jego żona była tak wstrząśnięta, że postanowiła natychmiast wyjechać z dziećmi w rodzinne strony do Prus i już nigdy nie wracać na ziemię, którą uznała za przeklętą. Dla twojego ojca to musiały być bolesne chwile. Miał wtedy dopiero jedenaście lat. Majątek Zarzewskich oddano w dzierżawę, bo Ksawera nie chciała mieć z tym nic wspólnego, jednak Henryka ciągnęło do ojcowizny. W Prusach się wykształcił, dorósł, pochował matkę, a potem zdobył rękę bogatej narzeczonej. To musiało być trudne, ale najwyraźniej stary hrabia uznał, że twój ojciec był wart tego, by oddać mu córkę za żonę. Henryk wrócił na ojcowiznę i wybudował pałac, do którego sprowadził żonę i siostrę. Teść Henryka nie chciał się rozstawać z ukochaną córką, musiał się jednak zgodzić na jej wyjazd. Zabezpieczył ją w taki sposób, że nie dał jej normalnego posagu, tylko wypłacał coś w rodzaju dożywocia, bardzo zresztą hojnego. Gdyby odkrył, że Adela nie jest szczęśliwa, mógłby wstrzymać wypłatę. Podobno żądał raportów od lekarza o stanie zdrowia córki, a co jakiś czas przyjeżdżał w odwiedziny z całą świtą, żeby osobiście sprawdzić, czy niczego jej nie brakuje.

– Pamiętam jedną taką wizytę – wtrąciła Julia, zaskoczona nagłym wspomnieniem. – W pałacu był gwar jak nigdy wcześniej, a *maman* wydawała się bardzo zadowolona. Ale wuja Hermana sobie nie przypominam.

– Zapewne nie przyjechał wówczas z ojcem. Henryk twierdził, że jego szwagier nie żywił do siostry ciepłych uczuć. Wracając jednak do twojego dziadka, stary hrabia był tak troskliwy i zarazem nieufny, że nawet wysłał z Adelą służącą, która prawdopodobnie o wszystkim mu donosiła. Pamiętasz Marcelinę?

– Marcelinę? – Na dźwięk tego imienia Julię przeszedł dreszcz. – Busia jej nie lubiła i ja chyba też. Więc ona była szpiegiem dziadka Eryka?

– Henryk o tym wiedział, ale godził się na to.

– Dziwne to wszystko.

– Trochę ekscentryczne, to fakt.

– Wciąż jednak nie pojmuję, do czego ciocia zmierza. O co chodzi z wujem Hermanem? – Zniecierpliwiła się, bo rozmowa o nieżyjących rodzicach zaczynała ją przytłaczać.

– Zaraz zrozumiesz. Chodziło właśnie o sprawy finansowe. Jeszcze przed ślubem Henryk potrzebował gotówki na budowę pałacu. Zaciągnął więc u przyszłego teścia olbrzymią pożyczkę po zastaw całego majątku Zarzewskich. Nie mógł jednak potem spłacać długu z dożywocia Adeli, bo te pieniądze były przeznaczone na jej potrzeby, dlatego niewiele weksli udało się Henrykowi wykupić. Ale gdy urodził się twój braciszek, stary hrabia ponoć oszalał z radości. By uczcić chrzciny wnuka, darował Henrykowi dług i nakazał adwokatowi spalić pozostałe weksle. Chciał, by majątek, który miały odziedziczyć dzieci Adeli, był wolny od zadłużenia.

– Tylko że Oleś zmarł...

– Tak, ale później urodziłaś się ty. Niestety, twój dziadek był już wiekowy, najwyraźniej czegoś nie dopatrywał. Gdy zmarł, tytuł i majątek w Prusach otrzymał jego syn, Herman. Przejął także

zobowiązania dotyczące dożywocia siostry.

– Wreszcie dochodzimy do sedna. Czyżby wuj robił jakieś trudności?

– Na początku nie. Podobno terminowo wypłacał posagowe sumy.

– A zatem? W czym tkwi problem?

– Wszystko się zmieniło po śmierci Adeli. Henryk nie tylko stracił dochód pochodzący z dożywocia żony. Nagle się okazało, że rzekomo spalone weksle podpisane przez niego przed laty nadal istnieją.

– Jak to?

– Trudno mi osądzać, skąd hrabia Herman je wziął, ale wbrew życzeniu twojego dziadka weksle nie zostały zniszczone. Szwagier zażądał od Henryka natychmiastowej spłaty długów pod groźbą przejęcia waszego majątku – odparła. – Henryk oczywiście nie dysponował takimi pieniędzmi, dlatego musiał oddać w pruskie ręce i pałac, i ziemię. Myślę, że miał jakiś plan, niestety, nie udało mu się odzyskać dla ciebie tej posiadłości.

– Cóż mi z posiadłości?! – Julia zareagowała dość gwałtownie. – Wolałabym, żeby ojciec ze mną został. Skoro oddał majątek za długi, dlaczego uciekł za granicę? Z jakiego powodu mnie zostawił?

– Widocznie zaszło coś jeszcze między nim a szwagrem. A może Henryk miał innych wierzycieli?

– Nie wierzę. To wszystko przez wuja! Jak on mógł?!

– Na pewno nie jest bez winy. De facto majątek Zarzewskich wciąż pozostaje w jego rękach. Trudno ukryć, że nie zachował się w tej sprawie jak na szlachcica i Polaka przystało. Ale każdy z czasem może się zmienić. Spotkasz się z nim?

– Nie chcę nawet słyszeć o grafie Hermanie – odparła wtedy stanowczo, choć wciąż tliła się w niej iskierka nadziei, że wuj żałuje wyrządzonej im krzywdy.

Kolejny list, który nadszedł z Prus kilka tygodni później, rozwiał jednak wszelkie wątpliwości. Hrabia pisał, że jest rozczarowany odmową siostrzenicy, ponieważ jako najbliższy męski krewny miał zamiar zająć się jej przyszłością. Proponował, by zmieniła zdanie, gdyż wybrał już dla niej narzeczonego, a dodatkowo obiecał podarować jej pałac Zarzewskich w posagu, ale tylko pod warunkiem, że Julia natychmiast porzuci Barbarę i przez cały okres narzeczeństwa zamieszka u niego w Prusach.

Oburzona podarła list w drobne strzępy i pozwoliła ciotce, by w jej imieniu stanowczo odmówiła jakichkolwiek kontaktów z pruską gałęzią swojej rodziny.

Kołysana ruchem powozu przypominała sobie całą tę historię. Przykro jej było myśleć o bezwzględności rodzzonego wuja.

„Bardzo dobrze zrobiłam. Gdyby okazał skrucę i odrobinę serca, może zdołałabym mu wybaczyć, że tak nas potraktował. Ale ciocia miała rację, to łajdak pozbawiony sumienia. Nie wiem tylko, jak zdołam obejrzeć pałac, żeby się o tym nie dowiedział. Pewnie natychmiast mu o mnie doniosą. Jeszcze gotów przyjechać, żeby mnie znowu dręczyć!”

– Panno Julio, proszę spojrzeć! – Z przykrych rozmyślań wyrwał ją głos dziewczynki. – Jesteśmy już blisko.

Przysunęła się do dziecka. Pejzaż za szybą powozu wzbudził w niej osobliwe emocje. Szerokie pola falujących na wietrze zbóż, kwieciste łąki, zagajniki, zielone wzgórza i swojskie chaty wieśniaków mijane po drodze sprawiły, że poczuła dziwne ciepło w sercu. Miała wrażenie, jakby ktoś otworzył przed nią książkę z dzieciństwa, a każdy kolejny obrazek przypominał jej, jak bardzo tęskniła za tą opowieścią.

Nie minęło więcej niż kilkanaście zdrowasiek, gdy Aurelka znów podskoczyła na siedzeniu jak ukłuta szpilką.

– Papciu! Kapliczka! Nasza kapliczka!

Powóz stanął, jakby na jej specjalne żądanie.

– Dlaczego się zatrzymujemy? – zdziwiła się Julia.

– To nasza rodzinna tradycja. Proszę, pokażemy pani. – Mężczyzna wysiadł pierwszy.

Mimo że kamerdyner czekał usłużnie przy drzwiach powozu, Emil sam podał Julii dłoń, by

bezpiecznie zeszła ze stopni.

Przy ścianie lasu w cieniu drzew zobaczyła murowaną kapliczkę z pięknie wyrzeźbioną w lipowym drewnie figurą Madonny z Dzieciątkiem. Białą konstrukcję otaczał niski, równy płotek, a teren wokół był zadbany i ukwiecony.

Z lasu wychodziły właśnie na drogę chłopki niosące na plecach ogromne wiązki chrustu. Przyklękły przed figurą Matki Bożej, z szacunkiem pochyliły osłonięte chusteczkami głowy, po czym ruszyły dalej, wzniesając bosymi stopami pył na suchej drodze. Niektóre z nich, mijając powóz stojący na rozstaju dróg, ukłoniły się Emilowi, a przy okazji bez żenady przyjrzały się Julii ubranej w prostą, brązową suknię podróżną.

– Szczęść Boże. Jak się czują wasze wnuki, Piotrowo? – Mężczyzna zagadnął jedną z najbardziej przygarbionych wieśniaczek. – Wyzdrowiały?

– A juści, panie dziedzicu, ozdrowiały. Bóg zapłać za troskę.

– A w innych chatach też w porządku?

– U nas tak. Gadają ino, że na drugim brzegu kogoś zmogło. Doktor tam był, ale cosik mi się widzi, że nie pomógł, bo dobrodziej z sakramentami jeździł do wsi z samego rana. U nas rąk do pracy nie brakuje, ino gorąc taki, że syćko schnie na wiór.

– Nie martwcie się, niedługo przyjdzie deszcz. Czuję to w nodze.

Odwrócił się do Julii, przyjemnie zaskoczony swobodnym tonem, jakim rozmawiał z chłopką.

– To matka jednego z moich fernali. Mieliśmy we wsi jakąś epidemię, ale na szczęście to nie dezynteria – wyjaśnił.

Lekko utykając, poprowadził ją do kapliczki. Z ciekawością przyjrzała się pociemniałej ze starości rzeźbie Madonny.

– Tę kapliczkę ufundowała babcia Leonia – odezwała się dziewczynka. – Zawsze się tu zatrzymujemy, żeby podziękować za łaski dla naszej rodziny.

– Piękna tradycja.

– Babcia kazała ją tu postawić za uratowanie mojego papcia z niewoli, bo obiecała Matce Bożej. Ach, bo pani nie wie, że papa walczył w powstaniu! Był ranny i został bohaterem. – Aurelka przytuliła się do ojca.

Zaintrygowana Julia spojrzała na niego pytająco. Zmieszał się, nie wiadomo czy z powodu czulego gestu córki, czy raczej na skutek pochwały, którą usłyszał z jej ust.

– Jakim tam znowu bohaterem – mruknął. – Nie przesadzaj, córciu.

– Walczył pan w powstaniu?

– Wielu młodych ludzi szło wtedy w sukurs naszym braciom z Kongresówki. Poszedłem i ja – wyznał zakłopotany, widząc podziw w oczach Julii.

– I trafił pan do carskiej niewoli?

– Niestety, los nam nie sprzyjał.

– Przecież jest pan poddanym habsburskim. Czy Rosjanie nie powinni byli pana odesłać?

Emil poprawił binokle i uśmiechnął się melancholijnie, posyłając jej jedno z tych dziwnie ciepłych spojrzeń, które ją peszyły.

– Jest pani taka młoda i pełna wiary w ludzi – westchnął. – Niestety, nikt nas nie pytał o paszport. Przesiedziałem w więzieniu trzy miesiące, zanim ktokolwiek zainteresował się moim nazwiskiem i pochodzeniem. Wielu nas takich siedziało w lochach: bez wyroków, bez sądu, bez prawa nawet do rozmowy z jakimkolwiek oficerem. Powstańcy, konspiratorzy, studenci, poeci, nawet uczniowie gimnazjalni. Ich też pognali w kajdanach na zesłanie, chociaż to były niemal dzieci.

– Wiem. Ciocia na własne oczy widziała takie sceny w Warszawie. Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić – stwierdziła cicho. – A jak się panu udało wydostać z niewoli?

– Dzięki matce. Kołatała do wszystkich drzwi, słała pisma, błagała dostojników. Dopiero ksiądz Ludwik Ruczka pomógł jej ustalić, gdzie mnie trzymali. To wspomniały człowiek. Wielu naszych tylko dzięki niemu wróciło do domów. Ale nawet z pomocą księdza ponad rok zajęło mojej matce uzyskanie dla mnie zwolnienia.

– Rozumiem. Zatem modlitwy o pana szczęśliwy powrót do domu zostały wysłuchane.

– Szczęśliwy? – Mężczyzna spochmurniał. – Tak, wróciłem, ale zbyt wiele się wydarzyło. Nie mogłem zostać. Za namową matki wyjechałem na studia do Belgii. Wróciłem dopiero po kilku latach, jednak nic już nie było tu takie, jak dawniej.

Pomyślała, że doskonale rozumie jego odczucia. Nie śmiała dłużej pytać, bo wyraz jego twarzy wskazywał, że wspomina szczególnie bolesne zdarzenia. Ogarnęło ją współczucie. Gdyby konwenanse na to pozwalały, chętnie pocieszyłaby go jakimś cieplejszym słowem, lecz jedyne, co mogła zrobić, to odwrócić wzrok, by nie krępować go w tej przykrej chwili.

Spojrzała między drzewa i przez przypadek dostrzegła jakiś ruch, jakby ktoś gwałtownie skrył się wśród zieleni. W tym samym momencie jej uwagę odciągnął pisk Aurelki.

– Ojej! – Dziewczynka z impetem usiadła na ziemi.

W dłoni trzymała garść trawy wyrwanej z korzeniami spod ogrodzenia przy kapliczce.

– Aurelko, co ty robisz? – Natychmiast pomogła jej wstać i otrzepać sukienkę. – Cóż to za pomysły? Spójrz na swoje rękawiczki.

– Musiałam wyrwać perz z kwiatków. Nie wypada, żeby zarastał Matkę Bożą. Prawda, papciu?

– Prawda, ale panna Julia ma rację. Cóż ty wyprawiasz, dziecko? Panienska w twoim wieku nie może się tak zachowywać.

– Przepraszam, nie chciałam się pobrudzić. Ale kiedyś mówiłeś do rządcy, papciu, że perz trzeba natychmiast tępić. Czy źle zrobiłam?

– Coś mi mówi, że pańska córka wyrośnie na gospodarną kobietę – rzuciła rozbawiona Julia. – Może pójdzie w pana ślady?

– Tak pani sądzi?

– Nie zdziwiłabym się. W dzisiejszych czasach można być doskonale wychowaną damą i jednocześnie znakomicie radzić sobie w gospodarstwie. Kobiety mają wiele ukrytych zalet.

– Zapewne – mruknął, uśmiechając się znacząco. – Wracajmy do powozu, moje panie, dom już za zakrętem.

W tej samej chwili wiatr przyniósł ze sobą znajomy zapach: wilgotnego piasku, mokrych kamieni i czegoś nieokreślonego. Julia aż uniosła głowę, usiłując chwycić w nozdrza tę rześką nutę powietrza.

– Rzeka – szepnęła zaskoczona.

– Słucham?

– Nie, nic. Może przespacerujemy się do dworu?

– Chce pani iść pieszo? W tym upale?

– Sam pan powiedział, że to niedaleko, a ja chętnie poznam okolicę. Zmęczyła mnie już ta jazda – przekonywała, myśląc tylko o tym, że musi jak najszybciej zobaczyć rzekę, którą pamiętała jak przez mgłę.

– O tak! Papciu! Nazbieram na łące kwiatków dla Klementynki!

Zaskoczony mężczyzna uległ prośbom i polecił stangretowi, by wolno jechał za nimi.

– Kim jest Klementyna? – zainteresowała się Julia.

– To moja klucznica, Klementyna Natejkowa. Doskonale prowadzi dom. Moja matka zatrudniła ją wiele lat temu, bo owdowiała z małym dzieckiem na utrzymaniu. Proszę się do niej zwracać we wszystkich potrzebach, a na pewno niczego pani nie zabraknie. Po narodzinach Aurelki bardzo troskliwie się nią opiekowała, dlatego mała tak ją lubi. Odnoszę wrażenie, że wołała ją od swojej niańki – stwierdził z przekąsem. – Wie pani jak to jest: te piastunki przekazywane przez lata z dworu do dworu jak skarb. Niania Aurelki na pewno w młodości była skarbem, ale nim dotarła do nas, miała już sporo krzyżyków na karku. Brakowało jej sił i cierpliwości do małego dziecka. Niestety moja świętej pamięci matka uparła się, żeby Aurelkę zajmowała się szlachcianka. Mamy tu w okolicy spory zaścianek – dodał.

Julia słuchała zaciekawiona i nieco zdziwiona wylewnością Emila. Nawet nie zauważyła, kiedy las się przeredził. Widok pól i różnobarwnych łąk, które ukazały się za kolejnym zakrętem przyjemnie ją zaskoczył. Zwolniła kroku. Wszystko wydawało się jej znajome, a jednocześnie takie, inne, jakby nagle wróciła do domu, który ktoś gruntownie odnowił.



Przez chwilę została sam na sam ze swoimi myślami, bo Aurelka i Emil wyprzedzili ją, najwyraźniej oboje przyciągani tą samą radością z powrotu do domu. Dziewczynka biegała z jednej strony pylistej drogi na drugą, w jakimś upojeniu zrywając kąkole, maki, bławatki i koniczynę, a milczący Emil kroczył skrajem, od czasu do czasu zatrzymując się, by obejrzeć z bliska dojrzewające kłosa.

„Gdyby ktoś nas teraz zobaczył, miałby niezłe widowisko – pomyślała rozbawiona. – Na przedzie dziecko z bukietem, później dżentelmen taksujący pola, za nim kobieta bez parasolki, a na końcu powóz ze służbą. Nieco dziwny pochód”.

Odwróciła się przestraszona, bo jeden z koni, zniecierpliwiony powolnym tempem, zarżał głośno tuż za jej plecami. Stangret ściągnął lejce, przymuszając zwierzę do posłuszeństwa, a wtedy Julia zobaczyła, że w pewnej odległości za powozem, idzie drogą mocno zgarbiona kobieta w prostym stroju, dźwigająca wiklinowy kosz. Gdy spostrzegła, że Julia się jej przygląda, szybko zeszła z drogi na łąkę i zniknęła wśród roślinności.

– Panno Julciu, ładny?

– Słucham? Ach, bukiet. Tak, piękny. Ale uważaj, bo spłoszysz konie.

W tej samej chwili Emil przypomniał sobie o swoich obowiązkach i wrócił, by kurtuazyjnie podać jej ramię.

– Zmęczyła się pani?

– Bynajmniej, miło jest tak spacerować wśród pól. Nie miałam ku temu okazji od zeszłych wakacji. Czy te zabudowania to już pański folwark?

– Owszem – odparł z dumą w głosie. – Proszę spojrzeć: tam są nowe czworaki dla folwarcznej służby, rządówka, a tu po prawej stronie stajnie: cugowa z wozownią i fornalska. Nieco dalej mieści się kuźnia i rymarnia. Mam też ujeżdżalnię, a z boku jest moja дума: źrebiarnia na trzy roczniki. W tej chwili hodujemy czterdzieści pięć sztuk.

– Ależ to jest ogromny majątek! – stwierdziła zaskoczona.

Folwark wydał się jej niemal wsią, z licznymi budynkami i ludźmi, którzy odrywali się od swoich obowiązków, by ukłonić się z daleka dziedzicowi i jego towarzysze.

– Gospodarstwo domowe jest z drugiej strony dworu. Obora, stodoły, kurnik, spichlerze, serownia, mamy nawet niewielką owczarnię – wyliczał, ciesząc się w duchu z wrażenia, jakie zrobiła na Julii posiadłość. – Mimo wielu trudności, z Bożą pomocą przez te wszystkie lata udało mi się podźwignąć ojcowiznę z upadku.

– Trzyma pan araby czy konie krwi angielskiej?

Emil rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

– Pani zna się na koniach?

– Nie. – Uśmiechnęła się nieco zawstydzona. – I nawet nie mogę powiedzieć, że jestem z nimi zaprzyjaźniona. Raczej żywię do tych zwierząt ostrożny szacunek. Ale jeden z moich pracodawców trzymał konie. Od niego dowiedziałam się o zagorzałym sporze między hodowcami.

– Ja pozostaję neutralny. Trzymam i araby, i folbluty, co jest raczej rzadkie w Galicji. Dzięki temu osiągam zyski na różnych rynkach. Eksperymentuję też z angloarabami. Ale panią to zapewne nudzi.

– Skądże! Człowiek, który posiada jakieś zamiłowanie, zawsze jest interesujący – stwierdziła, ale jej słowa zrobiły na mężczyźnie inne wrażenie, niż chciała. – Nie zdawałam sobie sprawy ze skali pańskiej działalności. Musi pan zatrudniać mnóstwo ludzi.

– Owszem, daję pracę niemal całej okolicy. Dawniej tutejsza wieś należała do mojego majątku. Na szczęście po uwłaszczeniu nie zabrakło rąk do pracy. Ziemia tu liche, a gospodarstwa rozdrobnione, więc chłopcy chętnie się wynajmują. A przy hodowli to nawet zaściankowi szukają zatrudnienia.

Nagle spomiędzy budynków wyskoczył wysoki, młody mężczyzna z rozczochraną czupryną.

– Panie dziedzicu! Nieszczęście!

– Co się stało?

– Matka mi przy studni rzekła, że pan jedzie, tom przyleciał w te pędy.

– Mów wreszcie.

– A bo to, panie dziedzicu, Penelopa się źrebi, ale cosik z nią źle i już nie wiemy, co robić.

– Penelopa? Przecież to za wcześnie. – Mężczyzna zdenerwował się w jednej chwili. – A gdzie mastalerz, rządcą? Gdzie doktor Natejko?

– No... Doktor z rana pojechał do chorych za rzekę.

– Więc pošlijcie po niego!

– Już my posłali, panie dziedzicu, ino się jeszcze nie wrócił. A jak się czegoś szybko nie zrobi, to Penelopa padnie.

– Tylko was z oczu spuścić, to zaraz jakieś utrapienie! – stwierdził surowo. – Niech Antoni odwiezie panienki do dworu i przekaze pani Natejkowej, żeby się wszystkim zajęła – polecił kamerdynerowi siedzącemu na koźle obok stangreta. – Z obiadem niech na mnie nie czekają, bo to może potrwać.

– Oczywiście, jaśnie panie.

– Proszę mi wybaczyć, panno Julio, ale muszę iść. – Pomógł dziewczynie wejść do powozu, po czym szybko zniknął za budynkami.

Już po raz kolejny Julia zauważyła, że ten z pozoru cichy i niepozorny mężczyzna niemal rośnie w oczach, gdy wydaje polecenia i zarządza ludźmi. Jego stanowczy głos, który jednak nigdy nie przekraczał granicy niestosownego krzyku, w jednej chwili zmuszał do uległości. Wychowana niemal wyłącznie wśród kobiet – jeśli nie liczyć odwiedzającego ich czasem mecenasa, który pełnił rolę doradcy ciotki Barbary – z fascynacją przyglądała się osobliwej metamorfozie Emila. Choć jego enigmatyczne spojrzenia chwilami ją peszyły, bardzo szybko poczuła się w jego towarzystwie bezpiecznie. Mężczyzna zdawał się z góry uprzedzać jej i Aurelki potrzeby, i dbał o ich wygody w taki sposób, jakby obie należały do jego najbliższej rodziny. To była pewna nowość dla niej, bo w relacjach ze swoimi pracodawcami przywykła do dystansu. Być może dlatego i ona nieświadomie poddawała się bez szemrania jego woli.

– Biedny papcio! – Zmartwiona Aurelka z ociąganiem wróciła do powozu. – On tak lubi Penelopę. To śliczna klacz. Biegała w wyścigach i zawsze wygrywała. Pan Karol mówił, że jest dużo warta.

– Nie martw się. Skoro twój papa do niej poszedł, klacz na pewno wyzdrowieje. A kim jest pan Karol? Już kiedyś o nim wspominałaś.

– To nasz doktor. Mieszka w oficynie obok dworu i pomaga nam przy zwierzętach, gdy zachorują. Bardzo go lubię. Kiedyś zajmował się babcią Leonią, bo ją łupało w kościach. – Dziewczynka trochę posmutniała. – Ale w końcu babcia musiała odejść do nieba.

– Poczekaj, nie rozumiem. Doktor leczył panią Leonię i zajmuje się chorymi zwierzętami? Więc kim jest: weterynarzem czy lekarzem?

– On zna się na wszystkim. Gdy miałam ospę, uzdrowił mnie, tak że nawet nie mam ani jednej blizny.

– Ciekawe – mruknęła zaintrygowana.

Cisza w powozie nie trwała długo.

– Julciu, a co to właściwie znaczy, że Penelopa się źrebi? Czy będzie miała swojego źrebaka? Skąd go weźmie?

W niewinnym spojrzeniu dziewczynki zaskoczona Julia zobaczyła jedynie czystą ciekawość.

„Masz babo placek! – pomyślała skonfundowana. – Tylko tego mi brakowało”.

Dotychczas uczennice nie zadawały jej takich pytań, bo nawet by im do głowy nie przyszło zastanawiać się nad tym, skąd się biorą na świecie rasowe szczeniaki czy podwórzowe kocięta. Małe, śliczne, puchate kulki po prostu zjawiały się pewnego dnia i już. A jeśli któraś z uczennic okazywała się bardziej ciekawska, wtedy z ewentualnymi pytaniami o bociany przynoszące dzieci Julia zawsze odsyłała ją do matki. W efekcie tych rozmów dziewczęta najczęściej już nigdy nie ośmielały się zadawać jej niewygodnych pytań.

Wychowana na wsi Aurelka widziała i słyszała znacznie więcej, zatem jej ciekawość była

naturalnym odruchem. Dzięki światłej i mądrej ciotce – znacznie bardziej wyemancypowanej od zwykłych kobiet – Julia posiadała szczątkowe wyobrażenie o procesie narodzin żywych stworzeń oraz o zagrożeniach, jakie niesie ze sobą ten tajemniczy i bardzo biologiczny moment w życiu każdej matki. Mimo to pytanie Aurelki zawstydziło ją, bo uświadomiła sobie, że jako opiekunka dziewczynki pozbawionej matki będzie musiała czasem odpowiadać na trudne pytania. Sama będąc panną, wolałaby jednak nie poruszać tematów wywołujących rumieniec na jej twarzy.

– A pani Leonia nigdy ci nie opowiadała o... klaczach i ich źrebakach? – spytała zmieszana.

– Babcia zabraniała mi pytać i chodzić do stajni czy obór. Mówiła, że to nie dla panienek.

– Hmm... Zapewne miała rację.

– Ale nie powiedziałaś mi o Penelopie.

– Wiesz, ja właściwie nie znam się na zwierzętach. Lepiej zostawmy tę sprawę twojemu papie.

On tu jest gospodarzem, o wszystko zadba.

– Ależ Julciu! Chciałabym pomagać papie, on jest taki samotny. Chcę być dla niego gospodynią, a wszyscy odsyłają mnie ciągle do zabawek i książek.

– Kiedy dorośniesz, twój ojciec będzie dumny, jeśli zapragniesz mu pomagać. A na razie trzeba się skupić na edukacji.

– Ale ja już nie jestem dzieckiem i chciałabym się dowiedzieć! – Naburmuszyła się.

– O czym?

– Na przykład skąd się biorą małe zwierzęta. Służąca pokazywała mi kiedyś, jak kura wysiaduje jajka i opowiedziała, jak się wykluwa kurczątko. Ale jeden z parobków się śmiał, kiedy spytałam, czy konie i cielaczki też wychodzą z jajek. A ja nie lubię, kiedy się ze mnie śmieją. Obiecałaś, że mogę cię o wszystko spytać, bo jesteśmy przyjaciółkami.

„O mój Boże! Co ja mam z tym zrobić?” – westchnęła, kompletnie rozbrojona, ale na szczęście powóz właśnie wjechał w grabową aleję wiodącą do dworu i Aurelka natychmiast zapomniała o swoim pytaniu.

Gdy tylko podjechali pod ganek, dziewczynka wyskoczyła z powozu jak młoda sarenka i z bukietem kwiatów wpadła w ramiona czekającej na dziedzińcu wysokiej, szczupłej kobiety o dość mocno postarzałej twarzy.

– Klementynka!

– Moja panienska słodka! Wypatrywałam cię od rana. Nareszcie jesteś! Tak się stęskniłam.

– Ja też!

– Ależ panienska urosła i schudła! Aż poznać trudno. Nie martw się, perełko, już ja cię podkarmię jak trzeba.

– Bo takich pyszności, jak Klementynka robi, na pensji nie było. Proszę.

– Uzbierałaś dla mnie? – Rozczulona kobieta przyjęła bukiet i sięgnęła do jednej z przepastnych kieszeni śnieżnobiałego fartucha po chusteczkę. – Bóg ci zapłać, perełko. – Dyskretnie otarła łzy.

W czasie gdy uściski i okrzyki powitania trwały w najlepsze, Julia zeszła ze stopni powozu i szybkim spojrzeniem objęła dwór: parterowy budynek na planie wydłużonego prostokąta, kryty łamanym gontowym dachem, kolumnowy ganek, przybudówki, dziedziniec z okrągłym gazonem i kwiatowe rabaty pod oknami pełne nasturcji, lewkonii, astrów i dali.

– A gdzie pan Laskowic? – spytała wreszcie ochmistrzyni, zerkając dyskretnie na czekającą przy powozie Julię.

– Papa poszedł do stajni. Ojej, zapomniałam! – Aurelka pociągnęła ją za rękę. – Panno Julio, to pani Klementyna, nasza gospodyni. A to moja nowa nauczycielka, panna Julia. – Z całą powagą, na jaką ją było stać, dokonała prezentacji obu kobiet. – Bo Klementynka nie wie, że ja już nie muszę wracać na pensję. Będę znowu uczyć się w domu. Papcio tak postanowił. Wspaniale, prawda?

Ochmistrzyni nie wyglądała na zaskoczoną, z uśmiechem skinęła Julii głową.

– Otrzymałam w tej sprawie wiadomość od pana Laskowica – stwierdziła zyczliwym tonem. – Bardzo miło mi panią powitać w naszym dworze. Klementyna Natejkowa.

– Julia Zarzewska – odparła z uśmiechem dziewczyna, podając jej dłoń na powitanie.

– Zarze...? Zarzewska? – szepnęła zdumiona klucznica, a uśmiech zniknął z jej pomarszczonej twarzy jak zdmuchnięty płomień świecy.

W milczeniu patrzyła na młodą kobietę niczym na zjawę.

– Dobrze się pani czuje? – zatroskała się Julia.

W tym momencie zniecierpliwiona Aurelka pociągnęła ją za suknię.

– Chodźmy, pokażę pani mój pokój i kanarka! O, psy! Panno Julciu, moje psy! Tak za nimi tęskniłam! – Radosne okrzyki dziecka i szczekanie chartów przycichły, gdy stłumiły je ściany dworu.

Mimo że obie podróżniczki weszły już do środka, osłupiała gospodyni nie ruszyła się z dziedzińca. Na jej czole rysowała się głęboka, gniewna zmarszczka.

– Pani Natejkowo? Gdzie mamy umieścić bagaż panny Zarzewskiej? W pokoju gościnnym? – Pytanie kamerdynera wyrwało ją z tego stanu.

– Słucham? Ach, bagaż. Nie – odparła oschle. – Proszę zanieść na poddasze, do zielonego pokoiku.

– Jest pani pewna?

– Cóż to za pytanie? Czy Antoni czegoś nie rozumie?

– Ależ skąd. Wszystko jasne – odparł służący z godnością i machnął na ludzi dźwigających kufry.

– Za mną. Na górę.

– Nie mogę w to uwierzyć. Julia Zarzewska... nauczycielką mojej panienki? – mruknęła klucznica pod nosem. – Niedoczekanie!

## ROZDZIAŁ IX

Pokój na poddaszu, zwany zielonym z powodu liściastej tapety, mocno już nadszarpniętej zębem czasu, zaskoczył Julię nie tyle swoją skromnością, co sporą odległością od sypialni Aurelki. Położony po północnej stronie domu oferował miły latem cień – niemal półmrok – oraz proste, lecz funkcjonalne umeblowanie: dębowe łóżko, szafę, niewielki stolik z krzesłem oraz rozklekotany kłęcznik i umywalnię za dziurawym parawanem.

Julia zdążyła się już zorientować, że jak przystało na typowy galicyjski dwór, tylko główne sale były wyposażone w reprezentacyjne meble, w pozostałych pokojach można było znaleźć wszystko, co już dawno straciło swój blask, lecz – niepogryzione do szczeru przez kołatki – wciąż było użyteczne. Zielony pokój na poddaszu nie zdziwił jej zatem, raczej ucieszył. Do tej pory zdarzało jej się już sypiać w równie niewielkich pomieszczeniach, jednak wielkopańskie mieszkania w kamienicach urządzało ze znacznie większym przepychem: zagracając każdy wolny kawałek podłogi otomanami, fotelami, stoliczkami, postumentami, komódkami czy etażerkami, a na ścianach wieszając niezliczone portrety przodków – zgodnie z przemijającą już modą na biedermeier, który w kwestii umeblowania z oczywistych względów przetrwał znacznie dłużej niż w ubiorach. Wychowana na ascetycznie urządzonej pensji zawsze miała z tym problem, lecz prośba o usunięcie czegokolwiek z przeznaczonej dla niej sypialni zwykle spotykała się ze zdziwieniem i niezrozumieniem. Przywykła zatem znosić wszelkie niewygodę z pogodą ducha, byle tylko pozostawać blisko swoich uczennic. Skromnie zagospodarowana przestrzeń poddasza, tchnąca historią starzejących się mebli, bardzo by jej odpowiadała, gdyby nie ten właśnie mankament – pokoje Aurelki znajdowały się zbyt daleko. Ponieważ jednak nie miała na to wpływu, ze spokojem przyjęła pomoc służącej, która zajęła się wypakowaniem i porządkowaniem jej garderoby.

Szybko odkryła, że sypialnia na poddaszu miała ważną zaletę: gdy otworzyła okno, by wpuścić do środka świeże powietrze, jej oczom ukazał się wspaniały widok na kwiatowy ogród i najbliższą okolicę. Rozkoszując się zielenią, za którą tak bardzo tęskniła, dostrzegła nagle coś, co spowodowało szybsze bicie serca – między odległymi drzewami połyskiwała w słońcu leniwie płynąca woda.

„Rzeka!” – Ucieszyła się.

Pomna opowieści ciotki, spodziewała się ujrzeć swój dawny dom już z drogi lub okien dworu, jednak niczego nie udało się jej dostrzec, ponieważ dom Laskowiców otaczały wysokie drzewa. Dopiero widok z poddasza pozwolił jej się zorientować, jak dotrzeć nad rzekę, która przyciągała ją niczym płomień świecy kuszący ćmę. Miała ochotę natychmiast tam pobiec, musiała jednak powstrzymać emocje i poczekać na odpowiednią okazję. Nie chciała, by ktokolwiek we dworze zorientował się, że nie przyjechała tu wyłącznie dla Aurelki.

Miała jeszcze jeden kłopot: rzeka oznaczała granicę, za którą zaczynały się dawne ziemie Zarzewskich – dziś własność hrabiego. Nie zdążyła zapytać, kto teraz zajmuje się pałacem, lecz wiedziała jedno: ktokolwiek służył jej wujowi, zapewne szybko doniósłby mu, że jego siostrzenica pojawiła się na terenie posiadłości. Julia domyślała się, że hrabia odczytałby jej zainteresowanie po swojemu, dlatego nie zamierzała dawać mu tej satysfakcji.

„Jakie to wszystko jest trudne! – myślała podenerwowana. – Gdzieś tam wśród drzew jest mój dom, moje dzieciństwo, moje wspomnienia. A ja mam coraz mniej odwagi”.

To miejsce budziło w niej mieszane uczucia: przyciągało ją i przerażało jednocześnie. Stojąc w oknie i patrząc na migoczącą w oddali wodę, wiedziała jednak, że nie zdoła zasnąć, dopóki choć z daleka nie spojrzy na pałac.

– Julciu... Panno Julio. – Usłyszała za sobą głos Aurelki, która szybko się poprawiła, widząc krzątającą się w pokoju służącą. – Klementynka kazała prosić na obiad. Pappia nie ma i doktora też, więc zjemy same.

– Doktor jada z wami?

– Tak. Chodźmy.

– Zaczekaj, Aurelko. Już wcześniej chciałam ci coś powiedzieć.  
– Słucham.  
– Widzisz, jesteś coraz starsza. Wiem, że bardzo lubisz panią Natejkową, ale nie powinnaś już mówić do niej po imieniu.  
– Dlaczego?  
– Jest u was ochmistrzynią. To ważne stanowisko, trzeba okazać jej szacunek. Nie wypada zwracać się do niej w ten sposób.  
– A jak?  
– Zwykle należy użyć nazwiska, ale myślę, że na razie wystarczy, jeśli będziesz mówić: pani Klementyno.

– Dobrze. A teraz chodźmy. Są same pyszności!

Jadalnia nie była dużym pomieszczeniem, ale ponieważ przy długim stole siedziały tylko we dwie, pokój wydał się Julii pusty i mało przytulny. Natomiast obiad przyjemnie zaskoczył ją ilością i smakowitością zaserwowanych dań, dowodząc, że pochwały dla Natejkowej jako zarządzającej domem nie były przesadzone. Mimo tego przez cały posiłek myślała tylko o jednym: jak wymknąć się niepostrzeżenie z dworu choć na chwilę.

Dopiero gdy Aurelka poczuła znużenie po sytym posiłku i wyznała, że marzy o drzemce, Julia dostrzegła swoją szansę. Sama najchętniej również odpoczęłaby w zaciszu nowej sypialni, lecz pragnienie zobaczenia rzeki, a właściwie tego, co znajdowało się za rzeką, było silniejsze.

„Tylko zerknę! – planowała, w pośpiechu kończąc deser. – Przecież mam prawo wyjść na krótki spacer. Cóż w tym złego?”

Zajęta myślami nie zwróciła zbyt dużej uwagi na niechętnie spojrzenia, jakimi raz po raz obdarzała ją klucznica. W końcu wyczuła jednak zastanawiającą zmianę tonu. Natejkowa, która tak serdecznie przywitała ją na podwórzu, wydała się teraz chłodna, by nie rzec oschła. Zaglądając kilkakrotnie do jadalni, interesowała się wyłącznie Aurelką. Później ostantacyjnie zabrała zmęczoną dziewczynkę od stołu, rzucając:

– Proszę się nie kłopotać, ja się zajmę panią. Moje biedactwo jest bardzo zdrożone, musi odpocząć. Kawę podać pani tutaj czy do salonu?

– Jeśli można, wolałabym...

– A zatem tutaj – przerwała klucznica i wydała lokajowi odpowiednie polecenie.

Choć wcale nie miała ochoty na kawę, Julia nie zaprotestowała, wyraźnie zbита z tropu. Pozostawiona sama sobie, pomyślała, że lepszej okazji już tego dnia nie będzie. Odczekała dłuższą chwilę, aż służba oddali się do swoich obowiązków, i dyskretnie wymknęła się z jadalni.

Wiedziała już, że do kwiatowego ogrodu schodziło się wprost z tarasu na tyłach dworu, szybko więc przemknęła przez amfiladę reprezentacyjnych pokoi, zbiegła po kilku kamiennych schodkach i z ulgą zanurzyła się w naturalną ciszę, wypełnioną popołudniowym świergotem ptaków, szumem drzew i brzęczeniem pszczół.

O ile w niedalekim warzywniaku i sadzie, w oborach, kurnikach i stajniach panował zwykły codzienny ruch, o tyle w nieco zaniedbanym ogrodzie nikogo nie spotkała. Minęła kilka kamiennych ławek zazielenionych od mchów, starą altankę oplecioną powojnikami, słoneczny zegar stojący w centrum kwiatowego klombu, aż wreszcie dotarła do niskiej drewnianej furtki ze skrzypiącymi zawiasami. Ścieżka wydeptana wśród wysokiej trawy i drzew poprowadziła ją wprost ku rzece.

Z każdym krokiem Julia była coraz bardziej rozemocjonowana. Gdy jednak dotarła na brzeg, ogarnęła ją konsternacja.

Dość leniwy nurt rzecznej wstęgi połyskiwał w popołudniowym słońcu złotem i pomarańczem, odbijając jak w tafli lustra pierzaste chmury płynące po niebie. W powietrzu unosił się rześki zapach mokrych traw i kamieni, a przyjemny szum wody, przerywany od czasu do czasu przez plusk ryb, mieszał się ze śpiewem ptaków, dochodzącym z lasu na drugim brzegu.

Ten urokliwy obrazek wydał się jej zupełnie obcy. Rozejrzała się zdziwiona. Tam, gdzie przystanęła, błotnisto-kamienisty brzeg łagodnie schodził do wody, lecz po drugiej stronie teren

znajdował się nieco wyżej. Woda płynęła wzdłuż porośniętego trawą nabrzeża, które miejscami schodziło ostro w dół, tworząc skarpy.

„Czyżby okolica aż tak się zmieniła?” – pomyślała. – Hmm... A może to dlatego, że zawsze patrzyłam na rzekę z drugiej strony? Stąd nic nie zobaczę. Za dużo drzew”.

Ruszyła wzdłuż brzegu, niecierpliwie przeczesując wzrokiem gęstwinę po drugiej stronie. Uszła spory kawałek, nim dostrzegła coś, co wzbudziło radosne bicie serca.

„Jest! Wieżyczka duchów! Tak ją nazywała Busia” – pomyślała, czując, że zasycha jej w gardle.

Wspięła się na palce i jak zahipnotyzowana przyglęła wzrokiem do skrawka poszarzałych murów, które wyłoniły się spośród zieleni na drugim brzegu. Szczyt kwadratowej wieży, którą jej ojciec wybudował specjalnie na prośbę żony, przypominał w tej chwili wyspę wśród morza drzew, do której nie można było dopłynąć, by sprawdzić, że nie jest przywidzeniem.

„Samotnia *maman*. Jedyne garderobiana miała tam wstęp – westchnęła. – Ale nikt z was nie miał pojęcia, do czego było zdolne stęsknione dziecko. I mąż. – Uśmiechnęła się tajemniczo. – Właściwie nigdy się nie zastanawiałam, dlaczego biedna *maman* tak często ukrywała się tam przed światem? Osoba chora na nerwy potrzebuje spokoju, ale zupełne odosobnienie nie jest dobrym rozwiązaniem. Dlaczego ojciec jej na to pozwalał?”

Przypomniała sobie, że czasami na piętrze pałacu rozlegały się gniewne krzyki *maman*, która rzucała w służbę różnymi przedmiotami, i dopiero wezwany na pomoc lekarz był w stanie ją uspokoić.

„To mogły być ataki choroby. Doktor rzeczywiście często u nas bywał, skoro tak dobrze go pamiętam. – Zamazane wspomnienia same zaczęły do niej napływać, jakby niósł je leniwy nurt rzeki. – Miał długie wąsy i zawsze był zmęczony, choć bardzo miły. Lubiłam go. Jak się nazywał?... Nie pamiętam. Mieszkał z rodziną w domku na końcu naszego parku. Może nadal praktykuje w okolicy? Ile miałby teraz lat? Chyba sporo. A może... może ten doktor Karol, który mieszka przy dworze, to właśnie on?” – pomyślała z nadzieją.

Nagle woda przyniosła z oddali jakiś okrzyk, wrywając ją z zamyślenia. Oprzytomniała i rozejrzała się z pewnym zdziwieniem, jakby przez moment zapomniała, że nie znajduje się w pałacu, tylko na błotnistym brzegu rzeki. Dopiero teraz spostrzegła, że zamoczyła nie tylko buty, ale także cały dół sukni, nie przejęła się tym jednak. Szczyt wieżyczki, którą raz po raz zasłaniały czubki drzew poruszanych wiatrem, wciąż przyciągał jej wzrok.

„Gdybym tylko mogła podejść bliżej! – pomyślała, czując niedosyt. – Na pewno przypomniałabym sobie coś jeszcze. Gdzieś tu musi być most”.

Mimo zarośli, śliskich kamieni i błota, z determinacją ruszyła wzdłuż rzeki. Nie myliła się. Kilka chwil później zza zakrętu wyłonił się drewniany most, zbyt wąski, by wyminęły się na nim dwie furmanki, ale dość szeroki dla pieszych i jeźdźców. Julia momentalnie zapomniała jednak, po co go szukała. Już z daleka usłyszała płaczliwe krzyki jakiegoś dziecka i zobaczyła barczystego chłopca, który kijkiem okładał wrywającego mu się chłopca.

– Rybki sobie łowisz, ścierwo, a tam znowu bydło w szkodzie! Już ja ci pokażę! – wrzeszczał. – Żeby mi potem byle kto na skargę przylatywał?! Jak ci skórę wygarbuję, to się w końcu nauczysz być dobrym pastuchem!

– Olaboga! Gospodarzu, darujcie! – krzyczał chłopiec, zasłaniając głowę chudymi rękami, ale brodaty mężczyzna mocno trzymał go za brudną koszulę.

Zdumiona Julia zamarła tylko na chwilę, po czym bez namysłu puściła się biegiem w ich kierunku.

– Co robisz, człowieku?! Przestań natychmiast! – krzyknęła i chwyciła chłopca za ramię. – To przecież dziecko!

Mężczyzna był tak zaskoczony jej nagłym pojawieniem się, że wypuścił koszulę z garści i zastygł z podniesionym kijem. Julia błyskawicznym ruchem przygarnęła do siebie zasmarowanego chłopca.

Owionął ją nieprzyjemny zapach przetrawionego alkoholu, więc z obrzydzeniem cofnęła się o krok, zasłaniając sobą dziecko.

– Eee... A pani czego tu? – sapnął zdyszany chłop, patrząc na nią przekrwionymi oczyma.

– Dlaczego go bijecie? Jak można tak traktować własnego syna?!

– Syna? To ino znajda z przytułku – parsknął kpiąco. – Z litości przygarnąłem, dach nad głową dałem, a to ścierwo leniwe jest. Nic ino by nad rzeką siedział. A zresztą, co pani do tego? Kim pani jest?

– Podejrzliwie zlustrował przybrudzoną, skromną suknię Julii.

Przebijając się po podróży, dziewczyna z ulgą wybrała prostą codzienną sukienkę bez ozdób. Liczyła na to, że na wsi uwolni się wreszcie od tak koszmarnie niewygodnych modowych konieczności, jak strojne kapelusze, tiurniura czy mocno usztywniane gorsety.

W mieście nie dało się tego uniknąć, by nie zostać posądzonym o zbyt dużą emancypację lub brak przyzwoitości, jednak wyobrażenia Julii o wiejskim stylu ubierania były zdecydowanie bardziej swobodne. Na dodatek, wymykając się z dworu, nie ośmieliła się wracać na górę po kapelusz, rękawiczki czy parasolkę. Jej ubiór nie dawał zatem jasnej informacji na temat statusu społecznego, a młody wiek i brak towarzysza spaceru najwyraźniej ośmieliły chłopca do bezceremonialnego taksowania jej wzrokiem.

– Czego się pani wtrąca w nie swoje sprawy? – warknął, chwiejnie stając w rozkroku, by złapać równowagę.

– Jak to: w nie swoje? – rzuciła oburzona, bo groźny ton bynajmniej jej nie przstraszył, a na dodatek czuła, jak bardzo drży chłopiec, którego przyciskała do siebie. – Mam spokojnie patrzeć, jak katujecie to dziecko?! Cóż to za obyczaje?

– Mój pastuch, moje sprawy! Wolny człowiek jestem, gospodarz. Niech se panusia wraca, skąd przyszła, i nie wtyka nosa, gdzie nie potra, bo jeszcze go przytnę!

Nagle na moście zadudniły końskie podkowy.

– Hej, Szymoniak! A cóż to za pijackie burdy urządzasz w biały dzień? – Młody, elegancki mężczyzna zatrzymał konia tuż obok Julii i zgrabnie zeskoczył z siodła. – Czy mi się zdaje, czy ośmielasz się obrażać naszego gościa?

Stał między Julią a chłopcem i znacząco uderzył szpicrutą w wysoką cholewę swojego buta. Choć był znacznie szczuplejszy od brodacza, przewyższał go wzrostem, więc groźnie spojrział na niego z góry.

– Mało ci było ostatnio? Znowu chcesz mieć kłopoty? Uprzedzałem, że jeśli jeszcze raz podniesiesz rękę na Franka...

– A co mnie doktor tyka?! – przerwał mu rozgniewany chłop. – Gospodarz jestem i będę robił, co mi się podoba!

– Gospodarz? Morgi i krowie ogony nie wystarczą, żeby się zwać gospodarzem. Trzeba jeszcze mieć trochę oleju w głowie i ludzkie poważanie. A z tym coraz gorzej, jak słyszę. Już ponoć na drugiej wsi musiałeś panny szukać, bo tutaj żadna cię nie chce.

– Doktorku...

– Radzę po dobroci: wracaj do chałupy, wytrzeźwiej i przestań pić albo z twojego weseliska będą nici.

– Bo co?!

– O, nic wielkiego. Wystarczy poczekać.

– Na co?

– Oczy czerwone, usta sine, cera żółta i w boku pewnie wątroba wierci, że hej. – Doktor zbliżył się do chłopca bez obawy. – Do tego niesmak na języku, w głowie huczy jak w ulu, a kiedy cię gniew zbierze, to i w gardle tak coś dusi, że tchu brakuje. Nieprawda może? Już ja ci mówię, bratku, że nawet pół roku nie minie, jak się twoi krewni ucieszą ze schedy po tobie, jeśli się nie poprawisz.

– Że co? – Zbaraniały chłop momentalnie opuścił ręce. – Co mi tu doktor...

– Dobrze wiesz, że ja się nigdy nie mylę. Chorobę widzę na wylot. I tylko przez wzgląd na obecność damy oszczędzę ci nieprzyjemnych szczegółów.

– Tfu! Na psa urok! – Chłop się cofnął i splunął przez ramię.

– Odczynianie tu nic nie pomoże. Lepiej do spowiedzi iść, a co rychlej, bo czas nagli. – Kpiący uśmiech nie schodził z twarzy młodego doktora. – A teraz niech Szymoniak znika mi z oczu.



– Bo co?!

– Bo jeśli się dziedzic dowie, jak potraktowałeś guwernantkę naszej panienki, to raczej nici będą z tej ugody o wycięte drzewa z dziedzicowego lasu. To jak będzie?

– A żeby was pokręciło!

Chłop ze wściekłości rzucił kijek na ziemię, obrócił się na pięcie i chwiejnie ruszył przez most.

W połowie drogi jednak zatrzymał się i wrzasnął:

– Franek, do chałupy! Ino wartko, bo mnie popamiętasz!

Tym razem zareagowała Julia.

– Nic z tego! – krzyknęła twardo. – Chłopiec zostanie przy mnie!

– Że co?

– Słyszałeś, Szymoniak. Skoro panna mówi, że Franek zostaje, to zostaje. I na twoim miejscu cieszyłbym się, że tylko tak się ta sprawa kończy.

Chłop zaklął i splunął po raz kolejny, tym razem w ich stronę.

– Jeszcze mnie popamiętacie – burknął i wściekle tupiąc po moście, przeszedł na drugi brzeg.

– Ale pani uczycielko! – chlipnął chłopiec. – Ja muszę do chałupy.

Wewnętrznie rozdygotana Julia z wysiłkiem zdobyła się na miły wyraz twarzy.

Przykucnęła obok dziecka i podała mu chusteczkę.

– Nie płacz, Franku. Wytrzymaj nos. Już nigdy nie będziesz musiał wracać do tego człowieka, obiecuję. Skoro jesteś sierotą, to on nie ma do ciebie żadnych praw. Znajdziemy ci lepsze miejsce, nie bój się.

– Pokaż się, chłopcze. – Doktor ostrożnie obejrzał posiniaczone plecy i rozbity łuk brwiowy. – Noo... – mruknął gniewnie. – Dobrze, że pani to przerwała. Franku, ile razy ci powtarzałem, żebyś natychmiast przybiegł do dworu, jeśli tylko gospodarz znów cię uderzy, co?

– Ale panie doktorze, ja nie mogłem.

– Znowu zapomniałeś o krowach?

– Ja ino ułowić chciałem cosik, bo... – Chłopiec spuścił głowę.

– Rozumiem. Kiedy ostatnio dał ci jeść?... Milczysz... – Wzburzony doktor domyślił się prawdy.

– Już dobrze. Za chwilę najesz się do syta.

Widząc zbulwersowaną minę Julii, rozłożył ręce w geście bezradności.

– Przykro mi, że była pani świadkiem takiej sceny. Niestety, tu wciąż jeszcze słabszego i chorego traktuje się jak pasożyta. Wiele nauki trzeba włożyć w ten lud – westchnął. – Proszę mi wybaczyć, nie przedstawiłem się przez to zamieszanie. Karol Natejko, tutejszy lekarz. I weterynarz zarazem.

„Ach, więc to jest doktor Karol – pomyślała lekko rozczarowana. – Szkoda”.

– Julia Zarzewska. Dziękuję panu za pomoc.

– Julia? – Spojrzał na nią ze zdziwieniem i uśmiechnął się niedowierzająco. – Miło mi panią spotkać, choć w tak nieprzyjemnych okolicznościach.

– Skąd pan właściwie wie, kim jestem?

– Dwa dni temu pan Laskowic przysłał wiadomość do dworu, że przywiezie guwernantkę dla córki. Kiedy panią zobaczyłem, nietrudno było się domyślić, że to właśnie pani. Aczkolwiek nie spodziewałem się, że nauczycielka Aurelii będzie tak śliczną panną.

– Proszę nie żartować – mruknęła. – Trzeba się zająć tym biednym dzieckiem. Jak możecie pozwalać, by działy się tu takie rzeczy?

– Robimy, co się da, ale na zmiany trzeba czasu. Czy pani wie, że w niektórych sierocińcach za kilkanaście lub kilkadziesiąt grajcarów każdy może kupić sobie dziecko? Im młodsze, tym tańsze. O tym się nie mówi, ale to wciąż świetny sposób na darmowego pracownika.

– Co takiego?!

– Niestety, przytulki są różne. Czasem dzieci mają szczęście i trafiają na dobrych ludzi, ale częściej... Nim podrosną i zażądają zapłaty, pracują za marny kawałek chleba i miejsce do spania w oborze.

– Ale przecież z tym trzeba walczyć!

– Myśli pani, że nie próbujemy? Szkoda słów.

Z przytroczonej do siodła torby wyjął opatrunek, nasączył go jakimś płynem i delikatnie startł krew z czoła oszołomionego chłopca.

– Nie sycz, bohaterze. Szczypanie zaraz minie, ale siniaki tak szybko nie zejdą. Kiedy się porządnie umyjesz, natrę ci żebra maścią. I trzeba będzie cię trochę odkarmić, boś chudy jak grochowa tyczka – zażartował ciepło.

– Ale panie doktorze, ja przecie muszę nazad do chałupy.

– Nie. Panna Julia ma rację, dość już tego. Poprosimy dziedzica, żebyś na razie został przy dworze. Kiedy przyjdzie pora, nauczysz się od stajennych pracy przy koniach. Do Szymoniaka już nie wrócisz.

Chłopiec zamiast się ucieszyć, spuścił głowę i zaszlochał rozpaczliwie.

– Franku, co się stało? – Przestraszona jego reakcją Julia pogładziła go po jasnej głowie. – We dworze przecież nic ci nie grozi. Ja poproszę za tobą dziedzica i pan doktor też poprosi. Na pewno nikt cię stamtąd nie wyrzuci.

– Ale moja sio... siostrzyczka! – Chłopiec aż się zająknał. – Trza mi wrócić do gospodarza.

– Słucham? Ten człowiek przygarnął także inne dzieci?

– Nic mi o tym nie wiadomo. W zimie Szymoniakowi zmarł ojciec, a parobek odszedł po dwóch miesiącach. Franek był u niego od marca, ale sam. Hej, chłopcze, spójrz mi w oczy. O co chodzi? Masz siostrę?

– Tak, panie doktorze, została w przytułku. Jakżem chciał kiedyś do niej uciec, to gospodarz mnie złapali, stłukli i rzekli, że jak odejdę, on zaraz po moją siostrę pojedzie. I wtedy ją będzie tłuc zamiast mnie.

Zdruzgotana Julia zdołała tylko przytulić chłopca, bo słowa uwięzły jej w gardle. Karol, widząc jej reakcję, przybrał sztucznie wesoły ton.

– Wierz mi, Franku, że nic takiego się nie stanie – oznajmił. – Chodź, pojedziesz sobie do dworu jak król na wierzchowcu, a my z panną Zarzewską pogwarzymy sobie po drodze. O siostrę się nie martw. Nikt jej nie skrzywdzi, obiecuję.

Mimo tej optymistycznej zapowiedzi szli jednak w milczeniu. Zamyślony doktor prowadził konia za uzdę, a poruszona wydarzeniami Julia kroczyła tuż obok niego. Dopiero kiedy zbliżyli się do dworu, spytała cicho, tak by chłopiec nie usłyszał:

– Naprawdę im pan pomoże? Ja tak niewiele mogę zrobić.

– Pani już zrobiła, co należało. Proszę się nie martwić, sam się tym zajmę.

– Dziękuję.

– Nie, to ja dziękuję – odparł półgłosem. – Już dawno rozmawiałem z panem Laskowicem o Franku, ale nie chcieliśmy wywoływać konfliktów z wsią. Postanowiliśmy dać Szymoniakowi jeszcze jedną szansę. Oni rządzą się swoimi prawami i wszystkiego tak od razu zmienić się nie da. Szymoniak ma się żenić po żniwach, więc mieliśmy nadzieję, że przy nowej gospodynie chłopcu będzie wreszcie lepiej. Ale w tej sytuacji nie można postąpić inaczej. W razie potrzeby poprze nas proboszcz i kilku mądrych gospodarzy. Obiecuję pani, że ten człowiek już nigdy więcej nie weźmie sieroty na wychowanie.

Zerknął na chłopca. Franek trzymał się z całych sił siodła i z niedowierzaniem patrzył na bielejący wśród grabów i klonów budynek dworu, który rósł w jego oczach jak brama do raj. Doktor uśmiechnął się mimo woli. Przypatrująca mu się dyskretnie Julia pomyślała nagle, że ten mężczyzna ma bardzo sympatyczną i wzbudzającą zaufanie twarz. Było w nim jednak coś, co ją zastanawiało, ale nie umiała sprecyzować tego odczucia. Gdy uświadomiła sobie, z jakiej opresji wyratował ją przy moście, poczuła głęboką wdzięczność.

– Jeszcze raz panu dziękuję. Zupełnie zapomniałam, że nie jestem tu u siebie i muszę się nauczyć postępować z tutejszymi ludźmi. Nie powinnam narażać pana Laskowica na niepotrzebne konflikty.

– Naprawdę nie ma za co – odparł doktor z tak ujmującym uśmiechem, że speszona Julia szybko zmieniła temat.

– Ciekawi mnie jedna sprawa.  
– Tak?  
– Czy dobrze zrozumiałam, że jest pan zarówno lekarzem, jak i weterynarzem? Czy to możliwe?  
– Owszem. Po prostu los mi sprzyjał. Pan Laskowic to bardzo dobry człowiek. Po śmierci mojego ojca zajął się mną jak własnym synem, wykształcił w najlepszych szkołach, dał posadę. Studiowałem na Akademii Medycznej, a później, kiedy nadarzyła się okazja, we Lwowie zdobyłem też tytuł *medicus veterinarius* i prawo praktyki we wszystkich krajach monarchii austriackiej. Dzięki temu mogę bardziej przydać się mojemu dobroczyńcy.  
– Zazdroszczę panu.  
– Czego?  
– Edukacji. Gdybym ja miała możliwość uczyć się na uniwersytecie... – urwała ze smutkiem.  
– Świat idzie ku lepszemu – stwierdził pogodnie. – Wierzę w postęp ludzkości. Zobaczysz pani, że już niedługo kobiety także i u nas będą mogły studiować bez przeszkód.  
– Jest pan idealistą.  
– A pani w tak młodym wieku nie powinna tracić pogody ducha – zażartował. – Wierzę, że zmiany na lepsze w końcu nadejdą. A może i nasza ojczyzna odzyska wolność?  
Przez krótki moment połączyło ich pełne zrozumienia spojrzenie. Julia pierwsza spuściła wzrok.  
– Doktorze?  
– Tak?  
– Przedstawił się pan jako Karol Natejko. Czy ochmistrzyni pana Laskowica to pańska krewna?  
– Owszem. Jestem jej synem.  
– Ach, synem.  
– A pani jest krewną dziedzicą, o ile się nie mylę.  
– Bardzo daleką. Skąd pan wie?  
– Tutaj się wychowałem i tu żyję, więc dobrze znam okoliczne ziemiaństwo. Pani mnie nie pamięta?  
Zbita z tropu przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć.  
– A powinnam? – spytała ostrożnie.  
– Owszem – stwierdził rozbawiony. – Jako dzieci często bawiliśmy się razem. W parku i w ruinach nad rzeką. Razem ratowaliśmy kocięta wrzucane do rzeki. Nadal sobie pani nie przypomina?  
Serce Julii zabiło nagle mocniej. Obca do tej pory, choć miała twarz młodego mężczyzny wydała się jej dziwnie znajoma.  
– O mój Boże! – szepnęła zdumiona. – Lolek? Syn naszego doktora?  
– We własnej o kilkanaście lat starszej osobie – odparł zawadiackim tonem.

\* \* \*

Pod puchową kołdrą Busi było tak gorąco, że czuła, jak pot spływa jej po plecach. Choć zaczęło jej brakować powietrza, postanowiła, że dopóki niania nie wróci, ona nie wyściubi stamtąd nawet czubka nosa. Zwinięta w kłębek na łóżku opiekunki nasłuchiwała z trwogą, czy ktoś przypadkiem nie nadchodzi.

Tylko gdzie Busia była tak długo? Obiecała poszukać *maman*, a sama także zniknęła. A jeśli Busi również coś się stało? Jeśli wszyscy w tym pałacu znikają? Może te duchy z wieżyczki w końcu się zdenerwowały i wszystkich pożerają jak wilkołaki z opowieści niani? Żeby już wreszcie nastał świt!

Przerażona własnymi myślami skuliła się jeszcze bardziej. Nagle usłyszała skrzypienie drzwi. Zamarła i wstrzymała oddech. Gdy kołdra się uniosła, ona mimowolnie pisnęła ze strachu.

– Ciii! To ja, panienko. – Usłyszała szept niani.

– Busiu! – Z ulgą rzuciła się pulchnej kobiecie na szyję. – Gdzie byłaś tak długo? Okropnie się

bałam!

– Wiem, ale mów szeptem, moja koteczko. Lepiej, żeby nas nikt nie usłyszał.

Miękkie ramiona piastunki otoczyły ją niczym ochronny mur, dając poczucie bezpieczeństwa.

Przez chwilę tuliły się obie w nocnej ciszy.

– Jesteś zimna.

– Tak, panienko, musiałam wyjść na chwilę na zewnątrz... Niepotrzebnie, Boże mój, niepotrzebnie – szepnęła zdenerwowana kobieta. – Co ja mam teraz zrobić?

– Busiu, co się stało? Tak mocno bije ci serduszko.

– Nie pytaj o nic.

– A gdzie byłaś? Znalazłaś *maman*? Czy nic się jej nie stało?

– Oj, tyle pytań, tyle pytań. – Zmartwiona niania pokręciła głową. – Niech się panienka tym nie zajmuje, bardzo proszę. Położymy się teraz spać i o wszystkim zapomnimy, tak?

– Ale obiecałaś to sprawdzić. *Maman* musiało się coś stać. Trzeba powiedzieć papie, żeby ją ratował.

– Nie! Ani się waż! Boże, co robić? – szepnęła opiekunka rozpaczliwie. – Błagam, niech panienka zapomni o wszystkim, co mi przedtem opowiedziała. Dobrze?

– Jak to? Trzeba posłać po pana doktora. Widziałam krew.

– Broń Boże! Zabraniam panience o tym mówić. Komukolwiek!

– Ale dlaczego? – Zaskoczona surowym tonem odsunęła się od niani.

Busia westchnęła.

– Niech się panienka nie dąsa, tylko bardzo uważnie mnie posłucha. Dobrze? To niezmiernie ważne.

– Dobrze.

– Ufasz mi, koteczko? Wierzysz, że zawsze zrobię wszystko, by cię ochronić?

– Tak, Busiu.

– Więc teraz mówię, że musisz zapomnieć o tym, co widziałaś w sypialni jaśnie pani.

– Jak to?

– Bo... Ty tam w ogóle nie chodziłaś. Właśnie tak. Całą noc spałaś w swoim łóżeczku i wszystko ci się po prostu przyśniło.

– Ale...

– To był tylko zły sen. Nie będziemy o nim opowiadać, bo ktoś mógłby się bardzo zdenerwować.

– Sen?

– Tylko sen, panienko. Ja tu przecież stróżuję całą noc. Mówię ci, że nigdzie nie wychodziłaś. Obudził cię brzydki sen i przybiegłaś do mnie do łóżka, a ja poszłam tylko po mleko dla ciebie. To wszystko.

– Ale nie przyniosłaś mleka.

– Juleczko – szepnęła niania drżącym głosem i przyciągnęła ją do siebie. – Błagam cię, musisz być posłuszna choć ten jeden raz. Proszę! Kocham cię nad życie i dlatego mówię: nikomu, ale to nikomu nie możesz opowiadać o tym okropnym śnie. Inaczej obie będziemy miały straszne kłopoty.

– Ty też będziesz miała?

– Ja też. Wyrzucą mnie z posady i już nigdy się nie zobaczymy. Tego chcesz?

– Nie!

– Więc obiecujesz nikomu nie mówić?

– Nawet Lolkowi?

– Nawet Lolkowi.

– Nawet papie?

– Boże, strzeż to dziecko! Nie, panienko, zwłaszcza papie nie możesz tego opowiedzieć.

– Ale dlaczego?

– Bo twój papa... Bo on...

– Busiu, to boli.

– Co? – Opiekunka nagle się ocknęła i poluzowała uścisk. – Przepraszam. Niczym się nie martw, nie pozwolę cię nikomu skrzywdzić. Wkrótce stąd wyjedziemy. Nie wiem jeszcze, gdzie i jak, ale coś wymyślę. I będziesz bezpieczna.

– A *maman*?

– Śpi. Wszyscy już dawno śpią. My też się położymy, bo zaraz nadejdzie świt. I nikomu nie powiemy o dzisiejszej nocy. To będzie nasza tajemnica, dobrze?

– Dobrze, Busiu.

– Jeszcze jedno. Kochanie, cokolwiek się jutro wydarzy, musisz cały dzień być przy mnie. To bardzo ważne. Nie wolno ci nigdzie iść samej, więc nie uciekaj mi znowu do Lolka.

– Dlaczego?

– Moje biedne dziecko. – Zdenerwowana niania pogładziła ją po spoconym czole. – Po prostu bądź ze mną. I od dziś pod żadnym pozorem nie zbliżaj się do Marceliny. Schodź jej z drogi. To bardzo ważne.

– Dobrze – obiecała gorliwie. – Ona jest dziwna. Okropnie się jej boję.

– Nie tylko dziwna. Niech jej Bóg wybaczy, bo... – Niania urwała i spojrzała na drzwi.

Korytarzem ktoś szedł. Powolne, ale ciężkie kroki wyraźnie zbliżały się do ich sypialni. Nagle stukot ucichł i po chwili ciszy znów się rozległ, lecz tym razem osoba idąca korytarzem zaczęła się oddalać. Niania odetchnęła, po czym nagle zerwała się z łóżka. Gorączkowymi ruchami szukała czegoś w szufladzie komody, nie zapalając świecy. Gdy wreszcie znalazła, podeszła do drzwi. W świetle księżycy błysnął metal klucza, zachrobotał nieużywany od dawna zamek.

– Dlaczego nas zamykasz, Busiu?

– Tak będzie lepiej.

– O, ubrudziłaś się.

– Gdzie?

– Twój szlafrok jest ubłocony. O! I butki też.

– No widzisz, jaka ze mnie niezdara. – Busia uśmiechnęła się krzywo, zwinęła szlafrok i razem z pantoflami wcisnęła go na dno szafy. – Nawet nie pamiętam, gdzie to się stało. Jutro sobie wszystko wyczyszczę. A teraz posuń się i śpijmy. Tylko pamiętaj, co mi obiecałaś. Masz o wszystkim zapomnieć. Raz na zawsze.

Julia otworzyła oczy. Tym razem nie obudziła się z krzykiem, nie wierciła w pościeli, po prostu otworzyła oczy i spojrzała na ciemny belkowany sufit poddasza.

„Znowu... Jeśli to się wydarzyło naprawdę, to dotrzymałam słowa, Busiu – pomyślała zgnębiona. – Nie mam pojęcia, o czym kazałaś mi zapomnieć”.

Zdziwiło ją, że nie jest zdenerwowana, a jedynie zasmucona. Bez pośpiechu zapaliła świecę na stoliku i wyjęła ze szkieletownika czystą kartkę. Chwilę podumała nad nią, po czym narysowała klucz oraz parę zniszczonych, damskich pantofli.

„Kolejne wskazówki – pomyślała, patrząc na rysunki. – Przed kim nas wtedy zamknęłaś, Busiu? Skąd wróciłaś? Bo na pewno nie z kuchni”.

Zmarszczyła brwi, usiłując wydobyć z pamięci coś więcej. Czuła, że z każdą upływającą minutą szczegóły snu zaczynają jej umykać, więc podeszła do okna, by odetchnąć chłodnym powietrzem i otrzeźwić się nieco.

Łagodny wiatr niósł ze sobą zapachy nocy, szum drzew i poszczekiwanie psów ze wsi. Nad okolicą górowała biała twarz księżycy przybrana cienką woalką szarych chmur. Gdy zwiewna zasłona uwolniła na chwilę zimne światło, ciemność momentalnie przypadła do ziemi jak wystraszone dziecko, ujawniając niesamowity nocny krajobraz. Połyskujący z oddali nurt rzeki przyciągnął wzrok Julii.

„Co tam się mogło wydarzyć? – zastanawiała się bez emocji, jakby rozwiązywała trudne zadanie z rachunków. – Zobaczyłam w domu coś, co mnie przestraszyło, i opowiedziałam o tym Busi. To musiało dotyczyć *maman*, bo ciągle o nią pytałam. Niania poszła to sprawdzić i wróciła tak samo zdenerwowana, jak ja wcześniej. W dodatku ubłocona. Nie mogła przecież pobrudzić się w kuchni,

zatem wychodziła z pałacu. Tylko po co miałyby to robić? Była noc – analizowała w myślach. – Usłyszała coś dziwnego na zewnątrz? Nie sądzę. Gdyby coś ją zaniepokoiło, obudziłaby po prostu odzwiernego. Zresztą główne drzwi na pewno były zamknięte. – Próbowała sobie przypomnieć wnętrze pałacu. – Zdaje się, że było jeszcze wejście dla służby przez część kuchenną, ale ochmistrzyni zawsze zamykała ten korytarz na noc. I jeszcze taras... Zresztą to nie ma znaczenia, którędy wyszła. Pytanie brzmi: Po co niania miałyby wychodzić nocą na zewnątrz?”

– Do licha, czy ja się w końcu uwolnię z tej sennej matni? – westchnęła na głos. – Co jest zwidem, a co prawdziwym wspomnieniem?

Poirytowana wróciła do stolika i wzięła do ręki cały plik szkiców.

– Niech pomyślę – mruknęła. – Porozrzućane na podłodze zabawki to na pewno mój pokój. Korytarz z rzeźbami to piętrowo. Suknia *maman* – wyliczała półgłosem, odkładając poszczególne rysunki. – Strojna. Wizytowa albo balowa. Nie wiem, dlaczego mi się śniła. I jeszcze to dziwne pudełeczko. Co w nim mogło być?

Uniosła wzrok i spojrzała gdzieś w dal, jakby znów przeniosła się myślami do pałacu.

„ Byłam chyba nieznośnym dzieckiem. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Ciągłe się gdzieś zakradałam. Ale dzięki temu odkryłam na przykład tajemnicę ojcowej szafy. Jeśli założyć, że te sny są prawdziwymi wspomnieniami, wszystko w zasadzie staje się dość logiczne. Wślizgnęłam się do sypialni *maman*, a później schowałam pod jej łóżkiem. Nie chciałam, żeby mnie przyłapano. Zapewne Marcelina nadeszła, któż by inny? Nic dziwnego, że byłam przerażona. Oczywiście! To dlatego niania kazała mi schodzić jej z drogi. Tak właśnie musiało być”.

Gdy spojrzała na kilka mocno pokreślonych szkiców kominka, znów opadły ją wątpliwości.

– A kominek? Do czego pasuje? – mruknęła zniechęcona. – Chwileczkę, suknia balowa? – Nagłe skojarzenie rozświetliło mrok jej wspomnień. – Czy to przypadkiem nie dotyczy tej feralnej nocy po balu? O Boże! Przecież właśnie wtedy zdarzył się wypadek *maman*! Włodziowa mi o tym opowiadała. Jak to było?

Skupiła się z całej siły, by odtworzyć w myślach rozmowę, która przed laty toczyła się w kuchni, w domu Barbary...

– Proszę, Włodziwo – błagała starą służącą. – Na pewno wiesz, co się stało.

– Oj tam, wiem, nie wiem – burknęła zapytana. – Po co sobie panienka tym głowę zawraca?

– Dziewczęta na pensji śmiały się wczoraj ze mnie, że nie mam rodziców. A przecież miałam, tylko odeszli do nieba, kiedy byłam dzieckiem.

– Oczywiście, że panienka miała. Trzeba było się poskarżyć damie klasowej, a nie słuchać bzdur.

– Ja nie skarżę. Powiedziałam im, że są głupie.

– I bardzo dobrze.

– Ale one dopytywały, co się stało z moimi rodzicami. Powiedziały, że skoro nie wiem, to znaczy, że ich wymyśliłam. Że byłam niczyja.

– Cóż to za durnoty? Każdy przecież musi mieć jakichś rodziców.

– Tak? A skąd właściwie rodzice biorą swoje dzieci? – zagadnęła.

– O tym na pewno nie będziemy rozmawiały. Niech panienka już mi stąd idzie, bo mam huk roboty.

– Kochana Włodziwo, ja muszę wiedzieć! U nas jedna dziewczynka też nie ma już papy, ale opowiadała, że zginął w bitwie. I wszystkie jej zazdrościły, że miała ojca bohatera. A ze mnie się śmiały.

– Co też się wyrabia w tych waszych szkołach? Dzieci gadają o umieraniu.

– Włodziwo, powiedz, proszę.

– A o czym tu gadać? Jaśnie pan Zarzewski zachorował na malarię w tych Egipcach czy innych dzikich krajach, a jaśnie pani spadła z konia. Umarli i tyle.

– Ale mnie się wydaje... – Stropiła się. – Myślałam, że *maman* utonęła. Ciocia tak kiedyś mówiła przy gościach, a przecież by nie kłamała.

– Pewnie, że nie. Ale po co to rozpytywanie? Proszę przestać, bo zaraz się znowu panience zrobi

słabo i wszystko będzie na mnie.

– Włodziowo, prooooszę!

– Kiedy panienka robi na mnie takie oczy, to aż się serce kraje. No już dobrze, powiem, ino niech mnie Julcia nie zdradzi przed panią Barbarą.

– Będę milczeć jak grób!

– Właśnie, grób – mruknęła służąca. – Oj, biednaś ty, panienko, biedna. Tyle się na ciebie zważyło.

Najpierw matka, potem niania, w końcu ojciec.

– Niania?

– No przecie spadła bidula ze schodów i kark se skręciła na amen. Nie wiedziała panienka?

– Moja niania? – Zdumiała się.

– O, proszę, jakie rumieńce! I po co mnie panienka za język ciągnie? Zaraz gorączki dostanie.

– Wcale nie – zaprzeczyła gorliwie. – To tylko od pieca tak gorąco. Niech Włodziowa opowiada.

– Dobrze już, dobrze. Kiedyś i tak panienka musi się dowiedzieć. Lepiej, żeby ode mnie, bo pani Barbara ma dość zmartwień. Mogę powtórzyć, co kamerdyner jaśnie pana Zarzewskiego gadał, kiedy tu z panienką do nas przyjechał. Ile w tym prawdy, nie wiem – zastrzegła. – Widzi Julcia, panienki matka była podobno trochę dziwna. Zamykała się w pokojach, do towarzystwa ją nie ciągnęło. Rzadko kiedy jaśnie państwo wychodzili gdzieś do ludzi albo przyjmowali gości. A zwierząt to już całkiem się bała, dlatego jaśnie pan nie trzymał psów. Ino swojego konia bardzo kochała. Dostała go od ojca, znaczy się od pana hrabiego. Podobno często jeździła konno na cmentarz, a tak galopowała, że służąca, co z nią jeździła, nie mogła jej dogonić. Ino jaśnie pan Zarzewski umiał dotrzymać jej kroku. Pamięta panienka?

– Nie bardzo – mruknęła zawstydzona.

– Bo była panienka mała. A grób braciszka Julcia pamięta?

– Tak. Niania mnie czasem zabierała do kaplicy.

– No właśnie, biedne dziecko. Radości to panienka w życiu za dużo nie miała. Ot, taki los – westchnęła służąca.

– Miała Włodziowa mówić o *maman*.

– A tak. No więc jaśnie pani pewnego razu wróciła z jakiegoś balu i zamiast iść spać, umyśliła sobie pojeździć konno. I już nie wróciła.

– Ale co się stało?

– Koń jaśnie pani tak się jakoś nieszczęśliwie spłoszył, że prosto do rzeki ją zrzucił. Widać brzegiem jechała, zwierzę się czegoś przestraszyło i utonęła biedaczka. Tak mówił kamerdyner. Dlatego dobrze, że my żadnych koni nie trzymamy. Zwyczajna dorożka wystarczy dla porządnej kobiety, a nie jakies tam galopady. Niech Julcia zapamięta na całe życie, że z końmi trzeba ostrożnie.

„Biedna *maman*” – westchnęła Julia w duchu, bawiąc się ołówkiem.

Nagle jak przez mgłę powróciły do niej wspomnienia tamtego tragicznego poranka: z korytarza dobiegały pokrzykiwania i tupot nóg, przez okno do pokoju dziecinnego docierało trzaskanie drzwi od powozów i tętent kopyt.

„Pamiętam! – pomyślała zaskoczona, śledząc obrazy, które do niej napływały. – Busia ubrała mnie w czarną sukienkę i zaprowadziła do salonu. Ojciec tam na mnie czekał”.

Przed oczyma ukazał się jej zaciemniony okiennicami salon. Wejścia do środka broniła warująca przy katafalku czarna postać Marceliny. Służba zgromadziła się w holu, gdzie cicho szeptało modlitwy.

„Czy *maman* śpi?” – spytała wtedy cichutko ojca, który trzymał ją za rękę. Duszący dym ze świec napelniał pomieszczenie zapachem wosku, pomieszanym z wonią olbrzymich kwiatowych bukietów, otaczających katafalk tak ściśle, że nie można było podejść zbyt blisko. „Pożegnaj się, Julio. Adela odeszła” – odparł ojciec zimno.

– Więc jednak coś pamiętam. Miałam rację, że powrót do domu mi pomoże – szepnęła poruszona i szybko naszkicowała swoją wizję.

Gdy jej spojrzenie ześlizgnęło się na leżący obok rysunek pobrudzonych butów niani, przeniknął ją zimny dreszcz.

– Chwileczkę... To wszystko się przecież łączy. Zobaczyłam w nocy coś, co mnie przestraszyło, a potem uciekłam do niani. Ta, żeby to sprawdzić, wychodziła z pałacu, a rano znaleziono *maman*. O Boże! Czyżby Busia była świadkiem wypadku? Dlaczego chciała to ukryć?



## ROZDZIAŁ X

Od samego rana Julia miała przeczucie, że to nie będzie przyjemna niedziela. Mimo pięknego wschodu słońca, szalonego świergotu ptaków, swojskiego w tonie piania kogutów i innymi kojących odgłosów wsi, które docierały do niej przez uchylone okno, była w paskudnym nastroju. Wystarczyło, że spojrzała na rysunki rozłożone na stoliku, by nocne przemyślenia natychmiast do niej wróciły.

„ Czy Busia była wtedy nad rzeką? Jeśli widziała wypadek, dlaczego milczała? Co ja mam o tym myśleć? – Westchnęła zawiedziona, bo miała nadzieję, że w dziennym świetle nieco inaczej spojrzy na całą sprawę. – To brzmi jak ponury żart”.

Do tej pory podświadomie traktowała rzekę jako symboliczną granicę pomiędzy terażniejszością a przeszłością, między dorosłością a dzieciństwem. Tam, po drugiej stronie, została większość jej wspomnień, tam stał dom, który kiedyś nazywała swoim. Z tego właśnie powodu aż drżała wczoraj z niecierpliwości, by wreszcie znaleźć się nad jej brzegiem. Miała nadzieję, że kiedy w końcu zbierze się na odwagę i przekroczy tę granicę, nie tylko znajdzie odpowiedzi na wszystkie dręczące ją pytania, lecz odzyska wewnętrzny spokój, o którym tak marzyła. Naiwnie liczyła na to, że różne niejasności okażą się tylko nieporozumieniem i życie nareszcie stanie się prostsze. Gdy jednak rankiem wyjrzała przez okno, poczuła wyłącznie niepokój. Ostatni sen i powracające wspomnienia uświadomiły jej, że ten pozornie spokojny błękitny nurt, który zabrał jej matkę, mógł być świadkiem bardziej dramatycznych wydarzeń, niż do tej pory sądziła.

– Muszę zacząć działać, bo inaczej oszaleję – szepnęła.

Spojrzała na swój plan.

„ Dziś niedziela, więc powinnam chyba zacząć od księdza. On przynajmniej nie będzie powtarzał plotek. A później muszę rozpytać o dawną służbę. To przykre, że ojciec Karola nie żyje. Na pewno opowiedziałby mi o chorobie *maman*... Doktor Karol. Jakie to dziwne”.

– Mimowolnie uśmiechnęła się na wspomnienie przystojnego, młodego mężczyzny.

Wczorajsze spotkanie z towarzyszem dziecięcych lat zaskoczyło ją, ale także napełniło dziwną otuchą. Myśl, że wśród tych wszystkich nowo poznanych osób jest ktoś, kogo zna, uspokajała ją. Choć nie widzieli się kilkanaście lat i w zasadzie niewiele o sobie wiedzieli, Julia od razu poczuła, że może mu zaufać. Już wczoraj zakiełkowała w niej nadzieja, że to właśnie on może być źródłem informacji o zdarzeniach sprzed lat. Skoro mieszkał przy dworze, nie powinno im zabraknąć okazji do rozmowy, a jednocześnie jej docieklivość nie będzie go dziwić. Zakładała, że Karol uzna to po prostu za chęć snucia wspomnień o wspólnie przeżytych latach.

„ Poza tym na pewno mogę liczyć na jego dyskrecję. Gdyby tylko udało mi się z nim dzisiaj porozmawiać sam na sam – myślała, krzątając się po sypialni. – Coś wymyślę, ale najpierw obowiązki”.

Postanowiła jeszcze przed śniadaniem zajrzeć do Aurelki, by sprawdzić, czy służące odpowiednio ją ubrały. Dziewczynka już wczoraj przypomniała jej, że pojedą z ojcem do kościoła na sumę, a Julia była odpowiedzialna za wygląd swojej podopiecznej. Nie skupiła się jednak wystarczająco na szczegółach własnego wyglądu. Odruchowo wyciągnęła z szafy najlepszą suknię oraz strojny kapelusz. Ponieważ służąca, która miała pomóc jej przy ubieraniu, spóźniła się ponad kwadrans, Julia próbowała samodzielnie ułożyć niesforne bujne włosy, co, podobnie jak sznurowanie gorsetu, bezwzględnie wymagało pomocy drugiej osoby. Popijając w pośpiechu i bez większej przyjemności poranną kawę, którą w końcu przyniosła pokojówka, z roztargnieniem poddała się sznurowaniu, zapinaniu i poprawianiu kolejnych części stroju. Z pokoju wyszła niemal w ostatniej chwili.

– Piękny początek dnia – mruknęła niezadowolona z siebie.

Choć miała ochotę zbiec na dół, musiała ostrożnie stawiać kroki na wąskich kręconych schodach, ciągnąc za sobą szeleszczące warstwy materiału. Chwiała się przy tym nieco, bo obie ręce miała zajęte – musiała dość wysoko unieść przód sukni, by nie nadepnąć na skraj i nie stoczyć się w dół. Tak bardzo skupiła się na każdym kroku, że nie zauważyła Emila, który również zmierzał do jadalni. Mężczyzna przystanął obok schodów ze zdziwioną miną.

– Och, przepraszam – wyrwało się Julii, gdy prawie na niego wpadła na dole.

Szybko wypuściła suknię z rąk, rumieniąc się przy tym jak pensjonarka i wyrzucając sobie, że tak nieobyczajnie obnażyła przed mężczyzną swoje trzewiki.

– Nic się nie stało. Dzień dobry, panno Julio. Pięknie pani dziś wygląda – odparł miękko tonem.

– Proszę wybaczyć ciekawość, ale co pani robiła na poddaszu o tej porze?

Skonsternowana posłała mu skruszony spójrzanie.

– Przepraszam, wiem, że powinnam już być u Aurelki, ale pokojówka nie mogła wcześniej przyjść do mnie na górę, by mi pomóc.

– Jak to: pokojówka nie mogła przyjść na górę?

– To nie jej wina. Ochmistrzyni zatrzymała ją w jadalni. Widać, było dużo pracy.

– Nie to miałem na myśli. Który pokój pani wczoraj przydzielono?

– Zdaje się, że tutaj nazywają go zielonym.

– Doprawdy? Rozumiem. – Pokiwał głową i podał jej ramię. – Proszę ze mną.

W pokoju stołowym Julia została posadzona po prawej ręce gospodarza, obok Aurelki. Naprzeciw niej, po lewej stronie dziedzica, sadowił się właśnie uśmiechnięty doktor Karol, posyłając jej porozumiewawcze spojrzenia, których nie potrafiła rozszyfrować.

Ciężar konwersacji tym razem wziął na siebie Emil. Ku uciesze Julii pochwalił wczorajszą decyzję młodych i wyjaśnił, że osobiście zajął się losem małego Franka i jego siostrzyczki. Zgodził się również, by Julia uczyła chłopca czytania i pisania.

– Ale dopiero po wakacjach – zastrzegł. – Na razie jest pani u nas gościem, proszę więc swobodnie korzystać z ładnej pogody. Aurelka zapewne z ochotą pokaże pani okolicę.

– O tak, papciu! Zrobimy sobie z panną Julią śliczne wycieczki!

– Dobrze, córciu. Poproszę jednego stangreta, by był do waszej dyspozycji.

– Jeśli pan pozwoli, będziemy z Aurelką raczej spacerowały.

– Oczywiście. Służba we wszystkim pani pomoże. A i doktor, jak sędzę, chętnie będzie wam towarzyszył, jeśli tylko obowiązki mu na to pozwolą. Nieprawdaż, Karolu? – Spojrzał znacząco na młodego mężczyznę.

– Z największą przyjemnością.

– To dobrze. Ja niestety tylko przy niedzieli mam nieco wytchnienia. Proszę się jednak w niczym nie krępować, panno Julio. Żyjemy tu prosto, wszyscy jak w rodzinie, a mój dom jest teraz pani domem.

– Dziękuję. – Julia tak uroczym uśmiechnęła się do obu panów, że aż pokraśniali. – A jak się ma Penelopa?

– Bardzo dobrze – odparł ucieszony faktem, że wykazała zainteresowanie dla jego spraw. – Doczekała się pięknego żrebaka.

– A nie mówiłam, że to przez żrebaka! Papciu, będę mogła go zobaczyć?

– Oczywiście Aurelko, ale nie dzisiaj. Po południu będziemy mieli gości na podwieczorku. Zaprosiłem kilka osób z okolicy na wista, aby mogła pani poznać tutejsze towarzystwo. Muszę zadbać o rozrywkę, by nie chciała pani zbyt szybko od nas uciec – dodał ciepło.

Ponieważ Julia zastanawiała się w tym momencie, jak powstrzymać Aurelkę od zadawania ojcu nieodpowiednich pytań o żrebaka, nie zwróciła uwagi ani na kwestię proszonego podwieczorku, ani na zaskoczone spojrzenie, jakie posłał Emilowi Karol.

Jej poranne złe przeczucia dotyczące nieudanej niedzieli odeszłyby w niepamięć, gdyby nie to, co wydarzyło się tuż po posiłku. Ku zdumieniu wszystkich Emil kazał wezwać do jadalni całą służbę pokojową, łącznie z ochmistrzą, dzięki czemu Julia zorientowała się, że we dworze pracują aż cztery pokojówki, dwóch lokajów i jeden kamerdyner – znany jej już Antoni.

Na widok matki doktor z szacunkiem podniósł się z krzesła i w tej pozycji czekał wraz z innymi, nie rozumiejąc powodów tego zgromadzenia.

– Poprosiłem was tu, by wyjaśnić ważną dla mnie kwestię, ponieważ nie życzę sobie więcej nieporozumień – zaczął Emil dość surowo.

Służący zerknęli na siebie niepewnie, a Natejkowa, która weszła do jadalni z kwaśną miną, aż

zaciśnęła usta.

– Rozumiem, że moja wczorajsza nieobecność i brak konkretnych dyspozycji mogły wprowadzić kogoś w błąd, dlatego chcę to naprawić. Proszę przekazać całej służbie dworskiej i folwarcznej, że obecna tu panna Julia Zarzewska jest moim gościem. Jeśli po wakacjach zechce zająć się edukacją Aurelii, zamieszka z nami na dłużej. Na razie jednak przebywa w tym domu jako droga mi krewniaczka. – Na te słowa nie tylko służący rzucili sobie przelotne spojrzenia, ale nawet Julia uniosła wzrok, zaskoczona epitetem. – Dlatego jest moim życzeniem, by traktowano ją odpowiednio do jej pozycji i dbano o wszelkie wygody. Nikomu nie daruję uchybień w tym względzie. Pani Natejkowo... – Dziedzic złagodził co prawda ton, lecz każde jego słowo nadal miało odpowiednią wagę. – Proszę, by natychmiast zarządziła pani przeniesienie rzeczy panny Zarzewskiej do błękitnego pokoju. Dodatkowo od dziś Marysia pozostanie na wyłącznych usługach panny Julii i mojej córki, więc proszę jej nie angażować do innych prac. – Spojrzał przelotnie na najmłodszą pokojówkę, której twarz rozjaśnił krótki uśmiech. – O ile dobrze pamiętam, Marysia chciała się uczyć na garderobianą, będzie miała zatem idealną okazję zdobyć doświadczenie. Jeśli zabraknie pani rąk do pracy, pomyślimy o kolejnej służącej. Czy są jakieś pytania? Nie? Zatem dziękuję. Możecie wrócić do swoich obowiązków.

– Jak pan sobie życzy – burknęła klucznica i wściekłym wzrokiem dała znać służbie, by opuścili pomieszczenie.

– Och, jak cudownie! – Aurelka aż klasnęła w dłonie. – Będziemy miały pokoje tuż obok siebie, panno Julciu! Klementynka, to znaczy pani Klementyna, mówiła wczoraj, że wolisz mieszkać na górze.

Zawstydzona całą sytuacją Julia poczerwieniała. Przelotnie zerknęła na doktora, który z nieodgadnioną miną usiadł na powrót do stołu.

– Jestem bardzo wdzięczna za troskę, ale to doprawdy niepotrzebne zamieszanie – stwierdziła cicho. – Na poddaszu czułam się naprawdę dobrze. Rozciąga się stamtąd piękny widok.

– Panno Julio, proszę zdać się na mnie. – Dziedzic nie zamierzał dłużej rozwijać tematu. – Tak będzie lepiej.

„Nie byłabym przekonana. Zdaje się, że już pierwszego dnia narobiłam sobie wrogów” – pomyślała smętnie, obawiając się, że publiczne upokorzenie, jakiego przed chwilą doznała matka Karola, odbije się właśnie na niej.

Na myśl o tym, że doktor także mógł się poczuć urażony, Julii zrobiło się przykro. Ochmistrzyni co prawda zachowywała się dziwnie chłodno, ale Julia była przekonana, że nie wynikało to ze złej woli. Choć intencje Emila były szlachetne, dziewczyna poczuła się nieswojo.

„Zdaje się, że dzisiaj nie jest mój dobry dzień. Po czymś takim Karol raczej nie będzie miał ochoty na rozmowę ze mną. Ani tym bardziej jego matka. – Zafrasowała się. – A przecież kto jak kto, ale Natejkowa musi coś wiedzieć. Tyle lat mieszkała przy pałacu”.

Ponieważ na dziedziniec zajechały właśnie konie, Julia nie miała czasu dłużej roztrząsać tej kwestii. Już po chwili razem z Aurelką i jej ojcem zmierzali bryczką ku wsi.

Przy niskim murze okalającym kościół, w cieniu pachnących lip, stało już kilka powozików i bryczek, a nieco dalej, w słońcu, zatrzymywały się chłopskie wozy, z których jak z koszyków pełnych owoców wysypywały się na drogę barwne i roześmiane wiejskie dziewczęta, a tuż za nimi z godnością wysiadały stateczne chłopki. Spiesząc na mszę, chłopcy z szacunkiem uchylali kapeluszy przed dziedzicem i jego gościem, ale nikt nie zwracał specjalnie uwagi na Julię, co dziewczyna przyjęła z ulgą, bo trochę obawiała się tego pierwszego spotkania z lokalną społecznością.

Nieco większe zainteresowanie wzbudziła niestety w kolatorskich ławkach, do których Emil poprowadził swoje towarzyszki. Kilka strojnych w eleganckie kapelusze damskich głów prawie natychmiast pochyliło się ku sobie, by szeptem wymienić jakieś uwagi, w odróżnieniu od wytwornych mężczyzn, którzy z zupełną obojętnością czekali, aż ksiądz wyjdzie z mszą.

Mocno już leciwy proboszcz o dobrotliwie uśmiechniętej twarzy bez pośpiechu i z godnością odprawił ceremonię, a później czekał przy drzwiach od zakrystii na każdego, kto chciał z nim chwilę porozmawiać.

– Julciu, pójdziemy już? – szepnęła cichutko Aurelka, gdy zostały w kościele same.

Emil taktownie wyszedł kilka chwil wcześniej, widząc, że rozmodlona Julia krąży myślami zupełnie gdzieś indziej.

– Słucham? A tak, idziemy – odparła, hamując wzruszenie.

Mimo że nie miała żadnych wspomnień z niewielkiego drewnianego kościółka, wczuła się w swojską atmosferę miejsca pachnącego przeszłością, kadzidłem, woskiem świec i czymś nieokreślonym, co otulało jej pełną niepokoju duszę jak ciepły koc.

Kiedy z mrocznego wnętrza wyszły na zalany słońcem dziedziniec, Julia aż zmrużyła oczy. Dopiero po chwili dostrzegła Emila stojącego obok bryczki w otoczeniu eleganckiego towarzystwa. Mężczyźni najwyraźniej rozmawiali o popołudniowym spotkaniu we dworze, ale panie, szepczące do siebie nieco na uboczu, zerkwały na nią krzywo.

– Aurelko, idź do ojca. Porozmawiam chwilę z księdzem proboszczem – poprosiła cicho, chcąc uniknąć konfrontacji z nieznanym sobie gronem osób.

– Dobrze, Julciu, zaczekamy na ciebie.

Rozłożywszy koronkową parasolkę, by ochronić się przed prażącym słońcem, Julia ruszyła samotnie w kierunku zakrystii. Zrobiła to wyłącznie dla zmylenia ludzi. Jeszcze przed mszą, wysiadając z powozu, zauważyła parafialny cmentarz rozciągnięty na tyłach i postanowiła, że nie będzie zwlekać z odnalezieniem grobów swoich bliskich. Myślała o nich przez całą mszę, bo ze wstydem uświadomiła sobie, jak dawno się za nich nie modliła. Pozostając w tym nastroju zadumy, chciała sama odnaleźć miejsce ich wiecznego spoczynku, bez towarzystwa radośnie paplającej Aurelki.

Gdy mijala otwarte drzwi do zakrystii, rozmawiający właśnie z jakąś chłopką proboszcz podążył za nią wzrokiem, jakby sprawdzał, dokąd zmierza. Damy czekające w cieniu lip na swoich mężów również przyglądały się Julii tak długo, aż zniknęła im z oczu za murami kościoła.

– Guwernantka! Myślałby kto – prychnęła najmłodsza z kobiet odziana we wdowią czerń. – Pan Laskowic nie będzie miał z niej wielkiego pożytku. Już mi żal tej małej Aurelii – dodała, zerkając przy tym z niezadowolaniem na Emila stojącego nieopodal w męskim gronie.

– Dlaczego? – zdziwiła się niska korpulentna brunetka o łagodnej twarzy.

– Chyba pani widzi, Heleno, jak toto wygląda. Jeśli ktoś tak nieprzyzwoicie szeleści jedwabiami w kościele, to czegoż się można spodziewać? Skromności za grosz, przyzwyczajenia prawie królewskie, a mina księżniczki. Przypuszczam, że zbyt wiele w głowie mieć nie będzie. Takie jak ona o porządnym wykształceniu nie myślą.

– Proszę tak nie mówić. Nie znamy jej.

– Rzeczywiście, wystroila się jak na bal – mruknęła trzecia z kobiet, z goryczą wygładzając fałdę na swojej prostej perkalowej sukni. – W końcu to zwykła niedziela.

– A te włosy, widziała pani? Czyżby w Kongresówce tak niedbale się czesano?

– Ma pani rację. Nigdy nie spotkałam przyzwoitej kobiety z tak nieporządną fryzurą. Można odnieść wrażenie, że poruszy dwa razy głową, a włosy rozsypią się jej po prostu na ramiona. Zgroza.

– Co też panie mówią? – zaprotestowała brunetka.

– Prawdę. Na pewno specjalnie to zrobiła. Ale żeby być zalotną w kościele, to już wstyd.

– Od razu widać, w jakim celu tu przyjechała.

– W jakim? – Młoda wdowa wbiła wzrok w rozmówczynię.

– Przecież nie dla edukacji Laskowicówny. Pomieszka trochę we dworze, a przy okazji owinie sobie dziedzica wokół palca i już. Każda z tych zubożałych nauczycielek myśli tylko o tym, żeby złapać bogatego męża – odparła z pogardą perkalowa dama, zniżając ton do konspiracyjnego szeptu.

– Co też panie opowiadają? – powtórzyła cicho brunetka, wyraźnie zmieszana tematem rozmowy. – Podobno naprawdę jest wysoko kształcona. Pokojówka mi rano mówiła.

– A cóż może wiedzieć pokojówka, pani Heleno?

– Dużo. Jej młodsza siostra pracuje u pana Laskowica. Ta Marysia.

– Nawet jeśli to prawda, cóż stąd? Mężczyźni zupełnie nie znają się na kobietach – mruknęła niezadowolona wdówka. – Nie wiedzą, że najlepsza nauczycielka to taka, która ma duże doświadczenie.

– Czyli stara.

– Doświadczona, pani Tereso.

– Jak zwał, tak zwał. Mnie się zdaje, że pani tak mówi dlatego, że sama ma chrapkę na majątek pana Laskowica – stwierdziła złośliwie perkalowa dama. – A guwernantka może pokrzyżować pani szyki.

– Doprawdy! Cóż to za bzdury! Jestem przecież w żałobie po moim zacnym małżonku.

– Och, zacny był, owszem, ale wiekowy. I dłużki zostawił, słyszałam. A wiecznie z łaski brata korzystać się nie da.

– Coś takiego! Jak pani śmie?!

– Moje panie, dajcie spokój, proszę – wtrąciła zmartwiona Helena. – Jest niedziela. Zresztą nie ma sensu się spierać. Przecież ta panna jest krewniaczką pana Laskowica. Na pewno właśnie dlatego powierzył jej opiekę na córką.

– Krewniaczką?

– A nie wspominałam? To przecież panna Zarzewska.

– Słucham? – zdumiała się wdówka. – Z tych Zarzewskich?

– Owszem. To panna Julia, córka Henryka Zarzewskiego. Tak mi powiedziała pokojówka.

– Coś takiego!

Dwie wyższe kobiety odruchowo spojrzały w kierunku kościoła, za którym wcześniej zniknęła Julia. W ich wzroku kryła się nie tylko ciekawość, ale także nadzieja na dobrą zabawę.

\* \* \*

Najpierw natknęła się na pomniki nagrobne Laskowiców. Poszarzałe ze starości, skromne, lecz gustowne, górowały nad innymi nagrobkami ziemian pochowanych w tej części cmentarza. Tylko dwa najnowsze ozdobione były czarno-białymi medalionami, z których poważnym wzrokiem spoglądały dwie kobiety: pani Leonia – matka Emila oraz jego małżonka.

„Mama Aurelki była ładną kobietą” – pomyślała Julia.

Przystanęła, zmówiła krótką modlitwę, a na odchodnym przyjrzała się z ciekawością starej płycie nagrobnej z wygrawerowanym napisem: Kazimierz Laskowic.

„Kazimierz, to ten najmłodszy chłopiec z rysunku prababki Felicji. – Przypomniała sobie. – Może kiedy uporam się z własną przeszłością, powinnam także zgłębić ich historię? Z jakiego powodu właściwie bracia tak się pokłócili, że zmieniło to losy naszych rodów? Czy przed śmiercią zdążyli się pogodzić? – Zadumała się. – To historia jak z powieści cioci Barbary. Kiedyś trzeba będzie się tym zająć, w końcu to nasze korzenie. Ale jeszcze nie teraz – zdecydowała i rozejrzała się wokół. – A gdzie jest nasze mauzoleum?”

Wiedziała, czego szukać. Cmentarz przez lata zmienił się wprawdzie, porósł wysokimi drzewami, ale Julia pamiętała dobrze kaplicę grobową Zarzewskich. Kilka razy w roku przyprawdzał ją tutaj ojciec, czasem przychodziła także z Busią. Natomiast *maman* bywała w tym miejscu aż nazbyt często. Niania długo nie chciała Julii tego wyjaśnić, więc dociekliwa dziewczynka spytała w końcu pokojówkę. Usłyszała odpowiedź, że jaśnie pani tęskni za synkiem i jeździ tam, by być bliżej niego. Nie zgadzało się to z tłumaczeniem Busi, która twierdziła, że Oleś mieszka w niebie u Pana Boga. Mimo tych niejasności niania przyprawdzała ją tu dość ostentacyjnie, szczególnie latem, gdy łąkały na łąkach piękne kwiaty dla zmarłego braciszka.

„Kochana Busia – westchnęła Julia w duchu. – Być może miała nadzieję, że *maman* zwróci na mnie uwagę, jeśli tak jak ona będziemy odwiedzały grób Olesia. O, jest”.

Na drugim końcu cmentarza dostrzegła niezbyt okazały budynek w neogotyckim stylu. Otoczony kutym metalowym płotkiem, z wysokimi drzwiami, do których prowadziły trzy schody, stał w cieniu rozłożystego dębu.

Przez chwilę myślała, że nie uda się jej wejść do środka, ale ku swojemu zdziwieniu odkryła, że metalowe drzwi z rodowym herbem Zarzewskich nie były zamknięte na klucz. Na dodatek otworzyły się bez problemu, jakby ktoś niedawno je naoliwił.

W ciemnym wnętrzu czuć było stęchłą pomieszaną z wonią wypalonych świec i więdnących kwiatów. Kamienna posadzka wzmocniała nie tylko odgłos kroków, lecz nawet szelest sukni.

Julia poczuła się nieswojo, jakby przekroczyła bramy wieczności. Złożyła parasolkę i przeżegnała się odruchowo, czekając, aż jej wzrok przywyknie do ciemności.

Ze wzrokiem wbitym w podłogę krok po kroku, wolno stąpała nad mogiłami antenatów złożonych tuż pod kamienną posadzką. Z trudem odczytywała daty w półmroku rozpraszonym zaledwie przez wąski strumień światła wpadającego przez jedyne w kaplicy okienko. Kiedy ostatnio widziała nagrobne płyty wmurowane w podłogę kaplicy, nie umiała jeszcze przeczytać napisów. Dopiero teraz mogła się sama przekonać, że wieczny spoczynek znalazło tu kilku jej przodków, w tym tragicznie zmarły dziadek Julian oraz prababka Felicja, *primo voto* Zarzewska, *secundo voto* Laskowicowa.

„Ciekawe – pomyślała. – Wołała, by pochowano ją tutaj przy pierwszym mężu, a nie obok Laskowiców?”

Nagle przystanęła i podniosła wzrok.

– Co to? – Wyrwał się jej szept.

W centralnej części mauzoleum, w miejscu, gdzie kiedyś stał ołtarzyk, zobaczyła pięknie zdobioną tumbę z jasnego marmuru, jakby wprost przeniesioną z królewskiego grobowca.

Na marmurowej skrzyni sarkofagu w eleganckiej pozie spała rzeźbiona postać długowłosej kobiety o delikatnej twarzy anioła. Niewiasta z łagodnym uśmiechem obejmowała leżące u jej boku dziecko, przytulając do jego główki swój biały policzek.

Tym razem Julia nie potrzebowała żadnego napisu. Jak żywy stanął jej przed oczyma żałobny katafalk z ciałem matki.

„*Maman!* I Oleś. Papa kazał pochować ich razem... – Poczuła w sercu dziwne ukłucie. – Nawet po śmierci są nierozłączni”.

Wbrew woli w oczach zakręciły się jej łzy, zamazując obraz. Po chwili wahania ostrożnie, jakby bała się zbudzić kamienne postacie, dotknęła marmurowej kobiecej dłoni, która czułym gestem obejmowała rzeźbę dziecka.

– Och, *maman!* – szepnęła z żalem.

Mimo upału odniosła wrażenie, że od figury bije lodowaty chłód. Cofnęła rękę, zaciskając palce w pięść. W jednej chwili, jak z falą wezbranej rzeki, wróciła do niej zazdrość wobec starszego brata, którego nie dane było jej poznać.

– Boże, przebac mi – westchnęła zawstydzona.

Jej uwagę przykuły dwa rzeźbione postumenty z ciężkimi wazami, ustawione po bokach tumby.

„Świeże kwiaty?” – Zdziwiła się w duchu.

Mimo że rośliny zdawały się więdnąć w upale, a wokół unosił się nieprzyjemny zapach gnijącej wody, wiedziała, że kwiaty nie mogły zostać ścięte wcześniej niż kilka dni temu.

„Ktoś dba o nasz grobowiec. Po tylu latach?” – pomyślała zaintrygowana.

Obejrzała się za siebie.

Chociaż drzwi były nadal lekko uchylone, poczuła się niepewnie. Przygnębiający zapach przemijania, półmrok, głucha cisza i świadomość bliskości zmarłych zaczęły ją nagle przytłaczać, dusić, jakby ktoś fizycznie chciał ją pozbawić tchu.

Nie czekała, aż znów zrobi się jej słabo. Bez zastanowienia obróciła się na pięcie i niemal wybiegła. Gdy poczuła na skórze gorące uderzenie słońca, odetchnęła z ulgą.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. – Niespodziewany głos księdza tak ją zaskoczył, że aż drgnęła przestraszona.

– O Boże! Na wieki wieków.

– Przestraszyłem?

– Nie, ja tylko tak... Ksiądz dobrodziej tutaj?

– Pogwarzyłem chwilę z moimi owieczkami i przyszedłem dotrzymać ci towarzystwa, moje dziecko. Cmentarz to nie jest dobre miejsce na samotne spacery dla młodej panny – odparł ciepło siwy kapłan. – Zresztą, co tu ukrywać, chciałem i z tobą zamienić kilka słów. Obserwowałem cię podczas mszy. Wyrosłaś na wspaniałą pannę, aż się serce raduje.

– Ksiądz mnie pamięta?

– Owszem. Kiedy cię ostatnio widziałem, byłaś skrzatem w krótkiej sukience – stwierdził pogodnie. – Dopiero patrząc na młodych, człowiek widzi prawdziwy upływ czasu. Tak, tak, służę tu już prawie czterdzieści lat. Wielu parafian w tym czasie pochowałem. – Uczynił gest ręką, wskazując na nagrobki. – Ale też wielu ochrzciłem, jak ciebie, moje dziecko.

– Naprawdę? – Ucieszyła się. – Czy może mi ksiądz o tym opowiedzieć?

– Oczywiście. Wikarym jeszcze byłem przy poprzednim proboszczu, kiedy twój ojciec przyjechał na plebanię w środku nocy. Chciał złożyć ofiarę dziękczynną w intencji swojej małżonki i nowo narodzonej córeczki. Muszę wyznać, że obruszyła mnie zarówno gwałtowność jego żądania, jak i fakt, że nie chciał nawet wejść do kościoła, aby się pomodlić. Jego hojność wydała mi się wręcz niestosowna, jakby chciał kupić dla was błogosławieństwo na straganie. Ale stary proboszcz, święć Panie nad jego duszą, był mądrym człowiekiem. Pamiętał, jakie nieszczęście spadło na twoich rodziców kilka lat wcześniej, i zrozumiał szorstkie zachowanie pana Zarzewskiego. Powiedział, że będzie się modlił zamiast niego, skoro twój ojciec nie potrafił. I został wysłuchany. Rosłaś zdrowo, a później cię ochrzciłem. Pan Zarzewski zadbał, by przyjęcie było nader uroczyste. Zjechał nawet twój dziad z Prus.

Julia spięła każde słowo księdza jak spragniony człowiek chwyta ostatnie krople wody.

„Czyżby papa nie był jednak zawiedziony, że nie urodziłam się chłopcem?” – przemknęło jej przez głowę.

– Nie widywałem cię później zbyt często, ale pamiętam, że byłaś wesołym i ciekawskim dzieckiem. Ludzie powiadali, że często bawiłaś się z małym Karolem Natejko, a to był przecież prawdziwy łobuziak. Słyszałem nawet o jakichś połamanych jabłonkach. Aż dziw, że oboje wyrosliście na takich mądrych ludzi. – Ksiądz zaśmiał się dobrodusznie. – Zostałaś ponoć guwernantką, a to bardzo pożyteczne zajęcie w dzisiejszych czasach. A i z Karola wszyscyśmy bardzo radzi. Ma szczęśliwą rękę do chorych. Jest nam prawdziwą pomocą, bo od śmierci starego doktora trudno nam było z miasta lekarza sprowadzać. Bóg, widać, natchnął pana Laskowica, żeby się zajął sierotą dla naszego wspólnego dobra.

– A kiedy zmarł ojciec pana Karola?

– Dawno. Jakoś tak... – Ksiądz się zamyślił. – Niedługo po tych tragicznych wypadkach w pałacu. Brr! – Aż się otrząsnął i przeżegnał. – To była okropna wiosna, tyle nieszczęść. Nam wszystkim było cię bardzo żal, moje dziecko. Nawet nie wiesz, ilu ludzi się tu za ciebie modliło.

– Za mnie?

– A tak. Gdy utonąła twoja matka, okolica najpierw wrzała od plotek. Każdy wiedział, że pan Zarzewski kochał żonę do szaleństwa, i ludzie się zastanawiali, co on może uczynić z tej żalości – stwierdził poważnym tonem. – Kilka dni później, gdy pochowałem też biedną Balbinę, a ty się rozchorowałaś, zaczęli nawet szeptać o jakiejś kłątwie. Gromiłem moje owieczki z ambony, żeby nie rozsiewały grzesznych plotek, ale każdy i tak myślał swoje. Aż w końcu rozeszło się po okolicy, że brat pani Zarzewskiej, młody hrabia, wyrzuca was z domu na poniewierkę, choć ty ciągle jeszcze leżałaś w gorączce. Wtedy niektórzy nawet zaczęli przychodzić do spowiedzi, żeby z czystym sercem intencje składać. Szczerze was żalowali.

– Naprawdę?

– Dziwisz się, moje dziecko – stwierdził. – Pewnie słyszałaś, że miejscowi uważali twój ojca za dziwaka i człowieka surowego, jak wszystkich Zarzewskich przed nim.

Julia taktownie milczała.

– A zatem słyszałaś. To nic. Ludzie są w głębi serc dobrzy. Wtedy też okazali współczucie. Byłaś przecież niewinnym dzieckiem, a tu w dwa tygodnie całe życie ci się odwróciło. Kamień by się ulitował, a co dopiero człowiek. Cóż, nieszczęście, nawet cudze, czasem łatwiej przekuwa ludzką duszę niż jakiegokolwiek kazanie. Pamiętam, że sama pani Leonia Laskowicowa kilka mszy zamówiła u mnie

w waszej intencji, żeby niebieską pomoc wyprosić i zło odwrócić.

– Pani Leonia?

– A jakże. Niestety, czas pokazał, że to nie był koniec nieszczęść. Diabeł sobie chyba upatrzył wtedy naszą okolicę, żeby nas pognębić, bo jakoś tak niedługo po waszym wyjeździe przyszedł głód i choroby, a na dodatek zmarł stary Natejko. Uff! Ależ dziś skwar – sapnął i umilkł tylko dlatego, że zabrakło mu tchu.

Oszołomiona niezwykłą opowieścią Julia również nie mogła wydobyć z siebie słowa. Niespodziewanie, w jednej chwili dowiedziała się o tamtych tragicznych chwilach więcej niż przez całe swoje życie.

W głowie miała setki pytań, ale szczerze zasmucona twarz księdza powstrzymywała ją przed indagowaniem go.

– Nie miałam o tym pojęcia.

– Ot, widzisz, moje dziecko, zasmęciłem cię w taki piękny słoneczny dzień. – Proboszcz uśmiechnął się przepraszająco, wycierając spoconą twarz wielką chusteczką. – Wybacz staremu. W moim wieku chętniej się wspomina dawne czasy niż dzień wczorajszy.

– Nawet ksiądz nie ma pojęcia, jak bardzo mi pomógł. Dziękuję.

Julia w spontanicznym geście schyliła się i ucałowała pomarszczoną dłoń kapłana wspartą na drewnianej laseczce.

– Cóż ty wyprawiasz, moje dziecko? Czy ja biskup jaki? Nie trzeba. – Zawstydzony pokręcił siwą głową. – Hmm... Widzę, że byłeś w kaplicy. – Zmienił temat.

– Tak. Powinnam była już dawno tu przyjechać, ale z Królestwa to daleka i niełatwa podróż, zbyt wyczerpująca dla mojej cioci.

– Nie rób sobie wyrzutów. Gdyby nasza biedna ojczyzna nie była tak poszarpana przez obce granice, kordony czy wojska, to i groby przodków nie stałyby opuszczone. Ech, nie czas o tym... Dobrze ci było u ciotki? Słyszałem, że została sławną pisarką.

– Tak. Wychowała mnie jak córkę, zawdzięczam jej wszystko – odparła z pewnym roztargnieniem, bo słowa księdza o czymś jej przypomniały. – Mam pytanie, księżo proboszczu.

– Tak?

– Widziałam, że ktoś ma pieczę nad naszą kaplicą. Czy ksiądz wie, kto tu przychodzi?

– A to stary Józef i jego gospodyni opiekują się kaplicą na polecenie hrabiego. Pamiętasz Józefa?

– Nie.

– Kiedyś służył u twojego ojca za woźnicę i stajennego, a teraz stróżuje przy pałacu. Wyprosił sobie tę posesję przed laty u młodego hrabiego i całkiem nieźle mu się wiedzie. Dziwny to człowiek, mrukliwy i do kościoła nie przychodzi – stwierdził bardziej z troską w głosie niż z przyganą. – Pewnie był tu dziś, skoro drzwi otwarte. On albo ta jego gospoś, bo od czasu, jak Józefa kopnął koń, chodzi o kijku, jak ja – zażartował, wskazując na laskę.

– Ach, więc to wuj Herman nakazał – mruknęła.

– Tak.

– A ten marmurowy nagrobek to też jego pomysł?

– Ależ skąd. To jeszcze twój ojciec kazał wystawić, zanim całkiem o nim słuch zaginął. Piękny, nieprawdaż? Mówiłem, że pan Zarzewski bardzo miłował swoją żonę.

– Jeszcze jedno... Czy ksiądz może mi wskazać, gdzie pochowano Busię? To znaczy moją nianię – poprawiła się.

– Proszę, moje dziecko, chodźmy.

Julia dostosowała się do niezgrabnych drobnych kroków staruszka.

Nie szli zbyt długo. Przystanęli kilkanaście grobów dalej, blisko cmentarnego ogrodzenia.

Na skromnym grobowcu z nazwiskiem Balbiny obok krzyża ustawiono kamienną figurę anioła, który wpatrywał się w niebo. Połamane drobne gałązki i pozółkłe od upału listki, które opadły z drzew na płytę, dowodziły, że już dawno nikt tutaj nie zaglądał.

– Ot, tu ją złożyłem. Pan Zarzewski i dla niej kazał wystawić pomnik.



– Moja biedna niania... – Wyrwało się jej westchnienie. – Rzeczywiście była dla mnie jak anioł stróż.

Choć przeszkadzał jej mocno zasnurowany gorset, schyliła się i odgarnęła z mogiły opadłe listki i gałązki.

– Jeśli ksiądz pozwoli, przyjdę tu z kimś w powszedni dzień i uporządkuję to miejsce. Balbina była kimś bardzo ważnym dla mnie.

– Oczywiście.

Usiłowała się pomodlić, ale nie mogła skupić myśli. Jej wzrok prześlizgnął się mimochodem po kilku sąsiednich mogiłach, skromnie ukrytych w cieniu drzew w samym rogu cmentarza i gęsto porośniętych trawą.

Nagle zamrużyła oczy.

– To niemożliwe... Marcelina?

– Ach, to. – Podążywszy za jej wzrokiem, ksiądz ze smutkiem skinął głową. – Niestety. Tuż po waszym wyjeździe pochowaliśmy i tę biedaczkę.

– Myślałam, że wróciła do Prus ze służbą mego wuja. Co się stało?

– Hmm... Utonęła w rzece – przyznał niechętnie. – Po interwencji hrabiego uznano oficjalnie, że to był kolejny wypadek. Cóż, nie mnie oceniać tę sprawę. Stary proboszcz zgodził się na pogrzeb, choć ludzie sarkali, że dla samobójczyni nie ma miejsca na cmentarzu i że na to nie pozwolą.

– Samobój... Nie wiedziałam – szepnęła poruszona.

– Nie mówmy o tym, moje dziecko. Młoda jesteś, powinnaś cieszyć się życiem, a nie rozprawiać o śmierci.

– A więc to z dobrodziejem tak sobie pani spaceruje. – Tuż za nimi rozległ się nagle głos Emila.

– Nie chcieliśmy przeszkadzać, ale Aurelka zaczęła się już martwić. Musimy wracać.

– Czekamy i czekamy, panno Julciu. – Nadąsana dziewczynka złapała nauczycielkę za rękę. – A wie pani, że...

Zamyślona Julia nie słuchała dalszego szczebiotu dziewczynki ani rozmowy dziedzica z proboszczem. Idąc za nimi w stronę kościoła, myślała tylko o tym, że być może obie z Busią źle oceniły dawną garderobianą.

„Trudno było ją lubić, ale... Musiała być bardzo przywiązana do *maman*, jeśli rzeczywiście skoczyła do tej samej rzeki, w której...” – Urwała, czując wyrzuty sumienia.

Gdy mijała cmentarną furtkę, echo przyniosło nagle zza jej pleców głuchy odgłos, jakby trzasnęła metalowa brama. Julia jako jedyna obejrzała się za siebie. Szukając źródła dźwięku, odruchowo spojrzała na widoczną z tego miejsca kaplicę Zarzewskich, częściowo tylko przysłoniętą drzewami. Wcześniej, wybiegając w nerwach, zostawiła szeroko otwarte drzwi. Teraz wejście było zamknięte.

– Co się stało, Julciu? – Aurelka pociągnęła ją za rękę.

– Słucham? Nie, nic.

– Wiesz, że dziś przyjedzie do mnie Wacio? Mówiłam ci o nim. To syn pani Heleny z sąsiedniego majątku. Chodźmy szybciej, to papcio cię zapozna z towarzystwem.

\* \* \*

– A co panowie myślą o nowym cesarzu pruskim? – zagaił Emil swoich partnerów przy karcianym stoliku.

– Podobno każda zmiana niesie nadzieję, ale ja jestem pesymistą. Nasz biedny naród nic na tym nie skorzysta. Ani tu, ani w Prusiech.

– Dajcie panowie spokój z tą polityką. Mnie bardziej obchodzi podatek spirytusowy. Odszkodowanie za zniesienie propinacji, to jest istotne – mruknął łysy, tęgi szlachcic zapatrzony w swoje karty. – Straty ogromne, a oni tylko deliberują, awantury wszczynają i nic z tego nie wynika. Ja pasuję.

– Masz pan sąsiad rację – potwierdził szczupły wąsacz grający z nim w parze. – Ale przy doktorze lepiej o tym podatku nie dyskutować, bo zaraz nam zrobi wykład o rozpijaniu chłopstwa.

– A tak! Czy historia nie uczy, jak się to może skończyć? I to tutaj, na naszych ziemiach. Już panowie zapomnieli?

– Nie alteruj się pan tak, doktorze. Pijaństwo było tylko narzędziem w tamtych zbrodniach, nie przyczyną. Nadto pan za młody jesteś i nie tu rodzony, żebyś miał głos zabierać o krwi, która wsiąkła w tę ziemię.

– *Pax*, panowie, *pax*. Pogodzę was tematem, który naszego gospodarza najbardziej zaciekawia. Czytałem w gazecie, że w wyścigach na Polach Mokotowskich zwyciężył koń hrabiego Potockiego. Podobno niebywałe zwierzę.

– To prawda.

– Widziałeś pan tego konia, sąsiedzie?

– Widziałem.

– A pański faworyt?

– Mój jest lepszy, ale jeszcze niedoświadczony. – Emil uśmiechnął się pogodnie. – W przyszłym roku niechybnie wygramy. Doktorze, pana kolej.

– Moja? – Karol oderwał wzrok od Julii rozmawiającej z dwiema szlachciankami na tarasie i spojrzał w swoje karty.

Skupieni na grze mężczyźni siedzieli przy stoliku w salonie, tuż obok szeroko otwartych na taras i ogród przeszklonych drzwi. Natomiast rozmowa w damskim gronie toczyła się na tarasie i dotyczyła głównie upalnej pogody, gwałtownych burz gdzieś na wschodzie, nowych sukien sprowadzonych z Warszawy oraz występów operetkowej gwiazdki – Zimajerówny, tej samej, o której wiele lat wcześniej tak głośno było w towarzystwie za sprawą jej ojca, dawnego kochanka słynnej Heleny Modrzejewskiej.

– I mówię paniom, że niczego nadzwyczajnego w niej nie zauważyłam – opowiadała właśnie jedna z kobiet. – Ot, głos jakich wiele. Sama lepiej zaśpiewać potrafię.

– Tylko błagam cię, droga Tereso, nie dzisiaj, nie dzisiaj. Po co psuć takie miłe popołudnie – rzucił od stolika łysy szlachcic zaabsorbowany kartami. – Doktorze, decyduj się pan. Skąd dzisiaj to pańskie roztargnienie?

Słyszając uwagę męża, oburzona kobieta poczerwieniała i drżącą dłonią uniosła do ust filiżankę z herbatą.

– A pani gra czy śpiewa? – zagadnęła szybko Helena Czetwińska, której przedstawiono Julię pod kościołem.

– Odebrałam stosowną edukację, ale wolę rysunek niż muzykowanie – odparła Julia, modląc się w duchu, by nie poproszono jej o koncert w nowo poznanym gronie.

– Szkoda – rzuciła pani Teresa, wciąż poirytowana uwagą męża. – Matka pani była podobno niezwykłą wirtuozką. Raz nawet dała wspaniały publiczny koncert. Może to fałszywa skromność?

– Aż żal, że moja Hania jest jeszcze za mała na naukę – wtrąciła się szybko Helena, widząc niepewną minę Julii. – Skorzystałaby z obecności pani, bo niełatwo tu na wsi o dobrego nauczyciela. Ale może mogłaby pani sprawdzić jej muzykalność? Ja zupełnie nie mam słuchu – wyznała szczerze, nie dostrzegając zdziwionego spojrzenia swojej sąsiadki. – Nie wiem, czy w przyszłości warto ją zmuszać do fortepianu.

– A w jakim wieku jest pani córeczka?

– Zaczęła piąty rok.

– W takim razie nie jest za wcześnie. Jeśli tylko ma pani takie życzenie, odwiedzę państwa i ocenię jej zdolności.

– Och, to cudownie!

– Czy to nie przesada, tak fatygować pannę Zarzewską? – wtrąciła się oschłym tonem pani Teresa, odruchowo wygładzając elegancką suknię, w którą wystroiła się specjalnie na tę wizytę, by powetować sobie zawstydzenie sprzed kościoła. – Moim zdaniem dzieciom w wieku Hani niańka bardziej potrzebna niż guwernantka. Chyba pani przesadza, Heleno – dodała z naciskiem.

– Tak pani sądzi? – Brunetka zmieszała się, nie rozumiejąc intencji rozmówczynie.

– Ależ to naprawdę żaden kłopot – zaprotestowała Julia. – Najważniejsze to ustalić, czy dziewczynka przejawia zdolności w tym kierunku.

– Oczywiście, ja się nie mieszam w cudze sprawy. Chodziło mi tylko o to, że nie musi się pani tak spieszyć. Podobno panna Zarzevska zostaje z nami na dłużej. Czyż nie?

– Taką mam nadzieję – odparła szczerze dziewczyna, wywołując tym osobliwy uśmiech na twarzy rozmówczynie.

– A jednak. Zatem sama pani widzi, Heleno, że nie ma pośpiechu. Niechże się panna Julia najpierw rozgości w naszej pięknej okolicy, nim los obarczy ją obowiązkami.

Dziewczyna wyczuła w końcu osobliwie ironiczny ton. Mimo że niemal od pierwszej chwili poczuła sympatię do czarnowłosej Heleny – szczerzej i miłej w obejściu żony najbliższego sąsiada pana Laskowica – wyraźnie krępował ją fakt, że nie do końca wiedziała, jak się zachować. Ponieważ Aurelka była jeszcze dzieckiem, we dworze oficjalnie brakowało „pani na włościach”, w efekcie czego to właśnie Julii przypadł niespodziewany obowiązek bawienia pań, choć w zasadzie sama była tu gościem. Zawstydzalo ją to i wyraźnie utrudniało prowadzenie swobodnej rozmowy.

Już wcześniej od pokojówki dowiedziała się, że od czasu śmierci pani Leonii Laskowicowej we dworze bywali sami mężczyźni, zapraszani na polowania lub niedzielnego wista. Podwieczorek w towarzystwie małżonek okazał się zatem wyjątkowym spotkaniem i trudno było się nie domyślić, że panie przybyły do dworu właśnie z powodu Julii. Dziewczyna wyczuła, że one również nie do końca wiedziały, jak powinny traktować daleką krewną gospodarza, która na dodatek przyjechała tu w roli guwernantki.

Chociaż Julia starała się nie wnikać w to, jak dobrze goście znają burzliwą przeszłość jej rodziny, każde spojrzenie rzucone w jej kierunku wydawało się pełne ukrytych znaczeń. Siedziała zatem przy stoliku jak na szpilkach, marząc po cichu, by ten dzień się wreszcie skończył, bo chciała przemyśleć w spokoju wszystko, czego się dowiedziała od księdza proboszcza.

W tym momencie przez ogród przebiegła z wesołym krzykiem dwójka dzieci goniących psy.

– Cóż to za obyczaj? – obruszyła się na ten widok pani Teresa.

– Och, Waciu! Zgrzejesz się! Stój! – Helena załamała ręce, śledząc wzrokiem syna znikającego właśnie wraz z Aurelką za rogiem. – Co ja mam z tym chłopcem! Bolesławie, zróbże coś.

Małżonek kobiety nawet nie podniósł oczu znad kart.

– Dobrze, moja duszko. Oho! Proszę bardzo! To się nazywa strategia! – krzyknął wesoło, klepiąc swojego partnera po ramieniu. – Wygrywamy, sąsiedzie.

Zmęczona zarówno upałem, jak i nowym towarzystwem, Julia dostrzegła okazję i postanowiła bezwstydnie ją wykorzystać.

Podniosła się z krzesła.

– Panie wybaczą. Lepiej będzie, jeśli zajmę się tymi urwisami. – Nim ktokolwiek zdążył zaprotestować, lekko zbiegła po kamiennych schodkach i ruszyła ścieżką za dziećmi.

Znalazła je na przednim dziedzińcu, gdzie, piszcząc i śmiejąc się, walczyły z jednym z chartów o długi pogryziony kij z resztką smętnie zwisającej siatki. Niedaleko nich, z wielkim uśmiechem na rumianej twarzy, stał Franek i spokojnie przyglądał się całej scenie.

– A cóż wy tu uprawiacie?

– Panienska chciała łapać motyle, ale Zbój pożarł jedną siatkę i został już ino kijek – odparł Franek.

Przyjrzała się chłopcu ubranemu w skromne, ale czyste odzienie.

– Widzę, że masz się znacznie lepiej.

– A pewnie, pani uczycielko. Dziedzic mnie oddał do fornała Dębicza i jego żony. Dobrze mi tam jak w niebie. – Choć twarz chłopca wciąż nosiła ślady razów, jego oczy promieniały szczęściem. – Mam nowe ubranie i własny siennik. Nie biją, nie krzyczą, a jeść dają trzy razy dziennie – opowiadał podekscytowany. – Jaśnie pan dziedzic kazali do stajni mnie brać na nauki i obiecali przywieźć moją siostrę. A dziś gospodarze przysłali mnie do dworu, żebym paniencie pomagał, w czym trza.

Julii zrobiło się ciepło przy sercu, gdy patrzyła na jego radość pomieszaną ze szczerym zdumieniem. Jednocześnie aż bała się pomyśleć, ile jeszcze takich Franków żyje w okolicy i w innych stronach. Od razu przypominały się jej słowa ciotki Barbary: „Całego świata nie naprawisz, Juleńko, ale nawet jeden uratowany los jest na wagę złota, bo on pomoże następnym”.

„Ciocia jest bardzo mądrą kobietą. Szkoda, że jej tu nie ma” – pomyślała z tęsknotą.

Poszczekiwanie rozszalałych w zabawie psów przywołało na ganek ochmistrzynię.

– Wszystko w porządku, pani Natejkowo. – Julia błyskawicznie zareagowała na jej krzywą minę.

– Dzieci, idziemy na spacer. Psy zostają – zarządziła. – Zobaczymy, kto złapie więcej motyli.

– Tak, panno Julciu! Pójdziemy na łąki.

– Hej, Franek! Chodź z nami! – krzyknął Wacek.

– Ale została ino jedna siatka, paniczu.

– Daj ją Aurelce. My będziemy łapać rękami.

„Na szczęście dzieci są znacznie mądrzejsze od dorosłych” – pomyślała na widok trójki biegnących obok siebie dzieciaków.

Podczas gdy one hasały z krzykiem po łąkach, Julia spokojnie szła z tyłu. Otaczały ją zapachy pól i łąk, szum dojrzewających zbóż i zieleń drzew na wzgórzach. Nie przeszkadzał jej nawet pył unoszący się z suchej drogi przy każdym kroku. Wreszcie mogła w spokoju rozkoszować się pięknym niedzielnym popołudniem, tak że przez chwilę zapomniała nawet o gnębiących ją problemach. Dopiero gdy zbliżyli się do rzeki, ocknęła się ze swojego błogostanu.

– Aurelko! Zaczekajcie na mnie.

Jej okrzyk zatrzymał wyłącznie Franka. Chłopiec przystanął przed mostem i z niepewną miną obserwował rozbawioną dwójkę, która przebiegała właśnie z tupotem na drugą stronę.

Echo dziecięcych głosów rozlegało się już w zagajniku na drugim brzegu, nim Julia dołączyła do Franka.

– Aurelko! Waciu! Proszę natychmiast wracać! – zawołała jeszcze raz, bez efektu.

– Mam za nimi lecieć? – spytał zaniepokojony chłopiec, a Julia pomyślała, że doskonale rozumie jego obiekcje.

Westchnęła. Ten most, rozciągnięty ponad nurtem rzeki, również dla niej był drogą prowadzącą wprost do mrocznej przeszłości. Nie była przygotowana na to, żeby zmierzyć się tak nagle ze swoim niepokojem, jednak obowiązkowa natura guwernantki wzięła górę.

– Nie, nie trzeba. Sama pójdę ich poszukać, ty wracaj do dworu.

Chłopiec podniósł głowę i spojrzał na nią poważnym spojrzeniem niebieskich oczu.

– Trza mi iść z panią. Znam tu wszystkie dróżki, a pani nie.

– Zatem chodźmy. – Uśmiechnęła się leciutko, słysząc w dziecięcym głosie prawdziwie męską stanowczość.

Drewniane deski skrzypiały lekko pod ich krokami, gdy razem przekraczali granicę własnych łąków. Na drugim brzegu, tuż przed linią drzew, Julia przystanąła. Odetchnęła głęboko, jakby wynurzyła się na powierzchnię wody. Las pachniał żywicą i ściółką, od rzeki napływała woń mokrej ziemi, pomiędzy drzew dobiegało stukanie dzięcioła, a chłodny półmrok lasu kusił, by się w nim zagłębić. Czowała jednak, że ten spokój natury jest złudny, a zachęta zdradliwa.

– Chodźmy. Trza ich szybko znaleźć. Jeśli panicz z panienką dobiegną do pałacu, to będzie źle.

– Dlaczego? – Zaniepokoiła się i bez dalszego namysłu weszła między drzewa, wypatrując dzieci.

– A bo tam stróżuje stary Józef. Ma wielgachne psy i nikomu nie pozwala łązić po parku. Ludzie gadają, że pilnuje skarbów ukrytych w pałacu. Wielmożny hrabia mu kazał. Raz chłopcy ze wsi się zakradli, żeby podważyć okiennice i popatrzeć do środka, ale psy ich zwęszyły. Bartkowi od młynarzów tak poharatały nogę, że dwa tygodnie leżał. Takie zębiska mają!

Chłopiec rozłożył ręce, jakby pokazywał rozmiar szczupaka.

– Więc pałac jest zamknięty?

– Na cztery spusty. Nikt w nim nie mieszka, ino duchy.

– Jakie znowu duchy? – Zasapana Julia z trudem dotrzymywała chłopcu kroku.

Ścieżka wiodła lekko pod górę, a elegancka suknia, obciśnięta na mocno zasznurowanym gorsecie, co rusz zaczepiała się o gałązki krzewów.

– A te, co straszą na wieży. Mój gospodarz często krzychał, że jak się będę lenił, to mnie odda Józefowi, żeby mnie tam zamknął na pożarcie.

– Co takiego?

– Naprawdę! Ludzie we wsi gadają, że jak raz kowal wracał nocą z jarmarku na skróty, to widział światło białe na wieży i słyszał płacz okropny. Tak uciekał, aż mu koń furmankę do rowu przewrócił. Ponoć dusze jakieś nieszczęsne tak wyły, bo tu dawnymi czasy okropnie nagle wszyscy poumierali w tym pałacu. Jeden po drugim. Ino stary Józef i ta jego niemowa się ich nie boją.

– Franku, żebyś przy panience takich rzeczy przypadkiem nie wygadywał – stwierdziła tonem surowszym, niż chciała. – To wszystko głupie plotki! Zabraniam ci.

– Jak pani każe – mruknął zdziwiony.

Gdy wydostali się z największej gęstwiny, zobaczyli Aurelię i Wacka ukrytych za grubym, zwałonym pniem starego dębu.

– Co wy tu robicie? Dlaczego się nie zatrzymaliście, kiedy was wołałam?

– Przepraszam, panno Julciu. Nie słyszeliśmy. Goniliśmy pięknego motyla, ale nam uciekł.

– A dlaczego tak szepczesz?

– Ukryliśmy się tu przed stróżem – odparł zamiast Aurelki Wacek. – Niech pani też się schowa.

Poszedł tam.

Julia spojrzała we wskazanym kierunku i znieruchomiała. Pomiędzy drzewami zaniedbanego parku zobaczyła północno-zachodnią ścianę swojego domu.

Niegdyś białe, dziś szare i gdzieniegdzie zmurszałe mury dwukondygnacyjnego budynku spoglądały na nią zaślepionymi oczami okien, które wzdłuż całego parteru zabezpieczono prostymi drewnianymi okiennicami. Do pałacu przylegał od tej strony szeroki taras, otoczony kamienną balustradą z pękatymi tralkami. Zarówno taras, jak i prowadzące do niego schody zasypane były wieloletnim brudem opadłych liści. Budynek sprawiał smutne wrażenie dawno opuszczonego miejsca, które głęboko skrywa sekrety swoich byłych mieszkańców i trwa jak w zimowym śnie, czekając na lepszą przyszłość.

„Mój dom – pomyślała oszołomiona. – Wygląda niemal tak samo, jak go zapamiętałam. Tyle razy uciekałam Busi przez ten taras wprost do parku”.

– A wy tu czego?! – Groźny okrzyk poderwał wszystkich na równe nogi.

Dzieci wrzasnęły przerażone i schowały się za Julię, której serce aż podskoczyło do gardła. Lekko przygarbiony siwy mężczyzna wsparty na kosturze zaskoczył ich, zachodząc grupkę od tyłu. U jego boku, szczerząc kły i warcząc, przyczaiły się dwa duże czarne psy gotowe do skoku.

Wystraszona Julia odruchowo rozpostarła ręce, jakby mogła w ten sposób obronić dzieci przed niebezpieczeństwem.

– Proszę uspokoić psy – zażądała drżącym głosem. – My tylko spacerujemy. Dzieci zabłądziły wśród drzew.

– Ano widzę, że zabłądziły. Aż z drugiego brzegu. – Stary człowiek zaśmiał się, ukazując poczerńiałe zęby. – Cicho Kłątwa, cicho Ugryź! To nie złodziejaszki. Jaśnie państwo się nam trafili w gościnę. Rzadko ktoś się tu zapuszcza, to se z nimi pogwarzyśmy kapkę.

Jeszcze mówił, gdy Julia w błysku skojarzenia uświadomiła sobie, kim może być ten człowiek.

Uspokoili się w jednej chwili.

– Nie bójcie się dzieci, wszystko jest w porządku. Chłopcy, zabierzcie panienkę do dworu.

– Ale...

– Aurelko, bez dyskusji proszę.

– A pani? – zaniepokoił się Franek.

– Dogonię was. Idźcie.

– Zaraz, zaraz! Nie tak prędko.

– Czy Józef mnie pamięta? – przerwała mężczyźnie.

Zaskoczony zmarszczył czoło. Ponieważ jeden z psów wysunął się ciut do przodu podrażniony ruchem dzieci zbiegających ze wznesienia, starzec trącił go brutalnie kijem, zmuszając do posłuchu.

– Leżeć! A niby pani mnie zna?

– Owszem. Nie przypominam Józefowi kogoś?

Leciwe oczy przysłonięte gęstymi siwymi brwiami zamrugały i nagle rozszerzyły się ze zdziwieniem.

– Panna Zarzewska – szepnął. – Ale jak to?

– Owszem, Julia Zarzewska. Minęło wiele lat, ale Józef pewnie nie zapomniał, jakie psoty urządaliśmy w stajni z Lolkiem Natejko.

– Panienska Julia? Ot, stare oczy płatają figle. Coś tam powiadali we wsi, że panienska zjechała do Laskowiców, alem wiary nie dał. Co by panienska u nich robiła?

– Przyjechałam do krewnych.

– Do krewnych! – prychnął. – Toż przecie panienska powinna do jaśnie pana hrabiego...

– Dość! – przerwała mu surowo, ale natychmiast złagodziła ton. – Dobrze się stało, że Józefa spotkałam. Chciałam podziękować, że od tylu lat dba o kaplicę grobową mojej rodziny. Ksiądz proboszcz mi mówił.

– Nie trza dziękować, panienko. Przysiągłem jaśnie panu Zarzewskiemu, że wyrzucić się stąd nie dam i mogiły jaśnie pani pilnować będę jak żrenicy oka. Dotrzymałem słowa.

– Jak to? Więc Józef został tu na prośbę mojego ojca? Myślałam, że Józef z własnej woli służy hrabiemu.

– A służę. To przecie wielki pan i brat naszej jaśnie pani, niech jej ziemia lekką będzie. Ale poszedłbym stąd precz, gdyby pan Zarzewski nie kazał zostać i strzec dziedzictwa panienska. Ino do mnie miał zaufanie – stwierdził mężczyzna z dumą w głosie.

– Mojego dziedzictwa? Przecież to wszystko należy teraz do wuja Hermana.

– Co należy, to należy – mruknął enigmatycznie. – Jużem stracił nadzieję, że panienska kiedyś do nas zawita. Wszystko paniencie pokażę, ale nie teraz. Ostrożnie trza.

Julii mocniej zabiło serce.

– Tak, oczywiście. Obiecuję, że nikomu nie powiem. Rozumiem, że hrabia zabronił Józefowi wpuszczać kogokolwiek do pałacu.

– Do pałacu? A po co panienska chce do pałacu? Przecie tam ino puste ściany. Hrabia kazał załadować wszystko na wozy i zabrał do siebie.

– Więc o czym Józef mówi?

– No jakże? Jaśnie pan nie wytłumaczył w liście?

– W jakim liście?

Nagle gdzieś z tyłu trzasnęła gałązka. Julia się obejrzała.

– A więc tutaj nam pani zablądziła – rzucił Karol lekkim tonem, ale spojrzenie, które posłał Józefowi, było poważne. – Pan Emil się zaniepokoił i wysłał mnie na poszukiwania. Tak nagle nas pani opuściła. Mam nadzieję, że Józef pani nie nastraszył.

Mężczyzna wyprostował się na tyle, na ile pozwalały mu stare kości.

– Niech doktor się nie martwi. Przy mnie naszej paniencie nawet włos z głowy by nie spadł – burknął.

– To dobrze. – Karol stanął tuż obok Julii, nie spuszczać wzroku z psów. – Wybrała się pani na zbyt daleki spacer w tym upale. Czy wszystko w porządku?

– Tak. Widział pan dzieci? Odesłałam je do domu.

– Owszem, z dziećmi wszystko w porządku. Idziemy? – Podsunął jej ramię.

– Chwileczkę, chciałam jeszcze zapytać Józefa o kilka spraw.

– Tak, panienko?

Speszyla się. Obecność Karola ucieszyła ją, ale jednocześnie pomieszała jej szyki.

– Czy... Czy poza Józefem żyje jeszcze w okolicy ktoś z dawnej służby?

– Nie, panienko. Kiedy to nieszczęście z jaśnie panią się stało, wszystkim kazano iść precz.

Porozjeżdżali się po świecie.

– A propos nieszczęścia. Czy Józef może mi powiedzieć, jak właściwie doszło do tych... wypadków w pałacu?

– Eee, panienko. Na co takie wspominki?

– Proszę, chciałabym wiedzieć. Józef pracował u nas jako stangret, prawda? Jak to możliwe, że *maman* wyprowadziła nocą konia i nikt tego nie zauważył?

Starzec uderzył kosturem o ziemię z wyrazem niezadowolenia.

– Ot, jakoś wyprowadziła. Nie pamiętam.

– Jakże to?

– Józefie, nie zmyślajcie. – Karol przyszedł dziewczynie z pomocą. – Powiedzcie wreszcie prawdę.

– Znowu się doktor czepia? Mówiłem, że nic o tym nie wiem.

– Każdego innego możecie zbywać, ale panna Julia ma prawo wiedzieć.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

„Wiedziałałam, że on jeden nie będzie się niczemu dziwił” – pomyślała.

– Na co rozdrapywać, co już dawno zapomniane? – Mężczyzna był wyraźnie rozdrażniony.

– Niech mi Józef nie odmawia, proszę. Służba na pewno musiała plotkować. Może ktoś coś widział albo usłyszał? Może Balbina? – Przyszło jej nagle do głowy.

– Balbina? E tam, panienko – westchnął z dziwną miną. – Trudno... Pora chyba wyznać swój grzech po tylu latach.

– Grzech?

– Bo widzi panienka, ja naprawdę nie pamiętam tej nocy, kiedy jaśnie pani umarła – wyznał burkliwym tonem. – Popiłem zdrowo i spałem jak kamień. Po trosze to moja wina, że jaśnie pani konia wyprowadziła. Niech mi panienka wybaczy.

– Ach tak... – Julia była wyraźnie zawiedziona.

– A stróż? – dociekał Karol. – Dlaczego nie pilnował posiadłości? Przecież konie mógł wyprowadzić ktokolwiek, choćby złodzieje.

– Nasze konie były dzikie i silne jak tury. Wszyscy o tym wiedzieli i nikt by się na kradzież nie powążył, bo pierwszej zginąby pod ich kopytami. Dlatego tak żem się wściekał, kiedy doktor z panienką pchali mi się ciągle do stajni, jak byli dziećmi.

– Ale to przecież niemożliwe, żeby nikt niczego nie słyszał! – Karol tak się upierał, że aż zaskoczył tym Julię.

– Widocznie możliwe! – rzucił Józef ze złością. – Nocny stróż miał duży teren do obejścia. Zresztą on się do pałacu nie zbliżał. Tu się mało kto śmiał zapuszczać w dzień, a co dopiero nocą. – Starzec uśmiechnął się złośliwie. – Jaśnie pan Zarzewski sam różne pogłoski rozpuszczał, żeby się ludzie z daleka trzymali. Na przykład raz jakiesik medium czy inną wariatkę przywiózł dla jaśnie pani aż z Krakowa, że niby będą duchy wywoływać. – Zaśmiał się. – I ciemny lud uwierzył. Nawet proboszczowi donieśli.

– A stajenny, odźwierny?

– Pili ze mną. A reszta służby miała akurat wychodne, bo jaśnie państwa nie było cały wieczór w domu. Czy doktor się teraz wykierował na inspektora z policji?

– Niech się Józef nie irytuje. Pan Karol chce mi tylko pomóc. Więc Józef naprawdę nic nie wie?

– Panienka wybaczy staremu, ale nie. Jedną jedyną słabość miałem w życiu i akurat tamtego wieczora z nią przegrałem – mruknął smętnie. – Gdybym mógł cofnąć czas...

– Oczywiście – stwierdził z goryczą doktor. – Mądry Polak po szkodzie. Choćbym nie wiem, ile się nagał o szkodliwości pijaństwa, to każdy z nich tak przywiązany do butelki, jak do własnej żony.

– Przecie ja nie o pijaństwie mówię. – Starzec rzucił mu ironiczne spojrzenie.

– A o czym?

– O kobiecie.

– O kobiecie?

– Ech... Skoro żem już tyle opowiedział, to wyznam się przed panią do końca. Ino w tajemnicy. To było tak, że tamtego popołudnia jaśnie państwo pojechali do miasteczka na koncert. Całe okoliczne ziemiaństwo się tam wybrało.

– Chwileczkę, to rodzice nie pojechali na bal?

– Na bal? Nie, panienko. Nasz stary proboszcz chciał zbierać pieniędzy na szkołę dla chłopskich dzieci, więc rejentowa z aptekarzową wymyśliły dla niego ten koncert. Ale jak to zwykle bywa, wszystko poszło nie tak. Okoliczne szlachcianki chciały koniecznie pokazać swoje córki na wydaniu, więc się głupie baby pokłóciły o to, która panna będzie co grała i w jakiej kolejności. Już się zdawało, że nic z tego nie wyjdzie, ale proboszcz miał salę w miasteczku wynajętą i wstyd mu chyba było, że się parafianki przez niego jak psy pożarły. Wtedy poprosił naszego jaśnie pana o pomoc.

– Mojego papę? A to z jakiej racji?

– Wieści krążyły, że jaśnie pani grała na fortepianie jak mało kto. A poza tym cała okolica zjechałaby, żeby zobaczyć państwa Zarzewskich. Rzadka to okazja.

– I *maman* się zgodziła? – Zdumiała się.

– Najsampierw to jaśnie pan chciał dać pieniądze na szkołę i mieć spokój. Ale stary doktor go przekonał, że lepiej będzie dla naszej pani do ludzi wyjść. – Zerknął spod oka na pochmurnego Karola.

– Już pół roku mijalo, jak się żałoba po starym panu hrabim skończyła, a jaśnie pani dalej się w wieżycze zamykała ze smutku. Ale łaskawe miała serce dla biedaków i pewnie dlatego dała się w końcu jaśnie panu przekonać. Sensacja była z tego na całą okolicę. To wszystko mi Balbinka opowiedziała, stąd wiem.

– I co dalej?

– Jak się doktor będzie tak gorączkował, to nic nie powiem. – Starzec był wyraźnie niezadowolony z obecności młodego mężczyzny.

– Przepraszam, mówcie, Józefie – mruknął Karol.

– No więc jaśnie państwo w końcu pojechali. A mnie Balbinka dała znać, że bym do kuchni na kolację przyszedł, skoro pałac został pusty.

– Moja niania zaprosiła Józefa? Dlaczego?

– Bo widzi panienska... – Zawstydział się. – Ona była wdową z tutejszego zaścianka, a ja ino najmłodszym synem gospodarza z drugiej wsi. Ale dobra była, łagodna i nie wynosiła się nad innych jak reszta pałacowej służby. I tak jakoś się stało... Serce nie sługa. Gdyby ino chciała, ożeniłbym się z nią w try miga i do końca życia na rękach nosił.

– Józef chciał się żenić z moją Busią?

– Tak było. Ale ona mi rzekła, że choć nie jestem jej obojętny, to nie może dziecka zostawić, znaczy się panienki. Bo kochała panienkę jak własną córkę.

– Nie miałam pojęcia. Busia mi nigdy... – Urwała.

Nagle przypomniała sobie, że niania rzeczywiście czasem kładła ją wcześniej do łóżka, a sama zniknęła na jakiś czas. Gdy wracała, była zawsze w bardzo dobrym nastroju: szczęśliwa, rozanielona, a myślami bujała gdzieś w obłokach.

Zarumieniła się.

– Przepraszam. Wygląda na to, że stanęłam Józefowi na drodze do szczęścia.

– Nie, panienko. Ja bym przecie cierpliwie poczekał na nią, aż panienska by podrosła. Byleby mi dała jakąś nadzieję. Ale widać los chciał inaczej – stwierdził ponuro. – Właśnie tamtej nocy mieli my się rozmówić. Balbinka ugościła mnie jak króla, ale na ostatek rzekła, że bym sobie inną żonę znalazł. „Ja przy mojej paniencie chcę dożyć starości, skoro Bóg miłosierny własnych dzieci mi nie dał. Któż jej pozostanie, jeśli i ja odejdę?”. Tak powiedziała. Zapamiętałam każde słowo.

– Och, Busiu – szepnęła Julia markotnie.

Poczuła, że w gardle zaczyna ją coś dusić. Odchrząknęła.

– A jak to się stało, że Józef nie zawoził moich rodziców na koncert? Mieliśmy drugiego stangreta?

– Nie, panienko. Ino jaśnie pani była tak zdenerwowana, że nie zgodziła się jechać bez doktora,



a ten znowu żony zostawić nie chciał. A że garderobiana też z nimi siadała do powozu, to ciut mało miejsca się zrobiło przy tych babskich sukniach. Wtedy jaśnie pan zdecydował, że sam na kozła siądzie.

– Słucham?! Papa sam powoził? W wieczorowym stroju? – Zdumiała się.

– Taką fantazję nasz pan miał i już. Śmiał się z ludzkiego gadania – odparł starzec z dumą. – Lubił szybkość, a te konie ino mnie i jaśnie pana się słuchały, nikogo więcej.

– To wszystko jest trochę dziwne.

– E tam, panienko. Co w tym dziwnego, że wielki pan robi, co chce?

– I co było później? Dlaczego się upiliście, Józefie? – Karol znów chciał nakierować rozmowę na właściwie tory.

– A bo to doktor nie wie, co robi chłop, jak go smutek dusi? Wczekałem, aż jaśnie państwo do pałacu wrócili, konie oporządziłem i dopiero wtedy po cichu odźwiernego żem przywołał. W stajni razem ze stajennym kilka butelek gorzałki my obalili. Ot i tyle – burknął gniewnie, kopiąc w pień dębu.

– Zdaje się, że wszystko jasne, panno Julio – podsumował Karol. – Józef rzeczywiście nie mógł zauważyć dziedziczki, jeśli naprawdę to ona wyprowadziła konia. A pałacu nikt właściwie tamtej nocy nie pilnował. Po prostu nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

– Racja – wtrącił Józef, z pewną ulgą w głosie. – Dopiero o świcie mnie zbudzili. Cała służba już biegła po parku, szukając jaśnie pani. Poszedłem z panem Zarzewskim i na własne oczy widziałem, jak małżonkę swoją z wody przy zatoczce wyciągnął. Tam gdzie krzyż teraz stoi. Na rękach ją do pałacu zaniósł, a wzrok miał taki, żem myślał, co nas wszystkich pozabija. Doktora zaraz kazał wołać, ale każdy już wiedział, że jaśnie pani... Hmm – odchrząknął. – A kłaczkę zastrzelił, kiedy ją stajenny w parku odnalazł. Popręg miała urwany. Służba pałacowa to się potem przez cały tydzień po kątach chowała jak przestraszone króliki, aż do czasu, kiedy jaśnie pan wszystkich precz wyrzucił z tej żałości. Nawet Balbinka zamykała się z panienką w pokoju. Ino garderobiana do szczętu oszalała i zaryglowała się na cały tydzień w wieży – mruknął. – Aż w końcu zgłodniała i wyszła, a wtedy jaśnie pan kazał się jej do Prus wynosić. Szkoda, że tak późno.

– Więc to dlatego – mruknęła Julia domyślnie. – Proboszcz mówił, że Marcelina się z rozpaczki utopiła. To znaczy, utonęła – poprawiła się szybko.

– Z kamieniem u szyi to raczej nikt przez przypadek do wody nie wpada. Złe babsko z niej było, tyle powiem. – Skrzywił się z bólu i mimowolnie pomasaował przykurzoną nogę.

– A jednak musiała być przywiązana do mojej *maman*. – Pamiętając o wcześniejszych wyrzutach sumienia, próbowała bronić nielubianej służącej, choć bez większego przekonania.

– Może. Ale bezrozumne to było przywiązanie. A do tego innych ludzi miała za nic. Przez nią te wszystkie nieszczęścia! – syknął. – Gdyby przy jaśnie pani warowała, zamiast... Nic by się nie stało.

– Zamiast czego?

– Zamiast spać! – warknął, patrząc gniewnie na młodego doktora. – Wariatka to była i tyle. Nikt jej nie żałował ani nie szukał, kiedy zniknęła. Przez to tak długo we wodzie leżała, że aż ją raki do szczętu poharatały.

– Niech Józef takich rzeczy przy panie Julii nie opowiada! – fuknął na niego Karol. – Jeszcze nam tu zemdleje.

– Panienska wybaczy, że tak szczerze gadam, ale to prawda. Tak se myślę, że to przez Marcelinę Balbinka za mąż iść nie mogła.

– Jakże to?

– Nie raz, nie dwa się skarżyła, że musi strzec panienski przed tą jędzą. Ciągłe jakieś kuksańce się paniensce dostawały. Choć na ostatek coś się Balbince odmieniło, bo spytała mnie, czy bym wyjechał z nią za granicę, gdyby zechciała. – Znów się skrzywił z bólu.

– Może raz wreszcie pozwoliliby mi Józef zbadać tę nogę? – zaproponował niespodziewanie Karol.

– A nie ma po co.

W tym momencie z drugiej strony parku dobiegł ich stłumiony dźwięk przypominający gong.

– Cóż to?

– A to sługa, com se ją do roboty wynajął, panienko. – Uśmiechnął się szeroko poczerńiałymi zębami. – Zniecierpliwiała się złośnica, bo miałem ino obejść park i na kolację wrócić. Znowu mi będzie machać rękami, że wszystko ostygło. Baba to nawet jak niemową jest, potrafi człowiekowi głowę suszyć.

– Rzeczywiście, ksiądz proboszcz wspominał, że Józef ma własną gosposię.

– Ano. Przyplątała się jakieś dziesięć lat temu do parku jako żebraczka o kiju. Wiek już swój miała i widać było, że przez życie sponiewierana, to nakarmiłem z litości i tak jakoś została w rządcówce. Własnej baby nie mam, to za wikt i dach nad głową robi wszystko, co trza. Bo ja, panienko, poza Balbinką żadnej innej do ołtarza bym nie poprowadził.

– Właśnie, skoro już o tym mowa... Zatem mieszka Józef w rządcówce? – spytała o cokolwiek, bo w ostatniej chwili z emocji zabrakło jej odwagi, by wypytować go o szczegóły śmierci kobiety, którą tak kochał.

– A mieszkam se. Kto by pomyślał? – Uśmiechnął się złośliwie. – Za czasów panienki to Natejkowie tam żyli jak wielkie państwo. A teraz ja, były stangret. Hrabia mi zezwolił.

Julia zerknęła na Karola, ale on tylko wpatrywał się w czubki swoich butów.

– Cieszę się, że ma Józef na starość byt zabezpieczony.

– Narzekać, nie narzekam. Nigdy bym nie pomyślał, że nawet własną służbę mieć będę.

– Dobrze, że ktoś o Józefa dba.

– A dba, dba! – Zaśmiał się. – Jak zechcę, to nie tylko o mój pełny brzuch. Przyjemności i staremu się przecie należą. Ino proboszcz się przez to na mnie krzywi.

– Nie rozumiem.

W tym momencie Karol jakby ocknął się z zamyślenia.

– Wystarczy, Józefie. Musimy już iść.

– Oho! Doktor myśli, że nasza panienka się zgorszy. A przecie każdy wie, że od wieków Zarzewscy żyją podług własnej fantazji, bo w żyłach mają prawdziwą krew, a nie wodę. Ludzkie słabości dziwne im nie są.

– Idźcie już lepiej, Józefie, do swoich obowiązków. – Doktor był stanowczy. – Panno Julio, chodźmy.

– Ale...

– Proszę. – Karol spojrzał na nią takim wzrokiem, że w końcu uległa.

– Zostańcie z Bogiem, Józefie. Przyjdę tu któregoś dnia.

– Kłaniam się panience nisko. – Usłyszała za sobą. – Będę czekał. Niech się panienka niczym nie martwi, ja tu czuwam. Mamy dużo czasu.

\* \* \*

Choć myśli Julii powinny były krążyć wokół opowieści Józefa, całą jej uwagę pochłaniał Karol. Ukradkiem zerkiała na niego, przyglądając się wyprostowanej, szczupłej sylwetce mężczyzny, którego wciąż pamiętała jako kilkuletniego chłopca.

Kiedyś razem wspinali się na jabłonie i grusze w sadzie, by zanieść owoce żebrakom spod kościoła, razem też wykradali kucharce słodkie bułki dla dzieci komorników oraz mleko dla uratowanych z rzeki kociaków. Psocili również ramię w ramię, depcząc grządki w warzywniaku doktorowej podczas gonitwy, psując drzwi od powozu przy okazji zabawy w podróż dookoła świata czy gubiąc kosztowną uprząż z dzwoneczkami, którą pożyczyci sobie ze stajni, by Karol mógł udawać kucyka i wozić Julię na barana.

Wspominała te dziecięce zabawy i czuła się dziwnie, idąc obok mężczyzny, który kiedyś był jej bliskim przyjacielem, a teraz stał się dojrzałym, szanowanym w okolicy człowiekiem, prawie jej nieznanym. Rumieniła się ze wstydu na myśl o tych wszystkich obdartych kolanach, podrapanych

ramionach i guzach na czole, które nawzajem sobie opatrywali, udając rannych w bitwie powstańców.

„Co on sobie właściwie o mnie myśli? – zżymała się w duchu, poirytowana niezręczną ciszą, jaka między nimi panowała. – W dzieciństwie zawsze wiódł prym. A teraz? Nadal chce się zachowywać jak mój starszy brat?”

Gdy przeszli przez most, nie wytrzymała.

– Dlaczego pan nam przerwał? Miałam jeszcze kilka pytań do Józefa.

– Już mówiłem, że jest naprawdę późno. Zresztą w czym jeszcze Józef mógłby pani pomóc? Usiłował się tylko wybielić.

– Sądziłam, że pan mnie rozumie, Karolu. Tyle lat minęło, od kiedy wyjechałam stąd z ojcem. Czy to dziwne, że chcę obejrzeć swój dom, porozmawiać z dawną służbą?

– Ależ skąd. Przepraszam, jeśli panią uraziłem. Po prostu Józef jest zbyt szorstki w obejściu, nietaktowny.

– Czyżby? – Uśmiechnęła się z przekąsem. – Nie jestem aż tak delikatna, jak się panu wydaje. Nie rozbiję się niczym figurka z porcelany od kilku ostrzejszych słów.

– O, tego jestem pewien – odparł w tym samym żartobliwym tonie. – Jednak będę się upierał, że Józef nie jest odpowiednią osobą, żeby pani pomóc.

– Któż zatem jest odpowiedni w pana ocenie?

– Choćby ja.

– Pan? Czy mam rozumieć, że dobrowolnie zgłasza się pan na mojego informatora i przewodnika?

– Z najwyższą przyjemnością. Służę całą swoją wiedzą i wolnym czasem. Jako lekarz znam tu niemal każdy kąt i wszystkich okolicznych mieszkańców – stwierdził pogodnie.

– I obiecuje pan, że odpowie na każde moje pytanie?

– Jeśli tylko będę umiał.

– Trzymam pana za słowo. W takim razie proszę mi powiedzieć, co panu wiadomo o chorobie mojej *maman*.

– Co mi wiadomo? – Zmieszał się. – Nie bardzo rozumiem.

– Jest pan lekarzem, zna się pan na tym. Ciotka Barbara wspominała mi kiedyś, że *maman* cierpiała na chroniczną melancholię. Jednak nie wszystkie aspekty tej choroby jestem w stanie pojąć.

– Ach, o to chodzi – mruknął z pewną ulgą. – Jakie aspekty?

Zawahała się. Trochę bez zastanowienia rozpoczęła wyjątkowo bolesny dla niej temat. Nie potrafiła jednak spytać wprost, czy melancholia mogła być powodem braku matczynych uczuć. Wystraszyła się nagle, że usłyszy odpowiedź przeczącą, a wtedy pozostanie jej stanąć oko w oko z nagą prawdą, którą od zawsze podejrzewała: że matka nie kochała jej, bo nie urodziła się chłopcem – dziedzicem nazwiska, który być może zdołałby zaleczyć tę wielką ranę, jaką pozostawił po sobie przedwcześnie zmarły Oleś.

– Jakie aspekty, panno Julio? – powtórzył.

– Czy z powodu melancholii pacjent może traktować ludzi, nawet własną rodzinę, nie tak, jak powinien?

– Czyli jak?

– Z dystansem, obojętnie.

– Jak najbardziej. Ta choroba potrafi diametralnie zmienić życie rodzinne chorych – odparł ostrożnie, starając się z twarzy Julii wyczytać, czy dobrze ją zrozumiał. – Pacjent często pogrąża się w smutku i w pewnym sensie wycofuje się z życia. W momencie pogorszenia zajmują go wyłącznie jego własne obsesyjne myśli, dlatego bliscy mogą się czuć odsunięci. Czy o to pani pytała?

– Tak – odparła szybko, nie do końca zgodnie z prawdą. – Pewnie pan pamięta, że *maman* często zamykała się w wieżyczce. Trudno było mi wtedy pojąć, że nie chciała nikogo widywać. Skoro jednak twierdzi pan, że to normalne w tej chorobie...

– Dopiero ją poznajemy, ale jednego jestem pewien: nie ma w tym niczyjej winy, że chory tak reaguje.

– A czy to choroba dziedziczna?

Uśmiechnął się pocieszająco.

– Proszę się tego nie obawiać.

– Na pewno?

– Nie znam takiego przypadku. Natomiast widziałem kilka pozytywnych efektów leczenia, gdy pacjenci odzyskali zdrowie. Szczególnie zalecane są wyjazdy do wód, rozrywka i troska bliskich.

– Więc dlaczego nie wyzdrowiała? Przecież leczył ją pan ojciec, starał się. Może to było coś więcej niż melancholia? Coś groźniejszego?

– Czasem trafiają się tacy chorzy, u których krótkie epizody poprawy przeplatają się z długimi okresami niemocy. Niestety, trudne przeżycia drastycznie pogłębiają ten stan. Być może dlatego tradycyjne leczenie nie przyniosło u pani Zarzewskiej efektów. Była zbyt wrażliwa i nie umiała panować nad emocjami.

– Mówi pan tak, jakby dokładnie znał jej stan.

– W pewnym sensie tak właśnie było. Pan Zarzewski nie bez powodu podarował nam dom blisko pałacu. Gdy stan pani matki się pogarszał, ojciec natychmiast był wzywany. Zawsze wiedzieliśmy pierwsi, że coś się dzieje, bez względu na porę dnia czy nocy. Życie mojej rodziny nieuchronnie splatało się z rytmem choroby pani Zarzewskiej.

– Nigdy o tym nie pomyślałam.

Nagle, pozornie bez związku z tematem, wróciły do niej słowa Karola: „Józef rzeczywiście nie mógł zauważyć dziedziczki, jeśli naprawdę to ona wyprowadziła konia”.

„Co on powiedział? JEŚLI?” – Zdziwiła się w myślach.

– A właściwie dlaczego wypytywał pan Józefa o tamtą noc? Czyżby pańskiego ojca coś wtedy zaniepokoiło? Wspominał o tym wypadku w domu?

– Nie – odparł krótko i odwrócił wzrok w drugą stronę, udając, że przygląda się chłopcom, którzy pędzili drogą krowy.

Przez chwilę szli w milczeniu, jedynie skinieniem głowy odpowiadając na pozdrowienia wiejskich dzieci.

„Co mu się stało? Uraziłam go? – zastanawiała się. – Przecież nie zarzucam jego ojcu, że złamał tajemnicę lekarską. To zupełnie co innego... Ach, ojciec! Ależ jestem niedomyślna!” – Westchnęła zawstydzona.

– Przepraszam, panie Karolu – odezwała się skruszonym tonem. – Nie wzięłam pod uwagę, że rozmowa z Józefem była tak samo ważna dla pana, jak i dla mnie.

– Co ma pani na myśli?

– Ksiądz proboszcz wspominał, że pański ojciec zmarł wkrótce po naszym wyjeździe. To były ostatnie dni jego życia. Nic dziwnego, że pan też szuka wspomnień.

– Owszem, nie wypytywałem Józefa z pustej ciekawości. Mój ojciec bardzo przeżył wypadek pani Zarzewskiej. Dla lekarza każdy utracony pacjent to wyrzut sumienia – dodał szybko, jakby chciał zmienić sens wypowiedzi.

– Czy mogę zapytać, co się właściwie stało z doktorem? Zachorował?

Karol milczał przez chwilę z dziwnym wyrazem twarzy.

– Nie. Ojciec został napadnięty, obrabowany i zabity.

– O Boże! Nic nie wiedziałam. Kto to zrobił?

– Nie wiadomo. Śledztwo niczego nie wykazało.

– Jak to?

– Na pewno chce pani o tym słuchać?

– Oczywiście – stwierdziła przejęta. – Pamiętam starego doktora jako miłego i dobrodusznego człowieka. To okropne, co go spotkało! Jak do tego doszło?

– Ojciec otrzymał wieczorem pilne wezwanie do miasteczka, ale tam nie dotarł. W lesie został napadnięty. Agent policyjny stwierdził później, że ktoś musiał się zacząć na okazję, bo kłoda leżała w poprzek drogi. Bryczkę ojca znaleziono przewróconą. Widocznie nie zauważył w ciemnościach tej

przeszkody.

– A może to był tylko wypadek?

– Nie tylko. Policja ustaliła, że ktoś kilkakrotnie uderzył go kijem w głowę, po czym zabrał wszystkie cenne przedmioty: torbę lekarską, pugilares, zegarek.

– Tak mi przykro, panie Karolu. – Spojrzała na niego z głębokim współczuciem, ale unikał jej wzroku. – Wiem, jak to boli.

– Dziękuję za dobre słowo.

– Tyle nieszczęść w tak krótkim czasie! – rzuciła rozżalona. – Jak to możliwe?

– Nie tylko pani się nad tym zastanawiała. Okolice aż huczały od plotek. Najpierw pani Zarzevska, później te dwie służące, a na ostatku mój ojciec. Pogrzeb za pogrzebem. Ludzie zaraz zaczęli wymyślać różne bzdury.

– Potrafię sobie to wyobrazić – mruknęła.

– Na dodatek wiosną tamtego roku była wyjątkowo zimna i wielu wieśniaków chorowało z niedożywienia. Nie dziwota, że w końcu zaczęły się napady i kradzieże. Nie pomogło nawet wsparcie księdza i pani Laskowicowej. Kilkoro dzieci biedaków zmarło z gorączki, a wielu komorników opuściło wtedy wieś w poszukiwaniu lepszego losu.

– Nie miałam o tym pojęcia.

– Jakby tego było mało, szykował się pobór do wojska i w karczmach zrobiło się niespokojnie. Chłopi pili ze zmartwienia, wszczynali burdy. Doszło do tego, że w okolicznych dworach właściciele po cichu zaczęli wzmacniać strażę.

– Po co? – zdziwiła się.

– Sama pani wie, że strach łatwo wywołać, gorzej nad nim zapanować. Niektórym się stare czasy przypomniały. Rabacja.

– Co takiego? To okropne!

– Niestety. Ludzie patrzyli na siebie wilkiem, tak że nawet ksiądz proboszcz zaczął się o wszystko obwiniać.

– Jak to?

– Przez ten koncert.

– Nie rozumiem.

– To od koncertu zaczęły się wszystkie nieszczęścia. Chłopi coraz głośniejszemu szemrali, że biedacy umierają z głodu, a szlachcianki wystrojone w klejnoty urządzają sobie jakieś bale i spotkania. Rozumie pani?

– Przecież zebrane pieniądze miały pomóc chłopskim dzieciom! Były przeznaczone na szkołę.

– Kto by o tym pamiętał w takiej sytuacji? Zresztą wielu protestowało przeciw szkole. Nawet we wsi.

– Byli przeciwni edukacji własnych dzieci?

– Panią to dziwi? Na wsi wszyscy mają swoje obowiązki. Byle dziecko już dobrze chodziło i mówiło, to albo młodszego rodzeństwa pilnuje, albo choć gęsi pasie. Prostym ludziom w głowie się nie mieściło, że zamiast do roboty powinni dzieci do szkoły słać.

– Przecież bez wykształcenia ich los nigdy się nie polepszy!

– My to wiemy, ale włościanie do dziś z trudem to akceptują. Nauka głównie zimną jakoś idzie.

– Trudno mi to pojąć. Przecież bez stosownej edukacji nie będą umieli się obronić przed bezprawiem, każdy będzie mógł ich wykorzystać. A nasz naród straci tożsamość.

– Bez edukacji, panno Julio, nasz naród nigdy nie uzyska tożsamości – stwierdził pesymistycznie.

– Większość chłopów do dziś nie czuje się Polakami. Tak jest od wieków.

– Naprawdę? Za kogo więc się uważają?

– Chyba po prostu za miejscowych. W tej chwili za poddanych cesarza Austro-Węgier, jak sądzę. Mój ojciec świetnie rozumiał ich mentalność. Odwiedzając chałupy, agitował za tamtą szkołą, co nie każdemu się podobało. Może stąd ten napad?

– To takie niesprawiedliwe, że doktor zginął właśnie wtedy, gdy jechał komuś pomóc. Wprost

trudno mi uwierzyć, że spotkał go taki los! – Julia nie mogła się uspokoić.

– Moja matka coś przeczuwała. Wciąż mam przed oczami tę scenę, gdy się z nim żegnała przy bryczce. Jakby wyjeżdżał w daleką podróż, a nie do miasteczka.

– Taka tragedia... Musiało jej być ciężko.

– Owszem. Byłem za mały, żeby jej pomóc. Mieliśmy trochę oszczędności, ale niezbyt wiele. Ojciec nie przywiązywał wagi do pieniędzy. Wspierał tutejszą biedotę, rozdawał lekarstwa. Pewnie wyjechałibyśmy stąd z matką, gdzie oczy poniosą, gdyby pani Leonia Laskowicowa nie przygarnęła nas do siebie.

– Przepraszam za mojego papę. – Zawstydzona spuściła głowę. – Powinien był się wami zająć, wesprzeć. Pański ojciec tyle lat dla nas pracował.

– Panno Julio, przecież to nie był zarzut. Wydaje mi się, że pan Zarzewski mógł nawet nie wiedzieć o śmierci mojego ojca. Ten napad zdarzył się kilka dni po waszym wyjeździe. W pałacu rezydował już wtedy hrabia i nawet zdążył rozmówić się z moim ojcem. Mieliśmy się wyprowadzić z rządzówki w ciągu dwóch miesięcy, bo już nie byliśmy potrzebni. Jak pani wie, hrabia nie zamierzał tu zostawać na stałe. Znalazł dzierżawców na ziemię i wrócił do Prus.

– Mimo wszystko papa powinien był zadbać o całą naszą służbę, a tymczasem on wszystkich wyrzucił.

– Miał prawo być wzburzony po tym, co go spotkało. Na dodatek pani wuj nie ułatwił wam sprawy. Tutaj do dziś nikt nie rozumie, co się właściwie stało między nimi. Cała okolica była zgorszona tym, jak hrabia was potraktował. Pamięta pani tamte dni? – Spojrzał na nią przenikliwie.

– Nie. Ciocia Basia mówiła, że zachorowałam na płuca, bo przemarzłam. Papa przywiózł mnie do niej w gorączce.

– Mój ojciec odradzał mu tę podróż, bo bał się o pani zdrowie, ale pan Zarzewski nie słuchał. Cokolwiek się jednak stało, pani nie może się czuć winna za postępowanie ojca.

– Zapewne, ale gdy tylko o tym pomyślę, czuję ogromny ciężar na sumieniu.

Karol rzucił jej kolejne ukradkowe spojrzenie, którego ona nie dostrzegła.

– Naprawdę uważa pani, że dzieci mogły coś zrobić, żeby zmienić bieg tamtych wydarzeń? – spytał pozornie zwyczajnym tonem.

– Nie, raczej nie. – Uśmiechnęła się blado, odczytując jego słowa jak rodzaj pocieszenia.

– Właśnie. Miała pani zaledwie pięć lat, ja osiem. Nic od nas wtedy nie zależało. Nikt by nas nie potraktował poważnie.

Zajęta własnymi myślami nie zwróciła uwagi na nutę żalu czy pretensji, jaka zabrzmiała w jego głosie.

– Zresztą ostatecznie jakoś nam się życie poukładało. Pani zamieszkała z ciotką, a mnie wysłano do szkół.

– Poukładało się – stwierdziła bez przekonania. – Ale...

– Tak?

– Czy nigdy nie próbował pan ustalić prawdy?

– Prawdy o czym?

– O zabójcach pana ojca. O tym, jak wyglądały ostatnie chwile jego życia i dlaczego spotkał go taki los. Niewiedza potrafi zadręczyć, wiem coś o tym. Nie chciał pan nigdy zrozumieć, jak to się stało i z jakiego powodu?

– A pani by chciała?

Wyraz twarzy Karola zaintrygował Julię.

– Wydaje mi się, że poznanie prawdy, nawet tej najtrudniejszej i bolesnej, pozwala zamknąć za sobą jakieś drzwi, przebaczyć – odparła. – Jest jak wypicie gorzkiego lekarstwa. Smakuje okropnie, ale później uwalnia od choroby.

– Słusznie. Czy jednak zaryzykowałaby pani taką kurację, wiedząc, że lekarstwo może pogorszyć sytuację? – spytał z błyskiem w oku. – Może lepiej zostawić wszystko tak, jak jest, i nie próbować się wyleczyć?

– Gdybym wiedziała, że choroba i tak mnie zniszczy, tylko wolniej, zaryzykowałabym.

Zatrzymał się nagle, choć byli już niemal przy końcu grabowej alei prowadzącej do dworu i zwęszyły ich psy, poszczekujące przyjaźnie. Złapał ją nagle za rękę.

– Panno Julio. Proszę mi szczerze powiedzieć. Czy pani naprawdę przyjechała tu tylko dla Aurelii?

– Nie rozumiem. – Jego gwałtowna reakcja kompletnie ją zaskoczyła.

– Wiem, że rozmawiała pani z księdzem, teraz z Józefem. Stawia pani wiele pytań dotyczących przeszłości. Muszę wiedzieć, po co? Do czego pani zmierza?

– Ja tylko...

– Karolu? Co tu się dzieje?

Oboje jednocześnie spojrzeli w stronę dworu. Kilka kroków przed nimi, wyłocona promieniami zachodzącego słońca, stała Natejkowa. Jej biały wykrochmalony fartuch falował na wietrze, a mina nie zwiastowała niczego dobrego.

## ROZDZIAŁ XI

– Karolu? Wy tłumacz się – zażądała Natejkowa obcesowym tonem, przerywając im rozmowę w grabowej alei.

Mężczyzna momentalnie poluzował uścisk, a Julia wysunęła dłonie z jego rąk i schowała je za siebie. Bez namysłu, jak zbesztane dzieci, odsunęli się od siebie.

– Co ty wyczyniasz na środku drogi z panną Zarzewską?

– Matko, cóż to za pytanie? Odnalazłem pannę Julię z dziećmi nad rzeką i właśnie wracamy.

– Czyżby? Dzieci już dawno wróciły, a goście zdążyli się rozjechać. Dziedzic sam musiał ich pożegnać i wytłumaczyć waszą nieobecność. Założę się, że jutro pół okolicy będzie plotkować o waszym zniknięciu.

– Matko... – Głos Karola zabrzmiał nisko, spokojnie, a jednak z wyraźną nutą protestu. – Skoro jest tak późno, pozwólmy panie Julii przygotować się do kolacji. Zapewne jest już gotowa.

– Oczywiście, że gotowa. Zaraz będziemy podawać. Tylko niech się panna najpierw ogarnie, bo to wstyd pokazywać się porządnym ludziom w takim stanie. – Klucznica skrzywiła się, taksując wzrokiem poszarpane falbany i koronki sukni Julii. – A ty, mój synu, pozwól ze mną. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Odwróciwszy się na pięcie, pomaszerowała w kierunku wschodniej oficyny, gdzie Karol miał swoje mieszkanie.

– Proszę wybaczyć mojej matce. Jest chyba zmęczona – szepnął przepraszająco. – Innym razem dokończymy naszą rozmowę. Dobrze?

Julia skinęła głową i nawet zdobyła się na blady uśmiech, ale w środku aż się w niej zagotowało. Poczuli się tak, jakby przeżywała *déjà vu*. W dzieciństwie kilka razy w podobny sposób kończyły się ich zabawy z Karolem: wiecznie niezadowolona doktorowa dopadała ich gdzieś w parku i zabierała syna do domu, zostawiając Julię samą.

„O nie! Nie tym razem! – pomyślała zirytowana. – Karol chciał mi coś powiedzieć i zamierzam się dowiedzieć, co to było”.

Perspektywa wyczekiwania przez kilka dni na kolejną okazję do rozmowy z nim wydała się jej nie do zniesienia. Zgarnęła więc fałdy sukni i ukradkiem, by nikt jej nie zauważył z okien dworu, przemknęła najpierw przez ogród, później przez warzywniak, ciesząc się w duchu, że psy chwilowo gdzieś zniknęły. Podkrađła się pod oficynę od tyłu i przystanęła za drewnianą konstrukcją podtrzymującą ciężkie kwiatowe grona glicynii, o której Aurelka powiedziała, że pamięta jeszcze czasy jej dziadka. Choć sama była niewidoczna zza liliowych kaskad kwiatów oplatających budynek od południa, miała stąd dobry widok na drzwi. Postanowiła więc cierpliwie zaczekać, aż Natejkowa opuści mieszkanie syna.

– Jak mogłaś, matko? – Dobięł ją nagle przytłumiony głos mężczyzny. – Dlaczego tak traktujesz pannę Zarzewską?

Zaskoczona wyjrzała zza pnączy. Dopiero w tej chwili zauważyła, że jedno z okien oficyny jest uchylone. Zamiast cofnąć się w głąb ogrodu, z pełnym rozmysłem nastawiła uszu.

– To raczej ty powinieneś się zastanowić nad swoim zachowaniem wobec niej, Karolu.

– Ja? Dlaczego?

– Nie wiem jak panna Zarzewska, ale ty, mój synu, nie możesz sobie pozwolić na utratę dobrej reputacji. A od wczoraj robisz wszystko, by tak się właśnie stało.

– Dopravdy? Cóż takiego uczyniłem?

– Widzę, że stroisz sobie żarty z matczynej troski. Nie słyszałeś, co szeptali pod kościołem? Ta dziewczyna przyjechała tu załedwie wczoraj, a już dwa razy ludzie widzieli cię w jej towarzystwie i to sam na sam. Nie dość, że spacerujecie sobie bez żadnej przyzwoitki i wdajecie się w awantury z jakimiś pijanymi chłopami, to jeszcze na koniec przyłapuję was w publicznym miejscu na uściskach.

– Na czym?!

– A cóż miały znaczyć te obłapianki w alei? Chyba nie zaprzeczysz, że trzymałeś ją za rękę?



Chwała Bogu, że goście odjechali i nikt tego nie widział, bo już by suchej nitki na was nie zostawili. Mam nadzieję, że ta osoba długo u nas nie zabawi. Ty jednak zostaniesz, więc jak potem spojrzysz ludziom w oczy?

– Przecież znamy się z panną Julią od dzieciństwa...

– Właśnie! – twardo weszła mu w zdanie. – I niczego cię to nie nauczyło. Już zapomniałeś, jak Zarzewscy zmarnowali nam życie? Ile musiałam wycierpieć z powodu wielkopańskich hysterii jej matki? Tak, wiem! Obaj z ojcem powiedzielibyście to samo: ona była chora. Więc pozwól sobie wyjaśnić, szanowny panie doktorze, że nie wierzę w tę chorobę! – Wściekała się. – Owszem, jestem w stanie pojąć, że cierpiała po śmierci synka. Mogę nawet zrozumieć, że z powodu oszpeceń unikała ludzi. Ale czy to dawało jej prawo, by niszczyć życie innych? Była po prostu rozkapryszoną, bogatą histeryczką i zamiast ją leczyć, ktoś powinien był w odpowiednim czasie nią potrząsnąć. Ale Zarzewski wolał udawać przed teściem troskliwego mężusia, żeby wyciągać od niego pieniądze. Dlatego pozwalał żonie na te wszystkie fanaberie, a sam po cichu jeździł do innych. Nie mogę pojąć, dlaczego twój biedny ojciec zgadzał się być narzędziem w jego rękach!

– Wybacz, matko, ale nie masz pojęcia, o czym mówisz. Pani Zarzewska była naprawdę chora.

– Cóż ty możesz wiedzieć? Byłeś dzieckiem. To ja całymi dniami czekałam w pustym domu na męża, odcięta od normalnego świata. Widywałam tylko służbę. A mogło być zupełnie inaczej. Twój ojciec mógł założyć praktykę choćby w miasteczku, a ja wiodłabym normalne życie wśród ludzi – skarżyła się gniewnie. – Prawdziwych pacjentów w okolicy nie brakowało, ale on pozwolił się uwiązać przy tej kobiecie jak niewolnik. Ileż to razy błagałam go, żeby rzucił tę posadę! Ale on tylko patrzył na mnie bez słowa i mówił, że nie może. Gdyby nie lekcewał moich przeczuć, nic złego by nas nie spotkało.

– Znowu te przeczucia?

– Nie wzdychaj mi tu!

– Po prostu zupełnie nie rozumiem twoich pretensji do ojca. Zapewnił nam wygodny dom, miałaś służbę, stroje, książki, nawet własny powozik z koniem. Dla mnie zatrudnił nauczyciela z miasteczka. Niczego nam nie brakowało.

– Ale żyłam jak na pustyni, wciąż sama i sama.

– Przecież nikt nie zabraniał ci nawiązywać stosunków towarzyskich. Byłaś szanowaną doktorową.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Nie wolno nam było nikogo zapraszać na teren majątku, a znajomości wymagają rewizyt. Zresztą któż by chciał nas odwiedzać pod bokiem Zarzewskich? Kto był im życzliwy?

– Wyolbrzymiasz sytuację. Gdybyś tylko zechciała...

– Jesteś dokładnie taki sam, jak twój ojciec!

– Potraktuję to jako komplement.

– Kpij sobie z matki, kpij. Nie pamiętasz już, co wygadywali ludzie? Nie chciałam tam mieszkać, bo Zarzewscy to zła krew. Każdy, kto jest blisko nich, prędzej czy później marnie kończy. Nieważne, czy to żona, czy przyrodni brat, czy służąca. Tak było w poprzednich pokoleniach, tak jest i teraz.

– To wprost niewiarygodne.

– Możesz sobie wrzuszać ramionami, ile chcesz. Ale jedna Zarzewska już nas doprowadziła do tragedii i nie pozwolę, by druga zrobiła to samo. Masz się nie zbliżać do tej dziewczyny. Rozumiesz?

– Matko, jesteś rozsądną kobietą. Jak możesz wierzyć w podobne bzdury?

– Nawet gdybym nie wierzyła, to i tak zabraniam ci się z nią pokazywać. Nie jesteś już dzieckiem, żeby się bezkarnie uganiać za nią po krzakach jak przed laty. Musisz dbać o opinię, bo stracisz pacjentów.

– Trafiałaś w sedno, matko. Nie jestem już dzieckiem i choć szanuję twoje zdanie, będę robił to, co uznam za stosowne. A skoro już o moim dzieciństwie mowa, to zapewne pamiętasz, że ojciec sam mnie zachęcał do opiekowania się małą Julką, do zabawy z nią. Robiłem to z przyjemnością i teraz również będę jej pomagał, jeśli ona tego zechce.

– Oczywiście! Masz nie tylko miękkie serce jak ojciec, ale jesteś tak samo jak on ślepy i uparty.  
– Dlaczego tak mówisz? Co masz do zarzucenia pannie Julii?  
– Jej? Wystarczy, że należy do ich rodu. Zresztą po co tu przyjechała, czego szuka?  
– Przyjechała w odwiedziny do krewnych. Czy to takie dziwne?  
– Nie bądź naiwny. Laskowicowie to dla niej żadni krewni, piąta woda po kisielu. Ale ona już się tu szarogęsi. Czy wiesz, jak się dziś zwróciła do mnie moja panienka? „Pani Klementyno!” A wiesz, dlaczego? Bo nauczycielka powiedziała jej, że za bardzo spoufala się ze służbą.  
– Panna Julia by tak nie powiedziała.  
– Nie znasz jej. Nie wiesz, na kogo wyrosła. I nie patrz na mnie takim wzrokiem! Czy sądzisz, że nie było mi jej żal przed laty? Było. Ale wiedziałam, że nie powinniśmy się wtrącać do ich jaśniepańskiego życia. Oczywiście twój ojciec uważał inaczej. Litował się nad nią, bo widział, że nikogo nie obchodziła w tym wielkim pałacu. No może poza nieszczęsną Balbiną. Ona jedna troszczyła się o to dziecko i pewnie dlatego spotkał ją taki los. Jak każdego, kto się zbliżył do Zarzewskich. A ja nie pozwolę, żeby historia się powtórzyła.  
– Doprawdy, matko, wybacz, ale tego się nie da spokojnie słuchać!  
Julia także nie słuchała. Jak ogłuszona odwróciła się i ruszyła ogrodową ścieżką wprost do dworu. Tylko siła woli i wesołe trajkotanie Aurelki pomogły jej jakoś przetrwać wieczór, choć obecność milczącego i zamyślonego Karola podczas kolacji była dla niej prawdziwą torturą.

\* \* \*

Pokój z błękitnymi tapetami, który przydzielono Julii, okazał się bardzo wygodnym i elegancko urządzonej pomieszczeniem z dużymi oknami wychodzącymi na tę samą stronę dworu co zielony pokoik na poddaszu. Był jednak znacznie większy niż poprzedni i znajdował się blisko sypialni Aurelki. Julia miała tu wszystko, czego potrzebowała: duże łóżko, szezlong, stół do ręcznych robótek, biurko z przyborami do pisania, orzechową szafę, komodę, a także gustowną umywalnię dyskretnie schowaną za pięknie zdobionym parawanem. Zadbano nawet o świeże kwiaty w wazonie, ale Julia nie umiała się cieszyć z troski, jaką jej okazano.

Stała przy oknie i patrzyła w wieczorną szarość ogrodu. Nie chciała, by pokojówka szykująca łóżko zauważyła jej zdenerwowanie. Sama nie wiedziała, jak się jej udało zachować spokój podczas całej kolacji, a później dopilnować wieczornych przygotowań Aurelki do snu. Dopiero w bezpiecznym azylu swojej nowej sypialni zaczęła tracić panowanie nad sobą.

Paplanina młodej służącej krzątającej się za jej plecami tylko pogarszała sytuację.

– Myślę, proszę pani, że wczoraj kamerdyner coś namieszał, a skrupiło się na biednej pani ochmistrzyni. Przecież już dwa dni wcześniej kazała tu sprzęty oporządzić, bo mówiła, że dziedzic z gościem do nas jedzie. A to jest pokój, co się go dla gości trzyma. Rzadko który dwór ma taki – stwierdziła z dumą. – Więc po co by miała panią na poddasze dawać? Tam kiedyś mieszkała bona naszej panienki, ale krótko. A ochmistrzyni jest dobra, tylko trzeba jej słuchać, bo inaczej się gniewa.

„Może i jest dobra, ale doskonale wiedziała, co robi – pomyślała Julia, zaciskając usta. – Sądziła, że w ten sposób odsunie mnie choć trochę od Aurelki”.

Bolesnie uświadomiła sobie, że ciotka Barbara miała rację, odradzając jej przyjazd tutaj.

„Busia też miała rację. Podśluchiwanie innych to brzydki nawyk, więc sama jestem sobie winna. Tylko jak mam się teraz zachować wobec Karola i jego matki?” – myślała rozgoryczona.

Zdenerwowanie i oburzenie, które zdołała z takim trudem ukryć, przyprawiły ją o potężny ból głowy. Szumiało jej w uszach, a w skroniach nieprzyjemnie pulsowało. Nie miała siły nawet myśleć o tym wszystkim, czego się dziś dowiedziała. Czekala już tylko, by pokojówka zostawiła ją wreszcie samą.

Służąca jednak się nie spieszyła. Uszczęśliwiona nowymi obowiązkami skończyła słać łóżko i wzięła się za porządkowanie odłożonych na krzesło części garderoby. Wypełniała pokój radosnym gadulstwem, zupełnie nieświadoma, jak bardzo jej obecność męczy Julię.

– W kredensowym mówili, że świętej pamięci starsza pani dziedziczka mieszkała w złotym pokoju, ale teraz on jest zamknięty na cztery spusty. Szkoda, bo bardzo chciałabym go zobaczyć. A małżonka dziedzica miała dla siebie różany buduarek obok sypialni. Podobno wszystko tam jest w kwiaty: i meble, i tapety, i zasłony. To dlatego jest tyle róż w ogrodzie, bo młoda dziedziczka kochała róże i sama je pielęgnowała. Teraz dogląda ich ogrodnik. Widziała je pani? Piękne, prawda?

– Piękne – mruknęła Julia.

– Biedna dziedziczka nie pożyła długo. Zostawiła naszą panienkę sierotą i starsza pani musiała się zajmować wnuczką, bo dziedzic ciągle wyjeżdżał. A kucharka to się kiedyś wygadała, że dziedzic wcale swojej żony nie kochał, choć był dla niej bardzo dobry. Podobno to starsza pani kazała synowi szybko się ożenić, kiedy wrócił zza granicy. Chciała się doczekać wnuków. Kamerdyner mówił, że nasz pan klócił się o to ze swoją matką, ale w końcu uległ. Nie wiem, dlaczego. Ja bym, proszę pani, bez kochania za mąż nie poszła. Choćby mnie rodzice na kawałeczki kroili. Dlatego sama zbieram na posag i już mam troszkę odłożone. Starsza siostra mi uprosiła to miejsce we dworze. Ciężko mi było na początku, bo czarna robota na mnie spadła: umyć podłogę, wytrzyj prochy, poczyść lampy, wymieć popiół. I tak całymi dniami. Ale teraz mi zazdroszcza. Och, proszę pani, jak ja się cieszę, że mnie dziedzic przydzielił pani do posług! Wiem, że za mało jeszcze umiem, ale i na szyciu się znam, i włosy ładnie ułożyć potrafię, i garderobę odświeżyć. Siostra mnie nauczyła, co już od dawna służy u państwa Czetwińskich. Wszystko zrobię, byle mnie pani nie odesłała od siebie.

– Dlaczego miałabym cię odesłać, Marysiu? – westchnęła.

– Dziękuję z całego serca. Będę się starać. O! Tę suknię w kilka dni naprawię. Ależ musiała pani w gęstwinę zajść. Żeby tak poszarpać koronki. – Pokręciła głową z dezaprobatą, przyglądając się sukni, którą jeszcze przed kolacją pomogła Julii zdjąć. – Tu na wsi takich śliczności nosić się nie da. Nawet praczka nie będzie wiedziała, jak wyczyścić taki delikatny materiał. Lepiej sama to zrobię. Niech się pani nie martwi, tak to już jest przy dzieciach. Wiem, bo zajmowałam się młodszym rodzeństwem. Z oczu spuścić na chwilę nie można, bo zaraz wejdzie, gdzie nie trzeba. A już panicz Wacław z sąsiedniego majątku to żywe srebro jest. Siostra mi opowiadała, ile przez niego mają dodatkowej roboty, bo psotnik. Chociaż i nasza panienka lepsza nie jest. To wazon rozbije, to zupę rozleje, to sukienkę podrze przy zabawie. O, zupełnie jak pani. – Uśmiechnęła się. – Oj, huk roboty będzie przy tych koronkach. Ale dam radę.

– Nie musisz się spieszyć. Na razie nie będę potrzebowała tej sukni.

– A widzę, że dużo ich jeszcze w szafie wisi. Pani przecie z miasta, z daleka. Tam pewnie wszystko jest inne, ładniejsze. – Marysia się rozmarzyła. – Piękne domy, brukowane ulice i ponoć nawet latarnie, co światło nocą dają. Och, jakbym chciała to kiedyś zobaczyć! A na wychodne mogłabym do parku pójść albo na przedstawienie, żeby prawdziwych komediantów zobaczyć. A nie jak tu, ino do chałupy rodziców albo na jarmark.

Daleko na horyzoncie niebo rozjaśniło się na chwilę światłem błyskawicy.

– Oho, coś idzie ku nam, proszę pani. Ale przyda się trochę deszczu, bo wszystko schnie w polach, ze strach.

– Wystarczy na dziś, Marysiu. Późno już, idź odpocznij. – Julia w końcu straciła cierpliwość i odwróciła się do niej.

Gipiurówka firanka opadła na swoje miejsce, zasłaniając okno, przez które i tak nie można było dostrzec rzeki.

Marysia zamknęła szafę i dygnęła.

– Dobrze, proszę pani. Czy jeszcze czegoś potrzeba? Oj, coś blado pani wygląda.

– Nie, dziękuję. Ale zajrzyj po cichu do panienki. Sprawdź, czy zasnęła. Zaniósłś jej wodę?

– Tak, proszę pani.

– Więc zbudź mnie rano, tak jak prosiłam. Tylko pamiętaj, że wolę herbatę niż kawę.

– Dobrze, proszę pani.

Gdy została wreszcie sama, usiadła przy biurku i w świetle świecy spojrziała na rozpoczęty jeszcze przed obiadem list do Barbary:

*Niepotrzebnie się Ciocia martwiła. Wszyscy traktują mnie tu z wielką życzliwością i szacunkiem*

– przebiegła oczyma ostatni fragment.

– Będę się smażyć w piekle za te kłamstwa – szepnęła rozgoryczona i zaczęła rozmasowywać bolące skronie.

„Natejkowa ma rację – myślała półprzymtomnie. – Nie byłam nikomu potrzebna w pałacu, a teraz nie jestem potrzebna tutaj. Ależ byłam naiwna! Karol bawił się ze mną przed laty tylko dlatego, że ojciec mu kazał. A pan Emil zatrudnił mnie, bo nie miał innej nauczycielki... Nie, to nieprawda. – Pokręciła głową. – On jest dobry, ale właśnie dlatego powinnam dbać o spokój jego domu. A jeśli większość ludzi w okolicy myśli tak jak Natejkowa, to sprawię mu tylko kłopot. Ciocia to przewidziała. Jak poznać, kto jest mi życzliwy, a kto nieprzyjazny? Boże, zaraz pęknie mi od tego głowa!”

Zmęczonym gestem oparła czoło na dłoni, pozwalając, by rozpuszczone włosy, których nie zdążyła jeszcze zapleść, osłoniły ją od migotliwego światła lampy. Łza rozżalenia wymknęła się jej spod powieki i spadła na dębowy blat. Odruchowo wytarła biurko rękawem szlafroka. Niedokończony list znów przyciągnął jej wzrok.

„ Jeszcze to. Co mam napisać? Obiecałam Włodziewej, że utrzymam się na tej posiadzi, ale Natejkowa będzie mi uprzykrzać życie tak długo, aż sama zrezygnuję. Mam udawać, że nie wiem, co naprawdę o mnie myśli? Chyba muszę. Aurelka ją lubi. Poza tym to matka Karola. Nie chcę mu sprawiać przykrości”.

Młody doktor w jednej chwili stanął jej przed oczyma jak żywy.

– Przynajmniej on nie wierzy w te bzdury. – Westchnęła. – Trudno, jakoś będę musiała sobie poradzić z dąsami ochmistrzyni. Byle tylko nie odbiło się to na Aurelce.

Zmusiła się, by dokończyć list do ciotki, po czym długą chwilę siedziała bez ruchu, wpatrując się w drgający płomień lampy. Czowała się zniechęcona.

Opowieści księdza, a potem Józefa i Karola zasmuciły ją, bo nie spodziewała się, że jej własne tragedie rodzinne były zaledwie początkiem serii nieszczęść. Świadomość, że zły los dosięgnął przed laty nie tylko ją, ale także wiele innych ludzi z okolicy, sprawiła jej przykrość. Jednak dopiero pretensje ochmistrzyni złamały w niej ducha.

Szczerść podsłuchanej rozmowy była tak bolesna, że w pierwszej chwili zapragnęła po prostu spakować się i wrócić do bezpiecznego domu ciotki. Znowu poczuła się bezsilna wobec niespodziewanych zarzutów, których nie skierowano bezpośrednio do niej, więc nie mogła się bronić. A nawet gdyby mogła, cóż miałyby powiedzieć doktorowej? Jak zareagować na wszystkie przykre uwagi? Mimo że jako kobieta rozumiała cierpienie owdowiałej Natejkowej, nie mogła się pogodzić z piętnowaniem jej wyłącznie z powodu nazwiska, które nosiła.

„ Przecież ona niczego o mnie nie wie, nie zna mnie i nawet nie chce poznać! – Zżymała się w myślach. – Osądziła mnie już w pierwszej chwili i zapewne nie jest w tym osamotniona”.

Z zamyślenia wyrwał ją kolejny grzmot, znacznie głośniejszy niż poprzednie. W szyby uderzył nagle mocny wiatr niosący pierwsze krople deszczu. Zerwała się z krzesła i sprawdziła zamknięcia okien. Gdy przechodziła koło lustra, zerknęła przelotnie na swoje odbicie.

– Nie. Tym razem nie ucieknę jak od Skrzeczyńskiej – mruknęła i sprawnymi ruchami zaczęła zaplatać warkocz. – Dopóki pan Emil będzie tolerował moją obecność, zamierzam robić to, co muszę.

Odrzuciła warkocz na plecy, zdmuchnęła płomień lampy i wsunęła się pod kołdrę. Poduszka zapachniała lawendą, którą najwyraźniej trzymano w kufrach z bielizną pościelową. Błyskawice raz po raz rozjaśniające pokój trochę ją niepokoiły, więc odwróciła się do ściany.

„ Muszę namówić Józefa, żeby po kryjomu wpuścił mnie do pałacu. Może wykorzystam fakt, że dręczy go poczucie winy? To paskudne z mojej strony, ale chyba nie mam wyjścia, jeśli chcę odzyskać wspomnienia. Niech mi pokaże moje niedoszłe, zrujnowane dziedzictwo – rozmyślała, nasłuchując, jak deszcz uderza o szyby. – Pytać o przeszłość już raczej nie mam kogo. Ze starej służby został tylko Józef,

a Natejkowa nic mi z dobrej woli nie powie. Jest jeszcze Karol, ale nie chcę, żeby klócił się o mnie z matką. Nie mam prawa wciągać go w to wszystko. Ale ona się myli. *Maman* musiała być bardzo chora, skoro wpadła na pomysł z tą nocną przejażdżką. A może zdenerwowała się koncertem i chciała się jakoś uspokoić? Nic dziwnego, że stary doktor czuł się potem nieswojo. W końcu to on namówił ją na publiczny występ. Nie miał, biedak, pojęcia, jak to się skończy”.

Gdzieś wysoko przetoczył się po niebie potężny grzmot poprzedzony oślepiającą błyskawicą.

Julia zmrużyła oczy. Zwykle nie bała się burzy, ale tutaj, w rodzinnych stronach wszystko odczuwała inaczej, mocniej, jakby mimowolnie odnajdowała w sobie dziecięce lęki.

Nagle ktoś cichutko zapukał do drzwi.

– Julciu... – Usłyszała szept Aurelki.

– A cóż ty tu robisz?

– Boję się piorunów.

– Och, kochana, chodź. Świetnie cię rozumiem, jednak to tylko wiatr i deszcz. Na zewnątrz byłoby strasznie, ale w domu? Nie jesteś sama.

– A mogę dziś spać z tobą?

– Oczywiście że... – Urwała, bo wyobraziła sobie minę ochmistrzyni, gdyby się o tym dowiedziała.

Przyszło jej do głowy, że nie powinna przedkładać własnych zachcianek nad dobro dziewczynki. Poglądziła ją po policzku.

– Obawiam się, że będzie lepiej dla nas obu, jeśli wrócisz do swojego pokoju.

– Dlaczego?

– Jeśli tu zostaniesz, zaśniemy. A rano znajdzie nas pokojówka i domyśli się, że wystraszyłaś się burzy. Nie będzie ci troszeczkę wstyd?

– Nie wiem.

– Jesteś już dużą panną, pensjonarką, a za kilka lat będziesz prawie dorosła. Zaczнеш pomagać ojcu w prowadzeniu domu – tłumaczyła ciepłym tonem. – Czy chciałabyś, żeby służba przypominała sobie przy każdej burzy, że ich pani boi się piorunów jak małe dziecko?

– Nie. Ale co będzie, jeśli znów zmoczę prześcieradło? Wszyscy i tak się dowiedzą. I znów będą kpić, jak na pensji.

– Nic takiego się nie stanie. Wiesz, dlaczego? Ponieważ jesteś u siebie w domu, wśród swoich. A to daje odwagę i siłę. To ty będziesz pocieszać ludzi, gdy będą się czegoś bali. Już zupełnie niedługo staniesz się prawdziwą gospodynią w domu twojego ojca.

– Naprawdę? – Aurelka uśmiechnęła się nieśmiało.

– Tak. Jesteś przecież Laskowicówną. Nawet gdyby pan Emil ożenił się powtórnie, ty nadal będziesz tu najważniejsza. A to jest wielka odpowiedzialność. Będziesz musiała dbać o tych, którzy znajdują się pod twoją opieką. Tak jak teraz twój kanarek. Zostawiłaś go samego w ciemności, a on zapewne jest przestraszony i wolałby być z tobą.

– Ojej... To ja już chyba pójdę, Julciu.

– Nie smuć się. Mówię ci o tym, bo chcę, żebyś zapamiętała, że jesteś mądrą, dobrą i odważną dziewczynką. I już nikt nie będzie się z ciebie śmiał, bo mu na to nie pozwolił. Chodźmy.

– Dokąd?

– Do twojego pokoju. Nie powinnaś tu zostawać, ale ja mogę pójść do ciebie. Poczekamy razem, aż burza się skończy, i dopilnujemy, żeby kanarek się nie bał, dobrze?

– Dobrze.

W sypialni Aurelki Julia ułożyła dziecko w pościeli, a sama usiadła na fotelu obok. Zmęczona całodzienną zabawą dziewczynka zasnęła tak szybko, że kobieta nawet nie zauważyła, kiedy.

Wpatrywała się w półki z zabawkami.

„Pozytywka z tancerką. Też taką miałam – pomyślała. – Za dużo tu wszystkiego. Koniecznie trzeba to uprzętnąć, przemeblować. Chcą, żeby Aurelka spoważniała, a wciąż traktują ją jak małe dziecko”.

Cienie kładące się na dziecięcych mebelkach i zabawkach niepokoiły ją bardziej niż cichnąca za oknem burza. Przypomniła się jej własny dom.

„ Tak mi żal *maman*. Jak bardzo musiała się czuć nieszczęśliwa tamtej nocy, skoro pognęła do Olesia. Dlaczego nie przyszła do mnie lub do papy? – Położyła głowę na oparciu fotela. – Pijany stajenny, służba na wychodnym i twardy sen Marceliny... Wszystko sprzysięgło się przeciw niej. – Myśli Julii zaczęły się plątać. Powoli zanurzała się w sen. – Ciekawe, co Karol chciał mi powiedzieć... Ten Karol...”

\* \* \*

Chciała biec przed siebie, ile sił w nogach, ale gałązki krzewów wciąż ją zatrzymywały. Złośliwie szarpały za ubranie, ciągnęły w tył, czepiały się rozpuszczonych włosów, drapały po twarzy i rękach.

Nie działały same. Pomagał im siekący drobnymi kroplami zimny deszcz, pomagało błoto, po którym ślizgały się jej bose stopy oraz wiatr odpychający ją wielką niewidzialną ręką. Nawet drzewa, zwykle przyjazne, teraz złowrogo trzeszczały w ciemności i szeptały: „ Nie uciekniesz, nie skryjesz się. Już nikt cię nie obroni. Zostałaś sama!”

– Nie! Puśćcie mnie – krzyknęła, przepychając się desperacko przez gęste krzewy tarasujące jej drogę. – Papa mnie uratuje!

– Twój papa musiał wyjechać – oznajmiła ciotka Barbara, która nagle wyłoniła się z ciemności.

– Hrabia Herman poszukuje go za długi. Musiał uciekać za granicę.

– Ciociu! Pomóż mi, proszę.

– Moja biedna Julciu. Ostrzegałam cię, prosiłam. Mnie tu nie ma – odparła Barbara smutno, po czym rozplynęła się w podmuchu wiatru.

– Ciociu!

– Och, proszę pani! Niech się pani tak nie szarpie, bo z tej sukni zostaną same strzępy. – Rozległ się głos pokojówki. – Gdzie pani biegnie? I tak panią wyśledzi, dopadnie, jak Busię.

– Marysiu? To ty?

– Julka! Tutaj! Szybko!

– Lolek? – Resztką sił wyrwała się z kłującego uścisku nagich krzewów. – Gdzie jesteś?!

– W kryjówce, chodź. Tu nikt cię nie znajdzie! Biegnij!

– Kryjówka! – olśniło ją. – Tam mnie nie znajdzie! Nie znajdzie! Na pomoc!

– Na pomoc! – Rozpaczliwy krzyk Aurelki wyrwał Julię z męczącego snu. – Mój kanarek! Julciu!

Gwałtownie wyprostowała się na fotelu i powiodła półprzytomnym wzrokiem wokół siebie. W szarej poświacie świtu zobaczyła dziewczynkę stojącą w samej koszuli obok otwartej klatki. W małych dłoniach dziecko trzymało martwego ptaszka.

## ROZDZIAŁ XII

*Lipiec 1888 roku, Królestwo Polskie*

*(...) To moja wina, Ciociu. Nie mogę sobie darować, że przypominałam jej o tym biednym kanarku! Nie chce zaakceptować faktu, że ptaszek odszedł, bo był już wiekowy, a nie dlatego, że przestraszył się piorunów. Stwierdziła, że to jeszcze gorzej, bo gdyby był młody, miałby mocniejsze serduszek. Wyrzuca sobie, że zostawiła go samego podczas tej okropnej burzy i to mu zaszkodziło. Nawet doktor Natejko nie zdołał jej przekonać.*

*Postanowiliśmy z panem Emilem pozwolić jej na uroczyste pogrzebanie ptaszka w ogrodzie. Wiem, że Ciocia też by poparła ten pomysł. Aurelka podeszła do sprawy bardzo poważnie. Zaprosiła Franka i syna pani Heleny Czetwińskiej – Wacka. Ucieszyłam się, że pani Helena nie protestowała przeciw „ takim fanaberiom”, jak zapewne powiedziałyby niejedna tutejsza ziemianka. Franek tak przejął się łzami Aurelki, że zrobił dla kanarka śliczne pudeleczek z deseczek i zakopaliśmy ptaszka obok słonecznego zegara w centrum ogrodu. Był obecny doktor i moja pokojówka Marysia, która przekonała Aurelkę, żeby nie ubierała się na czarno, bo to nie wypada, tylko na żółto, na cześć kanarka. Ochmistrzyni przygotowała później poczęstunek dla dzieci, a my z panią Heleną dyskretnie nad nimi czuwałyśmy. Mam tylko nadzieję, że wieści o tym „ pogrzebie” nie dotrą do księdza proboszcza, bo nie jestem pewna, jak by zareagował.*

*Tym bardziej że burza wyrządziła sporo prawdziwych szkód. Wielu ludzi ze wsi potrzebuje wsparcia. Rzeka wylała w kilku miejscach, podtopiła łąki i zniszczyła siano. Zagrożone są też żniwa, bo deszcz od dwóch dni pada nieprzerwanie. Pan Emil na szczęście nie poniósł szkód, ale sporo się najeździł po polach i okolicznych dworach, by pomóc innym.*

*Niestety, pożegnanie kanarka na niewiele się zdało. Aurelka co prawda przestała popłakiwać, ale wciąż jest smutna i zniechęcona. Ponieważ pogoda zmusiła nas do siedzenia w domu, starałam się znaleźć jej rozrywkę: szyłyśmy razem z pokojówką zimowe ubrania dla biednych dzieci, czytałyśmy na głos polskie książki (To niesamowite, że tutaj tak po prostu można je trzymać w swojej bibliotece!), ale to nie pomogło. Wczoraj wpadłam na pomysł, że potrzebne są jakieś radykalne zmiany.*

*Wiem, że to zbyt wcześnie, by jedenastoletnia dziewczynka miała już niemal paniński pokój, ale postanowiłam namówić do tego pana Emila. Liczę, że to pomoże jej spoważnieć i uwierzyć w siebie. To przecież jedno z jej wielkich marzeń: być dorosłą, pomagać ojcu i już nigdy stąd nie wyjeżdżać.*

*Pan Emil się zgodził i zamówił u stolarza nowe meble. Był nieco zdziwiony moim spostrzeżeniem, że jeśli dziewczynka ma wydorosnąć, trzeba ją zacząć traktować jak małą pannę, a nie jak dziecko. Zbyt długo wszyscy uważali ją tu za biedną małą pól sierotkę.*

*Moim zdaniem właśnie stąd wzięły się jej problemy – najpierw była wypieszczonym dzieckiem, a potem nagle ją wyrwano z domu i musiała się odnaleźć w zupełnie nowym miejscu, między obcymi ludźmi.*

*Myślę, że Ciocia miała rację: Aurelce nie posłużyłaby żadna pensja i tylko nabawiłaby się problemów z nerwami. Tak się czasem zdarza, bo przecież każde dziecko jest inne. Dlatego chcę, by nauczyła się być samodzielna, pewna siebie. Muszę się zastanowić nad tym, jakie obowiązki można jej powierzyć, by zaczęła się czuć potrzebna.*

*Z pomocą służby uporaliśmy się z pakowaniem niepotrzebnych rzeczy, choć ochmistrzyni nieco wydziwiała na nowe porządki. Zauważyłam jednak, że Aurelka nie czuje już przywiązania do swoich zabawek, a to dobry znak. Nie poprawiło to jednak jej nastroju ani apetytu. Ochmistrzyni dogadza Aurelce, jak może, lecz bez większych efektów. Zapewne dlatego patrzy na mnie niczym na zbrodniarkę. Może gdy nadejdą nowe meble, Aurelka ucieszy się i w końcu zapomni?*

*Jak rozweselić takie smutne dziecko? Co by Ciocia zrobiła na moim miejscu...*

– Jak rozweselić smutne dziecko? – mruknęła Barbara, odkładając list na biurko. – Zupełnie

jakbym słyszała samą siebie sprzed kilkunastu lat. Na szczęście problem Aurelki nie jest tak poważny, jak był twój, Julio. Ty straciłaś wszystko, ona tylko ulubione zwierzątko... Ulubione zwierzątko? – Wyprostowała się na krześle, tknięta nagłą myślą. – To nie jest zły pomysł, tylko bardzo trudny do zrealizowania. Włodziowo! – krzyknęła lekko podniesionym głosem w stronę drzwi, ale w tym momencie złapał ją atak kaszlu.

Gdy służąca pojawiła się w drzwiach gabinetu z tacą w dłoniach, wstrząsana kaszlem Barbara właśnie usiłowała nalać sobie syropu na łyżeczkę.

– Pani da, ja to zrobię – mruknęła starszuszka gniewnie. – A mówiłam, że się pogorszy, jak będzie pani tak ślęczała po nocach nad tym pisaniem? Kto to widział, tak zdrowia nie szanować? Odpoczywać trza, doktor przecie mówił!

Wyjęła jej z rąk buteleczkę i odmierzyła lekarstwo. Zanosząca się od głębokiego kaszlu Barbara z trudem przełknęła syrop, po czym opadła bez sił na szeszlonek.

– O Boże – szepnęła, wycierając chusteczką łzy, które napłynęły jej do oczu.

– Teraz to „Boże”. Kiedy już tchu złapać nie można i sił brak, to teraz „Boże” – marudziła Włodziowa, nalewając ziółek do filiżanki. – Ale odpocząć to nie ma komu. Leczyć się nie ma komu. I to niby prosty człowiek ma mniej rozumu od jaśnie państwa? Niech Barbara pije, a powoli, bo gorące.

– Co to?

– Rumianek z prawoślazem. Kupiłam na targu, bo te leki to, coś widzę, nie pomagają. Własną duszę niedługo pani wypluje.

– Ależ skąd. To zwykłe przeziębienie.

– A ja jestem cysorz chiński. Przecie słyszę, że pani nie śpi po nocach i ciągiem chyrla. Wypoczywać trza, jeść dobrze, a najlepiej wyjechać gdzieś na powietrze! – Aż tupnęła nogą, jakby wydawała polecenie krnąbrnemu dziecku. – A nie ino pracować. Doktor już dawno zalecał. A tu jesień niedługo, plucha, wilgoć, zimno. Będzie ino gorzej.

– Właśnie. Trzeba na opał zarobić, kochana Włodziowo – szepnęła zmęczona Barbara. – Ty jedna wiesz, dlaczego nie mogę wyjechać.

– Dlaczego?

– Bo ludzie pomyślą, że uciekłam przed wierzycielami. A ja przed nikim nie uciekam.

– Jakimi znowu wierzycielami?

– Masz wielkie serce, ale przede mną nie musisz udawać. Wiem, że zapożyczyłaś się u dostawców, byle było co do garnka włożyć. To są moje długi. Nie jedyne, niestety.

– No skoro pani Barbara wie, to nie będę kręcić. I na co pani była ta nieszczęsna księgarnia? Za bardzo pani ufa ludziom.

– Tego się już nie cofnie, kochana Włodziowo. Najważniejsze, że nie ma gorszych kłopotów. Pieniądze na długi jakoś się zarobi.

– Przecie pan mecenas gadał ostatnio, że na parcelę po naszym domu znalazł się w końcu kupiec.

– Owszem, ale wciąż jeszcze czekam na pieniądze. Gdy wreszcie je dostanę, odpocznę.

– Nie uwierzę, póki nie zobaczę.

– Och, ty mój niewierny Tomaszu. – Westchnęła z uśmiechem. – Obiecuję. Poza tym wcale nie pracuję po nocach, tylko czytam dla przyjemności. Przez ten kaszel i tak spać nie mogę.

– Czyta... Po cóż to cudze książki czytać, kiedy samemu się je pisze, co?

Barbara uśmiechnęła się rozbawiona.

– Trzeba, moja droga, trzeba czytać jak najwięcej książek. To ćwiczy umysł i język. Zresztą teraz mam inną lekturę, równie ciekawą. – Machnęła ręką w kierunku biurka.

– Niby to? – Służąca spojrzała krytycznie na oprawiony w paśowy safian gruby pamiętnik.

– Diariusz jednej z moich dalekich krewnych. Fascynująca opowieść o dziejach naszej rodziny.

– I na to pani marnuje oczy po nocach? Czy to warto?

– Cudze życie, Włodziowo, zawsze wydaje się ciekawsze niż nasze własne. Może kiedyś napiszę na tej podstawie kolejną powieść?

– Ale przecie... Ja jestem ino prosta służąca i nie znam się, ale chyba brzydtko tak cudze sekrety



czytać. A jeszcze pisać o nich do ludzi, to grzech.

– Ma Włodziowa rację, brzydko i grzech. Chyba że właściciel pamiętnika sam o to poprosił.

Służąca wzruszyła ramionami, nie zamierzając drażnić tematu, który jej nie interesował. Dopiero w tej chwili zobaczyła rozłożony list.

– Od naszej Julci?

– Owszem. Elżunia przyniosła przed wieczorem.

– I cóż tam pisze moja panienska? Dobrze jej tam? Tęsknica ją nie gniecie?

– Niech się Włodziowa nie martwi, Julka da sobie radę. To mądra dziewczyna i nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać. – Westchnęła zmartwionym tonem niosącym zupełnie przeciwne znaczenie niż słowa.

– To dobrze. Bom trochę miała wyrzuty sumienia. Serce się rwie do naszej panienski, a ona taki kawał świata stąd. Biedactwo.

– Jakie wyrzuty sumienia?

– Aaa... – Służąca się zmieszała. – A nic, tak sobie. Będzie pani słać odpowiedź do panienski? – Zerknęła na Barbarę z niepewną miną.

– Tak. Jutro odpiszę. Dziś może uda mi się zdrzemnąć. Przyniesie mi Włodziowa do sypialni herbaty z miodem?

– A przyniesie, przyniesie. Dobrze to pani robi.

– Aha, czy widziała Włodziowa dzisiaj kota Julii?

– Co miałam nie widzieć? Inom się odwróciła, a pół kotleta mi zeżarł, łajdak. Dostał za to ścięgą po tym czarnym łbie. Od kiedy panienski nie ma, rozbisurmanił się, że słów brak. Wyrzuciłabym toto na bruk i byłby spokój.

– Broń Boże. Niech go Włodziowa dobrze karmi, żeby nie uciekł.

– Tego łapserdaka? A po co?

– Może znajdzie się jakaś rada na niego. – Barbara uśmiechnęła się tajemniczo.

– Jak tam pani chce. Aha, ja tu jeszcze mam cosik.

Sięgnęła do jednej z przepastnych kieszeni fartucha i wyjęła plik poplamionych listów przewiązanych brudną wstążką, która kiedyś prawdopodobnie była zielona.

– Co to?

– Pogoniłam dzisiaj piekarniczkę do sprzątnięcia w pokojach po Zośce i Julci. Znalazła to w jakimś pudle. Skoro dziewczyn nie ma, trza było poprzykrywać meble i oporządzić wszystko przed zamknięciem pokoi. Po co ma się kurz gromadzić?

– Dlaczego Włodziowa nie nazywa Elżuni po imieniu?

– Kiedy zobaczę, że na porządną pokojówkę wyrosła, będę mówić, jak trza. Na razie to ino piekarniczką jest – mruknęła staruszka.

– Już dobrze, dobrze. Nie będę się wtrącać. I cóż to za listy? – Wyciągnęła rękę po pakunek.

– Tak mi się zdaje, że to się z pożaru uratowało, bo pudło miało plamy z mokrego. Pewnie ktosik wrzucił na szafę i tak se leżało zapomniane. Tam jeszcze jakieś inne szpargały są, ale już w strzępach i przegnite, tom nie przynosiła na pokoje. Niech pani jutro do kuchni zajrzy, to powie, czy wyrzucić to pudło.

Barbara z ciekawością rozwiązała brudną wstążkę.

– Listy od mojego świętej pamięci brata! – Ucieszyła się. – A myślałam, że cała korespondencja się spaliła. – Poglądziła sfatygowane koperty. – Nawet Włodziowa nie wie, jaką mi radość sprawiła. Tak niewiele pamiątek zostało mi po nim. To już pięć lat... Dziękuję.

Spojrzała z wdzięcznością na służącą, która aż pokraśniała z zadowolenia.

– A proszę. Czyli że dobrze zrobiłam, zapędzając piekarniczkę do roboty? To pójdę już. Tej herbaty zrobię.

– Dziękuję, zaraz przyjdę do sypialni – mruknęła Barbara.

Gdy została sama, ze wzruszeniem przejrzała koperty. Nagle coś zwróciło jej uwagę. Spomiędzy papierów wyciągnęła list zaadresowany zupełnie innym pismem.

– Cóż to jest?

Pożółkła ze starości koperta z widoczną plamą na rogu była kiedyś starannie otwarta nożykiem do listów. Adresatem nie była jednak Barbara.

– Julia Zarzewska – szepnęła. – O Boże! To ten list, który przyszedł od Henryka.

Mimowolnie zarumieniała się ze wstydu, przypominając sobie występki, jakiego się wtedy dopuściła: nie tylko z premedytacją przeczytała cudzą korespondencję, ale także postanowiła ukryć ją przed wychowanką. Uznała, że jako opiekunka ma do tego prawo. Postanowiła w bliżej nieokreślonej przyszłości, gdy Julia dorośnie, pokazać jej ostatni list od ojca, ale nigdy tego nie uczyniła.

Bała się, że Julia znów będzie cierpiała. Myślała nawet o tym, by go zniszczyć, nie miała jednak odwagi. Pożar, który strawił większość papierów z jej domu, wybawił ją z tego kłopotu. Tak przynajmniej sądziła do tej pory.

– Los bywa naprawdę przewrotny – szepnęła z odrobiną strachu w głosie. – Pożoga strawiła pół miasta, a ocaliła kawałek papieru, który jest prawdopodobnie jedynym dowodem na grzech Henryka.

Rozłożyła list. Okazał się częściowo nieczytelny – w kilku miejscach woda rozmazała atrament, tworząc brzydkie zacieki. Jednak mimo wszystko wciąż dało się odczytać słowa, które Barbara zobaczyła po raz pierwszy przed osiemnastoma laty.

*Droga Julio!*

*Opuszczam właśnie Kair. Piszę list w drodze, bo muszę skończyć, nim wrócą dreszcze. Ostatnio czuję się źle i mam obawy, czy nie nadchodzi kolejny atak malarii.*

*Wyruszam do Indii, by zatrzeć za sobą ślady. Jeśli zdrowie mi pozwoli, napiszę stamtąd do Ciebie w pewnej bardzo poufnej sprawie, ale o tym później. Muszę najpierw znaleźć zaufanego kuriera, a to nie będzie łatwe.*

*Niedawno skończyłaś sześć lat. Jesteś już zatem na tyle dużą panienką, by pojąć wagę pewnych spraw. Słuchaj uważnie, bo od tego zależy Twój dalszy los.*

*Nie mogłem się z Tobą kontaktować, bo nie chciałem, by to naprowadziło hrabiego na Twój trop. Mam swoje metody, by się dowiedzieć, że żyjesz spokojnie i bezpiecznie. Moja krewna chroni Cię, jak mi obiecała, i jestem jej za to wdzięczny. Tylko u Barbary mogłem Cię ukryć przed Hermanem, bo nie przyjdzie mu do głowy, że mógłbym Cię powierzyć osobie, z którą od lat byłem śmiertelnie skłócony z powodu mojej biednej Siostry. To jednak zupełnie inna historia i mój kolejny błąd.*

*Wiem, że Herman wciąż mnie szuka, a raczej Ciebie, bo sądzi, że zabrałem Cię ze sobą. Celowo rozpuściłem takie pogłoski wśród znajomych. Z tej właśnie przyczyny muszę tak dużo podróżować. Hrabia jest zawzięty, mściwy i cyniczny. Wybór, przed jakim mnie postawił: majątek albo córka, mówi o nim wszystko. Twierdził, że chce jedynie dobra swojej siostrzenicy, ale zamieniłby Twoje życie w piekło. A nawet gdyby miał w piersi serce zamiast kawałka lodu, nigdy nie oddałbym Cię temu Prusakowi.*

*Zostawiam za sobą mylne tropy, dzięki temu jego detektywi szukali Cię już na pensjach w całej Europie i oczywiście nic nie wskórali. Zacieram ręce, kiedy myślę, ile pieniędzy musi wydać na próżno ten łajdak na opłacanie swoich szpiegów. Teraz mam nadzieję pociągnąć ich za sobą aż do Indii.*

*Herman nie ma do Ciebie żadnych praw, ale mógłby mnie szantażować. Przebiegły to człowiek, żądny zemsty za upokorzenia, jakie musiał przez lata znosić od swojego ojca, który zawsze stawiał córkę – moją ukochaną Żonę – na pierwszym miejscu przed synem. Herman zniechęcił się do Adele, więc nawet Jej śmierć wykorzystał, by się na nas mścić. Za wszelką cenę chciałby mnie widzieć u swoich stóp i na złość przejąć nad Tobą opiekę, tak jak przejął nasz majątek. Ale Zarzewscy nigdy nie kłaniali się wrogom, tylko patrzyli im prosto w oczy, nawet w obliczu śmierci. Tak będzie i ze mną.*

*Uzgodniłem z Barbarą, że gdy mnie zabraknie, Twoim prawnym opiekunem zostanie jej brat. To ugodowy człowiek, nie będzie się do Was w żaden sposób wtrącał. Dzięki temu Barbara zapewni Ci spokój i dobrobyt, a Ty pozostaniesz nietykalna. Wszystko, co zdołałem ocalić, należy (...)*

*Jesteś ostatnią z rodu Juliana Zarzewskiego i pragnę, byś szanowała pamięć swoich przodków, bo (...)*

*Nie proszę o przebaczenie. Uczyniłem to, co uznałem za najlepsze. Przyznaję jednak, że byłem ślepy na pewne sprawy w pałacu i o mały włos nie doszłoby do kolejnej tragedii. Dlatego Twoje*

*bezpieczeństwo i spokój są teraz dla mnie najważniejsze. To zadośćuczynienie za (...)*

*Moje życie także nie było łatwe, ale Zarzewscy nigdy nie skarżą się głośno na swój los. Sami załatwiamy swoje porachunki, mamy to we krwi. Żałuję jedynie dwóch spraw – że ze względu na pamięć Adeli nie mogłem wyzwać na pojedynek Jej brata, bo zabiłbym łajdaka i teraz mielibyśmy spokój. Oraz że przed laty zdradziłem i opuściłem Twoją matkę.*

*Dochodzę wreszcie do sedna, choć nie wiem, jak ująć to w słowa. Musisz mi uwierzyć, że naprawdę kochałem Twoją matkę, Julio, choć zapewne pomyślisz, że ją skrzywdziłem. Nie mogłem jednak postąpić inaczej. Zrozumiesz to, gdy dorośniesz. Moje uczucia wobec Adeli przerastały mnie samego, byliśmy jak ogień i woda, rozpalając się i gasnąc na przemian, przyciągając się i odpychając jak siły magnetyzmu. Nikt nie umiałby zapanować nad takimi żywiołami.*

*Ludzie mówili, że ożeniłem się z Adelą dla pieniędzy Jej ojca, ale w to nie wierz. To małżeństwo było przeznaczeniem, jakby ktoś spętał nam dusze zaklęciem. Dopiero gdy Ją poznałem, zrozumiałem przyczynę młodzieńczego szaleństwa mojego ojca. Widocznie Zarzewscy tak już mają.*

*Adela wydobywała ze mnie uczucia, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Chwilami nawet mnie to przerażało. Była jak ptaszek ze złamanym skrzydłem, który upadł wprost w moje ręce i ufał, że mu pomożę. Ona jedna kochała mnie ślepo i wierzyła mi bezgranicznie, choć trudno mi pojąć, czym sobie na to zasłużyłem. Wystarczyło jedno spojrzenie Jej anielskich oczu, a ja wiedziałem już, że przepadłem na wieki. Wola Jej ojca mogła zanieść mnie do raju albo strącić do piekła. Doprawdy nie wiem, jak to się stało, że mnie – zubożalego uciekiniera z Galicji, stary hrabia uznał za godnego ręki jego córki. Ale stało się.*

*Jedyne, czego chciałem w życiu, to chronić Ją i uszczęśliwiać za wszelką cenę. Przykro mi, Julio, że stałaś się częścią tej ceny, lecz nie mogłem postąpić inaczej. Adela tak bardzo pragnęła dziecka, że postanowiłem (...)*

*Gdybym umiał się wstydzić swoich postępów, żałowałbym tego, jak potraktowałem Twoją matkę, ale nie umiem. Tak się po prostu stało. Powtarzam: kochałem ją i wiem, że ona też mnie kochała po swojemu. Ale przyznaję, że ją zraniłem, zawiodłem jej zaufanie, odwróciłem się od niej w najgorszym momencie. Uważałem, że, ukrywając prawdę, chronię także i ją, ale chyba stałem się przyczyną jej zguby.*

*Nie sądziłem, że kiedykolwiek trzeba będzie ujawnić te fakty, jednak Twoje bezpieczeństwo jest ważniejsze niż rodowa duma. Jeśli to miałyby uratować Cię przed niewolą u Hermana, chcę, byś poznała prawdę, choćby najtrudniejszą. (...)*

*Zabezpieczyłem Cię prawnie, ale nigdy nie wiadomo, co wymyśli ten szczywany lis. Dlatego zachowaj ten list jako dowód prawdziwości moich słów, ale nikomu go nie pokazuj, nawet Barbarze. Dopóki hrabia Cię nie znajdzie i nie wysunie żadnych roszczeń, list niech pozostanie w ukryciu. Spal go, gdy dorośniesz.*

*Jesteś już na tyle duża, że powinnaś (...)*

*Choć tyle jestem jej winien. Masz jej oczy, dlatego nie lubiłem, gdy na mnie patrzyłaś (...) to było jak wyrzut. (...) Adela była przecież tak czułą i troskliwą matką dla Ciebie (...) starała się (...)*

*Nigdy nie pogodzę się z Jej śmiercią. Dopiero w podróży przekonałem się, że każde miejsce na świecie bez Niej jest takim samym piekłem. Od kiedy Jej nie ma, nie istnieje już dla mnie żaden dom czy ojczyzna, zniknął raj, zostały tylko zgliszcza, jak po naszym starym dworze. Być może zasłużyłem na taką karę... Bez Ciebie jest tu coraz zimniej, moja ukochana Adelo...*

Ostatnie zdania napisano już niewyraźnym maczkiem, krzywo i prawie nieczytelnie, a długa kreska zakończona kleksem wyraźnie sugerowała, że dłoń trzymająca pióro opadła bez sił na papier listowy.

Barbara wpatrywała się w to miejsce, myśląc o Henryku, którego w tym właśnie momencie dopadł wycieńczający atak malarii. Wiedziała o tym od jego kamerdynera, który spakował później rzeczy Henryka, niedokończony list włożył do zaadresowanej wcześniej koperty i przesłał wszystko do Barbary wraz z informacją o śmierci „jaśnie wielmożnego pana Henryka Zarzewskiego, który życzył sobie być pochowanym na obcej ziemi”.

– Nie wszystko jest czytelne, ale jednak miałam rację – mruknęła półgłosem. – Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie... Biedny Henryku. Coś ty chciał zrobić? Jeśli to nie było majaczenie chorego człowieka, to jak mogłeś napisać taki list do sześciolatniej dziewczynki? Czy nie dość wycierpiała? Tłumaczy cię wyłącznie gorączka.

Przypomniała sobie moment, gdy Henryk przywiózł do niej chorą Julię i oznajmił, że powierza jej opiekę nad tym dzieckiem. Pełen żalu i gniewu, z szaleństwem w oczach, nie tłumaczył się właściwie z niczego. Oświadczył jedynie, że w imię obowiązku wobec krwi Zarzewskich oboje z Barbarą muszą za wszelką cenę ochronić Julię przed Hermanem. Barbarze nie udało się z niego wydobyć zbyt wiele informacji. Spędził w jej domu zaledwie pół godziny, niechętnie opowiadając o ostatnich tragicznych wydarzeniach, po czym natychmiast wyjechał, znikając z jej życia na zawsze. Nigdy więcej ani ona, ani Julia już go nie zobaczyły.

„Odziedziczyłeś po swoim ojcu i dziadku tę przeklętą dumę, która nawet w chwili śmierci nie pozwala żałować za swoje postęпки – pomyślała ze smutkiem. – A przecież zawiodłeś wszystkie kobiety swojego życia: i żonę, i siostrę, i córkę. Nawet tę nieszczęsną kobietę, jeśli rzeczywiście miałeś z kimś romans. Być może umiałeś kochać, ale zaiste dziwna i niebezpieczna to miłość, skoro niosła głównie łyzy”.

Starannie złożyła na powrót mocno sfatygowany list i wsunęła go do koperty. Po chwili wahania ukryła papier w zamykanej na kluczyk szufladzie biurka.

„Muszę pomyśleć, co z tym zrobić. Skoro Julia jest dorosła, powinnam spalić ten list. To nie jest żaden dowód, ale samo podejrzenie mogłoby zniszczyć jej przyszłość. Nieślubne dziecko Zarzewskiego? Nie! Nie pozwolę jej skrzywdzić. Wybacz mi, Boże, tak okropne myśli! – Westchnęła ciężko. – Ale jeśli Henryk nie majaczył, to mam nadzieję, że tamta nieszczęsna kobieta, kimkolwiek była, odeszła już w spokoju na niebieskie łąki. Tak zapewne byłoby lepiej dla wszystkich”.

\* \* \*

– Są listy. – Elżunia postawiła na kuchennym stole srebrną tacę z korespondencją Barbary. – Do panny Julii i do panny Zofii.

– O dobrze. Daj. – Włodziowa zerknęła na niedomknięte drzwi i szybkim ruchem zgarnęła dwie koperty, po czym schowała je do szuflady.

Młoda służąca spojrzała na nią z konsternacją.

– A kiedy mam iść na pocztę?

– Nie dziś, jutro. Ale jakby pani Barbara pytała, powiesz, że listy już poszły.

– Jakże to?

– A tak. Co to, języka w gębie ci brakuje?

– Ale to będzie kłamstwo!

– W słusznej sprawie to nie kłamstwo – burknęła staruszka, ale widząc nieszczęśliwą minę pokojówki, westchnęła. – Dla dobra naszej pani to robię.

– Jak to?

– Służysz tu nie od wczoraj, to chyba widzisz, że pani zapada na zdrowiu. Trza jej pomóc, skoro sama zatroszczyć się o siebie nie potrafi. Dlatego chcę napisać do naszej panienki, jak się sprawy mają. Może Julcia coś na to poradzi. Już zaczęłam, ale pisanie tak łatwo mi nie idzie. – Skrzywiła się lekko. – Czasu potrzebuję. Adres do panienki se odpiszę i jutro zanieiesz wszystko razem. Ja pieniądze dam.

Dziewczyna skinęła głową.

– Mądrze pani ochmistrzyni to wymyśliła. Mnie też skóra cierpnie, jak słyszę ten kaszel. Pewnie, że jutro polecę – stwierdziła gorliwie. – A jeśli pani ochmistrzyni chce, to jeszcze z gabinetu ładną kopertę przyniosę po cichu. Przecie do panienki list, to nie grzech wziąć.

– O! I wreszcie mówisz jak wierna sługa. Dla dobra swojej pani czasem trza nawet zgrzeszyć.

Idź teraz do naszego ślepcy pod kościół, bo bułeczki maślane już ostygły. I ten stary koc, com go w przedpokoju naszykowała, weź i daj mu. Ranki coś ostatnio chłodne.

W tym momencie w drzwiach kuchni pojawił się służący Jakub z naręczem drzewa.

– Narąbałem na dwa dni. – Rzucił drewno w kącie. – Zaraz wody do beczki naniese i idę. Dziś u rejenta mam jeszcze służbę.

– Dobrze, niech Kuba robi, co trza.

– Aha, miałem rzec, że tam przy furtce czeka ten żebrak spod kościoła. Usilnie prosi, by mu dać porozmawiać z jaśnie panią.

– Czeka? Tutaj?

– Ano. Zdenerwowany, że aż mu się ręce trzęsą. Alem nie wpuścił do ogródka, bo nie wiem, czy pani ochmistrzyni temu rada.

– Niech Kuba go wpuści. Może coś się stało i trza pomóc człowiekowi.

Obie z Elżunią wyszły zaciekawione za próg i od razu zobaczyły kuśtykającego w ich stronę starca podprowadzanego przez Jakuba.

– Cóż to się stało, że tak z rana do nas przychodzicie? – rzuciła w jego stronę Włodziowa. – Ukrzywdził kto? Psami poszczuł?

– A gdzie tam, nie o mnie idzie – wysapał zdenerwowany staruszek, zwracając puste spojrzenie w stronę jej głosu. – Do jaśnie wielmożnej pani muszę, tej, co książki pisze. A chyżo!

– Pani jeszcze śpi. I bez obrazu, ale na salony przecie was nie wpuszczę. Mówcie, w czym rzecz, a ja sama wieści zaniesę.

– Uprzedzić trza, ratować!

– Kogo?

– No przecie tę śliczną pannę, co tu u was mieszkała.

Włodziowa aż się przeżegnała.

– Jezus Maria. Co też opowiadacie? Jak to: ratować?

– Mówię, co widzę. A ostrzegałem już wcześniej, ino kto by tam żebraka słuchał!

– Jak to: widzicie? – wyrwało się Elżuni, którą Włodziowa zgromiła wzrokiem.

– Zło się czai przy pannie. Ludzkie języki miela, a zło ino podsłuchuje. Chodzi, śledzi, podgląda – mówił ślepiec jak w transie, z wyciągniętą przed siebie drżącą ręką, jakby mógł nią dotykać niewidocznych obrazów. – Zło się boi naszej panny, a im bardziej się boi, tym większa jego siła i szaleństwo. Trza pannę ratować, bo zło już ino czeka, by ukąsić jak wściekły pies. Niech panna co rychlej wraca do domu! Póki czas! Niech się strzeże wody i ognia! – sapnął i opuścił rękę, jakby nagle opadł z sił.

W ogrodzie zapanowała cisza.

– Matko Przenajświętsza, co też wygadujecie? – odezwała się wreszcie zdenerwowana Włodziowa. – Takie rzeczy!

– Ja ino radzę. Ostrzec trza tę pannę, bo ona bardziej ślepa niż ja.

– Ostrzec? Przed czym?

– Nie wiem. Widzę ino czarną smugę jak z dymu, która do panny się zbliża. I niedługo ją ogarnie.

– Dajcie już spokój! I nie powtarzajcie tego nikomu. Boże drogi, żeby z samego rana takie rzeczy wygadywać... Jakub zaprowadzi was na ławeczkę w ogrodzie, to se oddychnicie, a Elżunia wyniesie coś do zjedzenia. Ja muszę... muszę... – Włodziowa nie mogła zebrać myśli, spoglądając z niepokojem na żebraka, jakby był istotą nie z tego świata. – Trza się zastanowić.

Odwrociła się i bez słowa poszła do kuchni.

– Pani ochmistrzyni mu wierzy?

– A mnie skąd wiedzieć, dziecko? – Westchnęła ciężko i klapnęła na krzesło. – Ludzie różnie gadają o tym ślepcu. Jedni mówią, że wariat, inni, że to pobożny i niezwykły człowiek.

– Ale jak to naszej pani powiedzieć? – spytała przejęta Elżunia. – Zmartwi się.

– Zataić nie można. Gdyby, co nie daj Boże, nieszczęście jakie się przytrafiło... Tfu! Co ja pletę?!

Weź tacę i chodź.

\* \* \*

Barbara nie spała już od świtu. Siedziała w łóżku oparta o wysoko ustawione poduszki i czytała pamiętnik Leonii Laskowicowej, który Emil powierzył jej dwa miesiące temu.

Początkowo nie miała zamiaru ulec jego prośbie, bo lektura czegoś tak intymnego jak cudzy pamiętnik wręcz nie mieściła się jej w głowie. Ostatecznie dała się jednak przekonać, choć sama nie wiedziała, czy uległa perswazji, czy raczej błagalnemu spojrzeniu zza binokli, któremu nie potrafiła się oprzeć.

– Proszę cię, kuzynko – przekonywał ją podczas niezapowiedzianych odwiedzin. – Od dwóch lat czuję ciężar na sumieniu, że nie wypełniłem ostatniej woli mojej matki. Staralem się – wyznał zakłopotany. – Ale ilekroć zabieram się za tę lekturę, czuję się nieswojo. Doprawdy trudno mi pojąć, dlaczego tak się upierała, żebym to przeczytał. Może chodziło o losy naszych przodków, które przy okazji opisała? Jednak codzienność jej życia... To zbyt krępujące. Synowi doprawdy nie wypada czytać takich wyznań.

– Też się dziwię – mruknęła Barbara. – Jesteś pewien, że dobrze ją zrozumiałeś?

– Oczywiście. To była jej ostatnia prośba. Biedna matka. – Westchnął. – Była zdenerwowana, mimo że właśnie wyszedł od niej ksiądz i powinna być spokojna po spowiedzi. Nie mogła już zbyt wyraźnie mówić, ale ostatkiem sił kazała sobie podać te pamiętniki. Wyszepiała: „Wszystko spisałam. Przeczytaj koniecznie i wybac mi, synku”. Chwilę później straciła przytomność, a wieczorem umarła.

– Bardzo mi przykro. Z serca chciałabym pomóc, Emilu, ale to przecież nie wypada. Jakże bym mogła?

– Błagam cię. Jesteś jedyną kobietą, którą mogę z pełnym zaufaniem poprosić o taką przysługę. Aurelka... – Zawahał się. – Aurelka wyznała mi, że babcia odwiedza ją czasem w snach, ale zawsze jest bardzo smutna. Proboszcz jej powiedział, że to prośba o modlitwę. To mnie dręczy. Wiesz, że jestem człowiekiem interesu, na życie patrzę trzeźwo, ale już sam nie wiem, co o tym myśleć.

– Może właśnie Aurelka jest rozwiązaniem?

– Co masz na myśli?

– Wystarczy poczekać, aż dorośnie i wyjdzie za mąż. Wtedy poprosisz ją, by wypełniła za ciebie wolę Leonii.

– Aurelka ma dopiero jedenaście lat. Czy wolno mi zwlekać tak długo?

– To rzeczywiście dylemat.

– Basiu, wierzę, że matka nie miałaby nic przeciwko temu, żebyś mi pomogła. Znała cię przecież, lubiła. – Energicznie wziął ją za rękę. – Proszę. Bez tego nie zaznam spokoju. Matka prosiła mnie o wybaczenie i otrzymała je, ale do dziś nie wiem, co miała na myśli.

– Może chodziło o tamtą sprawę z Zarzewskimi? Sam wiesz – zasugerowała nieśmiało. – Nie stanęła wtedy po twojej stronie, wręcz przeciwnie.

– Nie sądzę. Wyjaśniliśmy to sobie po moim powrocie z powstania. Matka wiedziała, że długo nosiłem w sercu żal do niej, ale przeszłości nie dało się odwrócić. Na wszystko było już za późno... – Zamyślił się na krótką chwilę. – Musi chodzić o coś innego. Zastanawiałem się nad tym, niczego jednak nie wymyśliłem. Błagam, przeczytaj te pamiętniki, bo nie zaznam spokoju! Jeśli trafisz na fragmenty, które będą jakąś wskazówką, zawiadomisz mnie, a ja natychmiast przyjadę.

Barbara doskonale rozumiała obiekcje Emila. Mimo że wspomnienia jego matki stanowiły wspaniałe źródło wiedzy o rodzinnej historii sięgającej nawet kilku pokoleń wstecz, zawierały także wynurzenia i spostrzeżenia na tyle delikatnej natury, że syn mógł się czuć więcej niż skrępowany lekturą

takich wyznań.

Zakasała, osłaniając usta białą dłonią, po czym przewróciła kolejną stronę zapisaną drobnym, kobiecym pismem. Przez otwarte okno docierały do niej niewyraźne pojedyncze słowa rozmowy, która toczyła się gdzieś w ogrodzie, ale nie zwróciła na nie uwagi. Od długiego czasu przebywała w innym świecie – w galicyjskiej posiadłości Laskowiców, która z małego ubogiego folwarku rozrastała się w piękny majątek najpierw pod rządami Kazimierza, a później jego wcześniej owdowiałej żony – Leonii.

Na początku Barbara nieco dziwnie się czuła, czytając o wydarzeniach, które znała z opowieści matki oraz babki. Jednak natura pisarki szybko zwyciężyła. Dzień po dniu, w każdej wolnej chwili zachłannie i bez żenady podglądała życie Leonii, jakby była ona kolejnym doskonałym materiałem na bohaterkę literacką. Dotarła właśnie do czasów, gdy młody Emil przysporzył matce wielu zmartwień i przeplakanych nocy, trafiając jako powstaniec do rosyjskiej niewoli.

„Biedna pani Leonia – pomyślała. – Popełniała błędy jak każdy z nas, ale matką była niezwykle oddaną”.

Lekturę przerwało jej pukanie do drzwi.

– Proszę.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. To pani już nie śpi?

Do środka wkroczyła Włodziowa, a tuż za nią wsunęła się Elżunia z tacą wypełnioną smakołykami.

– Jest herbata lipowa i świeżuśkie maślane bułeczki. Czy pani Barbara zje dziś w łóżku? Masło pachnące nam też wyszło, bo dobrej śmietany udało mi się dostać. Tłuściutkiej.

– Na wieki wieków – odparła zaskoczona trajkotaniem staruszki. – Niech Elżunia postawi tacę na stoliku. Zaraz wstanę.

– A może jeszcze konfitury do bułeczek przynieść? Jeść trzeba dużo i zdrowo, żeby siły wracały. Doktor kazał. No rusz się, dziewczyno, i podaj jaśnie pani peniuar!

– Nie trzeba. Wstanę za chwilę, chcę tylko coś doczytać.

– Herbata ostygnie. Zimną pani będzie pić?

– Włodziwo, co się stało?

Bezbłędnie wyczuła, że coś jest nie w porządku, bo obie służące zerkały na siebie zmartwione i wyraźnie ociągały się z opuszczeniem pokoju.

– A bo to widzi pani Barbara, ten ślepiec spod kościoła, co mu pani domu szuka na zimę... – zaczęła zmieszana Włodziowa.

– Tak? Coś mu się stało?

– Nie. Był tu z rana. Przyniósł nowinę. Gadał, że to bardzo ważne.

– Niech Włodziowa powie, w czym rzecz.

– Bo, proszę jaśnie pani, on przyszedł nas ostrzec, że pannie Julii grozi niebezpieczeństwo. Że coś na nią czyha – wtrąciła się niecierpliwie Elżunia.

– Słucham?

– Cicho, po co się odzywasz? – syknęła staruszka. – Nie ma co ukrywać, pani Barbaro, że tak gadał. Może by napisać do jaśnie pana Laskowica, żeby lepiej pilnował naszej panienki? Albo żeby wracała. Bo jakby tak coś się stało, to do końca życia bym sobie nie darowała.

– A cóż takiego miałoby się stać?

– No... Tego nie wiemy. Ślepiec powiedział: „Niech się strzeże wody i ognia”. I mówił, że widział, jak cień idzie ku naszej panience.

– Cień?

– Cień.

– Widział go? Ślepiec?

– Niech pani Barbara nie patrzy na mnie jak na dziecko. Ja tego przecie nie wymyśliłam – burknęła staruszka, słysząc powątpiewanie w jej głosie.

– Oj, kobiety, kobiety – westchnęła. – Gdyby coś było nie w porządku, mój kuzyn na pewno już dałby mi znać. Solennie obiecał o wszystkim mnie informować.

– A może on nie wie? Uprzedzić go trza.

– I co mu napiszę? Żeby strzegł Julię przed cieniem, bo biedak spod kościoła tak powiedział?

– No to już jak pani Barbara uważa.

– Niech się Włodziowa nie irytuje. Dobrze, napiszę. Tylko muszę się spokojnie zastanowić, jak to ująć w słowa. A was proszę, żebyście nie rozpowiadały nikomu o tych rewelacjach. Zaraz nowe plotki się zaczną, jakby poprzednich było mało.

– O tym nam nie trza przypominać – obruszyła się Włodziowa. – Co to my, pleciugi jakie? – Z godnością wymaszerowała na korytarz, popychając przed sobą oszołomioną Elżunię.

– Obraziła się. Tylko tego mi brakowało – mruknęła Barbara. – Co się im roi w tych głowach? Jakbym za mało miała zmartwień... Trudno. Później ją jakoś udobrucham.

Z ciekawością wróciła do lektury pamiętnika, bo służące przerwały jej w dość dramatycznym momencie: pani Leonia opisywała właśnie swoją radość pomieszaną z rozpaczą po tym, jak otrzymała list od zaufanej osoby z informacją o miejscu uwięzienia młodego Emila. Korespondencja z jednej strony potwierdzała wieści, że syn naprawdę żyje, lecz z drugiej przynosiła niewesołe nowiny o braku możliwości uwolnienia go z rosyjskiej tury.

Barbara, pamiętająca własne obawy o jego los, pochłaniała kolejne fragmenty z wypiekami na twarzy, poznając szczegóły zdarzeń, o których nie miała wcześniej pojęcia.

Raptem na jej białym czole pojawiła się zmarszczka.

– Co takiego? – mruknęła do siebie zdumiona. – Napisała do niej list? Po co?

Z każdym kolejnym akapitem jej zdumienie rosło, a serce biło coraz szybciej.

– Przecież... To niemożliwe! – szepnęła z niedowierzaniem. – Absurd!

Niecierpliwym wzrokiem przebiegła jeszcze kilkanaście następnych zdań i nagle poczuła, że oblewa ją gorąco, a krew uderza jej do głowy. Zdenerwowanie aż ścisnęło ją za gardło. Zerwała się z łóżka i przełknęła kilka łyków wychłodzonej już herbaty.

– Włodziwo! – krzyknęła z lekką chrypką. – Elżuniu!

– A co to pani? Gorzej? – Stara służąca zjawiała się dość szybko.

– Niech Elżunia natychmiast pakuje moje kufry. Wyjeżdżam. Jak najszybciej!

– Dokąd?

– Do pana Laskowica.

– Chwała Bogu, że pani odzyskała rozum! – Westchnęła pod nosem Włodziowa i szybko zamknęła za sobą drzwi, jakby się bała, że jej pani zaraz zmieni zdanie.

Barbara nie miała jednak takiego zamiaru. Błada z emocji spojrzała na porzucony w pościeli diariusz jak na posłańca, który przyniósł bardzo złe wieści. Od natłoku kłębiących się w głowie myśli zrobiło się jej słabo.

– Jezus, Maria – szepnęła przerażona. – Jak ja mu to powiem?! Przecież... Nie, trzeba to koniecznie sprawdzić. Może zaszła jakaś pomyłka?... Coś ty zrobiła, Leonio? Jak mogłaś to zrobić własnej rodzinie?



## ROZDZIAŁ XIII

*Lipiec 1888 roku, Galicja Zachodnia*

– Aurelko, na pewno nie chcesz kompresu?

– Nie. Głowa już nie boli.

– To dobrze. Czoło masz chłodne, może teraz uda ci się zasnąć. A jutro wybierzemy się po śniadaniu na długi spacer, dobrze? – zaproponowała Julia. – Ruch dobrze ci robi.

Siedząc na skraju łóżka, czubkami palców głaskała dziewczynkę wtuloną w poduszkę.

– Może odwiedzimy opiekunów Franka? Sprawdzimy, czy są już przygotowani na przyjęcie jego siostry. Wspominałam ci, że wreszcie udało się zorganizować przyjazd Kasi?

Aurelka leżała bez ruchu z oczyma utkwionymi w ścianę.

– Też bym chciała mieć rodzeństwo, nie byłabym ciągle sama – mruknęła. – Zostanie u nas na zawsze?

– Kto? Kasia? Oczywiście. Twój ojciec ma jutro ważne sprawy do załatwienia w Krakowie, więc po drodze odbierze ją z sierocińca. Franek jest bardzo szczęśliwy, że znów będą razem. – Odczekała chwilę, by sprawdzić, czy jej słowa wywołają pożądaną reakcję, ale się zawiodła. – A zatem? Pójdziemy jutro spytać Dębiczów, czy niczego im dla dzieci nie brakuje?

– Znowu wyjeżdża – burknęła dziewczynka, jakby nie dosłyszała pytania.

– Kto?

– Papa. Nigdy nie ma dla mnie czasu.

– Przecież zaglądał tu niedawno.

– I zaraz poszedł.

– Aurelko... Nawet nie wiesz, jak dobrze cię rozumiem – szepnęła współczująco.

W jednej chwili przypomniała sobie własne dzieciństwo: krótkie poranne wizyty u rodziców, gdy należało dygnąć, życzyć im dobrego dnia i podsunąć czoło do pocałowania.

„Nie, w czoło całował mnie tylko ojciec – pomyślała. – *Maman* czasem muskała mnie w policzek, gdy była w dobrym nastroju. Miała usta delikatne jak skrzydła motyla i tak pięknie pachniała”.

– A dlaczego papa nie przyszedł do nas na kolację, tylko jadł w gabinecie? Cały dzień gdzieś chodził.

– Nie dąsaj się na ojca, to nie przystoi – odparła łagodnie. – Naradzał się z doktorem i rządcą, pewnie dlatego zanieiono im tam posiłek.

– Mogli porozmawiać później. Albo w jadalni przy nas. Lubię słuchać o gospodarstwie. I lubię być z papą.

– Wiem, kochanie.

– Czy on się na mnie gniewa?

– Za co? Za tego kanarka?

Dziewczynka milczała.

– Tyle razy ci tłumaczyłam, że nikt się na ciebie nie gniewa. Twój papa jak każdy dorosły człowiek ma mnóstwo obowiązków. Ostatnie deszcze wyrządziły sporo szkód, ktoś musi się tym zająć.

– Wszystko jest ważniejsze niż ja. Nawet kiedy jestem chora, nie ma dla mnie czasu.

Zaskoczona Julia aż się wyprostowała.

„Ach, to stąd się wziął ten nagły ból głowy i brak apetytu – domyśliła się. – Tak mi się zdawało, że coś tu jest nie w porządku. Oj, moja panno, muszę cię odczytać takich gierek”.

Niespodziewanie wpadł jej do głowy pewien pomysł.

– Wkrótce i ty będziesz miała sporo zajęć – oświadczyła poważnym tonem. – Wtedy zobaczysz, jak to jest, kiedy na wszystko brakuje czasu.

– Tak, wiem, nauka.

– Nie tylko. Mam na myśli przyjazd Frankowej siostry.

– Kasi?

– Oczywiście. Dlaczego się tak dziwisz? Jesteś córką dziedzica. Twój ojciec dba o pracowników, a ty powinnaś czuwać, by dzieciom na folwarku nie działo się krzywda. A zwłaszcza Frankowi i jego siostrze. Twój papa znalazł dla nich dobry dom, ale to nie wystarczy. Musimy dopilnować, żeby nikt im tu nie dokuczał, nie traktował jak obcych – przekonywała Julia.

Dziewczynka w końcu odwróciła się w jej stronę.

– Jak wtedy, gdy chłopskie dzieci wyśmiewały się z Franka, że jest znajdą?

– Opowiadał ci o tym?

– Nie, ale słyszałam rozmowę służących w warzywniaku. Mówiły, że w tej wiosce za rzeką było mu bardzo źle.

– Miały rację, ale na szczęście to już przeszłość. Teraz musimy obie dopilnować, żeby innych dzieci w okolicy nie spotkał podobny los. Trzeba uczyć ludzi, że każdy chory, samotny i słabszy zasługuje na szacunek i wsparcie. Pomożesz mi? Sama nie dam rady.

– Oczywiście, Julciu. Ale powiedz, dlaczego ludzie bywają tacy okropni dla innych? Przecież Franek im nic nie zrobił.

– Zadajesz trudne pytania – zafrasowała się. – Wydaje mi się, że niektórzy postępują po prostu bezmyślnie. Nie są źli i jeśli chcą, potrafią się zmienić. A inni... – Zawahała się, przypominając sobie przyjaciółkę Skrzeczyńskiej, która z uśmiechem na twarzy szkalowała pamięć jej rodziców. – Wydaje mi się, że czasem ci, którzy sami są w życiu nieszczęśliwi, szukają okazji, by skrzywdzić innych.

– Dlaczego?

– Może tylko tak umieją zamaskować swoją gorycz lub strach? A może wydaje im się, że gdy innych ludzi spotyka coś złego, to wtedy ich własny los się poprawia? Nie wiem, kochanie.

– Ksiądz proboszcz mówi, że krzywdy trzeba wybaczyć i zapomnieć. Ale mnie wciąż jest przykro, że koleżanki śmiały się za każdym razem, gdy coś mi się przydarzyło – wyznała zawstydzona dziewczynka.

– Po pierwsze, wybaczyć nie zawsze oznacza zapomnieć. Na pewno coś źle zrozumiałaś. Wybacza się rozumem i wolną wolą, a nad pamięcią czy uczuciami nie mamy kontroli. A po drugie, każdy ma prawo do obrony. – Wojownicza natura Julii zwyciężyła w tym momencie nad pedagogiczną intuicją. – Jeśli ktoś traci umiar w czynieniu zła, trzeba mu się przeciwstawić, by zrozumiał wreszcie swój błąd. Dlatego właśnie twój papa odebrał Franka tamtemu gospodarzowi. A teraz my dwie będziemy uważnie się przyglądać, czy jakieś inne dziecko w okolicy nie potrzebuje naszej pomocy.

– My dwie? Ja też?

– Oczywiście. Ale przede wszystkim zajmiesz się Kasią. Trzeba jej pomóc się tu zadomowić. Jest tylko dwa lata młodsza od ciebie, więc może nawet się zaprzyjaźnicie?

– Julciu?

– Tak?

– Chciałabym mieć przyjaciółkę, ale babcia Leonia nie pozwalała mi się bawić z dziećmi naszej służby ani z wioskowymi. Mówiła, że to panience nie przystoi.

– Byłaś wtedy małą dziewczynką, musiała cię chronić – wybrnęła dyplomatycznie. – Teraz jesteś dorastającą panną. Pora zacząć pomagać ojcu i uczyć się życia wśród ludzi.

– Naprawdę? Myślisz, że mogę?

– Tak. Ale na wszelki wypadek zapytamy twojego papę, co o tym sądzi. Choć nie wydaje mi się, by miał coś przeciwko robieniu dobrych uczynków.

– Cudownie! – W oczach dziewczynki błysnęła radość, ale szybko zgasła. – Nie zapytamy. – Znów odwróciła się do ściany. – Przecież papy ciągle nie ma w domu.

– Wiesz co? Ja się tym zajmę, a ty śpij spokojnie. Zobaczysz, jutro będzie piękny dzień.

Ucałowała dziewczynkę w policzek i, zdmuchnąwszy płomień w lampie, wyszła. Nie wróciła jednak do swojej sypialni. Przypuszczała, że pan Laskowic wciąż jeszcze pracuje, więc szybko przemierzyła nieoświetlone pomieszczenia dworu i przez nikogo nie niepokojona, dotarła pod drzwi

gabinetu. Zapukała.

– Proszę.

– Przepraszam, że przeszkadzam o tej porze, ale...

Na jej widok Emil zerwał się zza dębowego biurka.

– Ależ pani mi nigdy nie przeszkadza, panno Julio. Proszę usiąść. – Podsunął jej krzesło. – Czy Aurelka czuje się gorzej?

– Nie, już śpi. To był zwykły ból głowy – skłamała. – Chciałam jednak o niej porozmawiać.

– Znowu? – Zdziwił się rozbawiony. – Chyba o niczym nie zapomniałem? Zamówiłem już nowe meble, a szwaczka przyjedzie z sukienkami w przyszłym tygodniu, tak jak pani prosiła. Przywieźli też książki z miasteczka i te różne drobiazgi do ręcznych robótek, których potrzebują dorastające panienki. Spełniłem wszystkie pani życzenia. Czy mojej córce brakuje czegoś jeszcze?

Speszyła się. Pełne atencji zachowanie mężczyzny wciąż ją onieśmiało, dlatego niełatwo było jej wyjawić, z czym przysła.

– Proszę mi wybaczyć, ale tym razem chodzi o coś innego.

– Tak?

– Mam z Aurelką mały problem – zaczęła trochę nieśmiało.

– Czyżby znowu...? – Urwał zakłopotany, a Julia szybko pojęła, co miał na myśli.

– Ależ nie! Te problemy już się nie powtórzyły, od kiedy wróciła do domu. Martwi mnie natomiast, że wciąż jest apatyczna, smutna. Myślę, że wszystkie jej kłopoty biorą się ze zbyt dużej wrażliwości i braku wiary w siebie.

– Też tak sądzę. Jej matka była bardzo drażliwa. Hmm... – Odchrząknął, jakby wyrwało mu się to niechcący. – Jak można jej pomóc?

– Trzeba okazać jej więcej zainteresowania i akceptacji, żeby nabrała pewności siebie. Wtedy stanie się silniejsza wewnątrznie.

– Więcej zainteresowania? Nie bardzo rozumiem, do czego pani zmierza.

– To trochę skomplikowane – przyznała. – Widzi pan, ta sprawa z kanarkiem naprowadziła mnie na pewien trop.

Emil zniecierpliwionym gestem poprawił binokle, ale milczał, czekając na dalszy ciąg.

– Jego strata wstrząsnęła nią, ponieważ ptaszek był prezentem od pana. W głębi ducha Aurelka czuje się winna, że go zaniedbała. Wiem, że to dziwne, ale ona sądzi, że mogła zrobić coś więcej. – Wzrok Julii uciekł gdzieś daleko, a rytm serca wyraźnie przyspieszył. – Że mogła uratować... tego ptaszka, gdyby nie skupiała się tak bardzo na swoim strachu. Boi się, że pana zawiodła, i to ją przygnębia. Najbardziej na świecie potrzebuje pana zapewnienia, że nie zrobiła nic złego. Że mimo jej wad wciąż ją pan kocha.

– Panno Julio? Czy pani się dobrze czuje? – Wyraz jej twarzy zaniepokoił mężczyznę.

– Słucham? Tak, oczywiście. – Otrząsnęła się z nieprzyjemnych emocji, które przez chwilę ją opanowały. – Chciałam powiedzieć, że wyobraźnia dziecka chodzi czasem nietypowymi drogami. Ona sądzi, że pan się na nią gniewa za tego kanarka.

– Cóż za dziwaczny pomysł?

– Nikt poza panem nie przekona jej, że się myli. Próbowałam już wielokrotnie, bez efektów.

– Nie będę udawał, że to rozumiem, ale skoro pani tak twierdzi, dobrze. Powinienem z nią porozmawiać, czy tak?

– Nie tylko. Ona potrzebuje pana bliskości. Gdyby żyła jej matka lub babka, sytuacja wyglądałaby nieco inaczej. Jednak w tym momencie właśnie ojciec to dla niej najważniejszy człowiek na świecie. Każda chwila spędzona z panem jest dla Aurelki bezcenna, zaś pańską nieobecność odczuwa jak karę. Mimo że nie rozumie, za co została ukarana, szuka winy w sobie.

– Nie pojmuję tego. Przecież jesteśmy razem. Obiecałem już, że nie odeślę jej na pensję.

– Nie chodzi tylko o szkołę. Zdaję sobie sprawę, że jest pan bardzo zajęтым człowiekiem, ale... Jak to panu wytłumaczyć? – Zafrasowała się. – Mężczyźnie zapewne trudno jest zajmować się wychowaniem dziewczynki. Być może z synem byłoby łatwiej znaleźć wspólny temat czy zajęcie,

jednak zapewniam, że Aurelka też pana nie zanudzi. Jest bardzo ciekawa świata. Zadaje mnóstwo pytań, nawet o męskie gospodarstwo, a ja znam się tylko na kobiecych zajęciach. – Uśmiechnęła się lekko.

– Interesuje ją moja praca?

– Oczywiście! Wciąż opowiada o pańskich koniach. Gdyby pan widział, jak się rozpromieniła na wieść, że w przyszłości będzie panu prowadziła dom jak każda dobra córka na jej miejscu. Była zachwycona tą perspektywą.

– Przecież to jeszcze dziecko. Dlaczego myśli o takich rzeczach?

– Chce pana uszczęśliwić. Wydawało nam się, że jest zbyt dziecinna, a tymczasem ona marzy o tym, by szybko wydorosnąć. Dla pana. Sądzi, że wtedy będziecie częściej ze sobą rozmawiali.

– Znowu mnie pani zaskakuje – stwierdził, posyłając jej jedno z tych spojrzeń, które ją zawstydzają. – Nigdy bym o tym nie pomyślał. Cóż, lubię konkrety, więc proszę mi poradzić, jak mogę pomóc swojej córce.

– To raczej Aurelka chciałaby panu w czymś pomagać. Może pozwoliłby pan, żebyśmy otoczyły opieką dzieci folwarcznej służby?

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Kiedyś Aurelka z dumą stwierdziła, że nikt w okolicy nie dba tak o pracowników, jak jej papa. Ja również to widziałam. Zna pan wszystkich po imieniu, interesuje się pan ich życiem, problemami. Dlatego ludziom po tej stronie rzeki żyje się tak dobrze. Ona chciałaby robić to samo, chciałaby mieć w majątku swoje obowiązki, o których mogłaby z panem rozmawiać.

– I to jej pomoże?

– Taką mam nadzieję. Każdy pragnie się czuć ważny i potrzebny, nawet małe dziewczynki.

– Tylko czy to będzie dobre dla jej wychowania?

– Moim zdaniem trzymanie szlacheckich córek pod kloszem jest już anachronizmem. Świat się zmienia. Pańska szanowna matka miała na pewno sporo kłopotów w majątku, gdy nagle została sama, bo nikt jej nie przygotował do samodzielności. Dlatego Aurelka powinna odebrać znacznie szerszą edukację. W końcu czym ona się różni na przykład od syna pani Heleny? – Emocjonowała się coraz bardziej. – Dopóki są dziećmi, bawią się razem. Jednak on może zostać w przyszłości, kim zechce, każdy uniwersytet stoi przed nim otworem, bo Wacek jest chłopcem. Nikogo też nie zdziwi, że ojciec będzie go uczył zarządzania majątkiem. A Aurelka? Dlaczego miałaby zostać tego pozbawiona? Zresztą to szerszy problem. Bo czym na przykład różni się Franek od Aurelki lub Wacka? Jest ubogim chłopskim dzieckiem, zgoda. Ale czy to czyni go mniej zdolnym, mniej pracowitym? Nie wiadomo. Dopóki nie będzie miał takiego samego dostępu do szkół, jak oni, nigdy się tego nie dowiemy.

Emil słuchał z coraz większym rozbawieniem, aż wreszcie się roześmiał.

– Ho, ho! Zupełnie jakbym słyszał kuzynkę Basię. Troszkę się pani zagalopowała – stwierdził, przyglądając się zarumienionym z emocji policzkom kobiety. – Bardzo pani do twarzy z tym ideowym entuzjazmem, ale będę wdzięczny, jeśli w moim domu nie będzie pani o tym głośno mówiła. Dla pani własnego dobra. Echa emancypacji już powoli docierają i do nas, ale socjalistki nikt tu raczej nie zrozumie.

– Socjalistki? – Zdumiała się z taką szczerością, że znów się zaśmiał.

– Wiem, wiem. Przemawia przez panią wyłącznie dobre serce i młodość, która nie znosi niesprawiedliwości czy kompromisów. Ale życie niesie ze sobą różne konieczności. Zresztą, cóż możemy z tym zrobić? Pozostaje nam tylko poprawiać nasz mały świat wokół siebie. Małymi krokami też można zajść daleko.

Julia patrzyła na niego mocno zdezorientowana i trochę zawstydzona swoim wybuchem. Pełne ciepła spojrzenia, jakimi ją obdarzał, zbijały ją z tropu.

– Przepraszam – bąknęła. – Nie chciałam pana zanudzać swoimi przemyśleniami. Tak jakoś...

– Nie trzeba przeproszać. Barbara byłaby z pani dumna, gdyby to słyszała. A właśnie... Chyba wybiorę się do niej niedługo. Za tydzień, dwa. Jest coś, o czym chciałbym z nią wreszcie spokojnie porozmawiać.

Julia poprawiła się na krześle, coraz bardziej zakłopotana.

- A co będzie z Aurelką?
- Proszę działać. Ufam pani.
- Dziękuję! – Rozpromieniła się. – Obiecuję, że nie zrobię niczego, co mogłoby zaszkodzić reputacji tego domu i Aurelki.
- Wierzę. Coś jeszcze? – spytał, widząc, że Julia nie wstaje.
- Właściwie tak. Może zechciałby pan zabrać jutro Aurelkę ze sobą?
- Do Krakowa? Po co?
- Wycieczka z ojcem dobrze by jej zrobiła. Poza tym Aurelka pomogłaby panu zająć się Kasią w podróży. Dzieciom łatwiej się porozumieć.
- Nie widzę przeszkód. Czy pani również zechce się z nami wybrać?
- Proszę mi wybaczyć, ale sądzę, że powinniście pojechać sami.
- Będziemy mieli okazję porozmawiać sobie jak ojciec z córką, czy tak? – domyślił się z uśmiechem.
- Nie zaprzeczę – odpowiedziała mu równie pogodnym tonem.
- Dobrze. Niech i tak będzie. Wydaję rano odpowiednie dyspozycje.

Julia wyszła z gabinetu tak uszczęśliwiona, jakby spełniło się jej własne marzenie, a nie Aurelki. W ciemności zatrzymało ją jednak odbicie światła na posadzce w sieni.

Przystanęła odruchowo, bez konkretnych zamiarów. Gdy poczuła, że po podłodze przemyka w głąb dworu chłodny podmuch świeżego powietrza, wyrzała ostrożnie do sieni dzielącej dwór na część domową i gospodarczą.

W uchylonych drzwiach wejściowych stała Natejkowa z lampą w dłoni.

- Nie będziesz potrzebny, możesz już wracać do siebie. Zaglądałam do niej przed chwilą, śpi jak aniołek. Widocznie okłady i ciepłe mleko pomogły – mówiła półgłosem do kogoś na ganku.
- Sama widzisz, matko, że to zwykła niedyspozycja. Niepotrzebnie narobiłaś takiego rabanu.
- Wolę dmuchać na zimne, dopóki jest tu ta osoba. Czują opiekunka! – sarknęła. – U panienki jej nie było, więc pewnie śpi sobie w najlepsze, zamiast czuwać przy dziecku.
- Matko, prosiłem już, żebyś przestała. Nie zamierzam tego słuchać.
- „ To Karol! – domyśliła się Julia, chowając się na powrót w mroku. – Biedak. Przeze mnie nieustannie się spiera z matką”.

– Przecież sam widzisz, co się dzieje. Od kiedy przyjechała, same nieszczęścia: burze, zalane pola, nawet kanarek padł.

- Nie poznaję cię, matko. Czy w zeszłym roku nie było burz? Czy na jesieni nie dręczyła nas epidemia czerwonki? Jeśli jutro przyjdzie zaćmienie słońca, to również panna Zarzevska będzie winna?
- Dlaczego tak jej bronisz?
- Bo ktoś musi wykazać się zdrowym rozsądkiem.
- Przez nią pół okolicy nas obgaduje.
- I cóż stąd?
- A ty wiesz, co mówią?
- Nie interesuje mnie to i ciebie również nie powinno.
- Wręcz przeciwnie. Jeśli nie pojmujesz moich... – Natejkowa urwała nagle, bo usłyszała za sobą kroki.

Specjalnie głośno stukając butami, Julia wkroczyła do sieni. Miała dość podsłuchiwania, tym razem zupełnie niezamierzonego.

– O, jak dobrze, że panią widzę – rzuciła.

Zaskoczona ochmistrzyń, pobrzękując grubym pękiem kluczy zawieszonym u paska, wykonała zgrabny półobrót i błyskawicznie zamknęła drzwi, jakby nikogo za nimi nie było.

– Panna jeszcze na nogach? A ja... właśnie sprawdzałam, czy stróż spuścił psy na noc. Co panna tu robi?

Julia miała wielką ochotę zignorować pytanie i rzucić zaczepnie: „ Niech mi pani wreszcie powie prosto w oczy, co o mnie myśli”. Znając jednak poglądy Natejkowej, zrezygnowała.

Gdzieś w głębi serca czuła, że podsycanie konfliktu sprawiłoby tylko niepotrzebną przykrość Karolowi i popsulo atmosferę we dworze. Nie chciała tego, choć korciło ją, by zapytać, co tym razem mówią o niej w okolicy. Z premedytacją przybrała niewinną minę.

– Byłam u pana Laskowica w gabinecie.

– O tej porze? – Natejkowa spojrzała na nią potępiającym wzrokiem.

– Rozmawialiśmy o Aurelii. Pan Laskowic zabiera jutro córkę do Krakowa. Będę wdzięczna, jeśli zarządzi pani dla nich coś lekkiego na śniadanie przed podróżą. I zapewne przydałby się jakiś prowiant. W drodze powrotnej planują zabrać z sierocińca Kasię. Dziewczynka może być głodna.

– Znam swoje obowiązki. – Gdyby głos mógł zabijać, Julia leżałaby już martwa. – Rozumiem, że panna również jedzie.

– Nie. Pan Laskowic zabiera wyłącznie córkę. Specjalnie go o to poprosiłam, by Aurelia mogła się nacieszyć towarzystwem ojca. Bardzo tego potrzebuje.

– Ach tak. Zatem życzę spokojnej nocy.

– Pani Natejkowo, proszę zaczekać!

Pchnięta jakimś wewnętrznym impulsem zagroziła klucznicy drogę. Nie miała pojęcia, co w nią wstąpiło, czuła jednak, że lepsza okazja długo się nie nadarzy.

– Skoro jesteśmy wreszcie same, już dawno chciałabym o coś zapytać.

– Słucham.

– Czy pamięta pani tamten koncert w miasteczku? – wypaliła Julia bez namysłu.

Nosiła w sobie to pytanie od wielu dni i w końcu nie wytrzymała.

– Jaki koncert?

– Przed laty. Wtedy, gdy zdarzył się wypadek w pałacu.

Nagle poruszenie kręgu światła zdradziło, że dłoń Natejkowej, w której klucznica trzymała lampę, wyraźnie zadrżała.

– O co panie chodzi?

– Stary Józef opowiadał, że moi rodzice pojechali na koncert w towarzystwie Marceliny, doktora i pani. Jestem ciekawa, czy wydarzyło się coś, co mogło zdenerwować *maman*. Może źle poszedł jej występ? Jest pani w tej chwili jedyną znaną mi osobą, która może coś wiedzieć.

Z każdym jej słowem oczy Natejkowej robiły się większe i większe.

– Ja? A cóż ja mogłabym...? – szepnęła z przestrawieniem. – Po co?

– Spytałabym już wcześniej, ale jakoś nie było okazji. To dla mnie bardzo ważne. Próbuję zrozumieć, co się wydarzyło tamtej okropnej wiosny w moim domu. Byłam zbyt mała, niewiele pamiętam, ale pani może mi pomóc.

– Dlaczego ja? Też nic nie pamiętam. Czy Karol coś panie mówił? – Zmrużyła podejrzliwie oczy.

– Pan Karol? – Tym razem to Julia się zdziwiła. – On coś wie?

Natejkowa przez chwilę świdrowała ją wzrokiem, jakby chciała przeniknąć myśli dziewczyny.

– Oczywiście, że nie. Ja również.

– Ale była pani na koncercie.

– I co z tego? Pojechaliśmy, wróciliśmy i tyle. Koncert znakomicie się udał, zebrano dużo funduszy na szkołę. Zresztą, co mi tu panna zawraca głowę dyrdymałami! – zachnęła się.

Ominęła Julię i szybkim krokiem ruszyła w stronę czeladnej izby.

– Pani Klementyno, proszę. Muszę zrozumieć... Tamtej wiosny zawalił się cały mój świat.

Ochmistrzyni przystanęła. Stojąc tyłem do niej, ze spuszczoną głową rzuciła cicho gdzieś w półmrok:

– Niech panna zostawi przeszłość w spokoju i zapomni. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

## ROZDZIAŁ XIV

Gdy tylko powóz zagłębił się w grabowej alei, Natejkowa obróciła się na pięcie i szybkim krokiem wróciła do dworu. Julia nie zdążyła nawet opuścić dłoni, którą machała na pożegnanie Aurelce i jej ojcu, a klucznica już zniknęła jej sprzed oczu.

„Mogłam się tego spodziewać – pomyślała zgryźliwie. – Po wczorajszej rozmowie będzie mnie unikać jak diabeł święconej wody”.

W tym momencie zza placów dobiegł ją zapach jakiegoś środka dezynfekującego.

– Dzień dobry. Pan Laskowic już pojechał?

Na widok Karola serce Julii podskoczyło radośnie, ale nie dała tego po sobie poznać. Z poważną miną skinęła mu głową na powitanie, jednocześnie obiecując sobie w duchu, że zrobi wszystko, by nie pogłębiać jego konfliktu z matką. Za każdym razem, gdy słyszała ich sprzeczki, czuła wyrzuty sumienia. Choć sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, gdzieś w głębi duszy pretensje Natejkowej utkwiły w niej jak drzazgi. Wbrew rozsądkowi nie mogła się uwolnić od poczucia, że jej rodzina w jakiś sposób ponosiła odpowiedzialność za niezbyt szczęśliwe dzieciństwo Karola i małżeńskie problemy Natejkowej.

– Dzień dobry. Tak, pojechali. Nie przyszedł pan na śniadanie.

– Byłem we wsi. Musiałem odebrać trudny... Hmm... – Speszył się, przypominając sobie, że rozmawia z panną. – Musiałem zbadać niemowlę – wybrnął.

Zawstydzona Julia odruchowo spuściła wzrok.

– Ach tak. Czy z dzieckiem wszystko w porządku? – spytała, udając, że nie zrozumiała prawdziwego sensu jego wypowiedzi.

– Na szczęście tak. Cała rodzina jest zdrowa.

Zapadła kłopotliwa cisza.

– Proszę pani! To się przyda na spacerze, bo dziś trochę chłodno. – Po schodach ganku zbiegła pokojówka Marysia i troskliwie okryła ramiona Julii wzorzystym szalem. – Aż dziw, że to środek lata. Ludziom strach, że przez te deszcze wszystko w polach pognije. Nawet dobrodziejowi chcieli na mszę dać, ale ponoć się rozgniewał i kazał im najpierw do spowiedzi przyjść, a nie Pana Boga przekupywać – paplała z uśmiechem zupełnie niepasującym do treści wypowiedzi. – Siostra mi o tym mówiła pod kościołem.

Karol i Julia słuchali jej z jednakowym rozbawieniem.

– Dziękuję, Marysiu. Opowiesz mi o tym później, na osobności – szepnęła znacząco.

– Ojej, proszę o wybaczenie. Ciągle zapominam, że dobra garderobiana nie może być gadatliwa.

– O jakim spacerze mowa? – Zainteresował się. – Pani się dokądś wybiera? Sama?

– Nie sama – odparła bez zastanowienia. – Poprosiłam Marysię, żeby pomogła mi uporządkować grób mojej niani. Już dawno miałam się tym zająć, ale deszcze popsęły mi plany.

Kompletnie zaskoczona pokojówka aż uniosła ze zdziwienia brwi, lecz nie zaprzeczyła. Gorliwie pokiwała głową w odpowiedzi na pytające spojrzenie doktora.

– Chce pani iść aż na cmentarz? To daleko, a pogoda dzisiaj niepewna. Barometr znów szedł na deszcz. Każę przygotować bryczkę.

– Dziękuję, ale mam ochotę na długi spacer. Po tylu latach spędzonych w mieście jestem spragniona bliskości natury. – Wykręciła się z uprzejmym uśmiechem.

– W takim razie pozwoli pani, że będę jej towarzyszył. Chwilowo nie mam żadnych obowiązków.

„Cudownie!” – wykrzyknęło uradowane serce Julii. – „Niedobrze!” – Natychmiast podpowiedział głos rozsądku.

Miała zupełnie inne plany. Korzystając z wolnego dnia, postanowiła wymknąć się niepostrzeżenie na drugą stronę rzeki, by namówić Józefa do otwarcia zamkniętych na glucho wrót pałacu. Choć w towarzystwie przyjaciela z dzieciństwa czułaby się pewniej, intuicja podpowiadała jej, że Józef nie będzie chciał pomóc, gdy zobaczy z nią doktora. Już podczas wcześniejszej rozmowy

zauważyła, że stary sługa nie darzy go sympatią, co wytłumaczyła sobie pamiętliwością byłego stangreta. Nie raz, nie drugi wytargał bowiem małego Karola za uszy, gdy jako dzieci psocili w stajni. Julię zawsze oszczędzał, kierując swój gniew na chłopca, co jednak nie przeszkadzało Karolowi namawiać przyjaciółki do kolejnych figli.

Ponieważ nie spodziewała się z samego rana takiej propozycji, nie wiedziała, jak zareagować.

– Proszę mi nie odmawiać – rzucił Karol ciepłym, niskim głosem, widząc jej wahanie. – Pan Laskowic przed odjazdem polecił mi zatroszczyć się dziś o panią, więc nie mogę go zawieść. Tym bardziej że uczynię to z prawdziwą przyjemnością.

Nim zakłopotana Julia zdążyła wymyślić sensowny wykręt, rozmowę przerwało im wołanie o pomoc.

– Panie doktorze! – krzyczał parobek nadbiegający od strony stajni.

– Co się stało?

– A bo ten nowy koń, co go dziedzic kupili dwie niedziele temu, kopnął mastalerza prosto w bebechy.

– O Boże! – zmartwiła się Julia. – Żyje?

– Chyba żyw, wielmożna pani, ino leży niby kłoda i ani dycha.

– Pewnie znowu pił wódkę, bęcwał. Tyle razy mu mówiłem, że zwierzęta tego nie tolerują. Biegnij do mojego mieszkania i weź torbę ze stołu! – polecił zdysznanemu parobkowi. – Ja idę do stajni. Przepraszam, panno Julio, ale nie będę mógł na razie służyć swoją osobą.

– Oczywiście.

Doktor już miał się odwrócić, gdy najwyraźniej coś przyszło mu do głowy.

– Proszę mi jednak obiecać, że poczeka pani na mnie. Nie chciałbym łamać słowa danego panu Laskowicowi. To sprawa honorowa – zażartował. – Mam nadzieję, że z mastalerzem to nic groźnego, więc niedługo wrócę.

– Ależ my z Marysią znakomicie poradzimy sobie same.

– Panno Julio, proszę. Chcę z panią porozmawiać.

Świadomość tego, że gdzieś w stajni czeka na pomoc ranny człowiek, zmusiła Julię do szybkiej odpowiedzi.

– W takim razie pospaceruję w ogrodzie.

– Dziękuję. – Ucieszył się i już bez słowa pobiegł do pacjenta.

Gdy zniknął między zabudowaniami, Julia odesłała skonsternowaną pokojówkę, nie tłumacząc się w żaden sposób z kłamstwa o cmentarzu. Ostentacyjnie wolnym krokiem udała się do ogrodu usytuowanego na tyłach dworu. Przez chwilę posiedziała na tarasie, tak by służba sprzątająca w salonie ją zobaczyła, potem przeszła się po ścieżkach wśród róż, pochylając się od czasu do czasu, by powąchać któryś z kwiatów. Na koniec dotarła do klombu ze słonecznym zegarem, który otaczały strzeliste fioletowe kwiaty lewkonii. Wtedy obejrzała się za siebie.

– Powiedziałam, że pospaceruję w ogrodzie, i tak zrobiłam – mruknęła pod nosem, rozglądając się, czy ktoś jej nie widzi. – Ale nie obiecywałam, że będę tu czekać w nieskończoność.

Krępujący jej ruchy szal zostawiła na ławeczce obok zegara, a później, unosząc brzeg sukni, zwinnie zbiegła ścieżką prowadzącą nad wodę.

Nabrzmiała od deszczu rzeka szumiała tego dnia znacznie groźniej niż podczas pierwszego spaceru Julii. Spokojny nurt nabrał w ostatnich dniach szybkości i sunął gdzieś w dal, by po drodze połączyć kolejne strumienie, potoki i strugi, a później z całym tym bogactwem wpaść do jeszcze większej rzeki, gdzieś na nizinach.

Julia szła wzdłuż brzegu w kierunku mostu. Była podekscytowana i zdenerwowana jednocześnie. W myślach układała sobie, jak przekona Józefa do otwarcia dla niej pałacu. Mimo że opowieść starego woźnicy o wydarzeniach tamtej tragicznej nocy przygnębiła ją, rozwiała zarazem wiele wątpliwości. Wciąż jednak nurtowało Julię pytanie: Czy *maman* wyjechała konno dlatego, że była po prostu zdenerwowana i rozstrojona, czy raczej dlatego, że miała atak choroby – czegoś znacznie groźniejszego niż zwykła melancholia – szaleństwa, które pęta umysł obsesją i odbiera poczucie rzeczywistości?



Chociaż bardzo chciała uwierzyć w tłumaczenia Karola, nadal nie opuszczał jej strach, że luki w pamięci i nocne koszmary mogą zwiastować chorobę odziedziczoną po matce. Liczyła już tylko na to, że odzyskanie reszty wspomnień pomoże jej wyjaśnić i tę kwestię.

Nagle coś przyciągnęło jej uwagę. Już kilka razy zdawało się jej, że słyszała za sobą szelesty, jednak skupiona na swoich myślach zignorowała to. Tym razem zatrzymał ją wyraźny trzask gałązki pod czyjąś stopą. Odwróciła się z bojowniczą miną.

– Kto tam jest? – spytała głośno. – Proszę wyjść, bo nie ręczę za siebie.

– To ino ja, pani uczycielko.

Z zarośli wyszedł na ścieżkę Franek ze spuszczoną głową.

– A cóż ty tu robisz? Skradałeś się za mną?

– Ja ino tak...

– Chodź tu i mów prawdę. Dlaczego za mną idziesz? Powinieneś czekać na siostrę.

– Czekałem, ale do wieczora jeszcze dużo czasu.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Spójrz mi w oczy. Co tu robisz?

– A bo to, widzi pani. – Kręcił zaczerwieniony. – Pan doktor przyleciał ku stajniom i...

– Ach, pan doktor! Teraz wszystko jasne. Kazał ci mnie pilnować?

– Ano kazał.

– W takim razie później sobie porozmawiam z panem doktorem. Wracaj do dworu.

– Ale ja żem obiecał.

Błagalny wzrok chłopca, któremu powierzono tak ważną misję, rozbroił Julię. Tam, dokąd się wybierała, chciała jednak dotrzeć sama. Nagle coś wpadło jej do głowy.

– Dobrze. Pokażesz mi, gdzie stoi krzyż nad rzeką? – spytała.

– Ten po drugiej stronie na skarpie? Pewnie. A na co to pani uczycielce?

– Franuś, po pierwsze przestań mówić do mnie: pani uczycielko.

– A jak?

– Wystarczy: proszę pani. A po drugie, chcę się tam pomodlić, bo to szczególne dla mnie miejsce.

W samotności. Dlatego zaprowadzisz mnie tam, a potem wrócisz do domu. Nie chcesz się chyba spóźnić na przyjazd Kasi?

– Pewnie, że nie, ale pan doktor...

– A zatem postanowione.

\* \* \*

– Idź już – rzuciła do chłopca, bo wyraźnie się ociągał.

Stała na dość stromej skarpie i z przykrym uczuciem patrzyła na wodę kłębiącą się w niewielkiej zatoczce. Za plecami miała ścianę lasu oraz wysoki drewniany krzyż ozdobiony u podnóża świeżymi kwiatami, co ją nieco zaskoczyło, ponieważ miejsce było raczej ustronne. Można było do niego dotrzeć wyłącznie na dwa sposoby: idąc dość wysokim brzegiem wzdłuż ściany leśnego zagajnika lub od północy, przechodząc przez zaniedbany park. Nie była to zatem zbyt uczęszczana droga.

– Trza uważać, prze pani. Deszcze namoczyły ziemię, woda wezbrała. Lepiej nie stawać tak blisko. – Chłopiec przestąpił z nogi na nogę, wyraźnie niezadowolony, że Julia spogląda w dół na rzekę.

Nie słuchała go. Serce jej się ścisnęło, gdy wyobraziła sobie, co się wydarzyło w tym miejscu wiele lat temu.

„ Czy właśnie to zobaczyłaś w ostatniej chwili swojego życia? – pomyślała ze smutkiem. – Mknącą przed siebie tafłę spienionej wody? Czy raczej gwieździste niebo? Och, *maman!* Przepraszam. Gdybym nie zasnęła i wykradła się z pokoju wcześniej, może spotkałabym cię na korytarzu? Wyszłaby z tego awantura, ale przynajmniej nigdzie byś nie pojechała. Dlaczego wszystko tak się fatalnie ułożyło? Tamtej nocy mogłaś się natknąć na mnie, na Busię, na Józefa lub odźwiernego. Nawet na stróża w parku.

A jednak nikt cię nie widział wychodzącej z pałacu. Na dodatek ojciec i Marcelina spali zbyt twardo. Jakby wszystko sprzysięgło się przeciwko tobie. Przeciwko nam”.

– Prze pani. Łyska się na niebie, nawałnica ku nam idzie. Trza wracać.

– Więc wracaj! – rzuciła za siebie dużo ostrzej, niż chciała. – Przepraszam, Franku, jestem trochę zdenerwowana. Biegnij do dworu, ja cię zaraz dogonię. – Złagodziła ton.

Chłopiec z ociąganiem ruszył w kierunku mostu, oglądając się za siebie od czasu do czasu. Nie podobało mu się, że nauczycielka stoi tak blisko podmytego brzegu, który w ostatnich dniach po raz kolejny osunął się do rzeki, odkrywając powyginane korzenie najbliższych drzew.

Zamyślona Julia nie zwracała jednak na to uwagi. Uparcie wpatrywała się w wodę, jakby mogła w niej zobaczyć odbicie tamtych tragicznych chwil sprzed lat.

Raptem jej myśli przeszył dziwny ból.

Zachwiała się. Przed oczyma mignął jej widok szarych chmur gnanych po niebie i furkoczący w powietrzu materiał własnej sukni. Kompletnie zdezorientowana zapadła się w coś zimnego, co pochłonęło ją jak głodne zwierzę.

Ogarnęło ją zdumienie. Mętna ciemność wokół spętała ją, a suknia zaczęła dziwnie ciążyć. Rozgniewało ją to zniewolenie. Chciała walczyć, ale ręce i nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

„Pamiętaj, Juleczko, że bardzo cię kocham. – Ciepły szept w głowie tak ją zaskoczył, że znieruchomiała. – Wybacz mi, tak będzie lepiej dla wszystkich”.

„Ciocia?” – chciała spytać, choć doskonale wiedziała, że to nie był głos Barbary.

Przepelnił ją raptem niesamowity spokój. Wszystkie myśli gdzieś odleciały, potrzeby i lęki straciły znaczenie. Gdyby nie trudny do zniesienia ucisk w piersiach, z chęcią zamknęłaby oczy i poddała się temu uczuciu, które otulało niczym słodki sen.

Nagle poczuła mocne szarpnięcie i coś wyrwało ją ze stanu błogości.

„Czego chcesz?!” – zdążyła pomyśleć, nim znów zrobiło się jasno.

– Prze pani! Matko Boska! – krzyczał przerażony głosik. – Ludzie, ratunku!

Poczuła, że coś boleśnie uwiera ją w gardle, więc zakaszła i z trudem złapała oddech.

– Julka! Oddychaj! Słyszysz mnie? Julka!

Ktoś bez żadnego szacunku obejmował ją pod ramionami i niezgrabnie nią potrząsał.

– Co się...? – Słowa uwięzły jej w gardle.

– Żyjesz! – Usłyszała głos mężczyzny i uświadomiła sobie, że to Karol.

Otworzyła szeroko oczy i ze zdumieniem rozejrzała się wokół. Oboje znajdowali się w wodzie, tuż przy brzegu skarpy, na której jeszcze przed chwilą stała.

– Co się...?

– Wpadłaś do rzeki. Zaraz się stąd wydostaniemy, ale musisz mi pomóc – sapnął i mocniej przycisnął ją do siebie. – Franek! Chodź tu! – krzyknął w górę, szukając drugą ręką dobrego zaczepienia wśród wystających ze skarpy korzeni drzew.

– Do rzeki? – spytała świszczącym szeptem.

– Nie mów, oszczędzaj siły.

Na ich głowy posypały się drobne kamyczki i piasek.

– Franek, uważaj, do cholery! Za chwilę też spadniesz!

– Panie doktorze. Tam dalej jest niski brzeg. Łatwiej będzie wyleźć z wody!

– Nie! – Karol przekrzykiwał zbliżające się grzmoty. – Tam porwie nas prąd. Podaj mi jakąś długą gałąź!

– Gałąź?

– Jakiś gruby drąg! Muszę się czegoś chwycić.

– Ale panie doktorze, ja mogę...

– Szybko!

– Już lecę!

Dopiero w tej chwili do Julii dotarło, co się dzieje. Przeraziła się. Odruchowo uczepiła się Karola, czując, że jego uścisk słabnie. Stopami zaczęła rozpaczliwie szukać oparcia na stromym brzegu.

– Spokojnie, złap się tego korzenia. Dasz radę się podciągnąć?

Skinęła głową, bo przez ściśnięte zęby nie była w stanie wydobyć z siebie nawet jednego słowa.

– Fraanek!! Pospiesz się!

Tym razem nikt nie odpowiedział. Skostniałej Julii wydawało się, że czekają już całą wieczność, gdy w końcu piasek znów zaczął się na nich osuwać.

– Mam sznur, panie doktorze!

– Sznur? Wspaniale. Dasz radę go przywiązać do jakiegoś drzewa?

– No pewnie. Już! Rzucam!

– Julka, spójrz na mnie. Idziemy.

Karol okręcił sobie rękę cienką liną, która spadła im na głowy, i zaczęli się mozolnie wdrapywać.

Nie miała pojęcia, jak im się udało wydostać na górę. Całą siłę woli skupiła na tym, by kawałek po kawałku, popychana i ciągnięta, wspinać się po spadzistej skarpie. Dopiero gdy wreszcie położyła się na trawie, bezpieczna, wszystko zaczęło się w niej trząść.

– Spójrz na mnie. – Zdyszany Karol odgarnął jej z twarzy mokre włosy. – Podnieś się i odkaszlnij. No już! Musisz wypluć tę wodę. Dobrze, jeszcze raz. – Bezceremonialnie klepnął ją w plecy. – Boli cię coś?

– Zzzimno. – Zaszczękała zębami.

– Franek, gdzie mój koń?

– Jak piorun grzmotnął za lasem, to zwiął gdziesik.

– Do diaska! Julio, dasz radę iść?

– Tttak. – Skinęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca. – Jjesteś mokrrry.

Mężczyzna uśmiechnął się z ulgą, bo zrozumiał, że wraca jej przytomność umysłu. Okrył ją surdudem, który zdążył zrzucić przed wskoczeniem do wody.

– Musimy iść.

– Panie doktorze, do dworu daleko, a burza tuż za lasem. Może schowamy się w ruinach? – zaproponował chłopiec rezolutnie. – Tam jest cały loch niezawalony.

– W ruinach? Bardzo dobry pomysł. Chodź, Julio, pomogę ci. To niedaleko.

\* \* \*

Las bez trudu zadomowił się wśród kikutów spalonych ścian, zacierając granicę między dziełem człowieka a natury. Trawa, krzewy, nawet drzewa gęsto porastały stare ruiny. Przyroda ze spokojem zagarnęła przestrzeń, którą kiedyś wydarły jej siekiery drwali.

Franek pewnie stawiał kroki w tym dziwnym gąszczu, wskazując przejście dwójce dorosłych, którzy szli znacznie wolniej.

– Tu jest wejście do lochu, panie doktorze.

– Wiem – mruknął Karol. – Ostrożnie, patrzcie pod nogi.

Gdy znaleźli się w ciemności, wiatr wyjący gdzieś nad nimi wyraźnie przycichł.

– Zaraz skrzესam ognia. – Głos chłopca odbił się głucho od niewidocznych ścian.

– Ognia?

– A bo ja se tu kiedyś schowałem kilka smolnych szczapek.

Julia namacała dłoń zimną, wilgotną ścianę i wsparła się o nią, pozwalając Karolowi na poluzowanie uścisku. Wiedziała, że on też był wyczerpany i równie zmarznięty jak ona, a mimo to całą drogę podpierał ją ramieniem. Próbowwała zapanować nad drżeniem, które przenikało ją od stóp do głów, ale nie mogła. Częściowo rozplątany węzeł mokrych włosów ciążył jej na karku, a przylepiona do ciała, lodowata suknia prawie odbierała jej możliwość wykonania jakiegokolwiek ruchu. Namoknięty surdud Karola przestał ją ochraniać.

Ostry dźwięk krzesiwa i błysk iskier nappełnił ją nadzieją. Kilka kroków przed nią z ciemności wyłoniła się postać Franka klęczącego na kamiennej podłodze i dmuchającego w coś, co szybko oświetliło jego twarz. Nikły płomyk został natychmiast umiejętnie podsycony drobnymi patykami, które chłopiec wyciągał z niewielkiego stosu gałązek ułożonego pod jedną ze ścian.

– Zaraz się rozpali. Tu se można siednąć, prze pani. – Trochę zawstydzony wskazał na legowisko przykryte starą derką i brudnym dziurawym kozuchem.

– Franku, masz dobre intencje, ale zaraz się tu podusimy.

– Niech się pan doktor nie martwi. Ja żem se już nieraz grzał tu nogi wiosną, jak mnie gospodarz po chrust wysyłali. Pewnie przez jaką dziurę jest cug, ino że trochę śmierdzi.

Karol pomógł Julii usiąść na prowizorycznym legowisku i rozejrzał się po mrocznej kryjówce. Szeroki kamienny loch musiał kiedyś służyć za spiżarnię lub piwnicę z winami, bo pod jedną ze ścian leżały ułożone w zgrabną stertę resztki beczulek, drewnianych skrzynek, rozbitych antałków i innych rupieci. Podłoga w drugim kącie została wyraźnie uprzątnięta. Tam właśnie znajdowało się posłanie zrobione ze starego worka wypchanego sianem, a obok niego leżała spora wiązka chrustu i grubszych szczap drewna oraz zawiązany za rogi niewielki tobołek skrywający jakieś przedmioty. Na środku kamiennej posadzki płonęło malutkie ognisko, troskliwie podsycane przez Franka kolejnymi gałązkami.

– Widzę, że przygotowywałaś się na różne sytuacje – stwierdził doktor ponuro.

– Znalazłem se to miejsce przypadkiem, jak mnie gospodarz... – Urwał chłopiec, niezbyt skory do zwierzeń.

– Rozumiem. Stąd wzięłaś sznur?

– Ano trzymam se tu różne stare graty, co je ludzie powyrzucali.

– Dziękuję, Frrranku – odezwała się trzęsącym głosem Julia skulona na posłaniu. – I tobie Karolu. Urattowaliście mnie. Co się stało? Skarpa się zarwała?

Chłopiec milczał, gorliwie zajęty dokładaniem do ognia.

– Widocznie rzeka podmyła brzeg po ostatnich ulewach – odparł mężczyzna. – Jechałem właśnie przez most, gdy usłyszałem krzyk Franka. Co tam robiłaś? Dlaczego na mnie nie zaczekałaś?

– Czekałam.

– Doprawdy? Wiesz, jak to się mogło skończyć, gdyby nie moje przecucie?

– Ale się nn...nie skończyło.

– W dzieciństwie byłaś równie uparta – mruknął gniewnie, po czym przykucnął obok niej. – Szczękasz zębami. Powinnaś zdjąć mokre ubranie i okryć się kozuchem. Inaczej nigdy się nie rozgrzejesz.

– Słucham? Nie ma mmmowy. Nic mi nie jest.

– Właśnie widzę. Zrobimy tak: odwrócimy się z Frankiem, a ty choć wyzmij suknię. To zalecenie lekarza.

– Wykluczone.

– Nie bądź dzieckiem, Julio. Dostaniesz zapalenia płuc.

– Trudno. Ja nie mam siły się ruszyć, a wy nie możecie mi w tym pppomóc – wymamrotała.

– Dlaczego nie? Nikomu nie powiemy, że złamałaś głupie konwenanse. Przecież robisz to dla ratowania zdrowia. Czego się boisz?

Choć przemarznięta dziewczyna tęsknym wzrokiem spoglądała na brudny, lecz suchy kozuch, uparcie pokręciła głową. A później pomyślała, że jeszcze nikt nie był wobec niej tak bezceremonialnie troskliwy.

– Zarzewscy niczego się nie boją – odparła przez zaciśnięte z zimna zęby. – Ty też jesteś mokry.

– Masz rację.

Ostentacyjnie zdjął kamizelkę, wykręcił ją w przeciwległym kącie i rozłożył do wyschnięcia na stosie rupieci.

– Proszę, pierwszy złamałem zasady. Czy w tych warunkach uznasz widok mojej koszuli za gorszący? Nie? A zatem...?

Uśmiechnęła się lekko, ale pokręciła głową. Ciężki warkocz, który pokojówka tak starannie

upięła jej rano w ciasny węzeł, rozsuptał się do końca i teraz opadł jej na plecy.

– Nie nalegaj, Karolu. Nic mi nie będzie.

– Wyźmij choć włosy, szybciej obeschną.

Widząc, że Julia trzęsącymi się rękoma próbuje spełnić jego prośbę, ale z marnym efektem, nie wytrzymał. Przysiadł się do niej na siennik i bez słowa zaczął ostrożnie wyciągać z jej włosów ocalałe szpilki, a później rozplatać warkocz.

Ten niespodziewany i bardzo intymny gest w pierwszej chwili zawstydził ją. Poddała mu się jednak, sama nie mogąc właściwie ruszać zeszywniałymi palcami.

– Przepraszam, nie chciałem – rzucił niepewnie, gdy usłyszał bolesne syknięcie.

– Nie, to nie ty. Trochę boli mnie głowa.

– Gdzie? Tutaj?

Delikatnie rozchylił ciemne pasma i dotknął opuszką palca skórę jej głowy.

– Przepraszam – powtórzył, gdy znów syknęła. – Niewiele mogę zobaczyć w tym półmroku, ale czuję, że nabiłaś sobie porządnego guza. Musiałaś się uderzyć o jakiś wystający korzeń. Gdybym miał przy sobie torbę, mógłbym cię opatrzyć.

– Nic mi nie będzie.

– Boli cię coś jeszcze? Czujesz mdłości, masz zawroty?

– Nie martw się. – Starala się przybrać pogodną minę. – Zachowujesz się jak wtedy, gdy spadłam z drzewa. Ppp... pamiętasz?

– Oczywiście. Wdrapałaś się na jabłonkę, choć ci zabroniłem. Nigdy nie chciałaś mnie słuchać – szepnęła, uśmiechając się ciepło.

Nie skomentowała tej uwagi rzuconej wprost do jej ucha. Milcząc, zgarnęła z pleców długie splecione włosy, w których znalazły się jakieś listki i piasek.

Karol patrzył zafascynowany, jak Julia wyciska z nich krople wody wprost na posadzkę, a później stara się rozczesać gęste pasma własnymi palcami.

– Nie przypuszczałem wtedy, że wyrośniesz na tak piękną kobietę – wyrwało mu się cicho. Gdy wyraźnie zaskoczona spojrzała na niego, speszył się.

– Hmm... Okryj się. Niewiele to da, ale zawsze coś – mruknął, pomagając jej owinać się starym kożuchem, cuchnącym łożem i stajnią.

– A ty?

– Mnie jest już ciepło. Franek, nie masz tu przypadkiem jakiegoś garnka? Dobrze byłoby nałapać deszczówki i podgrzać ją na ognisku. To by nam pomogło się rozgrzać.

– Garnka nie mam. Ale możemy se upiec jabłek. Też będą ciepłe.

– Jabłek?

– Tu przy ruinach rośnie dziedziała jabłonka, to se trochę nazbierałem onegdaj – odparł nieśmiało chłopiec.

Gdy rozwiązał tobolek leżący obok posłania, okazało się, że brudny lniany materiał skrywa prawdziwe skarby: zardzewiały kozik, dwie nadpalone łożówki, procę, starą czapkę, kilka cebul i marchewek, kawałek mocno nieświeżej słoniny i kilkanaście zielonych jabłek.

Julia nie mogła wprost uwierzyć, że po chwili w śmierdzącym wilgocią i dymem pomieszczeniu unosił się winny zapach pieczonych owoców.

Nabite na patyki jabłka szybko zaczęły pęcznieć nad ogniem i przyskać sokiem.

– Proszę. – Franek podał jej najokazalszy z owoców.

– Dziękuję. Ale usiądź z nami, będzie ciepłej.

Po chwili cała trójka, parząc sobie palce i wargi, jadła w milczeniu.

– Mój Boże! – Julia pierwsza przerwała ciszę. – Jeszcze nigdy nie miałam w ustach czegoś tak smacznego. Franuś, jesteś niesamowity. Naprawdę czuję się lepiej.

– To prawda. Gdyby nie ty, byłoby z nami marnie.

Usłyszawszy taką pochwałę, chłopiec rozpromienił się, pęczniąc z dumy, jak wcześniej jego jabłka nad ogniem.

– E tam – mruknął. – Toż przecie ja nic...

– A właściwie gdzie my jesteśmy? – Zainteresowała się, bo uczucie błęgiego ciepła w żołądku wyraźnie przywracało ją do życia.

– Nie poznajesz? – Karol uprzedził chłopca. – To nasza dawna kryjówka. Najwidoczniej dzieci wszystkich pokoleń mają ten sam dar wchodzenia tam, gdzie nie powinny. – Uśmiechnął się z przekąsem.

– Jaka kryjówka?

– W ruinach starego dworu. Sądziłem, że ten loch już dawno zapadł się ze starości, ale się pomyliłem.

– Rzeczywiście!

Dopiero w tym momencie ciemne kąty długiego, wąskiego loszku wydały się jej znajome. Spory kawałek pomieszczenia zasypał gruz, lecz zarówno schody, jak i duża część stropu podtrzymywanego przez kamienne słupy wciąż trwała.

– Pamiętasz nasze koty? Dokarmialiśmy je tutaj, nim podrosły i wybrały wolność.

– Koty? A jakże, pamiętam. – Ucieszyła się.

– Jakie koty? – spytał chłopiec, ziewając.

– To było dawno temu – odparła. – Byliśmy wtedy dziećmi. Pewnego razu zauważyliśmy, że jeden ze służących niesie w stronę rzeki worek, z którego dochodziło dziwne miauczenie. Przy pałacu nie wolno było trzymać zwierząt, więc Karol domyślił się, o co chodzi, i wykupił kocięta od śmierci.

– A później wspólnie je tutaj dokarmialiśmy w tajemnicy przed wszystkimi. – Mężczyzna odwzajemnił uśmiech, jaki mu posłała.

Oboje woleli nie mówić Frankowi, że pieniądze dla służącego Karol wykradł z pugilaresu ojca, za co później poniósł dotkliwą karę. Stary doktor, choć docenił szlachetność intencji syna, to sposób działania stanowczo potępił, używając do tego celu różgi, zresztą na wyraźne żądanie swojej żony.

– Twoja matka była na nas wściekła. Już wtedy wierzyła, że sprowadzam cię na złą drogę.

– Już wtedy? – Zdziwił się.

– Trzeba pani doktorowej przyznać, że miała powody do gniewu. – Julia szybko się zorientowała, że palnęła głupstwo. – Ciągle łobuzowaliśmy.

– Nie przesadzaj. Moja matka była po prostu mniej tolerancyjna niż twoja piastunka – mruknął pojednawczo.

Przez chwilę przyglądali się, jak niepodsypany ogień zaczyna powoli przygasać. Zmęczony Franek przysnął oparty o ramię doktora, więc żadne z nich nie chciało się poruszyć, by nie zbudzić chłopca.

– Śpi?

– Niech wypocznie. Musiał się bardzo wystraszyć.

– Ja również.

– Przepraszam. Gdy pomyślę, co by się mogło stać... Moja ciocia umarłaby ze zgryzoty.

– Nawet tak nie mów. Nasza rzeka pochłonęła już wiele ludzkich istnień, ale ciebie nie dostanie.

Obiecuj mi, że nie będziesz się do niej zbliżać.

– Tego możesz być pewien. Przeżyłam dzisiaj coś takiego... – Wstrząsnął nią dreszcz. – Jakbym raptem znalazła się w innym świecie. Jakby rzeka do mnie mówiła.

– Proszę cię, przestań. Nie myśl już o tym. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

– Jakież?

– Zastanawiam się, co powiemy we dworze.

– Nic. Skoro wszystko dobrze się skończyło, po co mają się denerwować?

– Może masz rację. Ale i tak trzeba będzie się jakoś wytłumaczyć po powrocie.

– Więc pomóż mi coś wymyślić.

– Hmm... Matka wspominała, że mają ogrom pracy w kuchni. Robią przetwory, czy coś takiego.

Wszystkich do tego zaangażowała. A pan Laskowic wróci dopiero wieczorem.

– Co z tego wynika?

– Jest szansa, że nikt we dworze nie zauważył twojego zniknięcia. Spróbujemy wrócić dyskretnie, przez ogród i taras.

– A jeśli ktoś nas zauważy?

– Wtedy powiemy prawdę. Częściowo.

– To znaczy?

– Wyjaśnimy, że poszłaś z Frankiem na spacer, a mnie uciekł koń i spotkaliśmy się przypadkiem.

Po takiej nawałnicy nikt się nie będzie dziwił, że jesteście przemoczeni.

Julia doceniła fakt, że chciał ją ochronić przed plotkami. Wiedziała, że nawet obecność Franka nie uratowałyby jej reputacji, gdyby rozeszło się po okolicy, że spędziła kilka godzin w ciemnym pomieszczeniu z mężczyzną. By nie narażać honoru domu Laskowiców, nie pozostałoby jej nic innego, jak spakować się i wyjechać już następnego dnia.

– To dobry plan.

– W obmyśleniu wykrętów mamy wprawę z dzieciństwa, nieprawdaż?

– Karolu? – szepnęła, by nie zbudzić zmęczonego emocjami chłopca, który zasnął na dobre, osuwając się na kolana doktora.

– Tak?

– Kiedyś spytałam, czy próbowałeś odkryć prawdę o zabójstwie swojego ojca. Nie odpowiedziałeś mi wtedy, bo twoja matka przerwała nam rozmowę.

– Dlaczego wracasz do tego właśnie teraz?

– Wspominałeś o naszej przeszłości. Tak mi się jakoś skojarzyło – odparła wymijająco.

– Cóż... Kiedy dorosłem, postanowiłem się upewnić, że podczas śledztwa zrobiono wszystko, co należało. Obowiązek synowski nakazywał mi podjąć jakieś działania w tej sprawie. Nawet jeśli nie miały szans powodzenia.

– Dowiedziałeś się czegoś?

– Nie.

– Niczego? Żadnych śladów?

– Nic. Policja nigdy nie trafiła na skradzione przedmioty.

– I nie mieli podejrzanych?

– Wypytywałem każdego, kto mógł coś pamiętać. Bywam u różnych pacjentów i w okolicy, i w miasteczku, ufają mi. Ale nic to nie dało. Tylko Józef otwarcie twierdził, że nie będzie ze mną rozmawiał na ten temat, dlatego sądziłem, że coś wie. Inni powtarzali plotki o wędrownych rzeźmieszkach albo nabierali wody w usta. Mówili, że lepiej nie wywoływać wilka z lasu. To absurd, ale oni tu wierzą w klątwy i inne zabobony.

– Może to jak z historią o rabacji?

– Co masz na myśli?

– Wolą zapomnieć, bo inaczej nie byłiby w stanie żyć obok siebie.

– Umysł ludzki to zagadka. Potrafi wypierać złe wspomnienia, ale czy to dobrze wpływa na człowieka? Polemizowałbym.

– Dlaczego? – spytała, bo natychmiast pomyślała o własnych problemach z pamięcią.

– Po pierwsze, dlatego że trzeba się uczyć na błędach. Po wtóre, zarówno rozpamiętywanie przeszłości, jak i jej wypieranie jest złe. Niewyjaśnione, zadawnione urazy są jak jątrząca się rana. Jeśli ją opatrzysz, ale nie oczyścisz wcześniej z brudów, może zacząć ropieć i w końcu zatruje cały organizm. Dlatego właśnie zależało mi na dotarciu do wszystkich faktów. Nie tylko w imię sprawiedliwości, lecz by oczyścić rany. Swoje i matki. Bo tylko w ten sposób można ruszyć do przodu i...

Mówił coś jeszcze, ale Julia nie słuchała. Dotarł do niej sens jego wypowiedzi.

„Czy moje sny są taką właśnie zaropiałą raną wypartych wspomnień?” – rozmyślała.

– Nad czym się tak zadumałaś?

– Karolu, co byś poradził pacjentowi, którego od dłuższego czasu męczą nocne koszmary i natrętne myśli? Czy uznałbyś to za objawy jakiejś choroby?

– To zależy – odparł zaskoczony, wyczuwając jej nagłe zdenerwowanie. – Miewasz złe sny? –

domyślił się błyskawicznie.

Westchnęła. Nawet w tej atmosferze bliskości nie miała ochoty dzielić się z nim szczegółami swoich przeżyć z ostatnich tygodni.

– Pytam hipotetycznie – skłamała. – Moja *maman* wciąż obsesyjnie wracała do przeszłości, przesiadywała przy grobie Olesia, źle sypiała. Zastanawiałam się, czy to nie było jednak coś więcej niż melancholia. W końcu doprowadziło ją to do śmierci.

Doktor milczał przez chwilę, co tylko wzbudziło w niej większy niepokój.

– Bądź ze mną szczery.

– Jeśli znów pytasz, czy mogłaś odziedziczyć chorobę po pani Zarzewskiej, to powtórnie odpowiadam, że nie.

– Skąd ta pewność? Och, gdyby żył twój ojciec! Opowiedziałby mi o wszystkim.

– Julio... – Niespodziewanie wziął ją za rękę. – Przyznam ci się do czegoś. Ojciec prowadził bardzo skrupulatne notatki o swoich pacjentach. Kiedy skończyłem studia, matka przekazała mi jego archiwum. Domyślasz się zapewne, że najwięcej zapisków dotyczyło pani Zarzewskiej. Ojciec przypuszczał, że źródłem jej problemów było traumatyczne przeżycie z dzieciństwa, gdy pokąsały ją psy.

– O Boże! Nie wiedziałam.

– Fizyczne rany się zabiłiły, ale jej nerwy... – Zawahał się. – Nie powinienem mówić więcej. Mimo że nie była moją pacjentką, nie wolno mi zdradzać tajemnicy lekarskiej. Przyznaję jednak, że jej choroba rozwijała się bardzo nietypowo. Na podstawie obserwacji jej przypadku ojciec planował nawet napisać artykuł naukowy na temat kobiecych chorób nerwowych. Oczywiście bez wymieniania nazwisk.

– To nie jest pocieszające.

– Nieprawda. Mówię ci o tym, żebyś mogła mi zaufać. Jeśli coś cię dręczy, źródło tkwi zupełnie gdzie indziej. Nie w chorobie pani Zarzewskiej. Tego jestem pewien. Opowiedz mi o swoich problemach. Może będę mógł pomóc?

Zmieszała się i wysunęła dłonie z jego rąk.

– To nic ważnego. Próbuję odzyskać wspomnienia z dzieciństwa. Byłam mała, gdy stąd wyjechaliśmy, niewiele pamiętam. – Starła się zbagatelizować sprawę. – Sam wiesz, jakie to męczące, nie znać całej prawdy.

– Całej prawdy... Czy dlatego stałaś dziś na skarpie w tym nieszczęsnym miejscu, które wszyscy omijają jak przeklęte?

Milczała.

– Powinnaś być rozsądniejsza. Gdybym nie znalazł twojego szala obok ścieżki prowadzącej nad rzekę, nie domyśliłbym się, dokąd poszłaś. Pojechałbym szukać cię na cmentarzu. Aż mi skóra cierpnie, gdy o tym pomyślę.

– Widocznie przynosisz mi szczęście.

– Nie wykręcaj się. Powiedz wreszcie otwarcie, co cię gnębi.

– Przecież wyjaśniłam – odparła wymijająco. – Tamtej wiosny straciłeś ojca, ja matkę, nianię i dom. Chcę zrozumieć, jak do tego doszło. Ty szukasz swojej prawdy, ja swojej. Sam powiedziałaś, że należy oczyścić ranę, żeby wyzdrowieć.

– Od początku podejrzewałem, że nie przyjechałaś tu wyłącznie, by objąć posadę guwernantki – mruknął dziwnie niezadowolony. – Nie powinnaś się zbytnio angażować w tę sprawę.

– Dlaczego?

– Już mówiłem. Miejscowi nie lubią wracać do przeszłości.

– Wypytywałeś ich przecież o swojego ojca.

– To co innego. Mnie tu wszyscy znają.

– A ja jestem Zarzewska, czy tak? – Domyśliła się. – Boisz się, że napytam sobie biedy? Już za późno. Nawet gdybym nie wyściubiła nosa ze dworu i tak miałabym wrogów.

– Wyolbrzymiasz problem – mruknął, czując wyrzuty sumienia w związku z postawą matki.

– Nie sędzę.



– A jeśli opowiem ci, czego się dowiedziałem, obiecasz, że przestaniesz drażnić tę kwestię? Nie będziesz rozpytywać ludzi?

– Najpierw powiedz, co ustaliłeś.

– Niewiele więcej, niż opowiedział nam Józef. Tamtego popołudnia wszystko wydawało się normalne. Nic nie zapowiadało nieszczęścia.

– Mówisz o dniu koncertu?

– Tak. Pamiętam niezadowolenie mojej matki. Zaproszenie do powozu jaśnie państwa Zarzewskich było niecodziennym zdarzeniem, ale jej jakoś nie ucieszyło. Skarżyła się ojcu, że nie ma co na siebie włożyć z takiej okazji. Ja uważałem, że wyglądała pięknie, choć przyznaję, że suknia pani Zarzewskiej była niezwykła. Moja biedna matka miała prawo czuć się przy niej nieswojo.

– Widziałeś *maman* w tej cudownej malinowej sukni?

– Wysiadła na chwilę z powozu przed naszym domem. To było zdumiewające, bo bardzo rzadko ją widywałem i nigdy z tak bliska. Poruszała się z taką dziwną, ospałą gracją – mówił, jakby miał przed oczyma tamten obraz. – Dziś zastanowiłbym się, czy przypadkiem nie była pod wpływem waleriany lub innego lekarstwa. Ale wtedy wydała mi się po prostu cudowną nieziemską istotą ze złotymi lokami. Nawet ta blizna na policzku zupełnie jej nie szpeciła.

– Blizna? – zdziwiła się.

– Tak – potwierdził nieco zaskoczony jej reakcją. – Nieładna szrama, którą zwykle zasłaniała włosami. Prawdopodobnie pozostałość po ataku psów.

– Jesteś pewien? Nie przypominam sobie żadnej blizny.

– Jestem pewien. To zdumiewające, jak ślepa potrafi być miłość. W tym wypadku miłość dziecka – dodał rozbawiony.

– Nie żartuj sobie. *Maman* wydawała mi się szczytem piękności. Była jak złotowłosa anioł – broniła się. – W odróżnieniu ode mnie.

– Od ciebie?

– Ciocia powtarzała, że długi nos to cecha Zarzewskich i powinnam być z niego dumna, ale na pensji... – Urwała speszona, że Karol poczyta jej tę uwagę za próżność. – Wybacz, przerwałam ci.

Uśmiechnął się pobłaźliwie. Ta przedziwna dziewczyna otulona śmierzącym baranim kozuchem i lekko falującym bogactwem ciemnym włosów nie miała nawet pojęcia, jak śliczna była w tej chwili, w migotliwym świetle dogasającego ogniska.

– Wracając zatem do meritum, mój ojciec pomógł pani Zarzewskiej zejść po schodkach powozu, a ona podeszła do mnie i pogładziła po głowie. Zauważyłem, że jej drobną twarz pokrywa bardzo gruba warstwa pudru, ale zapewne chciała wyglądać jak najlepiej przed spotkaniem z ludźmi.

Julia słuchała jak zaczarowana.

– Do dziś pamiętam, co powiedziała. Nazwała mnie „swoim pięknym chłopcem”, a później stwierdziła, że bardzo wyrosłem i nadeszła pora, by pomyśleć o odpowiednich nauczycielach dla mnie. Obiecała, że sama się tym zajmie. Miała taki omdlewający głos – opowiadał cicho. – Nie wyglądała jednak jak ktoś, kto właśnie przeżywa atak melancholii. Musiało ją coś później zdenerwować.

– Pomyślałam o tym samym. Czy twoi rodzice nie komentowali koncertu po powrocie?

– Spałem, gdy wrócili. Opiekowała się mną gosposia. Dopiero nad ranem zrobiło się zamieszanie. Ktoś zaczął walić w drzwi i krzyżeć, że stało się nieszczęście. Resztę już znasz.

– A policja?

– Jeszcze przed wieczorem zaszedł do nas inspektor. Chyba ten sam, który później prowadził śledztwo w sprawie mojego ojca. Nie robił żadnych trudności, ceremonia pogrzebowa odbyła się bardzo szybko. Ludzie mówili, że to właśnie przez ten pośpieszny pochówek młody hrabia wpadł w furję. Spodziewał się, że twój ojciec poczeka, aż on zjedzie z Prus na pogrzeb siostry, a tymczasem w dwa dni było po wszystkim.

– Tak prędko?

– Nie dziwi mnie to. Podobno twój ojciec szalał z rozpacz, a pogrzeb jest przecież naturalnym sposobem na pożegnanie z ukochaną osobą. Jeśli sówicie zapłacił, komu trzeba, nie napotkał trudności.

– Mnie chyba nie zabrano na cmentarz – mruknęła.  
– To dobrze. I tak spadło na ciebie zbyt wiele.  
– Pamiętam za to ostatni raz, gdy widziałam *maman*. Tamtego popołudnia Busia kazała mi wcześniej położyć się do łóżka i udawać, że już śpię.

– Dlaczego?

– Gdy *maman* chciała czasem spojrzeć na mnie przed snem, musiałam leżeć cichutko z zamkniętymi oczyma. Wtedy ona przychodziła, szeleszcząc suknią, siadała na skraju łóżka i całowała mnie delikatnie w policzek. Tamtego dnia też nachyliła się nade mną. Pachniała fiołkami. Ale ja nie wytrzymałam. Myślałam, że wybiera się na jakieś przyjęcie, chciałam na nią spojrzeć. Podniosłam się ze śmiechem i zarzuciłam jej rękę na szyję. Do dziś tego żałuję.

– Dlaczego? – zdumiał się.

– *Maman* nie lubiła, gdy ją dotykałam. A w tej pięknej sukni... Przestraszyłam ją – stwierdziła ze smutkiem. – Zerwała się, aż zamigotał brylantowy naszyjnik. Powiedziała tylko: „O mój Boże!” i wybiegła. Więcej jej nie zobaczyłam żywej.

– Przykro mi.

– Od kiedy Józef wspominał o koncercie, zadręczam się, że to wszystko moja wina.

– Co takiego?

– *Maman* musiała być rozstrojona czekającym ją występem, a ja dodatkowo ją podenerwowałam. Czy myślisz, że przeze mnie mogła później źle zagrać i dlatego się załamała? Że to ja...?

– Słucham?! – zdumiał się Karol. – Jak mogłaś pomyśleć coś takiego?

Ponieważ Julia milczała, westchnął ciężko.

– O Boże, zdaje się, że zaczynam rozumieć. To wprost niewiarygodne. Czy dlatego drażysz przeszłość? Bo sądzisz, że jej wypadek zdarzył się przez ciebie? Julio, nigdy nie słyszałem większej bzdury!

„Gdybym tylko mogła wyznać ci całą resztę” – pomyślała zgnębiona, ale postanowiła nie wspominać mu o swoich rysunkach i wszystkich wątpliwościach, które się z nimi wiązały.

– Jeśli nie ja, kto ją zdenerwował? – spytała.

– Na pewno nie ty. Wdowa po radcy mieszkająca w miasteczku opowiadała mi, że ten koncert okazał się wielkim sukcesem. Pani Zarzewska grała wspaniale, a po niej wystąpiło również kilka panien. Wszyscy byli zachwyceni.

– Naprawdę?

– Tak.

– Więc co się stało?

– Jakie to ma znaczenie?

– Karolu? Ty coś wiesz. Proszę, powiedz mi.

– Skoro nalegasz... – Poddał się niechętnie, bo czuł, że Julia nie odpuści. – Kilka dni po pogrzebie moi rodzice okropnie się pokłócili. Od śmierci pani Zarzewskiej ojciec całymi godzinami przesiadywał w gabinecie i ciągle notował coś w swoim dzienniku, a matka chodziła po domu z podkrążonymi oczyma. W końcu poszła do niego i zażądała, żebyśmy wyjechali. Ojciec nie chciał, mówił, że ma obowiązki. Nie słyszałem wszystkiego, bo zamknęli drzwi, ale w pewnym momencie matka wypadła z gabinetu rozhisteryzowana, krzycząc, że... – Urwał.

– Mam tego dość! – krzyczała Natejkowa, trzymając dłoń na sercu, jakby brakowało jej tchu. – Tyle lat spędziłam w tym więzieniu z powodu obcej kobiety! Za co?!

– W więzieniu?

– A jak nazwiesz tę złotą klatkę?! Mam tu służbę, luksusy i nic więcej. Prawie cię nie widuję, nikt nas nie odwiedza. Twój własny syn niedługo zapomni, jak wyglądasz. Wiecznie gdzieś jeździsz, a ja siedzę tu sama.

– Klemciu, uspokój się.

– Nie uciszaj mnie! Wreszcie powiem to, co dusiłam w sobie przez ostatnie pięć lat! Mam dość

tego przeklętego miejsca! Ta kobieta zabrała mi wszystko: ciebie, świat, spokój, ludzkie poważanie, a nawet syna, który całymi dniami znika gdzieś w parku, żeby bawić się z jej córką. Dłużej nie wytrzymam tu ani jednego dnia! Czuję, że znowu zdarzy się coś strasznego, a nie zamierzam narażać życia naszego dziecka. Jeśli chcesz, zostań, ale ja i Karol wyjeżdżamy!

– Klemciu, obiecuję ci, że gdy tylko załatwię pewne sprawy...

– Nie kłam! On cię znowu omota. Dobrze wiem, że pomagasz mu ukrywać jego ciemne sprawy.

– Jakie ciemne sprawy?

– Myślisz, że ludzie nie gadają? Że są ślepi? Zarzewski niby taki troskliwy mąż, a nie raz, nie drugi widziano nocami jego powóz na gościńcach. Dokąd jeździł, zamiast siedzieć przy żonie? Nikt nie mówi tego głośno, ale każdy swoje wie. Tylko żona zawsze dowiaduje się ostatnia.

– O czym mówisz?

– Jak to o czym? Nie udawaj, wykorzystał cię. Wmówił inspektorowi i ludziom, że Zarzewska miała atak melancholii i jechała swoim zwyczajem na cmentarz. Ale ja wiem swoje. Ona po prostu go śledziła. Wreszcie po latach dowiedziała się prawdy i chciała go przyłapać z kochanką!

– Klementyno!

– Karolu? – Julia wyrwała go z zamyślenia. – Co powiedziała twoja matka?

Mężczyzna otrząsnął się ze wspomnień i westchnął. Zdawał sobie sprawę, jak wielką przykrość sprawi jej za chwilę. Oddałby wszystko, by tego uniknąć.

Już w dzieciństwie Julia budziła w nim instynkty opiekuńcze. Ojciec zwrócił mu kiedyś uwagę na to, że ta bogata samotna dziewczynka ma w zasadzie wszystko, poza ciepłem rodzinnym, dlatego powierzył mu ją w braterską opiekę. Jednak dopiero po latach, czytając ojcowskie notatki, Karol w pełni zrozumiał jego intencje. Tak przynajmniej sądził, bo ojciec często używał skrótów myślowych, oczywistych tylko dla niego.

Mimo że pewne zapiski dotyczące Zarzewskich mocno Karola zdumiały, potraktował je jak zbiór informacji o przypadkach medycznych. Po przeczytaniu trafiły na dno zamykanej skrzyni z dokumentami. Nie spodziewał się, by kiedykolwiek te notatki były mu jeszcze potrzebne.

Gdy Julia zjawiła się we dworze, wiele uczuć z przeszłości nagle wróciło, a on zrozumiał jedno: robi, co tylko w jego mocy, by ochronić tę śliczną, nieco zagubioną dziewczynę przed nią samą. Słusznie obawiał się, że za jej przyjazdem kryje się coś więcej, dlatego postanowił czuwać, by nie poruszyła lawiny, o istnieniu której nie miała pojęcia. Początkowo był skłonny nawet przeszkadzać jej w dotarciu do informacji, bo doskonale rozumiał, że sprawią jej tylko ból. Natura lekarza podpowiadała mu, by w tym przypadku trzymać się podstawowej dewizy: przede wszystkim nie szkodzić. Jednak z każdym upływającym dniem czuł się coraz bardziej rozdarty. Z jednej strony chciał jej pomóc, bo widział, że coś bardzo ją gnębi, z drugiej nie wyobrażał sobie, że przyłoży do tego rękę. Pytania, które zadawała, sugerowały, że niewiele zapamiętała z dzieciństwa, co było zupełnie naturalne. Dlatego postanowił nie uprzedzać faktów, tylko zaczekać na rozwój wydarzeń.

Teraz, siedząc obok niej w zimnym lochu, zrozumiał, że właśnie nadeszła ta chwila. Najwyraźniej Julia była zbyt uparta i zdeterminowana, by zrezygnować z dociekania prawdy. Wypadek nad rzeką przeraził go, dlatego postanowił, że dla jej dobra musi podzielić się swoją wiedzą, by nie starała się już dokonywać żadnych odkryć na własną rękę.

– Matka wykrzyczała wtedy, że mój ojciec powinien się wreszcie zająć własną rodziną, zamiast służyć człowiekowi, który...

– Który?

– Który zdradzał żonę.

Julia milczała przez chwilę.

– A więc to prawda – mruknęła.

– Wiedziałaś o tym? – zdumiał się.

– Nie miałam pewności, ale kiedyś, wiele lat temu, przeczytałam fragment pewnego listu.

Przypomniała sobie sytuację, gdy tuż przed swoimi dziesiątymi urodzinami postanowiła

w sekrecie poszukać zapowiedzianej przez ciotkę niespodzianki. Zakradła się do jej gabinetu i przejrzała wszystkie szuflady biurka, by sprawdzić, czy Barbara nie ukryła tam przypadkiem prezentu. Marzyła wtedy o prawdziwej kamei, którą mogłaby się chwalić przed dziewczynkami na pensji, ale zamiast tego w jednej ze szkatulek natknęła się na rozpieczętowany list z nagłówkiem: „ Droga Julio”.

Nim do gabinetu wpała ciotka i z okrzykiem oburzenia wyrwała jej papier, dziewczynka zdążyła przebiec wzrokiem kilka linijek. W głowie najbardziej utkwiły jej słowa: „ zdradziłem i opuściłem Twoją matkę”.

– Jakiego listu?

– Napisał go do mnie ojciec. Chyba wyznawał w nim swoje winy, ale nigdy nie przeczytałam go w całości.

– Dlaczego?

– Ciocia uznała, że byłam zbyt młoda, a później dom i nasze rzeczy spłonęły w pożarze miasta. Jakoś nigdy nie znalazłam w sobie śmiałości ani ochoty, by spytać ciotkę, co właściwie ojciec napisał.

– Ach tak.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeli: ona zamyślona, on skrępowany tematem, który sam wywołał.

– Czy słyszałeś może jakieś plotki, kim była... tamta kobieta? – spytała cicho.

Karol podziękował w duchu Bogu za ciemność, która zapadła w lochu, bo podejrzewał, że zaczerwienił się aż po czubki włosów.

Jeszcze nigdy nie przyszło mu rozmawiać o małżeńskiej zdradzie z żadną kobietą, a tym bardziej z panną. Bezpośredniość Julii świadczyła jednak o zaufaniu, jakim go obdarzała, a to nappełniło jego serce ciepłem.

– Nie – odparł. – Ale tak jest przecież lepiej. Może to były tylko plotki? Wiesz, jakie bzdury ludzie potrafią wymyślić.

– Masz rację.

Julia poczuła dziwną ulgę.

„ Och, papo, musiałeś bardzo cierpieć – pomyślała. – Jeśli to nie były plotki, czułeś się podwójnie winny. Ale w takim razie dlaczego mnie zostawiłeś? Skoro nie obwiniałeś mnie o śmierć *maman*, czemu wyjechałeś beze mnie?” – zastanawiała się, patrząc na migające w ciemności pomarańczowe i czerwone kropki żaru, który od dłuższej chwili gasł w popiele.

Nagle, siedząc skulona w ciemności, poczuła się nieswojo. Gdy ognisko przestało dymić, wymieszany ze sobą zapach wilgoci i gnijących beczek po winie otoczył ją jak niewidoczny wróg.

Zesztywniała.

„ Ja znam ten zapach – pomyślała. – Skąd?”

– Julio? Co ci jest?

Odpowiedziała mu cisza, w której słyszał jedynie przyspieszony oddech dziewczyny.

– Źle się czujesz? Co się dzieje?

– Co? Ja... Nie wiem, wyjdźmy stąd. Potrzebuję świeżego powietrza. – Zerwała się, budząc chłopca.

– Julio!

– Już po burzy? – spytał zaspany Franek, ale kobieta była już na schodach.

Gdy znaleźli się znów w lesie, Karolowi wystarczyło jedno spojrzenie na jej pobladłą twarz, by zrozumieć, że coś się stało.

„ Czyżby sobie przypomniała? Sądziłem, że to niemożliwe, była wtedy w gorączce. Ale jeśli tak...”

## ROZDZIAŁ XV

Pożar stelmacharni okazał się szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Trójka zmarzniętych konspiratorów dotarła pod dwór od strony kwiatowego ogrodu, dlatego dym zobaczyli właściwie w ostatniej chwili.

– Boże! Chyba coś się pali!

– To gdzieś dalej. Pójdę tam, a ty... a pani, panno Julio, niech wraca do siebie. – Karol szybko się poprawił. – Dwór raczej nie jest zagrożony. Franku, biegnij do mojej oficyny po torbę lekarską, ktoś może potrzebować pomocy.

Dziewczyna błyskawicznie pojęła sens zmiany tonu. Sama przecież prosiła Karola, by to, co się wydarzyło na drugim brzegu rzeki, pozostało dla wszystkich tajemnicą. Ich wspólna, choć dość dramatyczna wycieczka w przeszłość skończyła się, gdy tylko przekroczyli most i wrócili do teraźniejszości. Skinęła głową.

– Dziękuję za wszystko. Niech pan będzie ostrożny, Karolu.

Z oddali słychać było krzyki, więc doktor, upewniwszy się, że dziewczyna poradzi sobie sama, pobiegł w tamtą stronę.

Julia sprawdziła, czy niezdarnie spięta fryzura trzyma się choć trochę, po czym cicho zakradła się przez taras do środka. Gdy otwierała drzwi do swojego pokoju, nie mogła wprost uwierzyć w swoje szczęście. Najwyraźniej wszyscy zajęli się pożarem, ponieważ nie spotkała po drodze nikogo, kto mógłby się zdziwić jej nieporządnym wyglądem. Dopiero w sypialni natknęła się na zmartwioną Marysię.

– No wszelki duch Pana Boga chwali! – Pokojówka zerwała się na jej widok z klęcznika, przy którym najwyraźniej odprawiała modły. – Wreszcie pani jest! Toż ja od zmysłów odchodzę. Jak pani wygląda!

– Ciszej, Marysiu. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, że wychodziłam, bo tylko niepotrzebnie by wygadywali.

– To samiuśko rzekł mi pan doktor, jakżem go w ogrodzie przy zegarze spotkała. Poszłam pani szukać, żeby spytać, czy jakiej książki nie przynieść albo co. A pan doktor już tam był i obiecał, że panią znajdzie, ino żebym nikomu nie mówiła. Olaboga! Ależ pani przemokła! Trza to szybko zdjąć, bo może być nieszczęście. Ciotka mojej kuzynki tak kiedyś przemarzła w burzy i w trzy tygodnie było po niej.

– Pan doktor polecił ci milczeć? To ciekawe – mruknęła.

Z ulgą poddała się zabiegom pokojówki, która sprawnymi ruchami odpinała tysięczne guziki, haftki i zapięcia, wyzwalając Julię z lodowatego objęcia wciąż mokrej sukni.

– I nikt się nie zorientował, że mnie nie ma?

– A był tu lokaj z pytaniem, o której dla pani nakryć do obiadu, ałem mu rzekła, że pani ma ból głowy i na posiłek nie zejdzie.

– Dziękuję, Marysiu. Bardzo mi pomogłaś. Każda dama chciałaby mieć taką wierną i sprytną garderobianą.

Młoda dziewczyna zarumieniała się na tę pochwałę.

– To przecież nic wielkiego. Ależ ma pani lodowate ręce. Zaraz przyniosę ciepłej herbaty. Kto to widział w taką nawałnicę na zewnątrz być? Mam nadzieję, że jaśnie pan z panią przeczekali gdzieś bezpiecznie, bo aż strach, co się działo. Pioruny trzaskały tak, że aż się trzęsłam.

– A właśnie! Co z tym pożarem? Mam nadzieję, że nikomu się nic nie stało.

– Zdaje mi się, że nie. Najświętsza Panią nas uchroniła, bo deszcz pomógł wszystko ugasić. To pod lasem się coś paliło.

Julia pociągnęła nosem i skrzywiła się, czując nieprzyjemny swąd przenikający nawet przez zamknięte okna.

– Marysiu, po drodze do kuchni wyjrzyj proszę na zewnątrz. Dowiedz się, czy na pewno już wszystko ugasił.

Wspomnienie pożaru miasta wciąż pozostawało w niej żywe, choć ona sama dzięki przytomności ciotki i domowej służby zdążyła wtedy na czas opuścić dom. Zapach spalenizny pozostawił jednak wyraźny ślad w jej pamięci i teraz niespodziewanie wrócił.

– Pewnie, że sprawdzę. A pani gdzie się schowała przed burzą?

– Nie pytaj, Marysiu. I pamiętaj, żeby mnie nie zdradzić. Byłam tylko w ogrodzie i wróciłam z bólem głowy jeszcze przed ulewą. A psik! – Kichnęła nagle.

– O właśnie! Na pewno się pani przeziębiła. Zamiast herbaty, trza naparzyć kwiatów lipowych posłodzonych miodem. I mocno się wygrzać.

– To bardzo dobry pomysł. A psik!

– Niech się pani okryje. – Służąca podała jej peniuar. – Co my zrobimy z pani włosami? Toż to klęska prawdziwa – mruknęła pod nosem, załamując ręce na widok zabrudzonych, poplątanych i wciąż wilgotnych pukli. – Jak to rozczesać? Przez tydzień z tym do ładu nie dojdziemy. Trzeba by kąpiel urządzić i w liściach orzecha popłukać.

– Nie teraz. Chcę się położyć. Jestem bardzo zmęczona.

– A kolację przynieść pani tutaj?

– Nie, z tych emocji nawet nie chce mi się jeść. Ciepła herbata wystarczy. Ale gdyby doktor Natejko pytał, przekażesz, że czuję się dobrze, tylko wypoczywam.

– Dobrze, proszę pani.

\* \* \*

Karol chodził między ludźmi zgromadzonymi przy pogorzeliisku i sprawdzał, czy ktoś nie odniósł ran. Opatrzył kilka niegroźnych oparzeń, zdezynfekował mocne zadrapania, a upewniwszy się, że nikt więcej nie potrzebuje jego pomocy, poszedł do koni.

Najbliżej pożaru stała źrebiarnia, z której stajenni na wszelki wypadek zawczasu wyprowadzili przerażone koniki na odległe pastwisko. Jednak w stajni bryczkowej zostały dorosłe wierzchowce, wciąż niespokojne z powodu gryzącego dymu niesionego przez wiatr.

– Dziękuję, Franku. Ty już lepiej wracaj do domu. – Karol wziął od chłopca swoją torbę, którą ten cały czas za nim nosił. – Tylko pamiętaj, o co prosiła panna Julia. Gdyby ktoś pytał, mów, że byłeś ze mną nad rzeką. Panny Julii tam wcale nie było.

– Ale, panie doktorze...

– Zmykaj, bo gospodyni będzie się o ciebie martwiła.

– Ale panie doktorze! Ja muszę panu coś rzec.

– Później, teraz nie mam czasu. Nie widzisz, co tu się dzieje?

– Kiedy to ważne! O pani uczycielce.

– O kim? – Karol w końcu przystanął, kilka kroków przed stajnią.

– No o naszej pani. Bo ja żem jej nie przeprosił, a to chyba przeze mnie to wszystko. – Chłopiec spuścił głowę.

– Franuś, mów porządnie. Co przez ciebie?

– A bo to, widzi pan doktor, tamto nad rzeką...

– Ciszej.

– Mnie się zdaje, że to przeze mnie się stało – szepnął chłopiec, rozejrzawszy się wcześniej wokoło.

– Jak to, przez ciebie?

– Bo kiedy pani stała na skarpie, zaszeleściło cosik w krzakach. Ja żem się odwrócił, a wtedy mi koło nosa świstnęło i trafiło w głowę. I tak se teraz myślę, że to mój gospodarz ze złości chciał we mnie wcelować. On jak se popił, to często tamtędy drogę z karczmy skracał. Może i dziś szedł?

- Franku, o czym ty mówisz? – Zdumiony doktor aż przykucnął przy chłopcu, by spojrzeć mu w twarz. – Coś trafiło cię w głowę?
- Nie. W panią trafiło zamiast we mnie. Aż się wykopyrtnęła do rzeki.
- Słucham?! Co trafiło w panią?
- Ten kamień, który z krzaków wyleciał. Na własne oczy żem widział. Przysięgam.

\* \* \*

„Boże, jaka jestem zmęczona – westchnęła Julia w duchu, półleżąc na szezlongu w oczekiwaniu na lipową herbatę. – Te ruiny coś mi... Nie mam teraz siły. Pomyślę o tym jutro”.

Dramatyczne przeżycia nad rzeką wstrząsnęły nią, ale jednocześnie okazały się doświadczeniem wyzwalającym. Zamiast przerażać się kruchością życia, myślała głównie o Karolu. Poczowała się jak przed laty – gdy Karol brał na siebie wszystkie konsekwencje ich psikusów, chroniąc ją przed tym, co złe i nieprzyjemne. Ufała mu wtedy bezgranicznie i to uczucie wróciło teraz, otulając jej zgnębioną duszę jak ciepły koc. Jego bezdyskusyjne przeświadczenie, że Julia nie przyczyniła się swoim zachowaniem do śmierci matki, przyniosło jej niewyobrażalną ulgę. Przepęłniała ją wdzięczność dla Karola, nie tylko za uratowanie życia. Już dawno przed nikim tak się nie otworzyła w rozmowie, jak przed nim. Czuła, że on doskonale rozumie jej rozterki, ponieważ łączą ich podobne doświadczenia życiowe.

„Może powinnam wyznać mu wszystko? Gdyby nie Karol, nadał bym się obwiniała. A on ma rację. Co mogłam zrobić? To były małżeńskie sprawy moich rodziców – rozważała. – Biedny papa. Plotka wróblem wyleci, a wraca wołem. Nie mnie oceniać, czy był wiernym mężem, czy nie. Cokolwiek uczynił, na pewno bardzo kochał *maman*. Tak cierpiał po jej śmierci... Coś jednak musiało ją zdenerwować, a przypuszczenie Karola ma sens”.

Bez trudu wyobraziła sobie złośliwą damulkę, podobną do przyjaciółki Skrzeczyńskiej, jak po koncercie z fałszywą troską wyjawia jej matce tajemnicę niewiernego małżonka.

– Najważniejsze, że nie muszę się czuć winna – szepnęła z ulgą. – Nie zrobiłam nic złego. A jeśli coś jeszcze ukrywa się w zakamarkach mojej pamięci, niech wyjdzie na światło dzienne. Najwyższy czas oczyścić ranę do końca. Już się nie boję – stwierdziła z mocą, jakby wypowiadała zaklęcie uwalniające spod złego czaru.

Poczowała się nagle wolna i lekka. Zapragnęła wszystkim bliskim osobom wyznać, jak bardzo są dla niej ważni i jak się cieszy z ich obecności w swoim życiu. Odrobinę zaskoczyła ją myśl, że obok cici, Aurelki czy Włodziowej chciałyby przede wszystkim powiedzieć Karolowi, jak ciepłe budzi w niej uczucia.

Przepęlniona różnymi emocjami usiadła do biurka, by zredagować naprędce list do Barbary. Nie umiała się jednak skupić na pisaniu.

„Od czego zacząć? Nie wiesz o tylu sprawach, ciociu – rozmyślała. – Nie wszystko jeszcze rozumiem. Moje sny, rysunki... Ale czy to ważne? Nie miałam wpływu ani na chorobę *maman*, ani na małżeńskie kłopoty rodziców. Tak powiedział Karol. – Uśmiechnęła się lekko. – Teraz już wszystko będzie dobrze”.

W tym samym momencie poczuła, że przenika ją chłód. W półmroku zapadającego wieczoru ujrzała nagle kamienne schody. Przez ułamek sekundy, który zdawał się być wiecznością, patrzyła, jak bezładnie turla się po nich pulchne ciało niani, niczym upuszczona przez dziecko szmaciana lalka. Gdy zatrzymało się u jej stóp, poczuła zapach krwi. Wiedziała, że nie było już w nim życia.

„Jezus, Maria! – krzyknęła w myślach. – Busiu!”

Nie była w stanie się poruszyć. Czyjś wzrok, ostry jak sztylet, paraliżował ją. Czuła, że ktoś stoi na szczycie schodów, słyszała, jak wściekle sapie, ale nie mogła unieść głowy, by na niego spojrzeć.

Przerażona zamrugwała oczyma. Wizja natychmiast zniknęła.

– Boże! – wyszeptła cichutko zbielełymi ustami, upuszczając pióro, które na białej kartce listowego papieru zostawiło bezkształtną atramentową plamę. – Co to było?

\* \* \*

– Może jednak wezwę doktora, proszę pani? – Zmartwiona pokojówka troskliwie poprawiła Julii poduszkę. – Tak pani źle wygląda, że strach. Kompres tu chyba nie pomoże.

– Marysiu, błagam cię – szepnęła tak słabym głosem, jakby rzeczywiście dostała ataku migreny.

– Muszę tylko wypocząć. Przygaś lampę i zostaw mnie samą. Chcę zasnąć.

– Jak sobie pani życzy. Ale ja jeszcze posiedzę z robótką w czeladnej. Jakby pani czegoś chciała, proszę ino szarpnąć za dzwonek. Zaraz przylecę.

– Dobrze. Zaglądałaś do panienki?

– Pani ochmistrzyni się nią zajęła.

– A pan Laskowic pytał o mnie po powrocie?

– Nie, zaraz poleciał do pogorzelska. A teraz naradza się w gabinecie z ludźmi.

– Dobrze. Idź już.

Gdy tylko służąca zamknęła drzwi, Julia zdjęła zimny okład z czoła. Nie mogła się uspokoić.

„ To niemożliwe! – powtarzała rozpaczliwie w myślach. – Kto miałby zepchnąć Busię ze schodów? Dlaczego?! Przecież ona była chodzącą poczciwością! Nie, nie! Nie wierzę. Wypadek to co innego, ale morderstwo?! Więc skąd mi się to wzięło? Moja biedna niania! Może to jedna z tych historyjek, które wymyślałam na pensji, żeby straszyc koleżanki? Powinnam się wstydzić!” – strofowała się, zaciskając spocone dłonie.

Widok spadającej ze schodów kobiety nie chciał jej jednak opuścić. Z teczki z rysunkami wyjęła czysty papier. Szkicowała na stojąco, pochylając się nad kartką, a gdy skończyła, bez namysłu schowała rysunek razem z innymi. Nie miała siły patrzeć na zamazaną niewyraźną sylwetkę kogoś, kto wyglądał jak zjawa bez twarzy, a stał na półpiętrze szerokich schodów.

„ Dlaczego teraz, kiedy już wszystko zaczęło się układać, przyszło mi do głowy takie okropieństwo? Nie chcę o tym myśleć! To na pewno nieprawda! Nie mam wyjścia, muszę szczerze porozmawiać z Karolem o moim zdrowiu, nieważne, co sobie pomyśli. Dłużej nie dam rady”.

Wyczerpana wróciła do łóżka i zamknęła oczy.

\* \* \*

Każde stąpienie po kamiennych schodach brzmiało w jej uszach jak wystrzał armatni. Ktoś schodził w dół. Złowrogi szmer materiału przesuwającego się po kolejnych stopniach zdawał się wyprzedzać powolne, ale pewne siebie kroki. Szelest i stuk. Szelest i stuk. Coraz bliżej i bliżej. Szelest i stuk...

Jej przerażone ciało zastygło. Wiedziała, że ciemność jej nie ochroni, jednak zamarła bez ruchu, zaklinając rzeczywistość. Nawet gdyby chciała, nie mogła poruszyć żadnym mięśniem: ani zaciśniętymi z całej siły powiekami, ani zębami zagryzionymi aż do bólu, ani dłońmi ciasno zwiniętymi w pięści. Nawet jej oddech nie miał się gdzie pomieścić, bo ściśnięte wonią krwi gardło broniło dostępu do płuc jak oblężona twierdza. Tylko serce biło na alarm, lecz tego nikt poza nią nie słyszał.

Zbliżające się nieuchronnie kroki szły wprost na nią. Szelest i stuk, szelest i stuk, głośniejsze i głośniejsze... Cisza.

Wściekle sapanie rozległo się gdzieś wysoko ponad jej głową. Gdy owionął ją zapach



przetrawionego alkoholu, żołądek aż się jej skręcił. Obrzydliwie ciepły, śmierdzący oddech dotknął nagle jej policzka.

„Ratunku!” – krzyknęło coś w jej głowie, ale zamiast rzucić się do ucieczki, nawet nie drgnęła.

– Trzeba się było nie włóczyć nocą po korytarzach – zasyczał głos tuż przy jej uchu. – Trzęsiesz się? Słusznie. Teraz już nie ma cię kto bronić, przybłądo. Bodajbyś zdechła ty i ta wywłoka, która cię urodziła. – Świdrujący szept oplatał ją niczym trujący bluszcz. – Jeśli piśniesz o mnie choć słowo, skończysz jak ta tutaj. A później każdy, komu o tym powiesz. Zrozumiałaś? Nawet twój ojciec. Teraz już nikt się nie liczy. Zapomnij, coś tu widziała, albo z rozkoszą ukręcę ci łeb jak kurczakowi, o tak.

Dotknięcie, które poczuła na szyi, zadziało jak oparzenie wrzątkiem. Zmartwiałe ciało obudziło się z krzykiem.

– O Boże! – jęknęła, podrywając się z poduszki. – Dłużej tego nie zniosę – szepnęła roztrzęsiona, chowając twarz w dłoniach. – Nie wytrzymam! Niech to się wreszcie skończy. Wszystko jedno jak!

Pianie koguta za oknem oraz chłód panujący w pokoju otrzeźwiły ją. Sięgnęła po chusteczkę i otarła spocone czoło.

„ Teraz rozumiem, co znaczył sen o ucieczce przez park – pomyślała wzburzona. – Gdy zamordowano Busię, zamiast do ojca, pobiegłam do jedyne miejsce, w którym mogłam się ukryć. Do ruin. Boże, jak mogłam o tym zapomnieć?!”

Dreszcze, które nią w tej chwili wstrząsały, nie miały nic wspólnego z chłodem. Zdała sobie sprawę, że wszystkie kawałki rozbitego lustra jej pamięci zaczynają składać się w jedną, okropną całość. Przez chwilę nabierała odwagi, po czym na trzęsących się nogach wstała z łóżka i wyjęła z komody szkice, które kilka godzin wcześniej tak starannie schowała w szufladzie pod gorsetami, by przypadkiem nikt ich nie znalazł.

Rysunek przedstawiający niewyraźną postać na schodach znajdował się na samym wierzchu. Patrzyła na niego przez chwilę, ledwie nad sobą panując.

– Kim byłeś, łajdaku!? Co ci zrobiła moja biedna niania? Dlaczego mnie oszczędziłeś? – Słowa, które wypowiadała, brzmiały w jej uszach, jakby mówił je obcy głos, więc zamilkła.

„ Głupia! Głupia! Łudziłam się, że wiem już wszystko, co potrzeba. – Wyrzucała sobie. – Dlaczego nikogo nie zdziwiła jej śmierć ani moja ucieczka? Nikt niczego nie podejrzewał, nie wzywano policji? Dlaczego? Bo zginęła zwykła służąca?! A może raczej dlatego, że tym obłudnym plotkarzom wystarczyła wersja o kłątwie! – Wściekała się w duchu. – Cóż za nikczemność! Obgadać, obrzucić błotem, tak najłatwiej. Ojciec był pogrążony w żałobie, ale inni mogli coś zrobić. A może... – Z wrażeń aż usiadła. – Może powiedziałam ojcu, co zobaczyłam, i dlatego mnie wywiózł? Żeby mnie chronić... Nie, w takiej sytuacji każde dziecko milczałoby jak grób. Tak jak Franek. Nikomu się nie poskarżył, bo lękał się o bezpieczeństwo siostry. Ja bałabym się o ojca. Wtedy miałam już tylko jego. – Przez chwilę walczyła ze łzami, które cisnęły się jej do oczu. – Ale jeśli ktoś przyczynił się do śmierci Busi, to może i doktor, i *maman*...” – Urwała, bo ta myśl ją przeraziła.

Podejrzenia wdarły się do jej umysłu niczym wezbrana rzeka. Zdenerwowana przerzuciła rysunki i zatrzymała się na jednym ze szkiców kominka. Ogień, który w nim płonął, narysowany był tak mocno przyciśniętym do papieru ołówkiem, że w kilku miejscach kartka aż się przedarła. Czarne od grafitu, szerokie zarysy płomieni zdawały się wychodzić aż poza obręb kominka, jakby chciały pożreć wszystko wokół.

– Ten przeklęty kominek z sypialni *maman*! Musi coś znaczyć.

Nagle poczuła swąd palonej tkaniny.

– O Boże! – szepnęła przestraszona, gdy zakręciło się jej w głowie. – Tylko nie to!

Przez chwilę wachlowała się rysunkiem, który wciąż trzymała w dłoni. Gdy z ogrodu przyplłynęło uspokajające podzwanianie kosa, zebrała się w sobie i podeszła do okna. Wciąż drząc ze zdenerwowania, spojrzała na mgłę unoszącą się cienkim muślinem nad uśpioną okolicą.

– Bredzicie o kłątwie Zarzewskich, a tymczasem prawdziwy morderca zbiegł! – szepnęła gniewnie.

„ Skoro biedny doktor został zamordowany, a Busię zrzucano ze schodów... To nie mógł być przypadkowy rzeźmieszek. Czuję, że go znałam. – Dłonie same zacisnęły się jej w pięści. – Boże! Jeśli ten ktoś wciąż tu gdzieś żyje, mój przyjazd na pewno go zdenerwował. Pewnie sądzi, że pamiętam. Sprowadziłam niebezpieczeństwo na ten dom! – Przeraziła się. – Ale nie pozwolę już nikogo skrzywdzić. Dostanę się do pałacu i zobaczę te piekielne schody! Jeszcze dziś! A wtedy przypomnę sobie wszystko i sprawiedliwości stanie się zadość”.

\* \* \*

Zmartwiony Karol niespiesznie kończył poranną toaletę. Wczorajsze wydarzenia dopiero dzisiaj, gdy opadły emocje, wydały mu się przerażające. Wypadek Julii w świetle późniejszego wyznania Franka przestawał być przypadkowy i świadomość tego aż podnosiła mu włosy na głowie. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, co by było, gdyby niegroźna kontuzja mastalerza okazała się naprawdę poważna i zabrała mu więcej czasu.

Przez pół nocy walczył z ciężkimi myślami, zastanawiając się, czy chłopiec miał rację, podejrzewając Szymoniaka o czyn tak niegodny i bezmyślny. Gdyby okazało się to faktem, musiałby wyznać wszystko panu Laskowicowi, bo miarka ich cierpliwości wobec dawnego opiekuna Franka już dawno się przebrała. Wiedział jednak, jak bardzo Julii zależy na dyskrecji, dlatego miał nadzieję, że zdenerwowany chłopiec po prostu się pomylił. Postanowił nie rozmawiać o tym z nikim do czasu, gdy sprawdzi, gdzie wczoraj przebywał wiecznie pijany chłop.

„ Mimo to trzeba nakłonić Julię, żeby nie opuszczała sama terenu dworu – pomyślał, bo gnębiło go jakieś niejasne przeczucie. – Tylko jak to zrobić? Ta dziewczyna jest uparta jak koza. A to nie są żarty! – Irytował się, nie chcąc przyznać, że ogromnie się o nią martwi. – Nie zna tutejszych ludzi, działa impulsywnie, nie rozumie, że poruszając kamień, może wywołać lawinę. A ja nie potrafię powstrzymać nawet własnej matki przed wyrządzeniem Julii przykrości. Dobrze, że przynajmniej o tamtej sprawie nikt nie wie. Dopiero by się działo”.

Mimowolnie spojrzął na wielki malowany kufer stojący w kącie. Trzymał w nim różne dokumenty, stare zdjęcia, a także archiwum medyczne ojca.

„ Właściwie dla jej dobra powinienem spalić zapiski o Zarzewskich” – pomyślał, choć wiedział, że nie będzie miał śmiałości zniszczyć dokumentów tak starannie zapisanych ręką ojca.

Gdyby chodziło tylko o opis ciekawego przypadku medycznego, w obecnej sytuacji nawet by się nie zawahał. Niewiele jednak zostało mu pamiętek po ojcu, dlatego każdy, najmniejszy nawet karteluszek zapelniony jego pismem wydawał mu się zbyt cenny, by rzucić go na pożarcie płomieniom.

Z ciężkim sercem podszedł do lustra, chcąc ułatwić sobie zapinanie sztywnego kołnierzyka.

Od chwili gdy znów po latach zobaczył Julię, nie mógł się uwolnić od myśli o niej. Wróciły do niego wszystkie wspomnienia z dzieciństwa: i te dobre, i te złe. Przeszłość, którą, jak sądził, udało mu się zostawić za sobą, znów go dosięgnęła mackami swoich podejrzeń.

Śmierć ojca wstrząsnęła nim, ale dopiero po wielu latach zdał sobie sprawę, że w tamtych tragicznych wydarzeniach kryło się coś mrocznego i nieprzypadkowego. Prywatne śledztwo, które starał się dyskretnie przeprowadzić po powrocie ze studiów, wywołało spore poruszenie wśród okolicznych mieszkańców. Dociekliwość młodego doktora nikomu nie była na rękę, choć ludzie starali się okazywać pozorną życzliwość i współczucie. Nie dowiedział się jednak niczego nowego. Mieszkańcy uważali, że napad w lesie nie miał nic wspólnego z wypadkami w pałacu i że lepiej do tego nie wracać. Karol przestał w końcu pytać, bo sam pan Laskowic zaniepokoił się, że jego młody podopieczny ściąga sobie na głowę jakieś kłopoty. Argument o niepotrzebnym naruszaniu spokoju jego matki ostatecznie przekonał go, by zrezygnować z dalszych dociekań. Wiedział jednak swoje. Od chwili, gdy przeczytał nie do końca jasne

notatki swojego ojca, podejrzewał, że państwo Zarzewscy mieli znacznie więcej do ukrycia niż małżeńskie zdrady. Ich chęć odizolowania się od świata przestała go dziwić, gdy zdał sobie sprawę, jak ekscentryczną i dziwną byli parą.

Mimo że tragiczne wypadki w pałacu nie musiały mieć związku z napadem na ojca, Karolowi do dziś nie dawały spokoju dwie sprawy. Pierwszą z nich było zniknięcie ostatniego tomu lekarskiego notatnika. Zakładał, że właśnie w nim ojciec zanotował wszystkie uwagi dotyczące tragicznej śmierci pani Zarzewskiej, oględzin jej ciała oraz wszelkich spostrzeżeń natury medycznej. Tam również musiały się znaleźć zapiski dotyczące zarówno piastunki Balbiny, która nieszczęśliwie skreśliła kark trzy dni po pogrzebie dziedziczki, jak i niespodziewanej choroby małej Julki. Wśród wszystkich zachowanych dokumentów brakowało jednak chronologicznie ostatniego notatnika. Jedynym logicznym wyjaśnieniem była kradzież ojcowskiej torby lekarskiej, w której ów notatnik najprawdopodobniej znajdował się podczas napadu. I ten właśnie fakt go zastanawiał. Choć budziło to w nim gniew i niewyobrażalny ból, był w stanie zrozumieć powód grabieży pugilaresu, kieszonkowego zegarka, złotego łańcuszka z krzyżykiem czy obrączki, które zabójca zdjął z pokaleczonego ciała. Do czego jednak była potrzebna przypadkowemu rzeźmieszkowi torba z lekami i medycznymi narzędziami? Właściwie nigdzie nie mógłby jej sprzedać bez wzbudzania podejrzeń. Odpowiedź nasuwała się sama: zabójca musiał uznać, że było tam coś cennego.

Druga niepokojąca go kwestia wiązała się z Julią. Choć widywali się codziennie od kilku tygodni, nie miał śmiałości wypytywać ją o tamtą noc sprzed lat, gdy znalazł ją w kryjówce – w samej koszuli, przemarznątą i majaczącą. Im bardziej się do niej zbliżał, tym bardziej chciał jej zaoszczędzić przykrości. To powstrzymywało go przed pytaniami. Okoliczni ludzie wysnuli bowiem przed laty teorię, że skoro Julka z tajemniczych powodów wymknęła się wtedy z sypialni, jak jej matka kilka dni wcześniej, to Balbina poszła jej po prostu szukać. Ponieważ przy ciele służącej nie znaleziono świecy, uznano, że w ciemności poślizgnęła się na schodach. Karol podejrzewał, że gdyby Julia poznała te plotki, natychmiast obarczyłaby się winą za tamten wypadek, dlatego milczał. Nie wszystko jednak w tej sprawie wydawało mu się tak oczywiste, jak innym ludziom.

Dobrze zapamiętał poranek, gdy jego ojciec poszedł wraz z innymi szukać dziewczynki. Patrzył wtedy przez okno, jak pan Zarzewski biegnie po parku ze wzrokiem szaleńca i nawołuje córkę. Mimo że wezwano na pomoc ludzi i przeszukano wszystkie zakamarki, nie udało się jej tak szybko odnaleźć, gdyby nie przecucie małego Karola. Znał tylko jedno miejsce, w którym on również schowałby się, gdyby chciał zniknąć – kryjówkę w ruinach. Ponieważ matka zamknęła go w pokoju, wyskoczył przez okno i odnalazł Julkę prawie nieprzytomną z gorączki i zimna. Z trudem zaniósł ją na plecach do pałacu.

Gdy wczoraj w lochu wydało mu się, że Julia zaczęła sobie przypominać tamto zdarzenie, zabrakło mu odwagi, by o to spytać. Zastanowiły go bowiem słowa, które mała Julka powtarzała w malignie, gdy wynosił ją wtedy z kryjówki: „Nie powiem nikomu. Przysięgam. Zostaw mojego papę”. Nie dawała mu spokoju myśl o tym, co mogło tak przerazić małą dziewczynkę, by w środku zimnej wiosennej nocy boso przebiegła przez park i ukryła się w ruinach starego dworu.

Zakładał właśnie surdut, gdy kątem oka złowił w lusterku jakiś ruch w ogrodzie. Odruchowo spojrzął w okno.

– Julia? – Zdumiał się na widok dziewczyny przemykającej między rabatkami kwiatowymi w kierunku dolnej furtki. – O! Na pewno nie! – mruknął.

Bez namysłu otworzył szerzej okno i niczym niesforny dzieciak zeskoczył z parapetu wprost w mokrą od rosy trawę. Dogonił Julię tuż przy altance i wciągnął ją do środka.

– Ależ, panie Karolu!

– Co ty wyprawiasz? – spytał bezceremonialnie.

– Ja? Co TY wyprawiasz? – zripostowała, dostosowując się do jego tonu. – Skąd się tu wzięłeś bladym świtem?

– Lekarze to ranne ptaszki. Ale dobrze się stało, bo widzę, że znowu wybierasz się na samotny spacer. Niech zgadnę: do pałacu. Nieprawdaż?

Zmieszana Julia wzruszyła ramionami, poprawiła suknię, po czym usiadła na ławeczce tuż pod powojnikiem oplatającym altanę.

– Do pałacu? O tej godzinie? Też pomysł – stwierdziła nieco teatralnie. – Wyszłam nazbierać świeżych kwiatów. Nie mogłam spać.

– W to nie wątpię. Wybacz lekarskie spostrzeżenie, ale masz ślicznie podkrążone oczy.

– Dziękuję za komplement. Wielce oryginalny – burknęła pod nosem.

W tym momencie Karol się poddał. Westchnął i przysiadł obok niej.

– Julio, porozmawiajmy w końcu szczerze. Wiem, że coś się dzieje, czuję to. I chcę ci pomóc, ale musisz mi zaufać.

– Ufam ci – stwierdziła cicho, spuszcżając wzrok. – Przecież uratowałeś mi życie. Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale jesteś bodaj jedyną osobą, której mogłabym opowiedzieć o wszystkim, co mnie gnębi. Bez żadnej cenzury.

– A zatem? Jestem tu, słucham.

– To nie takie proste.

– Oczywiście, że proste. Jesteśmy przyjaciółmi z dzieciństwa. Wczoraj przeżyliśmy coś, czego nie da się zapomnieć do końca życia. Mamy wspólne sekrety. – Uśmiechnął się zachęcająco. – Proszę jedynie, żebyś pozwoliła sobie pomóc.

Ciepły głos Karola dodał jej otuchy. Jak nigdy wcześniej zapragnęła podzielić się z kimś swoimi rozterkami i złożyć przygniatające ją ciężary w cudze ręce – w uzdrawiające dłonie tego mężczyzny.

Cicho i z opanowaniem opowiedziała mu o rozmowie podsłuchanej u Skrzeczyńskiej, o sennych koszmarach i braku wspomnień, o rysunkach, które ilustrują niejasne obrazy z przeszłości. Dopiero gdy zapytał, co właściwie jej się śniło, puściły tamy emocji. Opisała mu wszystko, co zdołała sobie przypomnieć: nocną wędrówkę po pałacu, pustą sypialnię matki, ukrywanie się pod jej łóżkiem, dziwne zachowanie Busi i jej ubrudzone błotem pantofle, zdruzgotanego ojca przy katafalku z ciałem żony, a na ostatku śmiertelny upadek Busi i słowa jej zabójcy.

– Dlatego muszę się dostać do pałacu. Muszę zobaczyć te przekłete schody i przypomnieć sobie, kto to był. Rozumiesz mnie, Karolu? Jestem prawdopodobnie jedynym świadkiem.

Doktor, który od dłuższej chwili zaciskał zęby z obawy, by nie wyrwał mu się jakiś okrzyk pełen zgrozy, wstał i oparł się o jeden ze słupków altany. Zatopił wzrok w odległym lesie, bo nie chciał, żeby Julia widziała jego twarz. Bał się, że przejrzy go na wylot i przerazi się jego wzburzeniem.

Już w połowie opowieści ścierpła mu skóra. W jednej chwili zrozumiał powagę sytuacji, a każde kolejne słowo Julii tylko potwierdzało jego wcześniejsze przypuszczenia: groziło jej niebezpieczeństwo i to większe, niż przypuszczał. Nie chodziło wcale o pijanego chłopca. Jeśli wspomnienia Julii były prawdziwe, w okolicy wciąż mógł żyć ktoś, kto przed laty przyczynił się do co najmniej jednej tragedii. Dla niego panna Zarzevska stanowiła zagrożenie, którego zapewne chciał się czym prędzej pozbyć.

Karol był pewien, że Julia jako kobieta bystra i przenikliwa wyciągnęła ze swoich wspomnień podobne wnioski, lecz na własne nieszczęście lub szczęście nie знаła wszystkich faktów. On jednak pamiętał i o notatkach ojca, i o słowach małej Julki ukrytej w ruinach, i o kamieniu, który trafił ją wczoraj w głowę.

„Byłem pewien! – pomyślał, zaciskając pięści. – To nie był zbieg okoliczności. Balbina i mój ojciec zginęli, bo wiedzieli za dużo. Tylko o czym? O morderstwie pani Zarzevskiej? To absurd! Któż chciałby zabijać chorą kobietę? Jej męża niejeden chętnie wyzwałby na pojedynek, ale ona? Nie miała żadnych wrogów, nikomu nie wadziła. Chyba że... jedna z kochanek Zarzevskiego postanowiła usunąć żonę ze swojej drogi. – Ta myśl go zelektryzowała. – Czy to możliwe? Czy ktoś mógłby być aż tak zdesperowany?”

Gdy łagodny wiatr, rozpędzając poranną mgłę, przyniósł ze sobą swąd spalenizny, przypomniało mu się coś jeszcze.

„Podpalacz! A jeśli...? Gdyby deszcz się opóźniał, wicher bez trudu przeniósłby ogień na dwór. W zamieszaniu wszystko mogłoby się wydarzyć, każdy mógłby zostać ranny!” – Zdenerwował się, wracając myślami do wczorajszego zebrania w gabinecie pana Laskowica...

– Jaśnie panie, nie ma co w bawełnę owijać: podpalenie jak byk – wyjaśnił rządca.  
– Skąd ta pewność? – Emil był wyraźnie zaskoczony. – Przecież była burza. Wszyscy mówią, że to od pioruna.

– Tak się tylko wydaje, jaśnie panie. Ktoś był sprytny. Na horyzoncie zaczęło się błyskać, więc podpalili i myślał, że się nie wyda. Z lasu musiał przyjść, od tyłu.

– Wiatr akurat wiał na zachód – wtrącił się do rozmowy Karol. – Najpierw poszłyby z dymem czworaki, a później cała reszta. Nawet dwór mógł spłonąć, gdyby nie zaczęła się ulewa.

– Stelmach był w wozowni, więc to nie on zaproszył ogień. Zresztą ta zwęglona kupa szmat śmierdząca naftą mówi sama za siebie.

– Hmm... Doprawdy, trudno mi w to uwierzyć. Dobrze, zajmę się tym. Ale panowie, na razie proszę tego nie rozgłaszać. Nie chcę wywoływać kłótni, podejrzeń. Ludzie są tu przecież życzliwi, nie wiem, co mogło się stać. Trzeba sprawę załatwić dyskretnie dla dobra wszystkich.

– Dyskretnie... – mruknął zdenerwowany Karol.

– Oczywiście. Przecież nie chcę, żeby cała okolica dowiedziała się o mojej wizycie w pałacu. A szczególnie wuj Herman – odezwała się Julia.

Rozkojarzony mężczyzna odwrócił się do niej.

– Co takiego?

– Muszę porozmawiać z Józefem. Wejść do pałacu. Nie słuchałeś mnie?

– Oczywiście, że słuchałem. – Starał się gorączkowo zebrać myśli. – Zrobimy to razem. Nie puszczę cię samej.

– Ale...

– Nie, Julio, nie ma żadnego „ale”. Skoro mi ufasz, proszę cię, obiecaj, że nie będziesz sama oddalała się od dworu. To poważna sprawa. Zajrzę tylko do moich pacjentów i wtedy się naradzimy, jak to załatwić. Obiecaj mi. Tym razem szczerze – zażądał stanowczo.

Słuchała go nieco zaskoczona. Nie do końca rozumiejąc swoją decyzję, skinęła głową.

– To dobrze. – Ucieszył się. – A teraz musimy wracać, zanim ktoś nas zobaczy.

Julia dla niepoznaki nazrywała kwiatów, po czym poszła do dworu, a Karol ruszył w stronę swojej oficyny. Tuż za rogiem wpadł na matkę.

– Jezus, Maria!

– Nie, to tylko ja, twoja matka – burknęła wściekle. – Jakbyś patrzył przed siebie, a nie oglądał się na tę osobę, nie wpadałbyś na ludzi.

– Słucham?

– A słuchaj, słuchaj. Bo mam ci do powiedzenia i to niemało. Co ty sobie wyobrażasz, synu? – Z trudem hamowała głos, by nikt ich nie usłyszał przez przypadek. – Czy nie ostrzegałam cię, żebyś zostawił tę pannę w spokoju, bo będzie z tego nieszczęście?

– Co tym razem jej zarzucasz, matko? Może ten wczorajszy pożar to też jej wina?

– A skąd mnie to wiedzieć?

– Matko...

– Nie matkuj mi teraz! O ważniejszą rzecz idzie. Żeby takie bezecństwo pod bokiem pana Laskowica wyczyniać? Schadzki w altanie?

– Jakie znowu bezecństwo? – Skrzywił się. – I żadne schadzki. Przypadkiem...

– Oczywiście że przypadkiem. – Jak zwykle mu przerwała. – O rannej rosie pobiegłeś z panną wschód słońca podziwiać i kwiatuszki jej rwać – zakpiła. – Poeta się znalazł w lśniącej zbroi. Ale dość już tego. Skoro za nic masz dobre rady matki, to może obowiązek do ciebie lepiej przemówi.

– Jaki obowiązek?

– Wobec naszego dobroczyńcy. Niemal synowski, mogłabym rzec.

– Nie rozumiem.

– O, proszę. Cała okolica o tym huczy, a pan doktor potrzebuje wyjaśnień tego, co oczywiste.

Widać od wykształcenia rozumu nie zawsze przybywa.

Karol z trudem przełknął cierpką uwagę, a teraz czekał na dalszy ciąg oracji, modląc się o cierpliwość.

– Zechciej zatem dostrzec wreszcie, że wodzenie oczyma za tą panną nie ma sensu. I to nie tylko dlatego, mój biedny synu, że ona, choć uboga, nazywa się Zarzewska, a jej pradziadowie bywali starostami i wojewodami, podczas gdy Natejkowie nigdy herbowymi nie byli. Nie ma sensu, powiadam, a nawet jest nieuczciwe z zupełnie innych względów.

– Czy zmierzasz do jakiegoś sedna, matko?

– Owszem. Sprawa jest bardzo prosta. Nie wiem, czy panna Zarzewska przyjechała tu szukać bogatego męża, jak o niej powiadają. Ale wiem, że pan Laskowic uważnego wzroku z niej nie spuszcza, spełnia wszystkie jej kaprysy i honoruje bardziej niż daleką krewną przystoi. Wniosek nasuwa się zatem sam.

– Jaki wniosek? – Dopiero w tym momencie skupił się na jej słowach.

– Taki, mój synu, że jeśli tylko pan Laskowic zechce, to panna Zarzewska pójdzie za niego ze śpiewem na ustach. A wszystkie znaki na niebie i ziemi mówią mi, że dziedzic zechce i to już całkiem niedługo. Na nasze nieszczęście. I nawet nikt się dziwić nie będzie. W końcu wdowiec od tylu lat, stateczny, bogaty, pora mu się znowu żenić. A te wszystkie paniusie, które sobie od dawna na niego zęby ostrzą, będą musiały się obejść smakiem. Powiedz mi zatem, synu, czy zawracając głowę tej pannie, nie wchodzisz w paradę swojemu opiekunowi?

Zapadło milczenie. Karol zbladł, przez chwilę wytrzeszczał oczy na matkę, po czym bez słowa ruszył do swojego mieszkania.

– Nareszcie dotarło – mruknęła Natejkowa z satysfakcją. – Trudno, pan Laskowic ma własny rozum i wolę. Skoro się nie boi wiązać z taką osobą, jego to rzecz. Jeśli mam wybierać między synem a pracodawcą, to właściwie nie mam wyboru. Bylebym tylko Aurelki dopilnowała, aż dorośnie i szczęśliwie za mąż pójdzie gdzieś daleko, to reszta już nie do mnie należy. Tych kilka lat jakoś wytrzymam, nawet przy nowej pani Laskowicowej, *de domo* Zarzewskiej.

\* \* \*

Śniadanie przebiegało w dość dziwnej atmosferze. Zamyślona Julia skubała widelcem kawałek pasztetu, milczący Karol rzucał od czasu do czasu ponure spojrzenia to jej, to dziedzicowi, a gospodarz, zapominając niemal o dobrym wychowaniu, połykał spieszenie wielkie kęsy, by jak najszybciej wrócić do zajęć. Od bladego świtu był na nogach: wydał dyspozycje rządcy, omówił rozkład prac polowych, zrobił obchód stajni, rozmawiał z leśniczymi, po czym jeszcze raz obejrzał pogorzelnisko.

Tylko Aurelka, przez nikogo nie strofowana, zamiast jeść, radośnie opowiadała o wycieczce z ojcem do Krakowa, o sierotce Kasi, którą zdążyła już polubić, i o przygodach, jakie ich spotkały po drodze.

– Jaśnie panie, depesza. – Trajkotanie dziewczynki przerwał opanowany głos kamerdynera.

– Depesza?

Zaskoczony Emil rozłożył kartkę i przebiegł jej treść wzrokiem. Uśmiechnął się.

– Coś takiego!

– Złe nowiny? – zaniepokoiła się Julia.

– Nie, ale muszę natychmiast pojechać do Krakowa.

– Znowu, papciu?

– Tak. Zawołaj panią Natejkową – polecił służącemu, który skłonił się w milczeniu i wyszedł.

– Czyżby jakieś nieszczęście w interesach?

Spojrzał na Julię trochę roztargnionym wzrokiem.

– Yyy... Nie. Dziękuję za troskę, ale tym razem to nie interesy mnie wzywają. Przyjaciół – stwierdził enigmatycznie, uśmiechając się do niej. – Niespodziewanie zjawił się w Galicji i chce się ze mną zobaczyć. Może nawet nas odwiedzi.

– Kto taki?

– Zobacz pani. To niespodzianka. O, pani Natejkowo. – Odwrócił się do wchodzącej klucznicy. – Proszę szybko przygotować moje torby podróżne, na dwa dni wystarczy, jak sądzę. I powóz. Zamierzam wyjechać za godzinę. Proszę też przygotować pokój dla gościa. A rządcy niech pani przekaże, żeby sam zajął się sprawą pożaru. Niech zrobi wszystko tak, jak poleciłem rano.

– Oczywiście, jaśnie panie.

– Karolu... Karolu!

– Tak? Słucham. – Młody doktor otrząsnął się z zamyślenia.

– Cóż ty dzisiaj taki ponury i zadumany, mój drogi? Stało się coś?

– Nie, wydaje się panu.

– To dobrze. Powierzam ci mój dom w opiekę, jak zwykle. – Bardzo zadowolony wstał od stołu. – Czuwaj nad wszystkim osobiście. Pamiętaj, że tylko do ciebie mam pełne zaufanie, bo jesteś człowiekiem rozsądnym.

– Dziękuję – burknął Karol.

Gdy powóz ruszał z dziedzińca, doktor, nie czekając, aż Julia zatrzyma go rozmową, poszedł do stajni po konia. Był w podłym nastroju i nie mógł sobie znaleźć miejsca. Miał kilku pacjentów do odwiedzenia po drugiej stronie rzeki, lecz nie dotarł do nich. Ścieżka sama zawiodła go wprost do pałacowego parku.

Jeszcze rankiem planował, że przyjedzie tu z Julią, jak obiecał, ale po rozmowie z matką poczuł wyrzuty sumienia i gniew na samego siebie.

„Byłem idiotą! Cóż mógłbym jej dać? – wściekał się, zsiadając z konia przed swoim dawnym domem. – Ale to nic, poradzę sobie. Najważniejsze jest jej bezpieczeństwo. Sam rozwikłam tę cholerną sprawę i oddam drania w ręce władz! Kimkolwiek by był – postanowił twardo. – Tym razem mi się uda, bo robię to dla niej, nie dla siebie. Może nie będzie moja, ale będzie żywa. Tylko to się liczy!”

Nie przejmując się głośnym ujadaniem psów zamkniętych gdzieś na tyłach, załomotał w drzwi głośniejsz, niż wypadało. Wpuszczony do środka przez zgarbioną gosposię, zastał starego Józefa w dawnej jadalni. Mimo że opuścił ten dom dziewiętnaście lat temu, poczuł się dziwnie, widząc byłego stangreta siedzącego przy tym samym stole, przy którym wraz z matką, a czasem i z ojcem jadalni wspólnie posiłki.

– O! Cóż za go... gość – zająknął się Józef, chwiejnie unosząc głowę na jego widok. – Siadajcie, doktorze. Napijecie się kapkę? – Wskazała na pękaty antałek stojący na stole.

Karol skrzywił się i pomyślał, że źle wybrał porę na wizytę.

– Sporo się tu zmieniło – mruknął, rozglądając się po szarych od brudu ścianach, zniszczonych meblach i dziurawych dywanach.

– Nie podoba się? Pewnie. Doktor wielki pan! Ale mnie wiele nie trza. Pełny brzuch, dach nad głową, ciepłe wyrko i butelczyna lada jaka. Dawniej jeszcze na osłodę chciało się człowiekowi kawałek baby od czasu do czasu, ale teraz sama butelczyna wystarczy – zarechotał. – No siadajcie, doktorze. Taki gość, ho, ho. Zocha! A przyniesze doktorowi herbaty, bo mu nasza gorzałka śmierdzi. I daj co jeść!

– Myślałem, że w południe zastanę Józefa trzeźwego.

– Myślał indyk o niedzieli... – Stróż się zaśmiał. – Za wcześnie się doktor przywłókł. Z wieczora to już wyspany będę i do służby nocnej gotowy. A piję, bo ino to na ból pomaga.

– Właśnie. Panna Julia mnie przysłała, bo niepokoi się o zdrowie Józefa – skłamał, przysiadając się do stołu. – Sama nie mogła przyjść, ma dużo obowiązków.

– Nasza panienka? Dobre to dziecko. Uszanuje starego sługę, pogada jak z człowiekiem, zatroszczy się. Ale doktora niepotrzebnie na mnie nasłała. – Mężczyzna wyszczerzył zepsute zęby. – Choć już szósty krzyżyk dźwigam, zdrowie u mnie jak dawniej.

– Oczywiście. Szczególnie ta gorzałka Józefowi służy. Konserwuje.

– Że co?

– Nic, nic. Panna Julia dopytywała się, czemu Józef kuleje i czy można jakoś pomóc – stwierdził, postanawiając dotrzeć do właściwego tematu opłotkami, by nie spłoszyć rozmówcy. – Nie była zadowolona, że mi się Józef nigdy zbadać nie pozwolił.

– A co wy, młodzi, znowu z tą nogą? – burknął niezadowolony. – Ot, kopnął mnie koń przed laty, to i utracił. Mówiłem, że diabły to były, nie zwierzęta.

– Może jednak zobaczę? Są przecież leki przeróżne, mogą przynieść ulgę.

– Nie trza mi nic.

– Czyli mam pannie Zarzewskiej przekazać, że Józef się boi lekarza?

– Ja? Nigdy!

– A zatem?

Stróż rzucił mu niezdecydowane spojrzenie, po czym niechętnie postawił nogę na krześle i podciągnął nogawkę. Karol dotknął szerokiej, zgrubiałej szramy, która przecinała mięśnie łydki niemal na całej długości. Uniósł brwi, zaskoczony.

– Hmm... Rana jest rzeczywiście stara i zaniedbana. Ma pewnie ze dwadzieścia lat, może więcej.

– Może.

– Kości całe, ale mięśnie przykurczone i napięte. Nie dziwota, że Józef kuleje – mruknął i zajrzał do swojej torby. – Bez operacji niewiele można pomóc. Szkoda, że Józef zwlekał tyle lat. Proszę smarować nogę tą maścią. Skóra z czasem zmięknie i blizna nie będzie tak nieprzyjemnie twarda. Stan zapalny powinien ustąpić, a po kilku miesiącach nawet ból się zmniejszy. Kiedy maść się skończy, dam następną.

Józef nieufnie powąchał żółtą miksturę i usiadł.

– Co się należy doktorowi za to leczenie?

– Nic.

– Nic?

– Może trochę szczerości.

– Czego?

– To nie jest rana od końskiego kopyta.

– Jest.

– Czy Józef ma mnie za idiotę? To blizna po ranie ciętej i to głębokiej. Jakaś pijacka burda, tak?

– Burda? – furknął stróż i wypił duszkiem resztkę alkoholu. – Zocha! Do stu fur pustych beczek!

Przywleciesz tu wreszcie swój tłusty zadek, czy mam po ciebie pójść?!

Karol zeszywniał nieco na swoim krześle, ale nie ruszył się z miejsca.

– Co to było? Nóż? Kosa? – pytał spokojnie.

– A jak powiem, że sztylet, to co? – Stróż łypnął na niego zirytowany.

– Sztylet? Niecodzienne narzędzie w rękach pijanych chłopów. Chyba mi Józef nie powie, że to pan Zarzewski rzucił się na niego w przyływie szału?

– Jaśnie pan? Nigdy w życiu! Za bat czy szpicrutę mógł chwycić, jak się wściekł, ale ino po to, żeby skarcić próżniaków. To był wielki pan, o wierne sługi potrafił zadbać.

– O tak, zwłaszcza kiedy wszystkich wyrzucił.

– Co tam doktor wie?! – Stróż się rozsierdził. – Jaśnie pan chciał być w domu sam po śmierci żony, więc kazał się służbie wynosić. Ale na odchodne sakiewkę ze złotem każdy dostał wedle swoich zasług. Krzywdy nikt nie miał.

– Dziwne. Ludzie gadali, że pan Zarzewski miał olbrzymie długi i dlatego hrabia zabrał mu ojcowiznę.

– Długi czy nie długi, nie moja rzecz.

– Czyli nikt ze służby nie miał złości do dziedzica za to zwolnienie? Nikt nie chciał się mścić?

– No nareszcie! Chyba żeś tyłem szła.

Do jadalni wsunęła się gospoia w przybrudzonym fartuchu założonym na wiejską rozłożystą spódnicę, z czarną chustką na głowie zsuniętą mocno na czoło. W zniszczonych od pracy dłoniach trzymała tacę z miską parującej polewki. Gdy niezgrabnymi ruchami stawiała jedzenie przed Józefem,



trochę zupy wylało się na stół.

– Uważaj! Dobre jadło marnujesz. Jaka jest głupia i niezdarna, to jest, ale gotować umie jak mało która, mówię doktorowi. Teraz już ino po to ją trzymam. – Mrugnął do speszonego Karola, jakby stojąca obok stara kobieta była niewidzialna. – Doktora nie częstuję, bo polewka to za prosta na taki kształcony smak, co? Przynieś mi jeszcze gorzałki, Zocha. I herbaty kazałem dla doktora dać.

– Dziękuję, nie trzeba.

– Tu ja jestem gospodarz i mówię, że trza. Doktor myśli, że mnie nie stać na herbatę? Kazałem, to ma dać i już. No rusz się, stara!

Karolowi coraz mniej podobała się rozmowa z pijanym stróżem, ale zaciął się w sobie i postanowił brnąć dalej.

– Więc skąd właściwie ta rana u Józefa? Nie z awantury jakiejś?

– A doktor znowu o tym? Mmm... Dobre. – Siorbnął. – A jak powiem, że mnie baba dziabnęła w dzikim szale, to się doktor odczepi?

– Baba? – Zaskoczony Karol spojrział w głąb korytarza, w którym zniknęła gosposia.

– No przecie nie Zocha. – Zaśmiał się.

– Więc kto?

– Ta wściekła jędza, Marcelina.

– Co takiego?!

– Ino niech doktor nie rozgada, bo to żaden honor dla mężczyzny. – Józef się zreflektował.

– Naturalnie. Jak to się stało? Nie przypominam sobie takiego zdarzenia.

– A takie tam... – Urwał i przez chwilę jadł w milczeniu polewkę, bo do pokoju znów weszła gosposia, tym razem z filiżanką herbaty i pełną butelką wódki.

Chcąc okazać jej grzeczność, nim wyszła z jadalni, Karol łyknął nieco mętnego, gorzkiego płynu, skrzywił się, po czym spojrział na stróża tak wymownie, że ten nie mógł się już dłużej wykręcać.

– Doktor to chyba po ojcu taki nachalny. Stary Natejko upierał się, żebym do szpitala z tym poszedł, a potem chciał żandarmów na tę wariatkę nasłać. Ale jasnie pan zabronił. Pożałował jędzy. Nie znał jej tak dobrze jak my.

– Dlaczego Józefa zaatakowała?

– A czy ja wiem? – burknął. – Ot, zaraz po pogrzebie naszej jasnie pani w jakiś amok wpadła, pewnie z żalości. Najpierw obila kijem odźwiernego, a potem rzuciła się na mnie ze sztyletem. Dopiero jak się ludzie zbiegli z podwórka, uciekła na wieżę i tam się zamknęła. Tydzień siedziała bez jedzenia i picia. Aż w końcu jasnie pan stracił cierpliwość i przegnał ją na cztery wiatry, więc się poszła utopić. Nawet moja Balbinka, Panie świeć nad jej duszą, nie żałowałyby tej wariatki, gdyby wiedziała... – Spochmurniał.

Karol pomyślał, że właśnie nadarzyła się dobra okazja, by skierować rozmowę na właściwie tory, czyli na wypadek piastunki. łyknął zimnej herbaty i pochylił się ku mężczyźnie, którego głowa smętnie zwisała nad niemal pustą miską.

– Gdyby wiedziała co? – spytał.

– Moja biedna Balbinka! – chlipnął stróż rozczulony, ignorując pytanie. – Przez trzy dni po ataku mnie pielęgnowała. Ale kto by się spodziewał, że to były nasze ostatnie chwile?

– Czy Józef wie, jak doszło do wypadku Balbiny?

– A skąd? Wtedy już nikogo w pałacu nie było, ino ona i panienka. Po depeszy, która przyszła od hrabiego, jasnie pan dostał furii. Służbę zwolnił, a potem zamknął się u siebie. Ja przez tę nogę leżałem jak kłoda, a Balbinka ino popłakiwała. Mówiła, że gdybym zdrowy był, to byśmy uciekli, gdzie oczy po... poniosą – wybełkotał.

– Balbina chciała uciekać? – Karol widział, że stróż zaczyna mu się powoli wymykać w pijacki sen, więc klepnął go w ramię. – Dlaczego? Zostawiłaby panienkę?

– Co? A nie, nigdy.

– W takim razie nie rozumiem.

– Ja też nie – sapnął Józef, odsunął miskę i ułożył głowę na brzegu stołu w zgięciu ramienia.

– Czy Balbina kogoś się bała? Józefie, nie śpijcie.

– A... bała się mieszkać w pustym pałacu – odparł sennie. – Ech, jakby nie ta przeklęta Marcelina... Jaki człowiek głupi był i słaby. Miał doktor rację z tą go... gorzałką.

– Co ma do tego Marcelina? Niechże się Józef skupi.

– Co? A sypiała ta cholera ze wszystkimi – burknął stróż niewyraźnie. – Niech ją piekło pochłonie. Ja żem był wierny mojej Balbince, alem się spał tamtej nocy jak bela. A ta franca zapowietrzona... zamiast pilnować jaśnie pani, przylazła do stajni i... najpierw ze mną, a potem z odźwiernym. Jak suka... Dzika suka... Ino stajenny jej uciekł... A potem się śmiała, że od tej chwili mam robić, co mi każe albo powie Balbince. Przez nią zdradziłem ukochaną! – Skrzywił się płaczliwie.

– Ścierrrwo! Wszystkie nieszczęścia... przez taką... przez... – Głowa Józefa opadła bezwładnie na stół.

– Józefie – Karol potrząsnął nim niemrawo. – Co się dzieje? – mruknął zdziwiony, patrząc na stróża, który nagle zrobił się niewyraźny, po czym zaczął się chwiać jak na statku.

Z trudem zbierał myśli, które uciekały same jak spłoszone króliki przed wilkiem.

– Co, do cholery? – szepnął zdezorientowany.

Chciał wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Przez chwilę resztką sił utrzymywał głowę nad blatem stołu.

„Herbata?” – przemknęło mu nagle przez myśl w ostatnim błysku świadomości.

Gdy niespieszne kroki zbliżyły się do stołu, żaden z mężczyzn już się nie ruszał.

– Żegnaj, stary capie. Witaj, głupi Lolku. Trzeba było nie wtykać nosa w cudze sprawy.

## ROZDZIAŁ XVI

Gdy Karol nie zjawił się na obiedzie, zniecierpliwienie Julii zaczęło się przeradzać w niepokój. Wezwała pokojówkę, ale zapytana o doktora Marysia tylko rozłożyła ręce.

– Nic nie wiem, proszę pani – rzekła. – Jak pojechał rano do chorych, tak nikt już pana doktora nie widział. Ale kilka osób się dopytywało, bo i ekonom miał sprawę, i mastalerz, i nawet rządca. Coś mi się widzi, że pan doktor z matką się posprzeczał, bo pani ochmistrzyni coraz bardziej zachmurzona chodzi i na wszystkich pokrzykuje, że strach. Pewnie dlatego wołał zejść jej z oczu.

– Posprzeczał się? A ktoś to słyszał?

– Kucharka mówiła, że pomywaczka, idąc rano od studni, słyszała ich za oficyną. Ale czy to prawda, nie wiem.

Julii nie przekonała ta wersja zdarzeń. Gnębiło ją niejasne, złe przecucie.

Coraz bardziej zatroskana wybrała się z Aurelką w odwiedzinach do siostry Franka, licząc na to, że w drodze do czworaków wypyta o Karola pracowników folwarcznych. Nie dowiedziała się jednak niczego ponad to, że w pobliskiej wsi wciąż czekali na obiecaną wizytę lekarską, a zbliżała się już godzina podwieczorku.

„ Nie podoba mi się to – pomyślała zaniepokojona. – Karol jest zbyt obowiązkowy. Nie zostawiłby swoich pacjentów bez pomocy. Gdzie on się podziewa?”

Rozgadana i szczęśliwa Aurelka nie zauważyła dziwnego nastroju swojej nauczycielki. Z radością przyklasnęła pomysłowi, żeby zabrać Kasię do dworu i pokazać jej swój pokój. Julia upiekła w ten sposób dwie pieczenie na jednym ogniu: znalazła dla swojej podopiecznej odpowiednio absorbujące zajęcie, a sama zyskała nieco swobody, by przemyśleć sprawę.

Wchodziły właśnie przez główne drzwi do dworu, gdy w sieni dopadła ją zdenerwowana Natejkowa.

– A tu panna jest. Chwała Bogu, bo już myślałam... – Klucznica na jej widok wyraźnie odetchnęła, co Julię trochę zaskoczyło. – Na spacerze byliście, moja perelko? – spytała uśmiechniętą Aurelkę.

– Tak, pani Klementyno. Przeprowadziłam Kasię, żeby pokazać jej mój dom i pokój. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że ją polubiłam – odparła dziewczynka, starając się przybrać poważną minę. – Papcio obiecał, że po wakacjach Kasia będzie mogła przysłuchiwać się moim lekcjom, a panna Julcia nauczy ją czytać i pisać, jak inne dzieci na folwarku. Od dziś będziemy się często widywać. Proszę ją zawsze do mnie wpuszczać.

– Dobrze, panienko – mruknęła Natejkowa, zerkając na nieco niższą od Aurelki dziewczynkę, która skromnie spuściła wzrok i niezgrabnie dygnęła.

– Idźcie już i nie wychodźcie z pokoju, aż was zawołam – poleciała Julia, ale sama nie ruszyła się z miejsca.

Coś w zachowaniu ochmistrzyni ją zaniepokoiło. Nie zdążyła z nią jednak porozmawiać, bo z dziedzińca dobiegły czyjeś wzburzone głosy.

Pospiesznie wyszły na ganek.

– To przecież koń Karola. Gdzie doktor? – spytała ochmistrzyni na widok stajennego i dwóch okolicznych chłopów, którzy stali obok zwierzęcia na podjeździe.

Zakłopotani mężczyźni zdjęli czapki i spojrzeli jeden na drugiego.

– A bo my złapali konia na łące za wsią, koło lasu – odparł jeden z nich niepewnie. – Pasł się w naszej koniczynie, w szkodę wlaźł. Chcieli my to zgłosić, ale tu nam gadają, że dziedzica nie ma, a doktor gdzieś zniknął.

– Może my się wrócimy poszukać doktora w lesie? Bo jak się co stało, nie daj Bóg, to trza pomóc.

– Tylko nie to. – Natejkowa pobladła. – Drugi raz tego nie przeżyję – szepnęła i zachwiała się.

Julia błyskawicznie ją podparła i mimo protestów kazała służbie odprowadzić omdlewającą kobietę do izby czeladnej.

– Dziękuję, dobrzy ludzie – rzekła do chłopów, starając się zachować spokój. – Pewnie koń po prostu uciekł, ale na wszelki wypadek przeszukajcie okolicę. Jeśli się czegoś dowiecie, natychmiast dajcie znać.

W czeladnej zawołała na służące.

– Przynieście wody pani ochmistrzyni. Proszę się nie martwić, na pewno nic się nie stało – uspokajała. – Ten koń jest bardzo płochliwy i niesforny. Już przecież nieraz panu Karolowi uciekł, na przykład wczoraj podczas burzy.

– Skąd panna wie? – Natejkowa odstawiła kubek i spojrzała na nią podejrzliwie.

– Doktor wspominał przy śniadaniu. – Wykręciła się.

– Ach tak.

– Pewnie pan Karol zasiedział się po prostu w którymś z sąsiednich majątków przy herbacie. Mógł nawet nie zauważyć, że koń znów się zerwał. – Wymyśliła naprędce. – Przed nocą ktoś na pewno odwiezie doktora bryką. A może woli pani posłać kilku ludzi do sąsiadów, żeby popytali?

Ochmistrzyni już miała skinąć głową, gdy wyobraziła sobie, jak zareaguje jej syn na wieść, że z powodu konia matka kazała go szukać, jakby miał znów dziesięć lat, a nie dwadzieścia siedem.

– Nie będziemy wywoływać sensacji na całą okolicę. Ma panna rację, pewnie się zasiedziało u chorego. Kolacją się lepiej zajmę.

Julia wiedziała, że Natejkowa tylko pozornie się uspokoiła. Postanowiła jednak szybko zejść jej z oczu, bo sama martwiła się coraz bardziej, a nie chciała, by ktoś to zauważył. Gdy tuż po kolacji przybiegł do ogrodu zaaferowany Franek, od razu wyczuła, że stało się coś niedobrego.

– Gospodyni mnie przysłała po Kasię, ale ja i tak do pani chciałem. W sprawie doktora.

– O matko! Wiesz, co z nim?

– Nie wiem, prze pani, bo cały dzień w źrebiarni byłem. Ale fonałe gadali, że doktorowy koń się odnalazł po naszej stronie rzeki, a ja żem go widział na drugim brzegu. To przyleciałem, bo może to ważne.

– Kogo widziałeś? Gdzie?

– Na moście. Jak mnie w południe po siano wysłali, tom widział ze wzgórza, że doktor przez most jedzie, a potem dalej tą dróżką na pałac. Wołałem pani powiedzieć.

– Na pałac? – Poczuła, że robi się jej gorąco. – Ale jak to? Mieliśmy przecież razem... Dziękuję, Franuś. To rzeczywiście ważne. Wiesz co? Mam do ciebie ogromną prośbę.

– Słucham, prze pani.

– Nie mów o tym na razie nikomu, dobrze?

– Ale czemu?

Spojrzała na słońce, które mimo dość późnej pory nieco leniwie schodziło ku wzgórzom, dopiero nabierając pomarańczowych barw. Wiedziała, że ma jeszcze trochę czasu.

– Pan doktor pojechał zapewne z wizytą do starego Józefa, bo mieliśmy tam pójść razem. Może niedługo wróci. Zrobimy tak: przyjdź do dworu po zachodzie słońca, a jeśli doktora nadal nie będzie, sam opowiesz ochmistrzyni, co widziałeś. Gdyby twoi gospodarze protestowali, powiesz, że ja prosiłam, dobrze?

– Dobrze, prze pani.

– Dziękuję. Liczę na ciebie Franuś. Dziewczynki! – zawołała. – Dość już tego biegania. Zaprowadźcie psy do domu.

– Ale panno Julciu, jeszcze tak ciepło i pięknie!

– Powiedziałam, że na dziś wystarczy. Kasia i Franek muszą wracać.

Aurelka była dość zaskoczona tempem wieczornych przygotowań do snu, bo Julia dwoiła się i troiła, poganiając Marysię. Ponieważ jednak na osłode pozwolono jej nie tylko zatrzymać oba charty w pokoju, ale także poczytać w łóżku aż do zachodu słońca, nie protestowała i cichutko zagłębiła się w lekturze.

W tym czasie Julia, udając kolejny atak migreny, odesłała zatroskaną pokojówkę i stanowczo zabroniła sobie przeszkadzać.

- Może kompres przyniosę, proszę pani?
- Nic mi nie trzeba, tylko snu i ciszy – odparła słabym głosem.
- To ja pomogę się pani rozebrać.
- Proszę, Marysiu. Najlepiej mi pomożesz, jeśli dopilnujesz za mnie panienki, tak żeby się nikt nie zorientował. Pani Natejkowa ma już dość na dzisiaj zmartwień.
- A przyjsz pani powiedzieć, gdy doktor wróci?
- Owszem. Kiedy wróci, możesz do mnie zajrzeć, ale nie wcześniej.
- Jak sobie pani życzy.

Kroki pokojówki nie zdążyły jeszcze ucichnąć za drzwiami, gdy Julia zerwała się z szeszlona i ostrożnie wychyliła przez okno.

Ogród pachniał kwiatami i świeżo ściętą trawą, brzęczały pszczoły, szeleściły liście drzew.

Z pewnym trudem wygramoliła się na parapet i zeskoczyła między nasturcje obrastające podmurówkę. Sprawdziwszy, czy nikt jej nie przyłapał na tym niesłychanym wybryku, cichaczem przemknęła przez ogród w kierunku tylnej furtki.

\* \* \*

„ Muszę to najpierw sama sprawdzić, bo Natejkowa się wścieknie, kiedy się dowie o naszych wizytach w pałacu. Zapytam tylko Józefa, czy rozmawiał z Karolem, i zaraz wracam – planowała, przedzierając się przez parkowe krzewy w zarośniętej alejce. – Jeśli odwiedził go beze mnie, będzie się musiał porządnie wytłumaczyć, kiedy już się znajdzie! Mnie zabrania się ruszyć z domu, a sam robi, co chce – zżymała się w myślach, próbując uciszyć w ten sposób złe przeczucia. – Pewnie się czegoś dowiedział i pojechał to sprawdzić. Tylko co z tym jego koniem?”

Wydostawszy się z zarośli, szybkim krokiem ruszyła wzdłuż bocznej ściany pałacu, na której drzewa kładły już głębokie cienie. Tylko szczyt wieżyczki kąpał się jeszcze w pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca, reszta budynku powoli obrastała w szarość wieczoru. Nagle Julia stanęła jak wryta – główne drzwi pałacu były uchylone.

„ Naprawdę? – zdumiała się. – Udało mu się namówić Józefa, żeby wpuścił go do środka? Beze mnie? Po co?”

Rozejrzała się, szukając wzrokiem groźnych psów, ale wokół panowały cisza i bezruch, jeśli nie liczyć szumu drzew.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, z bijącym sercem weszła po schodkach między kolumny portyku i lekko pchnęła skrzydło drzwi. Kołatka brzęknęła cicho.

– Halo, jest tu kto? – spytała Julia cicho.

Jej wzrok błyskawicznie przyzwyczał się do półmroku panującego w holu. Jedyne źródłem światła były w tej chwili uchylone drzwi tuż za jej plecami. Oszołomiona zrobiła kilka kroków, przyglądając się brudnym ogołoconym ścianom, na których wiele lat temu wisiały myśliwskie trofea ojca. Choć rogi i łby zwierząt zniknęły, odniosła wrażenie, że zapach ich sierści oraz pasty do podłóg wciąż unosi się w nieruchomym stęchłym powietrzu.

– Józefie? Karolu?

Pytania utonęły w martwej ciszy pałacu. Przeniknęło ją nieprzyjemne uczucie: ni to lęku, ni zdziwienia. Znów tu była, jakby wyszła z pałacu tylko na chwilę.

Korytarz z prawej strony holu, prowadzący do części kuchennej, był zamknięty jak przed laty, gdy każdego wieczoru ochmistrzyni przekręcała w drzwiach klucz, by nocą nikt ze służby kuchennej nie mógł się dostać do głównej części budynku. Korytarz z lewej nie miał drzwi. Wypełniająca go ciemność kryła w sobie gabinet jej ojca, palarnię, bibliotekę, reprezentacyjną jadalnię, a na samym końcu jej dawny pokój.

Gdy spojrzała na wprost, przez szerokie oszklone drzwi prowadzące do olbrzymiego salonu, dostrzegła skraj fortepianu, który najwyraźniej wuj Herman postanowił zostawić w ogołoconym pałacu. Ale nie to przyciągnęło jej wzrok. Tuż obok wejścia do salonu, po lewej stronie, znajdowały się schody skręcające na piętro – schody, po których *maman* wielokrotnie spływała jak anioł z nieba, ciągnąc za sobą długie ogony trenów lub szeleszczące falbany sukni.

Dopiero w tej chwili poczuła, że strach podchodzi jej do gardła i wypełnia uszy szumem. U podnóża tych schodów znowu zobaczyła ciało niani. Krew wypływająca z jej ust broczyła ozdobną posadzkę, zostawiając po sobie zapach, który Julia czuła nawet po tylu latach.

– Busiu – szepnęła zdruzgotana.

Wiedziała, że będzie także musiała spojrzeć w górę. Bo tam, na półpiętrze, stał przed laty ktoś, kto odebrał jej ukochaną piastunkę, spokojny sen i pamięć. Musiała się z nim w końcu zmierzyć.

Wolno, stopień po stopniu, jej wzrok przemierzał w górę półmrok schodów, aż w końcu nieuchronnie spojrzał w twarz cieniowi wysokiej postaci z przeszłości. Poczuła ucisk w żołądku. Wydało jej się, że owionął ją tamten obrzydliwy odór alkoholu pomieszanego z leciutkim fiołkowym tchnieniem. Błysk wspomnienia jak piorun przemknął przed jej oczyma.

– Boże! – wyszeptała. – Szarpały się, kłóciły o Józefa, o mnie, o papę. Busia krzyknęła, że wszystko widziała. A wtedy... Nie mogę w to uwierzyć... Marcelina?

Imię służącej popłynęło w ciemność i zmieniło się w dawno umarłą ciszę.

– Trzeba było tu nie przyjeżdżać.

– O Jezu! – wrzasnęła Julia i niemal w podskoku obróciła się w kierunku zachrypniętego głosu.

– Kto tu jest?!

Postać ukryta w ciemności bocznego korytarza wysunęła się niczym duch i stanęła kilka kroków przed nią.

– Ostrzegałam wtedy, że ukręcę ci kark jak kurczakowi. Tobie i każdemu, komu powiesz.

– Boże... – szepnęła struchlała Julia, czując, że uginają się pod nią nogi. – To niemożliwe. Ty przecież nie żyjesz.

– Czyżby?

\* \* \*

Julia otworzyła oczy, ale natychmiast znów je zamknęła. Potworny ból szczęki rozsadał jej głowę. Jęknęła. W ustach poczuła smak krwi. Gdy spróbowała się poruszyć, zrozumiała, że leży na zimnej posadzce, a jej dłonie są mocno skrępowane na plecach. Otrzeźwiała w jednej chwili. Szeroko otwartymi oczyma wpatrzyła się w ciemność.

– Jeszcze żyjesz. – Usłyszała ku swojemu przerażeniu. – Za stara jestem na was dwoje. Ty musisz na własnych nogach dotrzeć na górę.

Chropowaty niski głos napływał gdzieś z boku jak wolno działająca trucizna, niemal odbierając spanikowanej Julii oddech.

– Kim jesteś? – spytała, starając się ignorować ból, który czuła przy każdym słowie.

– Nie domyślasz się?

W głowie spanikowanej Julii zadźwięczały nagle słowa ślepeca spod kościoła: „Świadectwo oczu czasem myli, wielmożna pani”.

– Marcelina? To niemożliwe – jęknęła cichutko.

– A jednak. Nikomu niepotrzebna Marcelina. Ci głupcy dali się tak łatwo nabrać! – Głos prychnął z pogardą. – Wystarczyła moja suknia i żebraczka podobnej postury. Tyle ich wtedy uciekało do miasta. Skróciłam jej męki. Biedni podobno szybciej trafiają do raju – stwierdził głos z pewnym zdziwieniem. – Na szczęście nie potrzebują tam ciała, a mnie się przydało. Dobrze je obciążylam, żeby za szybko nie

wyplęło, a oni uwierzyli w samobójstwo. Głupcy... Później sama stałam się żebraczką. Nie masz pojęcia, jak łatwo wtedy być niewidzialnym. Ludzie dostrzegają jedynie brudne szmaty i rękę wyciągniętą po jałmużnę. Albo w ogóle nic nie widzą. Jak ten stary cap. Musiałam odczekać, przez wiele lat tułałam się po świecie. Ale dla mojego anioła wszystko bym wytrzymała. Tak za nią tęskniłam... A ten kulawy głupiec mnie nie rozpoznał. Nawet kiedy wziął mnie do łóżka! – Głos zaśmiał się ironicznie. – Dziesięć lat milczałam, żeby się nie zdradzić. Stary dureń! Wierny kochanek Balbiny. Chciał się żenić, uciec z nią. Gdyby mnie tak kochał jak tę głupią gęś...

Przez chwilę w ciemności słychać było tylko wściekle sapanie. Roztrzęsiona Julia próbowała zebrać myśli, ale ciemna postać siedząca niedaleko niej na schodach pochłaniała całą jej uwagę.

– Ona jedna mnie kochała, tylko jej będę wierna do śmierci. Jesteśmy siostrami krwi. Mój złotowłosy anioł!... Kiedy leżałyśmy na mchu, krew z naszych ran mieszała się na zawsze. – Głos zmiażdżył i zadzwęczał rozpaczą. – Usłyszała moje krzyki, zasłoniła własnym ciałem. Bydlak! Ścigał mnie z psami po lesie jak zwierzynę łowną. Myślał, że będę mu niewolnicą, że może mnie oddawać każdemu, bo mnie kupił od pijanego ojczyma. Poszczuła nas psami, ale zapłacił za to. Hrabia wypruł mu flaki. – Głos warknął z nienawiścią. – Za swoją córkę, za mojego anioła! Przyjęła mnie, kazała leczyć. Przez całą wieczność całowałabym jej rany i była podnóżkiem u jej stóp. Ale jasnie hrabia chciał dla niej szczęścia. Szczęścia? Tutaj?... Tak, był czas, że się śmiała i tańczyła. Ze swoim maleńkim księciem w objęciach. Tylko on był jej potrzebny, krew z krwi, jej własny. Gdyby dorósł, oddałby matce pod nogi i księżyc, i słońce. Ale odszedł do nieba, a ona umyśliła, że pójdzie za nim. Aaa!!! – Postać zerwała się z okrzykiem rozpaczony i zaczęła miotać się gdzieś w ciemnościach.

Skostniała ze strachu Julia odruchowo podążała wzrokiem za dźwiękami z ciemności, by przewidzieć, skąd może nadejść zagrożenie. Słuchając chaotycznej opowieści, zrozumiała, że ma do czynienia z obłąkaniem, którego nic nie powstrzyma, bo już dawno zniknęła droga, którą trzeźwe argumenty mogłyby dotrzeć do umysłu Marceliny. Przed oczyma stanęła jej nagle kapliczka pani Leonii.

„ Matko Boża, pomóż mi! – błagała w myślach. – Czy Karol też tu jest? Co ona mu zrobiła? Uratuj, go, proszę! Ocal go przed nią!”

Choć nie miała pojęcia, co stało się z Józefem, czuła, że nikt jej nie pomoże. Drzwi pałacu zostały zamknięte, teren był odludny, zmrok już zapadł. Wiedziała, że zanim ktoś we dworze wysłucha Franka i wyciągnie odpowiednie wnioski, będzie za późno.

Wysłuchując się w gorączkowe, urywane słowa szaleństwa, próbowała bezszelestnie poluzować więzy na rękach, nim opowieść niebezpiecznie zbliży się do końca.

– Jak mogłaś zranić swoje piękne białe ręce, mój aniele? Znowu krew... Tak, on cię wtedy uratował. Ten jeden raz na coś się przydał. Nie był cię wart, nie był godzien nawet jednego spojrzenia twoich pięknych oczu, ale w końcu się przydał. Zarzewski... Nie rozumiem, dlaczego go potrzebowałaś, ale byłam posłuszna. Tylko po co przywiózł ci tego bękarta?! Od początku czułaś, że była obca. Cierpiałaś, a ja nie mogłam ci wyjawić, dlaczego – szeptał rozgorączkowany głos. – Zabronił mi! Mówił, że tak będzie lepiej dla ciebie, ale nie było... Przez nią to wszystko, przez nią!

Szybkie kroki zaskoczyły Julię. Poczowała kopnięcie w brzuch.

– Przez ciebie! Na nasze nieszczęście zjawiłaś się tutaj! – Wrzask ledwo dotarł do uszu Julii, zwiniętej w kłębek z bólu. – Zabiłaś ją! Zabiliście ją wszyscy! On, doktor, nawet ta głupia gęś i jej stary cap!... Chciałam im tylko pokazać, kto tu rządzi. – Krzyk ściszył się do rozpaczliwego szeptu. – Myślała, że jest ważniejsza ode mnie. Niańka, szlachcianka, taka niby cnotliwa, bo tylko z jednym do wyrka! Pokazałam jej, jaka jest ważna. Zdybałam go pijanego w stajni, raz się w końcu zdarzyło. Raz! A ty, mój aniele, zamiast słodko spać... To ja cię znalazłam. Jak mogłaś mi to znowu zrobić? Dlaczego?... Ale nie martw się. Powiedział: nie pozwolimy zhańbić jej pamięci, nie pozwolimy pochować jej pod płotem. Pamiętasz, mój aniele? Zaniósł cię nad rzekę, kazał przyprowadzić konia, przynieść płaszcz i twoje buty. Mówił: nikt nie jeździ konno bez butów. Uwierzyli. Naprawdę! A ja przysięgam, że ta okoliczna hołota nie skala twego grobu nawet cieniem podejrzenia. I dotrzymałam słowa. Ta głupia gęś naniósła błota w korytarzu, ale nie miałam pewności, czy coś widziała. Dopiero później wyszło szydło z worka. A doktor? Za dużo pytał, za dużo notował. Nie miałam wyjścia. Dotrzymałam słowa... Jesteś taka

piękna, gdy śpisz ze swym księciem w objęciach. Już niedługo do ciebie przyjdę, mój aniele, na zawsze... Jeszcze tylko jedna sprawa.

\* \* \*

– Nie zatrzymuj się!

Ostrze kłujące Julię między łopatkami błyskawicznym ruchem przeniosło się na szyję i boleśnie drasnęło jej skórę.

– Nie udawaj, że płaczą ci się nogi. Idź albo poderżnę ci gardło już tutaj!

Z rękami związanymi z tyłu Julia z trudem pokonała ostatnie stopnie schodów i wkroczyła w mrok korytarza na piętrze. Nie wiedziała, dokąd idą, ale w ciemności rozpoznała mijane pokoje: małą jadalnię, w której rodzice spożywali posiłki tylko we dwoje, gościnny apartament urządzony kiedyś z przepychem dla jej dziadka, pokój kąpielowy oraz dużą sypialnię jej ojca.

Przez głowę przebiegła jej dziwaczna myśl, że Marcelina powinna ją raczej ciągnąć w przeciwną stronę korytarza – do apartamentu *maman*.

– Dlaczego... Dlaczego nazwałaś mnie bękartem? – jęknęła, popchnięta mocniejszym kuksańcem.

Odpowiedział jej szyderczy śmiech.

– Już niedługo zapytasz o to swojego ojczulka.

– Co zrobiłaś z Karolem?

– O, proszę! Wiedziałam, że znowu knujecie razem. Kolejny głupiec ze swoimi pytaniami. Gdyby nie on, utonęłabyś wczoraj w rzece i byłby spokój. Ale teraz zapłaci. Oboje zapłacicie. No, ruszaj się!

Gdy zbliżyły się do końca korytarza, Julia wiedziała już, dokąd zmierzają.

\* \* \*

Upadła popchnięta na kamienną posadzkę, a drzwi wieżyczki się zatrzasnęły. Zgrzytnął klucz w zamku. Obejrzała się z niedowierzaniem: Marcelina nie weszła za nią.

Ciemność niedużego pomieszczenia delikatnie rozpraszało światło księżycy wpadające do wieży przez wschodnie okno.

Drgnęła, gdy z kąta dobiegł ją szelest i jęk.

– Kto tu jest? Karol?

Nadzieja dodała jej sił.

Mimo trudności z płaczącą się suknią zdołała w końcu podnieść się bez pomocy unieruchomionych na plecach rąk. W smudze księżycowej poświaty zobaczyła sylwetkę mężczyzny przywiązanego do krzesła.

– Jesteś, Karolu – szepnęła uradowana. – Nic ci nie jest?

Mężczyzna pokręcił głową i mruknął coś niewyraźnie. Miał zakneblowane usta.

– Poczekaj, pomogę ci. Spróbuj się odrobinę pochylić do moich rąk, żebym mogła złapać to palcami... Jeszcze kawałek...

Odkasznął, gdy kłęb brudnej szmaty spadł mu na podolek.

– Na litość boską, Julka, skąd się tu wzięłaś?!

– Ciszej. Szukałam cię, zobaczyłam otwarty pałac. A ty co tu robisz?

– Niczego nie pamiętam. Straciłem przytomność w domu Józefa. Ktoś wie, że tu jesteś?



– Nikt. Wykradłam się przez okno. Przepraszam, to nie było mądre.  
– Nie, to ja byłem głupi. Lepiej od ciebie wiedziałem, że coś się tu dzieje niedobrego – mruknął, zły na siebie. – Co ci się stało? Masz chyba krew na twarzy.  
– Nic takiego. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś cały. Tak się o ciebie bałam. – Przykucnęła obok krzesła. – Myślałam, że ona już... – Urwała, zagryzając wargę.  
– Jaka ona?  
– Marcelina.  
– Jaka Marcelina? Chyba nie...?  
– Nie patrz tak na mnie, wiem, jak to brzmi. Ona żyje, ale zupełnie oszalała. Przed laty sfingowała własną śmierć, a potem udawała gospodynię Józefa.  
– Ta zgarbiona niemowa?  
– Dobrze to sobie wymyśliła – odparła Julia posepnym głosem. – Zdaje się, że szuka jakiejś zemsty. Przepraszam, to moja wina, wciągnęłam cię w to. Ale nie miałam pojęcia! Boże, co ja narobiłam...  
– Przestań, spójrz na mnie. Nie bój się. Ona jest tylko jedna, a nas dwoje. – Próbował ją pocieszyć. – Będziemy się bronić.  
– Jak? Tutaj?  
– Najpierw trzeba się uwolnić z tych sznurów, a potem się zastanowimy. Słyszysz mnie?  
– Tak. – Pociągnęła nosem, usiłując wziąć się w garść. – Może jest tu gdzieś nożyk do listów albo coś szklanego, co można by rozbić?  
– Niestety, nie ma. Zdążyłem się rozejrzeć, kiedy jeszcze było jasno. Ale spójrz tam. Widzisz w kącie torbę?  
– Tak.  
– W środku powinnaś znaleźć coś ostrego. Tylko bądź ostrożna, nie skalecz się.  
– To jest lekarska torba. – Zdumiała się, rozpoznając jej kształt w księżycowej poświacie.  
– Tak, pospiesz się.  
W jednej chwili zrozumiała, dlaczego on mówi to z takim bólem.  
– Och, Karolu – szepnęła współczująco. – W przyborniku z narzędziami?  
– Prawdopodobnie – odparł ponuro. – Jest?  
– Coś metalowego... Zdaje się, że jakiś nożyk. Lancet?  
– Włóż mi go do rąk. Potrzymam, a ty spróbuj przeciąć swój sznur. Tylko ostrożnie, bo trochę zdrętwiały mi palce.  
– Może najpierw uwolnię ciebie?  
– Nie, ta lina jest grubsza. Musisz mieć wolne ręce, żeby ją przeciąć.  
– To jest tępe – sapnęła po chwili.  
– Trudno, ma ze dwadzieścia lat. Już?  
– Już. – Roztarła obolałe nadgarstki. – Daj, teraz ty. Zaraz spróbujemy stąd uciec.  
– Za wysoko. Wołać o pomoc też nie ma sensu. Nie wiesz, czy da się jakoś przedostać przez okno na dach pałacu?  
– Nie rozumiesz, ja znam... – Urwała, bo serce podeszło jej nagle do gardła.  
W zamku zgrzytnął klucz. Jasne światło lampy wpłynęło do środka tuż przed tęgą, wysoką kobietą o twarzy mocno przeoranej zmarszczkami.  
– Co ja widzę? – Uśmiechnęła się szyderczo na widok znieruchomiałej Julii stojącej tuż za krzesłem Karola. – Próba ucieczki? Głupcy. – Małe czarne oczy zmrużyły się jak u zwierzęcia szykującego się do skoku. – Odsuń się od niego. Natychmiast!  
– Nie zbliżaj się! – Julia wyciągnęła przed siebie dłoń z chirurgicznym nożykiem.  
Stara kobieta wybuchnęła krótkim jazgotliwym śmiechem.  
– Powiedziałam: odsuń się. Bo ubiję go jak psa – warknęła.  
Machnęła w ich kierunku zabytkową króciwą.  
– No już! Rzuć to i podnieś ręce.

Nożyk upadł z cichym brzękiem.

– Zostaw ją!

– Zamknij się, doktorku.

– Dlaczego to robisz, Marcelino? – Julia starała się zapanować nad drżeniem głosu.

– Bo musicie zapłacić.

– Za co?

– Za to, że oboje szarpaliście serce mojego anioła. Każdego dnia. Biegaliście po parku, śmialiście się, żyliście! A jej piękny książę nie. Czowała się taka samotna.

– Potrzebujesz pomocy – odezwał się Karol, próbując ukradkiem rozerwać nadcięte przez Julię więzy. – Znam miejsca, w których...

– Powiedziałam: zamknij się!

– Wypuść ją, proszę. Ja zostanę i porozmawiamy.

– Bez ciebie nie wyjdę, Karolu.

– Coś takiego! – Marcelina zaśmiała się sardonicznie. – Śmieszne istoty! Już za późno dla was. Słyszycie, jak ostrzy kosę? Zabrała mojego anioła, teraz przyszła po nas. Nareszcie.

– Marcelino, proszę. Wiem, że miałaś ciężkie życie, skrzywdzono cię, ale nie musisz tego robić. Nikomu nie powiemy.

– Nie wysilaj się. Już raz żałowałam, że pozwoliłam ci uciec. Majaczyłaś w gorączce, wygadywałaś bzdury. Doktorzyna zaczął coś podejrzewać, musiałam to zakończyć. Gdyby Zarzewski nie nakrył mnie wtedy, już dawno byłby z tobą spokój. Nawet się nie wrywałaś – stwierdziła z pogardą. – Poduszka załatwiłaby wszystko, gdyby on mi nie przeszkodził, nie sponiewierał... Te jego przekłete oczy! Jak czarne studnie z piekłem na dnie! Musiałam mu być posłuszna, musiałam...

Zdesperowana Julia rzuciła Karolowi szybkie, pytające spojrzenie, ale on unikał jej wzroku.

Nie mógł dodać jej otuchy, więc nie chciał odbierać resztek nadziei. Wiedział, że nie mają najmniejszych szans. Jedyne, co mógł zrobić, to z całej siły naprężyć mięśnie spętanych sznurem rąk.

– Ale wreszcie przyszedł koniec tej męki. Teraz odetchnę. Spokojnie zasnę u stóp mojego anioła. Już nikt się nie dowie, nic nie zhańbi jej pamięci... Jedna kulka jest dla doktora, druga dla mnie. – Machnęła staroświecką króciwą. – Ciekawe, co by powiedział na to duch waszej Julianny? To jej broń. – Prychnęła drwiąco. – Nigdy nie chciała przyjść z zaświatów na nasze wezwanie. Wielka jaśnie pani! A moja słodka Adela pragnęła tylko prosić ją o opiekę nad synkiem, tak jak prosiła swoją matkę. Podły ród! Nawet po śmierci bezużyteczny! Na tobie wreszcie się skończy. Ssskończy się – syknęła. – Teraz.

Postawiła lampę na stoliku i raz jeszcze machnęła bronią.

– Podejdź do okna – zażądała.

Julia posłusznie przesunęła się wzdłuż ściany, by odciągnąć jej uwagę od Karola.

– Spójrz. Widzisz tam w dole? Nawet nocą widać stąd cmentarz i kaplicę. Po to wybudowano tę wieżę, by mój anioł mógł czuwać nad swym księciem. Tam właśnie pójdę, do niej, już za chwilę. Ale najpierw wy.

– Proszę, przestań – szepnęła Julia. – Nie musi tak być.

– Otwórz okno. Szybciej! Piękna noc, prawda? Wtedy też taka była. Nie krzyczysz? Może jednak nie jesteś taka głupia. Pora już, włącz na parapet.

– Co takiego?

– Stań na parapecie. Tak jak ona.

– Julio, nie rób tego!

– Zamknij się! Chcesz być pierwszy? Bardzo proszę. – Broń wycelowała wprost w mężczyznę.

– Nie! Marcelino! Błagam! Już idę, spójrz! – Roztrzęsiona dziewczyna uniosła brzeg sukni, by wspiąć się do wnęki okiennej.

– Julio! – Karol szarpnął się gwałtownie.

Upadając razem z krzesłem, potracił jakiś stos pudełek, po czym sam gruchnął o posadzkę. Szkatułki, flakoniki i różne drobiazgi potoczyły się aż pod stopy Julii. Chłodny podmuch wiatru wpadł nagle do środka wieży, światło w lampie zamigotało, powietrze zapachniało fiołkami.

– Aniele... – Oczy Marceliny rozszerzyły się nagle w geście zdumienia.

Julia zamarła. Wzrok służącej utkwiał gdzieś tuż obok niej.

– Naprawdę jesteś? – Ogorzała twarz służącej rozpromieniła się. – Siostro! Tak za tobą tęskniłam.

Nie bój się, teraz już zawsze będziemy razem.

Dłoń z króciwą opadła, palce się rozluźniły, broń uderzyła głucho o podłogę.

– Ale... Co robisz, mój aniele? Nie, odsuń się, proszę. Stoisz za blisko. – Spojrzenie Marceliny nappełniło się strachem.

Wyciągnęła ręce w kierunku okna.

Kolejny podmuch wiatru uniósł z podłogi pachnącą fiołkami mgiełkę pyłu. Na ułamek sekundy w świetle księżyca zatańczył na tle okna widmowy kształt sylwetki.

– Nie! Adelo! Nie rób tego! Nie skacz! Uratuję cię!

– Julio!!!

Rozpaczliwy krzyk Karola otrzeźwił zmartwiałą dziewczynę. W ostatnim momencie szarpnęła się do tyłu, odsłaniając otwartą przestrzeń okna. Tuż przed jej nosem z przeraźliwym wyciem Marcelina rzuciła się w ciemność nocy.

Brzęk upadającego szkła zagłuszył jej oddalający się krzyk. Potracona lampa rozprysnęła się na posadzce, wypuszczając uwieczoną w swoim wnętrzu naftę. Ogień buchnął tak gwałtownie, że Julia poczuła na twarzy uderzenie gorąca.

– Julka! – wrzasnął Karol zza płomieni. – Uciekaj! Ona nie zamknęła drzwi!

– Nie!

W ostatniej chwili przeskoczyła nad płynącą wzdłuż pomieszczenia strużką ognia, który rozlewał się jak rzeka występująca z brzegów.

– Zwariowałaś?!

– Nie szarp się!

Bez namysłu chwyciła kawałek szkła z podłogi i rozcięła do końca jego więzy. Podniósł się dość chwiejnie. Obronnym gestem osłonił ją od żaru ognia, który błyskawicznie pożerał stare meble.

– Po co to zrobiłaś?! – rzucił wściekły. – Trzeba było uciekać!

– A jak to sobie wyobrażasz? Miałam cię tu zostawić na pewną śmierć?!

– Właśnie tak. Teraz zginiemy oboje!

– Nie tak szybko! – przekrzykiwała trzask huczących płomieni. – Weź krzesło.

– Ty też oszalałaś?

– Tak! Przez ciebie, ty głupku!

– Przeze mnie?!

– Bo cię kocham! – Tupnęła nogą. – Więc tak łatwo się ode mnie nie uwolniesz!

– Julka...

Przez moment w jaskrawym świetle ognia spojrzeli na siebie, jakby czas się zatrzymał. Nie potrzebowali słów. Gdy dotknął jej rozciętej wargi, syknęła i wróciła do rzeczywistości.

– Później! – rzuciła, czując, że gryzący dym zaczyna ją dusić. – Musimy uciekać – zakaszła.

– Którędy?

– Rzuć krzesłem w to lustro przed nami.

– Co?

– Nie pytaj, tylko rzuć krzesłem w to cholerne lustro na ścianie!!!

\* \* \*

Gdy powóz zbliżał się do dworu, rozszczękały się psy. Emil westchnął ciężko.

– Jak mam się zachować? – spytał zgnębiony. – Nie mogę nawet zebrać myśli. Basiu, jak ona

mogła zniszczyć mi życie jednym listem?!

Ciepła dłoń Barbary pocieszającym gestem spoczęła na ręce mężczyzny.

– Emilu, nie zadręczaj się. Przeszłości nie da się zmienić. Można tylko wybaczyć, dla własnego dobra.

– Ale to zrobiła moja matka! Jak mam jej darować coś takiego?!

– Pamiętaj, że nie wiedziała, czy żyjesz. Szukała cię, była zrozpaczona.

– Ale nie wierzyła, że umarłem! Nie miała na to dowodów. Kłamała!

– Przestań. Znowu robi ci się słabo.

– Jakie to ma teraz znaczenie?

– Dla mnie ma. I dla Aurelki, dla Julii – odparła stanowczo. – Masz dla kogo żyć, więc musisz wziąć się w garść. Przestań na chwilę myśleć o matce i skup się na żyjących. Pamiętaj, co mi obiecałeś w Krakowie.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Dasz. Dziś już za późno, ale jutro po śniadaniu sama się wszystkim zajmę. Musimy być delikatni. Cokolwiek się zdarzy, ostateczną decyzję podejmie Julia. To jej życie. – Głos Barbary zabrzmiał ostrzej, niż chciała. – A ty zaakceptujesz to bez mrugnięcia okiem. Nie chcę, żeby znowu cierpiała.

– Tak, oczywiście – zgodził się potulnie.

Barbara odetchnęła, lecz w tym momencie złapał ją atak kaszlu.

– Musisz koniecznie dać się zbadać doktorowi Natejce. – Zmartwiony Emil podał jej chusteczkę.

– Nie pozwolę ci dłużej leceważyć swojego zdrowia.

– Przyganiał kocioł garnkowi – skomentowała rozbawiona kobieta, gdy już uspokoiła oddech. –

Nic mi nie będzie, w bagażu mam leki. O, zdaje się, że dojeżdżamy.

Powóz stanął, stangret otworzył drzwi.

Do nóg dziedzica z radosnym szczekaniem dopadła para kudłatych psów, a za nimi pojawił się nocny stróż z z latarnią w dłoni.

– A cóż tu się wyprawia? – zdumiał się Emil, patrząc na rozświetlony dwór, w którym mimo późnej pory najwyraźniej nikt nie położył się spać.

Na ganek wypadła z krzykiem Natejkowa, a tuż za nią pokojówki.

– Jest! Jest pan Laskowic! Jaśnie panie, nieszczęście!

Emil zbladł, gdy zobaczył jej rozognioną, zapłakaną twarz. Nigdy wcześniej nie widział swojej klucznicy w takim stanie.

– Jezus, Maria! Co się stało? Coś z Aurelką?!

– Nie, jaśnie panie. – Natejkowa ledwie rzuciła okiem na Barbarę, która schodziła właśnie ze stopni powozu. – Mój syn gdzieś przepadł, nie ma go od rana. O, ja nieszczęsna, po co mu głowę trułam?! Znaleźli jego konia na łąkach, a Karola nie ma. Pewnie go napadli w lesie, zabili! – lamentowała. – Posłałam ludzi, czekałam do nocy, że wróci, ale jak kamień w wodę! Bodajby już lepiej uciekł z tą dziewczyną! Byłby żywy, a tak co? Co ja mam robić?!

Nerwowy atak Natejkowej tak zdumiał Emila, że stanął jak wryty bez słowa. Wokół nich zaczęło się gromadzić coraz więcej ludzi, bo nawet z folwarku przybiegli robotnicy na wieść, że dziedzic wrócił.

Barbara, widząc jego oszołomienie, trąciła go dyskretnie.

– Emilu, zrób coś – mruknęła. – To twoja ochmistrzyni?

Mężczyzna w jednej chwili odzyskał rezon.

– Pani Natejkowo, proszę się uspokoić. Natychmiast! – zażądał. – Gdzie jest rządca? A, tutaj. Niech lepiej pan mi opowie, co się stało.

Niewysoki wąsaty oficjalista szybko nakreślił sytuację.

– Rozumiem. To rzeczywiście mocno niepokojące. Szukaliście go?

– Tak, jaśnie panie. Posłałam ludzi w różne strony, nawet do okolicznych dworów. Ochmistrzyni najpierw nie chciała, ale po zachodzie słońca wpadła w histerię.

– I co z Karolem?

– Na razie żadnych wieści.  
– Nikt go nie widział! – chlipnęła Natejkowa.  
– Spokojnie. Wejźmy do środka i zastanowimy się, co robić. A wam dziękuję. Wracajcie na razie do czworaków. I tak trzeba czekać do świtu. – Skinął głową pracownikom, po czym podał Barbarze ramię. – Chodźmy, kuzynko.  
– Nie zauważyłam Julii – mruknęła zaniepokojona, rozglądając się wśród służby.  
– Na pewno jest przy Aurelce.  
– Pani ochmistrzyni! – Z ciemności wynurzył się nagle zdyszany Franek. – Ja muszę coś rzec pani ochmistrzyni!  
– Jeszcze ciebie tu brakuje – zaprotestował rządcą i złapał go za koszulę. – Uciekaj stąd, ale już!  
– Ale ja muszę!  
– Pani Natejkowa ledwie żywa, a ten głowę zawraca po nocy.  
– Panie dziedzicu! Ja mam wieści!  
Barbara zatrzymała się na schodach.  
– Emilu, trzeba wysłuchać to dziecko. Puśćcie go, niech mówi.  
– Dziękuję, proszę jaśnie pani – bąknął chłopiec onieśmielony widokiem dystygowanej damy.  
– Bo to było tak, że jeszcze przed wieczorem opowiedziałem naszej pani uczycielce, co wiem o doktorze, ale ona mi zakazała o tym rozpowiadać aż do zachodu słońca, a gospodyni nie chciała mnie wypuścić z chałupy po zmroku, że niby zmyślam – mówił na jednym oddechu. – Dopiero teraz żem się wymknął. Nie mogłem wcześniej. – Zmartwiony próbował się bronić.  
– Chwileczkę, chłopcze – mruknął zdeorientowany Emil. – Jaka pani? O czym ty mówisz?  
– No, panna Julia przecie. Uczycielka naszej panienki.  
– Panna Zarzewska? Zakazała ci mówić o doktorze?  
– Tak jest, panie dziedzicu. Powiedziałem jej, że doktor jechał przez most do starego pałacu. A ona na to, żeby nie mówić o tym nikomu do zachodu słońca i dopiero potem donieść pani ochmistrzyni.  
– Do pałacu? Karol? – zaniepokoiła się Natejkowa.  
Niezadowolony Emil tylko pokręcił głową.  
– Nic z tego nie rozumiem. Nie, nie, wejźmy do środka. Panna Julia sama nam opowie, o co w tym wszystkim chodzi.  
W tym momencie na ganek wybiegła Aurelka otulona szlafrokiem.  
– Och papciu, przywiozłeś panią Basię! Jak cudownie! – Rzuciła się w objęcia kobiety.  
– Co tu się dzisiaj wyprawia? Dlaczego jeszcze nie śpisz, córciu? Wiesz, jak jest późno?  
– Usłyszałam psy, a potem powóz i przybiegłam cię uściskać, papciu. Tak się cieszę, pani Basiu!  
Nie gniewaj się, papo. Chciałam spytać pannę Julcię o pozwolenie, ale nie było jej w pokoju. Jest tutaj?  
– Dziewczynka się rozejrzała.  
– Kto?  
– Panna Julcia. Nie przyszła się przywitać? Bo w domu jej nie ma.  
– Chwileczkę, dziecko. – Barbara wyplątała się z jej objęć. – Julii nie ma w pokoju? O tej porze?  
– Nie. I nawet łóżko jeszcze nie posłane. Tylko okno otwarte, że aż chłód naleciał.  
– O Jezu drogi – szepnęła z nadzieją Natejkowa gdzieś z tyłu. – To może jednak z nim uciekła?  
– Zawracanie głowy – burknął Emil zirytowany całym zamieszaniem toczącym się na oczach zaciekawionych pracowników i służby. – Może byśmy wreszcie weszli do domu? Panna Julia na pewno przebywa gdzieś na pokojach i sama nam wszystko wyjaśni.  
– Jaśnie panie! – Zdenerwowany głos Franka zatrzymał go jednak na miejscu. – A mnie się coś zdaje, że pani uczycielka też na drugą stronę rzeki poszła. Dlatego nie kazała mi od razu mówić.  
– Panie dziedzicu! – krzyknął nagle ostrzegawczo ktoś z gromady fernali, przerywając chłopcu.  
– Las gore!  
Wszystkie oczy w jednej chwili zwróciły się w stronę wzgórza, nad którym unosił się dym i czerwono-żółta luna pożaru.

– To nie las. Zdaje się, że pałac hrabiego płonie – rzucił rządcą.

– Jezus, Maria... Karol – szepnęła Natejkowa i osunęła się na ręce zaskoczonych pokojówek.

Rozległy się krzyki, służba rzuciła się na pomoc, rozszczękały się psy. Barbara poczuła ukłucie w sercu. „Ślepiec rzekł: niech się strzeże wody i ognia” – słowa Włodziowej zabrzmiały jej niespodziewanie w głowie.

– Julia... Julio! Gdzie jesteś?! – krzyknęła, wbiegając po schodach do środka.

– Zwołajcie ludzi na wozy! Bosaki, wiadra, prędko! I przygotujcie mi konia, a żywo! – wrzasnął Emil do rządcy, po czym z duszą na ramieniu pobiegł za Barbarą.

## ROZDZIAŁ XVII

Gdy zaskrzypiały drzwi i ukazała się w nich głowa Emila, Barbara cicho wstała z fotela i zdmuchnęła lampę. Świt za oknem napelniał już sypialnię szarością dnia.

– Gdyby coś się działo albo panienka się obudziła, natychmiast mnie zawołaj – szepnęła do pokojówki, która siedziała na zydelku po drugiej stronie łóżka Julii i przesuwała w palcach paciorki różańca.

– Dobrze, proszę pani.

Barbara cicho zamknęła za sobą drzwi.

– Jesteś, Emilu. Jak ty wyglądasz? – zatroskała się na widok zmęczonego, pobrudzonego sadzą mężczyzny.

– Co z Julią?

– Dobrze, teraz śpi. Ale nie rozmawiajmy tutaj, przejdźmy do twojego gabinetu.

Po drodze zaordynowała dla niego posiłek, a kiedy został przyniesiony, sama naląła mu ciepłej herbaty.

– Dziękuję, Basiu, że się tu wszystkim zajęłaś w nocy. Nie mogłem zostawić ludzi samych, bałem się, że ogień się rozprzestrzeni. Wiesz za rzeką byłaby zagrożona. Ale cały czas myślałem o młodych. Co oni tam robili?

– Nie wiem. Najważniejsze, że są cali.

– Lekarz z miasteczka dojechał?

– Tak, jest teraz u pana Karola. Napij się herbaty i odetchnij, ledwo żyjesz.

– Co konkretnie powiedział doktor?

– Julia rozcięła dłoń na jakimś szkle, ma trochę siniaków i skaleczeń. I zdaje się, że rozchwiany ząb. Przez opuchliznę na policzku trudno było to zbadać.

– Opuchlizna na policzku? Ząb? – Zdziwił się niemiło. – Skąd takie nietypowe zranienia?

– Nie wiem, nie chciała nic powiedzieć. Była zbyt wyczerpana, prawie leciała nam przez ręce, kiedy wysiadaliśmy z bryczki. Miałam ją dręczyć pytaniami?

– Karol też milczał, kiedy ich znaleźliśmy w parku. Jakby ich oboje zamurowało. A ja muszę wiedzieć, co się tam wydarzyło! – Zirytowany zerwał się zza biurka i zaczął krążyć po pokoju. – To niewyobrażalne, żeby pod moim bokiem spotkało ich coś takiego. Mogli zginąć w płomieniach!

– Nie denerwuj się. Żyją, to najważniejsze.

– Ale co tam robili? Po co poszli do pałacu i to w takim sekrecie? Czuję, że Julię ciągnęło za rzekę, ale takie zachowanie? Doprawdy, nie pojmuję tego!

– Uspokój się, Emilu. – Stanowczy ton Barbary ostudził jego emocje. – Jestem przekonana, że na wszystko znajdzie się logiczne wytłumaczenie. Znam Julię, bywa impulsywna, bo kieruje się sercem. Nigdy jednak nie narażałaby świadomie ani siebie, ani nikogo innego na niebezpieczeństwo czy utratę dobrej reputacji. Musimy po prostu poczekać na wyjaśnienia.

– Masz rację, Basiu.

– Obawiam się tylko...

– Czego?

– Że powinniśmy się przygotować na falę obmowy. Nie patrz tak. Ty się znasz na koniach, ja na ludziach. Przykro mi, ale już szepczą po kątach.

– O czym? Że niby tych dwoje...? – Zmieszał się. – Bzdura! Karol nigdy nie postąpiłby w tak nieodpowiedzialny sposób. Schadzka w parku? Wykluczone. To honorowy młody człowiek.

– Nie, nie schadzka. Ucieczka. Tak szepcze służba, sama słyszałam.

– Co takiego? To niemożliwe.

– W pewnych sprawach jesteś naiwny jak dziecko, mój drogi kuzynie. – Uśmiechnęła się z czułością, pesząc mężczyznę. – Oczywiście, masz rację. Gdyby Julia zamierzała popełnić megalomanię, na pewno nie uciekałaby z nikim ukradkiem. Z podniesioną głową przyszłyby do mnie i oświadczyła po

prostu: wychodzę za mąż i kropka. Jest uparta jak każda panna Zarzewska. Nie pamiętasz? – spytała znacząco.

Emil przystanął, spojrział na nią zza przybrudzonych binokli. W jego wzroku kryło się dziwne rozczulenie pomieszane z żalem.

– Tak – szepnął. – Zapewne.

– Sam widzisz. Niestety ludzie najczęściej oceniają innych według własnej miary. Przykro mi, ale te plotki spadną także na twój dom.

– To akurat najmniejszy problem. – Wzruszył ramionami.

– Cieszę się, że tak myślisz. Poradzimy sobie z tym jakoś, niech tylko młodzi dojdą do siebie.

Julia była wyjątkowo roztrzęsiona, ale chyba nie powinnam się temu dziwić – stwierdziła trochę bez przekonania. – Mnie samej serce stanęło, kiedy pomyślałam, że ona jest w tym pożarze. Już raz to przeżyliśmy. – Przeszedł ją dreszcz.

– Basiu, ty też powinnaś wypocząć. To była ciężka noc. Zażyłaś leki?

– Tak, nic mi nie jest. A co z pałacem? Ugasiliście pożogę?

– Trudno to nazwać ugaszeniem. Połowa budynku spłonęła, wieża się posypała. Ale na szczęście ogień nie przeniósł się na park. Nie rozumiem, co się właściwie stało. Stróż zwykle nikogo nie wpuszczał na ten teren, a teraz sam zniknął. Dziwne to wszystko.

W tym momencie ktoś zapukał.

– Tak? A to pan, doktorze, proszę. – Wpuścił do środka starszego mężczyznę. – Dziękuję, że w środku nocy zdołał pan do nas przyjechać.

– Nie ma za co. Łunę pożaru było widać nawet u nas w mieście. Straż ogniowa jechała, co koń wyskoczy. Czuję, że mogę być potrzebny doktorowi Natejce, nie sądziłem tylko, że w taki sposób.

– Co z nim?

– Właściwie w porządku, wypoczywa. Jest przy nim matka. Ona zniosła to dużo gorzej, jak sądzę.

– Nie odniósł poważniejszych ran?

– Ma lekko oparzone lewe ramię i zwichnięty nadgarstek. Przez kilka dni może odczuwać zawroty głowy i mdłości z powodu przytrucia.

– Przytrucia?

Lekarz przybrał nieco tajemniczą minę.

– Cóż, muszę być z państwem szczerzy. Wiem, że inspektor przyjechał już na pogorzelisko...

– Policja? – wtrąciła się zdziwiona Barbara. – Czy to było konieczne?

– Oczywiście, Basiu. To już drugi pożar w okolicy w ciągu zaledwie kilku dni. Zresztą hrabia na pewno zażąda raportu.

– To właśnie hrabia mnie martwi, Emilu – mruknęła.

– Yhym, yhym... – Lekarz znacząco chrząknął.

– O przepraszam, przerwałam panu.

– Nie szkodzi. Obawiam się jednak, że państwa podopieczni i tak nie uniknąliby rozmowy ze śledczym. A nawet gdyby chcieli, sugerowałbym, żeby ich do tego nakłonić.

– Może pan jaśniej, doktorze?

– Oczywiście. Zbadałem ich. Oboje mają na ciele wyraźne ślady po więzach, a nawet po jakiejś szarpaninie. Ten pożar może się okazać sprawą kryminalną.

– Słucham? – zdumiała się Barbara i natychmiast poszukała wzrokiem pomocy u Emila.

– Spokojnie. O czym pan mówi, doktorze?

– Jestem pewien, że zarówno panna Zarzewska, jak i doktor Natejko w ciągu ostatnich godzin byli związani. Mają wyraźne zasinienia i otarcia, zwłaszcza pan Natejko. Do tego przez jakiś czas był prawdopodobnie pod wpływem jakiegoś środka odurzającego. Natomiast opuchlizna na twarzy panny Julii w sposób oczywisty wskazuje na mocne uderzenie pięścią.

– Boże... – szepnęła przestraszona Barbara. – Jak to? Nic pan nie wspominał w nocy.

– Woląłem zaczekać na pana Laskowica. Sugeruję jednak, by jak najszybciej porozmawiać o tym



z inspektorem. Cała sprawa bardzo brzydko pachnie.

Emil nie zdążył nawet zareagować na te rewelacje, gdy do drzwi powtórnie zapukano.

– Co znowu?! Jestem zajęty!

Do środka zjrzał rządcą, równie umorusany, jak dziedzic.

– A to pan, proszę wybaczyć. Mam tu ważne sprawy – mruknął zdenerwowany Emil. – Co tam?

Dogasiliście do końca?

– Tak, jasnie panie. Ale są tu żandarmi.

– Emilu!

– Nie denerwuj się, Basiu, ja się tym zajmę. Proszę ich wpuścić do salonu, zaraz do nich wyjdę.

Czy ustalono przyczynę pożaru?

– Jeszcze nie, jasnie panie, ale... – Rządca miał poważną minę.

– Ale?

– Znalezliśmy Józefa. Leżał w szopie razem ze swoimi psami.

– To niewiarygodne. Niech zgadnę: pijany?

– Nie, jasnie panie. Psy były martwe. Józef także.

– Co takiego?!

– To nie wszystko. – Mężczyzna niepewnie przestąpił z nogi na nogę. – Pod gruzami wieży straż ogniowa znalazła jeszcze jedno ciało. Tej gosposi od Józefa.

W gabinecie zapadła cisza.

– Dwa trupy, pożar, napaść. No, no – mruknął po chwili stary doktor. – Już dawno nie mieliśmy tu takich historii. Państwo wybaczą, ale zdaje się, że wzywają mnie obowiązki. Muszę obejrzyć ciała.

\* \* \*

Zeznania Julii i doktora Natejki zostały spisane jeszcze tego samego dnia. Mimo że zachowano przy tym zrozumiałą dyskrecję, o szczegółach dramatycznych wydarzeń już wieczorem dyskutowała cała okolica.

Plotkowano i w miasteczku, i na wsiach, i w sąsiednich majątkach. Ludzie ze zgrozą opowiadali sobie historię niezrównoważonej psychicznie Marceliny, która przed laty upozorowała własną śmierć. Trudno było uwierzyć, że nie tylko okazała się zabójczynią Balbiny, starego doktora Natejki oraz nieznaney żebraczki, ale ukrywała się przez tyle lat w przebraniu, by nagle w kolejnym przyływie obłądu otruć biednego Józefa i zaatakować córkę swoich byłych pracodawców. Każdy, komu zdarzyło się kiedyś spotkać na drodze zgarbioną i nierzucającą się w oczy gosposię Józefa, dziękował teraz Bogu, że nie spotkało go nic złego ze strony tak groźnej wariatki. Wieść głosiła, że wszystkiemu winna była niespełniona miłość Marceliny do stangreta Józefa zakochanego przed laty właśnie w piastunce Julii Zarzewskiej. Historia ta, przekazywana z ust do ust, z każdą godziną obrastała w nowe szczegóły, wzbudzając zrozumiałą sensację. Dla zatwardziałych plotkarek stanowiła koronny dowód na to, iż słusznie przewidywały nadejście kłopotów z chwilą pojawienia się w okolicy panny Zarzewskiej.

Zachodzono przy tym w głowę, dlaczego na koniec Marcelina postanowiła zamordować nie tylko Józefa, ale także młodego doktora i pannę Zarzewską, których podstępnie zwabiła do pałacu. „Widocznie się całkiem starej we łbie pomieszało. Pewnie sądziła, że znowu zabija niańkę i starego doktora” – mówili niektórzy. Nie minął dzień, a w okolicy krążyło już tak wiele wersji zdarzeń, że trudno było oddzielić prawdę od wymysłu. Najwięcej ekscytacji wzbudzała jednak opowieść o tym, że zazdrośnie strzegąca pałacu Marcelina nakryła po prostu doktora i pannę Zarzewską na wynoszeniu ukrytych skarbów. „Nie raz, nie drugi ludzie widzieli ich w parku za rzeką. Pewnie już wtedy planowali, jak się dostać do tego majątku. No i wpadli” – komentowano. W każdym wariantcie zgodnie potwierdzano jedynie dwie kwestie: główną zasługę za uratowanie życia panny z oczywistych względów

przypisywano doktorowi Natejce, a za przyczynę zabójstw uznawano obłąd starej sługi, która koniec końców sama wymierzyła sobie sprawiedliwość, wyskakując przez okno wieży w ucieczce przed płomieniami.

Dwór Laskowiców nie zaprzeczał ani nie komentował tych doniesień. Wszyscy pracownicy wykazali się lojalnością, nabierając wody w usta i gorliwie zajmując się swoimi obowiązkami. Każdy z nich wiedział jednak swoje – to panna Zarzevska odnalazła uwięzionego w wieży młodego doktora i prawdopodobnie tylko dlatego udało się im we dwójkę jakoś wydostać z piekła, jakie się tam rozpętało. Nie znano szczegółów, ale też nikt nie wątpił w to, że prawowita dziedziczka pałacu jako jedyna wiedziała, gdzie były sekretne komnaty i tajne przejścia, o których szeptano w okolicy od niemal dwóch dekad.

\* \* \*

Choć tamtej nocy wszyscy dopytywali o pożar i jego przyczyny, kompletnie wyczerpana Julia nie wyjaśniła właściwie niczego. Czuła, że sekret najstraszliwszych chwil swojego życia może dzielić wyłącznie z Karolem – z mężczyzną, który razem z nią patrzył śmierci w oczy i wraz z nią w ostatniej chwili wymknął się z pułapki. Była zbyt oszołomiona, by zdecydować, co i komu trzeba powiedzieć, dlatego odsuwała od siebie tę konieczność, starając się przede wszystkim zapanować nad nerwami.

Dopiero w ciepłe własnego łóżka, otoczona troskliwą opieką ciotki, która tak niespodziewanie zjawiała się we dworze, Julia rozsypała się zupełnie. Przeplakała w poduszkę pół nocy, nie tylko odreagowując dramatyczne przejścia, ale także przeżywając raz jeszcze koszmar wspomnień z dzieciństwa. Ciężar wiedzy przytłoczył ją. Nie przyznała się jednak Barbarze, co najbardziej nią wstrząsnęło. Spłakana i wyczerpana zasnęła w końcu kamiennym snem.

Nieco trudniejsze zadanie spadło na Karola, bo mimo własnej słabości musiał jeszcze przetrzymać histeryczną reakcję matki. Myślni był jednak wciąż przy Julii, nareszcie bezpiecznej i otoczonej wierną służbą, a jednak równie jak on osamotnionej w walce z powracającym obrazem szalonej Marceliny oraz płomieni, które niemal stały się ich bramą do wieczności.

Następnego dnia Julia niechętnie opowiedziała żandarmom własną wersję wydarzeń. Licząc na domyślność Karola, zataiła niektóre fakty. Nie pomyliła się. Mimo że przesłuchiowano ich osobno, młody doktor nie pisał ani słowa o prawdziwym powodzie, dla którego Marcelina popełniła szereg zbrodni – o zatuzszowanym przed laty samobójstwie pani Zarzevskiej.

To odkrycie, choć dramatyczne, właściwie go nie zdziwiło. Z pierwszych notatek jego ojca dotyczących stanu zdrowia pacjentki jasno wynikało, że kobieta miała już za sobą jedną nieudaną próbę odebrania sobie życia, gdy po śmierci synka podcięła sobie z rozpacz żyły. Wiedząc o jej chorobie znacznie więcej niż ktokolwiek inny, Karol zrozumiał w końcu, dlaczego ojciec tak wiele czasu spędzał przy swojej pacjentce, zaniedbując własną rodzinę. Tym mocniej ugruntowało się w nim postanowienie, że mimo szacunku dla obowiązkowości ojca i dla własnego zawodu on nigdy nie złoży dobra swoich bliskich na ołtarzu pracy.

Rozmyślał o tym w każdej minucie dłużącgo się dnia, który, na wyraźne zalecenie kolegi po fachu, musiał spędzić w łóżku, podobnie jak Julia. Myślał o tym, bo przed oczyma wciąż pojawiała mu się jasna twarz Julii – mimo szalejących wokół płomieni wpatrzona w niego z uczuciem, o którym wcześniej nawet nie ośmielał się marzyć.

– Nie wytrzymam tej niepewności ani chwili dłużej. Zwariuję, jeśli jej nie zobaczę – szepnął do siebie, gdy wreszcie nadszedł wieczór, a spłakana matka zasnęła w pokoju obok.

Nie zważając na nic, wymknął się z oficyny.

\* \* \*

Julia z trudem nakłoniła ciotkę i garderobianą, żeby tej nocy zostawiły ją samą.

– Nic mi nie będzie – przekonywała. – Kiedy tak mnie pilnujecie, nie mogę zasnąć.

– Dobrze, dziecko – westchnęła Barbara. – Ale gdybyś czegoś potrzebowała, będę w pokoju obok.

– A ja, proszę pani, zostanę dziś w czeladnej na noc. Wystarczy szarpnąć za dzwonek – dodała Marysia.

– Niczego nie będę potrzebowała. Wy też się wyśpijcie.

– Jeśli poczujesz się jutro lepiej...

– To co? – Rozstrojona wewnętrznie dziewczyna przez cały dzień z trudem trzymała nerwy na wodzy i nieodgadnione miny ciotki tylko ją irytowały.

– Nie, właściwie nic. Porozmawiamy innym razem. Śpij spokojnie, Julciu.

Kiedy została wreszcie sama, podeszła do lustra. Wielki opuchnięty siniak biegnący przez policzek szpecił jej twarz i boleśnie przypominał o chwili, gdy obudziła się związana w ciemnym holu pałacu. Skrzywiła się. Nigdy nie była próżna, a nawet nie uważała się za szczególnie ładną, lecz pewność, że ten okropny ślad wkrótce się zagoi, przynosiła jej ulgę.

„Biedna *maman* – pomyślała. – Jej blizny po ugryzieniu psów nigdy nie zniknęły. Teraz rozumiem, dlaczego tak mocno się pudrowała. Każdego dnia, patrząc w lustro, przypominała sobie tamtą chwilę. Uratowała komuś życie, ale zupełnie straciła ufność do świata, niewinność duszy. To wspomnienie musiało ją zabijać”.

Drgnęła, gdy od strony okna dobiegło ją cichutkie pukanie w szybę.

– Karol?

– Ciiii. Zgaś na chwilę lampę.

Uskrzydłona nagłą radością, dmuchnęła w szklany klosz i szeroko otworzyła mu okno. Mimo zwichniętego nadgarstka mężczyzna dość sprawnie wspiął się do środka.

– Proszę mi wybaczyć to niestosowne najście, ale musimy porozmawiać – zaczął oficjalnym tonem, lecz natychmiast mu przerwała.

– Nie zachowuj się jak na audiencji u cesarzowej. Jak ci się udało ominąć stróża z psami?

– Psy się tylko do mnie poasiły, jak zwykle. A stróż drzemie na schodach ganku. Widziałem go z okna. Naprawdę się nie gniewasz, że przychodzę tu o tej porze?

– Myślisz, że ja nie chciałam się z tobą zobaczyć? Cały dzień wypatrywałam okazji.

Serce Karola zabiło szybciej, lecz wciąż wzbierał się przed uwierzeniem we własne szczęście.

– A propos zobaczyć... – Podeszedł do lampy i skrzesał ognia.

– Nie zapalaj – zdążyła zaprotestować, nim delikatne światło wypełniło pokój.

– Czemu?

Speszona odwróciła się od niego, siadając bokiem na szezlongu.

– Jeszcze ktoś cię dojrzy przez okno.

– Za zasłoną?

– Zgaś lepiej.

– Dlaczego? A co ci się tu...? O Boże! Marcelina? – domyślił się, patrząc na siną szramę na jej twarzy. – Trzeba koniecznie robić okłady i ukręcić maść z arniki.

– Daj spokój. – Speszona jego wzrokiem, odwróciła głowę.

– Tak mi przykro, Julio. Wszystko przeze mnie. – Z gniewu palce same zacisnęły mu się w pięści.

– Przecież to ja złamałam obietnicę. Mogłam zostać w domu i od razu wysłać Franka do twojej matki.

– Franka?

– Nieważne. On też mnie dzisiaj przeproszał, choć doprawdy nie wiem, za co.

– Nie. Gdybym był ostrożniejszy, mniej pewny siebie, nic złego by się nie wydarzyło. Głupiec ze mnie!

– Przystań gdybać, proszę. Sama robię to przez cały dzień i mam już dość. Najważniejsze, że ten koszmar się skończył. Jeszcze tylko jedna sprawa mnie męczy, ale... – Zamilkła.

Pomyślała, że Karol, mając dostęp do medycznej dokumentacji jej matki, mógłby pomóc, ale nie miała odwagi zapytać.

– Co takiego? – spytał.

– Nic. Nie mówmy już o wczorajszym dniu. Czuję się tym przytłoczona.

– Wiem, Julio. Ale jeszcze ci nie podziękowałem.

– Za co?

– Uratowałaś mi życie. Nie wiem, co planowała ta kobieta, ale na pewno nie miała zamiaru mnie wypuścić.

– Ty ocaliłeś mnie nad rzeką. Wygląda na to, że naszym przeznaczeniem było się odnaleźć i nawzajem uratować. – Chciała się uśmiechnąć, ale tylko jęknęła.

– Boli?

– Zostaw – burknęła, odpychając jego dłoń. – Nie patrz na mnie taką.

– Dlaczego? Myślisz, że ten siniak na twojej ślicznej twarzy mi przeszkadza? Owszem, do kroćset! Krew się we mnie gotuje, że do tego dopuściłem. – Zdenerwował się. – Czuję, że coś ci grozi, a zachowałem się jak ostatni dureń. Detektyw od siedmiu boleści! Trzeba było naradzić się z panem Emilem, zamiast robić z tego tajemnicę. Nigdy sobie nie wybaczę, że z mojego powodu zginął Józef, a ty musiałaś przejść przez to wszystko.

– Po pierwsze, bądź ciszej albo ściągniesz nam na głowę ciotkę. A po drugie, zapamiętaj, że to był po prostu zbieg okoliczności. Właściwie nie ma w tym niczyjej winy. Ani mojej, ani twojej, ani nawet tej nieszczęsnej kobiety ogarniętej obsesją.

– Nie ma niczyjej winy? Julio! Jestem lekarzem i wiele potrafię zrozumieć, ale ta nieszczęsna kobieta, jak mówisz, to wielokrotna morderczyni. – Z trudem hamował emocje i trzymał głos na wodzy.

– Czy wiesz, co ja przeżyłem, kiedy pod lufą pistoletu wchodziłaś na tamten parapet?

– Wiem. Bo czułam to samo, kiedy celowała w ciebie.

– A jednak... potrafisz jej wybaczyć – stwierdził zaskoczonym tonem.

– Nie wiem, czy potrafię, ale chcę spróbować. Muszę się wreszcie uwolnić, a to jedyny sposób, jaki przychodzi mi do głowy – stwierdziła znużonym tonem. – Myślałam dziś o tym cały dzień. Nikt lepiej ode mnie nie wie, że zapominanie bez przebaczenia niczego nie naprawia, nie leczy. Wręcz przeciwnie, rozdziera duszę na kawałki. Więc spróbuję jej przebaczyć, żeby zamknąć wreszcie ten rozdział.

Pokręcił głową, patrząc na nią z podziwem.

– Od pierwszej chwili wiedziałem, że wyrosłaś na niezwykłą osobę. Ale... Ja nie jestem na to gotowy. Nie pogodzę się tak szybko z tym, że zamordowała mi ojca, zniszczyła życie matce, próbowała zabić ciebie. Nie mam w sobie takiej siły.

– To nie siła, Karolu, tylko upór. Dziedzictwo Zarzewskich – odparła, rozchmurzając się nieco.

– Proszę, nie rozmawiajmy już o tym. Jestem zmęczona. Tyle lat zmagalam się z duchami przeszłości, że chciałabym wreszcie się od nich uwolnić.

– Właśnie. – Spojrzał na nią trochę niepewnie. – Skoro mowa o duchach. Czy tam w wieży też odniosłaś wrażenie, że... – Urwał zakłopotany.

Zrozumiała go bez słów.

– Że ktoś nam pomógł? Nie wiem. Może. Czuję zapach wanilii, a ty?

– Wanilii? Ja czułem fiołki. A co to ma do rzeczy?

– Właściwie nic. – Wykręciła się. – To tylko rozsypany puder unosił się na wietrze.

– Zapewne – mruknął bez przekonania.

– Czy to ważne? Nie ma już wieżyczki duchów. Rozpadła się razem ze swoimi tajemnicami.

– Masz rację. Ale naszym bliskim będziemy musieli powiedzieć więcej niż policji. Oni czują, że

coś ukrywamy.

– Nie, Karolu, proszę. Uszanuję nasze milczenie, a w tym wypadku prawda już niczego nie zmieni na lepsze. Po co o tym mówić?

– Zrobię, jak zechcesz. Moja matka bardzo przeżyła wiadomość, że to Marcelina zabiła ojca, ale uwierzyła mi, gdy zrzuciłem winę na obłąd. Myślę, że masz rację. Chyba lepiej, żeby nie dowiedzieli się o samobójstwie pani Zarzewskiej – zgodził się z nią. – A twoja ciotka? Jej też nie powiesz?

– Nie wiem. Może kiedyś.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego twój ojciec miałby wymyślić to oszustwo z wypadkiem pani Adeli nad rzeką. Może Marcelina jednak kłamała?

– Nie sędzę. Chciała umrzeć, a przed śmiercią człowiek zwykle mówi prawdę.

– Po co zatem ta mistyfikacja?

– Wydaje mi się, Karolu, że papa kierował się po prostu miłością.

– Miłością?

– Tak. Nie rozumiałam tego, ale teraz myślę, że czasem trafiają się takie szalone uczucia, których świat nie jest w stanie pojąć. Ojciec żył tylko dla *maman*. Dla niej budował i niszczył, mówił prawdę i kłamał, pomagał i krzywdził – mówiła Julia cicho, z nutą żalu w głosie. – Dałby sobie nawet wyrwać serce, gdyby tylko miało ją to uszczęśliwić. Dlatego kiedy to się stało, ojciec zapewne nie myślał logicznie. Prawdopodobnie nie chciał, żeby do jego ukochanej przyłgnęło piętno samobójczyny. Tak, ja wiem – dodała szybko, widząc, że Karol chce zaprotestować. – Ludzie światli, nawet ksiądz, zrozumieliby. Była przecież chora. Ale inni? Sam wiesz, jak to jest.

– Hmm... Może masz rację? Mylisz się jednak, twierdząc, że twojemu ojcu zależało jedynie na jej szczęściu. Jestem pewien, że na twoim także.

Julia tylko pokręciła głową.

– Dlaczego w to wątpisz? – spytał łagodnie. – Pan Zarzewski był szorstki, nieprzystępny, ale troszczył się o ciebie. Uratował cię przed Marceliną, wywiózł do ciotki, żebyś była bezpieczna. A poza tym pamiętam, że nieraz stał w oknie swojego gabinetu, kiedy bawiliśmy się w parku. Patrzył na nas i uśmiechał się.

– Uśmiechał się? Mój ojciec?

– Tak, Julio. – Karol wziął ją za rękę. – Bo on też... Tak jak ja... – Speszyl się, poczerwieniał.

Wyczuła, co chciał powiedzieć. Z nadzieją i bijącym mocno sercem czekała, czy padną właśnie te słowa, na których najbardziej jej zależało, a które tak rzadko słyszała w swoim życiu. Jednak uścisk jego dłoni zelżał po krótkiej chwili.

– To znaczy, chciałem spytać... skąd wiedziałas, że za lustrem było przejście do pokoju twojego ojca? – Stchórzył i aż zaklął w myślach z irytacji na samego siebie.

„Ech, ci mężczyźni – westchnęła w duchu. – Panowie świata, wojownicy, podróżnicy, naukowcy. A w uczuciach najwyraźniej jak onieśmielone dzieci. Nieważne, czy to ojciec, czy ukochany. Co mam z tym zrobić?”

Ją samą zaskoczyło odkrycie, że sympatia, którą żywiła do Karola od czasów dzieciństwa, niespodziewanie przerodziła się w coś znacznie ważniejszego niż przyjaźń. Zrozumiała to wczoraj, gdy leżała spętana na zimnej posadzce i z trwogą w sercu zastanawiała się, czy on również trafił w ręce obłąkanej zabójczyny. Jedyne, czego wtedy chciała, to dowiedzieć się, że jest bezpieczny.

Gdy to sobie przypomniała, przeszedł ją dreszcz.

– Julio?

– Tak? – Ocknęła się z zamyślenia. – Ach, pytasz o lustro. Cóż, odkryłam to kiedyś przez przypadek. Opowiadałam ci, że lubiłam wędrować wieczorami po pałacu. Pewnego razu gdy *maman* znów ukryła się w wieży, postanowiłam zajrzeć do ojca. On nigdy nie domykał za sobą żadnych drzwi, więc to było łatwe. Kiedy zerknęłam przez szparę, zobaczyłam, że jego sypialnia jest pusta, ale chwilę później skrzypnęła szafa i ojciec wyszedł stamtąd, jakby nigdy nic. Oczywiście wtedy raczej mnie to zaciekało niż zdziwiło – opowiadała. – Dlatego przy następnej okazji znowu się tam zakradłam. Pamiętam, że szafa była olbrzymia, dębowa, ze zdobieniami. I miała troje drzwi. Te środkowe były

zamknięte, ale nie było w nich dziurki na klucz. To mnie oczywiście nie zniechęciło – stwierdziła pogodnie.

Karol się uśmiechnął. Nie przerywał, widząc, że te gładko płynące wspomnienia sprawiają jej przyjemność. Wzrokiem błędziła gdzieś daleko, jakby patrzyła na pałac ze szczęśliwszych czasów – kiedy miała jeszcze własny dom i rodziców, a wszystko było dużo prostsze.

– Nie wiem, ile czasu spędziłam przed tą szafą, ale chyba niezbyt dużo. Oglądałam wszystkie te dziwaczne zdobienia i nagle zauważyłam, że w jednym miejscu drewno jest bardziej wytarte niż w innych. Dotknęłam wypukłości, przekręciłam i nagle drzwi same odskoczyły. A w środku nie było ubrań, tylko krzesło.

– Krzesło?

– Tak. Weszłam do środka, tak jak zrobił to ojciec. Drzwiczki same się przymknęły, na szczęście nie do końca, bo pewnie nie umiałabym się wydostać. I w tej ciemności odkryłam nagle, że plecy szafy są jak przyciemniona szyba. A za nią nie było ściany, tylko samotnia *maman*. Pokój w wieżyczce.

– Lustro weneckie? – spytał zaskoczony. – Coś takiego!

– Widocznie nie tylko ja tęskniłam za nią, kiedy na wiele godzin zamykała się przed nami – stwierdziła cicho. – Kochający człowiek jest zdolny do różnych dziwactw.

Wyglądała w tej chwili tak bezbronne, że Karol zapragnął ją objąć i ochronić przed tym smutkiem, który rysował się w kącikach jej oczu.

– Julka – szepnął zamiast tego. – Spójrz na mnie, proszę.

– Tak?

– Czy twoje wyznanie, tam na wieży, było prawdziwe? Czy to tylko z nadmiaru emocji, z przestachu? Muszę to wiedzieć. – Patrzył na nią błagalnym wzrokiem. – Zrozumiem, jeśli powiesz, że nie myślałaś w tamtej chwili rozsądnie, że to tylko taki odruch.

Zawstydzona uśmiechnęła się niepewnie.

– Mówiłam wtedy wiele rzeczy.

– Przecież wiesz, o co pytam.

– A gdybym powiedziała, że to nie z przestachu? I że rozsądek czy konwenanse w tej kwestii nic mnie nie obchodzą?

– Naprawdę? – Ucieszył się. – Wtedy mógłbym mieć nadzieję. Bo ja też...

– Ale ja nie chcę, żebyś miał nadzieję – przerwała mu z łagodnym uśmiechem.

– Nie?

– Nie. Oboje się przekonaliśmy, że życie jest zbyt krótkie, by zadowalać się tylko nadzieją. Chcę, żebyś miał pewność, dlatego powiem to jeszcze raz. Kocham cię, Karolu Natejko.

– Julka... najdroższa...

Z korytarza dobiegło nagle stłumione kasłanie.

– To ciocia. – W popłochu rzuciła się do lampy, by zdmuchnąć płomień. – Może tu zajrzeć. Musisz już iść. Szybko.

– Ale Julio...

– Później, jutro – rzucała szeptem, popychając go w kierunku okna. – Opinia ludzi nic mnie nie obchodzi, ale ciocia to co innego.

Zabrząca lekko trącona szyba, gdy Karol zeskakiwał z parapetu prosto w nasturcje.

– Julio...

– Co jeszcze?

– Kocham panią, panno Zarzevska – rzucił wesołym szeptem, po czym ruszył ścieżką przez ogród.

\* \* \*

Barbara przez długą chwilę stała w otwartym oknie swojego pokoju i nasłuchiwała. Hałas, który wyciągnął ją z łóżka, rozszyfrowała bez trudu, bo młodzi konspiratorzy z pokoju obok niezbyt umiejętnie kryli się z niespodziewanym spotkaniem. Ich ciche głosy wyraźnie dobiegały przez otwarte okno, choć konkretnych słów nie dało się rozróżnić.

„ Chyba jednak nie umiem zbyt dobrze wychowywać – pomyślała rozbawiona. – Cóż, trudno. Nie byłam dla Julii wzorem idealnej, posłusznej, cichej kobietki. Czy mam prawo ją krytykować za to, że ciągle wpada w jakieś tarapaty? To gorąca, kochana głowa i złote serce, ale skłonność do łamania zasad najwyraźniej odziedziczyła po Zarzewskich. Może chociaż ten młody człowiek stąpa bardziej twardo po ziemi? Doktor Natejko. Hmm... Wiele razem przeszli, a trudne sytuacje najlepiej odkrywają naturę drugiego człowieka, coś o tym wiem – westchnęła w duchu. – Jeśli po tym wszystkim Julia go wybierze, to znaczy, że zyskała pewność nie tylko co do uczuć”.

Nie miała żadnych wątpliwości, że młody doktor był po uszy zadurzony w jej wychowanicy. Kiedy odwiedziła go po południu, by na prośbę Julii dowiedzieć się o jego samopoczucie, przywitał ją z pewnym onieśmieleniem i nieprzesadzoną dawką kurtuazji, a potem cały czas wypytywał o zdrowie i nastrój „ panny Zarzewskiej”. Barbarze wystarczyło spojrzeć na błysk w jego oku, gdy mówił o Julii, na lekkie roztargnienie, gdy jego myśli biegły podczas rozmowy w zupełnie inne miejsce – i już wiedziała, że patrzy na zakochanego mężczyznę. Z Julią było inaczej. Przytłoczona ostatnimi przeżyciami była dość milcząca, zamyślona, chwilami nawet przygnębiona. Barbara czuła, że coś ją trapi, ale choć krajało się jej serce, nie naciskała na wyznania. Tym bardziej że ujawnione przez młodych szczegóły wydarzeń w pałacu przyprawiły ją o palpitację serca. Nie chciała męczyć Julii rozmową, mimo pewności, że młodzi nie zeznali wszystkiego do protokołu. Tak, jak przed laty, postanowiła, że poczeka, aż Julia sama zdecyduje, czy chce się podzielić z nią swoim frasunkiem. Wystarczyło jednak, by nieopanowana w gadulstwie pokojówka Marysia wspomniała o młodym doktorze, a oczy Julii zaczynały promienieć, jakby każde słowo na jego temat było lekarstwem dla zranionej duszy.

Potajemne wieczorne spotkanie tej dwójki stanowiło zatem dowód, że Barbara nie pomyliła się w swoich przeczuciach. Zamiast ją gniewać i oburzać, ta schadzka niemal ją ucieszyła.

„ Oj, Juleczko. Jeszcze dwa miesiące temu wmawiałaś mi, że nie masz romansowej natury – pomyślała. – Zaskoczyliście mnie oboje. Skoro jednak razem przeszliście przez próbę ognia, to i z życiem łatwiej będzie wam sobie poradzić we dwoje. Tylko co na to powie Emil? I jak ma wyznaczyć prawdę? Tak bardzo chciałabym ci oszczędzić kolejnego ciężaru, nie psuć szczęścia – martwiła się. – Ale nie wiem, czy mam prawo milczeć. Z jednej strony ty, z drugiej Emil. Co robić?”

Otulona ciepłym szalem stała w oknie tak długo, aż szmer głosów w pokoju obok niemal zupełnie przycichł. Wtedy poczuła się w końcu w obowiązku interweniować i zakończyć to wysoce niestosowne, a nawet skandaliczne spotkanie, nim całkiem się pogrąży we własnych oczach jako opiekunka Julii.

Otworzyła drzwi na korytarz i głośno zakasłała. Chrzęst butów na ścieżce pod oknami przekonał ją, że wybrała dobry sposób. Nim wróciła do łóżka, uklękła jeszcze na klęczniku przed krzyżem.

– Boże, dziękuję jeszcze raz, że ją ocaliłeś – szepnęła. – I za to, że dzisiejszej nocy wreszcie zaśnie szczęśliwa. Nie wiem jednak, co zrobić z tą tajemnicą, którą złożyłeś w moje ręce. Jeśli chcesz, proszę, obdarz mnie mądrością, żebyśmy nie zniszczyła życia wszystkim, których kocham.

## ROZDZIAŁ XVIII

Ledwie z podwórza dobiegło drugie pianie koguta, Karol był już na nogach. W duszy wrzała mu prawdziwa gorączka, nad którą z trudem panował w czterech ścianach pokoju.

Najchętniej wskoczyłby na konia i pognął gdzieś w pola. Jedynie obecność matki, która już drugą noc spała w jego oficynie, powstrzymywała go przed wyjściem z mieszkania. Wiedział, że gdy się obudzi i nie zastanie go w pokoju, znowu wpadnie w histerię. Wciąż bardzo przeżywała ostatnie wydarzenia, a cienie pod jej oczyma świadczyły o silnym przemęczeniu, dlatego chciał, by choć ona się wyspała.

Przez całą noc nawet nie zmrużył oka, rozmyślał, martwił się. Czuł się rozdarty między uczuciem szczęścia a podszeptami rozsądku, które sprowadzały go na ziemię. Od pana Laskowica nauczył się kierować w życiu obiektywizmem i rozważą, a jako lekarz szybko oceniał każdą sytuację, by móc jak najlepiej pomóc. Teraz stracił nie tylko trzeźwość umysłu, ale i pewność siebie.

Gdyby tylko mógł, natychmiast założyłby najlepsze ubranie i pobiegł do dworu, by najpierw poprosić panią Barbarę o rękę jej wychowawicy, a zaraz potem gruchnąć na kolana przed Julią. Wieczorne spotkanie z nią nie tylko dodało mu odwagi, lecz także napełniło nieznanym do tej pory uczuciem szczęścia i nadziei. Skoro ta niesamowita kobieta go pokochała, zaczął wierzyć, że wbrew przeciwnościom będzie mógł spędzić z nią resztę swojego życia. Tej nadziei nie tracił nawet na myśl o pani Barbarze, choć poważnie obawiał się jej reakcji. Dystyngowana, ciepła i bardzo miła dama o niskim wzroście i uroczym uśmiechu w kilka chwil zdobyła jego serce. Nie miał jednak pewności, czy on sam zrobił na niej odpowiednie wrażenie. Z opowiadań Julii wynikało, że łączą ją z przybraną ciotką bardzo bliskie relacje, dlatego wierzył, że mimo skromnego nazwiska i niezbyt wysokiej pozycji społecznej, jakie mógł ofiarować Julii, pani Barbara nie stanęłaby im na przeszkodzie. Czuł, że nie należy ona do osób kierujących się sztywnymi regułami i uszanuje decyzję wychowawicy. Mimo to dwie kwestie zupełnie podcinały mu skrzydła: jego własna lojalność i poczucie honoru.

Wspomnienie matczynych wymówek z tamtego feralnego dnia, gdy wściekły i rozżalony pojechał wprost do pałacu, nie dawało mu spokoju. Pan Emil był dla niego kimś bardzo ważnym. Po śmierci ojca stał się nie tylko opiekunem, lecz także mentorem i autorytetem. Były powstaniec, świetny gospodarz, troskliwy syn i ojciec, surowy gdy trzeba, ale sprawiedliwy wobec wszystkich, którzy liczyli na jego opiekę – takim właśnie go widział przez te lata, które spędził u jego boku. Jako człowiek dorosły, już po powrocie ze studiów dostrzegał także jego wady i słabości, jak na przykład pewną apodyktyczność, nawyk przejadania się słodyczami, którego nie umiał mu jako lekarz wyperswadować, czy też skłonność do przepracowywania się, z powodu której nie tylko słabło mu serce, ale też cierpieli jego bliscy, szczególnie osierocona córka. Były to jednak prywatne sprawy pana Laskowica, w które mógł się wtrącać jedynie w ściśle medycznym zakresie i tak też czynił, dla dobra swojego opiekuna i pacjenta zarazem.

Nie tylko go szanował, lecz także czuł, że ma wobec niego olbrzymi dług wdzięczności za wszystko, co rodzina Laskowiców uczyniła dla niego i jego matki. W tej sytuacji świadomość, że być może pan Emil rzeczywiście ma zamiar oświadczyć się Julii, była niczym nóż wbity w serce. Nawet jeśli przez pierwsze tygodnie udawał, że niczego nie dostrzega, po napomnieniu od matki nie mógł dłużej uciekać przed faktami. Nie raz, nie drugi widział, jak ciepłymi uczuciami pan Laskowic darzy swoją daleką krewniaczkę, jaki jest wobec niej troskliwy i uważny w zachowaniu. Julia z kolei otaczała Aurelkę czułością i opieką, której pan Emil mógłby się spodziewać bardziej po nowej żonie niż nauczycielce córki. To wszystko razem niepokojąco sugerowało, że pan Laskowic prędzej czy później uległby szczeremu urokowi Julii i poprosił ją o rękę.

„Zresztą, któż by nie uległ tej istocie? Matka ma rację: nawet jeśli na początku pan Emil nie miał takich planów, na pewno zaczął to rozważać. Co mam zrobić? On może dać jej wszystko – myślał rozemocjonowany, patrząc na złocisto-różowy wschód słońca. – Świetne nazwisko, majątek, piękny dom i spokojne, beztrudne życie. A ja? Mogę ją przede wszystkim kochać, bo o całą resztę musielibyśmy



zatoszczyć się wspólnie. Czy to wystarczy? – Dręczył się. – Tak, ona też mnie kocha i wiem, że niewiele dba o wszystko inne. Moja piękna, zwariowana naprawiaczka świata!”

Uśmiechnął się z czułością, przypominając sobie marzycielskie wizje Julii dotyczące zbudowania specjalnej wioski dla ubogich sierot, w której dzieci mogłyby zamieszkać w prawdziwych domach z prawdziwymi rodzinami, chodzić do szkoły i mieć zapewnioną opiekę lekarską. W tym momencie uświadomił sobie, że gdyby Julia została panią Laskowicową, ten nierealny pomysł mógłby się kiedyś urzeczywistnić. To go przygnębiło.

„On ma majątek, a ja mogę jedynie wspierać ją w tych marzeniach. – Westchnął w duchu. – Czy to uczciwe wobec niej? Ona mnie kocha, ale przecież nie ma pojęcia o planach pana Emila. Gdyby się dowiedziała, może za namową ciotki wybrałaby inaczej? Nie! Nie wybrałaby – przekonywał sam siebie. – Czuję to! Wiem! Przecież ją znam. Tylko że... To kwestia honoru. Czy uczucie daje mi prawo, żeby oświadczyć się o pannę, zanim on to zrobi?”

Przypomniał sobie tamten przerażający moment, gdy Julia, nie zważając na nic, przeskoczyła nad płomieniami, by go uwolnić i albo z nim uciec, albo zginąć. I poczuł, że ma takie prawo. Ona mu je dała. Jej oczy, w których odbijał się blask ognia, wyraźnie mu powiedziały, że od tego momentu są już ze sobą związani na zawsze, jakby już teraz połączył ich sakrament. Dlatego wrzała w nim chęć, by wkroczyć do gabinetu pana Laskowica i powiedzieć: „Dla pana jest już za późno, ona jest moja, tylko moja!”. Natychmiast jednak opadały go wątpliwości, wyrzuty sumienia i przygnębienie, bo wiedział, że tego nie uczyni.

„Miłość to jedno, a życie to drugie” – przypomniał sobie słowa zmarłej pani Leonii Laskowicowej, która często powtarzała je synowi, namawiając go do powtórnego ożenku. Karol nieraz był świadkiem takich rozmów przy stole, bo starsza pani nie krępowała się w wyrażaniu swojego zdania ani obecnością małej wnuczki, ani młodego doktora czy nawet służby. Pan Emil zawsze zbywał matkę szorstkimi słowami, ale też nigdy wcześniej nie poznał takiej kobiety, jak Julia.

Uczucia, które Karol żywił wobec nich obojga, oraz uczciwość sprawiały, że nie umiałby z premedytacją wykorzystać przewagi, jaką dawała mu młodość i przychyłność zakochanej kobiety. Czuł, że jeśli chce zachować honor, nie może knuć za plecami pana Emila. Musi ustąpić pola i poczekać na decyzję Julii. Jeżeli ona odrzuci oświadczyzny pana Laskowica, wówczas będzie mógł z czystym sumieniem paść do jej stóp i błagać o przebaczenie, że tak długo z tym zwlekał.

– Gdyby na jego miejscu był ktoś inny! – rzucił ponuro. – Ale nie jest. Nie mam innego wyjścia. Kocham ją i właśnie dlatego nie mam innego wyjścia. Niech to kule biją!

\* \* \*

Ciche pukanie do drzwi oderwało Julię od studiowania rysunków, które leżały przed nią na stoliku. Natychmiast po przebudzeniu postanowiła, że nadszedł czas, by je zniszczyć, jednak myśl o wrzuceniu ich w ogień wywoływała nieprzyjemne skojarzenia z pożarem.

– Już, już, Marysiu. Chwileczkę! – rzuciła i pospiesznie zebrała je do teczki. – Proszę.

Ku jej zdziwieniu do pokoju weszła Natejkowa, niosąc tacę z poranną herbatą i bułeczkami.

– Dzień dobry. Przyniosłam herbatę, tak jak pani lubi.

Ugodowy ton ochmistrzyni zaskoczył ją jeszcze bardziej niż jej widok.

– Dzień dobry. Czy coś się stało Marysi?

– Nie, bynajmniej. Chciałam osobiście przekonać się, jak się pani czuje.

– Dziękuję za troskę – odparła, speszona współczującym wzrokiem, którym Natejkowa objęła jej twarz i siną plamę na policzku. – A jak zdrowie pana Karola?

– Nie najgorzej.

Przez chwilę stały naprzeciw siebie, skrępowane niezręczną ciszą. Natejkowa jednak nie

wychodziła, a Julia nie wiedziała, jak powinna odczytywać jej zachowanie.

– Właściwie przyszedłam, żeby panią przeprosić. – Klucznica zebrała się w końcu na odwagę.

– Za co?

– Za moje wcześniejsze zachowanie. Przykro mi, jeśli czuła się pani nieodpowiednio potraktowana w tym domu. Powinnam sumiennie wypełniać moje obowiązki względem gościa pana Laskowica, a nie kierować się własnymi emocjami.

– Ach, o to chodzi – mruknęła. – Nic się nie stało. Naprawdę.

– Chciałabym także podziękować. Za Karola.

– Nie rozumiem.

– Ludzie mówią, że ta kobieta zwabiła panią do pałacu, a Karol pospieszył na ratunek. Obie dobrze wiemy, że było dokładnie odwrotnie. Mój syn już przed laty próbował wyjaśnić sprawę śmierci ojca. Gnębiło go to, nie dawało spokoju. Wiem, że nieraz chodził do Józefa, ale niczego się nie dowiedział. Kiedy pomyślę, że ta wariatka mogła już dawno otruć mi dziecko tak, jak bez skrupułów zabiła mi męża...!

– Proszę się nie denerwować. Teraz już wszystko będzie dobrze.

– Karol wyjawiał mi, co pani dla niego zrobiła. Sam nie wy dostałby się z tej wieży. Dziękuję.

– Pani Klementyno, zostawmy tę kwestię – nalegała Julia, bo czuła się niezręcznie na myśl, że ochmistrzyńni być może nie byłaby dla niej taka łaskawa, gdyby wiedziała, co ją łączy z Karolem.

– Dobrze, ale nie tylko o tym chciałam porozmawiać.

– Tak?

– Pytała mnie pani, czy pamiętam tamten koncert. Proszę mnie wysłuchać do końca... – Ochmistrzyńni spojrzała chmurnym wzrokiem, gdy Julia chciała zaprotestować. – Owszem, pamiętam. Pani matka grała jak natchniona, wyglądała doskonale. Wzbudziła zachwyt i zazdrość wszystkich tych okropnych kobiet, które wystroiły się jak na wesele. Szybko się jednak zmęczyła towarzystwem ludzi, dlatego mój mąż zdecydował, że pora wracać. Zawsze liczyła się dla niego wyłącznie pani Zarzewska. Pacjentka była najważniejsza, o moje potrzeby nie pytał – stwierdziła z niechęcią. – Odprowadził nas do powozu i wrócił po pana Zarzewskiego, którego ktoś zatrzymał rozmową. Kiedy zostałyśmy same, pani matka oświadczyła mi nagle, że zamierza się zająć losem Karola.

– Jak to?

– Właśnie: jak to. Też o to spytałam. Odparła tym swoim omdlewającym głosem, że nie pozwoli chłopcu zmarnować się na odludziu. Że już za długo mieszka ze mną w parku i czas wysłać go do najlepszych szkół, nawet za granicę – opowiadała drżącym z emocji głosem, w którym pobrzmiwały oburzenie i żal. – Miała zamiar wszystkiego dopilnować, tak by po dorostaniu Karol mógł wreszcie zająć należne mu miejsce. Mówiła do mnie, jakbym nie była jego matką, lecz co najwyżej piastunką. Jakby mój własny syn tylko chwilowo został mi powierzony w opiekę. Nie wiem, może ona nawet w to wierzyła. Nie wytrzymałam. Powiedziałam jej prosto w oczy, żeby odczepiła się od mojego syna. I że lepiej robi, pilnując własnego męża, bo w końcu któraś z jego kochanek zatrzyma go na stałe.

– O Boże...

– Tak, to ja zdenerwowałam wtedy panią Zarzewską. W okropny sposób wykorzystałam głupie plotki krążące po okolicy. Ale to był odruch rozpacz. Karol miał dopiero osiem lat. Nie mogłam jej oddać syna, tak jak oddałam męża.

Julia aż usiadła na łóżku. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

– Chciałam, żeby pani o tym wiedziała – dodała Natejkowa ponuro. – I o tym, jak bardzo żałuję tamtego wybuchu. A teraz może pani zrobić z tym, co zechce. Powiedzieć ciotce, ludziom... Przykro mi. To przeze mnie pani matka wyjechała tamtej nocy z pałacu i spadła z konia.

Julia aż się wyprostowała na te słowa. Na twarzy starszej kobiety dostrzegła szczery żal, choć okazany w szorstki i oschły sposób.

– To był wypadek – powiedziała cicho. – Proszę się nie martwić, nie będziemy już do tego wracały. Nigdy. A teraz proszę mnie zostawić samą.

– Dziękuję – bąknęła zaskoczona klucznica i cicho wysunęła się z pokoju.

„Och, *maman*. Miałam rację – pomyślała Julia smutno. – Kochałaś wyłącznie Olesia i mojego ojca. Z ich powodu byłaś gotowa odebrać sobie życie. A z kolei dla ciebie papa gotów był na własnych rękach zanieść twoje ciało nad rzekę i zrzucić ze skarpy, by upozorować wypadek. Nawet nie chcę myśleć o tym, co musiał wtedy przeżywać. Wasza miłość była zaiste dziwna i obsesyjna. Szkoda tylko, że biedna Busia poszła za wami. Jakie to wszystko okropne!”

– Muszę się wreszcie od tego uwolnić – szepnęła.

\* \* \*

– Emilu?

Na głos Barbary zamyślony mężczyzna odwrócił się od okna.

– Podobno rządca cię szukał. Na pogorzelsku żandarmi znowu prowadzą jakieś poszukiwania. Doktor Natejko musiał do nich dołączyć. Nie pojedziesz tam?

– Powinienem – mruknął, siadając za biurkiem. – Ale jakoś nie mam siły.

– Źle się czujesz? Znowu serce?

– Nie. Tak. Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Powinienem tam być i dopilnować, żeby śledztwo zostało przeprowadzone rzetelnie. Na razie jedynym dowodem w tej okropnej sprawie są zeznania Julii i Karola. A dwa trupy i spalony pałac to nie przelewki.

– Jak to? – Zaniepokoiła się. – Sądysz, że ktoś będzie chciał podważyć ich świadectwo? Hrabia?

– Nie wiem, Basiu. Ich opowieść jest tak samo przerażająca, jak nieprawdopodobna. Zwłaszcza ta Marcelina... – Urwał, dopiero w tym momencie zauważając, jakie wrażenie robią na kobiecie jego słowa. – Nie martw się, moja droga. W dzisiejszych czasach śledczy mają swoje metody, by dociec prawdy. Na pewno udowodnią, że to naprawdę była służąca Zarzewskich. Zresztą nie ma powodów, by odrzucać zeznania dwojga uczciwych świadków i ofiar jednocześnie. Lekarz z miasteczka potwierdził, że ich obrażenia są zgodne z treścią zeznań. Obiecuję wszystkiego dopilnować. Nawet pogrzebu tego nieszczęsnego Józefa, gdy przyjdzie pora. Karol sam chce się tym zająć, ale lepiej, żeby się tym nie obarczał.

– Dziękuję, że o wszystkim pomyślałaś. Tak bardzo chciałabym oszczędzić Julii wracania do tych zdarzeń. A tu nie dość, że plotki, to jeszcze śledztwo.

– Obawiam się, że to trochę potrwa. Na szczęście szybko wyjaśniła się sprawa tego podpalenia u stelmacha. Opowiadałem ci.

– Już wiadomo, kto to zrobił?

– Jeden z chłopów zza rzeki. Niejaki Szymoniak. Nie trzeźwiał podobno od tygodnia, bo rzuciła go narzeczona. Pożalił się w karczmie, że mu się nie udało dworu z dymem puścić.

– O Boże. Dlaczego chciał to zrobić?

– To ma związek z tym chłopcem, Frankiem. Kiedyś ci opowiem, Basiu. W każdym razie śledczy nie będą łączyć tych dwóch pożarów ze sobą.

– Emilu, tak sobie pomyślałam... – Barbara zawahała się i rzuciła mu niepewne spojrzenie.

– Tak?

– Czy nie byłoby lepiej odłożyć na razie naszą sprawę? Boję się, jak Julia to przyjmie w tym stanie ducha.

Mężczyzna aż się wyprostował, jak ukłuty szpilką.

– Odłożyć? Na jak długo?

– Nie wiem. Kilka miesięcy, rok. Żeby to wszystko się uspokoiło.

– Rok?! Basiu, czy ty chcesz mnie wpędzić do grobu? – Zerwał się z krzesła. – Ja nie jestem w stanie myśleć o niczym innym, a ty mi każesz czekać rok?

– Powinniśmy myśleć przede wszystkim o niej.

– Owszem, ale co będzie, jeśli po tym wszystkim postanowi jednak wyjechać?

– Nie postanowi.

– Skąd wiesz? Widzę, że jest przywiązana do Aurelki, ale zbyt wiele zła ją tu spotkało. Każdy na jej miejscu chciałby stąd uciec! – Emocjonował się. – A ja się nie zgadzam. Tu jest jej dom. Ona musi o tym wiedzieć już teraz!

– Emilu...

Podenerwowana Barbara chciała przywołać go do porządku, ale dopadł ją atak kaszlu.

Mężczyzna natychmiast podał wodę.

– Gdzie są twoje lekarstwa? – spytał zatroskany. – Zawołam służącą.

– Nie trzeba, już mi przeszło. – Uspokoila go. – I nie zmieniaj tematu. Wiem, że Julia nie będzie chciała stąd wyjechać tak prędko, dlatego nie musimy się spieszyć. Zaufaj mi.

Mężczyzna westchnął ciężko.

– Błagam cię, porozmawiaj z nią – poprosił cicho. – Wiem, że to najgorszy z możliwych momentów, ale dłużej nie wytrzymam tej niepewności. Kiedy na nią patrzę, serce mi się kraje. Muszę wiedzieć, jak mam się zachować. Rozumiesz?

W jego wzroku Barbara wyczytała taką samą udrękę, jaką zobaczyła przed laty, gdy wyjeżdżając do Belgii na studia, odwiedził ją – zbolały, załamany i w żałobie.

– Rozumiem, Emilu, ale daj mi trochę czasu. Muszę znaleźć właściwy moment.

Do gabinetu ktoś cicho zapukał. W progu dygnęła pokojówka.

– Proszę jaśnie pani – zwróciła się Barbary. – Pomyślałam, że lepiej, żeby pani wiedziała.

– Co tam, Marysiu? Aurelka czegoś potrzebuje?

– Nie, dziewczynki bawią się w pokoju panienki. Ale panna Julia...

– Co z nią?

– Panna Julia oświadczyła, że idzie do ogrodu i chce być sama. Ale kiedy za nią wyjrzałam, zobaczyłam, że poszła ku furtce.

– Której furtce?

– Tej, co prowadzi nad rzekę.

\* \* \*

Teczka ze szkicami ciążyła Julii w ręce, jakby wewnątrz znajdowały się kamienie zamiast papieru. Podniosła wzrok na przeciwny brzeg rzeki. Zieleń lasu wyglądała tego dnia pięknie na tle niemal lazurowego nieba. Liście w koronach drzew połyskiwały lekko w promieniach słońca, a wiatr bawił się nimi jak niesforne, ale szczęśliwe dziecko, które wkłada paluszki we włosy swojej matki, by zachwycać się ich miękkością i zapachem. Brakowało tylko jednego elementu w tym swojskim krajobrazie – szczytu jasnej wieżyczki, którą zobaczyła z tego miejsca pierwszego dnia po przyjeździe.

„Och *maman*, wiem, że próbowałaś mnie pokochać. – Westchnęła w duchu. – Żałuję, że ci się nie udało. Może wszyscy bylibyśmy szczęśliwsi? Ale teraz jest już za późno, by to zmienić. Za późno, by szukać winnych. Kto miałby dźwigać ten ciężar? Marcelina owładnięta chorobą miłością do ciebie? Papa, który zgodził się na oszustwo? Czy ty, bo wolałaś dołączyć do Olesia, niż zostać z nami? A może ja albo Busia, bo obie zobaczyłyśmy coś, czego nie powinnyśmy były zobaczyć? Nie, to nie ma sensu. – Pokręciła głową, przygnębiona. – Przeszłość spłonęła razem z twoją wieżą, wypaliła się. Może nie dziś, nie jutro, ale oboje z Karolem przestaniemy się w końcu oglądać wstecz”.

Stała blisko brzegu, tak że dół jej sukni zaczął nasiąkać wilgocią. Otworzyła teczkę. Wyjmowała pojedynczo kartki i rzucała je w nurt łagodnie szumiącej rzeki, która zabierała je gdzieś w dal: rysunek dziecięcego pokoju, pałacowego korytarza, puzderka z fiołkowym pudrem, kominka z wielkimi płomieniami, pobrudzonych butów niani i klucza do drzwi ich sypialni, katafalku z ciałem matki, a na koniec szkic kamiennych schodów, na których stała pokreślona ołówkiem czarna postać.

– Nie dotrzymałam obietnicy. Wszystko sobie przypomniałam, Busiu – szepnęła wzruszona. – I nigdy już nie zapomnę, co chciałaś dla mnie zrobić. Ale teraz wszystko już będzie dobrze. Wiesz, co powiedziałaby Karol? Że lekarstwo było gorzkie i omal nas nie zabiło, ale zaczynamy wracać do zdrowia. Pamiętasz go? Mojego „Lolka od pana doktora”? Spodobałby ci się mężczyzna, na którego wyrósł.

Za plecami usłyszała trzask gałązki. Obejrzała się.

– Co ciocia tu robi?

– Chciałam zapytać cię o to samo, Juleńko, ale coś mi się zdaje, że nie potrzebuję tego wiedzieć. Są sprawy, z którymi każdy musi sobie poradzić sam – odparła Barbara ciepło.

– Och, ciociu – szepnęła i jak mała dziewczynka przytuliła się do niej.

Barbara z macierzyńską czułością objęła wyższą od siebie kobietę i łagodnie gładziła ją po włosach, jak za dawnych lat, bez zbędnych słów.

– Wracamy do domu? – spytała łagodnie, gdy uścisk Julii zelżał.

– Tak.

Szły wolno pod górkę, jedna obok drugiej, w milczeniu, które zawierało w sobie więcej znaczeń niż najdłuższa nawet rozmowa. Dopiero gdy podeszły do furtki, a zza drzew ukazał się dwór, Julia przystanęła.

– Ciociu, ja to kiedyś wszystko cioci opowiem. Ale jeszcze nie teraz.

– Kochanie, nie musisz się tłumaczyć ani usprawiedliwiać. Każda z nas ma za sobą przeżycia, o których trudno się mówi. A może nawet nie trzeba. Najważniejsze, żebyś odzyskała spokój i była szczęśliwa. Tylko to się dla mnie liczy.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że tu jesteś. A właściwie jak to się stało, że przyjechałaś? – Dopiero teraz uświadomiła sobie, że to Barbara jest niespodziewanym gościem, po którego pan Laskowic pojechał do Krakowa.

– Mój lekarz już dawno zalecił mi odpoczynek. Skończyłam rękopis i zapragnęłam cię zobaczyć.

– Wybrałaś idealny moment.

– Właściwie jest coś jeszcze... – Barbara urwała niezdecydowana. – Ale na razie może poczekać.

Chodźmy na herbatę.

Ruszyły ścieżką w stronę zegara słonecznego. Po kilku krokach Julia znów się zatrzymała.

– Ciociu.

– Tak, Juleńko?

– Chciałabym o coś zapytać. To znaczy nie chcę, ale czuję, że muszę, bo inaczej się od tego nie uwolnię.

– Słucham.

– Bo widzisz, właściwie teraz to już bez znaczenia, ale tam w pałacu Marcelina powiedziała coś, czego nie rozumiem. Tylko sama nie wiem, czy...

Plątała się, nie wiedząc, czy zadać pytanie, które dręczyło ją od dwóch dni.

– Oj, dziecko, tak nie można. Jeśli coś cię gnębi, wyrzuć to z siebie.

Julia wzięła głęboki oddech.

– Nie wiem, czy mam traktować tę kwestię poważnie, bo Marcelina była niezrównowazona, ale tamtej nocy kilkakrotnie nazwała mnie...

– Jak?

– Bękartem Zarzewskich.

Barbara mimowolnie westchnęła. Nie odparła nic, ale jej mina dobitnie powiedziała Julii, że ciotka nie jest zaskoczona.

– Ciociu?

– To nie jest takie proste, kochanie.

– O Boże...

Przez chwilę Julia poczuła się tak, jakby na jej oczach tysiąc elementów z rozbitego lustra wskoczyło na właściwe miejsce. I zapragnęła natychmiast przejrzeć się w jego tafli, by sprawdzić, czyją ujrzy tam twarz.

– Przeczywałam to! – rzuciła wzburzona. – Już przed laty. To dlatego *maman*, to znaczy żona mojego ojca, tak się zachowywała. Bo nie byłam jej rodzoną córką. Prawda?

– Juleńko...

– Od jak dawna ciocia o tym wie? – przerwała jej. – Czy papa wspomniał, kim była tamta kobieta, z którą zdradził swoją żonę? A może kobiety? Przypuszczam, że któraś z nich była moją prawdziwą matką i oddała mnie ojcu na wychowanie. Czy tak?

– Julio, uspokój się i spójrz na mnie. Bóg mi świadkiem, że nie chciałam cię tym obarczać w takiej chwili, zamierzałam poczekać. Skoro jednak pytasz, chodźmy do mnie. Musisz przeczytać pewien list.

\* \* \*

Rozemocjonowana Julia przebiegała oczyma treść listu, który, jak sądziła, dawno spalił się w pożarze domu ciotki.

*(...) Jesteś ostatnią z rodu Juliana Zarzewskiego i pragnę, byś szanowała pamięć swoich przodków, bo (...)*

*Nie proszę o przebaczenie. Uczyniłem to, co uznałem za najlepsze. (...)*

*Załużę jedynie dwóch spraw – że ze względu na pamięć Adeli nie mogłem wyzwać na pojedynek Jej brata, bo zabiłbym lajdaka i teraz mielibyśmy spokój. Oraz że przed laty zdradziłem i opuściłem Twoją matkę. (...)*

*Ale przyznaję, że ją zraniłem, zawiodłem jej zaufanie, odwróciłem się od niej w najgorszym momencie. Uważałem, że ukrywając prawdę, chronię także i ją, ale chyba stałem się przyczyną jej zguby. (...)*

Gdy skończyła czytać, opuściła poplamione kartki na podolek i spojrzała na ciotkę bez słowa.

– Włodziowa odnalazła go podczas sprzątanania. Sądziłam, że spłonął – wyjaśniła cicho Barbara.

– Przepraszam, Juleńko, ale nie miałam odwagi ci go oddać, gdy dorosłaś. Wierzyłam, że tak będzie dla ciebie lepiej, bo coś dobrego mogłoby z tego wyniknąć.

Przygnębiona Julia pomyślała, że ona również ostatnio postanowiła ukryć przed światem prawdę, z której nie wynikałby żaden pożytek. Skinęła głową.

– Wiem. Nie mogę powiedzieć, że to popieram, ale rozumiem. Czy ciocia pamięta, co było w tych zaplamionych fragmentach?

– Obawiam się, że nie. Gdy otworzyłam list za pierwszym razem i dotarło do mnie, o czym Henryk pisze, zrezygnowałam z dalszego czytania. Byłam zbyt zdenerwowana. Chyba nie chciałam dowiedzieć się prawdy – wyznała Barbara. – Dopóki nie miałam pewności, mogłam udawać przed sobą i tobą, że ten list nie istnieje.

– Szkoda. To jest jedyny dowód na to, że Adela Zarzewska nie była moją matką. Tylko w takim razie kto nią był? Czy ciocia myśli, że ta kobieta może wciąż żyć? – spytała z nadzieją i strachem zarazem.

– Nie, kochanie, ona zmarła wiele lat temu.

– Ciociu! Znasz prawdę?!

Barbara skinęła głową.

– Tak. Od niemal dwóch tygodni.

– Jak to? Skąd? Od kogo?

– Juleńko, wszystko ci opowiem, jednak musisz się uspokoić. Ręce ci się trzęsą, zbladłaś.

– A ciocia by nie zbladła, gdyby się miała wreszcie dowiedzieć, kim jest? – Emocjonowała się.

– Teraz rozumiem, dlaczego ojciec tak desperacko bronił mnie przed wujem Hermanem. Bo to nie jest mój wuj! Nie mam nic wspólnego z hrabią. W moich żyłach płynie krew Zarzewskich i kogoś, o kim nic nie wiem. Kim ona była?

– Juleńko, w twoich żyłach płynie krew Zarzewskich, ale nie ta, o której myślisz.

– Nie rozumiem.

– W tobie przetrwała najlepsza część naszego dziedzictwa. Twoja matka miała w sobie łagodność i dobroć rzadko spotykane w rodzie Zarzewskich.

– Ciociu!

– Wiem, że to będzie dla ciebie szokiem, bo dla mnie też było. Musisz jednak wysłuchać mnie spokojnie do końca.

– Kim jestem? – naciskała Julia.

– Siostrzenicą Henryka Zarzewskiego.

– Ale...? Jak to?

– Jesteś nieślubną córką jego siostry, Aleksandry. Mojej najbliższej przyjaciółki.

\* \* \*

– Dobrze się czujesz? Może chcesz wody? – zaniepokoiła się Barbara, gdy Julia przez długą chwilę wpatrywała się w nią tak zdumiona, że nawet nie mrugała powiekami.

– Przecież...? A mój papa? – szepnęła wstrząśnięta.

– Twój wuj, Henryk – odparła znacząco Barbara. – Och, Julio, to po prostu jedna z wielu takich historii. Nie od dziś brzemiennie panny z dobrych domów są odsyłane na prowincję, by w tajemnicy urodzić dziecko, oddać je, a potem wrócić i dobrze wyjść za męża.

– To niemożliwe, nie wierzę w to.

– Ja też nie wierzyłam, dlatego przyjechałam, by sprawdzić fakty na miejscu. Byłam w klasztorze. Nie ma mowy o pomyłce. Nam w rodzinie powiedziano, że Oleńka wstąpiła do nowicjatu, ale to nie była prawda. Henryk przekazał ją pod opiekę zakonnicy, gdy nie zgodziła się wyjść za pewnego bogatego człowieka, którego dla niej znalazł. Nie wiem, jaki miał plan, ale kiedy Oleńka umarła w połogu, zabrał cię jako własne dziecko. Adela tak rzadko opuszczała pałac, że udało im się zmylić wszystkich.

Oszołomiona i kompletnie zdezorientowana Julia z trudem panowała nad nerwami.

– Ciociu, na litość boską, jeśli to wszystko prawda... Boże! Całe moje życie było kłamstwem!

– Nie mów tak. Było po prostu tajemnicą.

– Tajemnicą?! – Parsknęła z goryczą. – Ciociu! Poza tobą nikt mnie nie chciał, nie potrzebował. Już na samym początku byłam tylko przeszkodą na drodze panny Zarzewskiej do dobrego zamążpójścia!

– Nigdy tak nie mów! – fuknęła na nią Barbara, ale natychmiast się opanowała. – Ona na pewno pokochała cię dokładnie w tej samej chwili, gdy zobaczyła cię na świecie. Jesteś owocem wielkiej miłości.

– Miłości? Do kogo? Kto jest moim ojcem?

– Pochodził z bardzo szanowanej rodziny – odparła Barbara wymijająco. – Ale to długa historia.

– Ciociu!

– Albo wysłuchasz mnie spokojnie do końca, albo nic więcej ci nie powiem – oświadczyła Barbara, starając się łagodnym tonem ostudzić emocje wychowanki.

– Dobrze, słucham. – Julia skapitulowała.

– Jak wiesz, po rabacji chłopskiej Ksawera Zarzewska wyjechała z dziećmi do Prus i minęło wiele lat, nim Henryk wrócił tu z żoną i siostrą. Oleńka wyrosła na śliczną pannę. Nic dziwnego, że, kiedy się spotkali, ten młody człowiek od razu ją pokochał. Widywali się potajemnie, bo ich rodziny były skłócone, a związek z różnych powodów niemożliwy. Niestety, zostali w końcu przyłapani przez

Henryka. Błagania zrozpaczonej siostry tylko go rozsierdziły. Nie słuchał żadnych argumentów, odrzucił oświadczenia i chciał pojedynku. Na szczęście matka młodzieńca zdołała udobruchać Henryka. Ona także nie była w stanie zaakceptować tej miłości, dlatego odesłała syna pod opiekę dalszej rodziny. Byle dalej od Oleńki. Henryk również nie chciał zatrzymać siostry w domu. Podobno jej lamentsy źle wpływały na Adelę. Wyprawiono ją na pensję i tam się spotkałyśmy. Choć byłyśmy krewniaczkami, nie znałyśmy się zbyt dobrze. Dopiero po jakimś czasie zwierzyła mi się ze wszystkiego. Trudno było mi ją wspierać, choć próbowałam – westchnęła Barbara. – Z czasem jednak pokochałam ją jak młodszą siostrę i z całego serca życzyłam jej szczęścia.

Julia знаła już tę część historii z opowieści Włodziewej, dlatego nie słuchała zbyt uważnie relacji na temat rozwijającej się przyjaźni. Z najwyższym zniecierpliwieniem i szalejącą w sercu burzą czekała na powrót do meritum.

– Kiedy nastał rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty trzeci, byłam już mężatką. Za przyzwoleniem brata Oleńka przyjechała mnie odwiedzić. Pewnego dnia wybrałyśmy się do kościoła, żeby pomodlić się o powodzenie powstania. Kiedy przechodziłyśmy obok stodoły pod lasem, w której nasz rządca trzymał siano dla roboczych koni, usłyszałyśmy szepty. Okazało się, że schronili się tam ranni powstańcy. Przedzierał się lasem już kolejny dzień, ale zabrakło im sił. Ośmiu ich było. Na szczęście okolica była raczej mało uczęszczana, więc mogliśmy im pomóc. Na początku nie wzbudziłyśmy niczyich podejrzeń, bo mój mąż zupełnie się nie interesował tym, co robiłam.

– Co to ma wspólnego ze mną, ciociu? Chcę tylko poznać nazwisko tamtego człowieka! – zirytowała się Julia.

– A to ma wspólnego, że wśród tych powstańców był również ukochany Oleńki.

– Jak to?

– Zrzęcenie losu. Miał głęboką ranę na nodze, gorączkował. Nie mógł odejść z towarzyszami. Oni ruszyli nocą, on został jeszcze dwa dni. Gdy tylko gorączka zelżała, zdecydowałam, że musi iść dalej, choć Oleńka rozpaczała. Obiecałam mu zapasy, broń i wierzchowca. Miałam zwyczaj objeżdżać przed wieczorem pola, więc nikogo by nie zdziwiło, że zabieram konia ze stajni. Później miałam powiedzieć, że mi uciekł. Niestety, w ostatniej chwili pojawił się problem.

– Cioci mąż. – Julia przypomniała sobie, co Włodziewa mówiła o ataku pijanego męża na Barbarę.

– Skąd wiesz?

– Domyśliłam się – skłamała.

– Hmm... Niestety przyłapał mnie, gdy zabierałam jedną z jego strzelb. – Ciotka spochmurniała.

– Koniec końców zamiast mnie wykradła się z dworu Oleńka, gdy mój mąż zasnął w gabinecie. Włodziewa jej pomogła. Przyszła jednak wielka burza, Oleńka musiała zostać do świtu w stodole. Cóż...

– Mimo sporego doświadczenia życiowego i szerokich horyzontów Barbarze trudno było mówić o tym, że Julia jest owocem właśnie tamtej burzowej nocy. – Niestety, okna gabinetu wychodziły wprost na sad. Mój mąż obudził się o pierwszym brzasku i zobaczył ich, gdy czule żegnali się między jabłoniemi. Byli nieostrożni. Oleńka niepotrzebnie pozwoliła się odprowadzić aż pod dwór. Nie przypuszczałam jednak, że mój mąż...

– Że? Niech ciocia mówi.

Barbara wyglądała na bardzo przygnębioną.

– Pytałaś mnie kiedyś, dlaczego się rozwiodłam. Właśnie dlatego. Mogłabym wiele znieść, mimo że ślubowałam mu przed ołtarzem zupełnie nieopatrnie i bez najmniejszego zastanowienia. Dotrzymałabym słowa. Ale gdy odkryłam, że z czystej złośliwości zniszczył życie dziewczyny, która znajdowała się pod moją opieką, na dodatek mojej krewnej i przyjaciółki, nie wytrzymałam.

– Jak to zniszczył?

– Bez namysłu napisał do Henryka list i kazał go wysłać jeszcze przed śniadaniem. Ale wyrządzone zło zawsze wraca. Godzinę później carscy żołdacy wkroczyli do naszego majątku i wszystko stanęło na głowie.

– Co było w tym liście?



– Opis tego, co zobaczył w sadzie. I żądanie, by Henryk zabrał od nas swoją niemoralnie prowadzącą się siostrę. Wiem o tym właśnie od Henryka. Kipiał z wściekłości, kiedy po nią przyjechał. Zabronił nam się kontaktować. Wtedy widziałyśmy się po raz ostatni – zauważyła Barbara ze smutkiem. – Mogę się tylko domyślać, że kiedy Henryk odkrył błogosławiony stan siostry, kazał jej wybierać: mąż albo klasztor. Gdybym o tym wiedziała, pomogłabym jej. Ale ja byłam daleko i miałam własne kłopoty, a Henryk załatwił wszystko po swojemu. Dziś wiem, że Aleksandra czekała na powrót ukochanego. Wierzyła, że wszystko się ułoży. Tuż przed twoimi narodzinami dowiedziała się jednak, że on nie przeżył w więzieniu. Pewnie dlatego zabrakło jej sił. Boże, gdyby tylko...

– Więc mój prawdziwy ojciec też nie żyje – przerwała jej rozgoryczona Julia. – Cudownie! Wszyscy wokół mnie umierają. Zdaje się, że klątwa Zarzewskich nie jest mitem, tylko faktem.

– Cóż to za bzdury?

– Bzdury? Mam wyliczać? Busia, Adela, ojciec, to znaczy wuj Henryk...

– Przestań! Nigdy nawet nie myśl w podobny sposób. Życie to nie powieść, nie zawsze ma szczęśliwe zakończenie. Ale ty nie miałaś wpływu na tamte wydarzenia. Poza tym ja jestem przy tobie tyle lat i jakoś żyję. – Usiłowała zażartować, ale zabrzmiało to raczej smętnie.

– Och, ciociu! To nie jest śmieszne.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę pani, miałam dać znać, gdy pan doktor wróci z pogorzelniska – zameldowała pokojówka.

– Właśnie poszedł do siebie.

– Dziękuję, Marysiu – rzuciła Julia, a kiedy służąca zamknęła za sobą drzwi, zerwała się z otomany. – Co ja mu teraz powiem? Że jestem nieślubnym dzieckiem?

– Komu? Panu Karolowi?

– Tak!

– Jest jakiś powód, dla którego miałoby mu to przeszkadzać?

– To wszystko jest ponad moje siły! – pożałowała się Julia, ignorując pytanie. – Najpierw te przejścia z Marceliną, teraz to. Chyba oszaleję!

– Dziecko, jest ci trudno, ale dasz sobie radę.

– Ciociu, nadal nie wiem, kim jestem! Kiedyś na pensji wymyśliłam sobie piękną historię o swoich rodzicach – rzuciła rozgoryczona. – Ale zostały już z tego wyłącznie zgliszcza. Nie ma wspaniałego zamku, nie ma dobrego władcy ani jego pięknej księżnej! – Miotła się w nerwach. – Nie ma ich szczęśliwej córeczki, którą wszyscy nosili na rękach. Nie ma i nigdy nie było! Boże! Moje życie to jedna wielka fantasmagoria!

Barbara przeczekała ten wybuch i pozwoliła się dziewczynie wypłakać. W końcu podała jej chusteczkę.

– Juleńko, daj sobie czas. Pomożemy ci się z tym uporać. Nie jesteś sama.

– Racja, nie jestem.

Barbara nie miała pewności, czy dziewczyna pomyślała w tym momencie o niej, czy raczej o Karolu, ale nie miało to znaczenia.

– A właściwie skąd ciocia wie, że ta cała historia wyglądała właśnie tak? – W Julię wstąpiła nagle absurdalna nadzieja. – Nawet jeśli Aleksandra miała romans, to przecież nic nie znaczy. Gdzie dowody, że powiła dziecko? Że ja jestem tym dzieckiem? Papa nic o tym w liście nie pisze.

– Wiem, co byś chciała usłyszeć, ale dowody istnieją.

– Jakie?

– Przeczytałam o tym wszystkim w pamiętniku.

– W którym pamiętniku?

– Nie pytaj o szczegóły, bo to nieistotne. Wynika z niego, że Oleńka wysłała z klasztoru list do matki swojego ukochanego. Prosiła o przyjęcie jej z dzieckiem do rodziny, ale w odpowiedzi dostała tylko obietnicę finansowej pomocy. Niedoszła teściowa nie chciała Oleńki u siebie, bo jej syn zginął w postaniu. Tak odpisała. Niech jej Bóg wybaczy.

– Ale to nadal żaden dowód.

Barbara poczuła, że już dłużej nie da się opóźnić tej trudnej chwili i odwracać uwagi Julii od sedna sprawy. Ku zdziwieniu dziewczyny delikatnie podciągnęła rękaw jej sukni, obnażając białe ramię.

– To jest dowód – stwierdziła cicho, wskazując na niewielką ciemno-różową gwiazdkę na ciele Julii.

– Ta skaza?

– Znamię. Masz je od urodzenia. Oleńka pisała o tym w liście do matki swojego ukochanego. To miał być dowód, że jesteś jego dzieckiem, bo on nosił takie samo.

– Bzdura. Na pewno dużo ludzi ma takie coś na skórze. Wystarczy zapytać pana Karola, on jest lekarzem, to poświadczy. O! Na przykład Aurelka też ma i to prawie w tym samym miejscu, sama widziałam.

– Właśnie.

Julia patrzyła na ciotkę, nie rozumiejąc jej pełnego troski spojrzenia.

– Co „właśnie”? Że dużo ludzi ma takie plamki na skórze?

– Nie. Że Aurelka też posiada takie znamię.

– Ale o czym ciocia mówi?

– O tym, że twoja prawdziwa matka nadała ci imiona, które miały być symbolem połączenia dwóch skłóconych rodów, Julio Kazimiero. Po mieczu nie nazywasz się jednak Zarzevska, lecz Laskowicówna. Jak Aurelka. Twoja przyrodnia siostra.

– Co też ciocia... – Zaśmiała się nerwowo, po czym momentalnie zbladła jak płótno. – Jezus, Maria...

## ROZDZIAŁ XIX

Emil siedział zgarbiony za biurkiem. W dłoniach trzymał niewielki portrecik, który przed chwilą wyjął z zamykanej na klucz szuflady. Zakochane oczy młodziutkiej dziewczyny patrzyły na niego jak wtedy, gdy los na kilka godzin podarował im własną bezludną wyspę wśród szalejącej burzy...

– Emilu, najdroższy mój. Gdybym tylko mogła powiedzieć ci: nie jedź, ucieknijmy gdzieś razem.

– Ale tego nie powiesz. Tak samo, jak ja, znasz powinności człowieka wobec ojczyzny.

– Dlaczego los nam to robi? Gdyby nie nasze rodziny, moglibyśmy być tacy szczęśliwi!

– Będziemy, kochana moja.

– Jakim sposobem?

– Nie wiem, ale znajdę rozwiązanie. Tylko nie ulegaj woli brata, czekaj na mnie.

– Choćby do końca życia! Obiecujesz, że wrócisz do mnie cały i zdrowy? Będę drzeć o twoje życie każdego dnia.

– Wróć. I uciekniemy razem jako mąż i żona. Obiecuję!

– Chciałabym wierzyć. Ale kiedy gorączka całkiem ci minie, sam uznasz, że to nierealne.

– Nigdy! Zresztą już dziś mogę ci złożyć przysięgę.

– Przysięgę?

– Tu i teraz. Podaj mi dłoń. Oto w obliczu Boga Najwyższego ślubuję, że ja, Emil Laskowic, biorę sobie pannę Aleksandrę Zarzewską za najdroższą małżonkę i przysięgam ją kochać, szanować oraz dotrzymać jej wierności aż po kres naszych wspólnych dni. Tak mi dopomóż Bóg.

– Och, Emilu... Ja, Aleksandra, ślubuję tobie przed obliczem Boga i aniołów dożgonną miłość, wierność i posłuszeństwo oraz to, że wszystkie moje myśli będą zawsze przy tobie, nawet gdy będziemy rozłączeni. Tak mi dopomóż Wszechmogący Boże. Amen.

– Amen. Od dziś jesteśmy zatem połączeni aż po grób i już nikt tego nie zmieni, Oleńko...

– Aż po grób – szepnął smutno, gładząc olejny portrecik.

Zrobiło mu się gorąco na wspomnienie dotyku jej warg, gdy w uszach zabrzmiały im obojgu niewypowiedziane słowa nieobecnego przy nich księdza: może pan pocałować małżonkę.

„Gdyby tylko dotarły do mnie na czas wieści, jak piękny przygotowałaś mi dar – westchnął w duchu. – Dlaczego nie dotrzymałaś obietnicy? Dlaczego na mnie nie zaczekałaś? Wystarczyłoby jeszcze kilka miesięcy, a odszukałbym was nawet na końcu świata. Obie”.

Drzwi gabinetu uchyliły się ostrożnie.

– Emilu?

– Jestem. – Otrząsnął się ze wspomnień. – Wejdz. Odnalazłaś Julię?

– Tak, byłyśmy nad rzeką. Rozmyślasz o przeszłości? – Spojrzała na miniaturę.

– Basiu! Jak mam wybaczyć matce taki czyn?! – Zdenerwował się. – Rozdzieliła mnie z ukochaną, odmówiła jej pomocy, pozwoliła, by Zarzewski odebrał mi dziecko!

– Nie unoś się.

– Jak ona mogła zrobić coś takiego własnemu synowi i wnuczce?!

– Nie wiem. Próbowałam ją zrozumieć, ale to chyba zbyt trudne. Była jednak kochającą, troskliwą matką, wydobyła cię z niewoli, ocaliła dla ciebie ojcowiznę.

– Troskliwą? Może. Ale kochającą? Wątpię! Nie zastanowiła się nigdy, czego ja pragnę. Zawsze bez namysłu dążyła do tego, na czym jej zależało.

– Nie wypada tak mówić o zmarłej.

– Nie wypada – potwierdził wzburzony. – Ale czy jesteś w stanie pojąć, co ja przeżywam? Zwłaszcza teraz, przy Julii. Od początku czułem się przy niej dziwnie, choć tego nie rozumiałem. Myślałem, że to ciepło w moim sercu bierze się z jej podobieństwa do Oleńki. Wiem, że nie dostrzegasz tego tak wyraźnie jak ja, ale ty patrzysz na nią od lat. Przywykłaś. Nie chodzi mi o kolor włosów czy

wygląd. Mam na myśli jej uśmiech, spojrzenie, gesty, głos. To, jak pochyla głowę, gdy jest zawstydzona, jak się porusza, z jaką troskliwością myśli o innych. Nawet gdy wzdycha, podrywam wzrok, bo zdaje mi się, że to Oleńka jest w pokoju. Myślałam: cóż w tym niezwykłego. W końcu obie to Zarzewskie, ciotka i bratanica. A teraz okazuje się, że... – Złapał się nagle za serce.

– Emilu! Ostrzegałam, żebyś się nie unosił! Siadaj i uspokój się.

Odmierzyła kilka kropel lekarstwa, które stało na tacy pod oknem.

– Wypij. Lepiej?

– Lepiej, dziękuję. Jesteś taka dobra – stwierdził z wdzięcznością. – Tylko tobie mogę wyznać, co czuję. Bez tego chyba bym oszalał.

– Nie oszalałbyś. – Uśmiechnęła się nieznacznie, przypominając sobie słowa Julii, które kwadrans temu zabrzmiały dokładnie tak samo. – Nie jesteś sam, dlatego musisz być silny.

– Staram się. Kiedy porozmawiasz z nią o mnie? Jestem tak blisko, a nie mogę nawet własnemu dziecku wyznać, co czuję. To mnie dobija.

– Nie masz pojęcia, jak dobrze cię rozumiem – powiedziała cicho. – Doskonale wiem, co to znaczy być tuż obok ukochanej osoby i nie móc wyznać jej swoich uczuć, nie móc dotknąć ręki, szczerze porozmawiać. Za to być zmuszoną patrzeć, jak ta osoba oddaje serce komuś innemu. – Mimowolnie spojrzała na portret Aleksandry leżący na biurku. – To męka, jakiej nikomu nie życzę.

– Basiu? – Zaniepokoił go wyraz bólu, jaki zarysował się na dojrzałej, lecz wciąż pięknej twarzy kobiety. – O czym mówisz?

– Nieważne. – Potrząsnęła głową. – Przyszłam tu właściwie z nowiną. A nawet z dwiema.

– Jakimi?

– Rozmawiałam już z Julią. Przed chwilą.

– Naprawdę? – Ucieszył się.

– Tylko proszę, zachowaj spokój.

– Mów. Jak to przyjęła? Chyba nie wyjedzie?

– Nie sądzę. Ale to wszystko jest dla niej trudniejsze niż dla ciebie. Rozumiesz, prawda? Całe życie uważała się za kogoś innego, a tu raptem zawalił się jej cały świat. Nie mam pojęcia, co czułabym na jej miejscu. Bardzo się o nią martwię, tyle ostatnio przeszła.

– Otoczymy ją opieką. Zrobię, co w mojej mocy, by ochronić ją przed złymi językami! – Emocjonował się. – Mogę do niej pójść?

– Nie tak szybko, Emilu – zaprotestowała stanowczo. – Przypomnij sobie, co mi obiecałeś w Krakowie, gdy ci o wszystkim opowiedziałam.

– Pamiętam, ale...

– Nie. Żadnych „ale”. W tej sprawie oczywiście jest wyłącznie dobro Julii, a ona nie podjęła jeszcze decyzji. Zdziwiłabym się, gdyby potrafiła zrobić to tak szybko.

– Jak mam to rozumieć?

– Tak jak mówiłam poprzednio: uszanujemy jej decyzję. Prawdę znamy tylko my i Pan Bóg. Jeśli Julia zdecyduje, że w oczach świata chce pozostać panną Zarzewską, tak będzie.

– Basiu...

– Nie, Emilu. Wiem, że chciałbyś ją przekonać, ale tego nie zrobisz – oznajmiła z uporem, przed którym mężczyzna posłusznie skłonił głowę. – Mówimy o życiu młodej, niewinnej dziewczyny. Ty, Aleksandra, Henryk i twoja matka dokonaliście wyborów, których konsekwencje Julia dźwigała przez całe życie. Wystarczy.

– Przecież chcę jej to wszystko wynagrodzić, otoczyć miłością, dać majątek i nazwisko.

– A pomyślałeś, co was spotka? Zwłaszcza ją. Doskonale wiesz, jak zareagują ludzie. Ona, jej dzieci, a nawet wnuki będą musiały się wstydzić piętna nieślubnego pochodzenia. To jedna z tych kar za grzechy, którą się dźwiga aż do czwartego pokolenia. Wiesz, że tak będzie. Poniesiesz na swoich barkach tak wielką odpowiedzialność? Bo ja się na to nie zgadzam.

– Dobry Boże – rzucił zgnębiony.

– Nie odradzałam jej niczego, ale nie zdziw się, jeśli na razie wszystko pozostanie tak, jak jest.

Może nawet na zawsze.

– Wiem, że masz rację, Basiu. Tylko serce mi się rwie na strzępy.

– Trudno. Pozwól jej oswoić się z tym – dodała łagodniej. – Może kiedyś?

Westchnął, ale pokiwał głową na znak, że akceptuje jej radę. Milczeli przez chwilę, zamyśleni.

– A ta druga nowina? – spytał w końcu, by powiedzieć cokolwiek. – Mówiłaś, że masz dwie wiadomości.

– Tak. Jeśli pozwolisz, chciałabym zostać tu jeszcze jakiś czas i sprowadzić moje służące oraz kota dla Aurelki.

– Kota?

– Pomyślałam, że skoro straciła swojego kanarka, dobrze jej zrobi nowy ulubieniec.

– Oczywiście, Basiu, rób, co uważasz za stosowne. Najważniejsze, że nie wyjeżdżasz. Że obie zostajecie.

– Postanowiłam napisać dla Julii i Aurelki książkę o naszych przodkach. Nie znajdę lepszego miejsca do tego celu niż ten dwór.

– Wspaniale. – Rozpogodził się nieco. – Kronikę rodzinną?

– Raczej powieść, ale o tym jeszcze kiedyś porozmawiamy. Uprzedzam jednak, że to trochę potrwa. Przyjmiesz mnie na dłużej?

– Basiu, nawet nie pytaj. Przecież wiesz, że już dawno chciałem, by mój dom stał się twoim.

– Właśnie. – Zmieszła się trochę. – To również chciałabym w końcu wyjaśnić. Mija już pół roku, od kiedy zaproponowałeś mi małżeństwo dla dobra Aurelki.

– Nie tylko dla dobra...

– Proszę – przerwała mu. – Pozwól mi dokończyć, póki mam odwagę. Przyznaję, że mamy już swoje lata i takie małżeństwo przyniosłoby wszystkim wiele korzyści. Nasze rodziny znają się od dawna, oboje jesteśmy wdowcami, a ty w ostatnim czasie byłeś mi wiernym przyjacielem. Dlatego rozważałam to tak długo.

– Zbyt długo – rzucił ciepło.

– Być może. Jednak przez większość życia musiałam sobie ze wszystkim radzić sama i przywykłam opierać się na własnym osądzie.

– Dlatego właśnie uznałem, że możemy pójść dalej razem, wspierać się. Ja też mam dość samotności.

– Och, Emilu! – Rzuciła podenerwowana, zerkając znów na portrecik Aleksandry. – Chodzi właśnie o twoją motywację. Już raz wyszłam za mąż z rozsądku. Chciałam w ten sposób zagłuszyć ból serca, zapomnieć, ułożyć sobie życie, jak mówiła moja matka. Popełniłam ogromny błąd. Jesteś wspaniałym człowiekiem, jednak bez choćby odrobiny uczucia z obu stron nic z tego nie wyjdzie. Nie mogę oszukiwać ani ciebie, ani siebie. Dlatego pozwól, że nadal będziemy po prostu parą dobrych przyjaciół. Dobrze?

– Cóż, zaskoczyłaś mnie – stwierdził wyraźnie rozczarowany. – Może jednak to przemyślisz?

Nagle dotarło do niego to, co powiedziała wcześniej.

– Basiu, jaki ból chciałaś zagłuszyć tamtym małżeństwem? Wybacz moją ciekawość, ale nie sądziłem, że w twoim życiu był ktoś jeszcze.

– Był – odparła cicho. – Zapewne dziwnie to brzmi w ustach kobiety w moim wieku, ale zakochałam się w nim jeszcze w dzieciństwie. Zdaje mi się, że to dość typowe w naszym rodzie. On jednak wybrał inną. Nawet nie wiedział, co do niego czułam.

– Przykro mi. – Poczul się skrepowany jej szczerością, choć sam ją wywołał. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Ja też nigdy nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, jak ci wyznać, że zawsze kochałam wyłącznie ciebie.

\* \* \*

Po powrocie z pogorzelska Karol bez zapału odświeżył się i przebrał, z myślą, że należałoby wrócić do swoich obowiązków.

Od kilku dni nie odwiedzał chorych ani nie zaglądał do koni, nie miał ochoty nawet wychodzić z mieszkania. Wspomnienie Julii ścisnęło mu serce jak w imadle. Dusza wyrwała mu się do niej, a jednocześnie wiedział, że kiedy ją zobaczy, nie zdoła ukryć swoich uczuć i zachować dystansu.

Gdy jednak niespodziewanie ujrzał ją w ogrodzie przez tylne okno oficyny, bez namysłu zeskoczył z parapetu na trawnik, choć tym razem nie miał żadnego powodu, by nie wyjść zwyczajnie przez drzwi.

Wielkimi susami przemierzył ścieżkę i przystanął cicho za krzewem derenia. Od razu zorientował się, że Julia, nerwowo krążąca wokół klombu ze słonecznym zegarem, jest więcej niż zdenerwowana.

– Co ja mam robić? Co robić? – rzuciła nagle z rozpaczą w głosie, a Karolowi aż podcięło nogi.

„Jezus, Maria, oświadczył się!” – przemknęło mu przez myśl.

Kompletnie zdruzgotany cofnął się o krok, potknął i wpadł wprost na różaną rabatę.

– Aj! – syknął, czując, jak kolce przebijają mu spodnie.

– Karol? Co ty tu robisz?

– Dewastuję ogród. Nie widać? – burknął zawstydzony. – Nie przeszkadzaj sobie. Chciałem opowiedzieć ci o śledztwie, ale widzę, że jesteś czymś zajęta. Nie będę cię absorbował.

– Zostań, proszę. Ja też muszę ci powiedzieć o czymś ważnym. – W jej wzroku kryło się takie błaganie, że wzburzony mężczyzna uległ, z najwyższym trudem zachowując spokój.

– Słucham.

– Przejdźmy do altany, nie powinniśmy wystawiać się na widok służby.

„Ani pana Laskowica – pomyślał rozgoryczony. – Do kroćset! Na pewno się jej oświadczył!”

W altanie odruchowo usiadł w stosownej odległości od Julii, mając nadzieję, że cień rzucany przez powojniki zamaskuje jego zły nastrój.

– Trudno mi o tym mówić – zaczęła niepewnie. – Rozmawiałam z cicią, ale ona stwierdziła, że sama muszę zdecydować. A ja się kompletnie pogubiłam.

Doktorowi tak jęknęło w duszy, że aż zgrzytnął zębami. Skupiona na sobie Julia dopiero w tym momencie dostrzegła, że coś mu jest.

– Karolu? Masz dziwną minę. Dobrze się czujesz?

– Ja? Ależ skąd! To znaczy oczywiście. Czuję się doskonale. To znaczy nie, niezupełnie. Wracam z pogorzelska, dlatego jestem nieco rozbity.

– Ach tak. Dziękuję, że wzięłeś to na siebie. Chyba nie miałabym dziś siły tam wracać. – Zachmurzyła się. – Właśnie, wspomniałeś o śledztwie. Czyżby coś złego?

– Wręcz przeciwnie, jeśli tak mogę to ująć w tych okolicznościach. W pokoju Marceliny znaleziono mocno poniszczone dokumenty, z których jasno wynika, że to była ona – cedził wolno, jakby podświadomie usiłował odwlec chwilę, gdy Julia powie mu o oświadczeniach Emila. – Gdyby ktoś nam nie uwierzył, teraz już nie będzie wątpliwości. Na dodatek w kuchennych szafkach znajdowało się kilka różnych trucizn i środków usypiających. Powstało nawet podejrzenie, że musiała od dłuższego czasu podtruwać Józefa. A wśród zgliszczy wieży natrafiono na broń twojej przodkini, więc potwierdziła się także wersja, że Marcelina nam groziła. Myślę, że możemy uznać tę sprawę za zakończoną. Śledztwo będzie się toczyć, ale nikt już nie będzie cię niepokoić.

– Chwała Bogu. Mam dość tej sprawy. Nie chcę już wyjaśniać żadnych zagadek. Niech przeszłość uśnie w ruinach pałacu.

– Słusznie, teraz zaczniesz nowe życie.

– Zacniemy. A skoro już o tym mowa, muszę ci coś wyznać. Rozmawiałam dziś z cicią...

Mężczyzna wcale nie chciał się dowiedzieć, na jaki temat. Czuł, że dopóki ona nie wypowie tego na głos, może jeszcze mieć nadzieję. Gdy jednak zaczęła cichym, mocno zawstydzonym tonem

opowiadać mu przedziwną historię miłosną Oleńki Zarzewskiej, która pokochała rannego powstańca, najpierw się zdumiał, a zaraz potem nabrał otuchy, że może jednak pan Laskowicz nie ma nic wspólnego ze zdenerwowaniem Julii. Na koniec już tylko słuchał, nie wierząc własnym uszom.

– Najważniejsze jest to, że tym dzieckiem... że... – Ściśnięte nerwowo dłonie Julii aż zbieleły. – Widzisz, okazuje się, że ponad wszelką wątpliwość tym dzieckiem jestem ja.

Milczał. Nawet nie drgnął.

– Słyszałaś, co powiedziałam?

– A więc tak to załatwił. – Wyrwało mu się.

– Słucham? Kto załatwił? Karolu?

– Cóż, nie będę ukrywać, że znałem pewne fakty. Choć o tym akurat nie miałem pojęcia.

– Jakie fakty? To ty wiedziałeś?!

– Nie denerwuj się, wszystko ci wytłumaczę. – Próbował się obronić przed jej pełnym wyrzutów wzrokiem. – Przyznaję, że w zapiskach ojca znajdowała się informacja o pewnej, jak by to powiedzieć, dolegliwości pani Zarzewskiej. Data jednej z notatek idealnie pokrywa się z dniem twoich urodzin. Pamiętam przecież, kiedy Balbina wyprawiała ci święto. Na podstawie zawartych tam objaśnień wysnułem oczywisty wniosek, że w żaden sposób nie mogłaś być rodzoną córką pani Adeli.

– Karolu Natejko! – Oburzenie w głosie Julii przybrało lodowate tony. – Jak mogłeś to przede mną ukrywać? Tyle razy rozmawialiśmy o moich obawach związanych z chorobą *maman*, to znaczy Adeli. A ty spokojnie...

– O nie! – Zaprotestował. – Przypomnij sobie, co ci powtarzałem. Że według mojej najlepszej wiedzy nie mogłaś odziedziczyć żadnej choroby po pani Zarzewskiej. Tak czy nie?

– Rzeczywiście. – Zmarszczyła czoło. – Mówiłeś.

– A widzisz.

– Cóż takiego widzę? Że wolałaś zachować tajemnicę lekarską wobec cudzej pacjentki, niż wyznać mi prawdę? Twoja matka miała świętą rację. – Zirytowała się. – Dla lekarza zawsze pacjenci są najważniejsi.

– Moja matka? Nie wygaduj bzdur.

– Bzdur? Dobrze sobie!

– Julio, nie bądź niesprawiedliwa. Jeśli chcesz, udowodnię ci, że jesteś ważniejsza niż jakakolwiek tajemnica lekarska.

– Ciekawe, jak to zrobisz?

– Pokażę ci notatnik mojego ojca i sama poczytasz o pani Zarzewskiej.

Zdumiała się. Doskonale rozumiała, że takie słowa były dla niego niemal świętokradztwem wobec własnego powołania, a jednak desperacja w jego oczach potwierdzała, że był na to gotowy.

– Nie, dziękuję – stwierdziła cicho. – Wystarczy mi twoje słowo. Zresztą domyślałam się, w czym rzecz. Drugie dziecko Adeli też zmarło, a skoro trafiła się okazja, zdecydowali się mnie przyjąć i wmówić hrabiemu Erykowi, że jestem jego wnuczką. Czy tak?

– Niezupełnie.

– A jakieś konkrety?

– Skoro nalegasz... Wybacz, że będę bezpośredni, ale inaczej nie da się tego wyjaśnić. Słyszałaś kiedyś o „rzekomym stanie błogosławionym”?

– O czym?

– To bardzo dziwna choroba umysłu. Sam byłem zdumiony, czytając notatki ojca.

– Czym się objawia?

– Pacjentka nie tylko uważa, że jest przy nadziei. Najdziwniejsze, że ma również wszystkie... oznaki tego stanu. – Zerknął na nią speszony. – Rozumiesz?

– Chyba tak. Adela na to cierpiała?

– Tak wynika z zapisków. Właściwie to fascynujące. Jej umysł tak bardzo pragnął potomka, że organizm oszukiwał ją i całe otoczenie. Doprawdy niezwykła sytuacja. Dopiero mój ojciec odkrył prawdę. Był zszokowany.

– Zatem drugiego dziecka wcale nie było?

– Nie było. Pani Zarzewska uwierzyła, że powiła niemowlę, ale to był tylko atak choroby. A z tego, co mi opowiedziałaś, można wysnuć wniosek, że jej mąż potajemnie przywiózł cię do pałacu i wmówił żonie, że jesteś ich córką. Może obawiał się, że ona znów targnie się na swoje życie i chciał ją w ten sposób ocalić? Dziwi mnie tylko, że mój ojciec zgodził się milczeć. Uczciwość była dla niego zawsze bardzo ważna.

– Boże, jakie to zagmatwane! – Westchnęła przygnębiona. – Kobieta, którą uważałam za ciotkę, urodziła mnie potajemnie, po czym umarła, a mój wuj wmówił chorej żonie, że jestem ich dzieckiem i pozwalał się nazywać papą. Na dodatek wszystkie ślady zostały tak skutecznie zatarte, że nikt niczego się nie domyślał. Przecież to zupełnie nieprawdopodobne!

– Dlaczego? Sama mówiłaś, że pan Zarzewski z miłości do żony gotów był na każde szaleństwo. Po prostu nie bał się ryzykować. Czy wszyscy w waszym rodzie tak mają?

– Nie wiem. – Uśmiechnęła się rozbrojona jego spojrzeniem, w którym bezbłędnie odczytywała uczucie.

Karolowi mocniej zabiło serce.

– Julio, tak bardzo bym chciał... – Zawahał się i umilkł.

– O co chciałeś zapytać?

– Nie, nic ważnego.

– Chodzi o moje pochodzenie? Teraz, gdy już wiesz, czujesz się zdeprimowany, tak?

– Czym?

– Tym że ja... że z nieprawego, sam wiesz – bąknęła zaczerwieniona.

– Co? Nigdy w życiu! Jak mogłaś tak pomyśleć? Czy jestem jakąś prowincjonalną dewotką? –

Zrobił tak zabawną minę, że z ulgą się uśmiechnęła.

– Bynajmniej. Nie przypominasz ani dewotki, ani dewota, gwoli ścisłości. Ale wiesz, o co pytam.

– Niezupełnie.

– Czy moje związki z panem Laskowicem... To znaczy czy to coś zmienia między nami?

Wybuchnie skandal.

Karol zeszywniał.

– Jakie związki?

– Racja, nie powiedziałaś ci o najważniejszym. – Zaczerwieniła się. – Pewnie dlatego, że mnie samej trudno jeszcze w to uwierzyć. Wciąż odnoszę wrażenie, że to dotyczy kogoś innego albo jest opowieścią z książki mojej cioci. Bo widzisz, okazało się, że tym mężczyzną był właśnie pan Emil.

Karol zamrugał skonsternowany.

– Co pan Emil?

– On był tym rannym powstańcem.

– Pan Emil?

– Tak.

– Ukochanym twojej prawdziwej matki?

– Tak.

– To znaczy, że on jest...?

Julia tylko skinęła głową.

– Czy wiesz, co mówisz? Pan Laskowic jest twoim ojcem?

– Tak – odparła po raz kolejny z coraz większą niepewnością, bo reakcja Karola była zupełnie niezrozumiała.

– Ożeż ty...! Przepraszam. – Zmitygował się. – Poczekaj, niech ochłonę. To niesamowite! Czy on o tym wie?

– Ciocia twierdzi, że tak. Właśnie na tym polega kłopot.

– Nie rozumiem.

– Zanim do niego pójde, muszę zdecydować, czy chcę ujawnić przed światem ten sekret. Podobno pan Emil chciałby dać mi swoje nazwisko, ale przecież wybuchnie skandal – mówiła coraz



szybciej, widząc, że na twarzy Karola pojawia się coraz bardziej absurdalny zachwyty. – To wszystko jest dla mnie za trudne, zbyt gwałtowne. I jeszcze Aurelka. Jakie mam prawo niszczyć jej życie? Ona jest jedyną Laskowicówną, prawowitą dziedziczką, córką szanowanego człowieka. Byłoby egoizmem i okrucieństwem z mojej strony rujnować jej opinię i przyszłość. Karolu, na litość boską, co ci jest? – Nie wytrzymała.

– Julka! Dziewczyno moja złota! Jeśli on wie, że jest twoim ojcem, to znaczy, że nie zamierza ci się oświadczyć!!

– Oświadczyć?! – Przeraziła się. – O Boże! Chyba dostałeś gorączki.

Zaśmiała się jak szaleniec i padł przed nią na kolana.

– Nie rozumiesz, najdroższa? Dla mnie to kompletnie bez znaczenia, czy jesteś panną Zarzewską, czy Laskowicówną. W oczach ludzi ja, zwykły doktor Natejko, i tak nie jestem ciebie godzien. Ale mnie obchodzą tylko twoje oczy, tylko twoje zdanie. Cokolwiek postanowisz, poprę cię. Błagam tylko o jedno: uczyni mnie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi i zostań moją żoną. Powiedz „tak”, a wszystko inne nie będzie miało znaczenia.

Jej promienny uśmiech wyprzedził słowa.

– Zastanawiałam się, jak długo każesz mi na to czekać. Oczywiście, że „tak”, mój doktorze. Przez całe życie tylko z tobą chcę ulepszać świat.

## EPILOG

*Wiosna 1889 roku, Galicja Zachodnia*

-

Gdy ostatnia fałdka przy strojnej sukni została wygładzona po raz trzeci, Barbara uśmiechnęła się łagodnie.

– Juleńko, wystarczy. Spóźnimy się do kościoła. Goście czekają.

– Nawet ciocia nie wie, jaka jestem szczęśliwa! Jeszcze rok temu myślałam, że szczęście to mrzonka, mit dla młodych panienek. A teraz widzę je w oczach Karola, twoich, ojca i Aurelki. I sama też to czuję. To niesamowite!

– Oj, dziecko, dziecko. Jeśli dzisiaj tak promieniejesz, to jak będziesz wyglądała na własnym weselu?

– O! Wtedy też będę szczęśliwa, ale dostojnie. – Zaśmiała się radośnie. – Małżonka doktora Natejki będzie musiała się odpowiednio zachowywać, bo inaczej będzie miała do czynienia z teściową. Za to dziś mogę się beztrudno upajać waszym świętem. Bałam się, że ten ślub nigdy się nie odbędzie. Ojciec tak długo ciocię przekonywał o swoich uczuciach.

– Cóż, nie jestem już taka młoda. Nie było mi łatwo uwierzyć, że w sercu mężczyzny może się znaleźć miejsce dla dwóch kobiet.

– A nawet dla czterech. Jeszcze ja i Aurelka musimy się tam zmieścić – zażartowała.

– Tak, jeszcze wy. Przez pół życia miałyśmy wyłącznie siebie, a teraz stajemy się sporą rodziną. Tylko czy nam się uda?

Julia zobaczyła w oczach ciotki wyraźną treść.

– Oj, ciociu, to zwykle nerwy przedślubne. Za godzinę wszystko stanie się prostsze.

– Śmieję się, śmieję. Porozmawiamy latem – stwierdziła Barbara z przekąsem. – Chwileczkę! A gdzie mój bukiet?

– Zosia się nim zaopiekowała. Spokojnie, wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Włodziowa podporządkowała sobie dziś nawet panią Natejkową, więc nie będzie żadnych przykrych niespodzianek.

– Cieszę się, że Zosia mogła przyjechać na moje wesele. Jej także trzeba znaleźć miłego młodego człowieka, żeby już nie musiała nigdzie wyjeżdżać na służbę.

– To świetny pomysł. Im nas więcej, tym lepiej, nieprawdaż? – Julia znów się zaśmiała.

Radość tak ją przepełniała, że nie mogła się opanować.

– Czy na pewno nie chcesz zmienić zdania co do nazwiska? – spytała nagle Barbara.

– Och, ciociu, w takiej chwili o tym?

– Chcemy mieć z Emilem pewność.

– Będzie lepiej dla wszystkich, jeśli pozostanę panną Zarzewską z domu. Wystarczy, że my znamy prawdę, a ludzie niech żyją w nieświadomości. Karol też tak uważa.

– Dobrze, kochanie. Skoro twój narzeczony się z tobą zgadza, nie będziemy już z Emilem do tego wracać. Tu i tak zawsze będzie wasz dom.

– Słusznie. Dom jest tam, gdzie są bliscy. To Karol mi uświadomił, że przez pół życia tęskniłam jedynie za pustym pałacem, a dom miałam na wyciągnięcie ręki, przy cioci. Już dawno powinnam to cioci powiedzieć, ale teraz jest chyba dobra okazja.

– Co takiego? – Barbarę zastanowił poważny, a jednocześnie pełen uczucia ton w głosie wychowanki.

– Los tak chciał, że miałam dwie matki, ale właściwie żadnej z nich nie znałam. Wiem, że to nie ich wina, a jednak ani Aleksandra, ani Adela nigdy nie zajmą w moim sercu tego miejsca, które należy się... tobie, ciociu. Żadna z nich nie znaczy dla mnie tyle, co ty. Właściwie jesteś moją jedyną prawdziwą matką. I zawsze nią byłaś.

– Och, dziecko! – W oczach wzruszonej Barbary załśniły łzy.

– Tylko niech ciocia nie płacze. – Rozczulona Julia objęła wystrojoną w koronki i muśliny Barbarę. – Jak się pokażemy gościom z czerwonymi oczyma?

Gdy obie wkroczyły do salonu wypełnionego najważniejszymi gośćmi weselnymi, rozpromieniony Emil poprawił binokle i aż sapnął z zachwytu. Julia podprowadziła ciotkę do niego.

– Panie Emilu, oto pańska narzeczona – oznajmiła z uśmiechem.

Pocałowała Barbarę w oba policzki, a później schyliła się do ręki Emila.

Mężczyzna pogładził ją po głowie, westchnął cicho, po czym z całym ceremoniałem ucałował ją w czoło. Rozejrzał się po zebranych w salonie osobach, jakby zamierzał złożyć ważne oświadczenie, po czym rzekł donośnie:

– Panno Julio, skoro dziś pani przybrana ciocia uczyni mi ten zaszczyt i stanie się moją żoną, może zechce pani traktować mój dom jak swój własny, a do mnie mówić... wuju – dokończył z pewnym trudem. – Co ty na to, moje dziecko?

Julia wzrokiem odszukała w tłumie Karola i zobaczyła jego uśmiech.

– Z największą przyjemnością, wuju. W końcu jesteście teraz rodziną – odparła z szacunkiem.

Gdy wesoly i gwarny orszak weselny dojechał pod kościół, kilka szlachcianek przystanęło z boku, by jeszcze przed wejściem do środka swobodnie skomentować to i owo. Szykowność strojów i fryzur, osiągnięcia i klęski cudzych mężów, a nawet sposoby wychowania nieswoich dzieci, zostały błyskawicznie przeanalizowane i poddanej ostrej ocenie. Nim pozostali goście wysiedli z powozów i ustawili się w odpowiedniej kolejności, one zdążyły już także prześledzić życiorysy młodej pary, nie zostawiając na obojgu suchej nitki, oraz z oburzeniem skrytykować planowany mezalians panny Zarzewskiej.

– Sama pani widzi, do czego ten świat zmierza. Okropność! Żeby tak się pospolitować z mieszczaninem?

– Właściwie to z niego żaden mieszczanin. Pół życia spędził w majątku pana Laskowica. Więc kim jest?

– Przecież pani wie, co mam na myśli. Cóż to za sfera ci inteligencji bez herbów? Żadna.

– Niech pani nie przesadza. Mieć w rodzinie Zarzewską to też nie taki znowu zaszczyt. Sama pani wie, co o nich ludzie mówią.

– Ma pani rację. Rok temu pisałam nawet o tym do mojej kuzynki. Jej znajoma trzymała u siebie tę pannę jako guwernantkę. Jak widać, nazwisko dziś bez majątku niewiele znaczy. Moim zdaniem dziura w niebie się od tego nie robi, że nauczycielka zostanie zwykłą doktorową.

– Ale pomyliła się pani w przepowiedniach. Panna Zarzewska nie szukała bogatego męża. Tego jej zarzucić nie można.

– Za to ciotka złapała majątek. Wielka mi pani pisarka! Jest zdecydowanie za stara dla pana Laskowica.

– Cóż, gdyby nie żałoba po mężu, mogłaby pani sama się wokół niego zakręcić, ale teraz już za późno.

– No wie pani!

Goście ruszyli wreszcie w stosownym porządku do kościoła, gdzie przywitał ich ksiądz, zachwycony „tak wzruszającą i piękną parą ludzi”.

Wystrojona odświętnie Aurelka pomachała z ławki najpierw do Wacka Czetwińskiego, a potem do Franka i Kasi, stojących w tłumie przy drzwiach razem ze swoimi opiekunami.

– Aurelko, tak nie wypada – szepnęła jej cichutko Julia, nachylając się do jej ucha. – Później będziesz pozdrawiać znajomych, po wyjściu z kościoła.

– Julciu?

– Słucham.

– Czy ty też będziesz miała taką cudną suknię, gdy wyjdiesz latem za pana Karola?

Julia uśmiechnęła się dyskretnie.

– Tak, ale moja będzie biała.

– Julciu?

- Kochanie, nie możemy tak szeptać.
  - Ale ja mam ważne pytanie.
  - Słucham.
  - Papa powiedział, że staniemy się prawdziwą rodziną, gdy poślubi ciocię Basię. I pozwolił ci mówić do siebie: wuju. To kim my będziemy?
  - Jak to, kim?
  - Czy mogę wszystkim mówić, że jesteśmy jak siostry?
- Julia spojrzała w szare oczy dziewczynki i czułym gestem poprawiła jej strojny kapelusik, który lekko się przekrzywił.
- Tak, kochanie. Możesz mówić, że jesteśmy siostrami – szepnęła ciepło. – A kiedy dorośniesz, ja ci to wszystko jakoś wytłumaczę.

*Koniec*

JULIANNNA

FELICJA

1. mąż – Zarzewski      2. mąż – Laskowic

Dorota  
ur. 1796 r.

Julian Zarzewski + Ksawera  
ur. 1799

Kazimierz Laskowic + Leonia  
ur. 1804 r.

Maria  
ur. 1820 r.

Henryk Zarzewski + Adela  
ur. 1835 r.

Oleś  
ur. 1861 r.

Bożydar  
ur. 1839 r.

Aleksandra  
ur. 1845 r.

Emil Laskowic  
ur. 1840 r.

Barbara  
ur. 1841 r.

Julia Kazimiera  
ur. 1864 r.

Aurelia  
ur. 1877 r.

Tadeusz  
ur. 1866 r.

PRZODKOWIE I KREWNI JULII